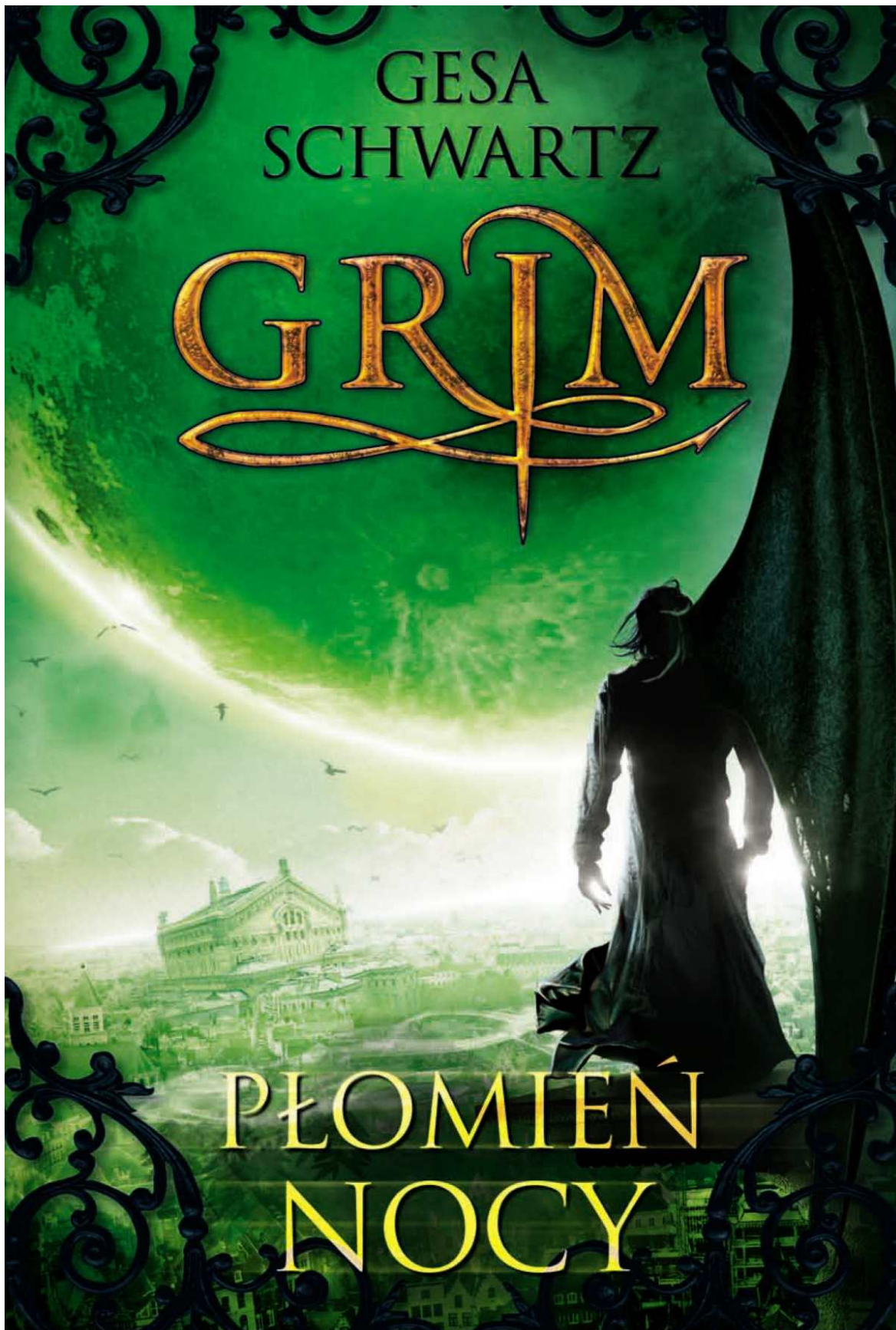


GESA  
SCHWARTZ

# GRIM

PŁOMIEŃ  
NOCY



GRIM

GESA  
SCHWARTZ



PŁOMIEŃ  
NOCY

Z niemieckiego przełożył  
Ryszard Turczyn

Tytuł oryginału: *Grim – Die Flame der Nacht (vol. 3)*

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Copyright for the Polish edition © 2016 by Wydawnictwo Jaguar

Redakcja: Urszula Przasnek

Skład i łamanie: EKART

Cover design by Birgit Gitschier, Ausburg

Cover illustration: © using an image by Max Meinzold

Copyright © 2012, EGMONT Verlagsgesellschaften mbH, LYX,  
Cologne

Lic.: Aleksandra Markiewicz, Literarische Agentur, ul. Lazurowa  
159/23, 01-479 Warszawa, Poland

**ISBN 978-83-7686-470-9**

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://youtube.com/wydawnictwojaguar)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat: jaguar\_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej: Michał Latusek

The logo for 'virtualo' features the word in a bold, lowercase, blue sans-serif font. The letters 'i', 'u', and 'o' have a light blue-to-white gradient shadow effect behind them, giving the logo a three-dimensional appearance.

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## *Spis treści*

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51



Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Epilog

Przypisy

## *Rozdział 1*



Księżyc wisiał niby srebrzyste lustro nad ulicami Paryża. Z rzadka tylko przez jego tarczę przepływały chmury, upiorne postacie o postrzępionych kończynach, które zamieniały niebo w ponure odmęty i rzucały rozedrgane cienie na budynek Opéra Garnier.

Grim stał na skraju dachu. Jego płaszcz łopotał na wietrze, a chłód, który od paru już dni przemykał zaułkami jak głodne zwierzę, łapczywie ześlizgiwał się po jego karku. Niech to szlag! Powinien teraz siedzieć gdzieś w cieple, czytać policyjne raporty albo grać z przyjaciółmi w karty w „Zmierzchu”; powinien robić cokolwiek, tylko nie wystawać nocami na dachach i wgapiać się w księżyc niczym jakiś cholerny wilkołak. Brakuje tylko, żeby odrzucił głowę do tyłu i zaczął wyć. Zdecydowanie powinien się stąd zabierać, nie miał co do tego wątpliwości. A jednak nie ruszył się z miejsca. Dalej spoglądał na księżyc, na tego niespokojnego czarownika, który od pradawnych czasów zachowywał się tak, jakby znał odpowiedzi na wszystkie pytania, i który swoim srebrzystym blaskiem wpędził tysiące ludzi w obłąd, zmusił do samobójstwa albo pisania cikliwych wierszy. Lecz nie tylko ludzie i wilkołaki poddawali się jego mocy. Grim sapnął pogardliwie. Będzie od nich mądrzejszy. Księżyc nie udziela żadnych odpowiedzi. Śmieje się z pytań tego świata. Grim miał wrażenie, że wręcz słyszy ten śmiech.

Z mroczną miną rzucił spojrzenie w wąwozy ulic i znów poczuł w piersi pieczenie, które od dobrych siedmiu dni, niby przedsmak czegoś, noc w noc wypędzało go z kościoła. Od dawna nie odczuwał go w takim natężeniu. Był to ten sam niepokój, który ponad dwieście lat temu kazał mu bez wytchnienia przemierzać Włochy i który, od kiedy pamiętał, zawsze mu towarzyszył z mniejszą lub większą intensywnością. Raz

udało mu się zmusić go do milczenia, było to w Świecie Bogów, kiedy zabrał Ogień Prometeusza. Wciąż jeszcze, na samo wspomnienie czuł szaleństwo barw, żar złotego nieba, które tam stworzył, i zimno w swoim wnętrzu, które pochłonęło wszelkie napięcie. Pod skrzydłami miał nieskończony wiatr, a kiedy pomyślał o swoim śmiechu rozbrzmiewającym daleko nad pustynią, aż się wzdrygnął, tak bolesne stało się to pieczenie w środku. Przypomniał sobie jednak także oblicze ognistego demona, które ujrzał w tamtym morzu, i wiedział, że Ogień nie był przeznaczony do tego, by korzystała z niego **Pólistota** taka jak on. A jednak nie odniósł go do Świata Bogów. Coś przeszkodziło mu to uczynić, sam nie potrafił powiedzieć, co. Może po tych wszystkich latach spędzonych w Mieście Światła uznał, że przewyciężył już to pieczenie albo przynajmniej zepchnął je w cieniste zakamarki swego jestestwa. Teraz jednak, kiedy jego życie po walce z Królową Śniegu znów biegło zwyczajnym torem, pieczenie nagle zaczęło wracać i im bardziej się przed nim bronił, tym ból w jego wnętrzu stawał się gwałtowniejszy i tym dotkliwiej odczuwał, że coś w zewnętrznym świecie odpowiadało na ten niepokój. Coś wisiało w powietrzu – zbyt chłodny powiew w tunelach metra, zmarszczki na powierzchni wody Sekwany, jakby echo potężnego dudnienia gdzieś w oddali, nieuchwytnie i wielkie milczenie czegoś innego, co zmuszało go do skrywania się w cieniu, zachowując skupienie właściwe drapieżnikowi, chociaż zupełnie nie wiedział, czego się spodziewać. Ciemność w uliczkach stała się głębsza, coś nadciągało, czuł to, i nawet jeśli nie potrafił tego jeszcze nazwać, co do jednego nie miał wątpliwości: zbyt długo już panował spokój.

Powiew wiatru omiół mu kark, ostrymi jak szpilki pazurami musnął skórę. Przeklęty chłód. Najmniejszy ruch powietrza sprawiał wrażenie, jakby miał w sobie żyłki. Grim skulił ramiona i ruszył po dachu Opery, budynku, który zdawał się bardziej cudem niż dziełem ludzkich rąk. Czuł je wyraźnie, te salamandry obserwujące go z cienia. Znał je doskonale, zbyt długo mieszkał w katakumbach wijących się w głębi ziemi pod gmachem Opery, żeby mogło być inaczej. Niezbyt je lubił, a one z kolei pały do niego żarliwą nienawiścią. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy, jakie było ich zadanie – chroniły Operę przed

zniszczeniem przez płomienie, a on w końcu był dzieckiem Ognia. Istota jego rodzaju nie była więc mile widziana w takim miejscu jak to. W skroniach zapulsował mu głuchy gniew, rozprostował się, aż strzeliły stawy. Do diabła z tym wszystkim, od kiedy to obchodzi go jakiś tam brak gościnności u kapryśnych płazów? Było wystarczająco wiele innych miejsc w tym mieście, gdzie mógł sobie pójść, miejsc wolnych od tego zimna, księżycowego blasku i gonitwy myśli. Ale czy rzeczywiście?

Spojrzał w stronę Montmartre'u. Gdzieś tam Mia pracowała właśnie nad nowym obrazem, otoczona niezliczonymi szkicami, pudełkami pędzli i paletami. Oczami duszy ujrzał ją w malutkiej pracowni, słabo tylko oświetlonej blaskiem świec, i w nozdrza uderzył go zapach terpentyny, farb olejnych i zakurzonych płócien, którym była przesiąknięta, od kiedy z całkowitym oddaniem poświęciła się sztuce. Fala ciepła przeszła mu po plecach i przez krótki moment czuł pokusę, by do niej zajrzeć. Wiedział jednak, że kiedy Mia rysuje, jest w swoim własnym świecie, a on z kolei nie potrafił wystarczająco długo usiedzieć spokojnie, żeby nie narobić bałaganu wśród tych wszystkich sztalug i obrazów. Westchnął. Kiedy obudził się w nocy, Mii już nie było, a cisza panująca w jego kościele w pierwszej chwili odebrała mu oddech. W ciągu ostatnich miesięcy rzadko się zdarzało, żeby było tam naprawdę spokojnie, ponieważ Mia nie była już jedynym człowiekiem, który znalazł swój dom w jego podziemnym schronieniu.

Po śmierci mistrza Hortensjusza Carven przyłączył się do nich. Dziwnym trafem ani przez chwilę nie było wątpliwości, że wybierze Grima, chociaż ten naprawdę nie miał smykałki do dzieci. Ponieważ chłopak uczył się u Theryona, w ciągu tygodnia przebywał w Ghrogonii, kiedy jednak tylko było to możliwe, przychodził do Grima. Gargulec oddał mu do dyspozycji pokój w swoim królestwie – pokój, który błyskawicznie zappełnił się po sufit najróżniejszymi przedmiotami potrzebnymi do czarów, książkami i zabawkami, które z dziwną oczywistością bardzo szybko rozprzestrzeniły się po całym kościele. Grim przeciągnął się. Wciąż czuł ból w plecach, gdy tylko pomyślał o swoim ostatnim spotkaniu z tą piekielną konstrukcją o nazwie skateboard, która ciągle poniewierała się w najbardziej

nieprawdopodobnych miejscach i potrafiła w ułamku sekundy zwalić z nóg nawet zaprawionego w bojach Cienioskrzydłego. Także Bocus zawarł już znajomość z tym piekielnym urządzeniem. Fibi bez najmniejszego problemu pomykał na nim po całym kościele, podczas gdy Klara śmiała się z jego sztuczek, za to smok zwichnął sobie na nim ogon i od tej pory nosił magiczny gips, co gwarantowało mu do końca życia szydercze śmiechy w całym „Zmierzchu”. Mimo to Bocus polubił Carvena, podobnie jak i inni mieszkańcy podziemnego kościoła. Teraz jednak, kiedy chłopak wraz z Theryonem i Jakobem wyruszył w podróż edukacyjną po Innoświecie Północy, panowała tu osobliwa cisza. Carven prawie co wieczór opowiadał Mii i Grimowi o swoich przeżyciach za pomocą HAKI i Grim nie potrafił powstrzymać uśmiechu, przypominając sobie entuzjazm malujący się w oczach chłopaka mówiącego o sekretnych ścieżkach trolli i jaskiniach z kryształów adamantu. Grim też znał ten czarodziejski świat Północy, a jednak było to zupełnie co innego spojrzeć na niego oczami dziecka. Czasami miał wrażenie, że dopiero teraz tak naprawdę zaczyna go pojmować.

Ostrożnie wyjął z kieszeni niewielkiego smoka z barwnej mgły, który spokojnie spał w jego dłoni, ziewając niby żywa istota. Grim szepnął mu zaklęcie. Smok wyskoczył w powietrze, zaczął wymachiwać na wszystkie strony niewidzialnym mieczem, jak niegdyś Carven w czasie ich wspólnej przygody w L'hur Bhraka, potem z krzywym uśmiechem skinął w jego stronę i zapadł z powrotem w sen. Carvenowi udało się zmieścić w smoku wiele czarów, a wyruszając w podróż, zostawił go Grimowi. Grim doskonale pamiętał spojrzenie chłopca i nieprzyjemne uczucie w brzuchu, kiedy się już pożegnali. Z sapnięciem wpuścił teraz śpiącego smoka z powrotem do kieszeni. Niech to wszyscy diabli, przecież jest Cienioskrzydłym i komendantem NPG, a siedzi w środku nocy na dachu Opery dręczony niejasnymi przeczuciami i tęskni za jakimś ludzkim dzieciakiem.

Spojrzał ponad dachami Paryża. Nad miastem zalegała jeszcze najczarniejsza ciemność, ale on już czuł nadchodzący świt. Noc wkrótce minie, ale nie chciał kończyć jej samotnie na tym dachu. Zajrzy do „Zmierzchu”, może Bocus i reszta jeszcze tam są.

Właśnie zamierzał rozpostrzeć skrzydła, kiedy nagle dostrzegł

mgłę podnoszącą się za Gare du Nord. Zmarszczył brwi. Noc była zimna, powietrze przejrzyste, nie było w zasadzie miejsca na mgłę – a już na pewno nie na taką, która poruszała się w ten dziwny sposób. Rozprzestrzeniała się nienaturalnie szybko, nasuwała się na dachy i upiornymi palcami muskała fasady domów. Grim chwycił się za pierś, pieczenie w środku przeszło jego ciało. Coś było nie tak.

Bezgłośnie wzniósł się w powietrze. Prześlizgiwał się tuż nad dachami, zostawił za sobą szum drzew na Square Montholon i wleciał prosto w mgłę. Natychmiast otoczyła go głucha, nierealna cisza. Jak we śnie przesunął dłonią po oczach; mgła kładła się lepka warstwą na jego twarzy, przywierała do jego szponów. Dopiero w pobliżu dworca opar nieco się przetarł i wtedy Grim zobaczył, że welony mgły niby żywe istoty przeciskają się przez fugi oraz pęknięcia w murach do wnętrza domów. Bacznie nasłuchiwał, lecz z ludzkich mieszkań nie dobiegał go żaden dźwięk, żadne rozmowy ani nawet najcichsze kroki.

Krew zaczęła szybciej płynąć w jego żyłach, kiedy z szumem skrzydeł wylądował przed Gare du Nord. Kilka samochodów zjechało z ulicy wprost na chodniki i stały teraz w najróżniejszych pozycjach, inne wjechały w tył poprzedzających je pojazdów, a jeden zaparkował w samym środku wystawy pobliskiej piwiarni. A przecież Grim nie słyszał żadnego wycia alarmu. Jak sparaliżowany patrzył na ludzi bez ruchu leżących na ulicy i w samochodach, jakby trafionych kulami. Przypominali lalki z powykręcanyimi kończynami, które mgła otulała swym welonem; przez moment Grim znowu ujrzał siebie na polach bitew, na których walczył, w lasach Rumunii, w katakumbach Pragi, w ruinach Pałacu Burz na dalekiej Północy. Poczował chłód śmierci i to okrutne tchnienie na twarzy, które za każdym razem po walce mówiło mu, że nie należy do martwych, że pozostał przy życiu i będzie nosił w sobie te obrazy do końca swoich dni. Patrzył na ludzi jak przez szklaną ścianę, widział cienie kładące się na ich skórze i nagle nie mógł już dłużej znieść ciszy, która go otaczała. Co, u diabła, się tutaj zdarzyło?

Z wielkim wysiłkiem wyrwał się z odrętwienia i podszedł do samochodu, w którym na miejscu kierowcy siedziała młoda kobieta z rozciętym czołem. Musiała uderzyć głową o kierownicę, kiedy straciła panowanie nad pojazdem. Grim otworzył drzwi i przyłożył szpon do jej

szyi. Była lodowato zimna, wydawało mu się, że niemal czuje te uderzenia skrzydeł, które od niepamiętnych czasów na równi kochał i nienawidził, to tchnienie, które... Nagle poczuł impuls, który jak uderzenie prądem przeszedł mu po palcach. Zastygł bez ruchu, tak bardzo było to niespodziewane, i raz jeszcze wsłuchał się w ciszę. A potem nabrał głęboko powietrza.

Ci ludzie wokół niego wcale nie byli martwi.

Oni spali.

Ostrożnie pochylił się nad kobietą. Jej sen był nienaturalnie głęboki, bicie serca spowolnione, oddech płytki. Zupełnie jakby zapadła w jakiś rodzaj śpiączki. Właśnie zamierzał przesłać do jej ciała zakłęcie wzmacniające, kiedy poruszyła głowę, najpierw ledwie zauważalnie, a potem gwałtowniej. Zaczęła dyszeć jak po długim i wyczerpującym biegu, zamachnęła się, jakby chciała coś uderzyć i trafiła w deskę rozdzielczą. I zanim Grim zdołał ją powstrzymać, krzyknęła głośno. Na jej policzku pojawiły się trzy krwawe pręgi, jakby od niewidzialnych ostrzy. W następnej chwili otworzyła oczy i spojrzała wprost na niego.

Grim odskoczył tak gwałtownie, że uderzył głową o podsufitkę. Przez twarz kobiety przemknął cień śmiertelnego przerażenia, lecz jej oczy wypełniała mgła, zupełnie jakby przeniknęła do jej ciała, tak jak wcześniej wnikała do budynków. Grim słyszał, że także pozostali ludzie zaczynają się poruszać, ale nie mógł oderwać oczu od kobiety. Coś głęboko w niej ukrytego spoglądało na niego poprzez mgłę i nie chciało go puścić – słabe światełko w przytłaczającej ciemności wypełniającej jej oczy. Zaraz potem rozległ się szum, jakby rozpalono niezliczone małe ogniska, i spojrzenie kobiety prześlizgnęło się przez Grima. Dostrzegł jeszcze, jak światełko tonie we mgle. Potem się odwrócił... i w tym momencie wstrzymał oddech.

Z wnętrza Gare du Nord wyływały w paryską noc rozbłyskujące czarno strumienie płomieni. Rozdzielały się jak gigantyczny rój owadów, wdzierały się do domów i przenikały mgłę spowijającą pobliskie ulice, a potem z lekkim błyskiem osiadły na czołach ludzi. Na ich twarzach natychmiast pojawiał się wyraz odprężenia, a oni sami zapadali w głęboki sen. Ogień ich wprawdzie nie spalał, lecz ciała stawały się szare i pozbawione jakichkolwiek barw, zupełnie jakby

zostały wchłonięte przez mgłę wypełniającą ich wnętrza.

Grim czuł żar tych płomieni na skórze, kiedy podchodził do Gare du Nord. Płynęły w jego stronę, jakby chciały mu przeszkodzić w wejściu na dworzec, on jednak otoczył się tarczą ochronną i płomienie ześlizgiwały się po niej jak krople deszczu. Miał wrażenie, że kroczy przez tunel z ognia i ciemności, i wydawało mu się, że jasno i wyraźnie słyszy, jakby z wielkiej oddali, śmiech trzaskających iskier. W tym momencie wyszedł z płomieni.

Znajdował się w głównej hali dworca. Za wysokimi oknami budynku, przez które tyle razy obserwował ludzi, piętrzyła się noc. Zawsze uwielbiał dworce – ich charakterystyczny zapach, gwar głosów, stukot przyjeżdżających i odjeżdżających pociągów – i musiał zacisnąć pięści, aby odpędzić tę myśl. Tutaj również panowała cisza. Ludzie leżeli na peronach, na schodach, przed barami i okienkami kasowymi. Strumienie czarnych płomieni omiatały wszystko, lampy gwałtownie migotały, a welony mgły, jak czyhające na coś psy, kręciły się wokół bezbronych ludzi. Lecz Grim ledwie to zauważał. Jedyne, co dostrzegał, to wysoka, czarna jak smoła postać widoczna na jednym z pociągów – postać z płomieni.

Stała wyprostowana, ze stopami na wpół zatopionymi w powyginanym metalu dachu, z pięściami uniesionymi w górę, i prosto w noc wysyłała płomienie swego ciała. Muskularny tors był ludzki, lecz na szyi osadzona była potężna głowa byka. Z jej czoła wyrastały zakręcone rogi, z nozdrzy buchał dym, a oczy były czarne jak całe to przekłete ciało. Postać, z nisko pochyloną głową, patrzyła w stronę Grima.

Ten nie tracił czasu na przedstawianie się. Z szeroko rozpostartymi skrzydłami ruszył w stronę Minotaura i powalił go jednym piekielnym uderzeniem. Przeciwnik z hukiem zwałił się na dach pociągu, powietrze wypełnił zgrzyt gnącego się metalu. Strumień płomieni ustał, lecz zanim Grim zdołał dotrzeć do leżącego Minotaura, ten był już z powrotem na nogach. Najwyraźniej nie spodziewał się, że ktoś zechce mu przeszkadzać, i teraz wyładował swój gniew rykiem, który trafił Grima w twarz niczym cios pięścią. Gargulec ledwie zdołał utrzymać równowagę. Minotaur wyciągnął przed siebie pięści, wir ognia przebiegł po pociągu, rozsadził bruk peronu i objął płomieniami wyrwane kostki,



które głośno zderzały się ze sobą. Grim wzmocnił swoją osłonę, ale czar go dosięgnął i wstrząsnął nim do głębi. Okrzykiem zgasił płomień wiru, roztał brukową kostkę na pył potężną falą gorąca i wzniósł się w powietrze.

Minotaur stał nieruchomo na peronie i spoglądał ku niemu w górę. Co on sobie wyobraża, czyżby myślał, że ma do czynienia z jakimś żalonym rekrutem, którego można wyłączyć z gry jakimś drobnym hokus-pokus? Grim zamienił pięści w biały ogień – szkło dworcowych lamp pękało, sypiąc iskrami. Poczł wypełniający mu żyły żar Wyższej Magii. Z trzaskiem smagnał ognistym biczem w stronę obcego, ten diabelnie szybko uskoczył w bok, lecz Grim spodziewał się takiej reakcji. Natychmiast cisnął mu pod nogi Burzowe Zakłęcie, zmuszając go do cofnięcia się. Zaraz potem jego bicz owinał się wokół piersi Minotaura. Z głośnym okrzykiem Grim poderwał przeciwnika w powietrze, wysłał potrójne zakłęcie unieruchamiające i zaczął miotać nim o ściany i filary dworca, że aż od impetu uderzeń drżały szyby w oknach. Nie da robić z siebie głupca byle Minotaurowi, istocie z Mroku, która nie miała nawet na tyle przyzwoitości, by inaugurację swojego pobytu w Mieście Światła świętować inaczej niż dręczeniem słabych ludzi! Już on mu...

Więcej Grim nie zdążył pomyśleć, ponieważ Minotaur złapał właśnie jeden z filarów i przytrzymał się z taką mocą, że Grim nie mógł go oderwać. Uchwycił więc bicz mocniej, lecz w tym momencie Minotaur sięgnął po swoją broń. Jego skóra zasyczała, kiedy dosięgnęło go zakłęcie Grima, równocześnie jednak z jego warg spłynęły mroczne słowa. Grim ujrzał, jak jego ogień zabarwia się na czarno, potem poczuł chłód płomieni, które pędziły po biczu w jego stronę niby po loncie, i w ostatniej chwili odrzucił bicz, zanim kontrzakłęcie zdążyło spalić mu rękę do żywego mięsa.

Bez tchu patrzył na obcego, który wciąż jeszcze wisiał na kolumnie niczym diabeł w świątyni. Z grzmiącym pomrukiem Grim rozpałił w pięści ogniste zakłęcie. Zaraz ściągnie tego cwaniaczka na ziemię. Uniósł rękę, by wypuścić zakłęcie, kiedy w oczach Minotaura coś zamigotało, coś jakby... rozbawienie? W następnej chwili uniósł ledwie zauważalnie głowę i zanim Grim się zorientował, wokół pojawiła się

mgła i spadła na niego jak potężna fala. Gwałtowne ciosy trafiały go w kark, ostre zęby wpijały się w ciało, a krtań ścisnęły mu pęta, które z okrutnym chłodem wysysały magię z jego ciała. Bronił się ze wszystkich sił, lecz gdy tylko zerwał jeden powróż z mgły, w jego miejsce pojawiał się następny, a im gwałtowniej Grim się bronił, z tym większą mocą oplątywały go te diabelskie sztuczki. Nagle poczuł uderzenie w plecy, przenikliwy ból przeszył jego ramiona. Ciężko dysząc, upadł na kolana. Niech to wszyscy diabli, co to za mgła, która wysysa z niego wszystkie siły jak z jakiegoś żalostnego zwierzęcia?

Ze stęknieniem upadł na bok. Czuł, jak omdlenie pozbawia go świadomości, jak jego ciało staje się ciężkie, a ból dociera do niego w sposób przytłumiony. Jakby z oddali usłyszał kroki i kiedy właśnie uświadomił sobie, że skrępowany lodowatymi pętami za chwilę nie będzie mógł złapać oddechu, ujrzał przed sobą dłoń, która przesunęła się w powietrzu i uwolniła jego krtań z uścisku mgły.

Z trudem uniósł głowę. Był pewien, że ujrzy Minotaura, lecz nie było nikogo. Minotaur stał gdzieś daleko z tyłu, na peronie, i ponuro spoglądał w jego stronę. Nagle Grim dostrzegł, że jego oczy wcale nie są czarne. Zapłonęły jak dwa rozżarzone kawałki węgla i miały w sobie wiedzę, która niby lodowata świadomość wniknęła w głowę Grima: tamten wiedział, że tak się stanie, wiedział też, że Grim stał przedtem na dachu Opéra Garnier i wpatrywał się w księżyc – i to na długo przedtem, zanim Grim pojął, co to w ogóle jest księżyc. Grim nie potrafił zrozumieć tej myśli, lecz Minotaur patrzył na niego ze swojej zwierzęcej twarzy, a w jego oczach było zrozumienie, które sprawiało, że krew odpływała Grimowi z głowy. Nie widział już nic poza żarzącym się ogniem tej istoty, której spojrzenie sięgało gdzieś głęboko do jego wnętrza – i nagle w jego piersi wybuchł piekący ból, zupełnie jakby ktoś przeszył go mieczem. W tym samym momencie w spojrzeniu obcego coś zamigotało, może był to uśmiech? A potem Grim stracił przytomność.

## Rozdział 2



Mia siedziała pochylona do przodu w kącie pracowni, z blokiem rysunkowym na kolanach i wodziła ołówkiem po papierze. W ciągu dnia światło słoneczne wpadało do środka przez witrażowe okno, załamywało się na kryształkach, które Mia przed nim zawiesiła, i wyczarowywało barwne refleksy na podłodze. Teraz jednak tylko blask świec rozświetlał zastawione niezliczonymi obrazami, szkicami, sztalugami i słoikami farb poddasze w jednej z rozpadających się starych kamienic na Montmartrze. Mia zaciągnęła atlasowe zasłony. Materiał dostała od Maxime'a, staruszka, który mieszkał na parterze tego domu, a wcześniej pracował w paryskich teatrach. We wszystkich, jak zapewniał. Staruszek przysięgał na spadek po dziadku (po którym odziedziczył pogodne usposobienie i niewiele poza tym), że materiał pochodzi z pierwszej kurtyny legendarnego „Lido”. Mia uwielbiała przesycony dymem, lekko stęchły zapach zasłon, a kiedy poruszały się na wietrze, wyobrażała sobie miejsce, z którego tak naprawdę pochodziły, a więc być może jakiś teatrzyk z lat dwudziestych, o których zawsze opowiadał jej Lucas, chociaż tak jak i ona nie mógł wiedzieć, jak wtedy naprawdę było.

Na myśl o ojcu ogarnęło ją przyjemne uczucie ciepła. Lucas miał bardzo podobną pracownię w czasach, gdy zaczął zarabiać na życie rysowaniem, i kiedy teraz zamykała oczy, chwilami czuła się znowu tak jak wówczas, gdy była mała i zasypiała na starej czerwonej sofie z drapiącą narzutą, podczas gdy ojciec do białego rana stał przy sztalugach. Wiatr znajdował każdą szparę w murze, ale mimo to nigdy nie marzła. Nigdy. *Taką właściwość ma wiatr na Montmartrze*, mawiał zawsze Lucas, wystawiając zza sztalug głowę z rozwichrzoną czupryną. *Dziękuję nam za to, że poznaliśmy się na artystycznej duszy tego miejsca i nie przenieśliśmy się razem ze snobami i pseudointelektualistami na*

*Montparnasse*. Mia nic nie rozumiała z tego, co mówił ojciec, poza stwierdzeniem, że wiatr na Montmartrze jest czarodziejem i czymś szczególnym. Teraz także przysłuchiwała się, jak wprawia w drżenie cienkie szyby, sprawiając, że zaczynały cicho śpiewać. Uwielbiała ich głosy, bo przypominały jej żalosne lamenty duchów na cmentarzach tego miasta, które od samego początku uwielbiała. Zaraz też pomyślała o Grimie, który najpewniej właśnie w tej chwili znowu, zmagając się z chłodem, przemierzał noc. Może opuścił się na dach którejś z kapliczek na cmentarzu Père-Lachaise, tam, gdzie ostatnie noce spędziła Moira, jego dawna mentorka, z którą wieki temu przybył do Paryża, albo może z innego budynku spoglądał w księżyc, jakby się zastanawiał, jak tu najlepiej pozbawić tego ziemskiego satelitę jego chłodnego uśmiechu. Ostatnio był niespokojny, jakby gnało go coś, czego sam nie potrafił dokładnie określić, a od kiedy Carven wyjechał, jego stan raczej się nie polepszył. Na twarzy Mii pojawił się uśmiech, kiedy sobie przypomniła, jak pierwszej nocy Grim stał przy łóżku Carvena i patrzył na chłopca jak na jakiś cud. Jego spojrzenie stało się miękkie i czułe; samo wspomnienie tego wywołało u Mii dreszcz wzruszenia.

Złożyła zamaszysty podpis pod rysunkiem, wyrwała go z bloku i przypięła do pustego płótna. W ostatnim czasie zebrало się trochę rysunków. Nie potrafiła już zliczyć, ile razy w minionych tygodniach wykradała się w środku nocy z łóżka, aby dokończyć pracę. Myślała, że być może stara się w ten sposób nadrobić zaległości, jakie narosły przez lata. Nie potrafiła już sobie przypomnieć, kiedy dokładnie zaczęła znowu rysować, ale wiedziała, że jej decyzja miała coś wspólnego z walką stoczoną z Królową Wrózek i śmiercią Hortensjusza, Ostatniego Gwiezdnego Rycerza. Nigdy wcześniej nie potrafiła sobie wyobrazić, co zrobi ze swoim życiem, w każdym razie nie potrafiła tego określić dokładnie, ale od tamtych wydarzeń miała wrażenie, jakby otwarła się przed nią ścieżka, a nawet więcej, jakby sama utorowała jej drogę. Być może też umocniła ją w postanowieniu współpraca z Lyskianem, któremu od czasu wystawy w Luwrze pomagała przy różnych projektach, nie miała jednak wątpliwości, że bez księcia wampirów nigdy nie znalazłaby się tu, gdzie była.

Zasłony zakołysały się lekko, kiedy pomyślała o Lyskianie.

Wskutek niemal codziennego przebywania ze sobą – jeśli w ogóle można mówić o czymś takim w przypadku wampira – ich relacja stała się znacznie bardziej oparta na zaufaniu. Niekiedy rzeczywiście czuła się jak materiał pogładowy, jak określił ją przy pierwszym spotkaniu, zarazem jednak każde z jego działań, każde słowo i każde spojrzenie miało w sobie zrozumienie, które budziło w Mii na równi uśmiech i dreszcz. Może był to efekt tych wszystkich stuleci, w czasie których zgłębiał ludzką psychikę, może miłości do sztuki, którą podzielali, albo wstrętu do świata, jaki oboje odczuwali. Pewne było jedno – rozumiał ją bez zastrzeżeń, nawet wówczas, kiedy ona sama nie wiedziała, co czuje, i kiedy nawet Grim nie potrafił nadążyć za jej myślami. Nigdy nie przyjął jej chłodem i wyższością, które normalnie go charakteryzowały, a ona przypomniała sobie, jak pierwszy raz coś dla niego narysowała. Zrobiła to dla kaprysu i doskonale pamiętała jego minę, kiedy mu o tym powiedziała. *Narysowałaś coś dla mnie?* Uśmiechnął się z udawaną arogancją. *Dla mnie, dla krytyka sztuki, który z lubością jednym jedynym spojrzeniem niszczy nadzieje młodych talentów? I ty mnie, moja droga, chcesz pokazać swój rysunek?* Mia zastanawiała się, czy powinna jak zwykle odpowiedzieć z podobną ironią, ale pod wpływem nagłego impulsu zrezygnowała z tej myśli. *Ufam ci.* Lyskian spojrzał na nią niemal z przestachem. Potem uśmiechnął się, tym razem zagadkowo i ze smutkiem. *Dziewczyno, nie powinnaś tego robić.*

Mia była świadoma niebezpieczeństwa, jakie niesło ze sobą zadawanie się z Lyskianem. Lyskian był jej przyjacielem i od dawna towarzyszem Grima, zarazem jednak był Księciem Wampirów i zdawała sobie sprawę, że od pierwszego spotkania pragnie jej krwi, chociaż bardzo stara się nad tym zapanować. Przeżył całe wieki, zabijając ludzi, i chociaż niewiele wiedziała o jego przeszłości, to jednak otchłanie, jakie się w nim kryły, były aż nadto oczywiste. Za dobrze pamiętała piwnice wampirów, do których Grim zabrał ją po walce z Królową Śniegu, za dobrze pamiętała zapach krwi, którym prastare mury przesiąknięte były niczym jakąś kłutwą, zbyt często też słyszała o biesiadach w willach wampirycznego towarzystwa Paryża, które z powodu swej dekadencji i okrucieństwa cieszyły się w Innoświecie legendarną wręcz sławą. Wiedziała, że wampiry zazwyczaj unikają bliskości człowieka, jeśli nie

zamierzają go zabić, i wystarczająco często oczy Lyskiana nabierały w jej obecności głębokiej czerni – zawsze wówczas, gdy w swej naiwności za bardzo się do niego zbliżyła, nie zastanawiając się, co taka nagła bliskość jej ciała mogła dla niego znaczyć. Niekiedy odnosiła wrażenie, jakby Lyskian umyślnie stwarzał takie sytuacje, aby wysondować własne granice i po raz kolejny się pohamować. Mimo że zdarzało się to coraz rzadziej, zbyt dobrze go znała, by nie dostrzec tego grymasu w jego rysach, przez który miał w sobie coś z drapieżnika i co pozwalało domyślać się żądy, która kryła się pod ludzką maską. Był wampirem, był uwodzicielem i mordercą. Wiedziała o tym od samego początku i nie wolno jej było nigdy o tym zapomnieć.

Swój rysunek jednak mu pokazała. Był to czerwony ptak na czarnym niebie, ptak, który mógł być równie dobrze kwiatem albo kroplą krwi. Nie była to jej najlepsza praca, ale Lyskian długo stał przed sztalugami, w milczeniu, aż w końcu odwrócił się do niej i skinął głową. *To jest coś*, powiedział, nic więcej. Ale w ciągu ostatnich miesięcy Mia obejrzała wspólnie z nim wystarczająco dużo wystaw, galerii i muzeów, by wiedzieć, że trudno o większą pochwałę z jego ust.

Niedługo potem załatwił jej tę pracownię, daremnie próbując ją najpierw namówić na jasne, luksusowe studio. Wciąż nie mogła powstrzymać śmiechu, przypominając sobie wyraz jego twarzy, kiedy razem z nią po raz pierwszy przekroczył próg tego poddasza. Nazwał je *izdebką biednego poety*. Mimo wszystko pokazał jej to pomieszczenie, pewnie doskonale wiedząc, że to jest dokładnie to, czego ona szuka, a na koniec zrobił wszystko, by wesprzeć ją w realizacji planów. Z jego pomocą znalazła właściciela galerii, który zorganizował jej pierwszy wernisaż i z powodzeniem wprowadził w artystyczne środowisko Paryża. Przez dłuższy czas w wyższych sferach, w których z upodobaniem obracał się Lyskian, polecano ją sobie, a od chwili, gdy namalowała swój autoportret zatytułowany *Noir*, uznano ją za wielce obiecującą młodą artystkę.

Powoli przeszła obok swoich obrazów, przyglądając się im tak, jak kiedyś studiowała prace Lucasa. I dokładnie tak jak wtedy czuła, że coś z niej samej zostało wchłonięte przez obrazy, tak jak i ona czerpała z nich coś dla siebie. Był to handel wymienny, na którym zyskiwały obie strony

– nie do końca, oczywiście, ale jednak na swój sposób w pełni. Mia pamiętała każdy z obrazów ojca. Wiele z nich znajdowało się jeszcze w jego dawnym atelier w Ghrogonii. Były tak intensywne, że można by sądzić, iż są żywe, i w jakiś dziwny sposób człowiek się nimi sycił. Emanowały spokojem i rodzajem pewności, której Lucas nigdy nie miał i której istnienia nikt by się nawet nie domyślał, nim nie zobaczył jego obrazów. A przecież każdy jej szukał, uświadamiając to sobie w obliczu jego sztuki, i wcale się tego nie wstydził. Wprost przeciwnie – był z tego dumny.

Mia przystanąła i przesunęła dłonią po krawędzi płótna. Może oglądając jej rysunki i obrazy ludzie czuli to samo, może dlatego tak bardzo podobały im się jej prace? Lyskian często jej to mówił, ale jednak... Westchnęła. Ileż nocy zarwała w ostatnim czasie, by stać się jeszcze lepsza, chociaż wiedziała, że to niewiele zmieni. Czuła bowiem spojrzenia ludzi i dobrze wiedziała, co o niej myślą. Była dziwaczką w czarnym ubraniu, podziwianą wprawdzie, ale oglądaną trochę tak jak zwierzę w zoo. Mimo wszystko trudno jej było gardzić oczekiwaniami świata, który pragnął jej sztuki, nawet jej nie rozumiejąc, i może właśnie dlatego zdecydowała, że poza właściwą pracą będzie dawała lekcje rysunku. Aż się uśmiechnęła, przypominając sobie zachwyty na twarzy Lyskiana, kiedy mu o tym powiedziała – i niesmak, kiedy oświadczyła, że kursy w żadnym razie nie będą przeznaczone dla szlachetnie urodzonych, tylko bezpłatne dla dzieci i młodzieży z biednych rodzin. Nigdy w życiu nie spodziewałaby się, że już od pierwszej lekcji będzie miała tylu chętnych. Wiele osób pytało ją o Lucasa, a kiedy z nimi rozmawiała, zdawało jej się czasem, że wystarczy, by się odwróciła, a zobaczy ojca w rogu pracowni. Przypomniała sobie uczucie szczęścia, jakie ją ogarnęło, kiedy po raz pierwszy siedziała w gronie swoich uczniów i nagle zaległa cisza, ponieważ każdy zajmował się swoim rysunkiem. A kiedy zobaczyła blask w oczach dzieci, przypomniała sobie mieszkańców Dublina, przypomniała sobie barda Tomkina i to, że mieszkają tam ludzie, którzy wiedzą o istnieniu Innoświata. W zamyśleniu przesunęła wzrokiem po obrazach, zastanawiając się, kim byłaby w świecie, w którym wszyscy mieliby dar widzenia, w którym Czar Zapomnienia by nie istniał. Na pewno nie byłaby wtedy Hartydką,

widzącą wśród ślepców. Byłaby człowiekiem – takim jak inni. I nie byłaby wtedy tak samotna.

Zatrzymała się przy jednym ze swoich obrazów, przed *Noir*. Była na nim jej twarz, nic więcej, ale w jej oczach kryło się coś, co przykuwało uwagę każdego, chociaż nikt nie potrafił powiedzieć dokładnie, co to takiego. Rozmyślało się, gdy ktoś próbował pochylić się, chcąc dojrzeć szczegóły, kiedy jednak mniej starał się śledzić wzrokiem ruchy pędzla, by zgłębić tajemnicę, tym wyraźniej zaczynał czuć to, co musiała czuć osoba na obrazie – i bardzo często zdarzało się wtedy, że Mia widziała na twarzy takiej osoby ten sam wyraz: niesłychane i głębokie zdumienie oraz tęsknotę, które mogły być początkiem nowego świata. Wzięła głęboki oddech. Może był to tylko malutki krok, ale jednak.

Wzdrygnęła się, kiedy coś zadudniło w rurach wodociągowych. Nieraz zdarzało się, że kąpielowe zwyczaje starego Maxime'a niszczyły jej obraz, kiedy podskakując z przerażenia, robiła pędzlem krechę przez całe płótno. W zasadzie powinna już jednak przywyknąć: każdego dnia, poza niedzielą, Maxime wstawał tuż przed świtem, brał prysznic, a potem jechał na swojej starej, zardzewiałej damce do kawiarni maman Pique, żeby napić się gorzkiej kawy, po której potem cały dzień bolał go brzuch. Mia zdmuchnęła świecę i wyszła z pracowni. Jej kroki dudniły na drewnianych schodach, ale nawet jeśli szła całkiem wolno, niewiele to zmieniało, a teraz się spieszyła.

W metrze oparła się o jeden z prętów do trzymania, zignorowała uniesione brwi jakiejś starszej pani, która wymownie popatrzyła na jej ubrudzone farbami olejnymi dłonie, nie zwracała też uwagi na prześlizgujące się po niej spojrzenia innych pasażerów, którzy jakby wiedzieli, kim ona jest. Może zresztą tak nawet było, ponieważ Lyskian dbał o to, by jej zdjęcie regularnie pojawiała się w najważniejszych paryskich gazetach. Niezależnie od tego Mia czuła się dziwnie, kiedy znajdowała się wśród tych wszystkich mężczyzn i kobiet, którzy w garniturach i garsonkach spieszyli się do pracy, podczas gdy ona nie musiała przestrzegać żadnych terminów ani godzin. *Dziecię Nocy*, powiedział o niej jakiś czas temu Grim z niezwykłą miękkością w głosie, ponieważ stała się już częścią Innoświata, ponieważ tak jak Lucas wołała



pracować nocą, ponieważ od zawsze ubierała się na czarno i ponieważ – ten powód Mia dodała już sama – ponieważ kochała anioła, anioła z cienia i ciemności. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. Czasami trudno o coś lepszego, niż być Dziecięciem Nocy.

Obok niej przemykały kolejne stacje i Mia czuła swojskie, dudniące szarpanie wagonów. Jej mama i Josi niedługo wstaną i stało się tradycją, że Mia zagląda do nich w godzinach porannych, siadają razem przy kuchennym stole, jak dawniej, i czekają na telefon Jakoba. Ból przeszył jej pierś na myśl o bracie. Wyruszył zaledwie kilka dni temu, a ona już tęskniła, jakby minęły długie lata. Pomyślała o jego wąskiej, bladej twarzy, ciemności malującej się w jego oczach i o jego śmiechu, który rozbrzmiewał coraz częściej, im bardziej odchodziły w przeszłość jego przeżycia w Świecie Wrózek. Potrzebował czasu, by sobie z tym poradzić, ale nadejdzie dzień, kiedy znów będzie taki jak dawniej, co do tego nie miała wątpliwości, a wtedy znowu pójdą razem drogą Hartydów. Tak właśnie będzie.

Ciepły oddech tuneli metra uderzył ją w twarz, kiedy wyszła z wagonu i szybkim krokiem wbiegała po schodach. Na górze natychmiast otulił ją chłód miasta, Paryż o poranku, pogrążony w półmroku, miejsce pomiędzy światami, bez początku i bez końca, prawdziwe Nigdzie, w którym od niepamiętnych czasów rozwozi się bagietki, a wołania dostawców, bardziej szmery niż słowa, rozbrzmiewają w uliczkach miękkimi dźwiękami. Mia zanurzyła się w tym tajemniczym królestwie, obserwując rzesze dostawców, z wolna budzących miasto do życia. Była zmęczona, ale w przyjemny sposób, i po całym jej ciele rozchodziło się rozkoszne uczucie wyczekiwania na ten moment, kiedy kilka kroków od drzwi mieszkania poczuje zapach kawy. Może nawet Josi dzisiaj...

Z zamyślenia wyrwało ją głośnie wycie klaksonów. Podniosła wzrok i zobaczyła, że niedaleko utworzył się korek. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, że w porannym ruchu ulicznym Paryża dochodzi do zatorów, ale tam, na końcu ulicy zebrał się tłum, policja zamknęła skrzyżowanie, a nad sznurem czekających samochodów szybowały słowa wypowiedane zniekształconym przez megafon głosem:

„... wstrzymany. Uprasza się o wybranie dalszych objazdów. Powtarzam: z powodu gęstej mgły ruch ulicami Rue de Tourville, Rue

Julien Lacroix, Rue Jouye-Rouve oraz wszystkich ulic poprzecznych aż do wysokości Rue des Couronnes zostaje wstrzymany. Prosimy o zawrócenie...”.

Wściekły koncert klaksonów zagłuszył komunikat i towarzyszył Mii aż do blokady. Na skrzyżowaniu widać było mnóstwo samochodów z wgnieceniami i porysowaną karoserią. Na miejscu były już trzy karetki, lekarze oraz sanitariusze chodzili między samochodami i opatrywali drobne rany kierowców i pasażerów aut, dygocących w porannym chłodzie. Policja zamknęła nie tylko skrzyżowanie, ale całą ulicę. Błyskające niebieskie światła rozrywały półmrok poranka, a dalej, tam gdzie były ulice Rue Lesage i Rue Ramponeau oraz piekarnia, w której Josi zaopatrywała się rano w bułeczki, rozciągała się nieprzenikniona mgła.

– Podobna pokazała się w różnych miejscach miasta – powiedziała jakaś kobieta stojąca obok Mii. – Pewnie na zmianę pogody.

– Albo może wiatr przygnał ją z pół – wmieszał się jakiś starszy pan. – Nieraz już tak bywało.

– Zmiany klimatyczne dotarły i tutaj – dorzuciła młoda dziewczyna. – Naiwnością było sądzić, że nas to nie dotyczy. Dawniej takie mgły się nie zdarzały, od razu widać, że...

Mia przestała tego słuchać. Wiedziała, że ludzie będą się starali znaleźć racjonalne wyjaśnienie dla niezwyklej mgły, która sięgała aż po dachy domów i wyglądała jak nieprzenikniona ściana. W ich głosach słyszała jednak skrywany lęk, wyczuwała delikatne ślady paniki. Ją samą także przeszedł dreszcz pod niewidzialną powłoką, która oddzielała ją od świata. Ludzie nie znajdą wyjaśnienia. Ta mgła była niczym cienka błonka, za którą krył się inny świat, upiorny, a zarazem emanujący mrocznym urokiem starych baśni, które wcale nie były przeznaczone dla dzieci, skrywały bowiem prawdę – prawdę, która potrafiła ugodzić jak miecz i zabić. Mia starała się zachować spokój, ale nagle poczuła skurcz w żołądku – pomyślała o matce i o Josi. Ich mieszkanie znajdowało się we mgle.

Przechyliła się przez barierkę.

– Co się stało? – zawołała do jednego z policjantów, który stał w pobliżu. Był jeszcze młody, mógł mieć trochę ponad dwadzieścia lat, i z

wyraźnym trudem przychodziło mu ukryć zdenerwowanie pod maską profesjonalizmu.

– Doszło do zderzenia kilku samochodów – odrzekł. – Jest kilku lekko rannych i niewielkie szkody materialne...

– Ale co się dzieje w tej mgłę, to nie macie pojęcia!

Słowa te wypowiedział mężczyzna o gęstych bokobrodach i kręconych brązowych włosach, który stał na skrzyżowaniu przy swojej furgonetce razem z mniej więcej czternastoletnim chłopcem. Trzymając telefon przy uchu, podszedł wielkimi krokami do policjanta. Drzwi od strony kierowcy w jego samochodzie były wgniecione, na policzku mężczyzny widoczna była krwawa szrama, ale on zdawał się tego nie zauważać.

– To tam znajduje się przyczyna tego karambolu, przecież wiadomo, widzieliśmy, ja i syn, że wysłaliście tam karetki! Ale żadna z nich nie wróciła, dobrze mówię? Podobnie jak nie wróciło dwóch kierowców, którzy chcieli zobaczyć, co tam się dzieje!

Na widok twarzy młodego policjanta Mia aż się wzdrygnęła. Przywdziana maska opadła i widać było, że chłopak się boi, i to nie mężczyzny, który groźnie stanął przed nim, tylko tego, czego nie potrafił pojąć – to znaczy mgły, która pochłonęła ulice niczym jakaś żarłoczna paszcza.

– Bardzo proszę o zachowanie spokoju – powiedział, ale zabrzmiało to jak źle wyuczony tekst. – Nie wiemy jeszcze...

– Niech pan mnie teraz posłucha! – Mężczyzna chciał chwycić policjanta za kołnierz, ale ten cofnął się o krok i zacisnął pięści. – Tam, w środku tej mgły są moja żona i córka, nie mogę się do nich dodzwonić! Nie wiem, co się z nimi dzieje, więc zaraz...

W tym momencie w tłumie rozległ się krzyk jakiejś kobiety, która usiłowała przejść przez barierkę. Młody policjant natychmiast pospieszył w tamto miejsce, lecz Mia nie zwracała na to uwagi. Przyglądała się mężczyźnie z bokobrodami, widziała emocje malujące się na jego twarzy, a potem determinację, z jaką się odwrócił i poszedł do samochodu. Gorączkowo zaczął coś tłumaczyć synowi, jednym energicznym ruchem dłoni zgasił jego wyraźny sprzeciw, a potem wziął ze skrzyni furgonetki linę. Obwiązał się nią w pasie, a wolny koniec

podał synowi. Błady jak kreda chłopak skinął głową, a wtedy mężczyzna odwrócił się i ruszył w stronę mgły. Policjant był zajęty wyrywającą się kobietą, więc nawet nie zauważył, że Mia przeszła przez barierkę i pobięła za mężczyzną.

– Niech pan poczeka! – zawołała. – Nie ma pan pojęcia, co to za mgła, będzie pan...

On jednak nie zatrzymał się ani na chwilę, ponieważ w jego stronę bieęło już dwóch policjantów. Rzucił jeszcze Mii spojrzenie, w którym widać było błysk gniewu, ale też troskę o rodzinę, a potem po prostu zniknął w ścianie mgły. Mia podbieęła do jego syna, który tak mocno ścisnął linę, że aż pobiełały mu kostki dłoni. Policjanci też się zatrzymali. Przez moment Mia miała wrażenie, że ustały wszelkie rozmowy, wszelkie krzyki, że zamarły nawet błyskające policyjne światła, rzucające ponure refleksy na ściany domów. W napięciu patrzyła w mgłę, prosto w to miejsce, w którym zniknął mężczyzna. Nagle lina zawibrowała i opadła luźno na ulicę.

Mia znieruchomiała jak rażona piorunem, ale trwało to tylko moment.

– Szybko! – zawołała, przerywając nierzeczywistą ciszę, jaka zapadła nad całą tą sceną. – Pomóćcie mi!

Chwyciła linę, którą chłopiec wciąż trzymał w dłoniach. Razem z policjantami zaczęli ciągnąć i Mia odczuła wręcz ulgę, kiedy na drugim końcu pojawił się opór. Oczyma wyobraźni widziała już zakrwawiony koniec liny z wczepioną w nią dłonią oderwaną od ręki i zaraz by pewnie wyśmiała samą siebie, gdyby nie to, że w następnej chwili wyciągnęli z mgły mężczyznę. Bezwładnie leżał na ziemi i przez chwilę myślała, że nie żyje. Podskoczył do niego sanitariusz, ukląkł przy nim i chwycił jego dłoń.

– Żyje! – zawołał i wszyscy poczuli ulgę. – Ma silnie spowolniony puls. Musimy...

Zanim jednak zdążył dokończyć, skóra mężczyzny pokryła się siateczką czarnych żyłek. Sanitariusz w odruchu przerażenia szarpnął się w tył, a jeden z policjantów przytrzymał chłopaka, który chciał podbiec do ojca. Tylko Mia podeszła blięej. Słyszała chrzęst żyłek i wyczuwała lodowate tchnienie jadu, który rozchodził się po ciele mężczyzny. Jego

ciało wyprężyło się, mężczyzna złapał się za gardło, pozostawiając na skórze krwawe szramy. Próbował wstać, ale sanitariusz przytrzymał go w obawie, że mógłby upaść. Powieki mężczyzny drgały, Mia widziała, że z ucha płynie mu krew. Rzuciła się w stronę sanitariusza.

– Niech go pan zostawi! – krzyknęła, nie panując nad sobą. – On umiera!

Dopiero kiedy to powiedziała, uświadomiła sobie, że tak jest naprawdę. Sanitariusz nie zrozumiał jednak jej słów i zanim zdążył zrobić to, co mu kazała, leżący mężczyzna zamachnął się i uderzył go pięścią w twarz, potem jak w amoku chwiejnie wstał i rzucił się z powrotem w ścianę mgły, która od razu go pochłonęła.

Mia ledwie słyszała szlochanie jego syna, który opadł na kolana. Nie widziała też przerażonych twarzy policjantów ani sanitariusza, który trzymał się za krwawiący nos, wpatrując się w mgłę jak zaczarowany. Wszystko, co do niej docierało, to szept, który wydobywał się z białych oparów, złowróżbne mamrotanie, które ścisnęło jej krtań. Chciała uciec, chciała się odwrócić i po prostu odejść. Ale nie mogła. Wydawało jej się, że słyszy głosy matki i Josi, które ją wołają, i zanim policjant zdążył ją powstrzymać, wbiegła w mgłę.

Cisza odcięła jej wszystkie zmysły, zupełnie jakby opadła na dno oceanu. Widzialność nie przekraczała paru metrów, ale dostrzegła stojący w poprzek jezdni autobus, najprawdopodobniej to na niego powpadały inne samochody. Kilka kroków od niej na ziemi leżał mężczyzna z bokobrodami, jego pierś wznosiła się i opadała, jakby był pogrążony w głębokim śnie. Rana na skroni pozwalała przypuszczać, że stracił przytomność i uderzył głową o asfalt. Płatanina żyłek na jego skórze zniknęła, za to na jego czole płonął czarny płomień, który teraz, gdy Mia podeszła bliżej, wydzielił z siebie drugi płomień i posłał go w jej stronę. Mia chciała się cofnąć, ale odniosła wrażenie, jakby mgła ją przytrzymała, jakby wokół jej kończyn zacisnęły się białe pętle, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Widziała, jak płomień osiada na jej czole, przez moment czuła pieczenie i słyszała trzask iskier, zaraz potem płomień zniknął. Mgła natychmiast ją uwolniła.

Mia ostrożnie dotknęła czoła. Miejsce, w którym trafił ją płomień, było lodowato zimne i ten chłód przeniknął do jej palców, złowieszczo

prześlizgując się po skórze. Nagle przez ciszę przeniknęły jakieś odgłosy, podobne do tych, jakie słyszy się we śnie, a kiedy serce Mii zabiło szybciej, wydobył się z niej jakiś dźwięk. Przeniknął przez jej stopy do podłoża, wprawił w drzenie grunt i zupełnie jakby obudziła tym mgłę, przemknął przez nią szept – ten sam szept, którego zapowiedź słyszała już wcześniej, zanim wkroczyła w mgłę. Mia ruszyła przed siebie, bicie własnego serca słyszała ze wszystkich stron. Atakowało ją dźwiękiem tak potężnym, jakby chciało ją rozerwać. Zaciśnęła pięści. Nie może pozwolić, żeby coś odwracało jej uwagę. W tej mgle były jej matka i Josi, musi im pomóc, jakoś musi. Wzięła głęboki wdech, prac cały czas do przodu, i chociaż nie opuszczało jej napięcie, bicie serca przycichło. Mimo wszystko wzdrygnęła się, widząc w unieruchomionych samochodach pogrążonych we śnie ludzi, ale przeraziła się nie na żarty, kiedy w jednym zobaczyła małą dziewczynkę siedzącą na tylnym siedzeniu i kreślącą coś na zaporowanej szybie. Szybko podbiegła do tego samochodu. Dziewczynka spojrzała na nią. Miała rozcięte czoło i wyglądała na przestraszoną. Jej matka siedziała za kierownicą i spała, drzwi samochodu były wgniecione i Mia nie mogła ich otworzyć.

– Nie bój się – zawołała do dziewczynki, która patrzyła na nią wielkimi oczami i bezwiednie, jakby w szoku, dalej wodziła palcem po szybie. Widocznie jej nie usłyszała. Mia pochyliła się i powiedziała:

– Zaraz sprowadzę pomoc, wszystko będzie...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, ponieważ w tym momencie jej wzrok padł na to, co dziewczynka napisała na szybie.

*Mia.*

Cała szyba pokryta była jej imieniem pisanym jak w lustrzanym odbiciu. Dziewczynka patrzyła teraz na nią z podstępą złośliwością, a jej twarz zmieniła się w diabelską maskę, w tym momencie miała uderzyła pięścią w szybę, która pękła na drobne kawałeczki. Mia krzyknęła przerażona... i okazało się, że patrzy na nietkniętą szybę samochodu, za którą śpi mała dziewczynka.

Szepty chwytaly ją za kark niczym trupia ręka. Z wielkim wysiłkiem starała się oddychać spokojnie i nagle zauważyła

prześlizgujące się przez mgłę cienie. Widziała je kątem oka, lecz gdy tylko odwracała się w ich stronę, miała przed sobą jedynie białe welony mgły.

Wtedy rzuciła się biegiem przed siebie. Robiła wszystko, żeby nie podnosić wzroku, ignorowała ludzi leżących bez przytomności na chodnikach, ludzi o twarzach jej matki oraz Josi, odcięła się od śmiechu, jaki dobiegał ją z mgły, ale jej strach wciąż narastał i nic na to nie mogła poradzić. Im szybciej biegła, tym większa ogarniała ją panika. Mgła otulała ją jak rozwiany całun, cienie stawały się coraz liczniejsze, skakały obok niej, dysząc i tocząc ślinę jak polujące wilki, zmieniały się w ludzi o nienaturalnie powykręcanych kończynach, w przerażające sylwetki, których ręce wyciągały się w jej stronę, w przerażająco powykrzywiane maski, które wydłużały się i rozrywały. Jeszcze gorszy był chłód, który piętrzył się za nią. Coś ją goniło i cokolwiek to było, działało bez pośpiechu. Skradało się i chociaż Mia biegła, cały czas było tuż tuż. W głębi ducha wiedziała, kto ją goni, lecz nie umiała tego nazwać, a kiedy jego imię w końcu gwałtownie przebiło się do jej myśli, z jezdni wysunęła się ręka, złapała ją za kostkę i Mia upadła.

Twardo uderzyła o ziemię. Nie słyszała już bicia własnego serca, nie słyszała już nic poza szuraniem w odległości kilku zaledwie kroków. Panika chwyciła ją za gardło, jakiś głos w środku wołał, żeby natychmiast wstała. *Nie oglądaj się za siebie, tylko biegnij najszybciej, jak umiesz! Mia, uciekaj!* Ona jednak wciąż leżała, a welony mgły niemal czule muskały jej ciało. Nagle była to już inna mgła, przypomniała ją sobie, i gdzieś z oddali usłyszała głos Jakoba. *Jest tutaj ktoś, kto jeszcze raz chce cię zobaczyć. Chciałaby się z tobą pożegnać.* Mia zakaszła. Podparła się na chwilę rękami, chciała zrobić to, co nakazywał jej głos, nie odwracać się, zerwać się i uciec. Zamiast tego jednak wpatrywała się w mgłę, czując obecność kogoś, kto się do niej zbliża. I nagle spadła na nią fala niewyobrażalnej tęsknoty, która porwała ze sobą wszystko inne, a ona nie mogła się przed nią obronić.

Mia leżała na ziemi i patrzyła, jak z mgły przed nią wyłaniają się zarysy postaci. Ciemnej, skulonej postaci o podobnych do szponów rękach i sfilcowanych włosach bardziej przypominających sierść. Istota z wolna uniosła głowę i przekrzywiła ją lekko w bok, zupełnie jakby

widziała dobrze tylko na prawe oko. Mia nie mogła rozpoznać twarzy, ale nagła pewność trafiła ją jak cios.

– Lucas – wyszeptała ledwie słyszalnie. Czekala, żeby ojciec uniósł rękę, żeby już mogła płakać, żeby groza i przerażenie, jakie ją wypełniały, mogły znaleźć ujście w ciepłym, swobodnym uśmiechu. Lecz istota nie poruszała się i coś w sposobie, w jaki patrzyła na Mię, coś w jej sprężonej, skulonej pozycji i w dyszeniu, które zaczęło się teraz wydobywać z jej ust, zdruzgotało wszelkie nadzieje. Mia przycisnęła kostki palców do asfaltu, aż poczuła płynącą strużką krew. To, co miała przed sobą, to nie był Lucas. To tylko przeklęte złudzenie.

W tej samej chwili mgła rozstała się. Mia zerwała się na równe nogi, nie chciała spojrzeć na tę postać, za nic w świecie. Lecz w tym momencie postać uniosła głowę i spojrzała wprost na nią. Mia przestała oddychać. Stała nieruchomo, jak trafione strzałą zwierzę i wpatrywała się w swoje lustrzane odbicie.

Patrzyła na swoje brązowe włosy, zielone oczy i bladą skórę, ale dostrzegała też inność – coś zimnego, śmiertelnego, co odbierało jej dech. Zrobiło jej się niedobrze, kiedy jej lustrzane odbicie wykrzywiło usta w okrutnym uśmiechu. Zmusiła się do nabrania powietrza w płuca, lecz kiedy otworzyła usta, żeby krzyknąć, głos nie chciał wydobyć się z krtani. Zamiast tego istota naprzeciw niej odrzuciła głowę do tyłu, a jej krzyk nie miał w sobie nic prócz pustki. Mia odniosła wrażenie, jakby ten krzyk wydobył się z niej samej, z jakiejś otchłani, o której istnieniu nie miała dotąd pojęcia, i sparaliżowało ją przerażenie.

Odwróciła się i rzuciła się przed siebie, przeskakując przez leżących ludzi. Wiedziała, że za wszelką cenę musi dotrzeć do matki i do Josi, musi... Słyszała, że jej odbicie biegnie za nią, słyszała, jak opada na czworaki niczym zwierzę, i nagle poczuła, jak wbija paznokcie głęboko w jej ramię. Sapnęła z bólu, obejrzała się i zobaczyła siebie samą, upiorną postać o popękanej skórze i szklanym spojrzeniu, potwora, który chciał ją rozerwać na strzępy. Potknęła się, lecz zanim upadła, wyrzuciła w górę pięść. Nie była już dzieckiem, które ucieka przed byle potworem!

Z krzykiem, który pochodził już z jej własnej krtani i od którego rozerwała się otaczająca ją mgła, wyczarowała z pięści rozżarzoną



włócznie i wbiła ją w paszczę prześladowującej istoty. Jej lustrzane odbicie na moment zastygło w bezruchu i Mia poczuła dreszcz, widząc jaskrawe światło wydostające się ze zniekształconej postaci. Patrzyła w swoje własne oczy i z przerażeniem dostrzegła w nich rozpacz.

A potem postać rozpadła się na szepczące cienie. Z szelestem słów pomykały ulicą, lecz Mia złapała jeden z nich za pomocą zaklęcia kryształu, i zamknęła go w połyskliwej kuli. Kula zawisała nieruchomo w powietrzu, a pozostałe cienie rozpierzchły się na wszystkie strony. Mia przyciągnęła kulę do swojej ręki. Wokół małego, przypominającego owada cienistego ciała kłębiły się strzępy mgły. Gdyby udało mu się ukryć, z pomocą Vraterniusa wyrwie go z powrotem ku światłu, i wtedy się dowie, co to za przeklęta mgła.

Wsunęła kulę do kieszeni i rozejrzała się. Była już niedaleko domu matki. Mgła znacznie się przerzedziła, a wraz z nią bladły też zarysy ludzi wokół. Ich skóra stawała się szara, rysy twarzy rozmywały się, jakby ktoś przejechał po nich bibułą. Zaczynali znikać, rozpływali się jak białe welon mgieł wokół niej.

Mia nie zwlekała ani chwili dłużej. Rzuciła się biegiem i dopiero gdy dotarła do klatki schodowej rodzinnego domu, zwolniła. W nozdrza uderzył ją zapach kawy. Matkę i Josi odnalazła w kuchni. Siedziały nieprzytomne przy stole, Josi pochylona do przodu, matka oparta o ścianę. Wyglądały jak pogrążone we śnie, ale na ich czołach pełgały płomyki. Kiedy Mia dotknęła ramienia matki, jej palce przeniknęły przez nie jak przez mgłę, która ją otaczała.

Mia stłumiła przerażenie, które niemal ją sparaliżowało, i wymruczała zaklęcie. Bezgłośnie rozpostarło się ono nad matką, ledwie jednak dotknęło płomienia, pękło jak bańka mydlana i tak działo się z każdym kolejnym zaklęciem. Płomień niszczył je wszystkie. W rozpaczę sięgnęła po dłoń matki i wydawało jej się, że czuje cień dotknięcia. Z ust Cécile wydobył się szept, tak cichy, jak wołanie z drugiej strony dzielącej ich otchłani.

– Mia.

Imię to przemknęło niby delikatne tchnienie wiatru przez blednącą mgłę i na chwilę otuliło Mię łagodnym ciepłem. Zamknęła oczy, po jej policzkach spłynęły łzy.

– Odnajdę was – powiedziała w myślach i była pewna, że Josi i matka ją usłyszały. – Przrzekam.

Poczuła, jak dłoń w jej dłoni zamienia się w mgłę, a kiedy otworzyła oczy, matki i Josi już nie było.

### *Rozdział 3*



Biuro Alchemików było pogrążone w ciemnościach. Tylko kryształ leżący na stole przed Mią i Grimem wysyłał srebrzyste refleksy, oświetlając bladym światłem wypełnione czarodziejskimi przedmiotami półki. Vraternius przeszedł po pokrytej magicznymi kręgami i znakami podłodze, zapalił unoszące się w powietrzu świece i wyszukał odpowiednie woreczki z pyłem o różnych barwach, bulgocące tynktury i najróżniejsze szlachetne metale. Między jego brwiami utworzyła się bruzda, która sprawiła, że przyjazna na ogół twarz nabrała mrocznego wyrazu, mówiącego jasno: Niech tylko ktoś spróbuje mi przeszkodzić, a zamknę go w jednej ze szklanych fiolek, w których normalnie przetrzymuję złe duchy, i wypuszczę dopiero po mocnym wstrząśnięciu.

Grim nie miał najmniejszego zamiaru mu przeszkadzać. Zatopiony w myślach siedział naprzeciwko Mii w jednym z foteli, w których Vraternius i jego koledzy zazwyczaj siadali podczas swoich pluszowych posiedzeń, w rzeczywistości będących alchemicznymi debatami na doniosłe tematy, i patrzył na kryształ, w którym pasma mgły napierały na szkło. W jego skroniach wciąż pulsował ból, podobnie jak gniew, który nadal nie opuszczał go od zeszłej nocy, kiedy to ocknął się na opustoszałym dworcu. Przypominał sobie ciszę, która obudziła go z omdlenia, mgłę, z upiorną złośliwością pełzającą po szynach, i płomienistą postać Minotaura. To on porwał ludzi, Grim nie miał co do tego wątpliwości, a cała NPG stała tylko bezradna jak dziecko, i wszyscy jej członkowie wyszli na durniów.

Z zapadnięciem nocy mgła powróciła i znów zabrała ze sobą ludzi, a Cienioskrzydli w żaden sposób nie mogli się temu przeciwstawić. Wszelkie próby ratowania śmiertelników spełzły na niczym. Za każdym razem działo się tak, jak zrelacjonowała Mia: gdy tylko ludzie

wychodzili z mgły, ich funkcje życiowe zamierały i ginęły, ratunkiem było natychmiastowe zanurzenie się z powrotem we mgle. Z równie powalającą skutecznością, jaką wykazał się Grim, także inni Cienioskrzydli usiłowali dopaść Minotaura, ale jedynie utwierdzili się, że to on panuje nad mgłą i dysponuje nadzwyczaj wielkim magicznym potencjałem. Dreszcz przeszedł Grima, kiedy przypomniał sobie szramy na twarzy tej kobiety, która spojrzała na niego białymi od mgły oczami. Wszyscy ci ludzie przed zniknięciem śnili o nieznanym, tyle tylko udało się stwierdzić Cienioskrzydłym. Niesamowite były to sny, w których czyhał na nich Minotaur, ale ich znaczenia nie udało się dotąd wyjaśnić, toteż Grim był załamany jak rekrut podczas pierwszego roku szkolenia, kiedy parę godzin temu wyszedł ze spotkania z Mourierem. Król nie wypowiedział ani jednego słowa krytyki, ale Grim zauważył oczywiście spojrzenie starego lwa, wysoko uniesione brwi i obwisłe fagle, zupełnie jakby chciał powiedzieć: *I to ma być wszystko? Tak łatwo mój najważniejszy Cienioskrzydły i komendant NPG daje się wodzić za nos jakiemuś śmieszemu osobnikowi z rogami na głowie?*

Grim wpatrywał się w mgłę zamkniętą w kryształ i przez moment wydawało mu się, że wyłoniła się z niej twarz Minotaura. Ten osobnik mógł go zabić, bez wątplenia mógł, a jednak spojrzał tylko na niego wyczekująco i w jego oczach mignęło coś, co mogło być uśmiechem, i co kompletnie zbiło Grima z tropu. Gargulec sapnął ze złością i patrzył, jak obraz się rozwiewa. Niech sobie Minotaur zamierza, co chce, ale dopóki on, Grim, może mu przeszkodzić, nie będzie wykorzystywał do tego ludzi.

Z westchnieniem podniósł głowę i spojrzał na siedzącą naprzeciw Mię, która wpatrywała się w jakiś nieokreślony punkt w oddali i myślami była zupełnie gdzie indziej. Światło kryształu zalewało jej twarz. Kiedy poczuła na sobie jego wzrok, spojrzała na niego, jakby nie poznając go od razu. Uśmiechnął się. Delikatnie położył potężną dłoń na dłoni Mii i ujął jej palce. Wyczuwał jej zatroskanie matką i Josi, sam się o nie martwił, bo przecież polubił jej rodzinę, czego zupełnie się po sobie nie spodziewał. Mia długo rozmawiała o wydarzeniach z Jakobem i Falifarem, dzięki czemu od razu poczuła się lepiej. Wiedziała, że nie jest sama ze swoim strachem, mimo to sprawiała wrażenie tak

bezbronnej i zagubionej, że Grima aż przeszedł dreszcz. A przecież sama zrobiła pierwszy krok, żeby pomóc swojej rodzinie – złapała to przekłete Coś, co ukrywało się we mgle, i być może z pomocą Vraterniusa uda im się teraz znaleźć wreszcie jakiś trop prowadzący do zagadkowego Minotaura. Nie, nie być może, na pewno znajdą, nawet gdyby Grim musiał kazać alchemikowi przekopać się przez wszystkie zbiory tajemnych formułek, zanim wpadnie na jakiś mądry pomysł. Mia odpowiedziała na jego spojrzenie, zupełnie jakby czytała w jego myślach, i na jej wargach pojawił się słaby uśmiech. Przesłał do jej ciała falę ciepła. Zdobyła więcej danych niż cała czołówka NPG.

– Jak milusio – zauważył Vraternius, który nagle stanął tuż obok nich i uniósł lewą brew. – Ale może tak zostawicie sobie te romantyczne igraszki na później? No, chyba że cała sprawa może poczekać, to chętnie zrobię sobie przedtem herbatę i zostawię was samych, żebyście...

Grim cofnął rękę i walnął nią w stół z taką mocą, że kryształ zaczął błyskać nerwowo.

– Wystarczy, że muszę niemal na okrągło znosić twoje histeryczne dyskusje z kolegami – zadudnił ponuro. – Mimo wszystko uważam, że to jednak doskonały pomysł, że wasze... Biuro, znajduje się tuż obok mojego. Ale bardzo proszę, nie pozwalaj sobie za dużo, ponieważ przeniosę pomieszczenie dla alchemików do wilgotnej, ociekającej wodą nory, w której będziecie mogli sobie odprawiać te swoje dziwaczne tańce. – Grim uśmiechnął się lekko. – Czy to rzeczywiście prawda, że tańczycie nago z driadami wokół ognia? Leśne skrzaty opowiadały mi takie historie, że... Jeśli to wszystko prawda, to w kwestii romantyzmu mogę się od ciebie jeszcze dużo nauczyć.

Vraternius prychnął z pogardą.

– Nasze rytuały są ściśle tajne, ale jedno jest pewne: nikt nie jest wtedy nago. Nigdy nie miałeś wielkiego pojęcia o energiach przyrody, których każdy szanujący się alchemik powinien słuchać, jeśli...

Grim właśnie zamierzał mu przerwać, kiedy Mia uniosła brwi i wtrąciła:

– To naprawdę pasjonujące, przysłuchiwać się waszym dyskusjom, ale... czy moglibyśmy już zacząć?

Vraternius zmierzył Grima spojrzeniem pełnym kosmicznej wręcz

wyższości, Grim jednak z ponurą miną wytrzymał to. Gnom tylko westchnął i wzruszył ramionami, potem podwinął rękawy i ostrożnie uniósł kryształ. Po jego palcach przeskoczyły mikroskopijne iskierki, obiegiły kulę i wprawiły zamkniętą w niej mgłę w dziki chaos. Alchemik, mrużąc zaklęcia, przymknął oczy i właśnie zamierzał przejść między świecami, by wkroczyć na jeden z magicznych kręgów, kiedy nagle z głośnym hukem otworzyły się drzwi. Grim instynktownie zacisnął pięści, gotów natychmiast wypuścić z nich zaklęcie obronne, Mia wydał okrzyk, a Vraternius wzdrygnął się tak gwałtownie, że kryształowa kula wypadła mu z rąk i poszybowała w powietrzu. W ostatniej chwili alchemik uniósł pięść i wypowiedział zaklęcie, które sprawiło, że kryształ zastygł z cichym brzęczeniem w powietrzu, dzięki czemu nie roztrzaskał się o ścianę. Wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę drzwi i zatrzymały się na małym, zielonym ogniku, który zatrzymał się tuż za progiem.

Remi przesuwiał wzrokiem po obecnych, a kiedy uznał, że chyba jednak nie zostanie skrócony o głowę, lekko wzruszył ramionami.

– Co, spóźniłem się? – spytał z przerażającą wręcz beztróską.

– Cóż, każdy ma swoje priorytety – rzucił Grim mimochodem. – Co tam u Rozalii?

Remi otworzył szeroko oczy, jakby nagle usiadł na ostach, a na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy. Grim uśmiechnął się leciutko. Od czasu przygody w L'hur Bhraka Remi utrzymywał korespondencyjną znajomość z elfką Rozalią, co obejmowało też długie nocne rozmowy przez HAKI i powodowało permanentne spóźnianie się do pracy. Kilka tygodni temu odwiedził swoją przyjaciółkę i od tego czasu zaczął się szkolić w sztukach walki elfów, namiętnie interesował się stawianiem tarota i przez cały czas był tak uszczęśliwiony, jakby jakiś dobry duch bezustannie wtykał mu do ust winogrona.

Remi już szykował się do jakiejś ciętej riposty, ale zamiast tego kichnął potężnie.

– Na pewno lepiej niż u mnie – odpowiedział tylko i wytarł nos. – Przynajmniej nie musi się użerać z tą przeklętą mgłą. Od kiedy zacząłem jej szukać, męczy mnie taki katar sienny, że... że... że... APSIK!

Grim lekko się wzdrygnął, czując krople jego śliny na policzku, i

posłał Remiemu ponure spojrzenie. Dobrze widział szelmowski błysk w jego koboldzich oczach, ale jedno musiał przyznać: całkowita obojętność, z jaką jego przyjaciel podfrunął teraz do stołu i usiadł, zupełnie jakby nic się nie stało, świadczyła o wprost nieprzeciętnych umiejętnościach udawania charakterystycznych dla Niuchaczy.

– Coś jest w środku – kontynuował Remi, patrząc z obrzydzeniem na mgłę, która kołysała się w kuli na wszystkie strony. – Wystarczy, że na nią spojrzę, a już... – Pokręcił głową, nie kończąc zdania, a potem dodał: – Rozesłałem moich Niuchaczy po całym Paryżu, wyczują natychmiast, gdy zmieni się powietrze, więc jeśli mgła miałaby tej nocy wrócić, odnajdziemy ją, zanim jeszcze zdąży się naprawdę pokazać.

Vraternius rzucił mu krótkie spojrzenie.

– Na nic wam się to nie przyda, dopóki nie będziecie wiedzieli, o co tak naprawdę chodzi z tą mgłą – powiedział. – Czy spodziewamy się jeszcze jakichś gości, o których powinienem wiedzieć? Inaczej może się zdarzyć, że stając w drzwiach, zostaną usmażeni rykoszetem mojego zaklęcia. Podobno są istoty, które uwielbiają pieczone mięso... zwłaszcza chrupiącą skórkę nieposłusznego kobolda.

Remi siedział jak sparaliżowany, głośno przełykając ślinę. Vraternius ujął w dłoń kryształ i w milczeniu wstąpił w jeden z magicznych kręgów, zabezpieczając go kilkakrotnie i rozpalając go w czarny żar. Uniosły się z niego splecione znaki i zastygły w powietrzu między świecami. Kiedy Vraternius wypuścił z ręki kryształ na długość ramienia od jego twarzy i znaki zapłonęły niebieskim ogniem, Grim odczuł żar magii niczym elektryczny impuls. Słabe iskry przeskakiwały między nimi a kryształem, kładły się na jego powierzchni, wreszcie z trzaskiem zaczęły się na niej pojawiać rysy. Grim w napięciu pochylił się do przodu. Mia ani drgnęła, ale na jej twarzy widać było maksymalne skupienie, a Remi wpatrywał się w kryształ oczami wielkimi jak spodki. W tym momencie Vraternius poruszył lekko palcami, iskry zamieniły się w płomień i kryształ pękł. Odłamki spadły na podłogę i zamieniły się w popiół. Mgłę otoczyły błękitne płomienie i trzymały ją w miejscu, a jednak Grim dostrzegł cień, który się w niej skrywał, i wydawało mu się, że słyszy niechętnie warczenie, jakby jakiegoś rozszoszczonego, małego zwierzęcia.

Vraternius sięgnął do kieszeni i wyjął mały woreczek, z którego dobył szczyptę złotego pyłu. Rzucił go w powietrze. Cząsteczki pyłu natychmiast utworzyły błyszczący lej, który z początku powoli, a potem coraz szybciej zaczął się obracać. W powietrzu rozległo się brzęczenie, kiedy pierwsze strzępy mgły oderwały się od cienia i zostały wciągnięte do świecącego wiru, a zaraz za nimi poszły następne, zupełnie jakby były wełną, a wir wrzecionem. Wkrótce pozostał już tylko ostatni strzęp mgły i Grim zobaczył wreszcie wyraźne kontury cienia: było to mikroskopijne, przypominające świnię zwierzę, które jednak miało porośnięte sierścią łapy i stało w powietrzu na dwóch z nich. Z jego głowy wyrastały dwa czułki, grzbiet zdobiły błyszczące skrzydła ważki. Jego mordka była pokryta sierścią jak u małpki, kły jak u dzika wystawały nad górną wargę, a nos był tak wielki, że nozdrza przypominały dwie czarne dziury. Pomijając wełnistą głowę, zwierzątko było całkowicie nagie, a jego pierś chronił błyszczący chitynowy pancerzyk. Być może dlatego kurczowo uczepiło się ostatniego strzępu mgły, którym osłaniało biodra. Płomienie utrzymywały zwierzaka w miejscu, ale Grim widział wyraźnie, że najchętniej rozpląnąłby się on w powietrzu. Kiedy wir porwał ostatni strzępek mgły, zwierzę prychnęło wściekle i wrogo popatrzyło na Vraterniusa błyszczącymi czerwonymi oczami.

– A, tu cię mam – wymamrotał alchemik i uśmiechnął się. – Zaraz się przekonamy, coś ty za jeden.

Grim znał ten uśmiech i wcale się nie dziwił zwierzakowi, że zaczął cały dygotać. Vraternius uśmiechał się w sposób, który nawet najbardziej zaprawionych w bojach Cienioskrzydłych przepelniał grozą, a kiedy jeszcze wyjął z kieszeni potężną strzykawkę i wbił igłę w buteleczkę z błyszczącą czerwoną zawartością, nawet Remi westchnął współczująco. Nagie zwierzę natomiast popatrzyło na strzykawkę, rozdziawiło pysk tak szeroko, że można było zobaczyć jego zielonkawy język... i straciło przytomność.

Remi zachichotał na całe gardło i nawet kiedy Vraternius rzucił mu gniewne spojrzenie, kobold z trudem się opanował, co przyplacił niekończącą się czkawką. Alchemik przyciągnął zwierzę bliżej siebie srebrnymi szczypczykami, ale dokładnie w tym momencie, kiedy chciał



użyć strzykawki, otworzyło oczy. Były teraz czarne jak zakrzepła krew, a mała mordka na krótko zamieniła się w przerażającego maskarona. Czarna skóra opinała wystające kości policzkowe, strzępy warg zwisały na przegniłych zębach, w gulgoczącej paszczy wiły się robaki. Nagle pomiędzy warg wystrzelił długi język i przejechał Vraterniusowi po twarzy. Alchemik krzyknął, kiedy ślina zwierzęcia zaczęła wżerać się w jego skórę niczym kwas. Natychmiast wypowiedział odpowiednie zaklęcie, ale w tej samej chwili błękitne znaki zaczęły migotać, a płomień zgasł. Upiorna istota wyrwała się ze szczypców i wystrzeliła wysoko w powietrze. Tam zmieniła się z powrotem w nagiego zwierzęcia z małą mordką, splunęła zieloną śliną na magiczny krąg i z głośnym hukem zniknęła.

– Niech to szlag, co to takiego było? – Grim chciał wstać z fotela, ale jedno spojrzenie na twarz Vraterniusa wystarczyło, by zrezygnował. Przez policzek gнома biegła jaskrawoczerwona szrama.

– A skąd mogę wiedzieć? – wysyczał alchemik i cisnął szczypce na podłogę, aż huknęło. – Natomiast jeśli idzie o to, co mam na twarzy, to był kwas asfatynowy. Zapewniam, że niezwykle efektywny, jeśli ktoś chciałby w ciągu paru sekund rozłożyć się na czynniki pierwsze!

Grim już miał na końcu języka odpowiedź, ale ponieważ z własnego doświadczenia wiedział, jak bolesne jest zetknięcie z asfatyną, ugryzł się w język. Z ponurą miną Vraternius podszedł do mgły, która wciąż obracała się w złotym wirze.

– Cóż, przynajmniej ty nam zostałeś – wymamrotał, jakby mówił do żywej istoty. Potem na wpół odwrócił się w stronę swojej publiczności i powiedział, uśmiechając się ponownie:

– Uwaga, zaraz może się zrobić trochę... głośno.

Nie czekając na ich reakcję, wyrzucił ramiona w górę i wypowiedział zaklęcie. Gwałtowne uderzenie wiatru przemknęło przez pomieszczenie, świece i błękitne znaki zgasły i przez krótką chwilę Grim słyszał tylko przenikliwe mamrotanie Vraterniusa i gorączkowe sapanie Remiego. A potem w górę wystrzelił biały krąg płomieni, tak jaskrawych, że Grim aż odchylił się gwałtownie. Zobaczył jeszcze, jak Vraternius błyskawicznymi ruchami miota w wirującą mgłę różne proszki. Przez izbę przetoczyło się złowrózbnie dudnienie i w następnej

chwili chmura rozdarła się z zielonkawym błyskiem i hukiem tak potężnym, że Grim spadł z fotela w sam środek bolesnej jasności. Kiedy jasność zgasła, skonstatował, że nie znajduje się już w izbie alchemików, tylko w sali zrobionej z nocy. Ściany były granatowe i powiewały jak poruszane wiatrem zasłony, ale nie wydawały nawet najcichszego dźwięku. Podłoga była z czarnego kamienia, a sufit stanowiło rozgwieżdżone niebo, z którego spływał srebrzysty blask. Gdzieś z oddali dochodził szum fal, ale dokładnie w chwili, kiedy Grim pojął, że to tylko złudzenie, usłyszał za sobą głos.

Rozpoznał go od razu, a jednak wzdrygnął się, kiedy ujrzał Minotaura stojącego w magicznym kręgu, i to w odległości zaledwie kilku kroków od niego. Przez pomieszczenie bieżyły czerwone, niebieskie i złote linie, podłozę, na którym stał, były to płonące spękane odłamki, a wokół unosiły się w powietrzu prastare znaki wymalowane na przezroczystym pergaminie. Co chwila niektóre z nich rozbłyskiwały jaśniej niż inne, by zaraz zatopić się w Nicości, zupełnie jak kamienie wrzucane do głębokiej wody. Wabił je głos Minotaura, płomień rozbłyskiwały jaśniej i gasły, wznosił się dym, a żar rozplomieniał się od nowa. Grim stał nieruchomo, owładnięty głęboką i naznaczoną niedowierzaniem fascynacją. Nagle poczuł, że znaki kładą się na jego skórze, zatapiają się w niej, by pojawić się w jego ustach w formie słów języka, który jeszcze niejasno pamiętał:

– Th'ynghuel – wyszeptał nabożnie. Stary Język Demonów, w którym Us'vuril i Kar'monthas, Pierwsze Demony Świata, prowadziły swój lud przez stepy Udhuru, za pomocą którego rozszczerpiły potem Góry Wschodu i nakazały Ogniovi Ziemi pochłonać ich ciała, aby mogli osiągnąć bezgraniczne istnienie, życie w... Arrmonghur. Wolność. To słowo płonęło na wargach Grima, spłynęło w głąb jego piersi, wywołując pieczenie, które dręczyło go od niepamiętnych czasów, zmieniając się w bolesny płomień. Oddychał ciężko, nie mógł się jednak odwrócić od Minotaura, który powoli wznosił w górę pięść. Z jego oczu spływały iskry niczym łzy, płynęły po całym ciele, oplatały jego ramię, skupiając się ostatecznie w pięści.

Grim usłyszał, że Minotaur coś szepcze. Nie zrozumiał słów, ale zobaczył, jak światło w jego dłoni zmienia się w jaskrawy ognisty wir.

Żar lodowatym tchnieniem położył się na skórze Grima, usłyszał słowa zaklęcia szalejące wokół niego niczym klątwy, znaki wokół magicznego kręgu migotały gwałtownie i Grim wpatrywał się w ogień jak w obietnicę, której nie pojmował. Na moment oderwał od niego wzrok, ponieważ poczuł, że Minotaur obserwuje go przez płomienie. W jego oczach było coś, co odrzuciło Grima – coś jak wspomnienie na wpół zapomnianych dni.

W następnej chwili Minotaur wyszeptał ostatnie słowo zaklęcia. Objął dłonią wir i cisnął nim w stronę Grima, który instynktownie się uchylił. Ogień z hukiem uderzył w ścianę znaków za jego plecami i zapalił ją. Grim czuł żar oślepiająco białych płomieni za sobą i słyszał ich ogłuszający hałas. W tym momencie Minotaur wyrzucił ramiona w górę i z potężnym rykiem rozszarpał płomienie, zamieniając je w popiół. Stały się mgłą, białą, nieprzeniknioną mgłą, która pognała w stronę Minotaura, otaczając go chmurą. Grim zdążył jeszcze zobaczyć czarną postać pośrodku tumanów mgły, a potem poczuł, jak porywa go fala.

Ciężko dysząc, podniósł się na nogi w izbie alchemików. Mia leżała obok niego. Kiedy chwyciła jego rękę, pomógł jej wstać. Remi, który wylądował w złotym garnku stojącym na jednej z półek, otrząsnął się jak mokry pies i lecąc zygzakiem, wrócił na swoje miejsce na stole. Vraternius już tam siedział i patrzył na nich, jakby od wieków nic innego nie robił, tylko czekał na niespodziewających się niczego Hybrydów, ludzi i koboldy.

– Byłoby miło, gdybyś następnym razem nieco dokładniej wyjaśnił, co rozumiesz przez słowo „głośno” – powiedział Grim, siadając.

– Jeszcze czego – odparł Vraternius przyjaźnie. – Nie będę sobie przecież psuł zabawy.

Zaśmiał się cicho, a potem znowu spoważniał.

– Zakładam, że widzieliście Minotaura.

Remi prychnął z wściekłością:

– Widzieliście, dobre sobie. Widziałem go, a jakże! Słyszałem zresztą też, a jego płomienie podeszły do mnie tak blisko, że jeszcze chwila, a sprawdziłyby się twoje słowa o pieczonym koboldzie.

– Ten język, którym się posługiwał – zaczęła Mia. – Jeszcze nigdy

go nie słyszałam, ale przypomina trochę język Pierwszych Elfów, którym czasem mówił Theyron.

Grim przytaknął ponuro.

– Nic dziwnego, ponieważ Elfy są blisko spokrewnione z ludem, który posługuje się tym językiem. Nie ma na świecie drugiego, który miałby większą moc niż on, nie ma takich słów, które potrafiłyby obudzić głębsze otchłanie i nie ma drugiej takiej melodii, która mogłaby się równać pod względem piękna i grozy z wywołanymi przez nie czarami. Ten język wpędzał całe ludy w zagładę i z dawnego ludu Alfów stworzył nowy, ciemniejszy lud.

– To był Th'yinguel – wyszeptała Mia z czią, a Remi głośno wciągnął powietrze do płuc. – Stary Język demonów.

Vraternius zaplótł dłonie i patrzył na nie, jakby spodziewał się usłyszeć od nich odpowiedź na pytanie, którego nikt nie zadał. Potem podniósł wzrok i spojrzął po kolei na każdego z obecnych.

– Nawet niektóre z demonów boją się Czarnych Słów języka Th'yinguel. Magia, którą się za ich pomocą wyczarowuje, łąkanie rozpętania i niełatwo jest utrzymać ją w ryzach. Naszemu przyjacielowi najwyraźniej się to udało. Nie ulega wątpliwości, że zna się na tego rodzaju magii.

Grim zacisnął prawą pięść, aż zachrzęściły kości.

– A zatem to przeklęty demon – powiedział i raz jeszcze zobaczył przed sobą płonące oczy Minotaura. – A mgła to prastara magia jego ludu.

Remi wyprostował się jak średnio zdolny uczeń, który niespodziewanie zauważył pomyłkę prymusa.

– Jak to możliwe, że tak potężny demon chodzi sobie swobodnie po świecie? – spytał, patrząc na Grima takim wzrokiem, jakby ten był wyrocznią delficką. – Przecież najpotężniejsze demony tego świata są albo martwe, albo zostały uwięzione. Zawsze to powtarzałeś, zgadza się?

Grim prychnął tak gwałtownie, że włosy Remiego zafalowały.

– Nikt nie wie, jakie moce kryją się w mrokach naszego świata, które pewnego dnia zdecydują się wypełznąć na światło dzienne. Wyłapaliśmy demony, które w czasie powstań w Pradze stanęły przeciwko Gargulcom, a już wcześniej pochwycono te, które nie chciały

się podporządkować panowaniu Kamiennego Społeczeństwa nad Innoświatem. Wciąż jednak istnieją niezłomne demony, które prędzej zdecydowałyby się na wieczną kąpiel w Diamentowym Ogniu, niż podporządkowałyby się komukolwiek. Wiem, o czym mówię. Całe stulecia spędziłem na walce z nimi i mimo wszystko nigdy nie można być pewnym, że wszystkie zostały złapane. Niektóre wciąż są na wolności. I wszystko wskazuje na to, że nasz przyjaciel jest jednym z nich.

– Ale co to były za istoty, które mnie zaatakowały? – spytała Mia, marszcząc brwi.

Vraternius wzruszył ramionami.

– Przypuszczalnie stukoduchy albo niższej rangi demony, które zagnieździły się w zakłęciu mgły, aby wzmocnić swoje siły.

Doświadczyłaś na sobie, jak mogą być potężne, jeśli się połączą. Za pośrednictwem mgły wniknęły do twoich myśli i tworzyły koszmary, wykorzystując twoją własną wyobraźnię. Takie zakłęcie demona, to dla nich prawdziwy raj.

– Dla demona, który się nim posłużył, zresztą też – zadudnił Grim. – Wydaje mu się, że jest niezniszczalny w tej swojej mgle i...

– ...wcale się nie myli, przynajmniej jeśli idzie o ciebie i najlepszych Cienioskrzydłych z NPG – wtrącił Remi z zaskakującą przenikliwością. – Pytanie tylko, co on zamierza i jak możemy wpaść na jego trop.

Vraternius pokręcił głową.

– Niewiele dowiedzieliśmy się o tym zakłęciu – wymamrotał. – Podobnie mało wiemy o tym, jakimi jeszcze siłami dysponuje Minotaur poza tymi, z którymi mieliśmy okazję się zapoznać. To bardziej niż ryzykowne, próbować się do niego zbliżyć, zwłaszcza że panuje nad mgłą.

– Jeśli jednak chcemy się dowiedzieć, co zamierza, nie mamy wielkiego wyboru – odparł Grim. – Każda godzina, podczas której ludzie są w łapach demona, to o godzinę za długo. Musimy go wyśledzić najszybciej, jak to możliwe.

– Niełatwo jest walczyć z demonami – stwierdził Remi, fachowo unosząc lewą brew. – A już na pewno nie z tak potężnymi jak ten.

Grim spojrzał na niego ponuro.

– Rzekł pogromca demonów Remi Zielony, który walczył już z niezliczonymi i wszystkie je pokonał. Zaraz, zaraz... ile to ich było? Zero?

Kobold wykrzywił usta.

– Nieważne – powiedział, robiąc ruch ręką, jakby Grim opowiadał jakieś kompletne bzdury, które najlepiej zignorować. – W każdym razie ten demon zaczyna wyłapywać ludzi i porywać ich, Bóg jeden wie, gdzie. Musimy zatem...

W tym momencie Mia podniosła wzrok.

– Nie wszystkich ludzi – powiedziała i spojrzała w stronę unieruchamiającego kręgu, w którym zapadały się w siebie ostatnie resztki mgły. Na jej ustach pojawił się uśmiech, uśmiech, który przegnał wszelkie cienie z jej twarzy i sprawił, że Grim aż uniósł brwi w oczekiwaniu.

– Wcale nie jest taki niezniszczalny, jak mu się wydaje.

## Rozdział 4



Katedra Notre-Dame wznosiła się w noc jak pomnik z wybielonych kości. Żółtawe światło reflektorów leniwie wspinało się po fasadzie, a łącząc się z cieniami groteskowych ozdób, dawało matowy blask, jakby warstwę snu, i cała budowla sprawiała wrażenie czegoś nierzeczywistego.

Mia obserwowała grę światłocieni. Jak przez grubą warstwę waty słyszała głosy otaczających ją ludzi. Była już prawie północ, lecz nawet o tej godzinie plac przed katedrą zawsze był pełen. Na ławkach przesiadywali zakochani, turyści robili sobie pamiątkowe zdjęcia, a zwykli mieszkańcy zbierali się na pogaduszki. Wszyscy co chwila spoglądali w górę, na Gargulce, które im wydawały się tylko martwymi rzeźbami i ozdobnymi rzygaczami. Tymczasem snoby z Notre-Dame, jak nazywał ich Grim, także tej nocy mieli problemy z usiedzeniem w bezruchu. Kamienne drobinki, tak drobne, jak czarodziejski pył wrózek, co chwila spadały na ludzi w dole. Zatopiona w myślach Mia spoglądała na plac. Kto wie, czy ten pył nie pozwoliłby ludziom latać, gdyby tylko umieli go zauważyć? Pewnie uśmiechnęłaby się na tę myśl, gdyby nie to, że w tym momencie poczuła chłód, który powoli wpełzał na plac. Skuliła ramiona, kiedy pierwsze białe welony mgły prześlizgnęły się obok niej. Remi i jego Niuchacze wiedzieli, że mgła pojawi się właśnie tutaj, wyczuli ją, kiedy jeszcze w ogóle nie była widoczna, a jednak zaskoczyła Mię niczym pojawienie się złowróżbnego cienia. Z cichym szeptem mgła uniosła się wyżej, otulając zaskoczonych tym ludzi. Lecz ich zdumienie nie trwało długo. Tumany mgły sięgnęły ich ramion i wszyscy, jeden po drugim, padali na ziemię jak jesienne liście.

Mia usiadła na ławce. Włosy opadły jej na twarz niby welon, dziewczyna na moment zamknęła oczy, ale nie zasnęła. Słyszała

cichnące szepty, wreszcie w ciszy, jaka zapadła, jej własny oddech wydawał się ogłuszający. Zupełnie jakby była sama na całym świecie, zupełnie jakby nie było tego, kto nasłał tę mgłę, zupełnie jakby miała już tak siedzieć na wieki, żeby przyglądać się śpiącym ludziom, żyjącym w innym świecie niż ona.

Otworzyła oczy, kiedy szepty powróciły. Mgła pozwalała jej widzieć zaledwie na kilka kroków, lecz Mia wyczuwała, że coś przez nią kroczy, wyczuwała czyjąś obecność, która musnęła jej policzki rozpalonym żarem. Pośrodku placu zatrzymała się jakaś istota. Powietrze zaczęło szumieć, iskry sypały się w niebo, oblewając mgłę migotliwym blaskiem i przyciągając spojrzenie Mii. Odwróciła się szybko. Widziała już Minotaura w wizji Vraterniusa, ale wtedy nie odczuwała tego ciepła, które tak miękko po nią sięgało. *To demon*, wykrzyknęła do swojej świadomości. *On opanował silną magię, sprawia, że ludzie znikają, a teraz stoi w odległości kilku kroków od ciebie. Nie daj się otumanić, jak...* – przełknęła ślinę i dokończyła zaczęłą myśl: – *...jak człowiek.*

Zupełnie jakby tymi słowami dała hasło. W tej samej chwili iskry zmieniły się w płomienne potoki, które kunsztownymi zawijasami płynęły przez powietrze, by spocząć na czołach śpiących ludzi. Mia słyszała rozlegające się dookoła trzaskanie płomieni, a kiedy jeden z nich rozdzielił się na czole jakiegoś mężczyzny i poszybował w jej stronę, znieruchomiała jak sparaliżowana. Płomień przeniknął przez jej włosy, nie paląc ich, a ona poczuła jego zimno. Przez moment obawiała się, że nie będzie potrafiła otrząsnąć się z magii, jaka w nim tkwiła. Mroczne głosy mówiące w języku Th'yinguel szeptały jej coś do ucha, wyczuwała w nich prastary gniew i żądze, które sprawiły, że po plecach przeszły jej ciarki. Zanim jednak zdołała pojąć znaczenie słów, płomień na jej czole rozpadł się.

Bez tchu, jak zwierzę schwyte w śmiertelną pułapkę, wpatrywała się w płomienie tańczące na czołach innych ludzi, które też rozpadały się i szybowały w jej stronę. Wreszcie pędził do niej cały strumień, który na pewno zaalarmuje Minotaura, że coś jest nie tak. Wpatrywała się w mgłę, tam, gdzie spodziewała się ujrzeć demona. Otoczyła ją cisza, poczuła zdumienie... a potem usłyszała kroki, które zbliżały się w jej stronę, bezgłośnie, a zarazem tak potężne, że drżała od nich ziemia. Mgła



zakłębiła się na moment, a potem wyłonił się z niej demon.

Był znacznie wyższy, niż Mia go sobie wyobrażała. Słyszała huk płomieni, które przez niego przepływały, żywiąc się nim i przenosząc przez mgłę jego głos, którego potęga zabierała ludzi... gdzieś, nie wiadomo dokąd. Mia nie odważyła się spojrzeć mu w oczy, chociaż jej twarz pozostawała ukryta pod włosami, czuła jednak jego spojrzenie, przesuwające się jak rozżarzone klingi po jej ciele. Udało jej się uregulować oddech, ale serce biło jej tak gwałtownie, że z pewnością musiał to słyszeć. Cisza wokół niej stała się ogłuszająca, miała wrażenie, że otaczają ją trupy, że powinna zerwać się na równe nogi i krzyknąć, aby w ten sposób ująć przed brzemieniem nagle na nią spadającym. Lecz została na miejscu i wpatrywała się w ciemną postać. Wystarczyło, żeby podszedł jeszcze trochę bliżej, tylko odrobinę, a...

Wahał się. Mia musiała skupić całą siłę woli, by powstrzymać się od uniesienia głowy i spojrzenia mu w twarz. Czyżby przejrzał jej plan? Skupiła wzrok na jego dłoni, która pokryta była, tak jak i cała postać, płomieniami. Była przygotowana na to, że w każdej chwili może się on odwrócić i zniknąć, on jednak podszedł o krok bliżej. Zrobił to opornie, zupełnie jakby z całych sił się zmuszał do tego. Mia zobaczyła, jak wyciąga rękę w jej stronę i przymknęła oczy. Ledwie zauważalnie odgarnął jej włosy z czoła i wtedy usłyszała, jak z jego ust wydobywa się dźwięk, który ją zaskoczył. Czyżby to było westchnienie? Jęk bólu? Zanim to pytanie zdążyło ją sparaliżować, otworzyła oczy i wyrzuciła przed siebie zaciśniętą pięść.

Sztylet w jej ręce chybił Minotaura minimalnie. Zbyt długo zwlekała i demon zdążył się odsunąć. Sztylet wypadł jej z dłoni. Natychmiast chwyciła go z powrotem. Czarna Nafta na klindze żarem w gryzała się w jej ciało, lecz zanim ból zdążył przejąć nad nią kontrolę, z całej siły wbiła sztylet aż po rękojeść w Minotaura.

Klinga przeszła przez jego ciało niemalże bez trudu i Minotaur, ciężko dysząc, zerwał się na równe nogi. Mia z wysiłkiem wstała i teraz, mając demona tuż przed sobą, po raz pierwszy spojrzała mu prosto w twarz. W jego oczach ujrzała przerażenie, które było jakby wspomnieniem czegoś, co zdarzyło się bardzo dawno temu, a teraz wybuchło ponownie. Stał przed nią, z dłonią na rękojeści sztyletu, krew

płynęła z rany, a Czarna Nafta wdzierła się w niego swoimi płomienistymi rękami. On jednak zdawał się tego prawie nie zauważać. Mia oddychała gwałtownie, trucizna rozprzestrzeniła się po jej ręce, zmuszając ją do opadnięcia na kolana, ale nie odwracała się od Minotaura. Czyżby on ją znał? I nagle, jakby ta myśl przecięła jakieś pęta, Minotaur odrzucił głowę do tyłu i wydał okrzyk – przeraźliwy i donośny, niemal ludzki. W tym momencie trucizna wyssała Mii krew z głowy. Dziewczyna zaczęła spazmatycznie łapać ustami powietrze, ale jej spojrzenie nadal było utkwione w Minotaurze, który wycofując się w mgłę, spoglądał na nią przepelnięty bólem i spłoszony. Ściągnęła brwi. Coś było nie tak z jego twarzą.

A potem niewyobrażalny ból przeszył jej ciało. Zwinęła się w kłębek i nie widziała już nic poza mętną białą mgłą i krwią, którą wypluła na ziemię. W jej żyłach krążył żar, miała wrażenie, że zaraz spłonie od środka, ale kiedy już była pewna, że dłużej nie wytrzyma tego bólu, przemknął nad nią jakiś cień. Przewróciła się na plecy i ujrzała Gargulce przebijające się przez mgłę... I anioła z cienia i mroku. A potem zrobiło jej się czarno przed oczami.

## Rozdział 5



Grim ostrożnie wysłał do ciała Mii leczące zaklęcie, a potem rozpostarł skrzydła i rzucił się w pogoń za Minotaurem, który oddalał się pod osłoną mgły. Po obu stronach miał Kronka i Pyrosa, i kiedy tak pędzili, rozrywając mgłę, w pięściach każdego z nich płonął potężny Czar Ognia. Demon uciekał. Grim zaśmiał się ponuro. Niech sobie próbuje. Niech sobie przed nimi ucieka, niech próbuje się ukryć w cieniu albo w nędznych katakumbach, które po wszystkich wojnach pozostały jego ludowi – Czarna Nafta przeniknęła do jego wnętrza, jej zapachu nie dawało się stłumić żadną magią, a on nieprędko go opuści. Przez ten czas nie będzie takiego miejsca na tym świecie, gdzie mógłby się ukryć.

Potężny impuls, coś jak rażenie prądem, przeszył skronie Grima. Skulił się z bólu. Kronk i Pyros także chyba coś poczuli. Po chwili impuls ponownie ich przeszył i wtedy Grim zrozumiał, że odbierają ból odczuwany przez demona, którego piekielna Nafta osłabiła, a nawet więcej: doprowadziła do granic wytrzymałości. Grim, widząc wyłaniającego się przed nim Minotaura, poczuł krew buzującą w żyłach i zacisnął pięści. Już teraz demon im się nie wymknie.

Potężnymi uderzeniami skrzydeł Kronk i Pyros parli przed siebie, wysyłając w stronę mgły zaklęcia. Opar rozrywał się jak nędzny łachman, magia z grzmotem uderzyła w ziemię tuż przed demonem, który w ostatnim momencie zdołał uniknąć upadku w wyrosłe nagle płomienie. Potężnym susem uniósł się w powietrze, ale w tym momencie Grim wzniecił w pięści Diamentowe Pęta i cisnął mu je prosto w pierś. Sypnęły się iskry, Minotaur z impetem poleciał w tył i z potężnym hukiem przebił główne wejście do katedry.

Grim, Kronk i Pyros wylądowali tuż przy wyrwanych z zawiasów drzwiach. Portal katedry otwierał się niby wielka paszcza, a postacie z

Sądu Ostatecznego, które go okalały, miały w spojrzeniach rozmigotany mrok. W katedrze panowała cisza, cisza, w której niby przyczajone zwierzę skrywała się mgła. Grim zmarszczył brwi. Nie pozwolił się zatrzymać jakiejś tam czarnej otchłani ziejącej w portalu katedry. Zdecydowanym ruchem skinął na pozostałych i wszedł do środka.

Natychmiast otoczył go przenikliwy chłód, ten prastary oddech pachnący początkiem świata, niezależnie od tego, ile świec i kadzideł palił człowiek, by go stłumić. To powietrze żywiło pierwsze dzieci tego świata, pozwalało oddychać smokom i rozpałało ogień wulkanów. Grim czuł, że nosi w sobie część jego mocy i coś jak głęboki szacunek owładnęło nim w mrokach katedry, zanim utopił wszelkie emocje w chłodzie swojej kamiennej krwi.

Wiele kościelnych ławek było potrzaskanych przez demona, kamienne odłamki wciąż osypywały się z kolumn, a na posadzce leżały poprzewracane świeczniki. Obok przemknęły strzępy mgły, dotykając wszystkiego niby jakieś upiorne ręce, a przez gigantyczne rozetowe okno wpadała srebrzyście i złowroźnie nikła poświata nocnego Paryża. Momentami Grim słyszał gdzieś wysoko, na kopule, przerażone sapanie żałosnych Gargulców, tych mięczakowatych snobów, którzy na jego widok niezmiennie wybałuszali oczy. Miał jednak ważniejsze rzeczy do zrobienia niż zajmowanie się właśnie teraz tymi tchórzami.

Demona nie było nigdzie widać, ale Grim go wyczuwał. Wyczuwał jego ból, jego napięcie... i jego wściekłość. Ledwie o tym pomyślał, katedrę wypełniły szepty, zupełnie jakby cienie, które kryły się po kątach i za kolumnami, zaczęły skupiać się w jeden kształt. Grim wszedł do nawy głównej. Tchnienie wiatru przeleciało nad połamanymi ławkami i dotarło do jego twarzy dokładnie w chwili, gdy na drugim końcu dostrzegł demona. Jego rogi sterczały diabelsko w górę, rozżarzone iskry spływały po ciele, a kiedy wyrzucił w górę ręce, Grimowi wydało się, że słyszy jego śmiech – ochryply i przeklęty. W tym samym momencie świece wokół Minotaura zapłonęły czarnym ogniem i rozświetliły jego postać. Stał z pochyloną głową i wyciągał z piersi sztylet. Pyros właśnie uniósł pięść, by posłać w jego kierunku Czar Pioruna, lecz Grim go powstrzymał, ponieważ ledwie demon rzucił sztylet na posadzkę, z jego rany zaczęły wyslizgiwać się cienie, czarne, błyszczące jakby były

wilgotne, zarysy, które formowały się w węże i pełzały po jego ramionach. Demon powoli uniósł głowę. Jego oczy były skryte w cieniu, ale Grim czuł jego spojrzenie na skórze niczym jad wydobywający się z ciała węży. Demon przywoływał moc Czarnej Nafty ze swoich żył. Z jego krtani wydobyła się magiczna formuła i węże ześlizgnęły się z jego pięści w mgłę. Poruszały się w niej, jakby była wodą, i przemieniły białe welony mgły w szare chmury jadu. Kronk wymamrotał zaklęcie ochronne, ale moc Czarnej Nafty już dosięgnęła zmysłów Grima. Wężowe ciała zbliżały się do niego, zwinnie i bezgłośnie, i kiedy unosił pięść, by wypuścić Czar Obronny, zmieniły się w zwiewne postacie z baśni, w nimfy, syreny i rusalki, by w następnej chwili znowu objawić się jako oślizgłe, czarne węże.

Grim rzucił przekleństwo i wbił wzrok w Minotaura. Do diabła, przecież zna moce czarnego jadu i to nawet znacznie lepiej niż jakikolwiek demon z cieni! Rozkazał coś po ghrogońsku i Kronk i Pyros od razu rzucili się do przodu. Węże nie cofnęły się przed nimi, ale Grim wysłał w ich stronę Ognisty Sierp, wycinając pierwsze szeregi wężowych ciał, które spadły na posadzkę jak czarne i wilgotne krople atramentu. Kronk osłonił ciało Płomienną Tarczą, na której ciała węży płonęły zielonym ogniem, a Pyros wyczarował dwa Świetlne Sztylety, którymi szatkował ciała atakujących węży jakby były z papieru. Wszyscy trzej instynktownie parli do przodu, żaden z nich nie potrzebował słów, by przewidzieć, co zrobią pozostali. Grim poczuł, jak krew w jego żyłach płynie spokojnie i lodowato, jak w czasie wszystkich tych bitew, które stoczył w dawnych czasach, mając u swego boku tych dwóch wojowników. Na końcu nawy zobaczył demona i wyraz jego oblicza, na którym malowało się coś jakby zdumienie, a może nawet fascynacja. Uśmiechał się mrocznie. Czyżby mu się wydawało, że ma do czynienia z jakimiś słabeuszami, z ludźmi albo koboldami, czy Gargulcami, które przez cały Boży dzień nie robią nic innego poza odganianiem gołębi krążących nad ich kamiennymi głowami? Grim wzniecił w pięściach Biały Ogień i cisnął nim w stronę cieni, które rozpryskiwały się na kawałki niczym pękające lustra.

*Przeklęty demonie, pomyślał i wiedział, że Minotaur to słyszy. Pyros walczył z buntownikami z Moskwy, kiedy ty jeszcze nawet nie*

wiedziałeś, co to znaczą cienie, z których wypelzłeś na świat, a Kronk tłumił w katakumbach Pragi powstania twojego ludu, tak jak i ja! Jesteśmy Cienioskrzydłymi Ghrogonii, mamy w sobie krew Wieczności i walczymy z tobie podobnymi, od kiedy po raz pierwszy poczuliśmy na skórze żar Ognia Klątwy! Zadarłeś nie z tymi, co trzeba! Właśnie wzniósł pięść, by posłać w stronę demona Płomienny Wir, kiedy dostrzegł migotanie w jego oczach. Wciąż jeszcze widać w nich było zdumienie, ale teraz nabrały niepokojącego wyrazu. Pojawiło się w nich szyderstwo. W następnej chwili z jego pięści wystrzeliły cienie, a było ich tak wiele, że pędziły w stronę Grima i jego towarzyszy jak potężna fala.

Kronk poderwał w górę Płomienną Tarczę i pierwsze cienie z hukiem uderzyły o nią, zwęgłając się natychmiast. Zaraz jednak pojawiały się następne i następne, i w końcu roztrzaskały Tarczę. Moc Czarnej Nafty coraz bardziej przepełniała powietrze, Grim nie mógł już zapobiec zmianom kształtów cieni snujących się przed jego oczami. Parły na nich przerażające postacie. Widział ludzi z porozrywanymi kończynami, dzieci pozbawione oczu i tysiące twarzy zbliżających się do niego z szeroko rozdziawionymi ustami, jakby miały zamiar go połknąć. Z ich krtani dobywały się głosy, kładły się na piersi Grima, odbierając mu oddech, a kiedy usłyszał ryk bólu Kronka, miał wrażenie, że to jego własny krzyk rozdziera powietrze. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak sieć utworzona z czarnych węży oplata ciało Kronka, ale kiedy chciał rzucić się mu na ratunek, także na niego spadła fala cieni i powaliła go na ziemię. Słyszał odległy głos Pyrosa wykrzykującego zaklęcie, czuł niezliczone ciosy pozbawiające go tchu, a posadzka katedry płonęła jak rozpalone żelazo. I znów usłyszał śmiech Minotaura, lecz tym razem jego głos otoczył krtani Grima i zacisnął się. Grim wiedział, że demon cofa się, i czuł się tak, jakby przy okazji powoli wyciągał z jego piersi miecz. Ciężko dysząc, wsparł się pięściami o kamienną posadzkę. Przez śmiech demona przebijał się głos Pyrosa, potem znów usłyszał krzyk Kronka i poczuł narastający gniew. Cienie wryły się głęboko w jego ciało, ale nie mogły go już dłużej przytrzymać. Przecież jest czymś więcej niż **półczłowiekiem**, którego można, ot, tak sobie, przygwoździć do posadzki w katedrze!

Z rykiem wyrzucił pięść w górę. Jego magia wylądowała się jako potężna ognista kula i eksplodowała w kłębowisku cieni snujących się w nawie. Przez moment wewnątrz katedry płonęło jaskrawym światłem, a Kronk i Pyros zostali powaleni na ziemię potęgą czaru. Grim wzniósł się w powietrze i runął w stronę demona, który uniósł ramiona w górę i posłał w jego stronę ostatnią falę cieni. Grim jednak był szybszy. Jego pięść płonęła złotym ogniem. Rozrywał cienie na strzępy i potężnym ciosem trafił demona. Minotaur z hukiem wylądował pod ołtarzem i zanim zdążył podnieść się z powrotem, Grim przydusił go do ziemi i wyjął z kieszeni diament.

– Ty przeklęty nedorobiony demonie! – wykrzyknął, patrząc w płonący żar czerwonych oczu i nie cofając się przed kryjącą się w nich ciemnością. – Myślisz, że kogo masz przed sobą? Nazywam się Grim, jestem Gargulcem, człowiekiem i Hybrydą, i zaraz ci pokażę, co to znaczy zadrzeć z Dzieckiem Ognia!

Szarpnięciem przyciągnął Minotaura do siebie i przycisnął mu diament do czoła. Spodziewał się wrzasku demona, świadectwa przerażenia i piekielnych mąk, jakie dla istot jego rodzaju oznacza zetknięcie się z diamentem. Spodziewał się, że Minotaur będzie się wił u jego stóp, spodziewał się przekleństw i obłąkańczych krzyków.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Minotaur patrzył nieruchomo i zimno jak przedtem. Na moment przez jego oczy przemknął cień i Grim poczuł, jeszcze zanim zdołał to zrozumieć, że się pomylił. Ten, którego miał przed sobą, nie był demonem. W tym momencie obcy uderzył go pięścią w pierś.

Grim poleciał plecami na jedną z kolumn, na jego głowę posypały się kamienne odłamki i przez moment wydawało mu się, że słyszy chichoty zniewieściałych Gargulców. Chciał się jakoś pozbierać, ale coś oplotło mu gardło. Rzężąc, sięgnął do pętli z czarnej mgły. Trucizna Czarnej Nafty rozchodziła się po jego ciele, paraliżując mięśnie. Minotaur złapał go za kark i bez trudu poderwał w górę, jakby rana na jego piersi była co najwyżej zadrapaniem. Nie mogąc złapać oddechu, Grim przywołał magię zwalczającą rozprzestrzeniającą się truciznę, ale kiedy zamierzał uwolnić ją zaklęciem, ogień w oczach obcego zgasł.

Grim spoglądał w chłodną, aksamitną czerń, która w jednej chwili

sprawiła, że ogarnął go spokój. Nie miał pojęcia, co się dzieje, słyszał tylko głos, który nakazywał mu podnieść pięść i zdzielić tego obcego... ale nie zwracał na ten głos uwagi. Odpowiedzią była ciemność, którą miał przed sobą, czuł to. Lecz jakie zadał pytanie? Czemu nie potrafił go sobie przypomnieć?

Kronk wykrzyczał zakłęcie, jego słowa dobiegały gdzieś z oddali. Obcy bezgłośnie i ledwie zauważalnie przyciągnął Grima bliżej siebie.

*Trzymaj się z daleka*, rozbrzmiał jego głos w myślach Grima. Był to głos z burzy i płomieni, które jakby spaliły welon zasłaniający twarz Minotaura. Grim nagle odniósł wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. Rogi, czarna sierść, dziwne oczy – coś było nie tak. Na wpół podarte skóry były rozpięte na kościach, przytrzymywane metalowymi drutami, znaki przypominające blizny po oparzeniach pokrywały policzki, a płomień, które układały się w ciemnościach niby delikatny splot, nie wywoływały żadnego dźwięku. Grim wstrzymał oddech. Ta twarz, ona... Obcy patrzył na niego w milczeniu i w takim bezruchu, jakby długo czekał na ten moment. Potem puścił nagle Grima, wzniosł się w powietrze potężnym Burzowym Zaklęciem i zanim jeszcze wysłane przez Kronka płomienie zdążyły do niego dotrzeć, przebił rozetowe okno i zniknął w ciemności nocy.

Grim wczepił się szponami w kolumnę, przy której leżał, i z trudem podciągnął się w górę. Kronk podtrzymywał go, ale Grim ledwie to zauważył. Patrzył na zniszczone okno, przez które uciekł obcy, słyszał dziwny głos w swojej głowie i widział przed sobą twarz Minotaura, który wcale nim nie był. Nie, obcy nie był demonem.

Obcy nosił maskę.



## Rozdział 6



Światło upiornym blaskiem sączyło się przez na wpół zasunięte zasłony, oblewając bibliotekę mdłą poświatą. Tylko słabnący ogień w kominku rzucał nikły blask na regały z książkami, ciągnące się kilka pięter w górę, aż do samej powały, igrał cieniami na podłodze i tańczył na twarzy Mii.

Mia siedziała z podkulonymi nogami na fotelu i bezskutecznie starała się ignorować skutki działania Czarnej Nafty, objawiające się uporczywym bólem głowy w skroniach. Słuchała sapania, które regularnie wydawał Remi siedzący obok na podłokietniku, i patrzyła na stojącego przy oknie Grima. Jego sylwetka odcinała się smolistą czernią od świateł miasta i chociaż ani drgnął, Mia doskonale wyczuwała jego napięcie. Nie dziwiła mu się. W zamyśleniu sięgnęła po szkic, który wykonała kilkoma szybkimi pociągnięciami, i spojrzała w twarz Minotaura. Uszedł im i mimo że został zraniony Czarną Naftą, to ani Niuchacze, ani Cienioskrzydli nie zdołali dotąd wpaść na jego ślad. Zazwyczaj na Czarnej Nafcie można było polegać, jeśli idzie o wytropienie kogoś. Mia przesunęła wzrokiem po zwierzęcym obliczu, po szwach na jego policzkach, płomieniach przedostających się przez poszarpane skóry, a potem spojrzała w jego oczy, które nawet na tym powierzchownym szkicu emanowały ciemnością, od której brakowało jej tchu. Nie, z pewnością ten, na którego patrzyła, nie był demonem. To była maska, pod którą kryła się potęga Car'lay Ythem, Dzieci Gniewu, jak dawno temu nazywały siebie demony. Mia wciąż słyszała słowa wplecione w skomlenie płomieni i wydawało jej się, że nawet teraz czuje ich czarny żar niczym odbłask Ognia Klątwy, którego Vraternius używał do niektórych zaklęć i który był bardziej niebezpieczny niż jakikolwiek inny ogień na tym świecie. Ukryty pod tą maską obcy przywoływał mgłę

i porywał ludzi, lecz ani Grim, ani Vraternius, ani żaden inny uczony z Innoświata nie wiedzieli, z czym mają do czynienia. Z tego powodu siedzieli teraz w mrocznej bibliotece tego pałacu, na ile tylko się dało, ignorowali przenikające przez zamknięte drzwi głosy wampirów i czekali na jedyną istotę w całym Paryżu, która mogła im pomóc. I to nie tylko dlatego, że jej lud był kiedyś sprzymierzony z Demonami. Lyskian nigdy nie mówił, w jaki sposób posiadał ową demoniczną moc, jaką dysponował, lecz nie ulegało wątpliwości, że nikt inny nie wie tyle o ludzkiej Alfów, co on. Jeśli więc ktokolwiek mógł im pomóc odnaleźć obcego i uwolnić porwanych przez niego ludzi, to tylko on.

Ogień na kominku zamigotał niespokojnie, kiedy przez drzwi dobiegł radosny śmiech wampirów. Był miękki, ale zarazem bezlitosny, tak że Remi aż skulił się pod wpływem przenikającego go dreszczu. Lyskian wydawał właśnie jedno ze swoich legendarnych przyjęć i Mia czuła, jak chłód jego gości przenika przez ściany niby magia. Nigdy dotąd nie była na takim przyjęciu; śmiech krwiopiców był ostry jak pękające szkło i Mia wiedziała, że wieczór wcale nie zakończy się tak kulturalnie, jak się zaczął.

W zamyśleniu przesunęła dłonią po czarnym futrze pokrywającym fotel i przypomniała sobie, jak to było, kiedy dwa lata temu po raz pierwszy weszła do tego domu. Była zafascynowana, wystraszona i kompletnie nie miała o niczym pojęcia; znów poczuła woń obrzydliwej tynktury, jaką Grim podał jej wtedy dla jej bezpieczeństwa. Teraz, wchodząc do domu Lyskiana, już nie potrzebowała magicznej ochrony, ponieważ był jej protektorem. Żaden wampir nie odważyłby się jej tknąć, podobnie jak żadnemu z krwiopiców nie przyszłoby do głowy otwarcie czy skrycie wypowiedzieć najmniejsze słowo krytyki pod adresem Lyskiana. Jako wybrany przez Bhragana Nha'sula, Lorda Wampirow, rezydującego w Złotym Mieście, nie podlegał nikomu poza tym najwyższym autorytetem swego ludu. Był Księciem Wampirów, jednym z najstarszych i najpotężniejszych swego rodzaju i tak jak dla przyjaciół potrafił być łagodny i miły, tak dla wrogów nie miał litości. Mia słyszała o wyrokach, jakie wydawał w hermetycznej wampirzej społeczności i po raz kolejny uświadomiła sobie, jak łatwo dać się zwieść i zaślepić ludzkiej masce Lyskiana. To, co nosił w sobie, to było

coś więcej niż noc i tajemnica. Mogło się to okazać otchłanią niebezpieczną dla każdego, kto zanadto się do niego zbliży.

Podniosła się z westchnieniem i cichutko podeszła do Grima. Kiedy położyła głowę na jego piersi, łagodnym ruchem odgarnął jej włosy z czoła, ale ona czuła dręczący go niepokój, który żarem napierał od środka na jego kamienną skórę. Usiłowała Przypomnieć sobie spojrzenie obcego, ale ilekroć powracała do tamtej sytuacji, ilekroć próbowała wczuć się w to spojrzenie i jakoś je sobie wyjaśnić, postać Minotaura nagle ginęła we mgle. Grim miał podobną zdolność, wiedziała, ale on o tym nie mówił – zawsze tak robił, jeśli idzie o rzeczy, które czuł, ale których nie potrafił wyjaśnić. Pierwiastek gargulcowy był w nim jednak bardzo silny i czasami nadal pozwalał swojej chłodnej kamiennej krwi omywać odczucia tak długo, aż przestawały mieć do niego dostęp. Mia patrzyła razem z nim w noc i kiedy tak czuła uderzenia jego serca, ból w skroniach na chwilę ustępował. Grim był aniołem ciemności, istotą z kamienia, która głęboko w środku ukrywała ludzkie serce i której skóra potrafiła być zimniejsza od najzimniejszego Czarz Łodu. Zacisnęła palce na potężnej dłoni, ale wciąż słyszała bicie jego serca i tak jak wtedy, kiedy usłyszała je po raz pierwszy, tak i teraz nie czuła lęku przed podążeniem za jego dźwiękiem nawet w najgłębszy mrok, w ciemność, jaką Grim nosił w sobie i którą kochała, chociaż wiedziała, że nigdy tak do końca nie zdoła jej pojąć. Stała w milczeniu, czując, jak ten dźwięk odbija się echem w niej samej, i pragnęła, by ta chwila trwała, żeby jeszcze trochę mogli tak pobyć razem, bez pytań, bez obaw, prawie tak, jakby na zawsze byli bezpieczni przed sobą nawzajem. Ledwie jednak przesunęła spojrzeniem ponad dachami Paryża, powrócił ból w skroniach, a wraz z nim pojawiła się myśl o matce i o Josi, które były gdzieś tam, w mocy obcego.

Nocne powietrze zrobiło się przejrzyste, światła miasta sprawiały oczom Mii ból, i podczas gdy Grim wpatrywał się w nie, zupełnie jakby mógł w ten sposób wydrzeć im tajemnicę obcego, ona odwróciła wzrok. Puściła dłoń Grima i podeszła do wielkiego biurka stojącego w ciemnym rogu pokoju, zawsze zavalonego książkami i zwojami pergaminów, przy którym Lyskian zostawiał na niezliczonych papierach swój zamaszysty podpis. Ciemność sprawiała Mii ulgę, lecz ból, paląc chłodem, schodził

w dół, do ramion, pozostawiając tępy zawrót głowy.

W tym momencie w korytarzu rozbrzmiały wyraźne kroki i w chwilę później otworzyły się drzwi. Ledwie Lyskian wszedł do pokoju, ogień na kominku zapłonął jasnym blaskiem. Cienie wycofały się między książki na półkach i stłoczyły za zasłonami jak dzikie zwierzęta, podczas gdy blask płomieni oświetlał wysoką postać Lyskiana. Jego jasne, niemal białe włosy opadały luźno na ramiona, a w jego spojrzeniu widać było nieposkromiony mrok głodu, który rozniecił przez ostatnie godziny spędzone ze swoim ludem. Na jego wargach pojawił się uśmiech, kładąc na oczach welon zmieniający ich mrok w łagodną czerń.

– Wybaczcie, że kazałem wam czekać – powiedział i zaprosił Grima i Mię, by zechcieli zająć miejsca. – Było kilku przedstawicieli świata polityki i ekonomii, ludzie, sami rozumiecie... Nie mogłem pozbyć się ich wcześniej.

Grim odwrócił się plecami do światła miasta, ale nadal stał przy oknie.

– Zawsze pozostanie dla mnie zagadką, jak ty znosisz obcowanie z tymi ludźmi.

Lyskian uśmiechnął się szerzej.

– To proste, wyobrażam sobie, jak umierają w moich ramionach.

– Kilku już to zapewne spotkało, jak się domyślam – zauważyła Mia i chciała go minąć, lecz Lyskian chwycił ją za nadgarstek i powstrzymał. Poczowała jego zapach, tę aksamitną, melancholijną nutę, jakże daleką od zapachu krwi i rozkładu, ale lodowate zimno jego palców sprawiło, że aż się wzdrygnęła.

– Zbyt mało wypilem – powiedział przepaszająco. – W towarzystwie takim, jak to, niekiedy rozsądniej jest zachować jasny umysł.

Uniósł jej dłoń i delikatnie potarł kciukiem jej skórę. Natychmiast poczuła rozprzestrzeniającą się wzdłuż ręki falę błęgiego ciepła, która przeniosła się aż na kark, zmniejszając nieco ból głowy. Uśmiechnęła się lekko. Lyskian znał ludzkie ciało na wylot i jakże często, będąc w jego obecności, zastanawiała się, czy powinna być zaniepokojona, czy zafascynowana.

– Cóż – powiedział, kiedy Mia usiadła. – Jak się domyślam, nie bez

powodu przyszłście odwiedzić mnie w środku nocy.

Grim przytaknął ponuro, a potem zwięźle opowiedział o ostatnich wydarzeniach.

– Nie mamy pojęcia, kto kryje się za tą maską – zakończył. – Pewne jest tylko to, że obcy zniknął, jakby go pochłonęła ziemia, i pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy za sprawą jego demonicznych sztuczek pojawi się kolejna mgła. Nie mam pojęcia, o co chodzi z tą maską, ale ponieważ ty...

– ...ponieważ ja znam się na demonicznych mocach lepiej niż jakikolwiek Gargulec, człowiek czy Hybryd, pomyśleliście sobie, że będę mógł wam pomóc?

Lyskian ujął w dłonie szkic zrobiony przez Mię i uśmiech na jego twarzy ustąpił miejsca chłodnemu skupieniu. Po chwili wstał i podszedł do jednej z półek, na której stały oprawne w skórę foliały. Przesuwał palcem po ich grzbietach niby po klawiszach fortepianu, a wtedy z ich wnętrza wydobywały się groźne pomruki, prychania i sapania, jakby księgi chciały, by trzymał się od nich z daleka. Lyskian jednak zupełnie się tym nie przejmował i w końcu zdjął z półki wielką, czarną księgę ze srebrnymi symbolami na grzbiecie. Dopiero kiedy usiadł z powrotem na swoim miejscu, Mia zorientowała się, że to, co zwieszało się pomiędzy stronic, to nie były tasiemki do zaznaczania, lecz delikatne pędy pokryte cierniami. Remi poderwał się na nogi i z zaciekawieniem podfrunął bliżej, w ostatniej chwili uchylając się przed uderzeniem jednego z pędów, który błyskawicznie wystrzelił w jego stronę.

– O, kurde blaszka! – wykrzyknął kobold i tak szybko pofrunął z powrotem na swoje miejsce, że przez chwilę jego włosy powiewały za nim jak flaga na wietrze. – Przeklęte świństwo! Co to było?

Grim podszedł bliżej i zmierzył księgę ponurym spojrzeniem.

– Te dzieła rzeczywiście są przeklęte, to prawda – powiedział dudniącym głosem. – Grymuary Czarnej Magii, o kartach zrobionych z ludzkiej skóry, zapisane krwią nieochrzczonych dzieci, wypełnione formułami klątw, szkodliwych zaklęć i nekromantycznych straszliwości. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że niejeden alchemik stracił rozum w obliczu wiedzy, jaka kryje się między okładkami tych ksiąg.

– Nie należy wychodzić w noc, gdy człowiek boi się cieni – odparł

Lyskian. Otworzył księgę, podczas gdy cierniste pędy oplatały jego dłonie. Stronice były czarne jak smoła i nie widać było na nich żadnych liter ani znaków. Były puste.

– Mnóstwo w nich nocy – stwierdził Grim. – Nie znam się specjalnie na literaturze, ale wiem, że księga o pustych stronicach nie da nam żadnych odpowiedzi.

Lyskian uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– *Na szczęście książki to dla większości tylko literatura.*

Mia nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy Grim, słysząc to, prychnął z pogardą. Zazwyczaj unikał wymiany zdań z Lyskianem na temat Nietzschego i także tym razem skrzyżował tylko ręce na piersiach i wpatrywał się w czarne stronice, jakby samą siłą woli chciał je zmusić do mówienia. Lyskian natomiast odpiął guziki mankietów i podciągnął rękawy koszuli aż do łokci. Jego skóra była gładka, jakby marmurowa, i Mia odbierała niemal jako coś nierzeczywistego, że cierniste pędy wiją się wokół jego rąk, pozostawiając na niej lekkie zadrapania. Zwinnie jak węże oplotły jego nadgarstki i na wypowiedziane przez niego ciche słowo zagłębiły się w ciele. Mia zdusiła okrzyk przestachu, widząc, że po rękach Lyskiana zaczyna spływać ciemna krew. Nagle w bibliotece rozległ się dziwny dźwięk, co do którego nie potrafiła powiedzieć, czy pochodził od Lyskiana, czy z księgi. Było to stęknienie, a może zduszony krzyk. Patrzyła, jak cierniste pędy zmieniają kolor, a powierzchnie stronic zaczynają wybrzuszać krwawe znaki, jakby były pękającymi ranami na prastarym, zeskorupiałym ciele. Lyskian powoli uniósł ręce. Zaszepotał coś i strony zaczęły się same przewracać, początkowo powoli, potem coraz szybciej, aż wreszcie przekładały się z szumem, jakby popychane niewidzialnym huraganem. Osobliwe symbole pokryły stronice, formułki w prastarym języku, ale też opisy czarów i co jakiś czas rysunki rytuałów ofiarnych, ludzi o powykręcanych kończynach i wylupionych oczach, dzieci chodzące na dłoniach i takie, które same obdzierały się ze skóry. Mia wstrzymała oddech. Grim miał rację, księga, na którą patrzyli, była księgą demonów, lecz różniła się od tych, które pokazywali jej Theyron i Vraternius. Ta księga była prastara. Ludzka skóra, z której ją zrobiono, była delikatna i pokryta mieniącymi się łuskami, i wydzieliała zapach, który Mia знаła

jedynie z bardzo starych kościołów albo z niezbadanych części katakumb, do których kiedyś zabrał ją Grim, aby unaocznic jej wiek Innoświata.

Z szumem ustał huragan poruszający stronicę księgi. Na dwóch widocznych teraz stronach ukazały się ciasno splecione ze sobą słowa. Wydawało jej się, że musi to być Anth'karya, jeden z najstarszych języków wampirów. Lyskian pokazywał jej sarkofagi, które kiedyś zamknięto tym językiem i których po dziś dzień nikt nie odważył się otworzyć z powodu straszliwości klątw, jakie mogła kryć nawet jedna sylaba w języku Anth'karya. I przypomniała sobie zwoje pergaminów i tablice zaklęć w archiwach Ghrogonii, które zawierały w sobie klątwy w tym języku i które nawet Vraternius z wielkimi oporami brał w dłonie, z szacunku przed wiekiem wampirów. Znaki tańczyły jej przed oczami i miała wrażenie, że poczuła lodowaty powiew, który przyciągnął ją bliżej księgi, zupełnie jakby splecione ze sobą litery, zapisane w czasie, który dawno przeminął, chciały wessać ją w otchłań swego języka.

W tym momencie Lyskian przesunął po znakach lewą dłonią. Rozmazały się jak świeża krew, lecz zamiast oblepić jego palce, spłynęły niewidzialnymi liniami w siebie nawzajem, uniosły się w powietrze i utworzyły oblicze, które z każdą nową kreską coraz wyraźniej się wyłaniało, aż wreszcie zawisło nad księgą, migocące i upiorne jak mroczny omen.

Zesztywniała ze strachu Mia spoglądała w twarz Minotaura. Jego rogi płonęły, jego oczy żarzyły się zimnym żarem, a płomień przegryzały się przez jego ciało, aż odnosiło się wrażenie, że jego twarz pokrywa czarna sierść. Zaraz jednak kontury zapadły się, pozostawiając rozżarzony obraz maski przypominającej zwykły gipsowy odlew ludzkiej twarzy. W jej oczach płonął lodowaty ogień. Lyskian nabrał głęboko powietrza, lecz kiedy otworzył usta, by coś powiedzieć, głos nie wydobywał się z jego gardła. Wydobywał się z nieruchomych ust maski, a zagłuszały go niezliczone inne głosy, które niby wichur powtarzały jedno imię, imię, które sprawiło, że po plecach Mii przebiegł zimny dreszcz.

*Bhaal'vrion* mówiły szeptem. Słowo to sprawiło, że ogień na kominku rozblęsnął żywym płomieniem, żar w oczodołach maski zaczął

migotać i płonąć jasno i przeraźliwie, wreszcie płomienie schwyły Mię i wciągnęły głowę do przodu w złudzenie, które otuliło ją jak sen śniony w malignie.

Kłęcząca, czując pod dłońmi zimno marmuru, lecz wrażenie to zbladło wobec gorąca wznoszącej się przed nią ściany płomieni, w której ujrzała postać kolosa. Przypominał człowieka o łysej czaszce i czarnej, nagiej skórze, pod którą wiły się węże, z sykiem wysuwające z jego ciała opatrzone zębami głowy. Jego oczy płonęły białym ogniem, dwa złote rogi wystawały mu z czoła, gadzi ogon smagał płomienie, rozbijając je na trzaskające iskry, a kiedy rozwarł paszczę, wypadły z niej spalone ciała dzieci i rozsypały się w płomieniach na popiół.

Mia odchyliła się z przestachu, ale nie mogła się odwrócić. *Bhaal'vrion*. Słyszała o tym demonie, pożeraczu dzieci, wrogu ludzi, o gardzieli Czarnych Ognia i oparach gnających przez rozciągającą się głęboko pod dzisiejszą Moskwą pustynię Shar'kalonu i zostawiających po sobie tylko śmierć. Bhaal'vrion, demon z Pierwszego Czasu, który był nienasycony w swojej żądzy. Ruszał na wojnę z najpotężniejszymi ludami Innoświata, nawet tymi pochodzącymi z jego własnej krwi, by wreszcie pochłonąć Us'vurila i Kar'monthasa, Pierwsze Demony Świata, i powstać przeciwko bogom. Dopiero oni dali mu radę, rozszarpali go w swoim wypełnionym jaskrawym światłem świecie i po wsze czasy zamknęli ten świat przed jego ludem.

Bhaal'vrion z rykiem wznosił pięści w górę. Przywołał do siebie popioły i zmieniły się one z powrotem w to, czym niegdyś były: w delikatną i miękką dziecięcą skórę. Znieruchomiała z przerażenia Mia patrzyła, jak płomienie pożerają ciała, jak czarne pasemka sadzy stają się drutami spinającymi strzepy, a potem, na dźwięk mrocznych słów demona, tworzą ową maskę, którą pokazała im księga. Bhaal'vrion sięgnął po nią, ledwie jednak zdążył przycisnąć ją do swojej twarzy i czarne płomienie przebiły się przez skórę, maska zmieniła się. Przekształciła jego głowę w głowę jaszczurki, harpii, potem ze skóry wyrosły kolce, a ona zmieniała się dalej i dalej, w coraz szybszym tempie, aż wreszcie Mia zobaczyła w niej swoją własną martwą twarz. Zakryła dłonią usta, ale demon wybuchnął śmiechem, a dźwięk ten poderwał ją na nogi. Zatoczyła się w tył, lecz nie potrafiła odwrócić się



od Bhaal'vriona.

– Ghrannos! – ryknął demon, a jego głos pomknął w jej stronę jak klątwa. – Rrath'unie tro'skurr!

W następnej chwili Mia ocknęła się na posadzce. Chłodne powietrze owiewało jej twarz, a kiedy otworzyła oczy, zorientowała się, że leży obok swojego fotela w bibliotece Lyskiana. Oszołomiona z trudem się pozbierała.

– Do diabła, co to takiego było?

Grim zerwał się na równe nogi, ale potężny impet cisnął nim o półki. Księgi i wielkie foliały spadły na podłogę. Ciężko dysząc, Mia opadła na fotel, a kryjący się na żyrandolu Remi niczym dojrzała śliwka spadł na swoje miejsce na podłokietniku.

Lyskian siedział biały jak kreda. Oczy miał czarne, a zasnuwający je welon łopotał jak porwany materiał, rzucając cienie na jego twarz. Z trudem wyciągnął powbijane w ręce ciernie i zatrasnął księgę. Jego rany szybko się zasklepiły, ale on nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

– Tego się obawiałem – wymamrotał. – Nie ma zbyt wielu artefaktów tego rodzaju, pochodzących od demonów wywodzących się z zapomnianych czasów, przeklętych przedmiotów skrywających potężną moc i przynoszących przeważnie jedno: nieszczęście. Ta maska od dawna uchodziła za zaginioną. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę.

W oczach Grima błysnął uśmiech.

– Najwyraźniej nawet na tym świecie zdarzają się jeszcze rzeczy, których nie jesteś w stanie przewidzieć – stwierdził. – Więc to Bhaal'vrion stworzył tę piekielną maskę, ale czego od niej oczekiwał? Na czym polega jej moc?

– Maską Bhaala ma moc zmieniania tego, kto ją nosi – odparł Lyskian. – Nadaje mu nową postać, ale to nie wszystko. Jej historia sięga zamierzchłej przeszłości. Bardzo długo była na dworze Setha II, w posiadaniu Achai, owych demonów, które niegdyś podporządkowały swoją moc ludziom. Potem jednak ślad się urywa. Wiem, że dostała się w ręce Puthoriona, Księcia Wampirów z Pierwszego Czasu, słyszałem też o Akmediosie, alchemiku Gargulców, który dzięki mocy maski chciał zapanować nad ludami Mezopotamii. *Oneiroi*, wykrzyknął owej

nocy, tuż przed tym, zanim został rozszarpany przez własny lud. *O Sny, dzieci Nyx! Zabierzcie ją do królestwa, którym rządzą!*

Lyskian zamilkł i powoli zsunął z powrotem rękawy koszuli.

– To te same słowa, które wypowiedział Bhaal’vrion, kiedy stwarzał maskę.

Remi wyprostował się.

– Oneiroi są w mitologii greckiej ucieleśnieniem snów – powiedział. – Morfeusz, syn Hypnosa, jest ich panem, a...

Głos uwiązał mu w gardle, kiedy Lyskian podniósł wzrok. Oczy wampira były teraz jak dwa czarne zwierciadła.

– Bhaal’vrion i wszyscy noszący po nim tę maskę łaknęli tylko władzy nad ludźmi, więc ten artefakt był im bardzo na rękę. Nie ma bowiem czaru ani na tym świecie, ani na żadnym innym, który byłby potężniejszy niż sen, a maska Bhaala zapewnia temu, kto ją nosi, władzę nad snami ludzi. Z jej pomocą udaje mu się wciągnąć ich do tamtego świata i cokolwiek zamierza z nimi zrobić, są oni całkowicie w jego władzy.

– Czy to znaczy – zaczęła Mia, kręcąc głową – że Josi i moja matka są w Świecie Snów?

Lyskian ledwie dostrzegalnie skinął potakująco głową.

– Ta maska otworzyła bramę do niego.

– A kiedy ludzie byli do niego wciągani – powiedział Grim – tamte istoty ze Świata Snów wykorzystały okazję, by przekroczyć granicę od swojej strony. To, co Mia widziała we mgle, to nie były demony. To były koszmary senne.

– To dlatego kichałem jak szalony – stwierdził Remi. – My, koboldy, znamy tylko piękne, harmonijne sny, i tylko ze słyszenia wiemy, co to koszmary. Kiedy mimo wszystko wejdziemy z nimi w kontakt, reagujemy alergicznie.

Mia skuliła ramiona. Nagle zrobiło jej się lodowato zimno.

– Musimy ich odnaleźć – wyszeptała, daremnie starając się odsunąć na bok strach o matkę i Josi. – Świat Snów jest jednak nieskończony. Jak to zrobić?

– Nie dacie rady ich odnaleźć – powiedział Lyskian. – Ten, który nosi maskę, wykorzysta sny ludzi przeciwko wam. A nawet gdyby się

wam udało do nich dotrzeć, to nie dacie rady sprowadzić ich z powrotem do naszego świata. Tylko władca maski może to uczynić, niezależnie od tego, kim jest.

Grim wzruszył ramionami.

– Jest mi całkowicie obojętne, kim jest. Ale za to wiem jedno: gorzko pożałuje, że uprowadził tych bezbronnych ludzi. Wiemy teraz, gdzie go szukać. Jest osłabiony przez Czarną Naftę i będzie potrzebował czasu, by całkowicie pozbyć się jej ze swojego ciała. A do tego czasu trafimy już na jego trop. Jutro w nocy wraz z najlepszymi Cienistoskrzydłymi Ghrogonii udam się do Świata Snów... a w wyprawie będzie nam towarzyszył dowódca Niuchaczy.

Remi wzdrygnął się tak gwałtownie, że omal nie spadł z podłokietnika, ale Mia nie zwróciła na to uwagi. Cała płonęła z troski o rodzinę. Czowała na sobie spojrzenie Grima i czuła też wielki lęk przed Światem Snów. Był nie do przemierzenia nie tylko dla człowieka, ale nawet dla kogoś z Międzyświatów, kogoś takiego jak Grim. Krył w sobie niebezpieczeństwa, zwłaszcza że szaleniec, który właśnie uprowadził niezliczoną rzeszę ludzi, rozporządzał ogromną częścią tamtejszych snów.

– Musicie udać się w sam środek – powiedziała, spoglądając na Grima. – W sam środek tych snów, nad którymi on panuje. A co będzie, jeśli...

Urwała. W oczach Grima pojawiła się jakaś miękkość. Właśnie zamierzał jej odpowiedzieć, kiedy zwrócił się do niego Lyskian. Mia poznała po wyrazie jego twarzy, że przekazał coś w myślach, ale Grim podniósł dłoń w geście przeczenia.

– Nie – powiedział dudniącym głosem, nieco zbyt gwałtownie, i posłał Lyskianowi wściekle spojrzenie.

Mia skrzyżowała ręce na piersiach.

– Jedną z najlepszych lekcji etykiety, jakiej udzielił mi Theryon, to ta, że nie wolno rozmawiać ze sobą w myślach, kiedy jest się w obecności innych, którzy tego nie potrafią. Więc o czym przed chwilą rozmawialiście?

Cień przebiegł po twarzy Grima, kiedy spojrzał w stronę Lyskiana. Pochylił się i ujął jej dłoń w swoje szpony. Widziała opór w jego

spojrzeniu, charakterystyczny taniec światła i mroku, który towarzyszył tak wielu jego wewnętrznym walkom, i przez moment wydawało jej się, że jej to powie. On jednak pokręcił w końcu głową.

– Są sprawy w Innoświecie, które nie są przeznaczone dla ciebie – powiedział. – Nigdy nie były i nie będą. Nawet jeśli nie mogę uchronić cię przed wszystkim, to jednak zawsze będę starał się to zrobić.

Mia chciała coś odpowiedzieć, ale w głosie Grima brzmiała nieznosząca sprzeciwu powaga. Przytaknęła więc ledwie zauważalnym ruchem głowy.

– Świat Snów wcale nie jest taki bezpieczny – ciągnął Grim. – Ale ludzie potrzebują naszej pomocy. Nie wolno nam tracić czasu, a wojownicy, którzy będą mi towarzyszyć, nie takie bitwy już toczyli, podobnie jak i ja.

Remi gapił się na niego oczami wielkimi jak spodki i przełknął ślinę tak głośno, że Mia omal nie wybuchnęła śmiechem.

– A poza tym... – powiedział Grim i nabrał powietrza w płuca: – ...poza tym nie mamy wyboru.

## Rozdział 7



Lodowaty wicher smagał południową wieżę Notre-Dame, jakby zamierzał porozcinać cegły katedry mroźnymi klingami. Grim dotkliwie czuł go na karku, nie dawał jednak nic po sobie poznać i w bezruchu patrzył ponad dachami miasta. Zbyt wyraźnie słyszał głosy miejscowych Gargulców, żeby dać im satysfakcję z obserwowania jego emocji, choćby miał to być tylko dreszcz wywołany przez ten przekłety wicher.

Katedralne snoby zebrały się w bezpiecznej odległości od niego, ale Grim czuł na plecach ich zaintrygowane spojrzenia oślizgłe jak krople śliny. Gargulce nie pojmowały, dlaczego komendant NPG stoi tej nocy na ich wieży, poza tym bały się Cienioskrzydłych, którzy w osobach Kronka i Walliego siedzieli w kucki na balustradzie, ignorowały zaś dowódcę Niuchaczy, który z zatroskaną miną siedział, dygocząc, na ramieniu Grima. Nigdy nie były zbyt rozumne, nie docierało do nich zbyt wiele ani z dawnego blasku Gargulców, ani z honoru i odwagi Cienioskrzydłych. Jedyne, co ich interesowało, to utarczki z klanem gołębi, wybuchające zawsze wtedy, kiedy któryś z jego pierzastych przedstawicieli został znaleziony w zakamarkach katedry kompletnie oskubany i boleśnie urażony. Było to bez wątpienia coś jak końska głowa podrzucona do łóżka na sposób Gargulców, ostrzeżenie dla całego klanu gołębi i aluzja do zemsty, jaka czeka je za to, że kamienne głowy każdego dnia są w stanie dokładnie powiedzieć, co gołębie spożywały przez cały dzień. Z upodobaniem bowiem rozmieszczały swoje pożywienie, oczywiście po uprzednim gruntownym jego strawieniu, na kamiennych ciałach Gargulców. Grim nie mógł się powstrzymać, by nie tylko przyznać mafijnym zachowaniom swoich pobratymców pewien walor komediowy, ale też wykazać wobec nich niejaki rozumienie. Niemniej kamiennogłowi z Notre-Dame niewiele więcej mieli w

głowach poza gołębiami, którymi gardzili. Jedynym, który wykazywał się jakim takim rozumem, był Hubertus, rzygacz w koziej postaci, zaprzyjaźniony trochę z Bocusem, ale nawet on nie umiał spojrzeć Grimowi w oczy, żeby zaraz nie zaczęły mu podejrzanie drgać powieki.

Grim uśmiechnął się niezauważalnie. Był świadom tego, jak na obserwujących działa widok Cienioskrzydłych. Popatrzył na Kronka i Walliego, kucających na balustradzie, zupełnie jakby mieli lada chwila wznieść się w powietrze, na ich spojrzenia stężałe i bezlitosne, jakby potrafiły przeniknąć ciało i kamień. Ich twarze były nieruchome, zupełnie jakby nie słyszeli chichotania gargulcowej gawiedzi i już choćby ta ich cierpliwa postawa zdradzała, że są wielkimi, prastarymi wojownikami. Razem z Wallim Grim przedzierał się przez tundry Północnego Świata, by przepędzić Wilka Perchtów, i jeszcze dzisiaj ten wielki kamienny niedźwiedź o skołtunionej sierści potrafił jednym ciosem łapy powalić wyrosniętego wilkołaka, by w następnej chwili popaść w zachwyt nad pięknem usianego gwiazdami nocnego nieba. Wspólnie opuścili się do podziemi Pragi, by zepchnąć zbuntowane demony z powrotem w cień; Grim przypomniał sobie zapach katakumb, tę chłodną woń prastarych kamieni i smak krwi na języku. Także Kronk tyle razy był u jego boku, ten Cienioskrzydły, który – niewiele brakowało – a w pojedynkę pokonałby Czarnego Dżina Bagdadu. Grim przypomniał sobie, jak razem siedzieli na Ogniach Driad, kiedy on był jeszcze zwykłym wyrostkiem, a tamten szary Cienioskrzydły wprowadzał go w arkana życia wojownika. Albo to, jak klęczał przed zwłokami ludzkich dzieci, których nie mógł uratować w tamtej wiosce po drugiej stronie Rzeki Gromu. Pamiętał dokładnie, jak uniósł wtedy głowę i spojrzął na Kronka – Kronka, ówczesnego majora i jego przełożonego, Gargulca o zimnych jak lód oczach i głosie, który każde wyszeptane słowo potrafił zmienić w oręż. *Przestań się mazać*, powiedział wtedy do niego ten stary wojownik i podniósł go na nogi, jakby Grim sam był jednym z tych dzieci, które martwe leżały na ziemi. *Ucz się, abyś mógł je uratować... następnym razem*. Wtedy właśnie Grim ujrzał po raz pierwszy jego ciepły, czarny uśmiech, który z rzadka tylko, a i wtedy jedynie przelotnie gościł gdzieś głęboko, na samym dnie oczu Gargulca. Na samo wspomnienie ledwie zauważalnie skinął głową.

To Kronk nauczył go, co to znaczy być Cienioskrzydłym. Od tamtej pory walczyli wspólnie w niezliczonych bitwach, stali ramię w ramię i ratowali sobie nawzajem życie, i pozostali towarzyszami po dziś dzień.

Grim lekko westchnął. Od jakiegoś już czasu czekali na Vladika i Pyrosa, i w przeciwieństwie do swoich starych towarzyszy broni, Grim z trudem panował nad sobą. Najchętniej wstałby i poszedł sobie, a powstrzymywała go tylko wizja tych snobów z katedry, jak z uniesionymi brwiami podnoszą w górę tekturowe tabliczki z ocenami, zlustrowawszy go od góry do dołu, jakby był ludzkim modelem prezentującym męską bieliznę na wybiegu.

Z mroczną miną odpędził od siebie te myśli i nadal spoglądał ponad dachami Paryża, które z biegiem lat stały mu się tak swojskie, jak zapach jego własnej kamiennej skóry. Znał stan napięcia, jakie ogarniało go przed zadaniem takim jak to – to mrowienie karku i koncentracja, która jak zimny kolec tkwiła w jego głowie i sprawiała, że gotując się do walki, napinał wszystkie mięśnie. A jednak teraz coś było inaczej. Pieczenie w piersi dawało się we znaki i co chwila w jego myślach pojawiał się obraz Minotaura, czy mówiąc dokładniej, jego spojrzenie, którym przewiercał Grima spod maski. Było w nim coś szukającego i chociaż Grim nie potrafił jeszcze znaleźć na to słów, miał jednak wrażenie, jakby z każdym krokiem, który robił w stronę obcego, zbliżał się do jakiejś części siebie – części, która była w nim już od dawna i tylko czekała, żeby wychynąć na powierzchnię. Grim wydał niechętny pomruk. No, ładnie. Czy nie wystarczy, że musi w środku nocy i na lodowatym wietrze wystawać na jednej z najwyższych wież Paryża, lustrowany wzrokiem przez tych idiotycznych jurorów od bielizny, z głowami całymi w gołębich odchodach? Parsknął z pogardą i stwierdził, że teraz to już naprawdę dosyć. Nie trzeba mu jeszcze pseudopsychologicznych bzdur, które rozbawiłyby do łez byle kobolda umiającego stawiać tarota.

Remi sfrunął z jego ramienia i chodził teraz tam i z powrotem po balustradzie, głośno zgrzytając zębami.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego to zawsze mnie obarcza się takimi zadaniami – wymamrotał po raz setny i spojrział w otchłań otwierającą się u jego stóp, jakby patrzył w nęcącą dal, w której kryje się obietnica

winogron, popcornu i listów od pewnej osoby z Czarnego Lasu.

– Ponieważ twoje zdolności znacznie przewyższają zdolności zwykłego kobolda – odparł Grim, starając się nadać głosowi ciepły ton.

– Nie bez powodu zostałeś dowódcą Niuchaczy, nie zapominaj o tym. A ponadto jesteś... no, na przykład zielony. Zielony jak kolor nadziei.

Remi z wściekłością wsparł się pod boki, a z jego czarnych, podobnych do guzików oczu aż posypały się iskry.

– To naprawdę nie jest odpowiedni moment na żarty! – syknął. – Tylko przez ciebie muszę udać się do tego świata, tego kosmosu ze snów i... i... szaleństwa! Nie jestem mieszkańcem Międzyświata jak ty, nie jestem stworzony do skakania tam i z powrotem między różnymi światami, jak przy grze w gumę. Kto wie, co mnie tam czeka, może jakieś wielkie jadowite węże albo cyklopy, które spalą mnie jednym spojrzeniem, albo...

– ...koboldy, które za nic nie potrafią się zamknąć – mruknął Grim, ale Remi nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

– Jestem koboldem poszukiwaczem – wymamrotał pod nosem. – To jest moje zadanie. A znalezienie tropu w świecie snów to nie kaszka z mleczkiem, o nie, to nie byle co.

Grim westchnął.

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Ale Czarna Nafta wskaże ci drogę. Wiesz równie dobrze jak ja, że to doskonały środek, żeby...

Remi przewrócił oczami.

– Jak mi jeszcze zaczniesz opowiadać o postrzeganiu pozanaftowym, to wołam Hubertusa i jego przyjaciół i siadamy do partyjki pokera! – Skrzyżował ręce na piersiach i wypluwszy w otchłań pod sobą maleńką kropelkę swojej koboldziej śliny, wymamrotał pod nosem: – Czarna Nafta, myślałby kto.

Grim z trudem powstrzymał uśmiech. Dobrze wiedział, że Remi ćwiczył tę scenkę przed lustrem, a zobaczył ją w ludzkim westernie, który obejrzał razem z Rozalią. Widać uznał, że to świadectwo odwagi.

– Jak się tak dokładniej zastanowić, to przecież nic innego jak zwykły koszmar – stwierdził Grim.

– Jakby to było mało – odparł Remi ponuro. – Wystarczająco dużo naczytałem się o tej truciznie, żeby wiedzieć, jakie to niebezpieczne.



Chociaż całkiem przydatne w naszym obecnym położeniu. Bo niezależnie od tego, jaka jest jadowita, to jednak nie opuszcza tak łatwo realnej materii, którą nasączyła, i pozostaje w niej nawet w królestwie snów, ponieważ chce swoją ofiarę pożreć sama i dlatego broni jej przed siłami każdego innego świata.

– Jakbyś cytował informacje z podręcznika – stwierdził Grim i skinął głową z należnym uznaniem. – W ten sposób zyskujemy idealne połączenie rzeczywistości ze snem, bez naruszania zasad którejkolwiek ze stron.

– Zasady, zasady! – prychnął gniewnie Remi. – A co mnie one obchodzą? Wiem tylko tyle, że znowu tylko ja mam nosa do tej sprawy, chociaż jestem ze wszystkich najmniejszy! Niech mnie kule biją, jeśli...

Grim właśnie otwierał usta, żeby przerwać potok ludzkich powiedzonek, którym miał zamiar zalać ich Remi, kiedy rozległ się brzęczyk. Remi złapał się za serce i podskoczył na balustradzie. Grim wyciągnął z kieszeni aparat. Pojawił się nad nim migoczący hologram, ukazujący chłopca o ciemnych włosach i żywych, niebieskich oczach, który przysiadł na omszałym głazie. Wokół niego Grim rozpoznał prastare drzewa, w pewnej odległości płonęło ognisko, przy którym siedzieli Theryon i Jakub.

– Cześć, to ja! – zawołał Carven, kiedy zobaczył Grima i Remiego, i pomachał do nich.

Wyraz napięcia natychmiast zniknął z twarzy Remiego. Kobold uśmiechnął się szeroko, jakby na głowę spadł mu właśnie orzech laskowy, i to ze szczerego złota, także twarz Grima rozpogodziła się.

– Widzimy cię – odpowiedział Gargulec cicho, ponieważ nie miał wątpliwości, że ci z tyłu wyciągają szyje. – Wygląda na to, jakbyście dotarli do Trr'okhr'oll.

– Tak, do Trollolandii – powiedział Carven i skinął głową, zupełnie jakby znaczenie tej nazwy mogło być w pełni zrozumiałe tylko w języku ludzi. Potem przysunął się bliżej do swojego urządzenia i uniósł ręce w zachwycie. – Przepłynęliśmy z olbrzymem o imieniu Urknogg między szkierami, on ma łódź, która wygląda jak wielki pień drzewa, tyle że pusty w środku, i ma tam takie deski, mówię wam, nawet sobie nie wyobrażacie! Dotarliśmy z nim aż do Grronthu, pamiętam, opowiadałeś

mi o nim, ale... – Otworzył szeroko oczy i pokręcił głową, jakby brakowało mu słów. – To miasto jest takie... ogromne! Theryon zabrał mnie do gospody, wysoko na szczycie takiej góry i słuchaliśmy tam wiatru, który świstał wokół nas. Miało się wrażenie, jakby to wyło tysiąc upiórów, poważnie! I piłem z Jakuben praghun, mówię wam, jak mnie od tego bolała głowa... – Zaśmiał się, a Grim miał problem ze zrobieniem surowej miny.

– A ja myślałem, że Theryon i Jakub będą mieli na ciebie dobry wpływ – mruknął groźnie i zadowolony zobaczył, że Carven z zakłopotaniem wbija wzrok w ziemię. Zaraz jednak na jego ustach pojawił się zawadiacki uśmieszek.

– I mieli, jak najbardziej – powiedział szelmowskim tonem. – Gdyby Jakub mnie nie ostrzegł, na pewno wpadłbym na latarnię, jak już wracaliśmy. Na szczęście ma większe doświadczenie w picciu wina trolli niż ja.

Grim nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Cieszę się, że podróż sprawia ci frajdę. Tylko... uważaj na siebie, zgoda?

Czuł na sobie spojrzenie Remiego, ale nic na to nie mógł poradzić, że przed chwilą aż serce mu zamarło, kiedy Carven powiedział o praghunie. Dobrze znał to wino trolli z własnego doświadczenia i nawet wiedząc, że zwłaszcza Theryon nigdy nie pozwoliłby na to, by Carvenowi coś się stało, przez moment miał ochotę najprostszą drogą polecieć na Północ i osobiście mieć oko na chłopca. Ale Carven nie był już dzieckiem, musi się nauczyć stać na własnych nogach, a na pewno mu się to nie uda, jeśli przez cały czas będzie miał u boku Cienioskrzydłego, który – jak to kiedyś powiedział Remi – najchętniej wyręczałby go nawet przy wiązaniu butów.

– Jasne – powiedział Carven. – Jutro lecimy z orłami do Andriwana, Wietrznego Olbrzyma. Theryon mówi, że go znasz?

Grim przytaknął ruchem głowy. To prawda, zawarł znajomość z mrukliwym Księciem Północnych Wiatrów. Było to wtedy, gdy właśnie rozpoczynał służbę u króla... i nie wiedział jeszcze, że w jego żyłach płynie ludzka krew... i kiedy mu się wydawało, że swój wewnętrzny niepokój zostawił w Italii... wtedy, w tamtym życiu.

– Jak będziecie mieli szczęście, to pozwoli wam rzucić okiem na swoją Twierdzę Burz – powiedział. – Ale...

Carwen przerwał mu machnięciem ręki, jakby już wiedział, co Grim chce powiedzieć.

– Theyron twierdzi, że może nawet wcale nie wyjść, ale już ja go stamtąd wywabię, nie sądzisz?

Grim uśmiechnął się. Carwen patrzył na niego jak tamtej nocy, kiedy siedzieli naprzeciwko siebie na Wzgórzach Tary przy ognisku Hortensjusza. Spoglądał na swój dziecięcy, pełen tęsknoty sposób, który skłonił Grima, by stał się dla niego tym, kogo Carwen chciał w nim widzieć – to znaczy bohaterem, na którym chłopiec mógł się wzorować, ojcem i przyjacielem, których nigdy nie miał.

– Tak jest – odpowiedział miękko. – Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Carwen dumnie skinął głową.

– A co tam u was? Remi ma pobladłą skórę wokół nosa, oglądaliście jakiś horror, czy jak?

Remi wybuchnął śmiechem zdecydowanie zbyt piskliwym, żeby mógł być szczerzy, aż Grim musiał go lekko trącić, żeby zamilkł.

– No właśnie – powiedział dudniącym głosem Grim. – Znasz Remiego, nie znosi widoku krwi, no a poza tym nie jest już przecież najmłodszy. Niezbyt dobrze znosi takie napięcie.

Carwen wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No, jeśli to tylko film, to w porządku.

W tym momencie kobold westchnął teatralnie.

– Właśnie – przytaknął. – Na razie jeszcze wszystko w porządku.

Grim niepostrzeżenie wysunął dłoń w stronę Remiego, aby w razie potrzeby zręcznym ruchem palca strącić go z balustrady, gdyby przyszło mu do głowy powiedzieć Carwenowi bodaj słowo na temat planowanej podróży do Świata Snów. Theyron i Jakub nie powiedzieli nic Carwenowi o mgie i Grim chciał, aby tak zostało. Niech chłopak cieszy się pobytem na Północy, a nie zadręcza tym, co dzieje się daleko od niego, w Paryżu, albo w innych światach. Remi jednak westchnął tylko raz jeszcze i tęsknym wzrokiem spojrzął na rozciągający się za Carvenem las.

– No cóż – zaczął Carven i zmieszany wbił wzrok w ziemię. A potem spojrzał na Grima tak poważnie, jak zawsze wtedy, kiedy zadawał pytanie, które mogło przebić jego pancerz ochronny.

– A ze smokiem wszystko dobrze, tak? – spytał cicho.

– Tak – odparł Grim. – Większość czasu przesypia, ale nauczyłeś go paru fajnych sztuczek. Szkoda, że jedną z nich nie było sprzątanie...  
– Zaśmiał się trochę ochryple i dodał jeszcze: – Tak, tak, ze smokiem wszystko dobrze. I... tęskni za tobą.

Remi spojrzał w górę tak gwałtownie, że o mały włos straciłby równowagę. Patrzył na Grima z nieskrywanym rozbawieniem, ale ten nie zwracał na niego uwagi. Jedyne, co teraz widział, to uśmiech na twarzy Carvena.

– To miłe – powiedział chłopiec niemal z ulgą. – Ja też.

Remi uśmiechnął się przebiegle, ale w tej chwili Carven sięgnął po komunikator i ziewnął:

– Nie wiem, czy uda mi się zgłosić przez następne dni. Theyron twierdzi, że Andriwan nie cierpi żadnych urządzeń technicznych. To chyba trochę tak jak ty, nie?

Grim przytaknął ponuro. Rzeczywiście, miał kilka cech wspólnych z Wietrznym Olbrzymem. Może dlatego, że pewnego dnia Andriwan własnoręcznie zrzucił go z wierzchołka góry, i to głową w dół.

– Powiedz tamtym, żeby ci już nie dawali więcej wina, bo będą mieli ze mną do czynienia. I uważaj na siebie.

Carven roześmiał się.

– Wy też uważajcie na siebie, a dla Remiego rada: oszczędzaj się przez kilka najbliższych dni!

Remi zdążył jeszcze nabrać powietrza, żeby coś odpowiedzieć, kiedy chłopiec wyłączył urządzenie.

– Gdyby on wiedział... – mruknął kobold i właśnie otwierał usta, by rozpocząć swój lament, kiedy w powietrzu dały się słyszeć uderzenia skrzydeł i na wieży wylądowali Pyros i Vladik. Mieli ze sobą magiczne pętle i sznury unieruchamiające i po krótkich słowach powitania dali Grimowi linkę, do której końca przymocowany był wąski pasek.

Grim owinął sobie dwa sznury unieruchamiające wokół nadgarstka i wyciągnął linkę w stronę Remiego. Kobold patrzył to na połyskujące

pęta, to znów na linę.

– I co ja mam niby z tym zrobić? – spytał szczerze zdumiony. – Mam się bronić tą smyczą, jak mnie zaatakuje dziewięciogłowy smok, który wyrwał się z jakiegoś ludzkiego snu? Mam go tym udusić, czy jak?

– Ta smycz, jak to nazywasz, to dla twojego bezpieczeństwa – oświadczył Grim, błyskawicznie zapinając na nim pasek, a drugi koniec linki trzymając w dłoni. – Sam powiedziałeś, że nie jesteś istotą z Międzyświata, istnieje więc niebezpieczeństwo, że mógłbyś się w Krainie Snów zgubić. Dlatego będę na ciebie uważał.

Remi przesunął spojrzenie od paska przez linkę aż do szponów Grima.

– Przecież nie jestem psem! – wrzasnął i na twarzy wystąpiły mu czerwone plamy wściekłości. Od razu poprawiło to Grimowi humor.

– Oczywiście, że nie – zgodził się. – Żaden pies nigdy nie wpadłby na pomysł, żeby tyle narzekać co ty.

Mówiąc to, skinął głową pozostałym Cienioskrzydłym i zanim Remi zdążył cokolwiek odpowiedzieć, przenieśli się do Krainy Snów. Grim zdążył jeszcze usłyszeć podniecone głosy Gargulców z Notre-Dame i niebo nad nimi zaczęło migotać. Remi wskoczył mu na ramię, otoczenie rozmyło się w szumiące smugi i Grim poczuł magiczne nurty prześlizgujące się po jego skórze niby woda na przemian wrząca i lodowata. A potem poczuł na twarzy tchnienie wiatru, które zmusiło go do zaczerpnięcia pierwszego oddechu w nowym świecie. Powietrze chłodną strugą wpłynęło mu do płuc, smugi wokół niego przekształciły się w aksamitne kolory i nagle znalazł się na łące na skraju lasu. Rośliny o wielkich, miękkich liściach kołysały się na wietrze, gdzieś rozległo się pohukiwanie sowy, a nocne niebo nad nimi wyglądało tak, jakby ktoś wlał farby olejne do kleju i rozsmarował na wszystkie strony cienkimi pędzelkami. Z tych kolorów wyłonił się z przeraźliwym krzykiem orzeł i przeleciał nad lasem. Z jego piór spadały krople farby niby krew, zabarwiając drzewa na czerwono. W następnej chwili przez grunt przebiegło drżenie, głębokie i dudniące jak ryk tygrysa. Remi w panice złapał Grima za ucho i boleśnie wpił się w nie rękami. Poirytowany Grim strzepnął kobolda z ramienia.

– Niewykluczone, że stoimy właśnie na głowie tygrysa, któremu na

czasem wyrosła łąka – stwierdził Grim i wbił wzrok w Remiego, który patrzył na niego jak na kogoś niespełna rozumu. – Równie dobrze może być i tak, że w tamtym lesie kryje się sto lwów albo trzy tysiące koboldów, które robią w spodnie ze strachu i planują zadusić nas smrodem. Taki jest właśnie Świat Snów. Nic nie jest tym, na co wygląda. Jeśli jesteś mądry – albo przynajmniej chciałbyś udawać, że jesteś – to powinieneś zapomnieć o strachu i robić to, czego należałoby się spodziewać od dowódcy Niuchaczy: tropić obcego. Im szybciej będziemy mogli się stąd wynieść, tym lepiej dla ciebie. Istnieją światy, które nie są stworzone na rozum kobolda, i ten jest właśnie jednym z nich.

Remi był zbyt przejęty, by zareagować na te przytyki. Pospiesznie przyfrunął bliżej Grima i unosząc głowę do góry, by móc lepiej węszyć, bezustannie przesuwał oczami to na prawo, to na lewo, jakby w każdej chwili spodziewał się zobaczyć lwy albo koboldy, o których wspomniał Grim. Im silniej jednak docierały do jego nozdrzy zapachy Świata Snów, tym wyraźniej widoczna stawała się u niego bruzda między brwiami, świadcząca o tym, że się koncentruje. A kiedy kobold się na coś koncentrował, to nie było miejsca na emocje takie jak strach. Remi przymknął oczy i wykonał rękami całą serię dziwnych ruchów. Grim zacisnął zęby. Nieraz był już świadkiem takiego pokazu umiejętności w sztukach walki Elfów i za każdym razem kojarzyło mu się to z jaskiniowym trollem ćwiczącym jogę, takie to było dziwaczne. Ten rodzaj sztuki walki, którego drogą podążał Remi, nazywał się Ścieżką Zielonej Pięści, nazwa, która niczego Grimowi nie ułatwiała, ponieważ zawsze kojarzyła mu się z zielonym kciukiem i Remim w ogrodniczym fartuchu. I tym razem z trudem powstrzymał uśmiech, kiedy Remi raptownie otworzył oczy i z szaleńczym zdecydowaniem wskazał w stronę lasu.

Kobold leciał na lince z przodu, a Grim i pozostali szli za nim. Kiedy dotarli do skraju lasu, z krzaków wyleciał rój figur szachowych, a z gałęzi obserwowały ich kryształowe motyle w okularach. Mech pod ich nogami był miękki, ale Grim doskonale wiedział, że to co widzi, to nie jest żaden las. Było to tylko jakieś przeczucie w komnatach snu, szept niosący się w myślach ludzi i wypędzający ich poza granice

samych siebie, bo mieli pewność, że nie wpadną w otchłań. Pozwolił więc ponieść się temu szeptowi, ponieważ miał zdolność utrzymywania się pomiędzy wszystkim, nawet pomiędzy snem a rzeczywistością. Nic bowiem w tym świecie nie było realne, a przy tym wszystko było prawdziwe – tak bardzo prawdziwe, że ostry liść rośliny mógł obciąć nieuważnemu koboldowi głowę. Jednym szarpnięciem przyciągnął do siebie Remiego, który z zachwytem w oczach unosił się przy płatkach jakiegoś kwiatu i zaglądał do środka, jakby miała tam czekać na niego taca pralinek, a nie na przykład jadowity wąż.

*Zapewniam, że nie chciałbyś wiedzieć, na co przed chwilą patrzyłeś,* powiedział Grim w myślach, gasząc tym rozanielony wyraz twarzy Remiego. Oczy kobolda zrobiły się na moment wielkie jak spodki. Grim widział, że walczy ze sobą, aby się nie odwrócić, zaraz potem skinął głową i nabrał głęboko powietrza.

*Jestem tu po to, żeby coś wywąchać, a nie żeby coś zobaczyć,* odparł, ale zabrzmiało to bardziej tak, jakby sam chciał sobie o tym przypomnieć.

Potem zamknął oczy, ponownie zadarł nos w górę i na ślepo podążał między drzewami. Od czasu do czasu ten czy inny zapach odrywał go od głównego tropu, lecz Grim zważał na każdy jego ruch i szarpnięciem natychmiast przywoływał go do porządku. Właśnie przechodzili przez polanę, której trawa usiana była zmurszałymi belami tkanin, kiedy jakiś błysk zauważony kątem oka kazał mu spojrzeć w górę.

Wysoko w koronie jednego z drzew przycupnęła tłusta, stara żaba, mająca dwa złote lusterka zamiast oczu. Wydawała ochryply głos, bardziej przypominający śmiech hieny niż żabi rechot, potem nagle zeskoczyła z drzewa i ledwie dotknęła ziemi, a podłoże lasu natychmiast wybrzuszyło się, jakby chciały się z niego wydostać na powierzchnię skalne bloki. Zaraz potem w leśnym poszyciu zaczęły przemykać cienie jakichś stworzeń przypominających pantery o długich, zagiętych kłach.

– Szybko – zawołał Grim i przyciągnął do siebie Remiego, który znieruchomiał w powietrzu z otwartymi oczami. – Tamten nas zauważył. Musimy...

Zanim zdolał dokończyć zdanie, jedna z panter wyskoczyła z

gąszczu i zatopila pazury w ciele Kronka. Ten wydał okrzyk bólu, złapał monstrum za kark i używając Płomiennego Wiru, cisnął go w cień.

Grim objął Remiego dłonią i zmusił, żeby na niego spojrzał.

– Zamknij oczy – powiedział dudniącym głosem. – Skup się na zapachu, rozumiesz? Tamten ma władzę nad snami, ale nie nad naszą wolą, i znajdziemy go, jeśli nas do niego zaprowadzisz! Tylko ty możesz to zrobić!

Remi dygotał na całym ciele, ale w jego oczach płonęła dzika determinacja. Skinął głową i zamknął oczy, by błyskawicznie pofrunąć między drzewami. Grim trzymał linkę, pozostali tymczasem bronili się przed atakującymi. Nagle ziemia pod nimi zaczęła drżeć jeszcze gwałtowniej i wystrzeliły z niej skały, zamieniając się w warany wielkości byka. Paszcza jednego z nich z trzaskiem zamknęła się tuż przed Remim, ale zanim kobold zdążył otworzyć oczy, Grim wznosił się w powietrze i pociągnął go za sobą. Niebo wokół nich zmieniło się, pojawiły się ciemne chmury i z towarzyszeniem potężnych gromów i błyskawic firmament rozdarł się, śląc w stronę ziemi czarny deszcz. Grim rozpostarł nad sobą ochronną osłonę. Niedaleko widział Vladika i Wallego, za sobą słyszał krzyk Kronka. W następnej chwili spadł na niego deszcz. Krople bez najmniejszego trudu przeniknęły przez osłonę i z sykiem zagłębiły się w skórę Grima.

Przeszył go ból i Grim krzyknął tak przeraźliwie, że aż głos mu się załamał. Chmury sięgały po niego. Grim z wysiłkiem uniósł skrzydła do góry, ale poczuł nagle paraliżującą truciznę płynącą w jego ciele i w następnej chwili nie mógł się ruszyć. Kiedy spadał, wiatr uderzył go w twarz niby wielka pięść. Czuł linkę w swojej dłoni i widział małe ciało Remiego spadające razem z nim, i ciemne postacie Pyrosa i Kronka bardzo blisko siebie, także pędzące ku ziemi. A potem otuliła go szara mgła i przesłoniła mu obraz.

Znalazł się na ziemi, ale lądowanie było łagodne, jakby spadł na poduszki. Przez moment leżał bez ruchu, ponieważ mgła miękko i niemal czule przesuwiała się po jego twarzy i chociaż paraliż ciała ustąpił, czuł się tak zmęczony, że prawie nie mógł się ruszyć. Nagle oczami duszy zobaczył Minotaura patrzącego na niego z góry nieruchomym wzrokiem. Grim zacisnął pięści i wypchnął resztki



trucizny ze swego ciała. Do diabła, przecież nie będzie tak sobie leżał w tym świecie i pozwalał robić z siebie głupka jakiemuś obcemu w masce! Z sapnięciem zerwał się na nogi i przyciągnął trzymaną w dłoni linkę. W następnej chwili poczuł lodowaty dreszcz przebiegający mu po plecach – pasek był pusty. Grim odwrócił się gwałtownie, ale jego spojrzenie pochłonęła mgła.

– Remi! – zawołał, doskonale wiedząc, że przyjaciel nie może go usłyszeć. Jego głos brzmiał cicho i głucho, zupełnie jakby dobiegał z za tysiąca zamkniętych drzwi. Natychmiast rozpostarł skrzydła. Gdzieś w tej przeklętej mgle jest Remi, kobold ze skłonnością do teatralnych zachowań, który zostawił serce w Czarnym Lesie, dowódca Niuchaczy, który brał udział w każdej bitwie, jeśli tylko trzeba było pomóc przyjacielom i sprawiedliwości, bo cenił to bardziej niż własne życie – przyjaciel i najbliższy zaufany Grima od stuleci. A teraz był bezbronny i samotny, a on, Grim, na pewno nie zostawi go na łasce losu, nigdy.

Z potężnym rykiem wyrzucił przed siebie zaciśnięte pięści, wypuszczając z nich gorejące złotym ogniem sieci, które zapalały opary mgły. Rozerwie tę przeklętą mgłę, wpuści światło do tych nędznych ciemności, a wtedy odnajdzie pozostałych i uchroni Remiego przed popadnięciem w szaleństwo, co na pewno czeka go w tym świecie. Co chwila miotał ogniste sieci, aż cała mgła wokół niego zajęła się ogniem i w powietrzu zawirowały płatki popiołu. Grim przedzierał się przez nie jak przez płonące skrawki papieru, ale co chwila w jego stronę mknęły nowe tumany popiołu, sprawiając, że przestawał widzieć cokolwiek. W skroniach pulsowała mu wściekłość. Uderzył pięścią w strzęp mgły. Niech to szlag, chce widzieć światło, złote światło, które przedrze się z za chmur. Kiedy to pomyślał, mgła wokół niego rozdarła się i welony światła opadły na rozległą równinę, nie, na pustynię. Grim od razu ją poznał. Tam, daleko za horyzontem, leżało miasto o srebrzystych domach i wieżach z mieniącą się macicy perłowej. Rozbłysło w nim wspomnienie. Już kiedyś był w tym miejscu i na wspomnienie tego poczuł niewypowiedziane uczucie szczęścia. *Arrmonghur*, przeleciało mu przez głowę. *Wolność*. Grim czuł bicie serca w każdym zakamarku ciała. Zadał sobie pytanie, czy może śni, lecz odpowiedź rozpięzła się pod uderzeniami jego skrzydeł i czuł lodowaty żar w ciele, kiedy tak

pędził nad pustynią, żar tego płomienia, który mógł pochłonąć pieczenie w jego piersi i który tak długo trzymał zamknięty w swoim wnętrzu.

Wykonał szaleńczą pętlę w powietrzu. Coś tłuło się w jego głowie, głęboko pod myślami, coś bardzo ważnego, o czym zapomniał – nie, nie zapomniał, zaraz o tym pomyśli. Ale najpierw chce się nacieszyć tą chwilą, tą chwilą skończonej piękności w świetle, który sam stworzył, jakby był Bogiem. Bo czyż tak naprawdę nim nie jest? Rozpostarł ramiona i poczuł łagodny wiatr nieba na swojej skórze, tego złotego, idealnego nieba – jego nieba.

Szeroką spiralą opuścił się niżej, przeleciał tuż nad powierzchnią wody, lecz zanim jeszcze spojrział w dół, wiedział już, co tam zobaczy. Zmusił się jednak do spojrzenia w morze i rozpoznał swoją własną płomienistą twarz. Z rykiem poderwał się w górę, niebo rozpadło się, a wraz z nim złudzenie. Jak z niezmierzonej oddali usłyszał odgłos, który przypominał kichanie. Popędził w tamtą stronę jak w stronę światła na końcu tunelu i zaraz potem ocknął się ponownie na ziemi. Mgła wokół niego zniknęła.

Grim, oszołomiony, przesunął ręką po oczach. Nie mylił się, ta przekłeta mgła sprawiła, że zapadł w sen! Szara i ledwie widoczna przewalała się jeszcze w pewnej odległości od niego, wyraźnie się cofając. Podniósł się na nogi, a wtedy rozległo się gwałtowne kichnięcie. Aż się wzdrygnął. Szybko pociągnął za linkę i z ulgą stwierdził, że na jej drugim końcu dynda Remi. Potrząsnął koboldem, który obudził się z cichym okrzykiem.

– Co się stało? – spytał i przygładził włosy, które sterczały mu na wszystkie strony, tak że jego głowa wyglądała jak szczotka do mycia butelek.

– Ten łajdak nas uśpił – mruknął Grim. – Musieliśmy podejść do niego bliżej, niż sobie tego życzył. Pospieszmy się. Musimy znaleźć pozostałych, a wtedy już mu pokażemy, jak wygląda prawdziwy koszmar.

Remi przytaknęła ruchem głowy. Zaczął węszyć, a potem wskazał na mgłę przed nimi. Twarz Grima sposępniała.

– Musimy trzymać się z daleka od tego diabelstwa. Kronk i pozostali pewnie tam jeszcze są, a to oznacza, że obcy ma ich w swojej

władzy. Z nami mu się to już więcej nie uda. Musimy zachować jasność myśli, jeśli mamy uwolnić tamtych!

Ruszyli w stronę mgły, która skłębiła się w niezbyt dużej odległości od nich, by nagle z cichym szeptem rozpląnąć się w powietrzu, a wtedy w twarz uderzył ich zimny wiatr. Grim zmarszczył brwi. No tak, mgła się rozviała, a spoza jej coraz bardziej przejrzystego welonu wyłonił się, potężny jak góra, granatowy zamek. Niezliczone wieże, wykusze, blanki i balustrady zdobiły budowlę, która w wielu miejscach wyglądała zgoła absurdalnie: jakieś schody, które prowadziły w górę, nagle kończyły się w połowie, mosty i drogi urywały się przy murach, a wszędzie kołysały się zwodzone kładki na łańcuchach, wyglądające jak martwe kończyny pozornie nieskończenie wysokich wież. Mury zamku wzniesione były z fluoryzującego kamienia, którego krawędzie połączone były z otoczeniem siateczką delikatnych żyłek. Płynęło przez nie do budowli czerwone i srebrne światło, pulsujące raz jaśniej, raz ciemniej i Grim nie mógł pozbyć się wrażenia, że oto stoi naprzeciw ogromnego serca, serca z tęsknoty i mroku. Zwiewne strzępy mgły wpływały do środka, jakby wciągane przez potężne płuco. Remi głośno przełknął ślinę.

– Trop prowadzi do środka – wyszeptał.

Grim ponuro popatrzył na ostatni strzęp mgły, który właśnie wślizgnął się do wnętrza zamku przez uchyloną główną bramę, i zacisnął pięści. Gdzieś w tym przeklętym upiornym zamczysku są Kronk i wszyscy pozostali – i ten obcy, który był wystarczająco szalony, żeby zdrzeć z nim, z Grimem, i który bardzo szybko gorzko tego pożałuje.

Remi zajął miejsce na jego ramieniu i Grim ruszył w górę ścieżką prowadzącą do zamku. Strzępy mgły kłębiły się od środka przy oknach, co wyglądało tak, jakby budowla spoglądała na nich tysiącem pokrytych bielmem oczu. Kroki Grima nie budziły żadnego dźwięku, a jednak kiedy zbliżyli się do bramy, jej skrzydło poruszyło się na wietrze i zgrzytnęło cicho. Za bramą był długi korytarz, od którego odchodziły drzwi najróżniejszych kształtów i wielkości. Pojedyncze welony mgły przeciskały się pod nimi, sunęły niby duchy po posadzce i ślizgały w górę po ścianach, kiedy jednak próbowały sięgnąć Remiego, ten dmuchnął w ich kierunku, powodując, że się rozerwały. W tym samym

momencie na końcu korytarza pojawiła się jakaś postać. Poruszając się w welonie mgły jak w transie, skręciła w jeden z bocznych korytarzy. To był Kronk.

– Miałeś rację – powiedział szeptem Remi. – On śni.

Grim pospiesznie ruszył przed siebie. Diabli wiedzą, jakie są zamiary obcego wobec jego towarzyszy, ale on na pewno nie będzie się temu obojętnie przyglądał. Jak mógł najszybciej pognał za Kronkiem, ale wyglądało na to, że mgła przyspieszyła kroki Cienioskrzydłego, bo kiedy Grim skręcił za róg, gdzie zniknął Kronk, jego nie było już widać. Gargulec właśnie zamierzał ruszyć w głąb korytarza, kiedy pod sufitem przemknął jakiś cień, nie więcej niż zarys postaci, lecz Grim natychmiast ją rozpoznał. Szybko schował się za wpółprzymknięte drzwi. Remi z przerażeniem wpatrywał się w stronę, skąd zbliżały się kroki. Grim uniósł szponiastą dłoń. Bezgłośnie wypowiedział słowa zaklęcia. Przez drzwi wsunął się niemal przezroczysty welon mgły, a tuż za nim pojawiła się kamienna stopa.

Jednym susem Grim skoczył przed siebie i przycisnął dłonie do skroni Walliego. Przesłał mu przez swoje palce lekkie Zakłęcie Światła... i kompletnie zaskoczony zobaczył, jak ciało niedźwiedzia rozsypuje się w popiół. Remi wrzasnął, lecz Grim złapał go i uniemożliwił wydanie jakiegokolwiek więcej odgłosu. Gniewnie patrzył na rozżarzone drobiny popiołu leżące u swoich stóp.

*Złudzenie*, szepnął w myślach do Remiego. *Musimy...*

Nie zdążył dokończyć zdania, ponieważ w tej samej chwili do jego uszu doszło głośnie sapanie, które z pewnością nie było wytworem wyobraźni. Gdzieś niedaleko nich był ranny Vladik. Oczy Remiego zrobiły się okrągłe z przerażenia, wyglądał teraz zupełnie jak wyrak. Grim cicho wypowiedział słowa zaklęcia i patrzył, jak powietrze przed nim staje się rozedrgane i zaczyna się zmieniać. Wyłoniły się z niego szpony, potężne skrzydła, wielkie, kamienne ciało... i oblicze, którego wyraz mówił jedno: niech nikt, ale to absolutnie nikt nie waży się stanąć między Cienioskrzydłym a jego towarzyszami.

Skinieniem głowy wysłał swojego sobowtóra na korytarz. Sobowtór najpierw szedł powoli, potem coraz szybciej, a kiedy otworzył usta i zaryczał, Grim miał wrażenie, jakby jego własny głos zadudnił mu

w uszach. Sobowtór, rycząc, gnał korytarzami, uderzał o ściany i przeskakiwał strzępy mgły próbującę dosięgnąć go jadowitymi językami.

W oczach Remiego pojawił się błysk podziwu. Grim ostrożnie ruszył w stronę, skąd dochodziły odgłosy. Ryk jego sobowtóra wciąż jeszcze niósł się echem po korytarzach, kiedy dotarli do drzwi z lapis lazuli. Grim powoli je otworzył.

Wkroczyli do sali zrobionej z nocy. Już raz był w tym miejscu, przypominał sobie ściany, które powiewały jak poruszane wiatrem zasłony, i rozgwieżdżone niebo, z którego spływał srebrzysty blask. Wyraźnie słyszał też szum fal, lecz inaczej niż to było w złudzeniu, do którego wysłał go Vraternius. Nie czekał tu na niego Minotaur, a magiczny krąg na posadzce był wytarty i na wpół strzaskany. Naprzeciw drzwi znajdowała się ściana z nieprzezroczystych okien, czerwonawy blask bił od zewnątrz w szyby. A obok, przykuci do ściany sznurami unieruchamiającymi wisieli Cienioskrzydli. Spali, ale od czasu do czasu ich twarze wykrzywiał grymas, jakby daremnie próbowali wyrwać się ze snu, w który wrzuciła ich mgła. Grim pospieszył w ich stronę. Magiczne sznury wrzynały się w ich ciała, ale kiedy chciał je rozerwać, usłyszał ryk swojego sobowtóra, zamierający w jednym z odległych pomieszczeń. Remi zaczął chwytać otwartymi ustami powietrze... i w tym momencie drzwi za nimi zatrzasnęły się.

Grim odwrócił się gwałtownie i zobaczył mknący z sykiem w jego stronę Płomienny Wir. Instynktownie rozpostarł ochronną osłonę i ukrył Remiego w dłoni. Jego spojrzenie padło na obcego, który stał przy drzwiach. Na ułamek sekundy Grim patrzył mu prosto w twarz – obcy nie miał już maski i patrzył na niego w jakiś osobliwy sposób, zupełnie jakby szukał w nim czegoś, czego jednak nie mógł odnaleźć. Grim przeczuwał już wspomnienie, które zmierzało w jego stronę. Jego serce zatrzymało się na moment, a potem trafił go czar. Jego osłona ochronna spłonęła jak papierowy wachlarz i Grim niczego już nie rozumiał.

## Rozdział 8



Mia niespokojnie podeszła do balustrady wieży kościoła Świętego Jakuba. Księżyc płynął przez morze poszarpanych strzępów, a ona patrzyła w noc, daremnie mając nadzieję, że ujrzy wyłaniającego się z cieni Grima. Od wielu godzin nie miała od niego żadnych wieści i lęk powoli zaczynał doprowadzać ją do obłędu.

Przesunęła palcami po kamiennej balustradzie, dokładnie w tym miejscu się pożegnali. Grim niewiele mówił, lecz smoliście czarny żar w jego oczach czule musnął jej policzki. Rzadko kiedy aż tak wyraźnie widziała w jego oczach mrok kryjący coś nieuniknionego, a kiedy Grim wzleciał w noc, miała wrażenie, że wyruszając w podróż do Krainy Snów, zmierza w stronę czegoś, co już dawno go wzywało, a on wreszcie mógł odpowiedzieć na to wezwanie. Zupełnie jakby wszystko, co miało się od tej chwili stać, w jakiś dziwny sposób dawno już było przesądzone.

– Mia! – zawołał Bocus, który razem z Klarą i Fibim przysiadł na białym ogniu u stóp Świętego Jakuba Starszego i wyciągnął w jej stronę talię kart. Jego ogon krył migocący opatrunek i Mia, jak zawsze, kiedy na niego spojrzała, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Była świadkiem tego, jak Bocus poślizgnął się na desce Carvena, i chociaż bardzo współczuła mu z powodu bólu, to jednak widok smoka, który z szeroko otwartymi z przerażenia oczami robi fikołka w powietrzu, miał w sobie coś nieodparcie komicznego. Widząc uśmiech na jej twarzy, Bocus skrzywił się i burknął:

– Potasuj karty, wymaż z pamięci wszystkie wspomnienia o smokach na jeżdżących deskach i przestań się zamartwiać. Grim potrafi na siebie uważać, dowiódł tego przez ostatnie stulecia.

Fibi zachichotał. Jego chichot przypominał gdakanie.

– No właśnie. Nie ma takiej ściany, której by już nie przebił swoim twardym łbem, a zaszkodzić mu to jakoś nie zaszkodziło.

– Czego nie można powiedzieć o ścianach – uzupełniła Klara. Spojrzała na Mię z łagodnym uśmiechem. – Na pewno się zgłosi, gdy tylko będzie mógł. To, że wyłobisz koleiny na tarasie jego wieży, nic mu nie pomoże.

Mia nie mogła powstrzymać śmiechu, kiedy Fibi zerwał się na równe nogi i w pozie myśliciela, ze zmarszczonym czołem zaczął chodzić tam i z powrotem, wzdychając od czasu do czasu, tak jak ona pewnie robiła to od dłuższej chwili. Przysiadła się do nich i potasowała karty.

– No, no, całkiem znośny już z ciebie karciarz – stwierdził Bocus. – Chociaż...

– ...wciąż jeszcze nie potrafi zauważyć, że nasze stare smoczysko schowało sobie asa pod gipsem! – zawołał Fibi i roześmiał się głośno.

Mia wykrzywiła usta w uśmiechu.

– To niełatwe zadanie grać w karty z trzema Gargulcami. Bo czyż jest inny gatunek, który ma lepsze warunki do zachowania pokerowej twarzy?

– Och, jak najbardziej – odparła Klara. – Ha' rechole.

Bocus przewrócił oczami.

– O tak, to prawda. Te duchy po prostu znikają i zostają tylko unoszące się w powietrzu karty. Jestem pewien, że regularnie zaglądają innym graczom przez ramię, bo jeszcze nie zdarzyło mi się wygrać z duchem.

– No, na początku mnie też nie było z wami łatwo – stwierdziła Mia. – Przy byle okazji czytaliście mi w myślach. To było straszne.

– Za to ty o mało nie złamałaś mi nosa, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, zapomniałaś już? – Fibi uśmiechnął się wymownie. – Mało wiedziałaś o Innoświecie, a jeszcze mniej o nas, Gargulcach.

Mia rozdała karty.

– Ale od początku przyjęliście mnie z otwartymi ramionami. W każdym razie o wiele bardziej przyjaźnie niż Grim.

Bocus wypuścił z nozdrzy mały obłoczek dymu.

– Grim nie należy do tych, którzy sprawiają dobre pierwsze

wrażenie – odparł. – A niewiele jest istot, którym daje szansę na drugie. Ale jest w nim więcej dobrego, niż można się spodziewać. Wszyscy, jak tu jesteśmy, możemy to potwierdzić. I nigdy nie było to ze szkodą dla nas.

Mia przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Grimem, twarzą w twarz, tutaj, na jego wieży. Przypomniała sobie magię, jaką obudził w niej jego widok, i spokój, jaki nagle ją wówczas ogarnął, i ciszę, jakiej wcześniej nie знаła. Nie zadała mu żadnego pytania, przynajmniej na głos, a jednak on jednym spojrzeniem udzielił jej wszystkich odpowiedzi, jakich potrzebowała. Ukazał się jej, chociaż wcale tego nie chciał, i chociaż początkowo ze wszystkich sił się przed tym bronił. Popatrzył na nią, tu, wysoko na wieży. Od tego momentu nie było już dla niej innej drogi, jak tylko droga w cień. A tam, w tajemnych królestwach świata czekały na nią istoty, które stały się jej przyjaciółmi, jej rodziną i które wypełniły jej życie swoim mrokiem i swoim zaczarowaniem. Objęła się ramionami i pomyślała o swojej ludzkiej rodzinie. Chociaż z całych sił starała się odsunąć od siebie dręczącą myśl, znów ujrzała przed sobą twarz matki, usłyszała jej szept i poczuła mgłę na jej skórze, kiedy nadaremnie próbowała jej dotknąć.

– Grim ją odnajdzie – powiedziała cicho Klara. Kamienna koza od zawsze miała talent do tego, by nawet bez czytania w myślach dokładnie wiedzieć, co dzieje się w jej rozmówcy, i podchodzić do niego ciepło i ze zrozumieniem. – Przyprowdzi ją z powrotem do domu i rozprawi się z tym, który ją uprowadził.

Fibi otrząsnął się, jakby ktoś oblał go kubłem zimnej wody.

– Ta mgła to było coś bardziej niż upiorne. Widziałem ją, całkiem niedaleko stąd, i te szepty...

Głosy mgły rozbrzmiały w głowie Mii i poczuła płomień łamiące się na jej twarzy. Przez jej myśli przemknęło pytanie, czy gdzieś w Paryżu jest jeszcze ktoś, kto tak jak ona i Jakub może stać pośrodku mgły i obserwować ją, nie zasypiając. Jakiś Hartyda, Widzący Możliwe, który po prostu nie przeczuwa jeszcze, jakimi dysponuje zdolnościami. Kto wie, czy ona sama kiedykolwiek zostałaby obudzona, gdyby nie to, że Jakub utorował jej drogę? Pewnie do dzisiaj nikt by się na niej nie poznał i pozostałaby z tym rozdarciem i tęsknotą w piersi, czując, że



świat, taki, jaki ma przed oczami, wcale nie jest tym właściwym światem, że nie jest kompletny. Nabrała głęboko powietrza. Może właśnie w tym momencie gdzieś tam, na ulicach Paryża, jest jakiś Hartyda, który lada moment zostanie odkryty – człowiek taki jak ona.

Uderzenie dzwonu rozniosło się w nocnym powietrzu, kładąc się na ramionach Mii jak zimna chusta. To niepodobne do Grima, żeby nie reagować na wiadomości od niej, a przebywał w Świecie Snów już znacznie dłużej, niż zamierzał. Coś musiało się wydarzyć, coś, czego się nie spodziewał. Odłożyła karty i wstała.

– Nie mogę już dłużej czekać – powiedziała. – Ta niepewność mnie zabija. Pojadę do Ghrogonii i poproszę Mouriera, żeby wysłał kogoś na poszukiwanie Grima i tamtych.

Bocus pokręcił głową.

– Ten stary lew nawet palcem nie ruszy po tak krótkim czasie. Za nic nie wyśle kolejnych Cienioskrzydłych do Świata Snów, nie wiedząc na pewno, czy rzeczywiście coś poszło nie tak. Poza tym założę się o wszystko, że Grim zostawił dokładne instrukcje, w którym momencie NPG ma podjąć jakieś działania. Znasz go przecież.

– To prawda – poparła go Klara. – Ma ze sobą najlepszych wojowników spośród Gargulców i na pewno nie chciałby niepotrzebnie narażać dodatkowych Cienioskrzydłych na niebezpieczeństwo. Poza tym byłoby dla niego bardziej niż nieprzyjemne, gdyby się okazało, że muszą go ratować.

Mia przewróciła oczami, ale zanim zdążyła coś odpowiedzieć, z ust świętego Mateusza buchnęły pierwsze dźwięki *Sympathy for the Devil*, sprawiając, że wszyscy aż się skulili.

– Niech cię szlag, Fibi – mruknął Bocus, patrząc z ponurą miną, jak mały diabełek z szerokim uśmiechem skoczył w stronę windy. – Przyjdzie taki dzień, że Grim zabroni ci nawet patrzeć w stronę dzwonka.

Fibi tylko wzruszył ramionami.

– Jakbyś ty był lepszy. Tych świętych śpiewów, które bez przerwy puszczasz, kiedy nikt nie patrzy, nie da się wytrzymać, wymiękają nawet ci święci tutaj! Popatrz na ich miny! Ja też bym pewnie tak wyglądał, jakby mi dzień w dzień huczał we łbie głos Najwyższego!

Zaśmiał się diabolicznie i nacisnął guzik windy, co spowodowało pojawienie się małego hologramu. Pokazywał on Lyskiana stojącego pod wieżą i niecierpliwie czekającego ze skrzyżowanymi ramionami. Śmiech natychmiast zamarł Fibiemu na ustach.

– Hmm – wydusił i otworzył drzwi na dole. – Wizyta na wysokim szczeblu.

Mia spojrzała na niego z wyrzutem. Jak wszystkie Gargulce, także ta trójka odnosiła się do wampirów z mieszanymi uczuciami, a zwłaszcza Fibi, który już parę razy miał okazję zawrzeć bliższą znajomość z siepaczami Lyskiana, krwiopijcami, którzy pilnowali porządku głównie w dzielnicy Marais i od czasu do czasu zabawiali się zamykaniem buntowniczych Gargulców w wampirycznym areszcie.

– To przyjaciel Grima – powiedziała z naciskiem. – A także mój. Więc...

Fibi z ponurą miną sięgnął po karty.

– To my znamy tak naprawdę Księcia Wampirów, mademoiselle, i pozwól sobie powiedzieć, że bynajmniej nie dla każdego jest on tak przyjazny, jak dla ciebie. Przebywając w pełnych szcurów lochach pod jego domem, miałem okazję wystarczająco dobitnie się o tym przekonać, moja droga. I powiem tylko jedno: bardzo chętnie przycisnąłbym go do piersi i wypił z nim bruderszaft, a jakże – ale jak na to, mam za dobrą pamięć!

Klara spojrzała na niego surowo, za to Bocus skinął potakująco głową i chciał jeszcze coś dodać, ale w tym momencie świetlna kolumna windy rozbłysła i wyszedł z niej Lyskian. Z uśmiechem przywitał się z Mią i uprzejmie skłonił się Gargulcom.

– Życzę wszystkim pięknej nocy – powiedział łagodnie, lecz chociaż na jego twarzy nie było nawet cienia ironii, słowa te miały w sobie coś niesłychanie szyderczego. Mia stłumiła uśmiech, kiedy Fibi mruknął pod nosem coś, co aż za bardzo przypominało „jeszcze przed chwilą taka była”, i zabrała Lyskiana na bok. Nocny wiatr muskał jej twarz, ale był ciepły w porównaniu z chłodem, jakim emanowało ciało Księcia Wampirów. Patrzył na miasto, w kącikach jego ust czaiło się napięcie, a w oczach płonęło chłodne skupienie.

– Jeszcze nie wrócili, prawda? – spytał.

Mia pokręciła przecząco głową.

– Chciałam powiadomić Mouriera, ale...

Lyskian jednym krótkim spojrzeniem potwierdził to, czemu już wcześniej dał wyraz Bocus: Mourier nie ruszyłby nawet palcem.

– Ten stary lew nie powinien o niczym wiedzieć – powiedział Lyskian. – Ale Grim jest moim przyjacielem i chociaż różnimy się jak ogień i woda, to jednak dokładnie czuję, kiedy coś z nim jest nie tak. Coś wisi w powietrzu. Noc jest zimniejsza, cienie czarniejsze i bardziej złowieszcze, i słyhać jakieś szepty... Nie wiem, co to jest, a już zdarzało mi się mylić... – Zamilkł, a jego oczy stały się jak dwa czarne jeziora. – Ale nieczęsto.

Mia zmusiła się do zachowania spokoju.

– Ale co w takim razie mamy robić? Nie możemy udać się do Świata Snów, bo postradalibyśmy zmysły.

Lyskian ledwie zauważalnie skinął głową.

– Grim by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że ci o tym mówię, ale... – Przyglądał się swoim paznokciom, które błyszcząły jak wypolerowane szkło. – ...Ale maska Bhaala to niezwykle potężny artefakt, a takie przedmioty zazwyczaj nie zmieniają właściciela ot, tak sobie. Grim o tym wie. W czasie naszej rozmowy zaproponowałem, żeby się dowiedział, kto może się kryć za tą maską... nieco inną drogą niż ta, którą poszedł. Wtedy bylibyśmy już o krok bliżej rozwiązania zagadki, jakie są zamiary obcego. Grim jednak odrzucił moją propozycję i zrobił to nie bez przyczyny. Ta bowiem, która mogłaby nam pomóc, zawsze żąda za to ofiary. I co najważniejsze, żąda jej od ludzi. Ta droga kryje wielkie niebezpieczeństwa... dla ciebie.

Mia przypomniała sobie, jak gwałtownie Grim zareagował na propozycję Lyskiana.

– A kim jest ta, która może nam pomóc?

– Być może już nawet o niej słyszałaś – odparł Lyskian. – Jej skóra jest ciemna jak zakrzepła krew, oczy zielone jak młoda trawa, a jej długie włosy śpiewają pieśni na wietrze, pieśni całego świata. Jej stopy przewędrowały dżungle Indii i pustynie Świata Wschodu, jej dłonie czerpały wodę Morza Czarneego, a oczy widziały gwiazdy nad trawami Wiecznego Stepu na długo przed tym, zanim pierwszy wampir postawił

nogę w Bukareszcie. Panuje nad *Bhraganną*, krainą tych, co nie mają swojego miejsca, i nikt, kto nie należy do jej ludu, nigdy tam jeszcze nie był.

Spojrzał na Mię i w jego oczach pojawiły się postacie, wędrowny lud, ciemne, dzikie oczy, pobrzękujące bransolety na wzniesionych w tańcu rękach. W jego wzroku pojawił się obraz jarmarku – dzieci przy drewnianej karuzeli, śmiejący się mężczyźni i kobiety o długich, czarnych włosach tańczący wokół ognia. Starsze dzieci gnały kozy przez plac, podrostki żonglowały brudnymi szmacianymi piłkami, a za tym barwnym chaosem, który wyglądał, jakby pochodził z innego czasu, stał jaskrawo pomalowany wóz cyrkowy. Na jego drewnianych ścianach widać było powycinane maszkarony, nad wydeptanymi stopniami schodków złowieszczo otworzyły się drzwi, a z wnętrza rozległo się wypowiedziane szeptem imię, które jak klątwa rozpało wszystkie oczy. *Raskaya Vara'ntyn*. Musnęło ono lodowato policzki Mii, zaraz jednak połykacz ognia plunął w jej stronę zielonym płomieniem, że aż wzdrygnęła się ze strachu i obrazy skryły się z powrotem w oczach Lyskiana, zupełnie jakby ani przez chwilę nie było w nich nic innego prócz odbicia Mii.

– *Raskaya Vara'ntyn* – powiedział, a jego głos brzmiał niemalże miękko. – Ona jest kimś więcej, o wiele więcej, niż była Puri Daj, jej Wielka Matka, kimś więcej niż czarownicą, wieszczką czy jak tam jeszcze brzmią te połowiczne pojęcia z Górnego Świata, tak jak i jej lud to coś więcej, niż się wydaje zwykłym ludziom. Od pewnego czasu jest w mieście, nie pokazuje się nikomu, kto jej nie szuka, a jednak czuję ją wszędzie. Jest jak zapach snujący się po wszystkich uliczkach, obca, drażniąca, a przez to tym bardziej pociągająca woń tęsknoty i rozkładu. – Lyskian zamilkł na chwilę. – Ona kocha ludzi i zarazem ich nienawidzi – podjął. – I nie robi nic, ale to nic za darmo. Zna jednak demoniczne otchłanie tego świata znacznie lepiej niż ja. Powiadają nawet, że sama wyszła z jednej z nich, i to na długo przed tym, nim ja się pojawiłem. Czci cienie i gardzi światłem. Jednocześnie jednak niczego bardziej nie pragnie, jak właśnie jego, i sięga po nie, gdy tylko nadarzy się okazja. Nigdy z tym nie skończy po prostu dlatego, że inaczej nie potrafi. To leży w jej naturze. I to sprawia, że jest tak groźna.

Raz jeszcze Mia ujrzała przed sobą wóz, usłyszała imię i poczuła, jak rozlewa się ono na jej ustach niby trucizna.

– A więc ona mogłaby nam powiedzieć, kto kryje się za maską – powiedziała, z całą mocą odpędzając natrętne obrazy. – A kiedy już będziemy wiedzieli, kto to jest, będziemy się też mogli dowiedzieć, co zamierza i jak możemy uratować ludzi... oraz Grima i pozostałych, jeśli są w jego mocy.

Lyskian spoglądał na nią w milczeniu, lecz przez jego spojrzenie przemknął jakiś cień, jakieś wahanie, co nadało twarzy wampira niezwykle wyraz kruchości i wrażliwości. Odwrócił się gwałtownie, jakby nagle pożałował, że w ogóle tu przyszedł, ale jednak skinął potakująco głową.

– W takim razie ruszajmy – powiedziała Mia, stwierdzając z zadowoleniem, że w jej głosie nie było słychać lęku. – Mam u boku Księcia Wampirów, któż się odważy wyrządzić mi jakąkolwiek krzywdę?

Uśmiechnęła się, lecz Lyskian nie odpowiedział uśmiechem. Zamknął na moment oczy, jakby przewidział jej reakcję, a jednocześnie się jej obawiał. Potem spojrział na księżyc, który w tym momencie przebił się przez chmury.

– Ona już pewnie wie, że przyjdziemy – wymamrotał ledwie słyszalnie. – Nie traćmy więc czasu.

Mia pożegnała się z pozostałymi, którzy spoglądali na nich z ciekawości z nad kart, i razem z Lyskianem opuściła wieżę. Lyskian przyjechał swoim wozem, wielkim czarnym Jaguarem XJ, który zazwyczaj prowadził barczysty wampir o imieniu Buhrr, tego wieczoru jednak Lyskian najwyraźniej zrezygnował z usług kierowcy. Otworzył Mii drzwi limuzyny i dziewczyna opadła na szerokie skórzane siedzenie. Deska rozdzielcza fosforyzowała na niebiesko i kiedy Lyskian włączył silnik, rzeczywiście miało się wrażenie, jakby rozległ się jedwabisty pomruk dzikiego kota. Niemalże bezgłośnie sunęli ulicami miasta, blask księżyca wpadał przez szklany dach, a Mia patrzyła na dłonie Lyskiana pewnie spoczywające na kierownicy. Aż się uśmiechnęła, przypominając sobie, jak po raz pierwszy pokazał jej ten samochód, zwracając jej uwagę zwłaszcza na ogrzewaną kierownicę. *Nie ma dnia, żebym nie*

*cierpiał przez te moje zimne palce, powiedział jej wtedy z uśmiechem. A jak by to wyglądało, gdyby Księżę Wampirów paradował w jednopalczastych rękawicach!*

Z głośników sączyła się cichutko muzyka klasyczna, dodatkowo wzmacniając wrażenie, jakby znajdowali się w zupełnie innym świecie, w jakimś bezpiecznym schronieniu za pancernymi szybami odgradzającymi ich od tego, co na zewnątrz. Ale za szybami przez cały czas pojawiały się obrazy jarmarku i pędzące w jej stronę płomienie, ześlizgujące się zaraz po szybie. *Raskaya Vara 'ntyn*, szeptała noc, a kiedy dotarli do Département Seine-Saint-Denis na północy miasta, Mia odniosła wrażenie, jakby ciemność za szybami zaczęła zmieniać się w bezdenną otchłań.

Wyprostowała się niespokojnie. Uwielbiała tchnienie obcości towarzyszące jej na każdym kroku, gdy samotnie przemierzała te uliczki, ale już na długo przed poznaniem Innoświata wyczuwała niebezpieczeństwo czające się na tych peryferiach. Nie chodziło tylko o wilkołaki, które preferowały mieszkanie w wolnych od magii strefach ciągnących się przez Saint-Denis, czy Przemieniaczy, albo duchy snujące się wokół katedry. Także wielu tutejszych ludzi odczuwało niezwykle napięcie, zupełnie jak zapędzone w kąt zwierzę, które przy nieostrożnym ruchu może się rzucić i ugryźć – a już szczególnie dotyczyło to ludzi, do których właśnie się udawali.

Lyskian zatrzymał się przy wyważonej z zawiasów bramie, za którą widać było teren opuszczonej budowy. Zignorował młodych ludzi, którzy przysiedli na murku, ledwie popatrzył na nich z nieskrywaną wrogością.

– Czy to na pewno rozsądne zostawiać samochód właśnie tutaj? – spytała Mia ściszym głosem, kiedy wysiedli.

Lyskian uniósł lekko brwi. Bez słowa nacisnął przycisk zamka centralnego... i w tej samej chwili po karoserii przemknęła ledwie dostrzegalna poświata. Mia poczuła lodowate zimno wionące od samochodu i cofnęła się instynktownie.

– Zazwyczaj wystarczy samo zaklęcie odstrasżające – stwierdził Lyskian. – Ale zdarzało mi się już widzieć ludzi przymarzniętych do maski mojego samochodu. Cóż, nie warto pchać się do zimna, jeśli nie

potrafi się mu sprostać, prawda?

Jego uśmiech sprawiał wrażenie swobodnego, ale kiedy obrzucił nim młodych ludzi, zamarli na moment bez ruchu, jakby nałożył na nich jakiś czar. Znali go, nie ulegało wątpliwości. Mia dostrzegła bowiem w ich oczach strach i nieufność; pospiesznie zeskoczyli z murku i w milczeniu zniknęli za bramą. Ruszyła za Lyskianem na teren opuszczonej budowy, gdzie tłoczyły się jedna przy drugiej budy sklecone z blachy falistej, zdezelowane przyczepy kempingowe i pozbijane z desek zagrody. W blasku księżycy nad budami unosiły się smugi dymu, asfalt przecinały rynsztoki. Nad wąskimi uliczkami rozwieszane były sznury na bieliznę, powietrze wypełniały dziecięce krzyki i muzyka, wielogłosowa i ciepła. Silniejszy jednak niż wszystko inne był zapach snujący się po obozowisku, zapach spalonej ziemi i krwi pod brudnymi paznokciami, opowiadający o innych krajach i obcych myślach. Był okrutny i oszałamiający, i do tego stopnia niemal cielesnie namacalny, że Mia aż wstrzymała oddech. Ten zapach drażnił ją, a jednocześnie napełniał pragnieniem, by dowiedzieć się, gdzie jest jego źródło. Ledwie o tym pomyślała, tchnienie wiatru dotknęło jej twarzy jak czyjaś dłoń. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że widzi na asfalcie iskry jarmarcznego ogniska, które ujrzała w oczach Lyskiana. Zaraz potem wiatr z szumem odleciał i powietrze wypełnił śmiech, chrypliwy i szorstki. A kiedy rozległ się śmiech, z domostw wylegli ludzie – mężczyźni w porwanych dresach, kobiety w długich sukniach i dzieci o brudnych twarzach, których oczy przypominały Mii oczy wrózek, oczy, które nie wyrażają niczego. Lecz pierwsze wrażenie okazało się mylne: oczy tych dzieci odzwierciedlały wszystko, cały świat... a przez to nic.

Z tłumy wyszedł starzec o zmierzwionej brodzie i dzikich szarych oczach. Patrzył w ich stronę, zachowując jednak dystans, jakby wiedział, z kim ma do czynienia, ale w jego spojrzeniu nie było lęku. Pojawił się w nim za to na widok Lyskiana błysk uporczywego i nieskrywany gniew. I chociaż Mia wiedziała, że Lyskian jednym ruchem palca może spalić całe to obozowisko, i była pewna, że starzec zdaje sobie sprawę z jego siły, nie dostrzegła na jego twarzy ani śladu szacunku, tylko co najwyżej niechętny respekt. Mia jeszcze w niczyich oczach nie widziała tak płomiennej pogardy dla jakiegokolwiek strachu.

Z tłumy wystąpiło kilku młodych ludzi, lecz zanim jeszcze starzec zdążył się odwrócić w ich stronę, Lyskian uniósł dłoń. Przez powietrze przemknęło tchnienie lodowatego zimna, delikatnie musnęło twarz Mii, ale ziemię skuło lodem, sięgając aż czubków butów młodych ludzi, którzy cofnęli się przestraszeni. Lyskian wbił spojrzenie w starca, który nadal patrzył w jego stronę, wreszcie powiedział coś po romsku. Słowa spływały miękko i aksamitnie z jego ust i Mia zobaczyła, jak twarze stojących przestają być zamknięte. Starzec milczał przez moment, potem skinął głową i dał znak Lyskianowi i Mii, żeby poszli za nim. Młodzi ludzie rozstąpili się, ale cały czas odprowadzali ich wzrokiem, jakby tylko czekali, kiedy będą mogli kontynuować próbę sił.

– Nie wiedziałam, że mówisz w ich języku – powiedziała Mia.

Lyskian uśmiechnął się.

– Nikt nie mówi językiem Romów poza nimi samymi. On jest czymś wyjątkowym, jest jak...

– ...magia – dokończyła Mia mimowolnie i uśmiechnęła się zakłopotana.

Lyskian przytaknął bez słowa.

– Jovan Nikolić<sup>1</sup> powiedział kiedyś: „W czasie wielkiej ucieczki plemion romskich z Indii, wędrujących z kraju do kraju, słowa ich języka wypadały z wozów jak ziarna pszenicy z dziurawego worka. I nie było nikogo, kto by je pozbierał”. Dlatego w każdym nowym kraju przejmowali coś z obowiązującego tam języka i tak powstały najróżniejsze dialekty, w sumie ponad sto. Do dziś nie ma standardowej wersji ich języka ani ogólnie obowiązującej gramatyki. Język Romów jest kluczem do ich ludu. I jest całkowicie wolny.

Mia w milczeniu szła obok Lyskiana wzdłuż baraków, wrogie spojrzenia ześlizgiwały się po niej, a ona wsłuchiwała się w język, który brzmiał surowo jak tajemnica to zbliżająca się do niej, to znów oddalająca w tańcu, tylko po to, by jej pokazać, że nigdy nie zdoła jej zgłębić. Mieszkańcy tego obozowiska nie byli Innostotami, nie byli też Hartydami. Byli ludźmi – kobiety z małymi dziećmi, które Mia знаła z chodników miasta, gdzie żebrały, chłopcy, którzy ze zdezelowanymi instrumentami w dłoniach zaludniali metro, wygrywając za byle drobniaki obco brzmiącą muzykę. Wiedziała, że zbierają złom i drewno,



że wielu z nich wybiera jedzenie z kontenerów na śmieci stojących na tyłach supermarketów, że mieszkają najczęściej bez wody i prądu w prowizorycznych obozowiskach rozsianych po całym kraju, coraz bardziej rygorystycznie zamykanych przez rząd. Mia wiedziała o tych ludziach tyle, ile wiedzieli wszyscy, i być może właśnie dlatego tak naprawdę nie wiedziała nic.

Starzec zatrzymał się przed budą z blachy falistej o drzwiach z niebieskiego plastiku. Zastukał w ścianę, aż buda podejrzenie się zachwiała i coś wymamrotał. Potem rzucił Lyskianowi trudne do rozszyfrowania spojrzenie i odszedł. We wnętrzu blaszanej chaty rozległ się jakiś hałas, drzwi się otworzyły i na ulicę wyskoczyła biała koza. Odwróciła się, mecząc, i zmierzyła Mię i Lyskiana od stóp do głów dziwnymi żółtymi oczami, a potem zniknęła, biegnąc na sztywnych nogach, za najbliższym rogiem.

Lyskian otworzył drzwi szerzej. Zobaczyli niewielkie, zastawione skrzynkami i zbutwiałymi materacami pomieszczenie. W nozdrza uderzył ich ostry odór, Mia słyszała chrzęst rozdeptywanych skorupiek po jajkach. Pod sufitem wisiały najróżniejsze mobile, czyli ponawlekane na nitki piórka i kostki drobnych zwierząt, a kiedy zajrzała w cienie kotłujące się we wszystkich kątach, spojrzała prosto w oczy wypchanego kruka. Na tylnej ścianie wisiała na wpół podarta płachta. Z jakiegoś powodu przypomniała ona Mii zasłony w jej pracowni, lecz ta myśl przejęła ją dziwnym dreszczem. Pajęczyny rozdzierały się z szelestem, kiedy Mia i Lyskian odsuwali je na boki. Za nimi były drewniane drzwi, ciężkie i ozdobione wizerunkami ponurych twarzy, które spoglądały za nimi, kiedy przeszli na drugą stronę.

Mia spodziewała się, że wyjdą z drugiej strony chaty, lecz ku jej zdumieniu znaleźli się w wąskim drewnianym korytarzu wyłożonym skrzypiącymi deskami i mającym malutkie, krzywo osadzone w ścianie okienka. Wyjrzała przez jedno, lecz zamiast obozowiska Romów ujrzała tylko czerwony piasek smagający szyby. Korytarz był tak długi, że w żaden sposób nie mógł się zmieścić w obrębie chaty i chociaż nie odchodziły od niego żadne drzwi, przez cały czas miała wrażenie, że słyszy czyjeś kroki obok i nad sobą. Na ścianie w nieregularnych odstępach wisiały obrazy ukazujące spalone słońcem twarze, ale kiedy

się do nich zbliżała, deformowały się, zmieniając w złośliwe maskarony, które patrzyły za nią ze złośliwymi uśmieszkami, szepcząc *Raskaya Vara'ntyn*. Mia spostrzegła, że Lyskian unosi lewą dłoń na wysokość oczu, co było nieomylnym znakiem, że obawia się ataku. Z obrazów powoli wysuwały się cienie i podążały za nimi. Przyspieszali kroku, a im szybciej szli korytarzem, który nie chciał się skończyć, tym bardziej nerwowo brzmiały tamte głosy. Powtarzały szeptem wiele imion, imion władców prastarych mocy, których Mia nigdy dotąd nie słyszała, a które jednak wydawały jej się tak znajome, jak budzące się wspomnienia czegoś niesłuchanie ważnego, o czym zapomniała.

*Tysiącokrotny Ogień, Hymbal, Królowa Cierni. Pożarty przez K'orrma, Burza Zachodu, zrodzony z popiołu i soli, ten który przeszedł przestrzeń i czas i zaginął w wieczności, Amathuris, Istota z Półmroku.*

Nagle Mia poczuła na ramieniu czyjeś dotknięcie. Odwróciła się gwałtownie i odpędziła świerszcza, który trzeszcząc, próbował dosięgnąć jej twarzy. Lyskian pociągnął ją za sobą, bo szepty stały się już głośnie i ostre.

*Widzimy was, syczały, a cienie usiłowały złapać Mię za gardło. Czego chcecie? Czego tu szukacie?*

W tym momencie Lyskian gwałtownie opuścił pięść, z jego dłoni wydobyło się jaskrawe światło i zapędziło cienie z powrotem do obrazów. Przekrzywił głowę i patrzył w głąb korytarza, jakby widział na jego końcu coś, co skrywało się przed spojrzeniem Mii.

– Rak'nyon Nh'amures – wyszeptał. Korytarzem pomknął welon, który na ułamek chwili oblepił zarysy drobnej postaci z długimi włosami i kłującym spojrzeniem czarnych oczu. Zaraz potem welon spłynął na ziemię jako srebrzysta chusta. Korytarz zaczął się skracać i rozległ się w nim śmiech. Koniec korytarza, który jeszcze przed chwilą ginął gdzieś w nieskończoności, pędził teraz w stronę Mii. Podłoga dygotała tak, że Mia z trudem utrzymywała równowagę. Potem czar ustał. Kilka kroków przed nimi pojawiły się zielone drewniane drzwi ze złotymi intarsjami, a kiedy się otworzyły, lekko skrzypiąc, Mia usłyszała chropowaty, ciepły głos:

– Pas'trahve – wyszeptał głos. – Witamy poza światem.

Mii dosłownie zaparło dech w piersiach. Usłyszała śmiechy ludzi, a

na twarzy poczuła żar ogniska, zanim jeszcze to wszystko zobaczyła, potem nagle znalazła się na rynku, który wcześniej widziała w oczach Lyskiana. Powietrze wypełniała dzika, nieposkromiona muzyka, rozchodziła się woń pieczonego mięsa i karmelu, a między wozami rozpięte były kolorowe światełka. Wszędzie było pełno ludzi, śpiewali i śmiali się, a kiedy jakaś młoda dziewczyna na koniu przeskoczyła przez ognisko, bili jej brawo i wydawali okrzyki podziwu. Kilku mężczyzn grało na starych instrumentach, a kobiety wykonywały namiętny taniec. Ich spódnice fruwały tak blisko ognia, że wzniecały iskry, a brzęk bransolet na ich przegubach i kostkach nóg przebijał się przez muzykę, brzmiąc niby obietnica. Oczarowana Mia patrzyła w czarne jak atrament oczy tych ludzi i nie znalazła w nich żadnej wrogości, ani spłoszenia czy złamanej dumy. Ci ludzie byli wolni.

Ledwie o tym pomyślała, a zauważyła stojący za ogniskiem wóz cyrkowy z czerwonymi drzwiami, a kiedy drzwi z wolna się otwarły, poczuła pragnienie, by rzucić się w ich stronę i szybko je zamknąć. Jakby w reakcji na to, po drewnianych stopniach przetoczył się śmiech dobiegający z korytarza cieni i gdy tylko dotarł do ogniska płonącego na rynku, muzyka urwała się i ludzie, którzy dopiero co radośnie tańczyli, zmienili się w postacie z popiołu. Przerazona Mia chwyciła Lyskiana za rękę. Postacie z wolna odwróciły się w ich stronę, a ognisko, wozy i zwierzęta z sykiem zapadły się w siebie, zmieniając się w czerwony piasek. Pozostał tylko wóz z czerwonymi drzwiami, jaskrawo pomalowany cyrkowy wóz na pustyni z szalejącego piasku.

Wycięte w drewnie maskarony wodziły oczami za zbliżającymi się Mią i Lyskianem. Piasek tumanami wznosił się wokół nich i chociaż zielonkawe światło padające przez uchylone drzwi płonęło złowieszczo, Mia znów poczuła ten zapach, który już w obozie w Saint-Denis nieodparcie ją pociągał. Wstrzymując oddech, weszła za Lyskianem do wnętrza wozu; drzwi natychmiast się za nimi zatrzasnęły. W środku wóz był większy, niż wydawał się na zewnątrz. Wzdłuż ścian stały półki z książkami, pod sufitem wisiały pęki traw, lampiony i marionetki, a przy górnych świetlikach, które wpuszczały czerwony blask pustyni, połyskiwały czarne i białe kryształy, rzucające refleksy na ściany. Przy czarnym, ozdobionym diabelskimi maskaronami piecu, w którym

płonął zielonkawy ogień, stały fotele z wysokimi oparciami, a w głębi, pod ścianą, pośród rozłożonych książek i wytopionych do połowy świec, na fotelu obciągniętym skórą pokrytą czarną sierścią siedziała Raskaya Varańtyn i spoglądała w ich stronę.

Jej włosy, czarne jak smoła, opadały miękkimi falami poniżej bioder, i wyglądała, jakby otulał ją welon utkany z nocy. Miała na sobie czerwoną, przetykaną złotą nicią suknię, a na przegubach rąk bransoletki połyskujące w blasku ognia i kontrastujące z ciemną skórą, tak jak opisał to Lyskian. Mia jednak nie skojarzyła jej z zakrzepłą krwią, raczej z zapachem pieczonych kasztanów i aromatem indyjskiej herbaty. Twarz Raskai była niemal skończenie regularna. Wargi układały się w ledwie zauważalny uśmiech, zupełnie jakby potrafiły opowiedzieć wszystkie historie tego świata, a chociaż skórę twarzy przecinały delikatne linie zmarszczek, nie sposób było ocenić jej wieku. Coś w niej jarzyło się czarnym żarem, czyniąc ją młodą, o wiele młodszą, niż mogła być w istocie. Wszystko w niej wydawało się miękkie i łagodne – wszystko, prócz oczu. Pałały one zielenią, jakiej Mia nigdy dotąd nie widziała, a tańczyły w nich złote iskierki niczym światło uwięzione w przełamany szmaragdzie. Raskaya przechyliła lekko głowę i zupełnie jakby tym gestem wydała rozkaz – otoczenie wokół Mii zapadło się gdzieś i oczyma duszy ujrzała Raskayę w innej postaci, jako młodą kobietę, która przedziera się przez dżungle Indii i pustynie Świata Wschodu. Czuła na swoich dłoniach wodę Morza Czarnego i światło gwiazd, czuła też chłód pustyni, delikatny sznureczek bąbelków powietrza dobywających się z głębin oceanów i wydawało jej się, jakby coś wynosiło ją z wielkiej ciemności prosto w światło. Pył starożytnych miast pokrywał jej stopy, cienie stały się głębsze, barwy mniej wyraźne i nagle ujrzała wokół siebie ludzi, śmiejących się, płaczących, śpiących, czuła zapach potu na nagiej skórze i słodkawą, ciężką woń tęsknoty i rozkładu. Czarne skrzydła muskały jej czoło i widziała upadających ludzi. Ulice znikwały, budynki zapadały się w siebie, świat rozpękał się od uderzeń tych skrzydeł. Ludzie spadali z wysokości jak liście. Ich ciała pokrywały rany, wychodziły z nich robaki, Mia słyszała krzyki umierających i widziała nad sobą pozbawione światła niebo. Leciały po nim wrony jak skrawki papieru unoszone wiatrem i Mia czuła przerażenie, oddanie i

ból, uczucia, które nie były jej i które być może dlatego tym gwałtowniej w niej pulsowały. Ludzkie ciała rozrywały się na strzępy, krew nasączała powietrze. Mia czuła jej ciepło na swojej skórze i wiedziała, że i ona spada niepowstrzymanie w otchłań, jaką była Raskaya.

Lyskian położył dłoń na jej karku. Na moment zrobiło jej się czarno przed oczami, jedwabisty chłód jego zaklęcia wydobył ją z cieni i kiedy uniosła spojrzenie, poprzednie obrazy zniknęły. Tylko Raskaya wciąż siedziała tam, gdzie przedtem, i przyglądała się jej z zagadkowym uśmiechem.

– Królowo Cierni – powiedział Lyskian zimnym jak stal głosem. – Pamiętam bardziej przyjazne powitania w Twoim domu, Pani.

Raskaya spojrzała na niego i niepokojąca zieleń jej oczu pokryła się lodem.

– Czas uprzejmości minął – odparła chrypliwie. – Dobrze o tym wiesz, Panie. Mocno dałeś się mojemu ludowi we znaki, ostatnimi czasy, Panie, a teraz jeszcze przyprowadzasz ze sobą *gadzio*. Znasz przecież nasze ustalenia.

Lyskian ledwie zauważalnie przechylił głowę.

– Znam je i żadnego nie naruszyłem.

Uśmiech Raskai wzmocnił się, złote iskierki w jej oczach rozbłysły i stopiły lód.

– Gdyby tak było, nie bylibyśmy tutaj oboje i nie rozmawialibyśmy ze sobą, drogi przyjacielu. Miałeś, Panie, inne możliwości. Mogłeś uchronić mój lud przed tym, co musiał wycierpieć.

– Ludzie boją się Waszego ludu, Pani – odparł Lyskian. – Oni...

Zanim zdążył dokończyć, Raya wydała ostry syk.

– Ludzie! Ludzie się boją, ludzie są słabi, tak, to prawda, i wiedziałeś o tym, Panie. Ludzie, o których mówisz, Panie, są głupi i od dawna tacy byli. Lecz przecież i mój lud zalicza się do ludzi! A Ty, Wysoki Książę Wampirów, również wywodziś się z tego ludu tchórzcy. Gdybym tylko miała serce, krwawiłoby mi ono za każdym razem, gdy Cię widzę, Panie.

Pokręciła głową i rzeczywiście coś jakby ból błysnęło w jej oczach, cień zgorzknienia, który pozwolił domyślić się jej wieku.

– Zostałeś, Panie, Księciem Ludzi – podjęła niemalże miękko. –

Księciem Światła. Strzeż się, Panie, byś nie zapomniał, jak się patrzy w cieniu. Inaczej może się zdarzyć, że którejś nocy cię pochłoną.

Mia spodziewała się, że Lyskian coś odpowie, on jednak w milczeniu wpatrywał się nieprzeniknionym spojrzeniem w Raskaję, która zwróciła się teraz do Mii. Jej zielone oczy płonęły, a uśmiech stał się tak miękki, że rysy utraciły jakikolwiek chłód.

– Dziecię Burzy – wyszeptała, podczas gdy przez pomieszczenie przemknęło tchnienie wiatru, powodując, że zaszeleściły kartki w otwartych książkach. – Światło w tobie jest mocne, nawet w burzy, w której środkiem stoisz. A może to właśnie dlatego?

Raskaya przekrzywiła głowę i na jej twarzy położył się cień, nadający jej rysom podstępny wyraz.

– Kto wie, czy wkrótce nie doświadczysz, czym jest prawdziwa burza, kto wie, czy nie będzie to bardzo niedługo. Może nawet należałoby ci tego życzyć.

Mia wstrzymała oddech, kiedy Raskaya tak na nią patrzyła, w milczeniu i z namysłem, i miała wrażenie, jakby słyszała łopotanie płacht zasłaniających otchłan jej wnętrza. A potem nagle Raskaya odwróciła wzrok.

– Cóż – powiedziała głośno. – Żadna noc nie trwa wiecznie, ta również. Przybyliście z powodu mgły, z powodu obcego, który objawił się wam jako rogaty potwór... przybyliście z powodu maski Bhaala. Mogę was zaprowadzić do tego, który ją posiada. Tak, mogę wam pomóc. Lecz moja cena za to jest wysoka. Być może za wysoka.

Nie spojrzała na Lyskiana. Jej oczy spoczęły na Mii i zanim dziewczyna zdążyła otworzyć usta, Raskaya mówiła dalej:

– Jesteś tylko człowiekiem, a jednak masz coś, czego ja nie mogę mieć. Chcę czuć to, co ty czujesz... to wszystko. To ja ustalam cenę i nie zwykłam się targować. Czy jesteś gotowa ją zapłacić?

Zastygła w bezruchu, ale właśnie sposób, w jaki położyła dłoń na stole, jak nie opuszczając powiek spoglądała, nie nabierając powietrza, sprawił, że dreszcz przeszedł Mii po plecach. Mimo wszystko skinęła potakująco głową i patrzyła, jak po twarzy Raskai niby trucizna rozlewa się uśmiech.

– Dobrze – wymamrotała Raskaya i zmrużyła oczy, jakby w ten

sposób mogła wyraźniej zobaczyć Mię. – Widziałam mrocznego Hybryda, który udawał się do Krainy Snów. Widziałam też twoją matkę i kobietę o rudych włosach. Kochasz je. I dlatego, by je uratować, zrobisz to, czego chcę.

Lekko dostrzegalnie pokręciła głową.

– Ech, ludzie... – wymamrotała i skinęła na Mię. – Chodź. Siadaj tutaj.

Wstała i wskazała na fotel. Zdumiona Mia spostrzegła, że Raskaya ma tylko po dwa palce u stóp, jak u kozy, palce o długich, zagiętych paznokciach. Rzuciła spojrzenie Lyskianowi, napięcie na jego twarzy było wręcz namacalne, lecz kiedy chciał ją podprowadzić do fotela, Raskaya powstrzymała go.

– Bądź ostrożny, Panie – powiedziała szeptem i zmierzyła go wzrokiem z góry na dół jak uczeniaka, który zamierza udzielić nieprawidłowej odpowiedzi. – Istnieją rodzaje ognia, które potrafią spalić nawet taką istotę jak Ty, Panie. Nie przeszkadzaj, bo źle się to może skończyć.

Oczy Lyskiana zabarwiły się ciemną czernią, lecz został na swoim miejscu. Mia usiadła w fotelu. Sierść była lodowato zimna. Raskaya usiadła przed nią na stołku. Były tak blisko siebie, że Mia dostrzegła, iż to, co wcześniej brała za zmarszczki, okazało się siateczką cienkich pęknięć na twarzy jakby wyciosanej z prastarego kamienia.

– Pokaż mi maskę – powiedziała Raskaya. – Pokaż mi, jak ją napotkałeś... i to tak, jak się nauczyłeś u swojego nauczyciela z Krainy Wróżek. Muszę zobaczyć to, co ty zobaczyłeś. Tylko wtedy pomogę.

Mia skinęła głową i opuściła wzrok. Zmusiła się do myślenia o matce, o Josi, Grimie, Remim i Cienioskrzydłych... i o Theryonie, który nauczył ją wykorzystywać podczas rysowania tkwiącą w niej magiczną moc. Chłód opuścił jej członki i kiedy uniosła dłoń i zaczęła rysować, miała wrażenie, że ciepło jej magii wypływa z niej, by zebrać się w liniach tworzonego rysunku, które rozbłysły teraz jasnym światłem. Jaskrawe płomienie buchały z oczu Minotaura, jego spojrzenie obejmowało Mię z wielką mocą i przez moment wydało jej się, jakby rzeczywiście stała naprzeciwko niego. I znów ujrzała jego potężną postać, poczuła lęk przed nim... i zdumienie, kiedy ledwie zauważalnie

przekrzywił głowę i przyglądał się jej w ten dziwny sposób.

Uśmiech Raskai na moment przeniknął przez obraz, jakby to był sen, potem uniosła dłonie i ledwie położyła je na liniach rysunku, jego magia zaczęła spływać do jej ciała. Mia odnosiła wrażenie, jakby Raskaya wysysała z niej wszystkie siły, a jednocześnie czuła, jak poprzez linie rysunku wchodzi w nią, w jej myśli, jej uczucia, w jej jaźń. Tak, Raskaya wślizgnęła się do wnętrza rysunku, a tym samym do wnętrza Mii, która znów poczuła, jak ogarnia ją lodowaty chłód. Zobaczyła powstające w niej obrazy, przyjmujące kształt demona stojącego w białych płomieniach, potem kolejnego, tym razem o głowie lwa i potężnych pazurach, wampira o popielatej skórze, Gargulca niesionego skrzydłami przez cień i ogień, Mantikora lecącego nad dachami starożytnego miasta, leżącego na polu, błądzącego po katakumbach świata. Obrazy rozbłyskiwały w oszałamiającym tempie, słyszała rozbrzmiewające w swoim wnętrzu imiona i wiedziała, że ci, których oglądała, to byli kolejni właściciele maski, wszyscy, którzy nosili ją po Bhaal'vrionie i wykorzystywali jej moc. Zaraz potem jednak obrazy te zbladły i rozmazały się w martwy tunel, a chłód wypełniający Mię stał się tak potężny, że z trudem nabierała powietrza. Raskaya błądziła po jej myślach, rozchodziła się po jej ciele jak paralizująca trucizna, polowała na wszelkie jej odczucia, jakby były zwierzyną kryjącą się w leśnym poszyciu. Mia wzdrygnęła się gwałtownie, gdy pojawiły się obrazy Grima, Lucasa i Jakuba, chciała je jakoś ochronić, lecz nie mogła nic ukryć przez Raskaję. Mogła tylko bezsilnie przyglądać się, jak tamta przywłaszcza sobie te obrazy, jak czuje to, co czuła Mia, i nagle nieruchomieje pośród tych płomienistych wizji. Raskaya cofnęła ręce i jej krzyk smagnął ciało Mii niby rozżarzony bicz, potem roześmiała się tak, że pęknięcia na jej skórze zaczęły się rozchodzić i pojawiło się w nich zielone światło. Jej oczy płonęły w jaskrawym ogniu, jej włosy oblepiały ją, jakby była pod wodą, a kiedy opuściła ręce, z cieni zaczęła wysnuwać się mgła i otulać Mię.

Mgła owinęła się mocnym chwytem wokół jej szyi, Mia poczuła, jak przerażenie obejmuje panowanie nad jej ciałem. Była we mgle Minotaura, która oddzielała ją od wszystkiego, pozostawiając na łasce jej samej i jej własnych lęków. Jakby z oddali słyszała śmiech Raskai, która



swą niepowstrzymaną łapczywością rozniecała mroźność mgły, wysysając siły z ciała Mii, która już nie dygotała. Nie czuła już nic poza zimnem wypełniającym jej wnętrze, zimnem, które sprawiło, że osunęła się na kolana, i które ukazało jej oczom już tylko jeden jedyny obraz: obraz ojca siedzącego samotnie przy kuchennym stole i płaczącego.

W tym momencie mgłę rozdarł krzyk. Mia oprzytomniała. Leżała na podłodze przy fotelu, a nad nią, z oczyma płonącymi czarnym ogniem, stał Lyskian trzymający Raskayę za gardło. Mia poczuła, jak tamta opuszcza jej ciało, ale jej oczy stały się śnieżnobiałe z mikroskopijnymi zielonymi światełkami, a kiedy uderzyła Lyskiana w pierś, uwalniając się z uścisku, ten cofnął się przed nią.

– Trzymaj się obietnicy – wyszeptał ledwie słyszalnie, ale tak przenikliwie, że oczy Raskai aż się zwięziły. Obrzuciła go spojrzeniem, na jej wargach zaigrał szyderczy uśmiezek. Bez słowa usiadła z powrotem w fotelu, podczas gdy Lyskian ukląkł przy Mii. Kiedy położył dłoń na jej karku i pomógł jej wstać, jej ciało wypełniło się rozgrzewającym zaklęciem. Na ustach Lyskiana pojawił się uśmiech, a w oczach dostrzegła zatroskanie, którego nawet nie próbował przed nią ukryć. Jego ciepło przenikało jej ciało w tak oczywisty i bezgłośny sposób, usuwając z niego chłód, że przez moment wydało się jej, jakby chłód był tylko wspomnieniem.

– Spójrzcie – wyszeptała mrocznie Raskaya. – Spójrzcie, kogo znalazłam na końcu łańcucha, przy ostatnim ogniwie tych, którzy mieli w swym posiadaniu maskę Bhaala. Znasz go, ludzkie dziecię, o, tak... Nie chcesz go zobaczyć?

Mia usłyszała jej śmiech, przez chwilę chciała zamknąć oczy, odwrócić się i zapomnieć o tym obrazie z ognia, który unosił się w powietrzu kilka kroków od niej. Nie uczyniła jednak tego. Uniosła wzrok, poczuła płomienie na skórze i przyłożyła dłoń do ust. Raskaya miała rację. Znała go.

*Jak to możliwe*, pomyślała, ledwie zauważalnie kręcąc głową. Spoglądała bowiem w oblicze anioła.

## Rozdział 9



Ból głowy przeszył Grima jak świetlista włócznia i sprawił, że odzyskał przytomność. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Liczne zaklęcia unieruchamiające przytwierdzały go do ściany. Obok niego wisieli Remi i Cienioskrzydli – wszyscy byli nieprzytomni. W odległości kilku kroków od nich, na kamiennym cokole widniała maska Bhaala, pustymi oczodołami złowieszczo wpatrując się w mrok. A tam, wyprostowana na tle wielkich okien, stała jasna postać o potężnych skrzydłach. Postać, którą Grim znał aż za dobrze.

Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie w katakumbach Ghrogonii, przenikliwe spojrzenie tamtego i wyraz jego oczu, kiedy żegnał się z Grimem po ostatniej walce. Stojący naprzeciwko, zupełnie jakby słyszał jego myśli, nabrał głęboko powietrza i z wolna się odwrócił. Jego widok raził Grima jak grom i chociaż liczył się z tym, że odczuje gniew, wstręt czy nienawiść, to jednak teraz, gdy spojrzawszy w oczy tamtego, owładnęło nim tylko jedno, jedyne uczucie – głęboki, mroczny spokój.

– Serafin – wyszeptał i na moment przestraszył się, że ten obraz rozpadnie się jak wszystkie sny, które w ubiegłych latach miał o swoim bracie. Serafin z Aten, Dziecko Ognia i Hybryd bez prawdziwych rodziców – Serafin, jego brat, powrócił.

Serafin podszedł bliżej, a błękitna poświata snów łagodnie spowijała jego oblicze. Po jego wargach przemknął uśmiech. Grim także się uśmiechnął, po prostu nie mógł się powstrzymać, ale w tym samym momencie gniewnie zacisnął pięści. Oto ma przed sobą Serafina, który ledwie dwa lata temu sprowadził tyle cierpień na Ghrogonię, a on się uśmiecha? Koniecznie musi się wziąć w garść! Niech tamten będzie jego bratem, ale już raz wyrządził wiele zła, a teraz najwyraźniej ma zamiar

drugi raz popełnić ten sam błąd. W dodatku nie ma chyba nic lepszego do roboty, jak tylko spętać go zaklęciami unieruchamiającymi, a potem uśmiechać się do niego jak do złapanego we wnyki dzika.

Serafin zupełnie nie wyglądał jak wojownik, wprost przeciwnie. Sprawiał wrażenie bladego i wymizerowanego, a pod oczami miał głębokie cienie. Grim zauważył też z przerażeniem, które bardzo go rozgniewało, że skóra brata usiana jest licznymi cięciami, które najwyraźniej od jakiegoś czasu nie chciały się goić, a rana na piersi, którą zadała mu Mia, wciąż ziała w ciele jak głęboka wyrwa. Zresztą była tylko jedną z wielu podobnych ran.

Serafin stanął przed Grimem, który zaskoczony nie dostrzegł w jego oczach ani cienia szyderstwa. Widział w nich raczej wyczerpanie, głęboki, niepowstrzymany smutek i... radość? Zmarszczył brwi. Czyżby Serafin zapomniał, kto przyczynił się do jego klęski i nieomal śmierci w Cierniu Ghrogonii? Zacisnął zęby. Nie miał nic przeciwko temu, żeby odświeżyć nieco pamięć Serafina, niech tylko uwolni się z tych przeklętych więzów.

– Przypominasz sobie – powiedział Serafin, uśmiechając się jeszcze szerzej. – I to pomimo tego, że ostatnio niekoniecznie jestem w formie. To mnie cieszy.

Grim prychnął pogardliwie.

– Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, zostałeś pochłonięty przez Czarny Płomień. Ten widok ci, niestety, umknął, ale możesz mi wierzyć, że wcale nie wyglądałeś lepiej niż teraz.

Serafin spoglądał na niego w milczeniu, a kiedy odrzucił uśmiech jak maskę, Grim przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie w Sali Królów i ból, jaki widział w jego oczach, i malującą się w nich tęsknotę. I to odebrało mu resztki sił, którymi podtrzymywał grymas złości na twarzy.

– Tak – powiedział jego Serafin cicho. – Wiem, trudni ci uwierzyć, że mnie widzisz. Że wciąż jeszcze istnieję, po tym wszystkim, co się stało. Doskonale cię rozumiem. Ze mną jest przecież tak samo. Czarny Płomień mnie pochłoniął... ale nie spisał się najlepiej. Przewyciężyłem jego ugryzienie. A teraz jestem tutaj, w tym świecie z wyobraźni i kolorów, i opuszczę go jeszcze tylko raz. Dość dużym wysiłkiem stało się dla mnie w ogóle być, rozumiesz? Ten świat umożliwia mi w miarę

znośne istnienie, bo jest o wiele łagodniejszy niż rzeczywistość, z której do mnie przyszedłeś. Jest jakby stworzony dla istot takich jak my... istot, które nie wiedzą, gdzie jest ich ojczyzna. – Zamilkł, a jego spojrzenie przesunęło się badawczo po twarzy Grima. – Nawet nie wiesz, jak bolesne może być odczuwanie blasku księżyca na skórze, słuchanie szeptu traw i smakowanie słonej wody mórz. Nawet nie wiesz, jakie to może być przerażające, być zmuszonym patrzeć na samego siebie i nie umrzeć od tego. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Grim milczał. Cieszył się niepomrotnie, że tkwi w ciele Gargulca i dzięki temu może ukryć wszelkie emocje za kamienną maską. Czy kiedykolwiek prowadził z Serafinem taką rozmowę? Znał odpowiedź i słyszał w sobie śmiech chłopca, jasny i przejrzysty, śmiech dziecka, które leżało na dnie oceanu i spoglądało teraz na niego z lekkim uśmiechem, jaki często gościł też na ustach Serafina. Tak, Grim doskonale rozumiał swojego brata, rozumiał go tak dobrze, że aż brakło mu słów, a teraz, kiedy znaleźli się naprzeciw siebie, teraz, kiedy gniew powoli ulatniał się z jego twarzy, a on mimo wszystko nie czuł się bezbronny, skinął głową potakująco, w ledwie widoczny sposób. Uśmiech na wargach Serafina stał się wyraźniejszy, ale tylko na moment. Wyglądało to tak, jakby jemu samemu brakowało sił na ten drobny gest. Kiedy się odwrócił, Grim wykorzystał okazję, by wyrwać się ze swego przekłętego sentymentalizmu.

– Co zamierzasz? – spytał dudniącym głosem. Spojrzenie Serafina było jak uderzenie w twarz.

– Patrzysz na mnie – odparł brat ledwie słyszalnie – ale mnie nie widzisz. Uważasz, że to wszystko to moje dzieło? Naprawdę uważasz, że jestem w tej grze czymś więcej niż tylko pionkiem, narzędziem, jednym z wielu?

Pokręcił głową. Grim, chociaż bronił się przed tym uczuciem, poczuł nagle coś w rodzaju wstydu. Nie pozwolił jednak, by to uczucie go opanowało.

– Przywłaszczyłeś sobie maskę Baala – powiedział i nie mógł nic poradzić, że jego głos wprawił w drżenie posadzkę tego przekłętego zamku. – Uprowadziłeś mieszkańców Paryża, między innymi Cécile i Josi Lavie, rodzinę Mii...

Przez twarz Serafina przebiegł cień uśmiechu, jakby echo miłego wspomnienia.

– Mia! – wykrzyknął i zaśmiał się krótko. – Chciałbym, żeby nasze spotkanie odbyło się w innych okolicznościach. Powinieneś ją ze sobą zabrać, Grim, zabierz ją ze sobą do Dolnego Świata, jak najdalej w głąb. Wtedy może zdołacie ująć przed tym, co nastąpi.

Grim szarpnął więzy, ale one tylko jeszcze głębiej werznęły się w jego ciało.

– Niech to diabli, Serafinie, nie rób ze mnie głupca! Wiem, że coś się szykuje, czuję to już od tygodni!

Tak szybko, że Grim nawet nie dostrzegł jego ruchu, Serafin znalazł się obok.

– Wiem – powiedział szeptem. Jego oddech musnął twarz Grima i zmusił do milczenia niby jakiś czar. – Masz zmysł wyczuwania budzących się cieni, ponieważ doskonale je rozumiesz. Jesteś niespokojny, rozdarty, jesteś człowiekiem, Gargulcem, Cieniem Nocy z ogniem słońca w piersi. Mógłbyś być szczęśliwy, wiem, że sam sobie to powtarzasz dzień w dzień, noc w noc, ale nie jesteś. I chociaż bronisz się przed tym ze wszystkich sił, to jednak wydaje ci się niekiedy, jakby te ostatnie dziesięciolecia były tylko snem, który w każdej chwili może się urwać. Dlaczego opuściłeś Italię, Dziecko Ognia, no, dlaczego? Czy potrzebny był ci gorset paryskiego Gargulca? Nie uleczyło to palącego uczucia w piersiach, prawda? A teraz tęsknisz za tym, by się go pozbyć, tęsknisz z całą mocą... rozwiązanie wydaje się być tak blisko, prawda, że się nie mylę? Tak diabelnie blisko...

Wyciągnął dłoń i położył ją Grimowi na piersi. Przez jego skórę przenikało lodowate zimno, ale się nie odwrócił. W oczach Serafina coś zamigotało i Grim ujrzał w nich miasto na pustyni i raz jeszcze poczuł euforię, a zaraz po niej przerażenie, które ogarnęło go we śnie.

– Wysłałem was wszystkich do szczęśliwych snów – powiedział cicho Serafin. – Snów, z których nie chcielibyście się obudzić. Lecz względem ciebie mój plan się nie powiódł, ponieważ twoje najwyższe szczęście jest dla ciebie zarazem najwyższym niebezpieczeństwem. I obudziłeś się. – Czerń otchłani pochłonęła obrazy w oczach Serafina. – Widziałem go – mówił ledwie słyszalnie. – Widziałem ten twój sen o

Świecie Bogów. Znam moc, która w tobie drzemie, aż tutaj czuję jej płomień. Tego ostatniego kroku nigdy nie uczyniłem, ale dobrze wiem, co to znaczy, kiedy pochłania cię wewnętrzny płomień, przewyższający grozą najgłębszą nawet ciemność. Jestem Dzieckiem Ognia, Grimie, tak samo jak ty, i mam świadomość, że jestem przypuszczalnie ostatnią istotą, od której przyjąłbyś radę. Ale znam ten niepokój, jaki jest w tobie, wiem, że może on nas zaprowadzić na drogi, które pochłoną wszystko, czym jesteśmy, i dlatego ostrzegam cię: nie idź za jego głosem.

Grim wstrzymał oddech, ponieważ słowa Serafina coś wywołały, jego pierś przeszło pieczenie niczym gwałtowny ból. Ujrzał kolejny obraz pojawiający się w oczach brata – oni obydwoj, jeszcze jako ludzie, siedzący na murze, a potem jeszcze ostatnie ich spotkanie, i przez chwilę słyszał szum oceanu i poczuł, jak jego chłód uśmierza dręczące go pieczenie.

– Co zamierzasz? – spytał, doskonale wiedząc, że Serafin nie udzieli mu odpowiedzi. – Dlaczego uprowadziłeś tych ludzi?

W spojrzeniu Serafina pojawił się uśmiech, a potem brat się odwrócił.

– Dowiesz się... wkrótce. Trzymaj się od tego z daleka. Niczego nie zdołasz zmienić w tym, co się stanie.

Nie mówiąc ani słowa więcej, sięgnął po maskę Bhaala i nałożył ją. Grim zobaczył przepływające przez maskę płomienie zmieniające ciało Serafina w ciało Minotaura, a kiedy brat się odwrócił, wykonując płynny ruch dłonią w powietrzu, za oknami ukazało się potężne morze.

Wypełniały go czerwone welony mocy snów, a przed nimi stali, sztywno jak manekiny, ludzie z Paryża.

– Serafinie! – zawołał Grim i szarpnął się w swoich więzach, lecz w tej chwili jego brat wyrzucił ręce nad głowę. Powietrze rozdarł potężny grzmot, morze wzburzyło się i kiedy Serafin wykrzyknął zaklęcie, fale ruszyły w jego stronę, tworząc wokół jego pięści szumiący wir, który połykał wszelkie słowa. Zaraz potem stopniały w czerwony płomienisty czar w jego dłoniach. Serafin z wolna odwrócił się w stronę Grima. Wokół zaczęła się wznosić mgła, już snuła się wokół jego nóg.

Grim zacisnął pięści.

– To przecież nie są twoje plany! – wykrzyknął, nie panując nad

sobą. – Sam to przecież powiedziałaś! Czyje zatem są plany, które wypełniasz? I dlaczego mnie tutaj więzisz?

Aż się wzdrygnął, spojrzawszy w płonące oczy Minotaura i usłyszawszy dobywający się z jego gardzieli głos. Głos jego własnego brata:

– Uchroniłeś mnie przed wielką ciemnością – powiedział Serafin. – Nie chciałbym, abyś był zmuszony ją przemierzyć, tak jak ja musiałem to kiedyś zrobić. A co do planów... Powinieneś wiedzieć, jaka to potęga mogła znaleźć sobie upodobanie w Innoświecie, zwłaszcza, jeśli ma się wobec niego dług.

Serafin stał bez ruchu. Przez moment Grimowi wydawało się, że po prostu zniknie, ale nagle w jego dłoni zapłonęło zaklęcie. W płomieniach ukazała się Ghrogonia, Grim ujrzał Czarny Cień, jego spojrzenie z błyskawiczną prędkością pomknęło w stronę więzienia, które leżało głęboko pod nim, pędził kryształowymi korytarzami, czuł w swoim ciele wrzaski demonów i akurat w chwili, kiedy przerażenie niemal odbierało mu oddech, zatrzymał się przed zanurzonym w złocie diamentem. Zdawało mu się, że słyszy śmiech, lecz wtedy do jego uszu przeniknął głos Serafina, głos jego brata, który niemal całkowicie zniknął już we mgle.

– To on wznosił mury Rzymu jednym skinieniem palca – szepnął Serafin. – Upolował i zjadł Bestię Babilońską oraz niejedną raz obrócił Konstantynopol w popiół i zgliszcza. Jego imię to Verus Crendilas Dhor, czyli Złoty Cień Znikczemnienia.

## Rozdział 10



Całkowicie niemożliwe! – Kamienny gryf z góry zezował na Mię i własnym ciałem zasłaniał widok na salę obrad Mouriera, zupełnie jakby chciał uniemożliwić jakiegokolwiek spojrzenie na zamknięte drzwi. – Król właśnie prowadzi naradę ze Związkiem Zawodowym Skrzatów. Mam ścisłe polecenie nikogo nie wpuszczać!

Mia spojrzała na Lyskiana, który stał obok z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i przewróciła oczami. Narady u Mouriera niemal zawsze ciągnęły się w nieskończoność, a jak w dodatku siedział ze skrzatami, to bardzo szybko przejdzie od konieczności poprawy warunków pracy w sztolniach, przez opóźnione dostawy producentów jedwabiu do sukienników, do aktualnej jesiennej mody męskiej, a kiedy już raz zacznie ten temat, to nikt go nie powstrzyma. Wielokrotnie w ostatnich miesiącach kazał przerabiać mundury NPG i jeśli tylko pojawiła się możliwość wciśnięcia kogoś w barwne tkaniny i jeszcze nasadzenia mu na głowę kapelusika, to Mourier, mimo godności królewskiej i wielkich honorów jako wojownika, był do tego pierwszy. Mia sapnęła. Nie miała czasu czekać godzinami na audiencję. Wściekła wsparła się rękami pod boki i spojrzała gryfowi w oczy.

– Muszę natychmiast rozmawiać z królem – powiedziała zdecydowanym tonem. – Życie prezydenta policji jest w niebezpieczeństwie i...

Kamienne powieki gryfa zadrgały – według Grima była to niechybna oznaka nerwowości – ale zaraz się opanował i przerwał jej ostro:

– Rozkaz to rozkaz. Nic nie mogę zrobić, przykro mi. W końcu to moja głowa poleci, jeśli...

Mia podeszła krok bliżej, z trudem tylko hamując wściekłość.



– Jeśli natychmiast nie przepuścisz mnie przez te drzwi, własnoręcznie przyozdobię ci tę głowę pietruszką!

Gryf otworzył szeroko oczy ze zdumienia, ale ani drgnął.

– To była groźba! – powiedział, łapiąc ustami powietrze. – Zgodnie z paragrafem 219 Kodeksu Gargulcowego...

W tym momencie stanął tuż przed nim Lyskian. Gryf zlustrował go chłodno wzrokiem, jego powieki znowu zaczęły drgać i pewnie by się cofnął, gdyby wampir przysunął się choćby o milimetr bliżej.

– Ty głupi lizusie – powiedział Lyskian z paraliżującym chłodem w głosie. – Prezydent NPG ogromnie się ucieszy, kiedy się dowie, że pogodziłeś się z jego śmiercią w imię jakiegoś głupiego paragrafu. Domyślam się, że jak cię dostanie w swoje łapska, to raczej nie zadowolony będzie z twoją spadającą głową. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakie męczarnie ci zada?

Oczy Lyskiana błysnęły groźnie, ale gryf tylko zamachał skrzydłami i nadal nie ruszał się z miejsca. Drżącym głosem recytował kolejne paragrafy, sprawiając, że Mia się odwróciła. Jeszcze nigdy bez wsparcia Grima nie udało jej się wymusić czegoś na urzędnikach Ghrogonii, zresztą nawet on na przestrzeni stuleci bezustannie musiał z nimi walczyć. Oddychała głęboko, żeby zachować jasność umysłu. Musi porozmawiać z Mourierem i powiadomić go, że maska Bhaala jest własnością Verusa. Ten demon nienawidził Grima, sama była tego świadkiem, i aż dreszcz ją przeszedł, kiedy sobie przypomniała, jak kilka miesięcy temu Verus zażądał od Grima przysługi w zamian za życie Theyrona. Widziała swoją własną krew w dłoniach demona, jego idealną anielską twarz i uśmiech, który był piękny i straszny zarazem. I wiedziała, że on nie zawaha się ani chwili, by zażądać oddania tej przysługi. Maską Bhaala była jego własnością i Mia była gotowa się założyć, że to właśnie on maczał palce w zagadkowych zniknięciach ludzi. W jaki sposób jednak pociągał za sznurki, skoro wciąż siedział w diamentowym lochu? A że tam jest, było pewne, bo sam Grim regularnie to sprawdzał. Oczyma duszy Mia ujrzała niewyraźny zarys postaci Minotaura. Kim był, dlaczego pomagał Verusowi w jego planach – i co zamierzał demon?

Zdenerwowana podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Czowała się

opuszczona jak paryski zaułek wczesnym rankiem. Nie mogła znieść tego spokoju. Coś się wydarzyło w Świecie Snów, coś, co nie pozwala wrócić Grimowi i pozostałym, a ona nie może już wytrzymać tego bezsilnego czekania i nicnierobienia. Musi porozmawiać z Mourierem, wspólnie wezmą Verusa w krzyżowy ogień pytań i dowiedzą się, co kryje się za tymi wydarzeniami, a wtedy ona sama poleci z Niuchaczami i Cienioskrzydłymi do Świata Snów i poszuka Grima, niezależnie od tego, jak groźny może się dla niej okazać ten Międzyświat. Żeby tylko ten cholerny gryf nareszcie ustąpił i...

Jej myśl prysnęła nagle jak cienkie szkło pod wpływem gwałtownego wstrząsu. W uliczce dostrzegła postać, z początku było to niewiele więcej ponad cień dojrzany kątem oka, teraz jednak, kiedy patrzyła na nią z tyłu, dreszcz przeszedł jej po plecach. Jak w transie wybiegła z budynku. Cisza panująca wokół była nierzeczywista, niemal upiorna. Postać jakby ją usłyszała, przystanąła znienacka, na w pół odwróciła się, jakby czekała na rozkaz. Mia ujrziała maskę Bhaala wiszącą u czarnego pasa, długi do ziemi, pokryty pyłem płaszcz i skrzydła sterczące majestatycznie w górę. W ułożeniu postaci, w jej czekaniu i oddechu było coś, co wzbudziło wspomnienie spotkania z Minotaurem. *Tak jest, pomyślała. On ją rozpoznał, podobnie jak ona jego... bez słowa i instynktownie.*

Tamten, jakby usłyszał jej myśli, odwrócił się powoli w jej stronę. Miała wrażenie, że w tym momencie są zupełnie sami nie tylko w tym mieście, ale i na całej ziemi. Spoglądała w wąską, niemal delikatną twarz Hybryda, widziała długie, białe włosy kontrastujące z czarnymi oczami, widziała też cięcia, jakimi pokryta była jego skóra, i ciężką ranę, którą sama mu zadała. Był tylko cieniem tego, którego kiedyś znała, ale jednak jego prawdziwa istota prześwitywała przez pokiereszowane ciało, jak ciemne skały prześwitują przez czyste wody jeziora.

*Serafin.*

Jego imię pojawiło się na jej języku i rozprysło, zanim zdążyła je wymówić. Ostrożny, kruchy uśmiech igrał na jego wargach. Jego włosy poruszały się lekko na wietrze i chociaż Mia wszystko pamiętała, chociaż widziała go przed sobą, na w pół oszalałego od płomieni Czarnej Ciernia, i była przygotowana na to, że będzie odczuwać strach,

gniew albo wstręt – to teraz, w tym momencie, kiedy się spotkali, czuła tylko jedno: współczucie. W ciągu tych przeszło dwóch lat, jakie minęły od ostatnich wydarzeń, często o nim myślała i z czasem do wszystkich jej negatywnych uczuć zakradło się coś czułego, smutnego. Serafin był bratem Grima, był do niego podobny – jako jedyna istota na całym świecie. W obydwu były te same otchłanie i tak jak nie bała się mroku kryjącego się w Grimie, tak nie mogła teraz gardzić Serafinem za to, co zrobił. Po jej wargach przemknął uśmiech, ledwie zauważalny i przelotny tylko, ale jednak rozdarł chłód, jaki nosiła w sobie od tamtego czasu, i sprawił, że pozostała tylko cisza – cisza Ghrogonii w brzasku poranka, cisza ponownego spotkania, które mogło być straszne, a jednak okazało się tylko chwilą pełną magii.

Mia przestraszyła się, słysząc głosy Cienioskrzydłych, którzy rozpoznawszy Serafina, wybiegli z gmachu NPG, lecz nie mogła odwrócić od niego wzroku. A on stał bez ruchu, ale kiedy Gargulce rzuciły się w jego stronę, dostrzegła w jego dłoni żarzący się na czerwono rozmigotany czar. Raz jeszcze spojrzął na nią, a w jego wzroku był taki smutek, że aż zaparło jej dech w piersiach. Potem uniósł dłoń i zanim zdążyła pojąć, co zamierza, wyrzucił pięść przed siebie, miotając w stronę Cienioskrzydłych Zakłęcie Burzy, które odrzuciło ich na koniec ulicy. Potężna fala uderzyła Mią o ścianę i dziewczyna jak przez mgłę zobaczyła, że Serafin kieruje rozpaloną do czerwoności pięść w stronę ziemi. Cała ulica i budynki zadygotały. Żar rozsadził asfalt i rozpłomienionymi żyłami pomknął w stronę Czarnej Ciernia. Mia pozbierała się z ziemi, ale zanim zdążyła krzyknąć, czar z ogłuszającym hukiem dotarł do wieży. Jaskrawe światło buchnęło z portalu wejściowego, płomieniste sploty sięgnęły w górę, aż do szczytu i światło wlało się do piwnic Ciernia. Ulice wokoło zadygotały, ziemia stęknęła, jakby w jej wnętrzu przesuwwały się masywy skał. Mia upadła na kolana. Zakłębciem osłoniła się przed spadającym gruzem, ale nie potrafiła oderwać wzroku od Czarnej Ciernia, który chwiał się jak pod potężnymi ciosami. Potem zapadła niespodziewana cisza. Wszędzie fruwały drobiny popiołu, Cienioskrzydli, którzy pędzili w stronę Serafina, wyglądali na tle czerwonego żaru jak wycięte z papieru sylwetki. Wieża stęknęła, ziemia pod nią wybrzuszyła się i z potężnym

hukiem Czarny Cień rozpętał się na dwoje.

Mia przycisnęła ręce do uszu, tak przeraźliwy był huk, który rozdarł powietrze. Z szeroko otwartymi z przerażenia oczami patrzyła, jak żar wydobywający się z wnętrza ziemi rozszczepia wieżę przez środek – stała teraz rozdarta na dwie połowy, a Innostoty w panice wypadały z jej środka. Tam, gdzie kiedyś były lochy, w mrok wystrzeliło jaskrawe światło, któremu towarzyszyły gwałtowne eksplozje. W powietrzu słychać było głosy, nieposkromione głosy, które zaintonowały oszalamiający śpiew. Muskały skórę Mii, szarpały ją za włosy, potężnymi szponami chwytają za kark i przez krótki moment dostrzegła zastępy Pierwszych Demonów, Us'vurila i Kar'montha, którzy prowadzili swój lud przez stepy Udhuru i Góry Wschodu, wyrąbane przez ów język, który wywołał ogień ziemi z jej wnętrza: to Th'ynghel, Stary Język Demonów, rozbrzmiewał teraz tysiącami klątw nad dachami Ghrogonii. A kiedy splotły się one w jedno słowo, z lochów Ciernia wystrzeliły płomienie, tak jak kiedyś Ogień Świata, który porwał ze sobą ciała tamtego ludu, aby umożliwić mu życie poza wszelkimi granicami, życie w *Arrmonhgur*.

Miała wrażenie, że słowo to miało wyrwać jej z piersi serce, i poczuła na skórze szaleństwo ognia, a na wargach słodycz wolności. Przez chwilę odczuwała jedynie pragnienie, by rzucić się w tę otchłań pełną przeklętych głosów, która pozwoliłaby jej poszybować hen, daleko poza to podziemne miasto, poza Paryż i ponad dachy wszystkich światów. Nie pojmowała tego słowa, wiedziała, że ono ją rozszarpie, bo było za wielkie, za potężne dla śmiertelnej istoty, takiej jak ona, a jednak nie potrafiła się odwrócić. Czowała już wiatr we włosach, kiedy nagle dopadł ją zawrót głowy i zorientowała się, że przestała oddychać. Na siłę wciągnęła do płuc powietrze, głosy spadły na nią jak wściekły wrzask. Ogień stał się nie do wytrzymania gorący i tak jasny, że Mia cofnęła się oślepiona i wtedy z lochu wyrwały się demony. Z płomieni wyłoniły się ich na wpół poszarpane ciała i wypełniły świat swoim rykiem, jakby chciały zetrzeć go tym na pył. Diamentowy Ogień je osłabił, lecz wiele z nich pozwalało już domyślać się potężnych, przydatnych do walki kształtów, jakie mogą przybrać Car'lay Ythemowie, bo Mia dostrzegła zarysy pędzących Chimer, zwierząt, którym ze straszliwych ran wisały

wnętrznosci, jak i ludzkie postacie o powykrecanych konczynach, postacie, ktorzy wlosy staly w plomieniach i ktore skakaly po dachach na nagich kosciach. Bylo zupełnie tak, jakby demony rozkwitly w powietrzu Ghrogonii w nowa straszliwosc. W ich pieściach gwałtownie wyladowywal sie Czar Gromu, a scigaly one mieszkancow miasta, ktorzy pierzchali przed nimi w slepej panice. Demony bez najmniejszego trudu wnikaly w ciala uciekajacych, biorac je w posiadanie. Byl to widok straszliwy, lecz zanim Mia zdazyła sie odsunac, z lochu Ciernia buchnal zloty strumien ognia, ktory powalil ja na ziemie. Zamroczona pozbierala sie jakoś. Poczula iskry na twarzy i wtedy zobaczyła, jak w samym srodku swiatla, otoczony rozmigotany pylem, wzniosl sie w powietrze aniol o zlotoch wlosach i zamknietych oczach, aniol bez skrzydel, ale za to z usmiechem zdolnym wzniecic pozoge we wszystkich swiatach. Unosil sie w blasku, nie byl oslabiony jak wszystkie inne demony, a jego postac mlodziencza byla bez skazy. Jego skora przeswitywala brazem przez szate z surowego lnu, dlugie wlosy falowaly w strumieniu swiatla, a na jego obliczu widnial usmiech. Jego oczy byly jednak czarne jak zakrzepła krew, a kiedy uniosl w powietrze pieśc, wydajac ryk, to ryk ten, ktory poniosl sie nad dachami, zabrzmial juz jak glos tego, ktorym byl w istocie: demona ze Starego Czasu, Verusa Crendilasa Dhora, Zlotoego Cienia Znikczemnienia.

W tym momencie nad miastem rozpostarla sie Wielka Osłona, diamentowa kopula ochronna Ghrogonii. Liczne demony cofnely sie przed ta magiczna tarcza, lecz Verus tylko odrzucil glowe w tyl i wybuchnal smiechem. Powietrze zadrzalo pod wplywem tego dzwieku, a z ust Verusa splynely mroczne, splatane slowa:

*Brag'avissar, zadudnilo nad dachami Ghrogonii. Horr'gnar Ar'krayas!*

Demony podchwycily slowa Verusa, zaczyly zbierac sie w roje i jak potezne szerszenie spadly w dol, wprost na mieszkancow miasta. Cienioskrzydli ustawili sie w formacje i pod wodza Mouriera rzucili sie na demony, te jednak odpieraly ataki prastara magia, ktora wlascnie sie obudzila. Król Mourier, sapiac, przedzieral sie przez ich zaklecia, plomienie tanczyly na jego sierści, lecz demony ciskaly mu w twarz swój gniew z sila wyrzeczen setek lat niewoli. Uwolnione pedzily nad

dachami miasta, sypiące iskrami ogniste kule wznieciły pożary w wielu domach i w nozdrza Mii uderzył swąd spalonych ciał. Słyszała krzyki Ghrogonian i aż zamarła, kiedy zobaczyła grupę demonów pędzących w zwartej formacji na kwaterę główną NPG. Tam bowiem zdeponowane było Berło Yartholdów, obok Berła Gargulców najpotężniejszy artefakt Innoświata. Nie ulegało wątpliwości, że Verus rozkazał demonom zabrać je. Mia zacisnęła pięści i bez wahania ruszyła przed siebie. Tak łatwo im nie pójdzie.

Zdecydowana na wszystko, wyczarowała za sobą burzowy wir. Pęd powietrza uderzył ją w twarz, gdy pędziła nad ulicą. Wylądowała parę kroków przed wejściem do gmachu. Nadciągające ze wszystkich stron demony ciskały potężne czary w osłonę ochronną NPG. Cienioskrzydli stawiali opór, lecz prąca formacja demonów przerwała ich szeregi niczym płomienna włócznia i niepowstrzymanie zmierzała w stronę gmachu. Z przeraźliwym okrzykiem Mia wyczarowała w dłoni ognisty bicz, pomknęła w powietrzu i tak silnie smagnęła trzy demony, że aż je odrzuciło. Zanim jednak zdołała rozpocząć nowy atak, poczuła cios w kark. Zaczęła spadać.

Lodowaty chłód przeniknął jej ciało, natychmiast je paraliżując. Nie była w stanie złagodzić upadku i z całym impetem uderzyła o chodnik. Słyszała okrzyki Cienioskrzydłych, którzy stawiali czoło demonom, widziała też diamentowe promienie, które wystrzeliły z Wielkiej Osłony, spalając na popiół wielu atakujących – lecz wszystko to widziała jak przez mgłę. Zbyt przenikliwy był ten dźwięk przenikający powietrze, a przeznaczony tylko dla niej, jak jej się wydawało. Chwycił ją za krtań niby niewidzialna lodowata dłoń, zmusił do powstania i wrzucił przez drzwi do środka budynku. Z hukiem uderzyła o regał i upadła na podłogę, lecz dłoń jej nie puściła. Przed jej oczyma przesuwały się czarne plamy. Jak z wielkiej oddali dobiegały ją odgłosy bitwy, a po chwili usłyszała zbliżające się z wolna kroki. Do jej uszu przeniknęły słowa, słowa, które już kiedyś słyszała z ust Verusa. Było to wtedy, gdy spotkała go po raz ostatni.

*Być może...* usłyszała w głowie szept, daremnie próbując stanąć na nogi. Jego głos otulał ją jak jakiś czar i sprawiał, że wszelkie jej uczucia, wszelkie myśli wpadały w głęboki mrok. *Być może anioł przypomina*

*wszystko, co przez nas zapomniane, to znaczy zapomniane rzeczy, które nie wydają się znajome, kiedy trafiamy na nie po raz drugi, bez reszty zagubieni. A kiedyś były nasze.*

Mia czuła, jak te słowa odbijają się w niej echem, i wtedy właśnie zobaczyła sylwetkę Verusa wyłaniającą się z ciemności – złotą, przepelnioną światłem postać. Podszedł do niej powoli, z okrutnym uśmiechem, a ona zmusiła się, by spojrzeć w krwawą czerń jego oczu, by nie poddać się jego magii. To nie anioła miała przed sobą, jak jej się kiedyś wydawało, miała przed sobą otchłań zdolną pochłonąć każdego anioła.

Ledwie tak pomyślała, a dłoń na jej krtani lekko poluźniła uścisk. Mogła wreszcie odetchnąć. Rzęząc, wciągnęła do płuc powietrze, ale nie spuszczała oczu z Verusa, który stał przed nią. Trwał bez ruchu, jak wtedy, gdy przyjął jej krew, z lekko przechyloną głową i nieprzeniknionym blaskiem w oczach. Powoli skinął głową.

– Tak – powiedział i jego uśmiech stał się wyraźniejszy. – Przepominam sobie ciebie.

Nie dał jej czasu na zastanowienie się nad tymi słowami. Ledwie dostrzegalnym ruchem lewej dłoni szarpnął ją ku sobie.

– Mam władzę nad twoim życiem – wyszeptał, a ona dostrzegła w jego spojrzeniu mrok, ciemność kłębiącą się w ciałach węży i próbującą dosięgnąć ją śmiertelnym ukąszeniem. – Nie ma jednak potrzeby, abym już teraz korzystał z przysługi. Grim da mi wszystko, czego zażadam, jak długo będę miał ciebie... prawda, że się nie mylę?

Jego uśmiech był dla niej jak uderzenie w twarz, ale już jej nie paraliżował. Zupełnie jakby imię Grima przerwało czar, ciemność wokół niej cofnęła się. Z trudem łapała powietrze, ale odwzajemniła spojrzenie demona z najwyższą pogardą, na jaką było ją stać.

*Jesteś niczym bez rzeczywistego ciała,* syknęła w myślach i dostrzegła błysk gniewu w oczach Verusa. *Ale do tego wystarczy mi to, jakie masz!*

I zanim zdążył cokolwiek zrobić, plunęła mu w twarz. Verus patrzył na nią, nie posiadając się ze zdumienia. Ciemność w jego oczach roz błysła i Mia czuła, że jeszcze chwila, a spali ją na popiół. W tej samej chwili jednak, kiedy otworzył usta, by wypowiedzieć zaklęcie, jakiś cień

pojawił się za jego plecami i jednym szarpnięciem wyrwał go na ulicę. Mia, dławiąc się i kaszląc, wyszła chwiejnie z budynku. Wysoko nad dachami miasta zobaczyła Serafina trzymającego Verusa za gardło. Demon jednak szybko doszedł do siebie. Pałając gniewem, wysłał do ciała Serafina błękitny płomień zaklęcia unieruchamiającego. Z przeraźliwym okrzykiem przyciągnął do siebie maskę Bhaala, a kiedy wyrzucił przed siebie pięść, powietrze rozdarło się, jakby przeciął płótno.

– Precz z moich oczu, bezużyteczny Hybrydzie! – wykrzyknął Verus. – Przepadnij w świecie, który z radością przyjmie cię jak swego.

Skierował w jego stronę Płomienny Wir, który rzucił Serafina w stronę rozcięcia. Serafin zawył z bólu. Buchający ogień wgrzyzał się w jego ciało i Mia dostrzegła rozpacz w jego oczach, kiedy odwrócił głowę, by na nią raz jeszcze spojrzeć. Jego myśli były już tylko szeptem, ale kierował je do niej.

*Uciekaj przed nim!*

W następnej chwili rozcięcie wchłonęło go i było tak, jakby nigdy nie istniał. Mia dostrzegła jeszcze, jak Verus odwraca się gwałtownie, ale nie zwlekała już ani chwili. Okryła się zaklęciem kamuflującym i pognąła ulicami, byle dalej, dalej od tego demona, który chciał ją wykorzystać jako broń. Przystanęła w jednej z bram w pobliżu Błyszczących Zaułków i odwróciła się. Była jak w transie. Dostrzegła, że demony weszły w posiadanie Berła Ludzi, że pędzą do Verusa, który ujmuje je w dłoń i triumfalnie podnosi do góry. Przetarła oczy. Spoglądając na płonące domy i na chaos, jaki w tak krótkim czasie rozpętały demony, miała wrażenie, że wylądowała w jakimś koszmarze.

*Grim*, pomyślała i poczuła, jak serce zaczyna tłuc się jej w piersi.  
*Gdzie jesteś?*

W tym momencie jej myśli rozdarł śmiech, śmiech, który nie dobiegał z zewnątrz, tylko z jej własnego wnętrza. W przerażeniu złapała się za skronie, w jej czaszce pojawił się nagle pulsujący ucisk. W myślach słyszała słowa Verusa, a nawet więcej: czuła demona, pędzącego w jej ciele, przyspieszającego w niej obieg krwi, wysyłającego kłujący ból we wszystkie zakątki ciała.



*Córo Burzy* – zawołał. Zobaczyła, jak pędzi nad dachami miasta, dzierżąc w dłoni Berło Ludzi. – *Martw się o siebie samą!*

Ucisk w głowie Mii narastał, zaczęła kaszleć i z przerażeniem patrzyła na krew, która pojawiła się na jej ustach.

*Albowiem piękno...* – rozbrzmiał w jej myślach głos Verusa i znowu ból smagnął jej ciało – *początkiem tylko jest straszności!*

Osunęła się na kolana, dłonie zostawiały krwawe ślady na bruku. W jej głowie eksplodował ból. Wypełniały ją przerażający głos oraz obraz, który ujrzała: Ghrogonia, stolica Innoświata była morzem gruzów, nad którym przelatywał Verus ze świtą demonów. Verus, Złoty Cień Znikczemnienia, wróg Gargulców i ludzi.

## Rozdział 11



Z rykiem, od którego zadrżały mury zamczyska, Grim szarpnął się, ale więzy tylko głębiej wpiły mu się w ciało, potęgując poczucie bezsilności. Nie miało to sensu. Zaklęcie Serafina było zbyt mocne, nie mógł go rozerwać.

Ciężko dysząc, zawisł w pętach i wsłuchiwał się w otaczającą go ciszę – bezgłośnie trwanie uspiomych ludzi pod oknami, paraliż Remiego i pozostałych towarzyszy niedoli, którzy co chwila lekko trzepotali powiekami, mamrocząc coś, jakby czuli, że powinni się obudzić, ale zaraz z powrotem zapadali się w złudne ciepło swego snu.

Grim uniósł głowę i spojrział w miejsce, gdzie zniknął Serafin. *Uchroniłeś mnie przed wielką ciemnością, słyszał w głowie jego głos. Nie chciałbym, abyś był zmuszony ją przemierzyć, tak jak ja musiałem to kiedyś zrobić.* Przypomniawszy sobie mroczny cień, jaki przy tych słowach pojawił się w spojrzeniu Serafina, ciemność, która mogła oznaczać tylko ból, i chociaż z największą ochotą powiedziałby bratu coś do słuchu w związku ze swoją obecną sytuacją, to jednak wiedział, że tamten mówił poważnie. Serafin chciał go ochronić, nie zrobiłby nic, co mogłoby zaszkodzić Grimowi. Ta myśl sprawiła, że prawie się uśmiechnął, ale w tym momencie jego spojrzenie padło na więzy, które wrzynały mu się w ciało. To naprawdę bardzo osobliwy sposób okazywania komuś przychylności – uwięzić go w Królestwie Snów i przykuć łańcuchami do zamkowych murów!

Ostrożnie poruszył rękami, chcąc chociaż trochę poluzować pęta, i przypomniał sobie zaklęcie, które skupiło się w pięści Serafina. Niezależnie od tego, jaką przysługę jego brat był winien Verusowi, Grim nie miał wątpliwości, że demon wykorzystał go do swoich celów. Gotów był się założyć, że Serafin uwolni Verusa z lochu za pomocą energii

snów. Czuł moc tego zaklęcia, bez wątpienia była wystarczająca, żeby roztrzaskać wszystkie diamentowe lochy znajdujące się pod Czarnym Cierniem. I znów ujrzał przed sobą Ghrogonię, pędził w stronę wieży i więzienia, i w momencie, kiedy gnał diamentowymi korytarzami, zaczął w nim narastać niepokój.

– Niech to szlag! – ryknął, szarpiąc więzy tak gwałtownie, że aż stęknął z bólu. Już ten przeklęty Hybryd Serafin dostanie za swoje, jak tylko uda mu się uwolnić. Niech no tylko pozbędzie się tych pęt, a...

W tym momencie poczuł ukłucie w głowie, jaskrawe jak błyskawica i tak gwałtowne, że aż się wyprężył. Oczyma duszy ujrzał obraz płonącego miasta. Krew plamiła ulice, słupy dymu unosiły się nad zniszczonymi budynkami, a wśród tego wszystkiego przemykały ciemne postacie – jedne uciekały przed diamentowymi promieniami, które wystrzelały z kopuły nad miastem, paląc je na popiół, inne ścigały pierzchające przed nimi Innostoty. Ghrogonia była pod ostrzałem – demony zostały uwolnione. Grim zacisnął pięści i zmusił się, by zignorować obecność obcego, którą czuł w swoich myślach. Na siłę starał się odczuwać zadowolenie z faktu, że tak wiele demonów padło ofiarą diamentowych promieni i że tak liczne szeregi Cienioskrzydłych przystąpiły do walki. Serafin może i zaskoczył miasto, ale nie było ono bezbronne. Na pewno rzuci demony na kolana. Skupił się na obrazie, ale nie zdołał się go pozbyć, i zupełnie jakby Verus tylko czekał na taką próbę, usłyszał jego gromki śmiech w swojej głowie. Jednocześnie też nad dachami Ghrogonii, płomienistą postać ze światła, dzierżącą w dłoni Berło Ludzi. Robił uniki przed promieniami wystrzeliwującymi w dół, w stronę ulic, i uśmiechał się łagodnie, zupełnie jakby stał na ukwieconej łące, a nie w samym środku pola bitwy.

*Ty głupi Hybrydzie, powiedział Verus, wysyłając swój głos niby rój igieł w każdy zakamarek ciała Grima. Daleś się złapać jak byle owad, a teraz tłuczysz się o szklany klosz, który cię otacza, tak że o mało nie połamiesz sobie skrzydeł.*

Grim zacisnął zęby. *To ty jesteś tym, który został zamknięty pod kloszem, odparł. I jak widzę, to, co spala twoich pacholków na popiół, to bynajmniej nie jest szkło. W dodatku diamentowe promienie niewiele już chyba mają do spalenia, zgadza się?*

Gniew na moment zagościł na twarzy Verusa. *Nie wzywam cię bez powodu*, odrzekł demon lodowatym tonem. *Jesteś mi winien przysługę i chcę, żebyś się teraz z tego wywiązał. Zniszcz osłonę rozciągającą się nad tym przeklętym miastem albo będziesz musiał patrzeć, jak ona umiera.*

Jego obraz zniknął, zamiast tego Grim zobaczył Mię. Leżała na ulicy, rozpoznał zabrudzone krwią płyty pod jej dłońmi i łuk bramy wznoszący się za nią, ale prawie w ogóle nie widział otoczenia. Oddychała ciężko, a kiedy złapała się za gardło, rozkasłała się i zaczęła pluć krwią. Grim czuł trawiącą ją gorączkę, przez krótki moment miał wrażenie, jakby Verus krążył też w jego krwi, doprowadzając ją do wrzenia. I czuł też lęk trzymający Mię w kleszczach. W ciemności, w jaką wrzucił ją demon, wyszeptała jego imię.

*Sukinsyn*, wymruczał Grim, rozrywając swoim głosem obraz Mii, aż znów miał przed sobą oblicze Verusa, który nawet nie zadał sobie trudu, by ukryć zadowolenie.

*Ja trzymam się naszego paktu*, powiedział. *Spełnij swoją część, a będzie żyła. Dla ciebie to przecież drobiazg, prawda? Dla ciebie, prezydenta NPG, dla ciebie, który masz władzę nad potężną Wielką Osłoną chroniącą miasto, dla ciebie... który oddałeś swoje serce Śmiertelnej?*

*Pęta Serafina są potężne*, odparł Grim ponuro. *Nie mogę ich rozerwać. Żądasz ode mnie niemożliwego.*

Verus odrzucił głowę do tyłu i syknął z pogardą. W tym momencie dwa stojące za nim demony zostały trafione diamentowymi promieniami i spłonęły na popiół. W spojrzeniu Verusa błysnęła niepokój.

*Daj spokój*, wykrzyknął z lodowatym chłodem w głosie. *Nic ci nie pomoże takie zyskiwanie na czasie, ponieważ jeśli będziesz zwlekał jeszcze dłużej, przekłęci Kamienni rzucają mój lud na kolana i uniemożliwią jakąkolwiek ucieczkę. A wtedy ja nie zawaham się ani chwili przed posunięciem się do ostateczności! Mia umrze, widziałeś ją, tylko od ciebie zależy, czy uda się temu zapobiec! Zrób to! Zrób to zaraz albo będzie dla niej za późno!*

Grim szarpnął wściekle pęta. Próbował przywołać swoją magię, ale unieruchamiające więzy uniemożliwiały posłużenie się jakimkolwiek

znaczącym zaklęciem. Czuł przeszywające ukłucia bólu, ale nie zwracał na nie uwagi, widział tylko Mię, osamotnioną i bezsilną w ciemnościach. Wydobył z siebie wściekły ryk, bo opuściły go siły i ciało zrobiło się wiotkie.

*Pęta są utkane z nocy tego zamku, wydyszał. Energia snów najmroczniejszego rodzaju. Żadna magia świata nie zdoła ich zerwać!*  
Na to Verus roześmiał się głośno i zimno.

*Jesteś żaloszny, powiedział cicho, a jego głos zabrzmiał miękko i nieomal czule. To smutne, tak na ciebie patrzeć. Jak niedźwiedź w cyrku kołszesz się w takt muzyki, która nie jest twoja, i pozwalasz, by okładano cię kijami, które mógłbyś strzaskać jednym ruchem ręki. To prawda, wobec magii snów błędnie wszelka inna magia... Lecz w tobie jest coś więcej, znacznie więcej i ty o tym wiesz!*

Grim wzdrygnął się, kiedy słowa Verusa roznieciły palący ból w jego piersiach i kiedy usłyszał głuchoe huczenie płomieni w swoich własnych ciemnościach.

*One otwierają przed tobą istotę rzeczy. Umożliwiają ci przeniknąć do sedna każdej istoty i wiesz, co możesz wtedy uczynić? Możesz ją zmienić na swoje podobieństwo. Na tym właśnie polega Magia Pierwszej Godziny. Na tym polega Magia Bogów. I ty nosisz ją w sobie.*

Coś w głosie Verusa sprawiło, że Grim uniósł głowę i na moment ujrzał demona w katakumbach Pragi, wtedy, dawno temu, kiedy Grim upadł przed nim na kolana, nieomal zwyciężony, zanim przybyli Kronk i Walli i wspólnie z nim pokonali go. Na twarzy Verusa malował się uśmiech, uśmiech, który utracił wszelki chłód i wszelkie okrucieństwo, uśmiech, który był zagadką.

*Zapomniałeś już, co wtedy się stało, powiedział w myślach Grima. Lecz pewnego dnia sobie przypomnisz. Przestań bać się tego, kim możesz się stać! Przestań uciekać przed swoim przeznaczeniem! Możesz się uwolnić, jeśli tylko wykorzystasz moc, która w tobie drzemie!*

Grim patrzył na uśmiech Verusa i na moment otulił go jego złoty blask, uwalniając go od wszelkiego bólu. Pomyślał o swoim śnie o Świecie Bogów. Znow poczuł na skórze tamte kolory, które w nim rozniecił, ujrzał miasto na pustyni, która stała się morzem, i poczuł spoczywające na nim spojrzenia tych innych, tych, którzy trwali w

popiołach i ciemności, i czekali na niego. Pieczenie w jego piersi znów wybuchło, bolało tak bardzo, że prawie nie był w stanie tego znieść, zaraz jednak ujrzał siebie naprzeciw Rhu, tego sfinksa w lisiej postaci, cicho przemawiającego teraz z Ognia Prometeusza. *Ostrzegam cię... Możesz go w sobie zapieczętować, pewnego dnia jednak... Powiadam ci, pewnego dnia użyjesz jego mocy, a potem ani niebo, ani piekło nie zdołają cię uchronić przed tym, co będziesz czynił. Przyjacielu, jeszcze nie widziałeś płonącego świata, ale ten dzień nadejdzie, podobnie jak Ogień Ostatniej Godziny. Ogień, który ty podłożysz.*

Spojrzenie lisa paliło skórę Grima, a było tak zimne, tak lodowate jak huk płomienia, który buchał w jego wnętrzu, zdolny uwolnić go od wszelkiego bólu. Grim odwrócił wzrok. Pomyślał o Mii, o jej bezradności i strachu, i zacisnął pięści. Do diabła, przecież jest Dzieckiem Ognia, może zapanować nad każdym płomieniem świata, jeśli tylko się na to zdecyduje!

Na moment pojawiło się przed nim oblicze Verusa. Demon nie uśmiechał się już, tylko patrzył na niego z zagadkowym spojrzeniem, którego Grim nie potrafił zinterpretować. A potem Grim odrzucił głowę w tył i wydał ryk, lecz ryk ten rozlał się po jego wnętrzu, pognał przez jego żyły i roztrzaskał osłonę, którą niegdyś rozpiął ponad tamtym płomieniem. Rozpalony płomień utorował sobie drogę i przeniknął do jego magii, aż wypełnił go całego nieruchomym, zimnym żarem, który uwalniał od wszelkiego bólu, wszelkiego strachu i wszelkich wątpliwości. Pieczenie w piersiach przycichło i Grim bez reszty poddał się ogniewi, który gładził jego skórę jak dłoń matki gładzi policzek syna wracającego na łono rodziny. Jak przez grubą tkaninę czuł na rękach pęta założone przez Serafina. Za nurtem płomienia podążał w głąb siebie i dalej, wciąż dalej w głąb snu Serafina.

Runął w białe światło, znalazł się na pustyni, pustce wypełnionej czerwonym piaskiem, potem na morzu, którego fale pienily się płomiennymi barwami, i w sercu zaśnieżonego lasu, w którym drzewa pękały z zimna jak szkło. Sunęły ku niemu burze ognia i lodu, pojawiały się ludzkie twarze, których nigdy wcześniej nie widział, a które wydawały mu się tak znane, jakby to nie Serafin na nie patrzył, a on sam. Dochodziły do tego Innostoty, Gargulce, Koboldy, Hybrydy,

widział siebie samego, widział Mię i Remiego, lecz za każdym razem, kiedy mu się wydawało, że może się przy jakimś obrazie zatrzymać, otwierała się nowa otchłań, nowa burza, która porywała go ze sobą i wysyłała w jaskrawy dzień, który wydawał się nie mieć końca. Jasność wypalała mu zmysły, ale w chwili, kiedy miał wrażenie, iż zaraz rozpadnie się w jej blasku, nagle znalazł się na czarnej plaży. Drobne, obłe kamyki leżały na jego policzku, a gdy się podniósł, opadły z cichym stukiem. Nagle stwierdził, że otacza go najciemniejsza ciemność, a przed nim, potężny i czarny jak smoła, rozciągał się Ocean Nocy, szepczący tysiącami głosów.

Grim rozejrzał się. Siedział na kamieniu leżącym na morskim brzegu, i ręce miał białe jak śnieg. Kiedy odwrócił spojrzenie, ujrzał twarz dziecka, chłopca, który krył się na samym dnie jego wnętrza. Lecz nie rozpoznał siebie w jego oczach. Dojrzał za to Serafina, swojego brata, i zrozumiał, że właśnie dotarł do sedna jego snu. Z oddaniem słuchał szumiącego głosu oceanu, chłód nocy muskał jego ciało, a kiedy rzucił się w fale, te objęły go łagodnym chwytem. Z jego gardła wydobył się śmiech, była to mieszanka głosu Serafina i jego własnego. Grim zanurzył się głębiej w ocean, zamienił go w jasne światło, szemrzące fale i morze płomieni, i stworzył go na nowo w nowej ciemności. Zaczął go wypełniać gładki jak atlas chłód, aż w zapomnienie odeszły wszelkie pytania, wszelkie niepokoje, ukoilo się pieczenie w piersi i nie czuł już różnicy między sobą a ciemnością, która go otaczała. Był ogniem, który stworzył – był nocą.

Przez krótką chwilę zapragnął pozostać w tej pustce, w tym chłodzie, który wypełnił go takim spokojem, jakby pogrążył się we śnie. Czuł jednak, że jeśli zbyt długo będzie w nim przebywał, spali on na popiół każde słowo, każde imię. Z rykiem, który rozrywał powietrze, ruszył więc w górę i wydobył się z oceanu. Senne marzenia Serafina ześlizgiwały się z niego jak krople. Jednym ruchem Grim rozerwał więzy, jakby były z dymu. Mury zamku wokół niego zapadły się w sobie, wieże przewracały się. Grim odrzucił głowę do tyłu, całe otoczenie rozmyło się w szumiące strzępy i poczuł prześlizgujące mu się po skórze strumienie najróżniejszych magii. Runął w dół, przez noc i przez dzień, by na koniec twardo uderzyć o bruk ulicy.

Słyszał rozlegające się wokół krzyki, czuł zapach dymu, spalonych ciał i krwi, a dopiero po chwili dotarło do niego, że jest w Ghrogonii. Czuł bicie serca tego prastarego miasta, słyszał jego oddech, jego głos. Stolica Innoświata została zraniona i z każdym wstrząsem, jakiego doznawały jej ulice, ciało Grima traciło część chłodu, a do jego piersi wracało pieczenie.

Podniósł się chwiejnie na nogi. Kilka kroków od niego z ziemi zbierali się Kronk i pozostali. Wszyscy rozglądali się nic nierozumiejącym wzrokiem dokoła. Grim zorientował się, że NPG rzuciła wszystkie siły przeciw demonom, które przemykały nad dachami. Mourier rozbijał ich szeregi jak płomienny wojownik, lecz dokonane w mieście zniszczenia były już ogromne. Liczne domy stały w płomieniach, uwolnione z pęt demony siały popłoch na ulicach, napadając bezbronne Innostoty, podczas gdy diamentowe płomienie spopielaly tych spośród nich, którzy mieli mniej szczęścia. Remi zakasłał nerwowo i w błyskawicznym tempie sfrunął na ramię Grima.

– Co u diaska... – wychrypiał, tak silnie wpijając się paznokciami w ucho Grima, że ten aż się wstrząsnął.

W tym momencie Grim zrobił unik przed ognistym zaklęciem jednego z demonów i natychmiast wzniósł się w powietrze. Wraz z Cienistoskrzydłymi, którzy w odróżnieniu od rozhisteryzowanego kobolda siedzącego na jego ramieniu w ciągu paru chwil zorientowali się w sytuacji, pomknął ponad ulicami, by wylądować przy Błyszczących Zaułkach. Zemdlona Mia leżała w cieniu bramy. Była tak blada, że jej twarz wyglądała jak wykuta z kamienia. Grim podniósł ją ostrożnie i posłał do jej ciała zaklęcie, lecz jego magia nie zdołała pokonać zimna, które ją wypełniało. Pod oczami dziewczyna miała cienie, na wargach krew i ledwie oddychała. Remi sfrunął na jej ramię. Cały dygotał, kiedy gładził ręką jej włosy, a kiedy Grim chciał ująć jej dłoń, ta wysunęła się z jego dłoni i opadła bezwładnie jak liść. W tym samym momencie Grim usłyszał śmiech. Zbliżał się on ku niemu ponad dachami i kiedy Gargulec podniósł się, trzymając Mię w ramionach, uderzył w niego niczym podmuch burzy z taką mocą, że aż płaszcz mu załopotał. A potem z chaosu, z ciemności wyłoniła się świetlista postać – Verus. Wylądował kilka kroków przed Grimem, smagnął płomienistym biczem



o bruk ulicy, aż rozjarzył się zielonym płomieniem, by odpędzić Cienioskrzydłych, którzy chcieli się na niego rzucić. Grim powstrzymał ich. Ostrożnie ułożył Mię na ziemi, nie reagując na śmiech Verusa.

– Wiele zapomniałeś – powiedział demon ledwie słyszalnym głosem. – Wiele z tego, co wydarzyło się wtedy w Pradze. Ale jednak nie wszystko, śmiem twierdzić. Spójrz. – Odchylił szatę na piersi i oczom Grima ukazało się znamię naznaczone czarnymi bliznami. – Tym czarem mnie wtedy pokonałeś, w katakumbach. Wyrwałem sobie kawał mięsa z nicości mojego ciała, lecz nic mi to nie pomogło. Pokonałeś mnie wraz ze swoimi towarzyszami. Pamiętasz?

Grim powoli podszedł do demona. Nawet nie spojrzął na Berło Ludzi płonące w dłoni Verusa, ignorował też krzyki ghrogonian, tak jak i krzyki płonących demonów. W jego uszach rozbrzmiewało tylko zamierające bicie serca Mii i wszelkie inne myśli, wszelkie emocje schodziły na dalszy plan. Skinął ledwie dostrzegalnie głową i uśmiech na ustach Verusa przybrał złośliwy wyraz.

– Właśnie – wyszczał demon. – Zachowałem to znamię, żeby o tym pamiętać. Tak jak było świadkiem moich męczarni, tak teraz będzie świadkiem mojej zemsty. To ty bowiem zamknąłeś mnie w diamentowym lochu, ty wypaliłeś na moim ciele ten znak i na długie stulecia wydałeś mnie na żar mojego więzienia! Ty, Grimie, Dziecię Ognia, które kiedyś leżało u moich stóp!

Grim sapnął niechętnie. Nie czas teraz na takie rozmowy.

– Dotrzymasz swojej części paktu – powiedział. – Zdejmiesz z niej zaklęcie i...

Verus lekko odchylił głowę w tył.

– Nic nie wiesz o moim ludzie, skoro w to wątpisz – odrzekł tylko. Potem jego oczy rozbłysły białym światłem. – A teraz dosyć pustych słów! Zbyt wiele Dzieci Ognia straciło już dzisiaj życie! Zrób, co ci kazałem! Już!

Grim usłyszał za plecami ciężkie dyszenie Kronka i poczuł, jak jego kamienna krew na moment stężała. Poczuł też włosy Mii dotykające jego policzka i zanim Mourier, unoszący się wysoko nad dachami, zdążył objąć go spojrzeniem, wyrzucił w górę pięść i w stronę Wielkiej Osłony rozpostartej nad miastem wystrzeliła jaskrawa błyskawica. Z

grzmotem wbiła się w diamentową kopułę, która zabarwiła się migocącym czarno światłem. Grim stał nieruchomo, widział jednak twarze swoich towarzyszy zanurzone w świetle i w cieniu, widział ich przerażenie i słyszał, jak Osłona pęka.

W następnej chwili trafił go potężny Cios Wiru, ciskając nim w łuk bramy. W jego ciele ziała głęboka rana, zanim jednak przeciwstawił się jadowi demona, który z paraliżującą mocą rozlewał się po jego żyłach, przyciągnął do siebie na moment Mię. Na jej policzki wróciły kolory, z jej ciała zniknął chłód. Verus dotrzymał słowa.

Demon bez ruchu spoglądał poprzez spadające odłamki Osłony w dół, na Grima, i uśmiechał się tak jak wtedy, w katakumbach Pragi. Na ten widok dreszcz przebiegł po plecach Grima. Jaką to wiedzę ukrywał demon za swoimi złocistymi oczami, jakie wspomnienia, które pozostawały niedostępne dla niego? Powietrze smakowało tajemnicą i Grimowi nie pozostało nic innego, jak tylko wstrzymać oddech. Wtedy Verus wzniósł się w powietrze i popędził przed siebie ponad dachami miasta.

Grim chciał ruszyć za nim, lecz nie pozwoliło mu na to zaklęcie paraliżujące. Mógł tylko patrzeć, jak Kronk i pozostali ruszają w pościg za Verusem. Czuł gorejące Zaklęcie Płomienia w pięści Vladika, słyszał zaklęcie Walliego, które miało strzaskać kończyny demona... i niemal stracił oddech, widząc, jak w tym momencie kilka demonów rzuca się na jego towarzyszy. Potężne zaklęcia poleciały w stronę Kronka, Pyrosa i Walliego, Walli został powalony na ziemię Wirem Błyskawicy i zanim Vladik zdążył cokolwiek zrobić, jeden z demonów w kształcie harpii chwycił go za gardło i wślizgnął się do jego ciała. Remi wydał okrzyk przerażenia, a Grim nawet nie poczuł, jak jego prawa pięść wbija się w bruk ulicy. Słyszał krzyki swoich towarzyszy, kiedy demony rozpętały swoją moc. Widział przerażające formy, jakie przybierały, i czuł potęgę, jaka kryła się w tych Dzieciach Gniewu, chociaż na razie była zaledwie cieniem tej, jaką za chwilę miały osiąść. Oddychał ciężko, widząc, jak jego opętani przez demony towarzysze rzucają się na Kronka. A ten, jak ostatni wojownik walczący na polu bitwy z przeważającymi siłami wroga wyrzucił pięść w górę, odtrącił Pyrosa, który chciał go złapać. Przez moment Grim miał wrażenie, jakby znowu patrzył na swojego

odwiecznego towarzysza walczącego na polach bitew wszystkich czasów, z czarnym żarem w oczach, niezłomną skałę z ciemności zawieszoną między światłem a cieniem, bohatera annałów Kamiennego Ludu, wojownika, Cienioskrzydłego i swojego przyjaciela. A potem obydwaj opętane przez demony Gargulce odchyliły głowę Kronka do tyłu, złapały go za ramiona, a kiedy niejasny zarys demona wślizgnął się do jego ciała, także na twarzy Kronka pojawił się teraz okrutny, obcy uśmiech. Z płuc Grima wydobył się ryk, od którego zadrżały okoliczne domy.

W tym momencie nad dachami przemknęło złote światło. To Verus pędził w stronę sypiącego iskrami nieba nad miastem i kiedy Cienioskrzydli ruszyli za nim, jakby byli jego gwardią przyboczną, nałożył sobie na twarz maskę Bhaala. Natychmiast jego ciało przeniknęły płomienie, złote światło stało się jaśniejsze. I kiedy tak unosił się w górze, otoczony demonami, z wysoko uniesioną głową, przez moment rzeczywiście sprawiał wrażenie anioła, w którego postaci tak często pojawiał się wielu ludziom: istotą naznaczoną skończoną pięknnością i skończonym okrucieństwem.

Jego zaklęcie roznosiło się tysiącem głosów ponad dachami Ghrogonii. Grim odczuwał Stary Język Demonów jak rozzarzone odłamki tkwiące w skórze. Potem ujrzał, jak Berło Ludzi zaczyna świecić, jak jego magia łączy się z mocą zaklęcia, a niezliczone płomienie łączą się ze sobą, by uderzyć potężnym promieniem w sklepienie nad miastem. Przeniknęły przez strefę cienia aż do Górnego Świata, Grimowi wydawało się, że widzi, jak wydobywają się z wnętrza ziemi. Miał wrażenie, że dostrzega świat ludzi, który wstrzymuje oddech, spoglądając w górę na sypiące iskrami roje, potem usłyszał głuchy grzmot rozdzierający powietrze, kiedy ogień demonów spadł.

– Car'lay Ythemowie! – ryknął Verus w ciszę, jaka zapadła, i skierował Berło Ludzi w stronę Mouriera i Cienioskrzydłych, którzy się do niego zbliżyli. – Oto, czym jesteśmy! Jesteśmy Dziećmi Gniewu i zaraz zrozumiecie, co to oznacza! Żaden z was nie potrafi sobie wyobrazić, ile mój lud musiał wycierpieć w lochach, w których go zamknęliście! Ale teraz odczujecie nasz gniew, podobnie jak ludzie, nad którymi mam teraz władzę! Już niedługo, bardzo niedługo przyjdzie

wasza kolej!

Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, a każdym dźwiękiem przyciągał do siebie spadające odłamki Wielkiej Osłony. Z sykiem przecinały powietrze, zaczynały migotać i wreszcie całkowicie okryły demony, które jak groźna chmura unosiły się nad miastem. Grim widział w tym chaosie twarz Verusa, słyszał słowa zaklęcia, które tamten mamrotał, i skulił się, kiedy odłamki rozpadły się z potężnym grzmiotem. Na krótką chwilę Dzieci Gniewu okrył ognisty dym, a kiedy jego kłęby rozerwały się z szumem – już ich nie było.

## Rozdział 12



Mia stała ze skulonymi ramionami przy rozbitym oknie biura Grima i spoglądała na dachy miasta. Wiatr delikatnie muskał szklaną tafłę, wywołując vibracje i gnał ten dźwięk niby ponure requiem ponad ziejącymi wyrwami w ciągach domów, ponad ruinami zawalonych budynków i tumanami popiołu niespokojnie wzniecanymi na ulicach. Cień rozdartego na pół Ciernia złowieszczo padał na ulice. Z jego okien buchał dym, niczym czarna krew.

Mieszkańcy Ghrogonii od razu przystąpili do odbudowy. Demony zadały Innoświatowi głęboką ranę, która bez wątpienia nie zagoi się przez bardzo długi czas, a jednak w oczach ghrogonian widać było niezłomny upór, żelazną wolę przywrócenia miastu jego dawnej mocy. Spustoszenia były ogromne, lecz miasto ozdrowieje, ponieważ wypełniające je życie nie zostanie pozostawione same sobie. Inaczej było w świecie ludzi.

Mia objęła się ramionami na wspomnienie tego, co zastała po wyjściu do Górnego Świata. Widoczne na horyzoncie jaskrawobiałe poranne słońce wysyłało swoje bezlitosne promienie na Miasto Światła. Mia widziała błyszczące dachy, dymy wydobywające się z nielicznych tylko kominów i słyszała ciszę – ciszę, jaką słyszała nieraz w zwykłe dni, a jeszcze wyraźniej w zwykłe noce. Był to spokój, w którym milkły wszelkie odgłosy. Nie słychać było samochodów, rozmów, nawet śpiewu ptaków. Przez jedno krótkie mgnienie nie słyszała nic poza własnym oddechem, lecz ten moment znaczył wszystko. Dawał jej poczucie, że świat w swoim pięknie, w swoim okrucieństwie i zimnie na ten krótki moment należał tylko do niej, żeby mogła go poczuć, przeżyć, żeby mogła go naprawdę zobaczyć. Mia zawsze uwielbiała te chwile i także tego ranka, kiedy patrzyła na dachy Paryża, spodziewała się, że to

właśnie jedna z takich chwil – przelotny, przemijający moment. Lecz cisza trwała nadal i kiedy wreszcie usłyszała szelest liści, plusk fontanny i gruchanie gołębi, przeraziła się tak gwałtownie, że aż się wzdrygnęła. Ludzie zniknęli. Zniknęli wszyscy ludzie, i to nie tylko w Paryżu. Mia chwyciła się rękami za gardło, ponieważ cisza zaparła jej dech, potem przerażona uciekła w cień. Pobiegła w ciemność katakumb i ruch panujący w Ghrogonii, lecz wciąż prześladował ją obraz Paryża, zimnego, zastygłego w bezruchu miasta.

Mia spojrzała w stronę Grima, który z ponurą miną siedział przy biurku, ze wzrokiem wbitym w dal. Obok o stos akt opierał się Remi z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wzdychający wymownie od czasu do czasu, a w fotelu naprzeciw siedział milczący Lyskian. Mourier już parę godzin temu wezwał ich do biura Grima, teraz jednak kazał na siebie czekać i Mia omal nie oszalała z niecierpliwości. Verus wykorzystał strzaskaną czarodziejską osłonę miasta, żeby uciec ze swoimi siepaczami, i od tej pory słuch o nim zaginął. Najchętniej natychmiast by wyruszyła, żeby odnaleźć jego i jego przekłete demony, ale wiedziała, że to nie ma wielkiego sensu. Grim wysłał już Cienioskrzydłych, do akcji włączeni zostali także Niuchacze, a oni z pewnością szybciej go odnajdą niż ona, osłabiona Hartydka. Przejechała dłońmi po skroniach. Wciąż jeszcze odczuwała skutki mrocznego zaklęcia, które rzucił na nią Verus. Oczyma duszy na krótko ujrzała przed sobą Serafina, jego uśmiech, jego gniew, kiedy ją ratował, i poczuła muśnięcie ciepła. Nie zdołała jednak zatrzymać tego obrazu na dłużej. Wiedziała, że podobnie jak Grim zawarł on kiedyś pakt z Verusem. I znów ujrzała nad dachami Ghrogonii złocistą postać otoczoną rojem pachołków, tak jak ich widziała na krótko przed zniknięciem. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego. Car'lay Ythemowie. Dzieci Gniewu. Demony. Był to widok przerażający i jednocześnie niesłychanie piękny. Od chwili przygody z Elfami Mia nauczyła się czegoś o Ludzie Alfów. Podobnie jak krasnoludy należeli do Aspurich, Ciemnych Alfów, którzy jednak bardzo wcześnie rozwinęli się w zupełnie innym kierunku niż ich dawni krewniacy. *Nha'rs As'kanor*, tak nazywały się demony w języku Alfów. Cienie Ducha, ponieważ Us'vuril i Kar'monthas, pierwsi z ich rodzaju, opuścili niegdyś

swe ciała, idąc za głosem coraz silniejszej żądy swobodnego, nieznanego granic istnienia. *Arrmonghur*. Na dźwięk tego słowa Mia aż się wzdrygnęła. Przypomniała sobie mrok malujący się na twarzy Theryona, kiedy opowiadał jej o umiejętnościach demonów. *Początkowo była to tylko zabawa, rozbrzmiał w jej głowie jego głos. Coraz częściej jednak Dzieci Gniewu opuszczały swoje ciała za pomocą najmroczniejszych rytuałów, co oznaczało, że już nie podlegały ich ograniczeniom. Wydawało im się, że mogą robić wszystko, i pewnego dnia nie odnalazły już drogi powrotnej do ciał. Tak więc zaczęły szukać gospodarzy, w których się zagnieźdzały, ale byli oni dla nich wyłącznie wysoce skomplikowanymi maszynami, nad którymi potrafiły zapanować. Im dłużej przebywały w danym gospodarzu, tym silniej się z nim wiązały, lecz wciąż wszelkie odczucia były dla nich przytępione i jakby dochodzące przez tysiąc zasłon. Duchowo wspięły się na wyżyny, lecz świat wyślizgnął im się z rąk. Potrafiły pojąć nieskończoność morza, ale nie potrafiły poczuć wody, i tak po dziś dzień większość demonów oddaje się tym praktykom, ponieważ dzięki temu znajdują się bliżej życia, które utraciły.*

Przeraźliwy dźwięk aparatu HAKI sprawił, że Mia podskoczyła gwałtownie, uderzając ramieniem o framugę okna. Grim i Remi też się wzdrygnęli, jedynie Lyskian lekko tylko uniósł głowę, jakby dźwięk zaledwie musnął mu policzek niby chłodne tchnienie wiatru. Grim wyjął urządzenie z kieszeni. – Może Mourier przypomniał sobie wreszcie, że tu siedzimy i czekamy – mruknął, lecz hologram pokazał Theryona i Jakuba siedzących w blasku ogniska.

Mia pospiesznie podeszła do biurka. Theryon sprawiał wrażenie skupionego i spokojnego jak zawsze, ale to twarz Jakuba wyraźnie zdradzała napięcie. Martwił się o rodzinę, chociaż nie wspominał o tym ani słowem, a Mia dostrzegła pod chorobliwą bladością jego twarzy także znajomy gniew, połączony z oburzeniem na taki a nie inny stan świata, oraz niechęć do zaakceptowania go takim, jaki jest.

– Wybaczcie, że zgłaszamy się dopiero teraz – zaczął Theryon stłumionym głosem. Mia dostrzegła na dalszym planie Carvena, który spał na kocu. Spojrzała na Grima i aż się uśmiechnęła, widząc wyraz czułości, jaki przemknął na ten widok po jego twarzy.

– Dotarliśmy do Lhux Vrantorr, Czarnego Miasta Krasnoludów, imponujące miejsce, niestety, pełne magicznych prądów i pól energii, które zakłócają odbiór i... – Jakby na potwierdzenie jego słów kolumna światła zaczęła migotać.

– Czego się dowiedzieliście? – spytał Grim, gdy obraz znowu stał się wyraźny. Remi tak mocno zacisnął dłonie, że aż zachrząściły mu stawy. Mia wiedziała, że o świcie wysłał ekspresem list do Rozalii i kiedy wielokrotnie zapewniła go, że mgła zabrała ze sobą tylko ludzi, czekał teraz na wiadomość z Czarnego Lasu.

– Tu wszystko jest jak dawniej – odparł Theryon. – Mgła spadła na ludzi jak fala i zabrała ich wszystkich. Do teraz czuję jej chłód.

Jakub przytaknął ponuro.

– Byłem w takiej zabitej dechami wiosce, tu, niedaleko, i widziałem spalone jedzenie w garnkach, bezpańskie psy biegające po ulicach... I było tak cicho. – Skulił się, jakby zrobiło mu się nagle zimno, a potem spojrzał na Mię. – Tam również mgła zabrała ze sobą tylko ludzi. Żadnych Innostot, żadnych zwierząt i w ogóle jakichkolwiek innych istot, które dysponują magią. Wiem, że w tym momencie mamy zupełnie inne zmartwienia, ale... może to właśnie jedyna okazja... żeby odnaleźć innych, takich jak my.

Mia skinęła ledwie zauważalnie głową. *Innych, takich jak my.* Często rozmawiała z Jakubem, że chciałyby odnaleźć innych Hartydów, ale do tej pory okazywało się to niemal niemożliwe. Większość ludzi ich rodzaju nie miała pojęcia o swoich właściwościach, a ci, którzy wiedzieli, ukrywali się ze strachu przed innymi ludźmi oraz istotami z Innoświata.

– Oni przecież także zostali oszczędzeni przez mgłę – ciągnął Jakub. – Będę miał oczy otwarte...

W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi i do biura wszedł Mourier. Jego grzywę pokrywał kamienny pył, ogon walił gniewnie o podłogę, a pionowa zmarszczka między brwiami nie pozostawiała wątpliwości, że jest w diabelnie złym nastroju. Z westchnieniem usiadł ciężko na tronie, który Grim po uzasadnionych, choć nieskutecznych protestach przytaszczył na jego polecenie do swojego biura, i przejechał łapą po oczach.



– Nic – wymamrotał, strzepując pył, który osiadł mu na pazurach.  
– Nie ma po nich najmniejszego śladu, nigdzie.

Grim zacisnął pięści, że aż zachrzęściły mu stawy.

– Co za przeklęty demon, diabli wiedzą, gdzie...

– Bardzo cię proszę – przerwał mu Mourier, przyciskając obie łapy do skroni. – Głowa mi tak pęka, że czuję to aż w czubku ogona, i doprawdy nie mam ochoty znosić jeszcze twojego przeklinania.

– Szczerłość na czterech łapach – mruknął pod nosem Grim. Mourier posłał mu tylko karcące spojrzenie, potem zwrócił się do pozostałych:

– Kazałem wam się tu zebrać, ponieważ Ghrogonię spotkała najgorsza możliwa katastrofa – zaczął ponuro. – Uwolnione zostały demony, owe istoty, które od stuleci trzymaliśmy w zamknięciu. Verus ogłosił się ich przywódcą i jednoczy je tak, jak zjednoczył je kiedyś w czasie buntów w Pradze. Już wtedy próbował złamać panowanie Gargulców i od tej pory miał dosyć czasu, by dopracować swój plan. Słyszeliście jego groźbę, a jedno jest pewne: Verus nie rzuca słów na wiatr i zawsze trzyma się tego, co mówi. A teraz pragnie zemsty.

– I dokona jej, jeśli go nie uprzedzimy. – Grim odsunął swój fotel i zaczął chodzić tam i z powrotem po biurze. Nie zmrużył oka, odkąd demony znalazły się na wolności, i teraz, kiedy przejechał dłonią po karku i przystanął na chwilę przy oknie, Mia miała ogromną ochotę ująć jego dłoń, by przełamać mur, którym zawsze się w takich sytuacjach otaczał. Grim jednak myślami był bardzo daleko i wiedziała, że teraz do niego nie dotrze.

– Verus uprowadził ludzi – ciągnął Mourier. – I chociaż nie wiem, co zamierza z nimi zrobić, już teraz odczuwamy skutki ich zniknięcia. Stacje zbierania snów są coraz bardziej puste, a wiemy, co się stanie, kiedy stracimy dostęp do ludzkich snów.

Remi z powagą skinął głową, jakby doskonale wiedział, co to oznacza nie mieć własnych snów. Mia spuściła wzrok. Pomyślała o Feradynie, starym Gargulcu, który był teraz cieszącym się wielkim poważaniem senatorem Ghrogonii, a którego przed dwoma laty odnaleźli głęboko pod ulicami Rzymu. Uciekł przed życiem, przez długi czas nie śnił i był bliski obłądu, podobnie jak Thoron, kiedyś król Ghrogonii,

który z kolei nadmiernie z ludzkich snów korzystał. Mia aż się wzdrygnęła, wspominając, jaki był jego koniec. Grim tylko raz jej o tym opowiedział, o spojrzeniu króla, kiedy wyrywał sobie serce z piersi, lecz ten jeden raz wystarczył, aby obraz już na zawsze utkwiał jej w pamięci. Z przejściem przejechała dłonią po włosach. Ludzkie sny były Gargulcom niezbędne do życia. Bez nich skazani byli na zagładę.

– A w tym samym stopniu, w jakim Gargulce będą słabły, Verus będzie w ukryciu wzmacniał swoje demony – powiedział Theryon. – Aż staną się na tyle silne, by rozpętać wojnę w Innoświecie.

Remi tak gwałtownie wciągnął powietrze, że aż się zakrztusił.

– Wzmacniał? – wysapał otwierając szeroko oczy. – To znaczy, że one nie były jeszcze dość silne? Sam widziałem zjawę o trzech głowach i...

Grim rzucił mu lekceważące spojrzenie.

– Sam widzisz, wojowniku elfów: powiedziałeś, że widziałeś zjawę. Diamentowy Ogień odebrał demonom prawie całą moc, a jednak w ciągu jednej chwili zdołały zmienić Ghrogonię w morze gruzów. Potrzeba będzie trochę czasu, zanim wrócą do swoich dawnych sił, ale jeśli im się to uda, to przyjdzie nam się zmierzyć z zupełnie innymi problemami niż zjawy o trzech głowach, zapewniam cię.

Remi głośno przełknął ślinę, a Mourier powoli pokręcił głową.

– Wojna z demonami pociągnęłaby za sobą ogromne straty – stwierdził. – Już teraz ludzie to dla Dzieci Gniewu zwykłe mięso armatnie.

– Demony są kłótlive i trudno nad nimi zapanować – powiedział dudniącym głosem Grim i w jego oczach pojawił się ciemny błysk, coś jak uśmiech. – Dopiero Verusowi udało się je zjednoczyć. To on jest głową tej całości. Jeśli go złapiemy, demony natychmiast się skłócą i rozproszą.

– Nadal jeszcze są osłabione stuleciami pobytu w lochu – stwierdził Jakub. – Jeśli je szybko znajdziemy, straty będą niewielkie.

– Właśnie – potwierdziła Mia. – Jeśli. Ale Niuchacze i Cienioskrzydli od wielu już godzin szukają ich, niestety bez powodzenia.

Mourier przytaknął ponuro.

– Zmobilizowałem wszystkie będące w dyspozycji siły NPG.

Cienioskrzydli zasięgają języka nawet u dawnych sprzymierzeńców Car'lay Ythemów, lecz... to prawda, nie udało im się wpaść na żaden ślad.

Przez chwilę panowało milczenie, lecz było to milczenie, które Mia już знаła, czyli napięcie pojawiające się zawsze, ilekroć Lyskian w ledwie widoczny sposób pochylał się do przodu i podnosił wzrok, który dotąd spoczywał na jego własnych dłoniach.

– Nigdy nie znajdziecie Verusa – powiedział ze spokojem. – A nawet jeśli wam się to uda, nie macie szans go pokonać.

Grim parsknął pogardliwie.

– Przecież już z nim walczyłem. Wtedy, w katakumbach Pragi. To ja wtrąciłem go do więzienia i...

– Wtedy, kiedy był osłabiony, a ty wystąpiłeś przeciwko niemu z najsilniejszymi Cienioskrzydłymi Ghrogonii? – spytał Lyskian z lekkim uśmiechem. – Tymi Cienioskrzydłymi, których ciała Verus sobie właśnie przywłaszczył?

Twarz Grima spochmurniała, Lyskianowi natychmiast odpowiedział Remi:

– Ale za to teraz Grim rozporządza wyższą Magią i...

Lyskian z namysłem przechylił głowę.

– W ostatnich miesiącach Verus całkowicie się zregenerował, i to z pomocą Grima, ponieważ od niedawna Diamentowy Ogień sięgał już tylko do najbardziej skrajnych rejonów jego lochu. Cóż ty możesz wiedzieć o ludzkie demonów, mały koboldzie?

Remi wyprostował się jak uczeń, którego nauczyciel niespodziewanie wyrwał do odpowiedzi, i zmarszczył z namysłem czoło:

– Każdy demon od momentu narodzin należy do jednej z dziewięciu kast swego ludu – wyrecytował. – Każda kasta dzieli się z kolei na dziewięć kręgów, przez które demony przechodzą kolejno w miarę wzrostu swoich umiejętności. Dorakenowie, Naleyowie i Holoklici to stosunkowo słabe demony, po nich idą Ohgruowie, Xayowie i Ifrirowie, a następnie Phyoowie, Khanowie i Lhotowie, czyli najpotężniejsze z nich.

Wyrecytowawszy bezbłędnie wszystkie te nazwy, Remi pokiwał dumnie głową. I dopiero wtedy zauważył uśmiezek na wargach

Lyskiana.

– To wszystko prawda – potwierdził Lyskian spokojnie. – Nie oszukujcie się. Verus zalicza się do kasty najpotężniejszych demonów, jest Lhotem z dziewiątego kręgu i skupia w sobie gniew całych stuleci niewoli. Nikt z tu obecnych nie może mierzyć się z tą siłą.

– Lyskian ma rację – powiedział Mourier. – Ponadto Verus ma w swoim władaniu Berło Yarthodów i maskę Bhaala.

Grim zaczerpnął powietrza i Mia niczego bardziej nie pragnęła, jak tego, by powiedział coś, cokolwiek, co mogłoby dodać im otuchy. On jednak tylko sapnął, gniewnie i gwałtownie, i wsparł się ramieniem o ścianę. Mia spojrzała na Theryona i Jakuba, lecz oni także milczeli. A Mourier siedział nieruchomo na swoim tronie, jakby całkiem obrócił się w kamień.

– To prawda – odezwał się Lyskian. – Raz już go pokonaliście. Lecz, za pozwoleniem, mieliście wtedy więcej szczęścia niż rozumu. Tym razem nie będzie już tak łatwo go zwyciężyć i chociaż Gargulce rozstrzygnęły na swoją korzyść już niejedną bitwę z demonami, to jednak nigdy nie udało im się zapuścić w otchłanie właściwe temu ludowi. A żeby zwyciężyć Verusa, potrzebujecie właśnie tego: ciemności.

Mourier rzucił mu ponure spojrzenie:

– Co masz na myśli, Książę?

Lyskian spojrzał z uśmiechem, który był zimniejszy niż jakikolwiek Czar Lodu.

– Mam na myśli to, że połowiczna wiedza Gargulców na temat demonów niedaleko nas zaprowadzi.

Król wyprostował się, jego oblicze zapłonęło gniewem, który jednak zdławił.

– Mówisz o wiedzy swojego ludu. Nie bez powodu cię wezwałem, Książę Wampirów. Powiedz, co masz do powiedzenia.

Lyskian skinął ledwie dostrzegalnie głową.

– Swego czasu mój lud był zbratany z demonami. Nosiliśmy w sobie ich ducha, nosiliśmy w sobie ich myśli, a ich żądza płynęła także w naszych żyłach. Wiemy, co to znaczy, zawrzeć pakt z diabłem, być ściganym, nienawidzonym. Byliśmy kiedyś bardzo blisko Dzieci

Gniewu, tak blisko, że ich śmierć wykiełkowała z naszych szeregów. Gargulcom coś podobnego nigdy by się nie udało. Ale wiecie, kogo mam na myśli, nie myślę się?

Po jego twarzy przebiegł cień, którego lodowate muśnięcie Mia poczuła na skórze. Remi wyprostował się i zrobił minę, jakby nie chciał tego słuchać, a jednocześnie nie mógł się tego doczekać.

Grim ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Rhak’ Hontayowie – zadudnił. Dźwięki składające się na tę nazwę przemknęły przez pokój niby tchnienie lodowatego zimna. – Znam historię tych wampirów. Pierwsze ich ślady pojawiają się po bitwie o Pragę. Byli podobno mrocznymi wojownikami, zanim zniknęli w Burzach Czasu. Byli budzącymi grozę pogromcami demonów z Innoświata.

Lyskian skinął potakująco głową.

– W dawnych czasach mój lud nie różnił się od demonów tak bardzo jak dzisiaj. Podobnie jak one podążaliśmy za naszymi popędami, podobnie jak one słuchaliśmy tylko jednego głosu wołającego w nas: żądzy. Podobnie jak one dążyliśmy do bezgranicznej władzy, dlatego też wspólnie walczyliśmy z Gargulcami o pozycję w Innoświecie. Bitwa pod Pragę stanowi cezurę w relacjach między wampirami a Dziećmi Gniewu. Po klęsce mój lud ułożył się z Gargulcami i podpisał Pakt z Thyros, natomiast demony uczyniły to daleko mniej chętnie niż my i bez szerokiego poparcia w masach. Odsunęliśmy się od siebie. Mój lud coraz bardziej skłaniał się ku chłodnemu rozumowi, by stłumić żądzę, podczas gdy demony oddawały się szałowi. Doszło do krwawych walk między wiernymi władzy wampirami a radykalnymi demonami, a kulminacją tego konfliktu była masakra pod Grhrokol, gdzie horda demonów wycięła w pień kilka klanów wampirów. Przeżyło niewielu, ale poprzysięgli zemstę. W tym celu przyswoili sobie magię demonów i utworzyli klan Rhak’ Hontayów, który obrał sobie za cel polowanie na Dzieci Gniewu.

Mourier pokiwał głową, w jego oczach pojawił się ciężki błysk.

– Przypominam sobie opowieści o ich bohaterskich czynach. Budzili oni jednak obawy wśród Gargulców i za czasów panowania Thorona byli prześladowani, bowiem jego gniew i nienawiść kierowały

się nie tylko przeciw demonom, ale też przeciwko wszystkim, którzy mieli w sobie wiedzę demonów.

Lyskian spojrzął na niego ponuro.

– Mój lud mógłby zapęłnić całe biblioteki opowieściami o jego szaleństwie – odparł lodowato. – Nie było zaskoczeniem, że pewnego dnia Thoron rozpoczął polowania na Rhak’ Hontayów, którzy zaczęli wtedy żyć w ukryciu. Te potężne istoty zostały rozbite pięścią strachu.

– Thoron już nie żyje – stwierdził Mourier chłodno, lecz Lyskian spojrzął na niego znacząco.

– Strach i nieufność to wierni towarzysze – odparł. – I mają dobrą pamięć.

W tym momencie Theryon pochylił się do przodu i wtrącił:

– Gargulce nie bez przyczyny żywiły wobec nich obawy. Jeśli wierzyć opowieściom, wampiry nie zawsze zachowywały się przyjaźnie.

Lyskian milczał przez moment, a potem skinął głową.

– Początkowo traktowano ich jak bohaterów, lecz potem... cóż, polowanie na demony nie pozostało bez następstw i z czasem Rhak’ Hontayowie stali się dla mojego ludu czymś w rodzaju szczurołapów... zwracano się do nich o pomoc w chwilach zagrożenia, lecz unikano ich, kiedy nie byli potrzebni.

Mia objęła ramiona rękami – w pokoju zrobiło się zimno i to tak bardzo, że jej oddech zamarzał w powietrzu.

– Niewiele czytałam o Rhak’ Hontayach... ale podobno byli niebezpieczni, podobno... byli więcej niż tylko zwykłymi wampirami.

Na ustach Lyskiana przez moment igrał uśmiezek niemalże rozbawienia.

– Każdy wampir jest niebezpieczny i każdy wampir jest kimś więcej, niż jesteś w stanie się domyślić – odrzekł łagodnie. – Ale to rzeczywiście prawda: Rhak’ Hontayowie dlatego byli tak groźni dla demonów, że stali się do nich bardzo podobni. W ich języku mówiło się: *K’ayrhon arrs Thumon. Stajesz się tym, na co polujesz.*

W oczach Lyskiana pojawił się cień. Mia wyraźnie dostrzegła, że to postać w długiej opończy, o twarzy skrytej w mroku. Postać wydawała się unosić w powietrzu. Odciążona noga skrzyżowana była z podpierającą, ręce rozłożone jak ptasie skrzydła, a głowa pochylona do

przodu, jakby oczy wpatrywały się w ciemność pod stopami. Światło i ciemność rozbłyskiwały w ciele tej postaci, która sprawiała wrażenie bardziej zjawy z mroku niż istoty z krwi i kości. Z opończy wystawały białe jak śnieg dłonie, ruchliwe, jakby wyczarowywały palcami tańczący teatrzyk cieni. W postawie tej postaci było coś drapieżnego, tanecznego, a zarazem okrutnego i Mia czuła zagrożenie, jakie z niej emanowało. Widok skojarzył się jej z widokiem orła, który spada z nieba na mysz, a ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Postać z wolna uniosła głowę, w mroku pod kapturem rozbłysły jasne oczy i zaraz potem w ciemności buchnęła iskra, tak szybko, że Mia o mało nie straciła równowagi. Na szczęście zdążyła złapać się poręczą fotela Grima. Zobaczyła jeszcze, jak przez spojrzenie postaci przemknęło coś jakby uśmiech, uśmiech pełen triumfu. A potem Lyskian zamknął powieki i obraz zniknął.

– Byli zmuszeni poznać ciemność, którą nosi w sobie demon – wyszeptała Mia. – Rzucili się w sam jej środek. Dlatego budzili strach.

Mourier prychnął.

– Istotnie – odparł nie bez wyższości w głosie. – Coś takiego nie mogłoby zdarzyć się Gargulcowi.

Lyskian uśmiechnął się, a w jego uśmiechu było tyle arogancji, że kąciki ust Mouriera opadły w dół, jakby obciążone betonowymi kłocami.

– W nas, wampirach, drzemie jednak ta sama żądza, która napędza demony. To prawda, Rhak’ Hontayowie stanowią duże niebezpieczeństwo i są nieobliczalni. Noszą w sobie otchłanie, o których nawet nie macie pojęcia, i nieraz zdarzało im się pochłonać tego, kto prosił ich o pomoc.

Remi pokręcił głową.

– Może są jeszcze jakieś inne możliwości, których nie wzięliśmy pod uwagę... – zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle.

Mourier wyprostował się i rzekł:

– Nie mamy innego wyboru. Sytuacja jest zbyt poważna, żebyśmy w poczuciu fałszywej dumy zdawali się na łaskę szczęścia. Aby odnaleźć i pokonać Verusa, potrzebujemy pomocy kogoś z Rhak’ Hontayów.

Lyskian skinął głową w ledwie dostrzegalny sposób i na moment w jego spojrzeniu rozbłysło coś mrocznego i złowieszczonego, coś jakby...

lęk? Mia ściągnęła brwi. Jeszcze nigdy nie widziała u Lyskiana czegoś takiego, lecz ten błysk zniknął równie szybko, jak się pojawił, i stało się to tak nagle, że Mia zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście cokolwiek widziała.

– Nie będzie łatwo wytropić myśliwego – powiedział Lyskian. – Od długiego czasu żaden z nich się już nie pojawiał, nawet ja znam tylko legendy i ilustracje ze Starych Opowieści. Jedno nie ulega kwestii: żeby znaleźć Rhak’ Hontaya, należy wtopić się w towarzystwo tych, z których oni powstałi, a to jest zadanie bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe.

Grim zmarszczył brwi.

– Jestem prezydentem NPG, już ja znajdę doście do świata krwiopijców, co do tego...

– ...nie ma wątpliwości – dokończył za niego Lyskian. – Pytanie tylko, czy znajdziesz też drogę powrotną z tego świata, a jeśli tak, to jako kto. Jesteś przecież Hybrydem, na wpół człowiekiem. – Lyskian uśmiechnął się krótko, jakby to mówiło wszystko, potem zwrócił się do pozostałych. – Wampiry ochraniają się nawzajem i droga do Wyższego Towarzystwa może się skończyć szybciej, niż sobie wyobrażacie, zwłaszcza jeśli prowadzi daleko poza granice Paryża. Ze mną u boku być może ujdziecie z życiem.

Mia dostrzegła aprobatę w oczach Mouriera, ale, widząc wzrok, jakim Grim obrzucił Lyskiana, z trudem powstrzymała uśmiech. Dobrze wiedziała, jak bardzo jest mu nie na rękę, że zmuszony będzie wybrać się na wyprawę z tym snobistycznym wampirem. Nie mieli jednak wyboru.

– Niech będzie – powiedział wreszcie, nadając swoim oczom wyraz zimnego skupienia. – Ale nie powinniśmy ściągać na siebie uwagi Verusa bardziej, niż to konieczne. Przypuszczalnie już teraz każe nas obserwować przebywającym na wolności demonom, które wietrzą w tym szansę zbuntowania się przeciw władzy Gargulców.

– Niech robi, co mu się podoba – wymamrotał Mourier. – Ja nadal będę wysyłał nasze oddziały na poszukiwania, żeby nie wzbudzić podejrzeń, a jeśli Theryon i Jakub na dalekiej Północy nie będą się zbyt ukrywać z tym, że mają oczy i uszy otwarte, i też go szukają, dodatkowo zakamufluje to nasze plany.



Grim skinął głową.

– Udam się na poszukiwania razem z...

Mia spojrzała mu prosto w oczy. Wiedziała, że najchętniej by się od niej odwrócił, ale nie zrobił tego.

– ...razem ze mną – dokończyła za niego zdanie i uśmiechnęła się.

– I oczywiście z Remim.

Kobold ciężko westchnął, ale skinął głową.

– Oczywiście że tak – potwierdził i udało mu się nawet zmusić do krzywego uśmiechu. – Beze mnie jesteście przecież bezradni, bez dwóch zdań.

Grim wykrzywił twarz w ironicznym uśmiechu.

– Ależ z nas zabawne towarzystwo: kobold, człowiek, Hybryd i krwiopijca. – Spojrzał na Lyskiana. – Ale coś sobie zapamiętaj, Książę Wampirów. Niewykluczone, że przyjdzie nam w czasie tej podróży pobrudzić sobie ręce, a jedno wiem na pewno: nie będę za tobą nosił zestawu do manikiuru.

Lyskian odwzajemnił się równie ironicznym uśmiechem, lecz zaraz potem znów spoważniał. Do jego spojrzenia powróciły cienie.

– Będziemy mieli inne problemy niż brudne ręce – odpowiedział niemal bezgłośnie. – Nasza droga prowadzi do samego centrum wampirycznej mocy, tam, gdzie już dwukrotnie rozstrzygały się losy tego świata. Nasza droga prowadzi do Pragi, do Złotego Miasta.

## Rozdział 13



Lasy Czech leżały pogrążone w bajkowym mroku. Poszarpane chmury pędziły po niebie, a księżyc rzucał lodowaty blask na nieskończoną ciemność opustoszałego świata.

Grim czuł jego blask na czole niczym szyderczy śmiech. Chłód nocy wciskał mu się w ciało, kark bolał go od wiatru, a potężne kichnięcia w regularnych odstępach czasu niemal rozrywały mu bębenki. Po raz kolejny zmiotł Remiego z ramienia, lecz kobold zaraz na nie wracał, głośno wydmuchując nos. Grim mógłby się założyć, że z premedytacją wydawał przy tym boleśnie wysokie dźwięki, od kiedy bowiem odrzucił propozycję Remiego, by zajrzeć na moment do L'hur Bhraka – *to tylko mikroskopijne nadłożenie drogi, nawet tego nie zauważysz* – kobold był w złym humorze i bez przerwy na wszystko narzekał. Dopiero kiedy Grim poinformował go, że w każdej chwili może naprawdę mikroskopijnie nadłożyć drogi, żeby wsadzić go do pociągu wampirów, który właśnie pędził do Pragi, wioząc Mię, Lyskiana i kilkuset krwiopijców, Remi dał sobie spokój. Owinął się szalem i z ponurą miną gapił się w noc. Tylko kichał, ile wlezie, i od czasu do czasu ciężko wzdychał.

Grim ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Naprawdę miał teraz ważniejsze zmartwienia niż problemy sercowe kobolda. Tuż po wyruszeniu otrzymał informację od Mouriera, że niektóre oddziały Cienioskrzydłych zostały zaatakowane przez pozostające na wolności demony – demony, którym groźba wojny dodała odwagi do aroganckich zachowań. Grim ściągnął brwi. Nie podobało mu się, że Mia znajduje się w pociągu pełnym wampirów, ale było to i tak lepsze niż narażanie jej na niebezpieczeństwa grożące podczas lotu. Już nieraz przyszło mu omijać włóczące się demony, a dobrze wiedział, że wiele z nich tylko czeka na

to, by zrewanżować się za wszystkie lata niewoli i nadzoru.

Z ponurą miną leciał tuż nad wierzchołkami drzew. Wiatr dziwnie muskał jego skórę i Grim przypomniał sobie tamten czas, kiedy z innymi Cienioskrzydłymi leciał do Pragi, by stłumić powstanie. Podobnie jak tamtej nocy, tak i teraz czuł, jak melancholia tego kraju przenika do jego ciała. Na myśl o Kronku i pozostałych ujrzał przed sobą Verusa unoszącego się wśród spadających na ziemię odłamków Wielkiej Osłony. Wyraźnie poczuł uśmiech demona, uśmiech, którego nie potrafił zinterpretować. *Zapomniałeś już, co wtedy się stało*, rozbrzmiały w jego myślach słowa Verusa. *Lecz pewnego dnia sobie przypomnisz*. Grim prychnął z pogardą. Co go obchodzi bredzenie jakiegoś demona? Skupił się na locie, a chłodne powietrze nocy dobrze mu robiło. Po krótkim jednak czasie jego myśli znów zaczęły kręcić się w kółko jak pijane gnomy. Czy rzeczywiście zapomniał o czymś, co wydarzyło się w katakumbach Pragi? Czyżby była jakaś luka w kobiercu wspomnień, do której się coraz bardziej zbliżał, zupełnie jakby był ćmą lecącą do Złotego Miasta jak do płomienia świecy? Jakby w odpowiedzi wzmogło się pieczenie w jego piersi, on jednak zacisnął pięści i przegnał dręczące odczucie. Do diabła, te myśli doprowadzają go do szaleństwa. To вина tego kraju utkanego z melancholii i mroku, który rozciągał się pod nim opustoszały, a księżyc, który pluł mu swoim przeklętym srebrzystym blaskiem w twarz, tylko dodatkowo pogarszał sprawę. Oczyma duszy zobaczył Serafina z rozdartą piersią, którego Verus zepchnął z powrotem do Świata Snów, przypomniał sobie zamek z błękitnego światła, morze z nocy i płomień, który swoim chłodem uśmierzył jego niepokój, jednocześnie sięgając łapczywymi szponami po wszystko, czym był. *Nie idź za jego głosem*, rozległy się w jego myślach słowa Serafina. Grim ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Nie. Nie ma takiego zamiaru.

Siedzący na jego ramieniu Remi nabrał głęboko powietrza i kiedy Grim już, już spodziewał się kolejnego ataku kichania, też to zobaczył. Welony mgieł rozstały się przed nimi jak kurtyna w cyrku o północy, a w ciemnościach pojawiło się przed nimi miasto – miasto złotych cieni. Czuł tchnienie wiatru dochodzące z jego krętych zaułków, słyszał szepty jego domów w ochrypłym, gardłowym języku i chłonał jego woń przesączoną dymem i ciężką jak dawno przebrzmiała pieśń. To miasto,

które się przed nim rozciągało, było prawdziwym bazarzem i nim jeszcze Grim usłyszał jego głos, nim zrozumiał, o czym tym razem będzie mówiła opowieść i jak się zakończy – uśmiechnął się. Przed nimi leżała Praga, Złote Miasto i... zgadza się, tęsknił za nią.

Remi siedzący na jego ramieniu stanął i po pełnych oddania westchnieniach Grim zorientował się, że kobold zapomniał już o swoim gniewie. On też był już kiedyś w Pradze, na długo przed tym, jak się poznali, lecz jego wspomnienia z tego miasta były lekkie i ciepłe jak większość myśli kobolda. Grim natomiast miał wielkie trudności z przepędzeniem z głowy powracających obrazów z czasów buntu, tym większe, im bliżej byli miasta. Nie chciał wracać do Pragi, mając odór krwi i spalonych ciał w nozdrzach, a przed oczami obrazy poległych wtedy Cienioskrzydłych, ciasnych katakumb i uśmiechu Verusa, który stał nad nim w milczeniu, mając w oczach tajemnicę.

Na Hradczanach majestatycznie wznosił się praski zamek wraz z katedrą Świętego Wita, wiele ulic było jeszcze oświetlonych i niby złote arterie ciągnęły się one w górę przez dzielnicę Mała Strana. Grim jednak spoglądał w stronę Wyszehradu, skalistego wzgórza na prawym brzegu Wełtawy, spowitego nieczystym mrokiem. Bazylika Świętych Piotra i Pawła była ledwie widoczna, ale za to we wnętrzu wzgórza znajdowała się Lisia Jama, jak praskie Gargulce nazywały swoją małą dzielnicę. Wiele ich tam nie było; wprawdzie nad Innoświatem panował Kamienny Lud, w Pradze jednak rządziły wampiry, a nie każdemu kamiennogłowemu odpowiadało zwierzchnictwo krwiopijców. Lecz Gargulce z Pragi były inne. Czasem Grim odnosił wrażenie, że powstały one z fundamentów starej Pragi, ponieważ miały w sobie tę samą dziwaczność, jaką miały niektóre ciemne zaułki, tę samą niewzruszoność, co kamienne mosty, i to samo tchnienie magii i czarów, co całe Stare Miasto. Grim bardzo lubił praskie Gargulce i dużo by dał za to, by móc polecieć teraz do ich dzielnicy, usiąść w którejś z tamtejszych przyjemnych knajpek i patrzeć, jak Remi upija się naparstkiem gargulcowego alkoholu. Zamiast tego miał zostać wprowadzony w wyższe sfery krwiopijców. Od wieków o niczym innym nie marzył.

Wylądował przed Dworcem Głównym i ledwie jego szpony

dotknęły chodnika, od razu każdym włókienkiem ciała poczuł upiorną ciszę miasta. Zamknął się przed nią, lecz Remi na wszelki wypadek przysunął się bliżej jego ucha. Kiedy weszli na dworzec, Grim poczuł na sobie światło i spochmurniał. Jak długo jeszcze przetrwa tutaj ten blask, który ludzie stworzyli sobie dla ochrony przed ciemnością, te bezbronne światełka w ciemności, która gdyby tylko wzięła głębszy oddech, zdusiłaby wszelki śmiertelny ogień?

Przeszedł przez dworzec, nie zwracając uwagi na cienie poruszające się w tunelach. Aż zbyt wyraźnie odbierał zjełczały odór wilkołaków, które się za nim skradały, nim ostatecznie podjęły decyzję, że nie będą ryzykować. Nie miał żadnego interesu, żeby nawiązywać z nimi kontakt. Wystarczało mu już to, że tej nocy spotka się z tłumem krwiopijców, i nie zależało mu na tym, żeby ich drażnić zapachem ich śmiertelnych wrogów.

Staął przed pokrytymi graffiti metalowymi drzwiami i lekko dotknął wystającej ze ściany cegły. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Ledwie Grim zrobił krok w stronę znajdującego się za nimi tunelu, a już w nozdrza uderzył go chłodny, zastygły zapach nieumarłych. Był słodkawy i tak ciężki, że w mgnieniu oka z szyderczym okrucieństwem oplótł się wokół żołądka Grima. Ciężkim krokiem Grim ruszył w głąb z przepychem ozdobionego korytarza, a magiczne pochodnie zapalały się, gdy tylko się do nich zbliżał. Podziemna sieć korytarzy należących do paryskich wampirów była przejawem niezwykłego przepychu i próżności, ale i praskie wampiry nie omieszkały w jak najdobitniejszy sposób zademonstrować swojej wyższości materialnej. Posadzka była z najdelikatniejszego marmuru, sufit przyozdobiony mozaikami poprzątkanymi złotym pyłem, a kiedy Grim zobaczył wystające ze ścian, i to w regularnych odstępach, mosiężne krany, z których na pewno nie leciała zwykła woda, wprost nie mógł uwierzyć własnym oczom. Z nastaniem nowych czasów większość wampirów zamieszkujących dotychczas Podziemny Świat opuściła go, ponieważ nowoczesność pozwalała im prowadzić wygodne życie także na powierzchni. Grim aż się uśmiechnął, słysząc w myślach głos Lyskiana: *Cienie wypełzły z ciemności ku światłu i tam już zostały.*

Im głębiej zapuszczali się korytarzem, tym silniejsza stawała się

woń popiołu i śniegu, tłumiąca nawet odór nieumarłych. Grim znał duże połacie Asduru, podziemnego świata wampirów, i wiedział o istnieniu Rha'manthuru, Miasta Płomieni, wzniesionego niegdyś przez demony, a po ich upadku objętego we władanie przez wampiry. Nigdy w nim nie był, zbyt niebezpieczne były jego ulice, zbyt złośliwe i podstępne cienie czyhające w zaułkach, lecz słyszał o nim, o czarnych jak smoła budynkach, o oknach przypominających oczy i o Wieży Klątwy w Kharamon, Zamczysku Gniewu, otoczonym szponami z Wiecznego Kamienia i zagadkowymi cieniami. Miasto popadło w ruinę, ulice były upiornie puste, a jednak... podobno nie do końca opuszczone. Grim przypominał sobie przerażające opowieści, jakimi dzielili się wtedy przy ogniskach rozpalanych w katakumbach, słyszał chrypliwe głosy wojowników, którzy nagle zaczynali mówić ciszej, jakby się czegoś obawiali... oni, nieznający strachu. Rha'manthur padł, lecz coś jednak żyło tam, w dole, coś, czego nazwa, mimo że bronił się przed tym z całych sił, budziła w nim dreszcz. *Skarnaara*, szeptał wiatr szeleszczący w tunelu, *Skarnaara*, *Piękna Mrozu*, *Okrucieństwo Srebrnego Stepu i Piękność Wschodniego Wichru* – *Skarnaara*, *Caryca Nocy*. Ta przedstawicielka wampirów była amazonką noszącą płomienny znak Iryos, Wojowniczką Ciemności. Wprowadziła niezliczone zastępy swoich zwolenniczek w tajniki sztuk walki i przez długi czas była towarzyszką Bhragana Nha'sula, od wieków Lorda Wampirów. Którejś nocy ich drogi się jednak rozeszły, jak to często bywało u Prastarych ich ludu, i podczas gdy Lord przeniósł się ku światłu, Skarnaara powróciła do cienia Rha'manthuru. Nikt nie widział jej więcej w Górnym Świecie, chociaż w niezliczonych pieśniach opiewano jej okrucieństwa, a jeszcze częściej urodę. *Ona to coś więcej niż popiół i dym* – zaintonowały mroczne i hipnotyzujące głosy wojowników, lecz Grim zacisnął pięści i przerwał ich pieśń. Do diabła, nie po to tu przybył, żeby rozpamiętywać stare baśnie.

Nagle Remi aż podskoczył. Usłyszeli kroki – kroki, które w tym rejonie Pragi nigdy nie dopasowały się do ludzkich zwyczajów. Wprawdzie stawiane były ze zwyczajną prędkością, lecz ich regularność kazała Grimowi instynktownie napiąć każdy mięsień ciała. W tym momencie napotkał wzrok wampira, który wyszedł z bocznego tunelu i

teraz mierzył ich wzrokiem. Skóra tego krwio pijcy była tak jasna, że sprawiała wrażenie niemal szarej, jego oczy płonęły ciemną czerwienią, a na szyi miał chustę, którą mógł w każdej chwili naciągnąć na twarz w obronie przed blaskiem, jego dłonie skrywały aksamitne rękawiczki. Grim wiedział, że są w Pradze wampiry, które nigdy jeszcze nie poczuły na skórze nawet blasku księżyca czy poświęty gwiazd, jedne dlatego, że tego nienawidziły, inne, bo to kochały, a niektóre dlatego, że obawiały się, iż mogą od tego spłonąć. Tu, w Dolnym i Górnym Świecie Pragi, mieszkały najstarsze wampiry Innoświata i trzeba było innych sił niż tylko światła albo ognia, aby je zabić. Grim wiedział, o czym mowa. Wystarczająco często miał do czynienia z krwio pijcami, którzy nie chcieli zaakceptować swoich granic. Byli niebezpieczni, każdy z nich był niebezpieczny. Stawy jego palców zachrzęściły, kiedy zacisnął pięści. Grim uśmiechnął się ledwo zauważalnie. Ale przecież nie oni jedni byli niebezpieczni.

Wampira dzieliło od nich już tylko kilka kroków i Remi niemal wtulił się w szyję Grima. Krwio pijca uprzejmie jednak uniósł lewą dłoń do czoła, chociaż ten gest wyglądał jak wyuczony, jak parodia pozdrowienia. Grim skinął ledwie zauważalnie głową. Czuł lodowate tchnienie, które go musnęło, kiedy wampir mijał ich w możliwie największej odległości. Remi zakaszłał ochryple i kiedy puścił ucho Grima, z jego włosów osypała się szadz.

Dotarli wreszcie do peronu i Grim był zadowolony, że tylko kilka wampirów czekało wraz z nimi na pociąg. Stali w dużych odległościach od siebie, niektórzy nieruchomi jak posągi, inni rozglądali się niespokojnie dokoła, ale wszystkie wampiry miały ten sam przyczajony, lodowaty wyraz oczu, który napełniał powietrze trzaskającym mrozem. Grim czuł, jak ich spojrzenia przenikają przez jego ciało aż do serca – serca człowieka. Spoglądał na nich z ponurą miną, każdego po kolei zmuszając do odwrócenia wzroku. Może i jest zdany na ich pomoc, ale nigdy nie pozwoli sobie na to, by któryś z nich tak na niego patrzył, co do tego nie było wątpliwości. Właśnie zmusił ostatniego krwio pijcę, żeby opuścił wzrok, kiedy rozległ się huk i na peron wjechał dalekobieżny pociąg z Paryża. Był jeszcze większy i jeszcze wspanialszy niż wampiryckie składy paryskiej sieci metra i dysponował wszelkimi

możliwymi udogodnieniami, jakie były w stanie wymyślić lodowate mózgi krwiopijców. Zatrzymał się w ciszy, z szyn unosił się dym. Na peron wysypali się pogrążeni w cichych rozmowach pasażerowie, a ich spojrzenia prześlizgiwały się po Grimie, który z ulgą dostrzegł wśród wysiadających Mię i Lyskiana.

– Aż dziwne, że nie zamarzyłaś w tym towarzystwie – powiedział i przyciągnął Mię do siebie. Jej włosy były przesiąknięte zapachem wampirów, ale pod nim wyczuwał jak zwykle woń sztormu i morskiego powietrza, które tak w niej lubił.

Mia przesunęła dłonią po jego policzku.

– Byłoby zimniej, gdybym poleciała z tobą. Ale chętnie bym tak zrobiła. A tak, to ty się cały czas pewnie zamartwiałeś.

– A czymże miałbym się martwić? Jak tak patrzę naokoło...

Z ramienia Grima podniósł się Remi, rzucił spojrzenie mijającym ich wampirow, a potem ukradkiem popatrzył z obu stron na szyję Mii.

– Wasze obawy są nieuzasadnione – stwierdził Lyskian z zimnym uśmiechem. – Nikt nie śmiałby się do nas zbliżyć.

I rzeczywiście, wampiry trzymały się w słusznej odległości od nich, nawet teraz, kiedy ich książe stał tyłem, nie zaszczycając ich ani jednym spojrzeniem. Grim skinął ledwie zauważalnie głową. Wiedział, że w obecności Lyskiana Mia była bezpieczna, a mimo wszystko cieszył się, że znowu jest przy nim. Wszyscy razem opuścili peron, a Grim w zwięzłych słowach streścił wiadomość od Mouriera.

Lyskian zasępił się.

– Musimy być ostrożni – powiedział. – Poza tym czas nagli. Lord będzie wiedział, co się dzieje w Innoświecie Pragi i który z pozostających na wolności demonów jego miasta dochowuje wierności. Jedno jest pewne: jeśli ktokolwiek może nam pomóc w poszukiwaniu Rhak' Hontayów, to tylko Bhragan Nha'sul.

Grim nic na to nie powiedział. Lorda Wampirów – Bhragan Nha'sula, Oko Wschodniego Wiatru i Cieni Kry, Pogromcę Wilków Asprasa i Władcę Płonącego Stepu i Ludu Wiecznych – znał praktycznie tylko ze słyszenia. Raz jeden widział go z oddali, wtedy, w czasie buntów w Pradze, prastarego i potężnego wampira, który wciąż żelazną ręką kierował swoim ludem. Przypomniawszy sobie, jak Lord odmówił



opowiedzenia się po którejs z stron w czasie konfliktu z Elfami i rozpacz w oczach Lyskiana, kiedy nawet on, książę, nie mógł się przeciwstawić najwyższemu autorytetowi swojego ludu. Bhragan Nha'sul – imię niczym klątwa. Za każdym razem, kiedy o nim myślał, Grim czuł paraliżujące zimno, z każdą zgłoską tego imienia wpełzające do jego ciała.

Najwyraźniej nie tylko na niego źle wpływało samo wspomnienie imienia Lorda Wampirów. Remi ciałniej okutał się szalem i z cichym westchnieniem przysiadł na jego ramieniu.

– Gdzie go znajdziemy? – spytał Grim stłumionym głosem. – Słyszałem, że osiedlił się na wschodnim brzegu.

– Lord ma wiele rezydencji – odparł Lyskian. – Obecnie jednak trzyma się z dala od miasta, w pobliżu lasów, ponieważ... – w jego spojrzeniu pojawił się mroczny błysk, kiedy się uśmiechnął – ...rozpoczął się sezon polowań.

Mia spojrzała na niego pytająco, lecz Lyskian nie zareagował. Otworzył tylko drzwi w ścianie tunelu i przytrzymał je.

– Piechotą jest tam zdecydowanie za daleko, ale wiem, jak dostać się szybciej.

Grim rzucił mu krótkie spojrzenie.

– Szybciej, ale też bezpieczniej, mam nadzieję.

Lyskian uśmiechnął się promiennie.

– Tak bezpiecznie, jak bezpiecznie może być tylko w ramionach wampira, mój drogi – powiedział i zaśmiał się cicho.

Grim z westchnieniem wziął Mię za rękę i ruszył za Lyskianem w gęszcz uliczek Pragi. Ponownie poraziła go cisza panująca w mieście, inna jednak od ciszy w Paryżu, która kładła się na nim przygniatającym i nerwowym ciężarem, ponieważ ginął w niej wszelki oddech, świadcząc o tym, że ludzie tamtego miasta zniknęli – ludzie, którzy uczynili Paryż, Miasto Światła, tym, czym był. Tu natomiast, w metropolii nad Wełtawą, Grim miał wrażenie, jakby zniknął tylko jeden ton, jeden z wielu tonów tworzących głos tego miasta, tak że było to niemal bez znaczenia. Brakowało go, ale miasto nadal w niewytłumaczalny sposób było kompletne i kiedy dostrzegł duchy, które niby zorza północna unosiły się nad powierzchnią wody, cienie wampirów na ulicach czy

usłyszał wycie wilka niosące się w wąwozach ulic, wydawało mu się, że miasto jakby tylko nabierało powietrza, by odśpiewać requiem na cześć ludzi. Domy tłoczyły się jedne przy drugich, jakby i one czuły zimno. Grim mocniej ujął dłoń Mii. Obawa o życie rodziny i wszystkich ludzi była wypisana na jej twarzy, ale w jej rysach było też zdumienie. A kiedy ujrzała nagle czarnego jak smoła kobolda, który pojawił się za szybą jednego z okien, robiąc tak przerażającą minę, że Remi aż się skulił, roześmiała się. Weszli za Lyskianem w łuk bramy i Grim natychmiast poczuł ostrą woń. Jakby na potwierdzenie Remi zakaszłał i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Końskie łajno – powiedział i zrobił taką minę, jakby miał zwymiotować. Zaraz potem znaleźli się na podwórku przed krzywym od podmuchów wiatru budynkiem powozowni. Skrzydła bramy stały otworem, przez brudne szyby widać było migotliwy ogień. Grim dostrzegł we wnętrzu jakieś postacie, ich ruchy były zdeformowane przez rozedrgane cienie. Słysząc było też rzenie koni. Twarz Gargulca natychmiast spochmurniała.

– Zdumiewa mnie, że pozornie cywilizowany i nowoczesny lud wampirów wciąż jeszcze posługuje się tym przedpotopowym środkiem transportu – zadudnił, czując jak siedzący na jego ramieniu Remi gwałtownie przytakuje.

Lyskian jednak tylko się uśmiechnął.

– A mnie zdumiewa, że nadal tak niewiele wiecie o moim ludzie i że Cienioskrzydły może odczuwać taką obawę przed czworonogiem, który jest większy od niego.

Grim milczał. Czuł zaciekawione spojrzenie Mii, ale w tej chwili całkowicie pochłaniało go życzenie Lyskianowi i jego wampirom wszystkiego najgorszego. Ten osobnik doskonale potrafił wkładać swój trupi paluch w dawne rany. Grim rzeczywiście niezbyt lubił konie, których rzenie przypominało mu szyderyczy śmiech, zawsze tak było, a już na pewno od momentu niedawnego przecież spotkania z piekielnym rumakiem w Różanym Ogrodzie króla Laurina. I wiedział, że w najbliższym czasie to się nie zmieni. A teraz jeszcze musiał wsiąść do jakiegoś przekłętego powozu, który będzie turkotał po bruku Pragi, i siedzieć w ciasnocie z pochyloną głową i mającym odruchy wymiotne

koboldem na ramieniu.

W środku budynku cuchnęło potwornie. Na potężnych belkach podpierających powalę płonęły migotliwym płomieniem świece w metalowych cylindrach i magiczne światła. Tabor skrywał się gdzieś w cienistych mrokach, a głośnie rżenia i parskania sprawiały, że Remi kulił się raz za razem. Kilka koboldów z niezadowolonymi minami czyściło powóz, inne fruwały tam i z powrotem z jakimiś dokumentami i elementami końskiej uprzęży, a wszystkie obrzucały nowo przybyłych ciekawymi spojrzeniami. Były one dalekimi krewnymi koboldów mieszkających w mchu, zadziwiająco podobnych zewnętrznie do Remiego, chociaż ten zawsze gwałtownie temu zaprzeczał. Tak jak i on miały długie, zmierzwione włosy i kartoflane nosy, jak on były niesłychanie ciekawskie i pały żądzą przygód – z tym że większość z nich była złośliwa i sprytna, i zawsze myślały o własnej korzyści. W młodości Remi miał kilka nieprzyjemnych doświadczeń z przedstawicielami tego ludu, mających związek z bukietem bzu, rojem pszczoł i pokłutym żądłami żółtym siedzeniem kobolda, i może to było przyczyna, że kiedy na nich patrzył, jego twarz zaczynała przypominać pomarszczoną cytrynę.

Kiedy Grim podszedł za Lyskianem do kontuaru obok drzwi, kobold przycupnął na jego ramieniu z rękami założonymi na piersi. Za kontuarem siedział, w otoczeniu byle jak skleconych półek pełnych uprzęży, kluczy, map i ksiąg oprawnych w skórę, szary gnom o szpiczastych uszach z cwikiem na nosie i wielkim tomiszczem rozłożonym na kolanach. Miał na sobie spodnie w szare paski, znoszone buty i koszulę, na którą nałożył starą atlasową kamizelę. Na lewej ręce miał ochronną osłonę z szarej jak mgła skóry, opatrzonej bogatymi wzorami, co było jedynym ozdobnym elementem. Paznokcie gnoma były tak szare jak jego włosy, które wyrastały z głowy zwiewnymi, długimi pasmami. Kiedy podniósł wzrok, przyglądając się klientom, jego oczy roziskrzyły się zielonym blaskiem.

– Książę Wampirów – rzekł z uśmiechem, nie ruszając się z miejsca. Uzębienie miał bardziej niż skąpe, a w jego uśmiechu czuło się szyderczą wyższość, która spodobała się Grimowi. – Dużo czasu minęło, prawda? Może jednak nie dość dużo.

Grim spojrział na Lyskiana w nadziei, że dostrzeże na jego twarzy bodaj cień gniewu, wampir jednak uśmiechnął się tylko. W jego oczach jednak pojawiło się zimne okrucieństwo, co zazwyczaj prowadziło do tego, że rozmówca nie próbował już wypowiadać tego rodzaju uwag.

– Jesteś gościnnie jak zawsze, Ma´bhrru – stwierdził, a dźwięk jego głosu sprawił, że Remi wyraźnie zadrżał. – Nie powinieneś jednak tak lekkomyślnie postępować ze swoimi posłańcami. Kiedy ostatnio jeden z nich przybył do mnie z odpowiedzią w kwestii rezerwacji, nie mogłem go przyjąć, tymczasem on, zamiast, jak to było umówione, natychmiast ruszyć w drogę powrotną, wołał towarzystwo moich przyjaciół.

Najprawdopodobniej niezbyt dobrze na tym wyszedł. Nic pewnego mi jednak nie wiadomo. Kiedy się zjawiłem, znalazłem jedynie na podłodze wiadomość od ciebie, lekko splamioną czarnym atramentem... a może krwią koboldów cienia... – Wciąż się uśmiechając, wyjął z kieszeni płaszcza aksamitną sakiewkę i rzucił ją na kontuar. – Robienie interesów z tobą to zawsze wielka przyjemność.

Ma´bhrru spojrział na niego ponuro i splunął zieloną śliną do spluwaczki stojącej obok kontuaru. Potem sięgnął po sakiewkę i wetknął ją sobie do kieszeni.

– Jesteś przeklęty, Książę, co do tego nie ma wątpliwości. Zarówno ty, jak i wszyscy pozostali z twego ludu.

Lyskian ledwie widocznie skinął głową.

– O, a więc nie uszło to twej uwagi, jakże jesteś spostrzegawczy. Tym bardziej jednak powinieneś zrozumieć moje ostrzeżenie, kiedy je już wypowiadam. Lord być może toleruje twoje impertynencje, ponieważ go bawią, lecz jego humor jest zmienny. Sam o tym dobrze wiesz. A ja... – zawiesił na chwilę głos i Grim wyczuł chłód, jaki od niego bił – ...ja nigdy nie byłem tolerancyjny.

Ma´bhrru tak mocno zacisnął zęby, że aż zazgrzytały. Właśnie szykował się do riposty, kiedy do wnętrza wszedł bezgłowy rycerz. Grim zauważył jego prześwitujące ciało i aż się uśmiechnął, widząc głowę dyndającą u pasa. Duchy Pragi zawsze miały osobliwe poczucie humoru.

Ma´bhrru skinął w stronę głowy rycerza, a potem wręczył mu kopertę z pieczęcią z popiołu.

– Tylko bądź tym razem punktualny – mruknął. – Bazyliuszki nie

lubią czekać.

Rycerz wymamrotał coś w odpowiedzi i wyszedł przez drzwi, nawet ich nie otwierając.

Ma´bhrru spojrział na Lyskiana.

– Niech ci będzie – burknął, uderzając dłonią w mały dzwonek. – Dopóki płacisz.

Powiedziawszy to, zsunął się ze stołka i zniknął w ciemnościach, tam, skąd dochodziło rzenie koni. Parę koboldów pofrunęło za nim.

Grim rzucił Lyskianowi wymowne spojrzenie.

– Twój przyjaciel?

Wampir uśmiechnął się chłodno i w tym momencie, jakby w odpowiedzi, powietrze rozdarło gniewne rzenie kilku koni. Koboldy wprowadziły sześć koni fryzyjskich i zaprzęły je do czarnego powozu. Ma´bhrru położył dłoń kolejno na szyi każdego zwierzęcia i kiedy doszedł do największego z nich, rozbłyły znaki na skórzanej osłonie jego ręki. Błękitne światło przepłynęło przez ciało konia, rozeszło się po uprzęży i zaraz potem ogarnęło cały powóz. Remi westchnął, a Grim musiał przyznać, że widok ten miał w sobie jakieś ponure piękno. Mimo wszystko pilnował się, żeby nie podejść za blisko koni, i nie spuszczał ich z oka, ruszając wraz z innymi w stronę powozu. Kiedy wsiadł, powóz przechylił się lekko na bok. Ławki wewnątrz obciążone były miękką skórą, a dach wysklepiał się nad nim tak wysoko, że Grim nawet nie musiał się schylać. Pod dachem wisiała lampa i ledwie zamknęły się drzwi powozu, rozległ się syk latarni, które zapłonęły po obu stronach kozła. Grim czekał, aż Ma´bhrru albo któryś z jego pomocników usiądzie na koźle, ale gnom tylko spojrział w ich stronę i uśmiechnął się chytrze.

– Twoje życzenie zawsze było dla mnie rozkazem, Wielki Książę Wampirów – powiedział i wykonał lekki ukłon. – Życzę państwu przyjemnej podróży!

Z tymi słowami uderzył dłonią w drzwi, niewielki rygiel wewnątrz sam się przesunął i powóz ruszył z miejsca. Remi pospiesznie sfrunął z ramienia Grima.

– Nie ma woźnicy! – zawołał, wskazując na pusty kozioł.

Zdenerwowany Grim sięgnął do drzwi, ale te nie chciały się

otworzyć. Lyskian uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Ten powóz nie potrzebuje woźnicy – powiedział. – Konie znają cel naszej podróży. Możecie się odprężyć. Podróż powozem od Ma´bhrru zawsze jest szczególnym przeżyciem, zwłaszcza jeśli jest to powóz wampiryczny, tak jak ten, w którym się znajdujemy. Zazwyczaj nie wolno zajmować w nim miejsca przedstawicielom innych ludów, ale jest w mojej mocy uczynić wyjątek.

Mia pogładziła dłoń Grima, która odruchowo chyba wpiła się w pokrycie ławki.

– Nigdy bym nie pomyślała, że ty...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, ponieważ konie nagle wydały dzikie rżenie, a światła powozu rozbłysły jaśniej. Konie pomknęły ulicą z taką prędkością, że aż drewniane koła zaczęły trzeszczeć. Remi uderzył o szybę w drzwiach, zafurkotał w powietrzu i chwycił się wreszcie lampy, która dziko tańczyła na wszystkie strony. Mia kurczowo trzymała się ławki, a Grim skupił się na przekleństwach, którymi w duchu obrzucał Lyskiana i szarego gнома. Po chwili z chrzęstem uderzył głową o lampę, a wtedy Remi kwiknął głośno. Lyskian za to siedział tak spokojnie, jakby niesiono go w lektyce. Nie uśmiechał się, a oczy miał na wpół przymknięte. Za oknem tymczasem przemykały barwy miasta. Gdyby Grim nie wiedział, że wampiry nigdy nie śpią, mógłby pomyśleć, że Lyskian zapadł w słodką drzemkę.

– Niech cię diabli, Lyskian! – powiedział dudniącym głosem, wytłumiając gwałtowne podskoki powozu nogą wspartą na przeciwległym siedzeniu. – Gdybym wiedział, co nas czeka, zaciągnąłbym cię do Lorda za kołnierz!

Wampir rzucił mu znudzone spojrzenie.

– Bhragan Nha´sul nie dopuszcza ruchu powietrznego nad swoją siedzibą. Oczywiście mógłbym ci pozwolić spróbować, ale uprzedzam – jak dotąd nie przeżył nikt z tych, którzy nie zastosowali się do wymagań Lorda.

– Ale w tej sytuacji tylko gwiazdy wiedzą, czy dotrzemy tam żywi!  
– zakrzyknął Remi i miał przy tym tak oburzoną minę, że Mia nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Wokół jej nosa pojawiła się lekka bladeść, ale najwyraźniej podskoki powozu były dla niej znacznie mniejszym

problemem niż dla Grima. Gargulec z trudem uchylał się przed fruwającą lampą i właśnie zastanawiał się, czy nie spróbować jednak solidnym uderzeniem pięści otworzyć drzwi, kiedy Lyskian położył mu dłoń na ramieniu. Przez ciało Grima przeszedł lodowaty chłód.

– Wstrzymaj się – powiedział szeptem wampir. – Wspomniałem przecież, że to szczególny powóz.

Cofnął rękę, na krótki moment światło wokół nich stało się jaskrawe. Grim zmrużył oczy, ale poczuł, że podskoki powozu zdecydowanie złagodniały. Nagle światło zgasło i powóz przybrał barwę, jaką miała skóra Ma´bhrru. Stał się szary i widać było tylko jego zarysy. Przez jego ścianę Grim widział konie... i dom, który pojawił się dokładnie przed nim i w stronę którego konie pędziły z oszałamiającą prędkością.

– Staaaać! – wrzasnął Remi i okrążył lampę z taką szybkością, że aż uderzył głową w sufit. Lekko zamroczony wpadł w dłoń Grima, podczas gdy konie i zrobiony jakby z mgły powóz bez najmniejszego oporu przeniknęły przez budynek.

– Jesteśmy w upiornym powozie – wyszeptała Mia, kiedy przejeżdżali przez opuszczone mieszkania ludzi. Zafascynowana dotknęła szyby, która pod jej palcami zaczęła migotać. Na jej dłoni została delikatna mgielka.

– Nie ma przyjemniejszego sposobu podróżywania – stwierdził Lyskian i uśmiechnął się.

Grim pozwolił Remiemu usiąść z powrotem na swoim ramieniu i patrzył przez okno. Czuł się tak, jakby oglądał ludzki film. Otoczył ich rodzaj nierzeczywistego chłodu, który nieco go uspokoił. Przenikali przez domy, które były jedynie zarysami, przemijającymi i nieuchwytnymi, i przyszła mu do głowy myśl, że tego rodzaju pojazd rzeczywiście doskonale pasuje do wampirów. Uwięzieni w swoim własnym mroku podróżowali przez przemijający świat śmiertelników, nie mając z nim tak naprawdę żadnej styczności. Grim czuł na sobie spojrzenie Lyskiana, ale nie odwzajemnił go. Wystarczy, że ten powóz budzi w nim pseudofilozoficzne myśli, nie miał najmniejszej ochoty, żeby jeszcze Lyskian go na tym przyłapał.

Zostawili miasto za sobą, lecz Grim miał trudności z dostrzeżeniem

zarysów lasu, który ich wkrótce otoczył. Powóz pędził z taką szybkością, że drzewa, cienie i gałęzie zlewały się w jeden chaos różnych ciemności, w obraz, który osłabił jego koncentrację i wkradł się w jego ciało aksamitnym znużeniem. Siedzącemu na jego ramieniu Remiemu głowa bez przerwy opadała na pierś, a Mia już od dłuższego czasu miała zamknięte oczy. Lyskian tymczasem nieruchomo i czujnie wpatrywał się w ciemność za oknem. Grim mocno wbił sobie paznokcie w ciało. To by dopiero było, gdyby dał się zwieść tego rodzaju wampiryzm trikom i zasnął w ich powozie, zupełnie jakby był zwykłym żalonym człowiekiem, który... Głośny syk strzały przesywającej powietrze w ułamku sekundy go ocucił. Rzucił okiem na Lyskiana. Wampir ani na milimetr nie zmienił pozycji, a jednak każde włókienko jego ciała zdradzało napięcie, w jakie wprawił go ten odgłos. Grim podniósł się.

– Do diabła, co tam... – zaczął, ale wtedy ich pojazd trafiła druga strzała. Dźwięk wyrwał Mię ze snu, podobnie jak Remiego, który jak skamieniały wpatrywał się w strzałę wystającą z drzwi o palec od jego głowy. Pełgały po niej czarne ognie i kiedy ich jad przeżarł drewno, a płomienie wpełzły do wnętrza powozu, Grim poczuł magię, jaką emanowały. Z ponurą miną odwrócił wzrok, lecz jeszcze zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zobaczył siedem demonów przedzierających się przez gęstwinę lasu: jeden z nich krył się w ciele dzika, sześć pozostałych pędziło przez noc w poszarpanych ludzkich ciałach. Mieli ze sobą pokrytą ogniem broń, którą z wrzaskiem uderzali gałęzie zagradzające im drogę, i miotali strzały w stronę powozu. Mia pospiesznie zdusiła płomienie zakłębieniem dymu, ale drewno zdążyło już popękać. Konie rżały głośno, ale trzymały się drogi, jakby zmuszała ich do tego obca wola.

– Co to za jedni? – wrzasnął Remi, uciekając pod dach powozu i przyklejając się do niego jak flądra, podczas gdy pierwszy z demonów wylądował na koźle. – Co to za jedni, pytam?!

– Mówiłem wam przecież – mruknął Grim ponuro. – Pozostające na wolności demony zwietrzyły swoją szansę. Zrobią wszystko, żeby utrudnić nam życie. Wszystko, co w ich mocy.

Szpony demona z hukiem uderzyły o dach powozu, pozostawiając w drewnie głębokie bruzdy. Remi pomknął w stronę podłogi. Grim



wymienił spojrzenia z Lyskianem i Mią. Zrozumieli się bez słów. Grim szybko spowił pięść czerwonym ogniem, jednym uderzeniem otworzył drzwi i wychylił się z powozu. Przez moment aż stracił oddech, kiedy lodowaty pęd uderzył go w twarz, czuł na policzkach smagnięcia gałęzi. Tutaj magia powozu nie była w stanie go ochronić. Złapał za belkę bagażnika na dachu powozu i sprężysto wskoczył na dach.

Demon, który przywłaszczonemu sobie ludzkiemu ciału dodał skudloną sierść i jedno oko, próbował dosięgnąć go ciosem pięści, ale Grim złapał go za ramię i gwałtownym ruchem zrzucił z kozła. Natychmiast znalazły się przy nim pozostałe demony. Lyskian dosięgnął dwa z nich ich własnymi strzałami, które wyrwał ze ściany powozu, i odrzucił z nieprawdopodobną siłą, a Mia rzuciła w stronę następnego zakłęcie lodu, który z głośnym trzaskiem otoczył jego ciało, powodując jego upadek w krzaki. Grim uchylił się przed drzewem, które prześlizgnęło się przez środek powozu i w następnej chwili poczuł chwyt meduzowatego demona, który złapał go z tyłu za gardło. Węże wyrastające z głowy napastnika z sykiem wystrzeliły w jego stronę, ale Grim błyskawicznie ścisnął w dłoni wijący się pęk. Z jego palców trysnęły płomienie, paląc węże na popiół. Demon odskoczył z wrzaskiem. Ledwie Grim się od niego uwolnił, kiedy zobaczył zbliżający się wielki głaz narzutowy. Szybko wzniósł się w powietrze, po chwili usłyszał, jak demon zderza się ze skałą i jak trzaskają mu wszystkie kości. Potem Grim rozłożył skrzydła i popędził za powozem.

Spod końskich podków tryskały snopy iskier, konie pędziły tak szybko, że zarys lasu zlał się w jedno z zarysem powozu. Grim zobaczył niewyraźne kontury ostatnich dwóch demonów, z których jeden był tak nierozważny, żeby wdrzeć się do środka powozu, skąd natychmiast wyrzuciło go Burzowe Zakłęcie. Drugi, ten który skrył się w ciele dzika, wspiął się na dwie nogi i stojąc na dachu powozu, patrzył na Grima, podnosząc w górę jaskrawo płonąca lancę. Po jego obliczu przemknął złośliwy uśmieszek i Grim dojrzał zielonkawe migotanie na ostrzu broni.

– Ogień Klątwy! – wykrzyknął z całych sił, ale w tym momencie demon dźgnął lancą w dół. Jaskrawozielony płomień rozbłysnął w kabinie, okna wyleciały z głośnym hukiem. Płomienie z sykiem rozprzestrzeniły się po całym powozie, otulając nawet konie, które

zarżały z przerażenia i zaczęły pędzić tym szybciej, im boleśniej ogień wżerał im się w ciała. Demon wyczarował w dłoni pejcz i otoczony płomieniami z głośnym śmiechem próbował smagnąć Grima. Buchnęły w las iskry, kiedy pejcz dotknął drzew. Grim czuł, jak palą jego skórę, lecz nie odwracał wzroku. Nie ma mowy, żeby miał przegrać z przebranym za dziką świnię demonem! Przebił pięścią płataninę gałęzi przemykającego obok drzewa i błyskawicznie opuścił dłoń na jedną z tylnych latarni powozu, posyłając w jej płomień magię. Ogień Klątwy demona był słaby, bardzo szybko go pokonał, przemieniając go w białe światło. W ostatniej chwili uchylił się przed pejczem, spowił pięść zaklęciem ochronnym i chwycił płonący pejcz.

– Ty przeklęty draniu! – wykrzyknął donośnie, wysyłając do broni przeciwnika złoty ogień, a zrobił to tak szybko, że demon zdążył tylko szeroko otworzyć z przerażenia oczy, kiedy ogień dosięgnął jego dłoni i spalił ją na popiół, a potem wspinał się coraz wyżej, zanim demon zdążył odrzucić pejcz. Ale Grim był już przy nim i żelaznym uściskiem złapał go za gardło.

– Kto cię przysłał?! – wrzasnął tak głośno, że demon aż się zatrząsł. Wyjął z kieszeni diament i przysunął go do czoła demona, który z trudem łapał powietrze, lecz po krótkiej chwili jego wzrok znów stał się twardy i zimny.

– Nikt nas nie przysłał – odpowiedział oślizgłym głosem. – Ale bardzo chętnie odpowiemy na jego wezwanie! Czas ucisku dobiegnie końca, co do tego nie ma wątpliwości! To on, on go zakończy!

I z dzikim okrzykiem podpalił się. Z jego oczu buchnął Ogień Klątwy, a z tego żaru wyłoniła się twarz, która była twarzą śmiejącego się Verusa patrzącego Grimowi prosto w oczy. W następnej chwili demon raptownie uderzył Grima głową w twarz. Grim cofnął się chwiejnie, w ostatniej chwili przytrzymując się powozu. Jego przeciwnik zawisł w powietrzu.

– Jeszcze macie przewagę! – zaskrzeczał demon, którego otaczały Ognie Klątwy spalające ciało gospodarza, który wydawał się nie zwracać na to uwagi. – Ale już niedługo!

Zaśmiał się przeraźliwie, a potem zniknął w mrokach lasu. Grim uchylił się przed kolejnym konarem, który pędził wprost na niego, i

wskoczył z powrotem do powozu, ciesząc się, że widzi Mię, Remiego i Lyskiana pokrytych wprawdzie warstwą popiołu, ale całych i zdrowych pod osłoną ochronnego zaklęcia.

– Jak to niedawno powiedziałaś? – mruknął, przytulając Mię i patrząc ponad jej ramieniem na Lyskiana. – Podróż powozem od Ma'bhrru zawsze jest szczególnym przeżyciem?

Wampir był nieco bledszy niż zwykle, ale w jego oczach mignął szelmowski błysk, kiedy odpowiedział na uśmiech Grima.

– Chyba nie będziesz próbował temu zaprzeczyć? – spytał. – Pomyślałem sobie, że jakaś mała przygoda ci się spodoba.

– Powinniśmy się zatrzymać – powiedział Grim. – Ogień Klątwy dosięgnął koni, nie mam pojęcia, jak długo magia tego piekielnego powozu utrzyma je przy życiu.

Mia podniosła wzrok, lecz Lyskian bez słowa patrzył przez okno, ignorując Remiego, który cały zielony na twarzy opierał się o jego ramię i wzdychał tak głęboko, jakby pokonał własnoręcznie co najmniej sześć z siedmiu atakujących ich demonów. Wampir przesunął palcami po ostrych resztkach szyby, pojawiła się czarna krew i zaraz potem białe światło zgasiło i pojazd zatrzymał się.

Grim wysiadł z powozu przygotowany na to, że zobaczy zwęglone przez Ogień Klątwy zwłoki zwierząt, lecz na widok koni zaniemówił. Po ich sierści tańczyły ledwie pojedyncze płomyki, niknące po chwili niby cienie. Grim ściągnął brwi i spojrzał na pozostałych, którzy również wysiedli. Lyskian uśmiechał się rozbawiony.

– Czyżbyś sądził, że każę wam podróżować pojazdem zaprzężonym w zwykłe konie? – spytał, gładząc szyję pierwszego w zaprzęgu. – Nikt nie może im nic zrobić. Nikt, poza ich władcą.

Mia chciała podejść do koni, kiedy jednak z zatrważającą jednoczesnością spojrzały na nią, a w ich oczach dostrzegła niespokojny błysk, zatrzymała się.

– A kto jest ich panem? – spytała lekko schrypniętym głosem. – Czyżby tamten gnom?

Lyskian pokręcił przecząco głową.

– Nie. Nie przypadkiem kazałem zatrzymać powóz. Jesteśmy na miejscu.

Grim podążył za jego wzrokiem. Wcale nie musiał zobaczyć przed sobą potężnych murów między drzewami lasu, nie musiał zobaczyć łuny palących się pochodni, których światło oblewało zamek krwistą czerwienią, ani groteskowych posągów, wznoszących się wśród prastarych drzew parku – wystarczyło, że poczuł zimno, które nagle prześlizgnęło się do nich krętą żwirową ścieżką, by od razu wiedział, gdzie się znajdują.

Osiągnęli cel. Przed sobą mieli zamek Bhragana Nha'sula.

## Rozdział 14



°wir chrzęścił pod stopami Mii, kiedy szli ścieżką w górę. Brama z kutego żelaza sama się otworzyła i natychmiast zamknęła, gdy tylko weszli, jakby złośliwie na nich czyhała. Grim szedł obok Mii z mroczną miną, Remi nerwowo rozglądał się na prawo i lewo, jakby się obawiał, że w każdej chwili ktoś może ich zaatakować z ciemności. Lyskian poruszał się do tego stopnia bezgłośnie, że sprawiał wrażenie unoszącego się w powietrzu. Tym wyraźniej więc Mia słyszała wiatr, który niby żywa istota przemykał po parku. Drzewa rosły w udomowionej dziczy i Mia nie raz i nie dwa miała wrażenie, jakby wśród prastarych pni rozbłysła para jakichś oczu. Cienie tańczyły po twarzach posągów ustawionych po obu stronach ścieżki i chociaż figury te były uśmiechnięte, nadawało im to chorobliwy wygląd.

Niby zachłanna paszcza otwierał się przed nimi na końcu szerokich schodów portal wejściowy zamku, mający po obu stronach dwie kolumny z herbem Lorda – lwem i niedźwiedziem. Obydwa zwierzaki miały szeroko otwarte paszcze i były tak realistycznie przedstawione, że Mia miała wrażenie, jakby słyszała ich ryk. Myślała, że to niemożliwe, aby w królestwie wampirów istniały jeszcze takie zamczyska, ale nawet gdyby wiedziała, że są, to pewnie potraktowałaby to z uśmiechem. Czasy hrabiego Drakuli minęły przecież bezpowrotnie. Ale już sama podróż powozem nadszarpnęła trochę jej pewność, a kiedy teraz zbliżała się do tego skąpanego w krwawym blasku ognia zamczyska, gdzie słychać było skowyt wiatru wśród drzew, a w nozdrza uderzał zapach wielu wieków, przypominała sobie tchnienie wieczności, które bardzo rzadko, a jeśli już to bardzo słabo wyczuwała w obecności Lyskiana i które tak blisko łączyło się z prastarym wizerunkiem wampira, że aż się wzdrygnęła. Krwiopijcy nie zmienili się, wiedziała o tym zawsze, ale

dopiero teraz, kiedy zbliżała się do zamku najstarszego przedstawiciela ich gatunku, pojęła, co to znaczy. I przypomniała sobie słowa z księgi, którą dał jej kiedyś Lyskian: „Wieczność jest więzieniem, z którego nie ma ucieczki, nawet w śmierć”.

Mia wsłuchiwała się w świst wichru, w swoje kroki na żwirze i nagle noc przeniknął jakiś dźwięk, nie wiadomo skąd pochodzące tęskne wycie. Lyskian stanął w miejscu, jego oczy wypełniła krucza czerń, a kiedy odchylił głowę w tył, Mii wydało się, jakby jego ciało było zaledwie cienką błonką pokrywającą otchłań. I znów nocne powietrze rozdarło wycie, tym razem bliższe – Mia miała wrażenie, że czuje ciepły oddech na skórze. Lyskian prychnął z pogardą.

– Wilkołaki – powiedział, wypluwając to słowo, jakby nie chciał go czuć na języku dłużej, niż to absolutnie konieczne.

Grim obserwował cienie między drzewami.

– Podchodzą coraz bliżej – powiedział. – Słyszałem, że w ostatnim czasie dochodziło do konfliktów, walk u samych bram miasta.

Lyskian ruszył znów przed siebie.

– Nie trzymają się ustaleń. Próbują rozszerzyć swój rewir, kiedy nie trzymamy ich w ryzach, i urządzają polowania na naszych terenach. To prawdziwa zaraza, zawsze takie były, a ich smród wypełnia powietrze tak, że omal od tego mdleję.

Rzadko kiedy Mia słyszała go mówiącego w gniewie i tym bardziej przejęło ją to dreszczem. Jego głos był twardy i lodowaty, a w jego oczach widać było żar, który przypominał jej historie z dawnych czasów, z lat Pierwszego Mrozu i Nocy Krwi, kiedy to wilkołaki i wampiry omal nie wyniszczyły się nawzajem w okrutnych wojnach. Dzisiaj były już umowy i ustalenia, które chroniły obydwaj ludy, lecz prastara wrogość między nimi trwała nadal. Mia uniosła nieco głowę i w tym momencie do jej nozdrzy dotarł zapach, nieokiełznany i ostry zapach dzikości, zimna atmosfera parku. Słyszała o konfliktach szalejących na terenach przygranicznych, знаła powody sporów między tymi ludami, a jednak kiedy poczuła tę woń, wydało jej się, że jest tylko jedno wyjaśnienie ich wzajemnej nienawiści: wilkołaki i wampiry były dla siebie jak zwierciadła, dwa przeciwległe bieguny, którym groziła anihilacja, jeśli za bardzo się do siebie zbliżą, ale które w swojej najgłębszej istocie były

najwierniejszym odbiciem siebie nawzajem.

I znów rozległo się wycie wilkołaka, gdzieś daleko, w lasach, lecz przez park przeszedł szept, źle wróżący szmer powtarzający jedno jedyne imię: *Bhragan Nha'sul*. Smagnął on liście drzew, zwał Mii włosy w tył i za jednym zamachem wchłonął tamto wycie.

Wypowiedziane imię z sykiem wycofało się z powrotem, wślizgując się niby żywa istota po stopniach schodów do wnętrza zamku, i przez chwilę Mii wydawało się, że słyszy śmiech, który przesunął się po jej policzku jak lodowata dłoń, by za moment zagłębić się w jej skórę jak ostra klinga. Przestraszona uniosła dłoń, lecz zanim jeszcze zdążyła dotknąć swej nieuszkodzonej niczym skóry, śmiech zniknął, pozostawiając tylko upiorne szeptu cieni między drzewami.

– Skłonność do teatralnych zachowań wydaje się bardzo rozpowszechniona wśród twojego ludu – stwierdził Grim, zwracając się do Lyskiana.

Wampir nic na to nie odrzekł, natomiast Remi z każdego stopnia, który pokonywali w drodze w górę, patrzył na zmianę to na lwa, to na niedźwiedzia.

– Jak chcę teatralnych zachowań, to idę do teatru – wyszeptał. – Albo przyglądam się Mourierowi w czasie któregoś z senackich przemówień, albo w czasie przymiarek nowych mundurów. Na pewno jednak nie jest mi to potrzebne w środku nocy, w obcym kraju, po szalonej jeździe, która kazała mi raz jeszcze dokładnie przeanalizować mój ostatni posiłek. A już na pewno nie teraz, kiedy jestem o krok od tego, by spotkać się twarzą w twarz z przeklętym Lordem Wampirów, który już tysiące, co ja mówię, który już nieskończenie wiele istot przywłaszczył sobie jednym kiwnięciem palca!

Lyskian spojrzał na Remiego i po jego twarzy przemknął uśmiech rozbawienia.

– *Bhragan Nha'sul* to świątły i silny władca – powiedział cicho. – I jest nadzwyczaj mądry. Tak mądry, że już od dawna słyszy każde słowo wypowiedziane w jego parku, nawet jeśli jest to tylko bredzenie przerażonego kobolda.

Znieruchomiały nagle Remi gapił się na Lyskiana, aż wreszcie jego lewa powieka zaczęła drgać. Rzucił spojrzenie na lwa, którego szpon u

małego palca był wielkości całego kobolda, a potem na kły niedźwiedzia.

– Kompletnie nie znam się na tym teatrze – wymamrotał. – I wcale nie chciałem powiedzieć przeklętego, tylko prze... przewspaniałego! A tak w ogóle to jeszcze nigdy nie byłem w tak pięknym parku, a przecież wszyscy wiedzą, że mieszkające w mchu koboldy uwielbiają przyrodę, no nie?

– Do diabła, Remi! – rzucił Grim ponuro. – Przecież jesteś szefem Niuchaczy, to ty stopiłeś łańcuch Baby Jagi, to ty przyprowadziłeś statek Folpura przez zastępy Albów i wrózek, żeby zapewnić nam zwycięstwo! W dodatku kroczysz drogą Zielonej Pięści, jak wszystkim bez przerwy powtarzasz. Nie sądzisz, że to niegodne ciebie, żeby kolana dygotały ci na dźwięk jakiegoś imienia?

Remi zastanawiał się przez chwilę, Lyskian tymczasem stukał w drzwi. Jego pukanie dudniące głuchym echem we wnętrzu zamczyska było jak wołanie błędzące po tysiącach komnat.

– Wcale nie – odparł wreszcie kobold. – Rozalia zawsze powtarza, że nawet kobold musi umieć się przyznać do swoich emocji, bo to świadczy o giętkości umysłu i jest pozytywną cechą charakteru, niezbędną u wojownika Zielonej Pięści. A tak poza tym... – zamilkł na chwilę, a potem skrzywił usta w uśmiechu – ...a tak poza tym, to cieszcie się, że jestem z wami, bo wtedy zawsze jest ktoś, kto ma większego stracha niż wy.

Mia uśmiechnęła się, ale zanim zdążyła mu przytaknąć, drzwi do zamku otworzyły się. Przed nimi stanął wampir w niebieskiej liberii Wysokiego Sługi. Jego atłasowa kamizelka była ozdobiona srebrnymi pętelkami w kształcie głowy lwa, nogawki spodni tkwiły w wysokich butach, które wyglądały tak, jakby nigdy nie wyszedł w nich poza obręb zamku, a jego okrągła twarz z niesforną czupryną sprawiała, że miał w sobie coś z dziecka. Jego oczy były czarne jak oczy każdego wampira, kiedy wyrażały niechęć, gniew lub żądzę, ale kiedy spojrzał na Mię, na moment rozblęły. Nawet nie zadawał sobie trudu, by ukryć pogardę. Remiego zignorował, potem spojrzał krótko na Grima. Wyglądało na to, że słyszał o Hybrydzie z blizną nad prawym okiem, bo po jego twarzy przemknęło coś jakby respekt. A potem zwrócił się w stronę Lyskiana i



skłonił się.

– Książę Wampirów – odezwał się uprzejmie. – Pozdrowiona niech będzie noc.

Kiedy Lyskian odwzajemnił pozdrowienie, Mia musiała aż zagryźć wargi, żeby się nie roześmiać. Wiedziała, że Lord upiera się przy tych wyszukanych zwrotach, ale dostrzegła też iskierkę rozbawienia w spojrzeniu Lyskiana, który potrafił swoją śmiertelnie poważną minę w dowolnym momencie wzbogacić o wyraz najczarniejszej ironii.

– Jego Wysokość otrzymał waszą wiadomość Lordzie – powiedział sługa z zimnym uśmiechem. – Książę pozwoli za mną razem z... gośćmi.

Nie mówiąc więcej ani słowa, ruszył przodem. Drzwi za nimi same się zamknęły. Usłyszeli ciche kliknięcie zamka, ale Mii wydawało się, że znów słyszy ten sam śmiech co wcześniej, prześlizgujący się po wyłożonej grubymi dywanami marmurowej posadzce długiego korytarza. Wampir poprowadził ich przez pogrążone w półmroku komnaty o ścianach obwieszonych starodawnymi portretami, przez sale balowe, w których kątach piętrzyły się cienie, i przez korytarze rozświetlone tylko nielicznymi pochodniami. Korytarze były do siebie tak podobne, że już wkrótce Mia miała wrażenie, jakby wędrowali po labiryncie, i odczuła ogromną ulgę, kiedy sługa wreszcie otworzył jakieś drzwi, z których buchnął w ich stronę jasny blask licznych kandelabrow ze świecami. Był to martwy ogień, Mia wyczuła to od razu, który położył się na nich blaskiem tężejącym mrozem. Rozbrzmiała muzyka, namiętna, nieokiełznana muzyka – i rozległy się głosy. Mia знаła zimne, tylko pozornie ludzkie głosy wampirów, ale teraz miała wrażenie, jakby dotychczas słyszała tylko ich cień. Te tutaj były starsze, zimne i mocne, i ślizgały się po jej skórze niby ostrza noży, ale jednocześnie w każdym dźwięku były śpiew, kuszenie i śmiech, mówiące o tańcu na skraju otchłani, którego Mia nigdy nie będzie umiała pojąć i który właśnie dlatego tak ją pociągał. Prawie nie czuła uśmiechu, który bezwiednie pojawił się na jej wargach, i dopiero kiedy inny dźwięk przerwał nagle strumień głosów, z jej czoła zsunął się wabiący welon, który wampiry z taką łatwością potrafiły narzucić na śmiertelne istoty. Ten nowy dźwięk to był ryk o takiej głębi, że bladło wobec niego wycie słyszane wcześniej

w parku, i wiedziała, że wydać go musiał wilkołak – śmiertelnie przerażony wilkołak.

Mocnym pchnięciem sługa otworzył dwuskrzydłowe drzwi i wkroczyli do sali z żyrandolami zwisającymi z sufitu, niezliczonymi pochodniami i świecami na pokrytych zwierciadłami ścianach i ze złotą posadzką zabrudzoną woskiem i popiołem. Na scenie stała orkiestra grająca na prastarych instrumentach. Wampiry opierały się o ściany, siedziały na sofach, na atlasowych fotelach i ławach porozstawianych w pozornych chaosie po całej sali. Wiele z nich zebrało się wokół klatki ze stalowych prętów, w której siedział wilkołak, na wpół przemieniony, z krwawymi szramami na piersi i twarzy. Nad nim stał parszający z wściekłości wampir z rozżarzonymi nożami. Mia czuła napięcie wiszące w powietrzu i wiedziała, że krwiopijca całkowicie straci nad sobą kontrolę, jeśli poczuje na wargach bodaj kroplę soku życia z żył wilkołaka. Ludzka krew działała na wampiry leczniczo, potrafiła uchronić je przed wiecznym zniszczeniem, jeśli zostały ranne, lecz w takim samym stopniu potrafiła przyprawić je o szaleństwo, a wilkołak to przecież człowiek, przynajmniej w większym stopniu niż wampir. Osobnik w klatce jęczał z bólu, lecz ledwie Mia zdążyła dojrzeć cierpienie w jego oczach, a już poczuła na sobie czyjś wzrok. I podczas gdy jej spojrzenie, jakby wbrew jej woli przesunęło się po szeregach wampirów, wszyscy obecni zastygali w bezruchu i patrzyli w jej stronę, jakby czuli dotknięcie jej wzroku. Dojrzała jeszcze sługę, który wpatrywał się w nią z pewnej odległości, a potem jej wzrok padł na Lorda Wampirów.

Siedział na końcu sali, w otoczeniu licznych lokajów, na tronie z kości. Kredowo blade dłonie z grubymi pierścieniami na palcach złożył na podłokietnikach, ciemny surdut podkreślał jeszcze wyniosłość jego wysokiej postaci, a smolisto czarne włosy okalały jego oblicze, jak cienie z portretów w labiryncie. Usta miał nieco zbyt szerokie, nos przypominał dziób orła, a mimo to Mia przez moment miała wrażenie, jakby nigdy wcześniej nie widziała bardziej idealnej twarzy niż właśnie ta. Po jego wargach błąkał się nieruchomy uśmiech, kiedy odwzajemniał jej spojrzenie, otaczając jej ciało ciężkim chłodem. Jego oczy były błękitne – jasno błękitne jak niebo w bezchmurny zimowy poranek.

– Bhraganie Nha'sul, Lordzie Wampirów – zaczął Lyskian, wrywając Mię z zamyślenia. – Przychodzę z pozdrowieniem.

Lekko zamroczona Mia dostrzegła, że stojący obok Lyskian pochyla głowę i pospieszyła zrobić to samo. Szybko opuściła wzrok i niemal z przestrawieniem poczuła, jak fala gorąca zalewa jej policzki. Serce biło jej szybko, krew powracała do czubków palców, jakby przez wiele godzin była na lodowatym zimnie, a potem usłyszała otaczającą ją ciszę, której jeszcze chwilę temu nie zauważała. Rozmowy umilkły, muzyka się urwała. W całej sali nie rozległ się ani jeden szmer poza jękami wilkołaka, uderzeniami jej własnego serca... i ledwie słyszalnym, chłodnym szelestem brokatu, kiedy Lord podniósł się z miejsca.

– Wystarczy – powiedział głębokim głosem, który zabrzmiał jak wstrzymywane mruczenie wielkiego drapieżnika.

Mia podniosła głowę. Spojrzenie Lorda spoczywało na Lyskianie, który bez słowa wystąpił do przodu. Zanim zdążył jednak coś powiedzieć, Bhragan Nha'sul machnął zniecierpliwiony ręką.

– To śmieszne, że przychodzisz z pozdrowieniem – powiedział. – Słyszałem was już wtedy, kiedy roztrzęsieni wysiadaliście z mojego powozu, nie wspominając już o nieprzystojnych uwagach tego zielonego osobnika.

Remi zastygł w powietrzu i pewnie spadłby na posadzkę, gdyby w ostatniej chwili nie wylądował na ramieniu Grima. Szybko przysiadł i zastygł w bezruchu, jakby miał nadzieję, że w ten sposób zniknie z pola widzenia Lorda.

Bhragan Nha'sul, nie odwracając wzroku od przybyszów, uniósł dłonie, na co jeden ze sług podał mu bogato zdobiony kryształowy puchar. Krew w nim była prawie czarna.

– Poza tym nie widzę powodu do zbytich uprzejmości – mówił dalej, a potem przysunął sobie puchar do nosa i głęboko wciągnął powietrze. Na krótko obnażył kły, ostre jak polerowane klingi. – Nie było cię na Świącie Nocy, Lyskianie. Już drugi raz z rzędu. Udział jest, oczywiście, dobrowolny, także dla ciebie, lecz... zdumiewa mnie, że okazujesz tak małe zainteresowanie corocznym spotkaniem Najwyższych naszego ludu.

Mia wstrzymała oddech. Lyskian opowiadał jej o Świącie Nocy, tej

uroczystości, na której zbierają się w Pradze najpotężniejsze wampiry świata, by wspólnie oddawać się bezprzykładnej orgii krwi. Powiedział jej też, dlaczego nie bierze w tym udziału, a teraz powtórzył te słowa Lordowi.

– Wydarzenia w Paryżu wymagały mojej obecności – odrzekł ze spokojem. – Duchy cmentarza Père Lachaise...

Bhragan Nha'sul niechętnym machnięciem ręki nakazał mu milczenie.

– Wystarczająco często powtarzałem ci, że powinieneś wygonić tych przeklętych Ha'recholów, skoro nie mają ochoty trzymać się nakazanych godzin wychodnego. Nie opowiadaj mi o swoich obowiązkach, znam je aż za dobrze. – Zamilkł na moment, a kiedy jego uśmiech stał się wyraźniejszy, cała jego twarz nabrała zimnego okrucieństwa. – Stałeś się niedbały. Uważaj, żebyś całkiem nie stracił z oczu swoich obowiązków z powodu kolorowych plam produkowanych przez jakąś ludzką dziewczynę.

Zwrócił się w stronę Mii tak gwałtownie, że odruchowo aż się cofnęła. Spodziewała się, że na widok żarzących się chłodem oczu wampira poczuje strach, a tymczasem poczuła narastającą złość. Szybko opuściła spojrzenie, ponieważ obcując z Lyskianem, nauczyła się, że otwarte okazanie wampirowi emocji grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem.

– Mój Lordzie – zaczął Lyskian. – Przybyliśmy tutaj, aby...

– ...wiem, dlaczego tu jesteście – przerwał mu Bhragan Nha'sul i zaśmiał się twardo. – Wieści o wydarzeniach w Ghrogonii dotarły do mnie, kiedy dymy nad dachami miasta były jeszcze ciepłe. Verus Crendilas Dhor rozsadził kazamaty, w których przez setki lat był trzymany razem ze swym ludem, a teraz knuje w ukryciu swoje mroczne plany. Jego imię niby złowróźbny cień unosi się nad głowami Gargulców, albowiem wiedzą oni, jak wielki jest jego gniew i jak potężne jego pragnienie zemsty. – Zamilkł na moment, a potem znów przemówił: – Trudno mieć mu to za złe. Wystarczająco długo był zakuty w diamentowe kajdany wpijające się w ciało, żeby nie można było zrozumieć jego nienawiści. Teraz dąży do stworzenia pozbawionego reguł świata, świata, który byłby zgodny także z naszą naturą, jak

powiadają niektórzy.

Lyskian już miał zamiar coś na to odpowiedzieć, kiedy Grim wydał jakiś dźwięk. Mogło to być chrząknięcie, ale kiedy Mia na niego spojrzała, dostrzegła w jego oczach gniew i brak chęci, by to ukryć.

– Widzę, że moje zrozumienie dla Verusa niezbyt przypadło ci do gustu, Prezydencie NPG – stwierdził Bhragan Nha'sul, unosząc ironicznie brwi. – Czyżbyś sądził, że będziesz się mógł wypłakać na moim ramieniu tylko dlatego, że demon wystawił cię na pośmiewisko?

Mia spodziewała się, że Grim bez ogródek okaże mu swoją wzgardę, lecz czas spędzony na stanowisku Prezydenta NPG zrobił swoje.

– Nie – odrzekł Grim niemalże przyjaznym tonem. – Wiem, czego mogę się po tobie spodziewać, Lordzie. Niemniej jednak zdumiewa mnie, że Lorda Wampirów nie obchodzi, że Verus sięga po władzę... zwłaszcza po tym wszystkim, co Dzieci Gniewu wyrządziły jego ludowi.

Szmer przeszedł wśród zebranych, lecz jedno spojrzenie Lorda wystarczyło, by wszystko natychmiast ucichło. Wampir obracał kielich w dłoni.

– Nie obchodzi mnie, kto dzierży berło Innoświata – odparł. – Przestało mnie to obchodzić od tamtych dni, kiedy mój lud utracił do tego prawo. Jeśli Verus ośmieli się zwrócić przeciwko nam, jak wtedy, w czasie Buntów w Pradze, przywołamy go do porządku. On jednak z pewnością nie powtórzy drugi raz tego samego błędu. Jego gniew kieruje się przeciw Gargulcom, które, nawiasem mówiąc, w dawnych czasach dały się we znaki mojemu ludowi nie mniej niż Car'lay Ythemowie. – Zamilkł na moment, by podjąć po chwili: – Ta sprawa nie dotyczy wampirów. Lyskian może się w to mieszać, kiedy tylko ma na to ochotę, lecz mój lud nigdy nie prowadził wojen za innych. Zaakceptowaliśmy panowanie kamiennogłowych, ale nie będziemy przelewać naszej krwi, żeby nadal być ich poddanymi.

– Wojny jeszcze nie ma – powiedział Grim, mierząc Lorda zimnym spojrzeniem.

Bhragan Nha'sul uśmiechnął się ledwie zauważalnie i rzekł:

– Sam to powiedziałaś, Prezydencie NPG... Jeszcze nie ma.

W tym momencie Lyskian uniósł dłoń.

– Nie przybyliśmy tutaj, aby poprowadzić wampiry do bitwy. Przybyliśmy tutaj, ponieważ potrzebujemy twojej rady i mądrości, Lordzie.

Lord spojrział na niego, ale nie odezwał się ani słowem. W jego spojrzeniu mignął jednak błysk, którego Mia nie potrafiła zinterpretować.

– Jak wiesz, Lordzie – ciągnął Lyskian – Verus zniknął bez śladu razem ze swoimi zbirami. Nie mamy szansy go wytropić, nie mówiąc o pokonaniu, jeśli... – Wahał się przez chwilę. – Tylko jeden myśliwy może nam pomóc.

Lord ze wzgardą odchylił głowę na oparcie tronu i spoglądał na Lyskiana spod w półprzymkniętych powiek.

– Myśliwi zniknęli, powinieneś już to wiedzieć. Nikt nie ma pojęcia, gdzie oni są, ja również. Ponadto na dłuższy czas sama taka wiedza byłaby bardziej niż niebezpieczna. Nikt z tu obecnych nie zapomniał jeszcze Thorona. Doskonale pamiętam płonące ciała wampirów, które kazał zgładzić z zaślepienia, strachu i nienawiści.

Grim zacisnął pięści, ale nic na to nie odrzekł. Także Lyskian milczał w pełnej szacunku postawie, chociaż Mia znów dostrzegła ten złowróżbny cień, który mignął w jego oczach, przez moment nadając mu wyraz jakby zniecierpliwienia. Obawiał się, że taką właśnie odpowiedź usłyszy, czuła to, i pojęła, że bardzo chciałby móc uniknąć drogi, którą zmuszony był teraz pójść. Mrok w jego spojrzeniu sprawił, że przeszedł ją dreszcz. Wreszcie Lyskian uniósł głowę i jakby musiał się do tego przemóc, wypowiedział słowa:

– W tej sytuacji zwracam się z prośbą o udostępnienie biblioteki Coraxa.

Mia zamarła. Lyskian opowiadał jej o tym miejscu, o tym zbiorowisku prastarych ksiąg, pergaminowych zwojów, rękopisów i uwiecznionych na skórze i kamiennych tablicach grymuarów, którego sale były potężne jak kościelne nawy i w którym panować miało światło Pierwszej Godziny, owej chwili, kiedy świat zrodził się z Pierwszej Idei Kosmosu. Było to magiczne miejsce, miejsce klątw i niebezpieczeństw, i wystarczyło, by popatrzyła na Remiego, który siedział skulony na ramieniu Grima i słysząc to, w widoczny sposób poszarzał, żeby

wiedzieć, że wszystkie ludy Innoświata traktowały tę bibliotekę z pełną napięciem fascynacją i nigdy bez strachu.

Lord podniósł wzrok, a w jego oczach wzbierał gniew, zabarwiając je ciemnością.

– Tam spoczywa wiedza demonów. Nie jest przeznaczona na potrzeby Gargulców.

– Mój Lordzie, ja... – zaczął Lyskian, lecz Bhragan Nha'sul zacisnął wolną rękę w pięść i z hukiem uderzył nią w podłokietnik tronu. Kości, z którego był zrobiony, wytrzymały jednak uderzenie, jakby były ze stali.

– Nie! – wykrzyknął i na moment jego twarz przybrała wyraz głębokiej nienawiści. Wyglądało to tak, jakby emocja dopadła go od wewnątrz i pociągnęła jego piękne przed chwilą rysy w ciemność, w której wyglądały one jak przerażająca maska.

– Przypomnij sobie – powiedział ścisłym głosem, wbijając wzrok w Lyskiana. – Przypomnij sobie, jak Thoron ścigał takich jak ty, przypomnij sobie płonące zamki, wbite na pal ciała, krzyki dochodzące z ognistych otchłani, do których wrzucano moje dzieci tylko dlatego, że odmawiały pójścia szaleńczą drogą wytyczoną przez tego Gargulca! Przypomnij sobie cierpienia swego ludu, Lyskanie! Biblioteka Coraxa jest w naszym rozumieniu święta! Kryje wiedzę tysiącleci, słowa, których nigdy nie oglądały oczy śmiertelnika, pisma, od których spłonę każdy słaby umysł, który spróbuje je zgłębić! Dawno temu kamiennogłowi gardzili tą wiedzą! Teraz więc niech sobie radzą bez tych... grzechów!

Lyskian zamierzał coś odpowiedzieć, lecz spojrzenie Lorda nie pozwoliło mu wyrzec ani słowa. Mia wręcz czuła lodowaty ucisk na piersi Lyskiana i usłyszała głos Lorda wypełniający powietrze jak jad.

– Ani słowa więcej – powiedział głucho. – Moja decyzja zapadła i jak najsurowiej ostrzegam przed jakimkolwiek więcej słowem na ten temat. Zrozumiałeś? A teraz, idźcie stąd!

Podniósł puchar do ust i z wolna ciemność zaczęła znikać z jego spojrzenia. Mia zauważyła, jak Lyskian pochyła głowę, czuła też gniew Grima, lecz obydwaj posłuchali nakazu. *W zamku Lorda obowiązuje wyłącznie jedno prawo, powiedział jej kiedyś Lyskian. Jego prawo.*

Wiedziała, że jakikolwiek sprzeciw spotka się z dotkliwą karą, i usłyszała w głowie głos Grima, który nawoływał ją, by także wyszła. Ona jednak nie ruszyła się z miejsca, zamiast tego spoglądała Lordowi prosto w twarz, aż wreszcie skierował na nią wzrok. Błękit jego oczu objął ją swoim ciężkim chłodem, lecz zanim zdążyło ją to sparaliżować, wskazała dłonią na wilkołaka w klatce.

– Wiele o tobie słyszałam, panie – powiedziała ignorując wewnętrzny głos, który krzyczał do niej, że chyba kompletnie zwariowała. – Bhragan Nha’sul, Oko Wschodniego Wiatru i Cieni Kry, Pogromca Wilków Asprasa i Władca Płonącego Stepu i Ludu Wiecznych. Jesteś panie wielkim wojownikiem, jeśli wierzyć legendom, podobnie jak wielu twoich towarzyszy. A jednak wyczuwam w każdym z was pewną słabość, której nigdy nie potraficie się oprzeć. – Czerń w oczach wampirów prześlizgnęła się niby płomień po jej skórze. – Doskonale wyczuwam wasze pragnienie mojej krwi, od kiedy weszłam do tej sali, lecz żaden z was nigdy jej nie dostanie. Jest ona dla was zakazana, tak jak dla mnie zamknięty jest wstęp do biblioteki, o który poprosiliśmy. A więc może zaproponuję pewną grę? Otóż stoczę walkę z najlepszym z waszych wojowników. Jeśli wygram, ty panie dasz nam dostęp do tajemnej wiedzy twojego ludu, a jeśli przegram... należę do was.

Grim znalazł się przy niej tak szybko, że nie zdołała uniknąć chwytu jego szponów. Złapał ją za ramię i właśnie miał coś powiedzieć, kiedy Bhragan Nha’sul uniósł dłoń. Natychmiast obok Grima znalazły się wampiry i z łatwością odciągnęły go od Mii. Lyskian stał bez ruchu, lecz Mia czuła napięcie w jego ciele, zupełnie jakby powietrze wokół niego stało w płomieniach. Słyszała też Remiego z trudem łapiącego powietrze. Na moment zwróciła się w ich stronę.

*Zaufajcie mi, powiedziała w myślach, przeszłam przez waszą szkołę. Przestańcie we mnie wątpić.*

Uśmiechnęła się, kiedy Remi przysiadł na własnych dłoniach, żeby ukryć ich drżenie, kiedy na twarz Lyskiana wypełzła maska zimna kryjąca wszelkie emocje, a w oczach Grima pojawił się ciepły błysk, który przywołał w niej wspomnienia nocy spędzanych na jego wieży, kiedy wspólnie patrzyli na świat ludzi. Pomyślała też o wieczorach na



ulicach Paryża, o chłodzie jego kamiennej skóry i głuchych, jakże swojskich uderzeniach serca. Nie odwzajemnił jej uśmiechu i przez chwilę stała naprzeciw niego jak za pierwszym razem, kiedy to zaczynała się ich wspólna przygoda. Grim strzepnął z ramienia dłoń jednego z wampirów i ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Mia odwróciła się, oddychając z ulgą. Lord obserwował ich dialog i uśmiechał się pochylony, obracając w dłoniach puchar. Siedział na tronie jak szykujący się do skoku dziki kot, lecz w jego spojrzeniu było coś jeszcze poza żądzą i chłodem, coś ledwie widocznego, co było jak śnieg i zima, i czego Mia nie umiała zinterpretować.

– Zgoda – powiedział, zanim zdążyła głębiej o tym pomyśleć. – Dużo czasu minęło, od kiedy jakaś śmiertelniczka tak ochoczo garnęła się w moje ramiona, mając świadomość, kim jestem. Ale jeszcze to pamiętam. Krew takich ludzi jest słodka jak życie. Będzie dla mnie przyjemnością znów jej zakosztować.

Mia odpędziła strach, który na widok jego uśmiechu przebiegł jej dreszczem po plecach.

– Niewiele wiesz, panie, o nas Hartydach, skoro uważasz, że jesteśmy tak łatwą zdobyczą – powiedziała i ku swemu zadowoleniu stwierdziła, że jej głos brzmi mocno i nawet lekko ironicznie. – Pokaż mi, panie, jakiego możesz wystawić przeciwko mnie wojownika. Mam nadzieję, że mnie zbytnio nie znudzi.

Lord uniósł brwi i jego uśmiech stał się jeszcze wyraźniejszy. Bez słowa skinął na jednego z wampirów. Był on niemal tak wielki jak Grim. Ubrany był w szare spodnie i ciężkie buty, a jego nagi tors zdobiły liczne szramy, najwidoczniej zrobione dziś wieczorem przez wilkołaka. Ciemne włosy miał związane z tyłu w kucyk, a jego twarz była kanciasta, jakby już dawno temu straciła wszelką łagodność. W jego oczach płonął czarny żar, a kiedy stanął przed Mią, uśmiechał się szyderczo.

Służący odsunęli zebranych, tak że przed tronem powstało szerokie półkole. Z boku postawiono jaskrawoczerwoną pochodnię. Mia czuła, jak ogień wgryza się w jej ciało niby ukąszenia węża. Nie ruszała się z miejsca, ale wiedziała, że za jej plecami w tę i z powrotem chodzi Grim jak przykuta łańcuchem pantera.

Bhragan Nha'sul spojrział jej prosto w oczy.

– Oto Srradan D'Aravego – powiedział cichym głosem. – To on pokonał Harpię z Morza Zachodniego i zszedł do wilkołaków w ruiny Bikárurs, miasta pod ulicami Bagdadu, kiedy kazałem mu przynieść głowę ich wodza. Zamiast tego przyniósł mi prochy całego stada. Nie ma wilkołaka, który nie zdrząłby na dźwięk jego imienia, nie ma człowieka, który po jednym jego spojrzeniu nie straciłby rozumu, jeśli tylko Srradan tego chce. To mój najlepszy wojownik.

Mia skinęła głową i popatrzyła na wampira, który uśmiechał do niej z lekceważeniem, słuchając wyliczanki swoich bohaterskich czynów.

– Ja jestem Mia – powiedziała spokojnie. – I zanim zgaśnie płomień tej pochodni, będziesz leżał u moich stóp.

Dostrzegła gniew, który przemknął po twarzy wampira, nim znowu powrócił na nią wyraz obojętności. Przypomniała sobie swój trening u Lyskiana, pomyślała o bólu całego ciała, kiedy to przez pierwsze miesiące nie potrafiła mu nic przeciwstawić, i pomyślała o swojej niezłomnej woli, która za każdym razem kazała jej się podnieść, obojętne, czy czuła każdy mięsień swego ciała, czy też miała ochotę zapaść się pod ziemię, że jest taka słaba. Poczwała chłodne tchnienie na karku i wiedziała, że w tym momencie Lyskian się uśmiechnął.

– Spójrzcie na mnie – rozkazał Lord i rozpalił płomień na dłoni, który na moment rozświetlił jego twarz. Następnie upuścił go i ledwie płomień dotknął posadzki, Srradan rzucił się na Mię.

Mia zrobiła unik, błyskawicznie padła na ziemię i w ten sposób uniknęła ciosu. Zerwała się, zaczęła biec po stopniach z lodu, które tworzyły się w powietrzu, lecz Srradan rozpostarł ramiona i poszybował za nią, jakby był zawieszony na niewidzialnych linach. Lód rozpryskiwał się na jego ciele, a kiedy Mia cisnęła w jego stronę zakłęcie gorąca, płomienie ześliznęły się po nim jak po kamieniu. Oddychając ciężko, wylądowała z powrotem na ziemi. Srradan był tuż za nią, lecz kiedy skoczyła w bok, on skoczył w drugą stronę i to tak szybko, że jej oczy nie zdołały za nim nadążyć. Przez moment stał naprzeciwko niej, czuła zapach zimnego dymu wydzielany przez jego skórę i czuła żar jego oczu na swojej twarzy. Wydawało jej się, że w swoich myślach słyszy głos

Lyskiana, były to te same słowa, które wypowiedział do niej na pierwszym treningu. *To nie był najlepszy z twoich pomysłów, żeby wyzywać na pojedynek wampira.* Srradan złapał ją za kark. Krzyknęła, kiedy jego chłód przeniknął jej ciało i poczuła jego śmiech smagający ją jak biczem. *Jesteś tylko człowiekiem,* przemknęły jej przez głowę słowa Lyskiana. Niech to diabli, Srradan to wampir, wojownik, co jej strzeliło do głowy, żeby wyzywać go na pojedynek? Kiedy tak trzymał ją za kark, wyczuwała jego żądzę i jego chłód, którym przenikał do jej ciała, i zauważyła pierwsze cienie omdlenia, które zaczęły pojawiać się na krańcach jej świadomości. *Jesteś słaba.* Nogi ugięły się pod nią. Była już tylko bezbroną lalką w rękach Srradana. Wampir rozluźnił chwyt i w tym samym momencie Lyskian zaczął mówić dalej. *Ale nie aż tak słaba, jak myślisz wampir.*

Mia zdecydowanie otworzyła oczy i zdążyła dojrzeć strach, który mimo bezruchu Srradana mignął w jego oczach. W tym momencie wyrzuciła przed siebie prawdą dłoń tak szybko, że nie zdołał zrobić uniku, i dosięgnęła go całą mocą Burzowego Zaklęcia. Srradan z hukiem uderzył w metalową klatkę, a pręty pękły pod ciężarem jego ciała. Wilkołak z rykiem wyskoczył ze swojego więzienia i jednym potężnym susem znalazł się za oknem. Gwałtowny wicher wdarł się do środka, lecz Mia nie zważała na to. Z wielką szybkością pochwyciła pochodnię ze skraju półokręgu, rozpalila ją białym światłem i skoczyła w stronę Srradana, który właśnie chwiejnie się podnosił. Uderzyła go pochodnią w twarz, co sprawiło, że znowu upadł, ale zanim zdążył ponownie stanąć na nogi, chwyciła go za rękę i wykręciła mu ją na plecy, aż zatrzeszczały kości. Srradan zawył z bólu, a Mię ogarnęła osobliwa fala satysfakcji, zabierając ze sobą wszelką wrażliwość i wyczerpanie. Błyskawicznie zadała mu cios nogą w plecy, tak że znowu wylądował na ziemi, i rzuciła w jego stronę Lodowe Zaklęcie, a zaraz potem przycisnęła mu dłonie do skroni.

Ciemność jego ducha była lodowato zimna i kiedy w nią wniknęła, wstrzymała oddech, tak jak nauczył ją Lyskian. Odgrodziła się od ciemności wnętrza wampira, nie dopuściła, aby zepchnęła ją ona w otchłanie, które tak tęsknie za nią wołały, za to przeniknęła jego myśli, jego wspomnienia i zobaczyła obrazy, które wylaniały się z czerni,

błyszcząc jak mokre kamienie. Były to najczęściej okruchy, twarze ludzi, Innostot, zimne oczy wampirów – widziała potężne lasy na Wschodzie Świata, czuła woń wilgotnych, podziemnych lochów, słyszała wrzaski torturowanych wilkołaków, miała w ustach smak krwi i odczuwała to, co odczuwał Srradan w tych chwilach, krótko i gwałtownie, jak ukłucia igieł. A potem znalazła wśród cieni obraz, mały i na wpół wyblakły, ale poczuła żądzę Srradana, kiedy doszedł go zapach ludzkiej skóry, a potem jego przerażenie, jego wstyd i rozpacz. Błyskawicznie objęła ten obraz swoją wolą i wyrwała się z ciemności razem z nim.

Cały czas miała zamknięte oczy i trzymając Srradana za kark lewą ręką i jeszcze bardziej wzmacniając wysyłane do jego ciała zaklęcie paraliżujące, prawą dłoń uniosła w górę. Jej palce pospiesznie biegały w powietrzu, rysując wspomnienie wampira, płonące domy miasta, ulicę, na której bruku tańczyły płomienie – i dziecko, które przerażone stało w kącie pokoju, otoczone iskrami, i patrzyło w jej stronę. To nie ona była tym, kto ruszył w stronę dziecka, wiedziała to, lecz odbierała żądzę Srradana z taką potęgą, że tylko z użyciem wszystkich dostępnych sił zdołała kontynuować rysowanie. Czuła, jak on wbija zęby w szyję dziecka, miała w uszach ogłuszające bicie jego serca, krzyczała, ale nie słyszała swojego głosu, odbierała tylko ciszę, która nagle ją wypełniła – spokój śmierci, przerywany sapaniami Srradana. Nie było w nim już nic poza bólem i kiedy Mia otworzyła oczy i cisnęła w niego z powrotem jego wzmocnione tysiącrotnie odczucia z tamtej chwili, Srradan wydał krzyk tak przeraźliwy, że zwierciadła na ścianach rozprysnęły się od tego na kawałki.

Spojrzała w dół na leżącego Srradana, który wpatrywał się w nią jak skamieniały. A potem, w jednym bezgłośnym geście załamał się i zaczął płakać. Obraz dziecka, które zabił, widniał narysowany w powietrzu przez Mię płomiennymi pociągnięciami i widziała, jak ten ogień tańczy po twarzach zebranych wampirów. Słyszały one krzyk Srradana, i wiedziały, co się stało. Łagodny, smutny welon spłynął na ich nieśmiertelne oblicza niby tęsknota za czymś, co zostało bezpowrotnie utracone i co mimo wszelkich cierpień, jakie mogło to dla nich oznaczać, pragnęły najbardziej ze wszystkiego odzyskać. Mia bez słowa stanęła pośrodku półokręgu. Wampiry cofnęły się przed nią jak

przed zjawą, a ona w milczeniu zgasła pochodnię.

Bhragan Nha'sul siedział nieruchomo na swoim tronie. W jego oczach płonął granatowy blask i Mia odniosła wrażenie, jakby dostrzegła w nich prawdziwy uśmiech. Ledwie zauważalnie skinął głową.

– Nieczęsto się zdarza, aby człowiek mnie czymś zadziwił – powiedział bez cienia szyderstwa w głosie. – Zwyciężyłaś i chcę, żebyś wiedziała, że słowo honoru to dla mojego ludu najwyższe dobro. Tak więc daję wam dostęp do biblioteki Coraxa.

Mia przechyliła lekko głowę, czuła, jak wyczerpanie powraca do jej ciała. Zanim zdążyła się odwrócić, Grim już był przy niej. Właśnie chciała na niego spojrzeć, kiedy w powietrzu rozległo się dyszenie. Odwróciła się gwałtownie. Zdążyła zobaczyć zalaną łzami twarz Srradana, który pędził w jej stronę z uniesioną do ciosu pięścią... i w tym samym momencie usłyszała chrzęst – to Lyskian twardo złapał go za gardło.

Lyskian stał przed nią wyprostowany, jego chłód z całą mocą wnikał w ciało Srradana. Było pewne, że go zabije. W spojrzeniu wampira widać było przerażenie, Mia słyszała w nim echo wcześniejszego krzyku i zanim jej puls zdążył się uspokoić, położyła Lyskianowi dłoń na ramieniu. Jego twarz była jedną maską chłodu i Mia czuła lodowate tchnienie przenikające przez jego ubranie. Jednocześnie jednak wiedziała, że on czuje ciepło płynące z jej palców, ledwo leciutkie tchnienie, ale wystarczające, by z jego oczu zniknęła czerń i by na nią spojrział. Mia pokręciła przecząco głową.

*Nie zapominaj, czego mnie nauczyłeś*, powiedziała do niego w myślach. *Walcząc z potworami, uważaj, abyś nie stał się jednym z nich. Bo kiedy patrzysz w otchłań, otchłań może zacząć patrzeć w ciebie.*

Lyskian popatrzył na nią, w jego oczach błysnął uśmiech. Nie zaszczycając Srradana ani jednym spojrzeniem, pozwolił mu upaść. Wampir wylądował na ziemi, ciężko dysząc i trzymając się za szyję. Potem stracił przytomność. Lyskian natomiast szedł przez tłum i to tak szybko, że wampiry rozstępowały się przed nim, a potem szerokim gestem otworzył skrzydła drzwi. Grim chwycił dłoń Mii, przez jej palce popłynęło ciepło, wywołując na jej twarzy uśmiech.

W drzwiach odwróciła się raz jeszcze. Zauważyła, że Lord patrzy

za nią i przez krótki moment w jego spojrzeniu było coś, co sprawiało wrażenie zagadki lub wspomnienia. Błękit jego oczu objął ją i pojęła, że w tym spojrzeniu jest również cień, cień tak bezdennie czarny jak sama noc. A potem do jego spojrzenia wrócił chłód, zostawiając Mię samą w ciemnościach.

## Rozdział 15



Lodowaty wicher ze świstem szalał po placu, sprawiając, że klasztor na Strachovie wydawał się czyhającym bezruchem pośród burzy. Okna w starych murach patrzyły w noc jak znieruchomiałe oczy zmarłych i Grim wcale by się nie zdziwił, gdyby nagle wokół murów podniosły się mgły, nadające całej scenerii jeszcze bardziej ponury wygląd.

W milczeniu szedł razem z innymi przez plac, patrząc na Mię, która zaczynała wreszcie odzyskiwać kolory po konfrontacji z wampirem. Dziewczyna z nieskrywanym zachwytem spoglądała w stronę klasztoru. Grim delikatnie odgarnął jej kosmyk włosów z czoła i odwzajemnił uśmiech. Ciągle jeszcze czuł dreszcz strachu na wspomnienie chwili, gdy Mia stanęła przed Lordem i przedstawiła mu swój szaleńczy plan. I chociaż od dawna wiedział, że nie jest już tym bezbronnym ludzkim dzieckiem, którym była, gdy ją poznał, to ilekroć wykorzystywała swe moce, odczuwał niesłychaną dumę. Stała się już częścią Innoświata – jego świata.

Lyskian otworzył drzwi, przesuwając po nich lewą ręką. Grim poczuł chłodne, leniwie snujące się powietrze, które znał z wielu innych, podobnych klasztorów, a kiedy dotarli kręconymi schodami na górę, poczuł też woń prastarych kamieni pochodzących z czasów, kiedy świat był jeszcze młody, a Innoświat niczym więcej jak tylko przecuciem. Znaleźli się w korytarzu o wysokiej, białej powale. Gdy Lyskian zbliżył się do dwudrzwiowych szklanych drzwi, te otworzyły się, jakby poruszane czyjąś upiorną dłonią, i zobaczyli stojące pod ścianami witryny z ciemnego szkła, pełne broni, wypchanych zwierząt i prastarych ksiąg. Remi fruwał, oglądając to wszystko, a kiedy odkrył wśród zbiorów manuskrypt zawierający rysunki roślin, zaczął wzdychać

oczarowany. Jego bladozielona postać rzucała drżące cienie na ściany i szereg zamkniętych drzwi widocznych po prawej stronie. Tylko ostatnie drzwi były lekko uchylone i przez szparę wylewała się na korytarz złotawa poświata, kładąc się atłasem na skórze Grima. Mia wydała okrzyk zdumienia, kiedy wkroczyli do wspaniałej sali bibliotecznej klasztoru. Pod ścianami stały barokowe szafy pełne niezliczonych foliałów, staroświeckie globusy ustawione były obok obitych atłasem foteli, sufit zaś pokryty był wspaniałymi freskami i świecił wskutek przytłumionego oświetlenia jak oblane słonecznym blaskiem niebo.

Wypowiedzianym cicho zaklęciem Lyskian odsunął na bok jeden z regałów i wtedy otworzył się przed nimi sekretny korytarz. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki pełne książek. Ich cienkie, niemal przezroczyste stronicie wyglądały jak zrobione z popiołu. Grim schował skrzydła, obawiając się, że mógłby przez nieuwagę dotknąć którejś z nich, a wtedy rozpadłaby się w proch. No i pewnie zza jakiegoś regału wyskoczyłby zagniewany bibliotekarz z długim wskaźnikiem i zacząłby rzucać w niego kałamarnicami. Gargulec wyraźnie wyczuwał cień gęstniejący w niszach korytarza i przez moment zdawało mu się, że słyszy w ciemnościach ochryple krakanie kruka. Spochmurniał. Biblioteka Coraxa, nazwana tak od herbowego zwierzęcia Arkamona, prastarego wampira, który ją kiedyś założył, była Miejscem Półmroku i kiedy Lyskian otworzył pierwsze portale, jedno stało się dla Grima jasne: zabezpieczenia służyły nie tylko ochronie przed nieproszonymi odwiedzinami, ale także temu, by uchronić świat przed tym, co się tutaj kryło. Lyskian musiał wielokrotnie potwierdzać tożsamość, upuszczając kroplę własnej krwi przy różnych dziwnych urządzeniach w kolorze miedzi, i kiedy wreszcie stanęli przed czarnymi jak smoła drzwiami, na których widniał wizerunek kruka z rozpostartymi skrzydłami, Grim poczuł napięcie. Za tymi drzwiami kryło się Miejsce Niebezpieczeństw i Ciemności, do którego dotąd nie miał wstępu nikt inny z jego ludu – Miejsce Tajemnic Tysięcy Lat. Lyskian odwrócił się w ich stronę. Przesunął im dłonią po czołach i Grim poczuł palący chłód na skórze. *Teraz chroni was Wieczna Krew*, powiedział Lyskian w myślach i uśmiechnął się. Następnie wypowiedział szeptem słowa zaklęcia i drzwi otworzyły się z odgłosem łopotu skrzydeł. Grim poczuł tchnienie wiatru i przez moment wydało



mu się, że obserwują go białe jak wosk oczy, które przypuszczalnie spaliłyby go na popiół, gdyby w sposób niedozwolony próbował sobie zapewnić dostęp do tego miejsca. A potem wiatr osłabł i weszli do biblioteki Coraxa.

Grim wstrzymał na moment oddech. Jeszcze nigdy nie był w takiej bibliotece, a kiedy Remi przysiadł na jego ramieniu i westchnął głośno, Grim z trudem powstrzymał się, żeby nie zrobić tego samego. Znajdowali się w ogromnej sali przypominającej nawę kościoła. Ściany pokrywały wielopiętrowe regały z ciemnego drewna i tylko od czasu do czasu rozdzielały je kunsztowne kamienne ozdoby. Górne piętra, na które można się było dostać po kręconych schodach, zdobiły piękne balustrady i poręcze, a drewniane elementy pokrywały złote motywy roślinne. Na regałach stały książki przeróżnych wielkości i w najróżniejszych oprawach, oprawne w skórę manuskrypty, leżały foliały prawie tak duże jak Mia i stopy opatrzonych pieczęciami pergaminowych zwojów. Pod szklanymi żyrandolami, przy biurkach i sekretarzykach, pozornie tylko chaotycznie porozrzucanych we wnętrzu, siedziały wampiry, gnomy z cieni przemykały obok staroświeckich foteli z zagłówkami, koboldy, jako pomocnicy Coraxa, fruwały we wszystkie strony z karteczkami albo zapalały lampy naftowe, w których akurat zgasł płomień. Co jakiś czas przemykały też różne inne istoty – istoty, które Grim widywał tylko z rzadka i do tego przelotnie. *Rhezotony*, jak nazywały się te Innostoty w języku Pierwszego Czasu. *Studzy Słowa*. Grim od pierwszego spotkania nazywał je książkowcami, chociaż nie umiałby powiedzieć, z jakiego powodu. Były dla niego zagadką i nie tylko zresztą dla niego. Nikt nie wiedział dokładnie, kim albo czym one były. Niektórzy twierdzili, że to dalecy krewni duchów, inni uważali je za zapomniane myśli, które nigdy nie odnalazły drogi na papier, albo postacie z książek, których nikt nie przeczytał. Jeszcze inni byli zdania, że to pisarze przekłęci, którzy zdradzili lub zagubili swoje opowieści albo głos i teraz muszą trwać w wiecznej ciszy, dopóki ich nie odnajdą. Książkowiec bowiem, jak dowiedział się Grim, nigdy nie wypowiadał ani jednego słowa. Rhezotony wyglądały jak bardzo szczupli ludzie, większość była wzrostu nie więcej niż dziesięcioletniego dziecka. Ubrani byli w szaty z cieniutkiej, popielatej materii, które otulały ich ciała jak

poranna mgiełka. Skórę mieli szarą jak stronice prastarych ksiąg, włosy białe, a oczy tak wielkie, że Grim dostrzegł w nich litery, które co chwila pojawiały się na tle czerni źrenic, by za chwilę znów w niej zatonać. Były to fragmenty, strzępy myśli z jakiegoś innego świata, z opowieści, z pieśni, ze wspomnień, ale mimo wszystko był w nich jakiś sens. Sens, którego Grim nie potrafił sobie wyjaśnić i który przeniknięty był wibrującą, mroczną poezją. Gargulec przypatrywał się, jak przemykają korytarzami, jak wspinają się po regałach, by odstawić jakąś księgę gdzieś na samej górze, albo patrzą na niego swoimi zagadkowymi oczami, zupełnie jakby usiłowały odczytać jego historię, by włączyć ją w kosmos wirujących słów i złożyć w coś większego.

Nagle Mia skuliła się przestraszona i dopiero wtedy Grim dostrzegł cienie wyślizgujące się z nisz pomiędzy regałami. Wyglądały jak palący się papier, wiele z nich miało ludzkie kształty, inne przypominały istoty baśniowe, a wszystkie zmierzały w stronę Mii tak szybko, że Grim ledwie mógł nadążyć wzrokiem za ich ruchami. Natychmiast jednak na czole Mii rozjarzyło się zakłęcie Lyskiana, wysyłając mieniące się błękitem światło, które odpędziło cienie. Grim ujął dziewczynę za rękę i przyciągnął ją do siebie. Jej śmiertelność była w tym miejscu jak deszcz na pustyni i Grim dosłownie czuł, jak wszystko jej łaknie – żądza wydobywała się z regałów z książkami, biła ze spojrzeń wampirów, unosila się nawet w powietrzu, które okręzało ich jak łapczywe zwierzę i chwyciło jej włosy. To miejsce było siedzibą wiecznej ciemności. Nie było przeznaczone dla oczu śmiertelników.

Lyskian patrzył na cienie tak długo, aż całkowicie wycofały się między regały. Wtedy dopiero ruszyli dalej. Pewnym krokiem wyprowadził ich z tego pomieszczenia i powiodł przez kolejne korytarze i czytelnie. Jego twarz przybrała łagodny wyraz i chociaż Grim wiedział, że pewnie nigdy nie zrozumie jego namiętności do słowa pisanego, to jednak i on nie do końca potrafił się oprzeć fascynacji tym miejscem. Schodami zeszli głębiej, do piwnic biblioteki, która wgrzyzała się w głąb niby podziemny ul. Widzieli balustrady na przyprawiającej o zawrót głowy wysokości, skórzane siedziska i kościelne ławki, których drewno było powycierane od setek lat używania. Na ścianach wisiały wyblakłe pergaminy, tablice zakłęcia żarzyły się czerwonym i białym blaskiem, a z

regałów patrzyły na nich nadgryzione zębem czasu popiersia. Czas poradził sobie jakoś z rzeźbami, ale do słów zamkniętych w otaczających ich księgach nie miał już dostępu. Większość manuskryptów Coraxa była starsza od Grima i kiedy mijał kolejne regały, wydawało mu się, że słyszy szepty wydobywające się ze stronic. Szepty, które przywoływały go do siebie i sprawiały, że co chwila bezwiednie wyciągał rękę i zdejmował z półki książkę, zupełnie jakby w każdej z nich jakiś fantastyczny świat pełen tajemnic tylko czekał, by zostać przez niego odkrytym. Głosy były oszałamiające. Co chwila Mia także podchodziła jak w transie do któregoś z tomów, a kiedy Remi przeleciał zbyt blisko jakiejś opasanej łańcuchami szafy, coś w jej środku zaczęło się głośno tłuc. Kobold wrzasnął przerażony. Grim całkiem zanurzył się w atmosferze wypełnionych książkami półek, wyczuwając potężną magię czyhającą w ich stronicach. Co chwila odkrywał wśród prastarych grymuarów i ksiąg demonologicznych także dzieła pisane przez ludzi i uśmiechał się wtedy mrocznie. Ludzie nawet się nie domyślali, jaka potęga może drzemać w ich słowach.

Im dalej prowadził ich Lyskian, tym światło robiło się słabsze. Zdobiące bibliotekę wizerunki kruków, przedstawiane w niezliczonych wariantach, spoglądały na nich z góry błyszczącymi oczami. Już wkrótce zaczęli spotykać na swojej drodze tylko pojedynczych książkowców i innych gości, a po chwili Grim wyczuł chłodny wiatr, który z szeptem przemykał po prawie wyłącznie czarnych już grzbietach ksiąg. Wciągnął głęboko powietrze. Wcześniej wyczuwał skórę wołową, skóry koźle, świńskie, niekiedy nawet tygrysie i niedźwiedzie – teraz za to wyczuł zapach skóry ludzkiej. Kiedy mijali jednego z pisarczyków, który cienkim skalpelem wycinał znaki na rozpiętym na ramach kawałku skóry, Remi siedzący na jego ramieniu zadygotał. Mia też chyba zauważyła zmianę, ponieważ zadrżała i objęła się ramionami, chociaż wciąż jeszcze, gdy patrzyła na skryte w cieniu regały, w jej oczach błyszczał pełen oddania płomień fascynacji. Drewno pokrywała mroczna snycerka, formuły zaklęć utrzymywały szafy w zamknięciu, a łańcuchy były częstokroć grubsze od ksiąg, które zabezpieczały.

Lyskian zatrzymał się przy szafie ozdobionej powykrzywianymi obliczami. Przesunął wzrokiem po grzbietach ksiąg, aż wreszcie jego

spojrzenie zatrzymało się na jednej z najwyższych półek. Uniósł dłoń, rozpalając czerwone płomienie pisma na jednym z woluminów. Remi wzdrygnął się na widok ognia, Grim natomiast przyglądał się księdze zafascynowany. Znał bibliotekę Lyskiana, która zawierała niejedno imponujące dzieło, lecz takiej książki, która zapłonęłaby martwym ogniem i sama z siebie sfrunęła w dłoń osoby ją przyzywającej, jeszcze nie widział. Zanim jednak księga dotknęła dłoni Lyskiana, wampir wyjął z kieszeni czarne rękawiczki i szybko je naciągnął. Dopiero wtedy ujął księgę i położył ją na pulpicie.

Metalowe klamry opatrzone powykrzywianymi maskaronami odskoczyły z charakterystycznym trzaskiem i Lyskian otworzył księgę. Stronice zrobione były z delikatnie marmurkowego, czarnego pergaminu wypełnionego splecionymi ze sobą literami języka Anth'karya. Grim miał wrażenie, że słyszy ochryple, gardłowe brzmienie słów tego prastarego języka wampirów. Ostrożnie nachylił się nad książką i właśnie zamierzał dotknąć wyciętych w pergaminie liter, kiedy Lyskian błyskawicznie powstrzymał jego rękę.

– Ta księga pochodzi z jednego z najstarszych zbiorów mojego ludu – powiedział szeptem, lecz jego głos był jak lodowate ostrze. – Nikt już nie potrafi powiedzieć, kto wyciął jej słowa w pergaminie, ale znacznie godniejsze ode mnie wampiry przelewały krew, by ją chronić. Kryje ona w sobie wiedzę, której nawet ja nie zgłębiłem do samego końca, a której ty nie pojmiesz nawet za tysiąc lat. Tak więc strzeż się dotykania jej!

Grim przez chwilę w bezruchu patrzył na Lyskiana, a potem wyrwał rękę z jego uścisku. Jeśli czegoś naprawdę nie lubił, to traktowania go jak dziecko – zwłaszcza kiedy próbował przywołać go do porządku jakiś przeklęty krwiopijca. Lyskian był jego przyjacielem, ale były chwile, takie jak ta, kiedy najchętniej przeciągnąłby go głową do przodu przez wszystkie regały biblioteki, a teraz czuł nieodpartą wręcz ochotę grzmotnąć Lyskianem i tą jego księgą o ścianę. Pięść sama mu się już zacisnęła, kiedy Mia pochyliła się do przodu i powiedziała:

– Spójrzcie tylko.

Jednocześnie wskazała na litery, zachowując należyłą odległość.

Grim z niechęcią, ale oderwał spojrzenie od Lyskiana. Miała rację,

nie czas teraz na jakieś głupie kłótnie. Z ponurą miną powędrował wzrokiem w miejsce, które wskazywała palcem Mia, i zobaczył, że czerń stronic nieco się rozjaśniła i była teraz poprzetykana delikatnymi, złotymi plamkami, zupełnie jakby budziła się z długiego snu. Lyskian uniósł lewą rękę nad księgą i odwracał stronice, nie dotykając ich. Pergaminowe karty przewracały się początkowo z łagodnym szelestem, potem coraz szybciej i szybciej, aż ich szum wypełnił całe pomieszczenie, a Grim poczuł na twarzy zimny powiew. Następnie stronice opadły, jak liście w chwili ustania wiatru, i rozbłysnął na nich ciąg złocistych znaków, a mała iskierka sunęła nad wyżłobieniami liter.

– Lhor’na Phrakam’thin – przeczytała półgłosem Mia. – Akademia Cieni.

Ledwie to powiedziała, iskierka prześliznęła się dalej wzdłuż linijki. Remi podfrunął tak blisko do księgi, że światło migotało na jego twarzy, a Grim słyszał słowa Starego Języka Wampirów spływające z warg Mii.

– Gniazdo Nocy – tłumaczyła. – Wiecznych Więzów i Serca Rhak’Hontayów.

Iskierka z wolna zgasła.

– Ciekawe – stwierdził Grim zdecydowanym głosem, spoglądając na Lyskiana. – Może byś nam już łaskawie zdradził, czego właściwie tutaj szukamy? I co to za Akademia, którą w tej, jakże cennej, księdze opisuje się zaledwie jednym zdaniem?

W spojrzeniu zawarł cały swój gniew, lecz Lyskian nawet na niego nie popatrzył. W napięciu nadal wpatrywał się w księgę.

– Lhor’na Phrakam’thin – wyszeptał. – Akademia Rhak’Hontayów to miejsce Półmroku. Została założona z okazji ślubu Łowców Demonów przez pięciu Pierwszych z ich rodzaju, wtedy, kiedy czczono ich jeszcze jako bohaterów, i wydała najlepszych Łowców wszystkich czasów. Lecz nawet wtedy, kiedy obawa przed nimi dawno już ogarnęła nawet ich własny lud, to miejsce oparło się prześladowaniom, ponieważ nigdy nikt poza samymi Łowcami nie wiedział, gdzie się ono znajduje. Akademia uznawana jest za bastion oporu wobec złośliwych demonów oraz istotę tego, o co walczyli Rhak’Hontayowie. Od czasu prześladowań prowadzonych przez Thorona jest też podobno miejscem

schronienia przed jego nienawiścią.

Grim skinął ponuro głową.

– A więc jeśli w ogóle istnieje jakaś wskazówka, gdzie można znaleźć Łowców, to tam ją odnajdziemy.

– Może nawet tam będą – wymamrotał Remi i odchrząknął, ponieważ jego głos trochę ochryplł po tak niezwyczajnie długim milczeniu. – Skoro jednak nikt nie wie, gdzie znajduje się Akademia, to pewnie trudno będzie ją wytropić, prawda?

Grim omal nie roześmiał się głośno, widząc, jak kobold z miną detektywa unosi prawą brew i pociera dłonią brodę. Nawet po twarzy Lyskiana przemknęło coś jakby uśmiech.

– Istotnie – odrzekł wampir. – Dlatego właśnie was tutaj przyprowadziłem. Ta księga bowiem kryje o wiele więcej, niż widać na pierwszy rzut oka.

Nie tracąc już więcej słów, wyjął z kieszeni płaszcz wąski sztylet i nieomal czule przejechał nim po dłoni. Po jego palcach natychmiast spłynęła czarna krew, skapując na zdanie o Akademii Cieni.

– A więc to tak – powiedział Grim. – Innym nie wolno jej tknąć nawet małym palcem, ale taki krwiopijca jak ty, może ją całą zachłapać...

Zanim jeszcze zdążył dokończyć zdanie, Lyskian cofnął rękę. Krew wypełniła obrysy liter i nagle z głośnym hukiem nad księgą uniósł się kłęb dymu. Remi, kaszląc, gwałtownie uniósł się w powietrze, Grim cofnął się, a Mia odgarnęła z czoła obsypane popiołem włosy. Tylko Lyskian stał nieruchomo i zanim Grim zdążył złapać go za kołnierz, żeby wcielić w czyn swoją wizję walnięcia księgą i wampirem o ścianę, w kłębie dymu coś jeszcze raz fuknęło i ukazała się twarz dzina.

Była to twarz mężczyzny o pokrytej bliznami skórze, zapadniętych policzkach i czarnych jak węgle oczach. W płatku lewego ucha miał złote kolczyki, na łysej czasce widniały tatuaże, a jego ciało, które ku dołowi stawało się coraz mniejsze, by w końcu zniknąć gdzieś w literach, przyrodziane było w bezkształtny strój usiany wzorem z malutkich rombów. Dzin spojrzał na zebranych wokół i jego usta wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

– No proszę, proszę – powiedział i Grim przez chwilę znowu

usłyszał szelest przewracanych stron, jakby ten dźwięk wydobywał się z ust dzina. – Już się zacząłem zastanawiać, kto mnie zmusza do wyjścia z tego słowa. Muszę przyznać, że czegoś takiego się nie spodziewałem. Wampir, człowiek, Hybryd i... – Umilkł na moment, by raptownie wyciągnąć się w stronę Remiego, podczas gdy jego lewe oko niespodziewanie wypadło z oczodołu i jak skacząca piłeczka wylądowało w jego dłoni. Błyskawicznie podetknął je Remiemu pod nos, a ono zdążyło jeszcze dwukrotnie okrążyć kobolda. – A ty czym jesteś? Krasnoludkiem? Karzełkiem? Zieloną rybą z nosem i sierścią? Nie, już wiem! Jesteś latającą rybą, zgadza się?

Remi z oburzeniem wsparł się rękami pod boki.

– Ja jestem... – zaczął, ale dzin zaśmiał się tak głośno, że z księgi wionął lodowaty podmuch – Bardzo mi miło panie Jajestem! – wykrzyknął, kiwając szybko głową. Wolną rękę wytarł w spodnie i wyciągnął ją w stronę Remiego, który gapił się zdumiony. – Jestem Fharrl, dzin dziewiątej dynastii z dworu... Ale cóż to ma za znaczenie! Do usług!

Tu skłonił się z galanterią. Następnie podrzucił oko w górę i zgrabnie złapał je, wsuwając z powrotem w oczodół i we właściwym momencie wydając mlaszczący odgłos. Grim uśmiechnął się. Lubił ten typ humoru, uwielbiał też walki duchów w sekretnych salach teatrzyków variété w Paryżu, a nastrój poprawił mu się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył udręczoną minę Lyskiana. Fharrl natomiast godnie założył ręce na piersiach i akcentując swoją powagę, spoglądał po kolei na każde z nich.

– No i...? – spytał wreszcie. – Jakie są wasze życzenia?

Lyskian rzucił spojrzenie Mii i Grimowi, którzy z trudem powstrzymywali się od śmiechu, i lekko ściągnął brwi:

– Szukamy Akademii...

– Ach, tak – przerwał mu Fharrl i skrzywił usta w uśmiechu. – Nigdy bym na to nie wpadł, szanowny panie wampirze. Mówię poważnie. Tak szybko zapomniałem słowo, przez które musiałem się przed momentem precyzyjnie do tego cuchnącego i głośnego świata, że na wołowej skórze by tego nie spisał! Ha ha ha! Jak widzę, całkiem nieźle pamiętam jeszcze wasze powiedzenia!

Remi zachichotał i mrugnął do Grima, którzy westchnął ciężko i przewrócił oczami. Najwyraźniej kobold znalazł w Fharrlu bratnią duszę, jeśli idzie o ludzkie powiedzonka.

– Radzę ci, żebyś nie wystawiał mojej cierpliwości na próbę – powiedział Lyskian, a w jego głosie pojawiło się nagle coś, co zmiotło uśmiech z twarzy dżina. Również Grim poczuł chłód bijący od wampira i zdusił w sobie śmiech. Lyskian miał rację, nie ma czasu na przekomarzanie się z gadatliwym dżinem, chociaż Grim z wielką przyjemnością zaprosiłby go kiedyś na wieczór filmowy do swojej wieży. Był przekonany, że Fharrl okazałby się o całe niebo lepszy w parodiowaniu scen od doskonałego przecież Remiego. Dżin spojrzał na Lyskiana i w jego oczach pojawił się żar, który sprawił, że rozblęśły szkarłatną czerwienią.

– Lhor’na Phrakam’thin – wymamrotał. – Kiedyś była sercem Cieni i powiadają, że to serce nadal bije.

Lyskian skinął ledwie dostrzegalnie głową.

– Przybyliśmy tu, by sprawdzić, ile jest prawdy w tej legendzie.

Po twarzy Fharrla przemknął uśmiech, bezgłośnie i złowieszczo. Uniósł dłoń i nie spuszczać z oka Lyskiana, wyczarował nad nią hologram. Grim pochylił się w jego stronę, ale i tak nie mógł dostrzec nic więcej poza zarysami wykutego w skale gmachu, a potem portal, który z wielką prędkością ruszył im naprzeciw. Grim odskoczył instynktownie, lecz już otoczyły go ciemności i chociaż wiedział, że zanurzył się w świecie księgi, który otworzył przed nimi Fharrl, czuł zimny mrok jak ostre klingi na swojej skórze. W następnej chwili wylądował na czarnej marmurowej posadzce. Z trudem stanął na nogach, pomógł się podnieść Mii, która upadła obok niego. Niech to diabli, zaczyna się robić za stary na takie sztuczki, zwłaszcza że Lyskian bez trudu, wręcz z gracją wylądował obok nich na posadzce. Znajdowali się na dziedzińcu obramowanym fosforyzującymi drzewami. Nad szklanym dachem rozciągał się cienisty mrok, wokół dziedzińca biegł krużganek, a pośrodku stał podest, na którym wznosił się smoliście czarny posąg tajemniczej postaci. Ubrana ona była w długą opończę, a twarz kryła pod kapturem. I chociaż dotykała stopami cokołu, to jednak w dziwny sposób sprawiała wrażenie unoszącej się w powietrzu. Jej obie nogi były



skrzyżowane, ramiona uniesione w górę jak ptasie skrzydła, podczas gdy głowa, mocno pochylona, wpatrywała się w ciemność pod stopami. Grim znał tę pozę. Przypominała mu ona Łowcę, którego widział w oczach Lyskiana, owego tancerza między światłem a cieniem. Zapamiętał jego oczy, które rozbłysły w ciemnościach, i triumfalny uśmiech, zanim obraz zniknął. Na cokole delikatną kreską wyryte było motto Rhak' Hontayów: *K'ayrhon arrs Thumon. Każdy staje się tym, na co poluje.* Grim poczuł żar tych słów na swojej twarzy, podobnie jak cienie czyhające pod kapturem i dopiero po chwili dostrzegł postacie przemykające między kolumnami. Ubrane były w podobne opończe jak postać na cokole, a ich twarze również kryły się pod kapturami. W jednej chwili Grim odczuł ciszę, która wypełniała dziedziniec – ciszę, która lekko drżała, zupełnie jakby powietrze było wypełnione bogactwem tonów, których nie potrafił usłyszeć. Zdezorientowany przesunął dłonią po uszach i zobaczył, że Mia i Remi robią to samo. Poczuł nieprzyjemne uczucie w żołądku, jakiś dyskomfort, zupełnie jakby otaczały go głosy mówiące w języku, którego nie rozumiał, a który od dawien dawna miał tylko jedno zadanie: zostać przez niego usłyszonym.

Lyskian w skupieniu przesunął dłonią po posadzce, a potem jego palce nagle zeszywniały i zanurzyły się w kamieniu. Grim spochmurniał, widząc, z jaką łatwością wampir zagłębił dłoń w marmurze. Nie lubił, kiedy ktoś obchodził się z kamieniami, i to bez względu na ich rodzaj, jakby były z masła, ale Lyskian tylko uśmiechnął się z wyższością. W następnej chwili przez jego palce przebiegł żar i rozprzestrzenił się po posadzce jak rozpalona na czerwono sieć. Lyskian zamknął oczy, uśmiech na jego ustach zgasł. Potem cofnął dłoń, sieć czerwonych żyłek zniknęła i Lyskian wyprostował się.

– To wszystko jest jedynie cieniem i wichrem minionych dni – powiedział cicho i coś jak grymas bólu przemknęło po jego twarzy. – Lecz każdy sen ma swoje pęknięcia. Chodźcie za mną.

Bez słowa ruszył w stronę przejścia prowadzącego w głąb budynku. Minęli sale treningowe obwieszane magicznymi broniami, przypominające Grimowi ośrodki szkoleniowe NPG, salony wypoczynkowe, w których były kominki ze srebrzystym ogniem, a na ścianach malowidła grzmotów i burz, a także sale z tajemnymi

zakłęciami na posadzkach. I co chwila widzieli odbicia posągu z dziedzińca – czy to w cieniu, czy to oblane atłasowym światłem, lecz zawsze twarz postaci była skryta w ciemności. Grim przyłapał się na rosnącym pragnieniu, by spojrzeć jej w oczy. Ledwie o tym pomyślał, odczuł drzenie otaczającej go ciszy. Inni także odczuli ten impuls i podążyli za Grimem w stronę łuku bramy prowadzącej do mrocznej komnaty.

Grim w napięciu spojrzął w ciemność, z której dobiegało drzenie i po chwili rozpoznał postać stojącą wysoko w powietrzu na linie. Był to Rhak' Hontay. Jak wszyscy inni miał na sobie opończę, której kaptur nachodził mu głęboko na twarz, i długą, czarną pelerynę. Powyżej liny powietrze wyglądało na przemieszane z ciemnym piaskowym pyłem, podczas gdy na dole było prawie białe. Mimo wszystko Grim doskonale widział Łowcę, podobnie jak Mia i Remi, którzy z pełnym napięciem minami patrzyli na rozgrywający się przed ich oczami spektakl. Także Lyskian przyłączył się do nich w milczeniu.

Stojący na linie Rhak' Hontay wyprostował się z wolna, a z każdym jego ruchem mieszały się ze sobą światło i mrok. Ale mieszały się tak, że żadne nie traciło nic ze swojej jasności ani z ciemności, a kiedy Łowca kroczył po linie, zmieniały się w ptaki, w ostrza włócznie, gwałtowne wichry, by w końcu niespodziewanie się na niego rzucić. On z błyskawiczną prędkością obronił się przed nimi, wystarczył jeden ruch wyciągniętej ręki, obrót głowy, krótki skok, a one rozprysnęły się w tysiące nowych kształtów. Było ich coraz więcej, coraz szybciej atakowały Łowcę, aż Grim czuł wibracje na swojej skórze. Rhak' Hontay poruszał się z gracją i pozornie bez najmniejszego wysiłku, a kiedy światło i mrok zlały się w potężny rój – uniósł się w powietrze. Zakręcił piruet, jego peleryna odrzuciła rój, a on z powrotem wylądował na linie.

Remi westchnął z ulgą, lecz w tym momencie z rozsianego pyłu utworzył się potężny kształt. Z cienia wyłoniły się pokryte łuskami kończyny, w świetle rozżarzyły się oczy wypełnione chłodem, a kiedy smok odwrócił głowę i smagnął ogonem, po plecach Remiego przebiegł dreszcz przerażenia. Nigdy wcześniej nie widział smoka z Pierwszego Czasu, znał tylko opowieści o tych złych i dobrych, lecz teraz, kiedy czuł

na policzkach bulgocący w gardzieli tej istoty oddech, wiedział, że legendy mówiły prawdę: nie było na tym świecie stworzenia mocniejszego, groźniejszego i bardziej nieobliczalnego niż ten smok. To niemożliwe, żeby Łowca potrafił utrzymać równowagę na linie, walcząc z tą istotą.

W następnej chwili smok wypluł w stronę Rhak' Hontaya jaskrawy płomień. Grim czuł chłód płomienia na skórze. Łowca odskoczył kilka kroków i tylko rąbek jego peleryny spalił się na popiół. Przyklęknął z nisko pochyloną głową. Smok również znieruchomiał. Tylko jego żarzące się białe oczy taksowały przeciwnika, jakby szukały jego słabego punktu. W tym momencie, nie wiadomo skąd, pojawił się wiatr. Peleryna Łowcy uniosła się i Grim wyraźnie słyszał jej łopotanie. Błysnęła klinga miecza, który Rhak' Hontay ukrywał pod nią, i broń rozcięła półmrok rozmigotanego pyłu. A potem Łowca ponownie się zamachnął, uniósł się w powietrze... i przeciął linę.

Grim zmarszczył brwi. To znaczyło jedno – walka została rozstrzygnięta, bowiem teraz Łowca spadnie i spłonie w lodowatym żarze smoczego oddechu... Lecz Rhak' Hontay nie spadł. Zamiast tego ruszył w stronę smoka, zwinnie i tak szybko, jakby stąpał po jakichś niewidzialnych ścieżkach, może po szeptach wiatru, drzeniu powietrza albo zawodzących i płaczących głosach Półmroku, które Grim słyszał w oddechu smoka. Miecz jaskrawą smugą przeciął powietrze. Smok odchylił się i trafił Łowcę łapą, odrzucając go w tył, lecz zanim Rhak' Hontay zdążył zniknąć w ciemnościach, poderwał ramiona w górę, opadł w dół, jak do oceanu, i zaraz uniósł się z niego w górę, jakby wyrosły mu skrzydła. Smok plunął ogniem w jego stronę, aż Grim poczuł na twarzy piaskowy pył, ale Łowca okrążył potężnego smoka, jakby miał nieskończone siły. To był istny taniec. Sprawiał wrażenie nieskończone prostego, lecz Grim wiedział, że właśnie ta lekkość jest czymś niebywale trudnym. To taniec tańczony na skraju otchłani, która z każdym krokiem, z każdym obrotem coraz silniej wzywa i przyciąga tancerza. Rhak' Hontay płynął jednak przez Półmrok na niewidzialnych skrzydłach, wdychał światło i mrok i utrzymywał się w skończoności pomiędzy nimi, i dopiero kiedy poderwał w górę miecz i wbił ją w gardziel smoka, Grim zaczął ponownie oddychać.

Łowca bezgłośnie wylądował na naprężonej znowu linie. Czyżby ona cały czas tam była? Czyżby wcale jej nie przeciął, tylko ukrył magicznym zaklęciem? Grim usłyszał śmiech, który jakby w odpowiedzi na jego myśli, przemknął po osiadających z wolna drobinach pyłu. *Nie*. Senna magia tej walki była prawdziwa. W tym samym momencie Rhak' Hontay uniósł głowę i zsunął kaptur.

Jego oblicze było całkowicie pokryte pyłem. Jak każdy mieszkaniec pustyni usta i nos miał zakryte chustą, lecz oczy błyszczały jasnym błękitem. Grim chciał się odwrócić, lecz nie był w stanie tego zrobić. Coś w tych oczach go przyzywało. Instynktownie chwycił się za pierś, bo nagle przeszło go palące uczucie, bolesne jak cios rozżarzonego miecza Łowcy. Poczul światło na skórze, żar ciemności na powiekach i tchnienie otchłani pod swoimi skrzydłami, kiedy po twarzy Łowcy przemknął uśmiech, uśmiech triumfu i... bólu. Zaraz potem ciął mieczem powietrze i zupełnie jakby przestrzeń była jedynie kurtyną, zniknął w rozmigotanym pyłe. Została tylko lina.

– Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak walczył – wyszeptała Mia z podziwem. – On był taki...

– ...swobodny – dokończył Grim i przeląkł się trochę, kiedy uświadomił sobie, że głośno wypowiedział swoją myśl.

Mia spojrzała na niego badawczo, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, dobiegł ich krzyk tak niespodziewany i bezpośredni, że Grim aż się wzdrygnął, a przerażony Remi spadł mu z ramienia. Kobold natychmiast zaczął nerwowo wspinać się z powrotem po jego płaszczu, zupełnie jakby zapomniał, że umie latać.

– Co u diabła... – zadudnił Grim, lecz Lyskian zdążył się już odwrócić i spieszył korytarzem. Grim ruszył za nim przez rozpryskującą się ciszę, która sięgała po niego dłońmi z ostrych okruczeń i słyszał głosy przecinające powietrze. Znał język, którym się posługiwały, aż nazbyt wyraźnie wnikał on w jego ciało. Kiedy stanęli przed stalowymi drzwiami, jego twarz spochmurniała. Płonęły bowiem na nich znaki zaklęć unieruchamiających, klątwy w Th' ynguelu, Starym Języku Demonów. Zaciekawiony Remi sfrunął z ramienia Grima, lecz ledwie to zrobił, jakieś potężne szpony uderzyły od wewnątrz w drzwi, pozostawiając w metalu potężne ślady. Remi wrzasnął głośno i

błyskawicznie uciekł z powrotem na ramię Grima. Drzwi dygotały pod coraz gwałtowniejszymi uderzeniami.

– Co to za miejsce? – mruknął Grim, nie odwracając się ani na moment od zdeformowanych drzwi. Czuł moc tamtej istoty, zupełnie jakby otulały go jej płomienie. Nieświadomie zacisnął pięści. Lyskian uśmiechnął się tylko.

– A czego się spodziewałeś? – spytał wampir z lekką kpina w głosie. – Znajdujemy się w Akademii Cieni, w miejscu, które wydało najlepszych Łowców Demonów w całym Innoświecie. W jaki sposób mieliby ćwiczyć swoje umiejętności bez... materiałów pogładowych?

Uśmiechnął się i zanim nerwowe sapanie Remiego czy dłoń Grima zdążyły go powstrzymać, otworzył szeroko drzwi. Grim natychmiast rozpostarł nad nimi osłonę ochronną, ale przed sobą mieli tylko ciemne i puste pomieszczenie. Kiedy wchodzili do środka za Lyskianem, Mia rzuciła Grimowi pełne napięcia spojrzenie. Uaktywniła w swojej dłoni zaklęcie światła i oświetliła wnętrze kaplicy. Na częściowo zrytej posadzce poniewierały się pogruchotane ławki, wielki żyrandol musiał z impetem spaść na ołtarz i płyty nagrobne, roztrzaskując je, kolumny zaś, kiedyś mające nieskazitelną marmurową powierzchnię, nosiły teraz niezliczone ślady pazurów pokrywające kamienną gładź niby sieć blizn. W pomieszczeniu słychać było jakieś szurania, którym towarzyszyły ciche piski i złośliwe śmiechy.

Każdy mięsień w ciele Grima był napięty. Nienawidził tych śmiechów. Dysponowała nim każda z tych przeklętych piekielnych kreatur, każdy pozbawiony konkretnego kształtu demon potrafił rozpiąć swój głos nad otchłanią zła i wygrywać na nim melodie, od którego innym istotom cierpły zęby. Co, do diabła, strzeliło Lyskianowi do głowy, żeby ich tu przyprowadzić? Cokolwiek miał na myśli, mówiąc o śladach szponów na drzwiach, nawet w iluzji można było zostać rannym, zwłaszcza wówczas, kiedy nadzorował ją zwariowany dżin, który znajdował przyjemność w pozbywaniu się na chwilę własnego oka. Wszyscy instynktownie przyjęli pozycje gotowości do walki. Grim przesunął wzrokiem po mrokach kaplicy i z najwyższym trudem zdusił chęć zanurzenia tego krwio pijcy głową naprzód w święconej wodzie. Gdy tylko się stąd wydostaną, to na pewno...

Więcej nie zdążył pomyśleć, ponieważ w tym momencie zza jednej z kolumn wyskoczyła horda demonicznych szkieletów, które rzuciły się w ich stronę. Mia wzmocniła osłonę ochronną, Grim rzucił w stronę napastników ogniste zaklęcie, które spowiło ich błękitnym płomieniem, zapalając przy okazji zbutwiałe gobeliny wiszące na ścianach. A kiedy już sądził, że udało mu się pokonać niebezpieczeństwo tak prostym sposobem, pomieszczenie wypełnił nagle bojowy wrzask i rzuciły się na nich kolejne demony. Niby upiorne maskary wyślizgiwały się z cieni pod sklepieniem, gramoliły się spod posadzki, jak wielkie koty wyskakiwały z kolumn, aby z powykręcanyimi kończynami i twarzami wpaść na osłonę ochronną. Grim wydał okrzyk i wyrzucił przed siebie pięść. Fala uderzeniowa odrzuciła demony w tył, zaraz się jednak pozbierały i popędziły w ich stronę niby potężna fala rozszalałych ciał.

– Lyskian! – krzyknął Grim, widząc kątem oka, jak wampir wyczarowuje w dłoni bicz. – Ich jest za dużo! Za nic nie damy im rady, jeśli...

Lecz Lyskian go nie słuchał. Wyskoczył spod ochronnej osłony i smagnął biczem w sam środek hordy demonów. Powietrze rozdarł przeraźliwy wrzask. Płaszcz Lyskiana załopotał, jakby uderzył w niego gwałtowny podmuch wiatru, on jednak potężnym szarpnięciem bicza przyciągnął do swych stóp jednego z demonów, istotę o zielonej jak u jaszczurki głowie z diabelskimi rogami wystającymi z bezwłosej czaszki i z żółtymi oczami. Demon przykucnął w nieruchomym kocim przyczajeniu, jakby w każdej chwili miał się rzucić na Lyskiana. Grim odpędzał zbliżających się napastników rozbłyskującymi co chwila błyskawicami, ale wiedział, że nie zdoła ich długo powstrzymać. Zobaczył jeszcze, jak demon siedzący u stóp Lyskiana uśmiecha się podstępnie. Przez moment wydawało mu się, że wyczuwa gniew wampira, emocję, którą przez te setki lat znajomości obserwował u niego niezwykle rzadko i która była zimna jak śmierć. Potem pierwsze demony dotarły bezpośrednio w ich pobliże, kiedy jednak ich szpony dotknęły osłony ochronnej, Lyskian uniósł pięść i rozerwał iluzję. Grim wylądował z powrotem w bibliotece tuż obok bezcennej książki i przeklinał się w myślach, że nie było to bodaj odrobinę bardziej w prawo. Z sapnięciem wstał na nogi.

– I jak tam podróż? – spytał Fharrl z uśmiechem stewarda, który w trakcie swojej kariery przeżył co najmniej o jedną turbulencję za dużo. – Życzę zatem dużo wrażeń w czasie kolejnej wyprawy i... – W tym momencie napotkał spojrzenie Lyskiana i natychmiast zamilkł. – No już dobrze, dobrze – burknął, krzyżując ręce na piersi. – Powiem wam krótko: dawniej w tych murach panował daleko przyjemniejszy nastrój!

Mówiąc to, wyrzucił ręce w górę, wessał się z powrotem w litery na stronicy i z głośnym hukiem zatrzaskał za sobą księgę.

Grim spojrział na Lyskiana.

– Byłoby zdecydowanie milej z twojej strony – powiedział – gdybyś podzielił się z nami swoją wiedzą na temat... mieszkańców tej Akademii, zanim się z nimi spotkaliśmy.

– Wybacz – odrzekł Lyskian chłodno. – Następnym razem poinformuję cię o wszystkim ze szczegółami, żebyś dla własnego bezpieczeństwa mógł poczekać pod drzwiami, podczas gdy my zbliżymy się o kolejny krok do naszego celu.

Grim już zamierzał coś odpowiedzieć, kiedy z twarzy Lyskiana zniknęła wszelka kpina i w jego oczach pojawił się jakiś cień, ślad smutku i bólu, który kazał Grimowi powstrzymać się od powiedzenia czegokolwiek. Rzadko kiedy zdarzało mu się widzieć na tak opanowanej zazwyczaj twarzy Lyskiana podobny wyraz i chociaż miał ogromną ochotę przywalić wampirowi tą jego bezcenną księgą, to jednak w obliczu ciemności widocznej w jego spojrzeniu gniew Gargulca ulotnił się bez śladu.

– Widzieliście tego demona, którego schwytałem – powiedział Lyskian. – Znałem go... dawno temu. Słyszałem, że widział Akademię Łowców na własne oczy, lecz nie byłem tego pewien, aż do dzisiaj.

– Istnieje więc możliwość, że on wie, gdzie ona się znajduje – stwierdziła Mia. – Ale ta iluzja Akademii jest stara, nie wiemy, gdzie teraz jest ten demon, a z zaginionymi egzemplarzami przedstawicieli jego ludu mamy już dość problemów. Jak więc...

W oczach Lyskiana na moment pojawił się mroczny żar, który wampir zaraz powściągnął. Można było odnieść wrażenie, że cienie, które dopiero co pojawiły się w rysach jego twarzy, skoncentrował w źrenicach.

– Jego imię brzmi Ogrul Pherilyon Phaar, pierworodny syn Achnayona, Dziewiąty Krąg, Phy. Dawno temu przewędrował przez Noc i Popiół, by wejść do Sal Wiecznej Burzy.

– A więc nie żyje? – zawołał Remi i miał tak nieszczęśliwy wyraz twarzy, że Grim nieomal zaczął mu współczuć.

Lyskian uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

– Dla istot jego rodzaju nie ma końca. Przeniósł się w inne miejsce, w ciemność, która oślepiłaby każdą żyjącą istotę. Wezwiemy go z Braskatonu... Krainy Zmarłych Demonów.



## Rozdział 16



Światło latarni kładło się złotym blaskiem na kocich łbach Mostu Karola, zmieniając Gargulce siedzące na balustradach w czarne cienie. Niektóre z nich opuściły swoje pozycje i teraz dziwnie puste cokoły sterczały w noc. Niektóre ledwie zauważalnie skłaniały głowy przed Grimem, kiedy je mijał, i pozbawionym wyrazu wzrokiem mierzyły Mię. Praskie Gargulce były zupełnie inne niż przedstawiciele Kamiennego Ludu, których Mia zdążyła już poznać, i za każdym razem, kiedy spoglądała w ich ciemnoczerwone oczy albo słyszała ich zgrzytliwe, zawsze lekko schrypnięte głosy, odnosiła wrażenie, jakby czuła na skórze wicher tundry, a także śnieg i mróz czarnych gór. Spojrzała na swoją dłoń, która blada jak wosk spoczywała w szponach Grima, i przez moment przemknęła jej przez głowę myśl, jak bardzo przemijające jest jej życie w stosunku do życia takiej istoty jak on.

Pod ich nogami szumiała Wełtawa. Mia próbowała przypomnieć sobie szary nurt Sekwany i huk Tybru, ale jej myśli tonęły w odmętach tej czarnej rzeki, tajemniczej i obcej, rzeki, której zapach drażnił jej nozdrza – cierpki i słonawy zapach zimna i samotności. Zmęczenie pulsowało jej w czaszce i kiedy zostawili już za sobą most, zatęskniła nagle za Islis, gdzie mogłaby się zakopać w pościeli i zasnąć. Grim opowiadał jej o osiedlu Gargulców w Wyszehradzie, wiedziała, że już przygotowano dla nich pokoje, w których będą mogli przenocować, i niemal czuła na skórze ciepło ognia w kominku. Lyskian jednak nie dawał im spokoju. Cienie w jego spojrzeniu pełgały niespokojnie, a osobliwe napięcie, bijące od niego od samego początku podróży, z każdym krokiem zdawało się przybierać na sile, zupełnie jakby zbliżał się ku czemuś, za czym w równym stopniu tęsknił, jak i się obawiał.

Zatrzymali się przed niewielkim, jakby nieco zwichrowanym

domem. Z drewnianych okiennic łuszczyła się farba, a ciemność panującą za oknami rozjaśniała jedynie słaba poświata. Zaciekawiony Remi zajrzał do środka, ale zaraz cofnął się przestraszony, bo z tamtej strony wyglądały na ulicę niezliczone twarze o ożywionej mimice. Dopiero na drugi rzut oka Mia rozpoznała, że to marionetki, na które upiornym blaskiem padało światło z któregoś z pokoi w głębi, powodując, że przed ich oczami tańczyły cienie.

– Nie wiedziałem, że szukamy prezentów – mruknął Grim, kiedy Lyskian zapukał do drzwi, a dźwięk ten głucho rozbrzmiał we wnętrzu domu.

– Może i znasz katakumby tego miasta – odparł wampir. – Te brudne dziury pod Kampą, tunele i jaskinie, w których niegdyś szalały rebelie, albo te cuchnące bagniska ciągnące się pod ulicami. Lecz jest coś, co sięga jeszcze głębiej w cień, i wiesz o tym dobrze. Ale tu, gdzie panuje prawdziwy półmrok, w którym światło i ciemność są tak blisko siebie, że sprawiają wrażenie, jakby były jednym i tym samym, beze mnie byłbyś zgubiony.

Grim właśnie szykował się do riposty, ale jakiś hałas we wnętrzu domu sprawił, że zrezygnował. Światło lampy naftowej przesunęło się po twarzach lalek, przez co wyglądały, jak wykrzywione w uśmiechu, a potem z lekkim skrzypieniem otworzyły się drzwi.

W kręgu światła stał wampir. Przyodziany był w bezkształtną szatę, jego ciemne, sięgające ramion włosy poprzetykane były pasmami siwizny, a po kanciastej twarzy przemykały cienie. Jego oczy zasnuwał szary welon, jakby były na wpół ślepe, lecz kiedy na wargach pojawił się uśmiech, za szarością zamigotały iskierki, nie będące jednak w stanie całkiem jej rozerwać.

– Wasza Wysokość Książę Wampirów – powiedział szorstkim głosem. – Słyszałem o twoim przybyciu do Złotego Miasta i jest dla mnie ogromną radością, że mogę cię zobaczyć.

Lyskian odwzajemnił uśmiech.

– Mistrzu Alvinorze – rzekł, skłaniając lekko głowę. – Dużo czasu minęło.

Alvinor zaśmiał się. Był to twardy śmiech, ale iskierki w jego oczach zatańczyły jak ogniki w gęstej mgle, sprawiając, że twarz

dosłownie promieniała.

– Skoro to wiesz, Książę, to znaczy, że nie utraciłeś całkowicie poczucia czasu, jak inni przedstawiciele naszego ludu – odparł z szelmowskim uśmiechem. – Twojemu mentorowi by się to spodobało. Często o nim myślę w te ponure dni. Bhrogrum Dakaskos, ten wojownik, który i z ciebie zrobił wojownika, a na którego krwiopijcy, tacy jak ja, spędzający swoje wieczne życie w zakurzonych stronicach ksiąg, podnoszą wzrok z bezgraniczną czcią. Jego śmierć była bolesną stratą dla nas wszystkich.

Lyskian nic na to nie odpowiedział, lecz Mia dostrzegła błysk, który w tym momencie przemknął w jego oczach. Zawsze unikał rozmawiania z nią o swojej przeszłości, ale teraz, kiedy po raz pierwszy usłyszała imię jego mentora, znowu uświadomiła sobie jego prawdziwy wiek.

Alvinor mówił dalej:

– Lecz nie tylko wieść o twoim przybyciu, przenika cienie, czcigodny Książę. Słyszałem też o twoich towarzyszach. Jakaż to rzadkość widzieć taką grupę pozostającą w zgodzie ze sobą. Wejdźcie do środka, wiatr wieje ze wschodu, jest zimny i snuje opowieści, których nie powinno się słuchać w tak ciemną noc jak ta.

Odstąpił na bok i wpuścił ich do środka. Mia poczuła otaczający ich zapach palących się świec i usłyszała klekotanie poruszonych podmuchem wiatru marionetek porozwieszanych u sufitu i na ścianach. Z góry spoglądały na nich najróżniejsze postacie: czarownice, rozbójnicy, wodniki i arlekiny, ale też diabły, muzykanci, smoki oraz człowiek o niebieskich włosach w błyszczącym cylindrze na głowie, który przypominał jej trochę Piaskuna. Coś dziwnego czaiło się w oczach lalek, jakiś odblask, który odpowiadał na spojrzenie Mii. Ilekroć jednak próbowała zajrzeć w nie głębiej, napotykała tylko martwe maski.

– Domyślam się, że nie przybyliście tutaj, żeby kupić lalkę – rzekł Alvinor i uśmiechnął się. – Uwielbiam je wytwarzać, potrafię też niejako tchnąć w nie życie i wysyłam je w świat.

Remi podfrunął do drewnianego smoka o barwnych skrzydłach i dotknął go z zafascynowanym wyrazem twarzy.

– Są doskonałe – powiedział, wyraźnie będąc pod dużym

wrażeniem. Alvinor roześmiał się cicho.

– Serdecznie dziękuję, panie koboldzie – odparł. – Można by pomyśleć, że jest w nich coś więcej niż tylko śmierć i wieczność, prawda? Czasami wydaje mi się, że tak właśnie jest. Z czasem człowiek nabiera wprawy. A ja robię to już od dość dawna... od tak dawna, od jak dawna przechowuję xaony, a to oznacza... – zawahał się, jakby zamierzał to policzyć, a potem machnął ręką w powietrzu. – No cóż, długo.

Grim ściągnął brwi.

– Czy to znaczy, że... – zaczął, lecz Alvinor od razu uśmiechnął się od ucha do ucha i skinął głową z widoczną dumą.

– Nie jesteś pierwszym Gargulcem, panie, jaki przekroczył próg tego pomieszczenia – stwierdził. – Za to być może jesteś pierwszym Hybrydem, który to uczynił. Tylko niewielu postronnych wiedziało za czasów Thorona, gdzie przechowuje się xaony, najstarsze na świecie księgi z zaklęciami.

– Ale Thoron dopuścił użycie zaklęć demonów – wtrącił się Remi. – O ile wiem, zrobił to dlatego, że w ich przypadku nie chodzi o wykorzystanie, tylko o podporządkowanie sobie demonicznych sił.

Alvinor uśmiechnął się chytrze.

– Istotnie. Xaony nie są tak tajne, jak niektóre skarby z biblioteki Coraxa, i nie są też tak niebezpieczne... przynajmniej w czasach dawnego króla Gargulców nic im nie groziło. Ale... – Tu przerwał, a kiedy zahaczył spojrzeniem Grima, iskierka w jego oczach stała się przeraźliwie jasna. – Nikt nie wie, dokąd może nas zaprowadzić taki taniec nad przepaścią, prawda? Thoron był doskonały we wszystkim, co robił, a jednak musiał upaść. Niewiele brakowało, a pociągnąłby za sobą wszystko. Dzisiaj każdy już o tym wie. Ale my, Wieczni, wiedzieliśmy to już dużo wcześniej. Dlatego poczyniliśmy pewne kroki.

– Od kiedy pamiętam, przechowywane przez was księgi zaklęć są w dobrych rękach – powiedział Lyskian. – Podobnie jak marionetki. Lecz masz rację, nie przyszliśmy tutaj z powodu tych ostatnich.

Bibliotekarz uniósł brwi.

– Wybraliście sobie ciemną noc, jak na przywołanie jednego z nich – wymamrotał. – Oni są silniejsi, kiedy nadciąga wiatr ze wschodu,

zawsze tak było, diabli wiedzą, z jakiego powodu. Ale zakładam, że wiesz, panie, co czynisz, a jeśli jednak nie... to cóż ja mogę na to poradzić?

Zaśmiała się znowu i Mia też się bezwiednie uśmiechnęła, widząc, jak bezradnie wzruszył ramionami. Potrafiła sobie wyobrazić Alvinora, który próbuje walnąć Lyskiana jakąś księgą, ale on pewnie nigdy nie posłużył się inną bronią niż słowo.

– Chcemy przywołać Phy – przerwał te rozmyślenia Lyskian i Alvinor od razu spoważniał.

Przewrócił oczami, potem odwrócił się i poszedł przodem przez pomieszczenia ekspozycyjne, które łączyły się ze sobą jak labirynt i sięgały znacznie bardziej w głąb domu, niż można się tego było domyślać, patrząc z zewnątrz.

– Żywo, żywo! – zagrzewał swoich gości. Przy okazji potrącił niechcący drewnianą czarownicę, która nerwowo zaklekotała powiekami. – Najwyraźniej w głowie wam dreszczyk emocji, a więc proszę bardzo. Zbiory związane z Phy są na górze.

W milczeniu szli za nim, mijając kolejne pomieszczenia, Grim ze schowanymi skrzydłami, Remi do tego stopnia przejęty, że co chwila nazbyt gwałtownie dotykał jakiejś lalki, przez co klekotała głośno, a Lyskian tak milczący, że to jego milczenie przyciągało Mię jak wir. Światło lampy naftowej tańczyło na jej skórze, wywołując lekki uśmiech. Jakub nie porzucił swojego uwielbienia dla takiego światła także po powrocie ze Świata Wrózek, i właśnie teraz, kiedy wszędzie naokoło kręciły się demony, z których wiele było gotowych na wszystko, całkiem dobrze się składało, że mieli pod ręką naftową truciznę.

Alvinor poprowadził ich kręconymi schodami na piętro domu. Otworzył się przed nimi wyłożony ciemnymi dywanami korytarz i Mia nie miała już żadnych wątpliwości, że budynek jest w środku o wiele większy, niż wydawał się od zewnątrz. Alvinor zatrzymał się przed drzwiami ze złotymi literami i spojrzał bardzo poważnie na Lyskiana.

– Wiesz, panie, co masz zrobić – powiedział spokojnie. – Wystarczająco często bywałeś w tym domu, a od tamtych czasów niewiele się zmieniło. Jak zawsze, panie, zwracam się z prośbą o pozostawienie Sali Pism, podobnie jak Sali Zakłęb, w takim samym

stanie, w jakim je zastałeś. A poza tym, nie zapominaj: „*Jesteś, mistrzu. Słuchaj, Rozhulałem brać! Warcholą się duchy...*”.

„...*Jak im radę dać?*” – Remi skinął głową z rozplomienionym wzrokiem i dopiero po chwili zorientował się, że to on sam wypowiedział słowa z *Ucznia Czarnoksiężnika* Goethego.

Grim spojrział na kobolda, jakby właśnie dostał od niego linijką po głowie, a Alvinor zaśmiał się.

– No, jak widzę, zebrało się tu tyle wiedzy, że moje upomnienia stają się zbyt skuteczne. W takim razie życzę powodzenia! – rzekł, kłaniając się z lekka, a potem oddalił się.

Lyskian otworzył drzwi i weszli do owalnego pomieszczenia, którego ściany po sam sufit zastawione były księgami. Wszystkie oprawne w czarną skórę, różniły się tylko czerwonymi pieczęciami na grzbietach. Lyskian zdecydowanie ruszył wzdłuż ścian, by na koniec zdjąć z półki konkretną księgę. Pospiesznie przerzucił stronicę i Mia spodziewała się, że lada moment wyjmie ołówek, aby zapisać wskazówki i znaki do zaklinania demona, albo przynajmniej jego niezliczone imiona. Wystarczająco często sama to robiła, kiedy pod opieką Vraterniusa rzucała zaklęcia na co słabsze demony, chociaż bardzo szybko zorientowała się, że alchemia nie jest jej przeznaczeniem. Dokładność, z jaką należy przygotować i przeprowadzić zaklęcie, była po prostu nie dla niej. Mogła być dokładna najwyżej w przypadku swoich rysunków lub obrazów. Lyskian jednak zamknął tylko na moment oczy, a potem odstawił księgę z powrotem na miejsce i przeszedł do Sali Zaklęć.

Grim prychnął gniewnie.

– Przekłęci krwio pijcy – burknął. – Ja bym musiał godzinami siedzieć tutaj i wbijać sobie do głowy formułki, a nasz lodowaty przyjaciel tylko rzuca od niechcienia okiem i z gracją przechodzi do następnych drzwi.

Mia aż się uśmiechnęła.

– Szkoda, że nie miałam takich zdolności, kiedy chodziłam do szkoły. Albo kiedy Theryon odpytywał mnie z zaklęć.

– A ja wtedy, kiedy musiałem recytować Mourierowi paragrafy – wtrącił Grim z ponurym uśmiechem. – No, ale przynajmniej Theryon nie

nosił w czasie zajęć zielonych pluszowych uszu zakładanych na jego własne i nie twierdził, że to ostatni krzyk mody z Italii. Zupełnie jakby jakimkolwiek Gargulcowi w Italii mogło przyjść do głowy, żeby przyklejać sobie do uszu poduszki od kanapy! Też coś!

Remi zachichotał. Ruszyli za Lyskianem do Sali Zaklęć. Uderzyło ich ciężkie, stojące powietrze.

– No, przynajmniej wietrzyć nie będziemy musieli przed wyjściem – mruknął Remi pod nosem i rozejrzał się po wielkim, sześciokątnym pomieszczeniu. Wysklepiony sufit pokryty był warstwą brązowego agatu i wspierał się na dwunastu marmurowych kolumnach. Poza wpuszczonymi w ściany pojemnikami na kolorową kredę oraz pochodniami, które zapłonęły, kiedy tylko Lyskian uniósł dłoń, sala była pusta. Posadzka była wyłożona łupkiem i wypucowana do połysku tak, że Mia na moment wyobraziła sobie Alvinora uwijającego się z mopem i wiadrem, co wywołało na jej wargach uśmiech. Zaraz jednak spoważniała. Zaklinanie demona było niebezpieczne. Nierzadko zdarzało się, że podczas takiej próby alchemik ulegał nawet słabszym demonom, jeśli popełnił błąd albo kiedy udało im się dzięki jakiemuś trikowi zapanować nad nim. A tu nie chodziło o słabego demona. Ogrul Pherylion Phaar był Phy siódmego kręgu, a tym samym należał do najpotężniejszych demonów, zaraz po Khanie i Lhotcie.

Mia w napięciu przyglądała się, jak Lyskian rysuje na posadzce czerwone, niebieskie i czarne kręgi, podążała wzrokiem za splątanymi znakami zaklęć i wsłuchiwała się w mamrotane przez niego słowa, zaklinające każdą linię i każdy krąg, mające trzymać demona w szachu. Grim stał bez ruchu, ze wzrokiem skupionym na formułach zaklęć, niekiedy bez słowa zwracając Lyskianowi uwagę na ewentualne niedokładności. Mia wiedziała, że Grim niezbyt lubił takie wywoływanie demonów z Krainy Umarłych, w ogóle nie za bardzo lubił towarzystwo demonów i aż za dobrze pamiętała ich ostatnie wspólne przeżycie tego rodzaju. Oczyma duszy ujrzała płonącego złotym blaskiem Verusa, jego szyderczy wyraz twarzy, kiedy pojawił się w unieruchamiającym kręgu Vraterniusa – no i ten uśmiech na jego wargach, kiedy na nich patrzył, mając jej krew w dłoni. Gniewnie ściągnęła brwi. Od samego początku wiedział, do czego będzie mu potrzebna ta przysługa.

Lyskian odłożył kredę. Na posadzce widniały teraz trzy kręgi: duży dla demona, mniejszy dla Lyskiana i kolejny, między kolumnami na skraju pomieszczenia, dla Grima, Remiego i Mii. Ledwie wszyscy ustawili się na swoich miejscach, Grim natychmiast zabezpieczył ich osłonę siedmiokrotnym zaklęciem, a potem spojrzał w stronę Lyskiana. Uniósł w górę ramiona. Jego twarz pokrywała zimna maska. Kolory kredy natychmiast zapłonęły, a gdy kręgi narysowane na łupku buchnęły bezgłośnym płomieniem, formułki zaklęć uniosły się w górę i rozżarzyły się czarnym blaskiem. Spomiędzy warg Lyskiana wydobywały się mroczne i obce słowa w Th'yinguelu, Starym Języku demonów, i kiedy wzywał Phy, Mia miała wrażenie, jakby wchodził w noc Braskatonu, jakby czuł we włosach popiół i Wieczny Wicher na twarzy, jakby widział Krainę Umarłych, która po upływie życia otacza każdego demona wiecznym chłodem. Jego głos przeszedł w mroczny zaśpiew, a słowa dobiegały teraz ze wszystkich stron równocześnie. Szepty wydobywały się z cieni, wychodziły spomiędzy kolumn, prześlizgiwały się po posadzce, by wreszcie stać się głośne i zamienić się w wicher, który przemknął po sali. Szarpał ich włosy i płaszcz Grima, a Remi musiał się trzymać ramienia Mii, żeby nie dać się porwać. Ona jednak cały czas wpatrywała się w Lyskiana, który stał nieruchomo, podczas gdy jego ubranie furkotało na wietrze, i mrocznym spojrzeniem patrzył na słup dymu, który pojawił się w dużym kręgu.

Z początku był szary i miał niewyraźne zarysy, ale szybko zaczął się zabarwiać coraz ciemniej, aż wreszcie stał się tak czarny, jakby to była wirująca wyrwa w rzeczywistości. A potem, z towarzyszeniem ogłuszającego huku, który rozerwał mrok na strzępy, wyłoniła się z niego postać. Porozrywane strzępy nocy kładły się jak wilgotny papier na jej ramionach, nogach i rękach, tworząc ciało człowieka o zamkniętych oczach. Postać nie poruszała się, podczas gdy cienie odtwarzały zapadniętą pierś, łysą czaszkę i wychudzone kończyny. Wicher osłabł i przez moment Mia zobaczyła ją przed sobą jak w sali Akademii – istotę o zielonej jak u jaszczurki skórze i diabelskich rogach na łysej czaszce. I znów po twarzy i wargach postaci przemknął przebiegły uśmieszek.

– Podaj mi swoje imię! – zażądał Lyskian i Mia poczuła chłód, jaki



jego słowa wysłały do kręgu demona.

Ten jednak trwał nieruchomo. Dopiero gdy Lyskian wyjął z kieszeni diament, ledwie zauważalnie odwrócił głowę. Mia czuła, jak wpatruje się w nią przez zamknięte powieki, a kiedy raptownie je otworzył, jego oczy zapłonęły zielonym Ogniem Klątwy.

– Ogrul Pherylion Phaar, pierwszy syn Achnayona, dziewiąty krąg, Phy – odparł głosem tak głębokim, że jego dudnienie wprawilo ziemię w dygot. Lyskian jednak stał z nieporuszonym wyrazem twarzy, zupełnie jakby nie widział Ognia Klątwy w oczach demona ani nie słyszał w jego głosie krzyków tych, których Ogrul zabił dawno temu.

– Byłeś kiedyś uwięziony w Akademii Cieni – ciągnął. – Czy nie tak?

– Zgadza się – odrzekł Ogrul i uśmiechnął się szerzej. – Byłem tam. Pamiętam zimne mury, płomienie diamentów, tortury zadawane przez Łowców... o, tak... Mój umysł jest czujny, Książę Wampirów, pamięta wszystko... nawet ciebie i twojego Mistrza! To wy na mnie polowaliście, wtedy, w Dolomitach. Udało mi się wam umknąć.

Lyskian zatopił spojrzenie w płomieniach, które powoli zaczęły zabarwiać się na czerwono.

– W końcu cię jednak złapał.

– Bhrogrum Dakaskos! – wykrzyknął Ogrul i postąpił krok do przodu, ale ogień wewnętrznego kręgu zmusił go do cofnięcia się. Gniewnie wpatrywał się w Lyskiana. – Oddał mnie w niewolę Łowców, on, ten przekłety, wiecznie podstępny, absolutny... Ale odpłaciłem mu za wszystko!

Żar jego śmiechu przejechał po policzku Mii niby ostrze noża i nagle pojawił się przed nią obraz – obraz wampira. Leżał nieruchomo na ziemi w lesie, jego skóra była przezroczysta jak szkło, a długie, jasne włosy powiewały na wietrze. Był martwy, co do tego nie było wątpliwości, a w jego rysach kryło się coś niezwyčajnego, coś, co Mia rzadko kiedy widziała na obliczu tak starego wampira. Coś jakby... ufność.

Mina Lyskiana była nieprzenikniona, lecz cienie w jego oczach pały czarnym ogniem. Obracał diament w dłoni, Ogrul jednak nie zwracał na to uwagi. Szyderczo uniósł głowę i skinął nią lekko.

– Taaa – powiedział przeciągle. – Już wtedy miałeś to spojrzenie, którego nadal nie potrafisz ukryć, nieważne, pod iloma maskami ukryłbyś twarz. To było wielkie dziedzictwo, które zostawił ci Dakaskos, prawda? Czy naprawdę umiałeś mu sprostać? – Zaśmiał się złośliwie. – Nie musisz odpowiadać, sam widzę. Zadajesz się z ludźmi, Wielki Książę. Gdyby Mistrz o tym wiedział, wyśmiałby twoją słabość. Na szczęście uwolniłem nas od jego osoby!

Lyskian poderwał diament w górę z taką szybkością, że Mia nawet nie zauważyła tego ruchu.

– Zamilcz! – syknął przez zęby i dosięgnął demona żarzącym się promieniem. Ogrul wydał okrzyk bólu, na jego czole zamigotał płomień. – Podaj nam drogę do Akademii Cieni!

Ogrul ciężko dysząc, padł na kolana. Z jego ust wydobywały się niezrozumiałe słowa, przez chwilę Mii zdawało się, że spełni żądanie Lyskiana. Zaraz jednak podniósł głowę. Z ust ciekła mu żrąca ślina, wypalając posadzkę, na której klęczał.

– Nazywasz siebie Istotą Nocy – powiedział dudniącym głosem i uśmiechnął się chytrze. – A tak naprawdę nawet nie wiesz, co to prawdziwa ciemność! Stawię ci opór! Nikt mnie już więcej nie zmusi do służenia krwio pijcy!

W oczach Lyskiana zapłonął gniew.

– N'achamiel – powiedział szeptem i chociaż Mia go nie zrozumiała, po minie Ogrula mogła poznać, że było to coś w najwyższym stopniu obraźliwego. – Orr'krunntar Vis'ar Balvason!

Mówiąc to, Lyskian wyrzucił przed siebie lewą pięść. Z jego dłoni wystrzeliła czerwona błyskawica i poderwała Ogrula na nogi. Demon zaczął się miotać, płomień w jego oczach przygasł, stając się rozżarzonymi na zielono węgielkami, a z jego ust wydobyły się jęki bólu, jakby ktoś rozrywał go na strzępy. Mia odwróciła się – nie znosiła patrzeć na tortury. Rozdygotany Remi zasłaniał oczy dłonią, ostrożnie popatrując przez palce, podczas gdy Grim stał wyprostowany ze wzrokiem skupionym na Lyskianie. Mia czuła chłód bijący od wampira i kiedy na niego spojrzała, aż wstrzymała oddech, tak obcy jej się nagle wydał. Jego skóra była biała jak marmur, oczy tak czarne, jakby chciały wchłonąć wszelkie światło, a twarz pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

Nie było na niej ani gniewu, ani triumfu, ani tęsknoty. Nieraz zdarzało jej się zajrzeć za ten pozór człowieczeństwa, który przez setki lat swego istnienia Lyskian doprowadził do doskonałości, i za każdym razem ogarniało ją przerażenie – przerażenie tym, co musiało oznaczać bycie wampirem. Także teraz, kiedy na niego patrzyła, przez głowę przebiegła jej ta sama myśl: jakie to szaleństwo, że taka istota potrafi się skryć za ludzką powierzchownością, ktoś przepełniony takim okrucieństwem, taką żądzą... i takim pięknem.

Lyskian opuścił rękę i Ogrul z przejmującym stęknieniem wylądował na posadzce, lecz błyskawica wciąż trzymała go w swej mocy, odzierając ciało z cieni, które zwisały teraz jak strzępy skóry. Demon uniósł dłoń. Mia myślała, że chce coś chwycić, ale potem zobaczyła, że wskazuje nią Lyskiana i... uśmiecha się.

– Masz... – dyszał, drugą ręką w niekontrolowany sposób uderzając się w pierś – ...masz w sobie moc mojego ludu... czuję to... uzyskałeś ją bardzo dawno temu... a u jej podstawy... leży ból!

Grim postąpił do przodu. Mia dostrzegła wyraz napięcia, jaki przemknął po twarzy Lyskiana... oraz iskrę, która wystrzeliła z palca demona i pomknęła w jego stronę po błyskawicy. Z sykiem uderzyła go w pięść, Lyskian wzdrygnął się i w tym samym momencie w pomieszczeniu ukazał się obraz – ruiny zamczyska. Zaraz potem znikł, lecz Ogrul wymamrotał jakieś mroczne słowa, z jego palca wytrysnęły kolejne iskry, pomknęły w stronę Lyskiana i dosięgnęły go, zanim zdążył wzmocnić czar ochronny. Tym razem w pomieszczeniu rozległ się trzask jak uderzenie bicia, zarysy sali zniknęły i Mia zobaczyła, że stoi naprzeciwko dziewczynki o ciemnych, spadających w lokach włosach i brązowych oczach. Dziewczynka siedziała na pniu drzewa w lesie i uśmiechała się. W koronach drzew słychać było poszum wiatru, a kiedy Mia spojrzała na nią, od razu wiedziała, że tamta lubi morze i zapach świeżo upieczonego chleba, że płakała za swoją siostrą, która zmarła razem z matką przy porodzie, i zrozumiała, że była przyjaciółką. Nie jej przyjaciółką, tylko... Lyskiana w dawno minionym czasie.

Obraz rozpadł się. Lyskian nie cofnął się, ale kosmyk włosów opadł mu na czoło. Z niewiadomego powodu widok ten wstrząsnął Mią do głębi. Nigdy wcześniej nie widziała u Lyskiana najmniejszych nawet

oznak, że jest u kresu sił, nigdy nie widziała, żeby utracił nad sobą kontrolę.

Grim podszedł do samego skraju ich strefy ochronnej. *Lyskianie, wyszeptał w myślach. Jego magia jest jak trucizna! Musisz się przed nią osłonić!*

Rozbłysnął nowy obraz i Mia poczuła, że zbliża się do okna, frunie lub biegnie, niesłychanie wręcz szybko. Po chwili zaglądała już do pokoju i widziała leżącą dziewczynkę, śmiertelnie chorą i bladą, która powoli zwróciła wzrok ku oknu i spojrzała na nią...

Czyjś krzyk poszarpał obraz. Mia nie wiedziała, czy to Lyskian wydał ten dźwięk, ale w tym momencie zobaczyła, że posłał kryształową falę ognia z diamentu w stronę Ogrula. Rozerwała ona na strzępy wszystkie iskry, jakie Ogrul wysłał poprzez błyskawicę, lecz kiedy ogień całkowicie zerwał mu cień z twarzy, demon wyprostował się. I wtedy Mia usłyszała w myślach grzmiący głos Grima.

*Przerwij to, zawołał do Lyskiana. Do diabła, musisz koniecznie...*

Było już za późno. Ogrul odchylił głowę do tyłu, spojrzenie Lyskiana rozbłysło, lecz zanim Mia pojęła, co to oznacza, demon rozpostarł ramiona i wybuchnął śmiechem.

– Czuję popiół! – wykrzyknął, a jego głos wprowadził wszystko w takie drżenie, że posypały się kawałki kolumn. – Czuję wiatr i miękkie włosy! A teraz krew... i gniew... i... łzy!

Pomieszczenie zapadło się w siebie i Mia ponownie znalazła się w ruinach zamczyska. Wokół niej wznosiły się spalone mury, drobiny popiołu unosiły się w powietrzu. W odległości zaledwie paru kroków siedział Lyskian, jego włosy rozwiewał wiatr. W ramionach trzymał tamtą dziewczynkę. Nie żyła. Mia cofnęła się przerażona, obraz rozpadł się, lecz wcześniej zdążyła jeszcze zajrzeć w oczy Lyskiana i wiedziała, że jeszcze nigdy go takim nie widziała, był tak zrozpaczony i smutny, tak... ludzki. W oczach miał łzy.

I znowu zaszła zmiana w jej postrzeganiu. Była w Sali Zaklęć. Wciąż widziała przestrach na twarzy Lyskiana, ale zanim jeszcze świadomość nakazała Mii zerwać się i krzyknąć, Ogrul opuścił ramiona. Czar wysłany przez Lyskiana natychmiast zapłonął ogniem, nabrał jaskrawego pomarańczowego blasku i w postaci jaskrawego płomienia

wystrzelił z powrotem w jego stronę. Z hukiem zagłębił się w jego ciało i wyrzucił go z kręgu zaklęcia. W tym samym momencie Ogrul przeskoczył przez płomienie.

– Głupcy! – wrzasnął, błyskawicznym ciosem pięści zwalając dwie kolumny. – Zwykli z was głupcy, nędzni, nic nieznaczący...

Grim rozpostarł skrzydła i potężnym ciosem trafił Ogrula w kark, lecz demon odwinął się i wpił szponami w ciało Gargulca. Mia wzdrygnęła się, słysząc krzyk bólu. Zobaczyła Ogień Klątwy strzelający z oczu Ogrula i otaczający Grima, i właśnie chciała rzucić na demona zaklęcie lodu, kiedy przez hałas przedarł się głos Lyskiana, z szybkością cienia przemykając przez jej myśli. Grim wyrzucił w górę pięść. Lyskian leżał wprawdzie na posadzce, zdołał jednak rzucić w stronę Grima jeden z płomienistych znaków, które unosiły się w powietrzu. Grim złapał go błyskawicznym ruchem i uderzył nim Ogrula w skroń z taką siłą, że demon z hukiem poleciał na jedną z kolumn. Płomienie na skórze Grima zgasły i zanim Ogrul pozbiierał się z ziemi, Grim chwycił płonące linie kręgów i cisnął mu je w pierś. Demon wydał przenikający do szpiku kości wrzask, lecz znak już zapłonął w dłoni Grima, wszystkie płomieniste symbole pomknęły w stronę Ogrula i zatopiły się w jego ciele.

– Mów! – zażądał Grim i zanim demon zdążył cokolwiek zrobić, przycisnął mu do czoła diament i powtórzył tak głośno, że aż zadrżały kolumny: – Mów, ty kreaturo z cieni, jeśli nie chcesz, żebym stracił nad sobą panowanie!

Ogrul coś wymamrotał, a wtedy Grim wyjął z kieszeni drugi diament i zamknął demona w kryształowym więzieniu. Wicher wokół nich natychmiast ucichł. W powietrzu unosiły się drobiny popiołu i kamiennego pyłu. Remi kichnął kilka razy, a Mia zerwała się na nogi i podbiegła do Lyskiana.

Jego rana była głęboka. Miał zamknięte oczy. Grim bez słowa przyklęknął przy nim i posłał do jego ciała zaklęcie leczące, potem zajął się odstawianiem demona z powrotem do Braskatonu. Mia delikatnie ujęła dłoń Lyskiana. Była lodowato zimna i ciężka jak kamień, ale rana na jego piersi zdążyła się już zasklepić. Właśnie chciała się uśmiechnąć na myśl, jakimi to czarodziejskimi mocami dysponują wampiry i że

potrafią sprostać nawet ranom takim jak ta, kiedy... Lyskian spojrzał na nią. Ścisnął jej dłoń, ledwie zauważalnie, ale tak, jak zrobiłby to ktoś śmiertelnie chory, mający nadzieję na ratunek.

Jego oczy wciąż jeszcze miały w sobie tę głęboką czerń, ale Mia dostrzegła w nich coś jeszcze – szept wiatru na polach krwistoczerwonych maków. Nie miała pojęcia, co oznacza ten obraz, ale czuła, że jest to coś, co kryje się głęboko pod maską Lyskiana – za welonem, który teraz wraz z lekkim uśmiechem powrócił na rysy jego twarzy, zakrywając wszelką tajemnicę.

## Rozdział 17



Cmentarz w Olszanach pogrążony był w zaczarowanej ciszy. Oprócz pełnego grozy wycia wiatru wiejącego nad grobami, Grim słyszał tylko swoje własne kroki na krętej ścieżce, zamarzający w mroźnym powietrzu oddech Mii, i nerwowe pociąganie nosem Remiego, kiedy na jakiś nagrobek z szelestem opadał liść, budząc w nim śmiertelne przerażenie. Lyskian jak zwykle poruszał się bezgłośnie. Wyleczył się z ran szybciej, niż kobold zaczyna się trząść na widok jakiegoś potwora, a to już naprawdę coś znaczy. Przenocowali w Islis, w gospodzie o zbyt małych łózkach, prowadzonej przez gospodynię, żeńskiego Gargulca, która puściła ich do pokoi dopiero po dwóch bitych godzinach wypytywania o wszystko. Ale i tak wypoczynek dobrze wszystkim zrobił, mimo że Lyskian, jak należało się tego spodziewać, ani na chwilę nie zmrużył oka. Zamiast tego pojawił się wraz z ustąpieniem nocy i nawet nie próbował zakrywać różowego odcienia skóry, a Grim tylko westchnął i nie próbował się domyślać, z jakich to źródeł krwi skorzystał wampir, skoro wszyscy ludzie zniknęli.

Od dłuższej chwili szli przez cmentarz, chociaż Grim nadal nie miał pojęcia, jaki związek miały słowa Ogrula z tym miejscem.

*Wlekli mnie przez piwnice o ścianach jak z czarnego mięsa, zdążył wydyszeć demon, zanim Grim odesłał go do Braskatonu. Tkwiły w nich kości, pamiętam dokładnie krzyki przeklętych, pogrzebanych żywcem w ziemi i odór skrzepłej krwi. Nic więcej nie wiem!*

Grim przesunął dłonią po oczach. Nawet on sam zaczął powoli tracić orientację – dobrze, że Lyskian wyznaje się w tym miejscu. Kiedy Grim powtórzył mu ostatnie słowa demona, jego twarz skamieniała, potem kiwnął głową na znak, że wie o co chodzi, i na swój, doprowadzający wszystkich do szału sposób, zatopił się w milczeniu, co

robił zawsze, kiedy mu się wydawało, że wie więcej od pozostałych. A czy kiedykolwiek było inaczej, pomyślał Grim z mrocznym uśmiechem. W każdym razie Lyskian rzeczywiście wyglądał na takiego, który wie, czego szuka. Pewnym krokiem szedł przodem, co chwila zatrzymywał się przy jakichś grobach i kryptach, z porażającą regularnością kręcąc przecząco głową. Grima strasznie wkurzało, że musi podążać za wampirem jak szczeniak za swoją mamą, ale nie było co udawać – to Lyskian dysponuje lepszymi umiejętnościami pozwalającymi rozszyfrować wskazówkę otrzymaną od Ogrula, i to nie tylko ze względu na historię swego ludu. Lyskian miał głęboką wiedzę o tym mieście, ponieważ długo mieszkał w Pradze, kiedy był jeszcze uczniem wielkiego Bhrogruma Dakaskosa, a potem, długi czas po jego śmierci, raz jeszcze tu przybył, być może po to, by przewędrować jego ścieżkami, po śladach, których nikt inny nie mógł już wypełnić, nawet on, Książę Wampirów. Grim znał Bhrogruma Dakaskosa wyłącznie z opowieści i nielicznych rozmów z Lyskianem, ale był to bohater znany daleko poza granicami świata wampirów jako wojownik i prastary wampir. To on wprowadził Lyskiana w arkana wiedzy, wtedy, gdy był on jeszcze niemalże człowiekiem. Grim niewiele wiedział o przeszłości Lyskiana, znał go jednak wystarczająco długo, by orientować się, że w jego spojrzeniu rzadko kiedy gościły smutek czy ból. Kiedy jednak rozmowa schodziła na jego dawnego mentora, w jego oczach zawsze dostrzegał i jedno, i drugie, i długo nie mógł o tym zapomnieć. Bhrogrum Dakaskos był dla Lyskiana powiernikiem i nauczycielem, może nawet przyjacielem – rzadkość w świecie wampirów. W pierwszych latach życia Lyskiana jako wampira był dla niego oparciem i starał się prowadzić swojego ucznia wąską ścieżką między światłem i ciemnością – rzecz, która w przypadku niemal żadnego wampira nie kończyła się sukcesem. Grim przyglądał się, jak Lyskian bezgłośnie i bez cienia zdenerwowania kroczy przez noc. Rzadko kiedy bywał świadkiem wewnętrznej walki, jaką ze sobą toczył, lecz tych kilka razy wystarczyło, by jedno stało się dla Grima całkowicie jasne: nawet jeśli on sam znał ciemność, nawet jeśli kochał cień i ląkał światła, to jednak zawsze będzie jak bezradne dziecko w obliczu otchłani ziejącej w nieśmiertelnej piersi wampira i zawsze będzie czuł dreszcze w obliczu jej grozy.



Lyskian niejednokrotnie stawał na skraju ciemności, czasem udawał się w sam jej środek i przelatywał przez nią, jakby miał skrzydła. Grim jednak wiedział, że pewnego razu Lyskian spadł, jakkolwiek nigdy nie dowiedział się niczego konkretnego. Czuł to, kiedy czasem patrzyli na siebie i jego przyjaciel na krótką chwilę zrzucił maskę z twarzy. Wtedy Grim nie miał najmniejszych wątpliwości, że Lyskian wciąż jeszcze balansuje chwiejnie na tej linii, którą rozpiął dla niego Bhrogrum Dakaskos, i że to właśnie ta chwiejność zaszczepia w jego spojrzeniu wstyd, smutek i nieśmiertelny ból. Grim dotknął swojej piersi. Głęboko w środku czuł zimny żar. Lyskian nie był jedynym, który musi walczyć o utrzymanie równowagi – co do tego nie było wątpliwości.

Spodziewał się, że pieczenie w piersi przyspieszy przepływ krwi w jego żyłach, lecz ponurość otoczenia najwyraźniej wywarła łagodzący wpływ na jego samopoczucie. Patrzył na wyblakłe posągi na grobach, na dziecięce postacie ze świeżymi czerwonymi kwiatkami w koszykach, Gargulce w cieniuteńkich jak mgiełka szatach, które skłaniały przed nim głowy, trzymając w dłoniach więdnące róże, by każdego ranka o świcie odrodzić się na nowo. W milczeniu odpowiedział na uśmiech anioła w antycznej tunice, który otoczony nimbem spokoju siedział na jednym z grobów, pisząc w kamieniu słowo. I kiedy Grim rzucił na nie okiem, przed oczami stanęła mu twarz jego dawnej mentorki Moiry. Anioł był do niej podobny i Grim uniósł dłoń do piersi, jak często robił w minionych tygodniach na cmentarzach Paryża, które kiedyś były jej światem. Czy przeczuwała, że pieczenie w piersi, które, jak sądził, udało mu się zdusić, przez tyle lat po jego ucieczce z Italii nie będzie mu dawało spokoju, towarzysząc mu każdej nocy? Czy wiedząc to, patrzyłaby na niego z uśmiechem? Przez moment usłyszał w myślach jej głos, ostatnie słowa, jakie do niego powiedziała, i czuł teraz ich delikatne tchnienie: *Musisz zachować w sobie tę tęsknotę. To ona utrzymuje nas przy życiu.* Grim skinął powoli głową i ciepłe uczucie wypełniło mu pierś, kiedy powtórzył w myślach słowo pisane przez anioła na nagrobku. *Nieśmiertelność.* Taka właśnie była Moira.

Wciągnął do płuc zimne cmentarne powietrze. Miejsce to, które urodą spokojnie mogło konkurować z cmentarzami Paryża, spowijała atmosfera głębokiej melancholii i romantyzmu. Zapach zbutwienia,

rozkładu i śmierci wywołał uśmiech na twarzy Grima. Nikt się ich tutaj nie próbował pozbyć, nikt nie urządzał niczego na nowo, by nadać cmentarzowi blask. Śmierć nie była tutaj czymś, czego należało się wstydić, czymś, co wymagało upiększania. Po prostu była i przenikała wszystko – zardzewiałą latarnię o pękniętym szkle, za którą ktoś postawił plastikowy pojemnik, popękane groby, które wyglądały tak, jakby dopiero co wyczołgał się z nich niezdamny wampir, płyty z omszałymi uchwyty, jakby czekające na kogoś, kto odchyli je niby wieka skrzyń pełnych skarbów, a nawet anioły siedzące na mrocznych nagrobkach i mające nad głowami na wpół potrzaskane daszki. Śmierć wychodziła z grobów, ale była też w każdym pojedynczym liściu spadającym ze starych drzew, w każdym zardzewiałym pręcie ogrodzenia i każdej spróchniałej ławce. I właśnie ta przeniknięta ciszą oczywistość jej obecności tworzyła w tym miejscu czarowny nastrój, który sprawiał, że oddech Grima się uspokajał. Bluszcz płożył się na grobach bajkową gęstwiną i nawet Grim nie byłby w stanie stwierdzić z całą pewnością, czy ukryte pod nim posągi nie mają w sobie życia, i przyłapywał się na chęci zanurzenia się w cieniu drzew i zbadania ich tajemnic, rozwikłania zagadki, co tak naprawdę kryje się pod bluszczem albo w głębokich ciemnościach otulających groby.

Również Mia wyglądała na zafascynowaną mroczną poezją tego cmentarza. Niemal nabożnie spoglądała na postacie aniołów, których szaty pokrywał zielony mech, zupełnie jakby długo leżały na morskim dnie, a Remi co chwila podlatywał do na wpół otwartych drzwi rodzinnych grobowców, jakby się spodziewał, że przekroczywszy je, wyjdzie w Czarnym Lesie. Grim właśnie zamierzał go zapytać, co też powie Rozalia, dowiedziawszy się, że szukał jej na cmentarzu, kiedy przywołał ich do siebie Lyskian.

Stał przed na wpół zrujnowaną kryptą z czarnego marmuru, który jednak z biegiem czasu został nadgryziony przez wichry i deszcze. Także tutaj po ścianach piał się bluszcz, a z kopuły zostały już tylko metalowe zbrojenia. Lyskian bez słowa usunął ręką pajęczyny i odsłonił wykuty w kamieniu herb, mający pośrodku sowę wpatrującą się w nich pozarastanymi mchem oczami.

– Ogrul mówił o przesiąkniętej krwią piwnicy – powiedział. – W

dawno minionych czasach było ich mnóstwo. Służyły mojemu ludowi jako miejsce schronienia, osłona przed wszystkim, co nas prześladowało. Z czasem przekształciły się w pomieszczenia do odprawiania rytuałów, w kazamaty i miejsca Czarnej Magii. W wielu takich piwnicach grzebano żywcem inne istoty, czasem po to, by naładować dane miejsce magią, czasem ze zwykłego okrucieństwa. Również użycie kości do celów dekoracyjnych nie było niczym wyjątkowym. Jednak ściany, które opisał Ogrul, istnieją jedynie w niewielu. Ściany z mięsa... Pochodziło ono od ludzi, na których swego czasu polowali Pierwsi z mojego ludu. Te piwnice dawno już popadły w zapomnienie, dopiero z czasem niektóre z wampirów odkryły je, uznając za doskonałe miejsca na krwawe orgie. Lecz tutaj, w Pradze, popełniły błąd, bo pozostawiły ślady. Dlatego Thoronowi udało się je dawno temu wyniszczyć. Czarna Piwnica istnieje jednak nadal. Wiem, że powinna znajdować się pod tą kryptą, słyszałem też plotki o rejonach tego miasta, do których można podobno dostać się przez jej korytarze, rejonach, w których od długiego czasu nie stanęła noga żadnego wampira.

Lyskian odsunął płytę zakrywającą wejście do krypty. Pajęczyny rozerwały się z szelestem. Weszli do niewielkiego pomieszczenia o posadzce pokrytej śmieciami, liśćmi i potłuczonym szkłem. Kiedyś naprzeciwko wejścia przypuszczalnie stał ołtarz, który jednak dawno temu rozpadł się ze starości, grzebiąc relikwie i pamiątki. Dwa malutkie okienka zasłaniały gęste pajęczyny, a w jednym z rogów, na wpół ukryty w cieniu, stał posąg, który wydał się Grimowi znajomy. Szybko postąpił do przodu i odsunął pędy bluszczu, które znalazły sobie drogę do środka przez dach.

– No proszę, proszę – wymamrotał. Mimo wyraźnych oznak zwietrzenia posąg wykazywał diabelskie podobieństwo do postaci, którą widzieli w wizji Akademii Cieni.

– Jeśli to nie jest znak... – stwierdził Remi i podfrunął do samej twarzy posągu. Bijąca od niego poświata rozjaśniła ciemność panującą pod kapturem postaci i ukazała szczupłą, nadgryzioną zębem czasu twarz. Jednego oka brakowało całkowicie, drugie było tak zwietrzałe, że przypominało wrzód.

– Thoron i jego siepacze z pewnością zamknęli piwnicę –

stwierdził Lyskian. – Najwyraźniej jednak Rhak' Hontayowie z powrotem ożywili jej magię.

Grim skinął ponuro głową.

– Zdobyli dostęp do tego, co leży pod naszymi stopami. Pytanie tylko, w jaki sposób my się tam dostaniemy. Jak się domyślam, zrobienie dziury w posadzce na niewiele się przyda.

– No, chyba, że chcesz zostać pożarty przez klątwy Czarnej Piwnicy – odparł Lyskian obojętnym tonem. – W innym razie mądrzej będzie poszukać wejścia.

– Ścieżka Zielonej Pięści podkreśla, że należy bardzo uważnie patrzeć – stwierdził Remi i w skupieniu zaczął się przyglądać posągowi. – Przypuszczalnie wystarczy odnaleźć właściwą dźwignię, która otworzy tajne wejście, przez które...

Grim przewrócił oczami.

– Ta ścieżka elfów bezustannie zaskakuje mnie swoją mądrością. Czemu nie spróbujesz powiedzieć „abrakadabra” albo „hokus-pokus”?

Remi rzucił mu gniewne spojrzenie.

– To zdumiewające, jak mało taki Cienioskrzydły jak ty wyznaje się na magii! – powiedział, a potem ze skupioną miną detektywa zaczął oblatywać pomieszczenie tuż nad ziemią.

Grim nie zwracał już na niego uwagi. Miał ważniejsze rzeczy do zrobienia niż zajmowanie się wynikającą ze stanu zakochania drażliwością jakiegoś kobolda. *K'ayrhon arrs Thumon*, głosił napis na cokole. *Stajesz się tym, na co polujesz*. Grim w zamyśleniu starł dłonią brud z kamienia i przyglądał się splątanym literom widocznym poniżej tego hasła.

– „Lhor'na Proroas” – przeczytała szeptem Mia. – Tańcowi ciemności.

Grim przypomniał sobie Rhak' Hontaya na linie, jego walkę ze smokiem i iskry widoczne w oczach Łowcy w samym środku wichru. Unosząc pięść, powtórzył hasło widniejące na cokole i wysłał do swoich palców zaklęcie dotyku, które na moment otoczyło posąg migotliwym blaskiem. Poczul chłód kamienia, gorycz formułki zaklęcia na wargach... i nic poza tym. Jego zaklęcie zgasło, a nad posągiem uniósł się tylko lekki dymek.

– Chyba nie o to chodziło – stwierdził Remi, podlatując z niemal idealnie okrągłym, białym kamykiem, który znalazł w jakimś ciemnym kącie krypty. Zanim Grim zdążył wyrzucić go razem z tym znaleziskiem przez jedno z zasnutych pajęczynami okienek, kobold pomknął w stronę twarzy posągu. W pierwszej chwili zachwiał się pod ciężarem kamyka, ale potem uniósł go i wcisnął w pusty oczodół. Przez chwilę panowała śmiertelna cisza, a potem powietrze przeszył dźwięk, wibrujący i wysoki jak brzęczenie uwięzionej osy. Zaraz potem kamyk rozżarzył się na biało, a jego pęknięcia wypełniły się światłem. Remi rzucił Grimowi ironiczne spojrzenie.

– I ślepej kurze... – zaczął Grim, a kobold aż klasnął w dłonie i zaśmiał się.

– Wiesz dobrze, jak uwielbiam ludzkie powiedzonka! – wykrzyknął. – Kto by pomyślał, że kiedykolwiek cię tym zarażę!

Cichy syk sprawił, że obaj się wzdrygnęli. Posąg był już w całości przeniknięty światłem, tylko w jego piersi pojawiło się migocące czerwono pęknięcie. Delikatne błyskawice strzelały w otaczającą posąg poświatę i natychmiast gasły. Mia ostrożnie przesunęła dłoń nad pęknięciem, nie dotykając go.

– Ten portal jest chroniony zaklęciem – stwierdziła. – Żeby go otworzyć, trzeba znaleźć pasujący klucz.

W skupieniu wymamrotała formułkę zaklęcia i zafascynowany Grim patrzył, jak na jej palcach pojawiły się lodowe kryształki i z cichym trzeszczeniem wypełniały pęknięcie. Błyskawice zabarwiły się na niebiesko i na krawędziach zamieniały się w ciemny żar. Wpływały w białe światło, podczas gdy Mia nadal cicho wypowiadała jakieś słowa. Grim niejednokrotnie przyglądał się, jak otwierała najróżniejsze zamki, i dobrze znał to ciche oddanie, jakie przy tej okazji malowało się na jej twarzy. *Otwierałaś zamki, odkąd skończyłaś pięć lat, bo nie chcesz zaakceptować granic i barier, które wyznaczają ci inni.* Tak powiedział do niej kiedyś Jakub, wspominając to, Grim aż się uśmiechnął. Z nim w każdym razie jej się udało.

– A niech to! – Mia zmarszczyła brwi, kiedy jej magia rozpadła się i błękitny blask powrócił do dłoni. Z westchnieniem zwróciła się do pozostałych. – To bardzo skomplikowany mechanizm. Przy każdym

odgałęzieniu muszę wypowiedzieć właściwą formułkę, bo inaczej wszystko, co udało mi się wcześniej, przepada.

Grim odgarnął jej włosy z czoła.

– Przypomnij sobie, co powiedział o tobie Jakub... i twój ojciec – rzekł. – Jeśli ktokolwiek może otworzyć ten zamek, to tylko ty.

Mia odwzajemniła jego uśmiech i wzięła się ponownie do dzieła. I znów lodowa magia rozprzestrzeniła się nad pęknięciem, błękitne światło zamigotało na ich twarzach... i nagle Remi aż skulił się cały w sobie – gdzieś na zewnątrz, przed kryptą, rozległo się głośne trzaśnięcie. Mia nie odwróciła się od posągu, ale jej magia zaczęła niebezpiecznie migotać.

– Bez obawy – szepnął Grim, wymieniając spojrzenia z Lyskianem. – Pójdę sprawdzić, jaka to wiewiórka ośmiela się akurat teraz ciskać orzechami.

Remi zawahał się. Grim widział w jego oczach walkę między strachem a ciekawością, i uśmiechnął się lekko, kiedy zwyciężyło to, co zwykle. Remi pospiesznie podfrunął mu na ramię. Grim wychodził już z krypty. Na zewnątrz panowała cisza, lecz atłasowy, zamyślony spokój, który jeszcze nie tak dawno unosił się nad grobami, już zniknął. W powietrzu czuło się napięcie i kiedy Grim wszedł między stojące w pobliżu drzewa i stopił się z ich cieniem, odniósł wrażenie, jakby wszedł za kotarę, na drugą stronę nocy. Bezgłośnie prześlizgiwał się przez ciemności i wszystkimi zmysłami poszukiwał źródła tamtego nagłego dźwięku. Remi, jak tylko mógł, zmniejszył swoje świecenie i był teraz nie do odróżnienia od zwykłego robaczka świętojańskiego. Grim słyszał szelest liści, drapanie malutkich pazurków nielicznych stworzeń o gałęzie, a nawet ocieranie się szcurzych ogonów o groby. I nagle zatrzymał się, bardzo blisko usłyszał jakieś szuranie. Błyskawicznym ruchem złapał Remiego i zakrył mu usta, tłumiąc jego krzyk. Kobold z przejęciem wskazał w stronę krypty i dał do zrozumienia, że prędzej odgryzie sobie język, niż wyda jakikolwiek dźwięk. Grim bez słowa puścił go wolno i postąpił w stronę żywopłotu, który wznosił się za kryptą jak ściana. Wysłał do swojej dłoni zaklęcie unieruchamiające, ponieważ spodziewał się obecności hordy podstępnych demonów albo kobolda cienia, który chce im zrobić kawał, albo jakiegoś Nieumarłego,

który znalazł się o złym czasie w złym miejscu. Ale zanim jeszcze złapał jedną z roślin tworzących żywopłot i ku zdumieniu Remiego wyrwał ją z korzeniami, usłyszał głosy. Szybko zrobił z żywopłotem to, co zamierzał... i wtedy spojrzął w przerażone twarze trojga ludzi.

Zapłakanymi oczami wpatrywała się w niego kobieta około czterdziestki ubrana w szykowny kostium, który – gdyby nie rozbryzgi krwi na bluzce i plamy z błota na spódnicy – doskonale pasowałby do każdego banku. Grim gotów był się założyć, że w normalnych warunkach byłaby w stanie wkręcić dowolnemu drobnemu ciułaczowi cały europejski dług, ale w tym momencie, kiedy blada jak kreda, z rozmazanym makijażem i rozczochranymi włosami siedziała na jednym z grobów ze wzrokiem utkwionym w uskrzydłonego potwora, nie mogło być o tym mowy. Także siedzący obok niej chłopak, mający może ze czternaście lat, w niklowanych okularach i z rudymi włosami, które jak miedziane druty sterczały mu na wszystkie strony, z pewnością miał lepsze dni. Dolna warga mu drżała, jakby za moment miał wybuchnąć płaczem. Młody mężczyzna widoczny obok niego jako jedyny nie stracił panowania nad sobą. Jego ostrzyżone na jeża czarne włosy stanowiły osobliwy kontrast do jasnoszarych oczu, w których było coś, co aż kazało Grimowi unieść brwi. Czyżby to był uśmiech?

– Och, błagam! – wybuchnęła krzykiem kobieta i złapała Grima brudnymi rękami za poję płaszcza. – My nic nikomu nie zrobiliśmy, błagam, zostaw nas w spokoju! Nie chcemy umierać!

Mówiła jeszcze więcej, ale słowa utonęły w gwałtownym szlochu. Grim wymienił spojrzenia z Remim, który nie posiadając się ze zdumienia, przesuwając wzrokiem po grupce nieszczęśników i ciężko wzdychał.

– Może niekoniecznie powinniście się w tej sytuacji rozsiadać akurat na czyimś grobie – odparł Grim, dokładając starań, aby jego głos był wystarczająco cichy, by ich dodatkowo nie przestraszyć. Kobieta przestała płakać i gapiała się na niego zaskoczona.

– On mówi! – szepnęła, a rudy chłopaczek przytaknął ruchem głowy, wstrzymując oddech. – Słyszeliście?

Grim aż przewrócił oczami.

– To prawda – odparł z całą powagą. – A do tego jest uczulony na

ospę, głupotę i inne ludzkie choroby. Kim jesteście i czego szukacie w środku nocy na tym opuszczonym cmentarzu?

W tym momencie młody człowiek wybuchnął śmiechem, a był to dziwnie ostry śmiech, bez pełniejszego brzmienia, ale za to w oczach mężczyzny zatańczyły zawadiackie ogniki.

– To jest Radvina Hergetova – powiedział, wskazując na kobietę. – A on nazywa się Edwin Munk. Wszyscy inni ludzie zniknęli, tylko my pozostaliśmy. Od tego czasu miasto trochę się zmieniło i... no cóż, to miejsce wydało nam się najbezpieczniejsze.

Chwiejnie podniósł się z ziemi. Miał na sobie dres, który najwyraźniej był już podarty i brudny, zanim jeszcze jego właściciel wybrał się na wycieczkę na cmentarz. Wyciągnął dłoń w stronę Grima i przedstawił się:

– Jestem Jaro. Wygląda na to, że ty jesteś jednym z tych dobrych.

Grim spojrzał na wyciągniętą w swoją stronę dłoń, potem wbił wzrok w Jaro.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, co to jest dobro, a co zło – odparł ponuro i zwrócił się do pozostałych. – Żadne z was nie ma o tym pojęcia. Czy słusznie przypuszczam, że jeszcze nigdy nie widzieliście takiej istoty jak ja?

Radvina i Edwin z takim zapalem przytaknęli głowami, że Remi aż się rozśmiał. Jaro natomiast przekrzywił lekko głowę i opuścił rękę, nie uszło też uwadze Grima, że isierki w jego spojrzeniu cofnęły się w szarość oczu, a na jego twarzy pojawił się lodowaty cień.

– Zawsze o tym wiedziałem – powiedział Jaro. – Znaczy, że to nie może być wszystko. Tylko nikt nie chciał mi wierzyć.

Grim skinął ledwie zauważalnie głową. Przypuszczalnie Jaro miewał już do czynienia ze zjawiskami spoza tego świata, i to jeszcze przed wydarzeniami ostatnich dni, ale bez wątpienia nigdy nie spotkał kogoś takiego jak Grim.

– A więc... – zaczął Grim, ale w tym momencie usłyszał za sobą kroki. Westchnął, kiedy obok niego pojawiła się Mia, a tuż za nią Lyskian, na którego widok Radvina jeszcze bardziej zbladła.

– Co to miało... – zaczęła Mia, ledwie jednak dostrzegła tamtą tróję, zamilkła. Stała jak skamieniała i patrzyła na każde z nich, jakby



miała wrażenie, że znalazła w jakimś niezrozumiałym śnie.

– To jest Mia – rzucił Remi pospiesznie i podfrunął do Edwina. Chłopiec cofnął się gwałtownie, ale kiedy kobold puścił do niego oko, uśmiechnął się zakłopotany. – Ja jestem Remi, kobold z mchów, to Lyskian, wampir, a to Grim, który jest...

– Wystarczy – powiedział Grim odrobinę za głośno, jego głos odbił się echem od grobowców, a Radvina z przestachem przycisnęła dłonie do ziemi, jakby ta w każdej chwili mogła się pod nią otworzyć.

– Najwyraźniej Jakub miał rację – powiedział Grim, zwracając się do Mii i Lyskiana. – Ta przekłeta mgła pochłonęła zwykłych ludzi, natomiast...

Jaro zmarszczył brwi.

– Co to niby ma znaczyć „zwykłych ludzi”. Co się stało ze światem przez ostatnie dni? Gdzie są wszyscy ludzie i dlaczego tylko my zostaliśmy?

Grim miał mu właśnie niedwuznacznie uzmysłwić, jakie konsekwencje dla takiego żółtodzioba może za sobą pociągnąć przerwanie Cienioskrzydłemu, ale Mia go uprzedziła. Ledwie dostrzegalnym ruchem przesunęła palcem po ustach, by uaktywnić czar, który przełoży jej słowa na język używany przez Jaro. Grim stłumił uśmiech. Doskonale pamiętał jej złorzeczenia z czasów, kiedy uczyła się tego czaru przemiany od Theryona i całymi miesiącami ćwiczyła. A przecież ludzkie języki wcale nie były specjalnie skomplikowane, jak zdążył się przekonać w ciągu swego życia. Przynajmniej nie dla Innostot takich jak on.

– Jesteś Hartydą – powiedziała Mia ledwie słyszalnym głosem. – Wszyscy jesteście. Dawno, dawno temu na ludzi nałożono czar, który ukrył przed nimi Innoświat, czyli świat istniejący w ramach naszego świata, świat pełen magii, w którym istnieją Jednorożce i Gargulce, koboldy i wampiry, i mnóstwo innych istot, znanych nam normalnie tylko z książek. Ludzie utracili ten świat, ale niektórzy wciąż jeszcze potrafią go dostrzec. Ludzie tacy jak my, czyli Widzący Możliwe.

Grim słyszał drzenie w jej głosie, wyczuwał też zastosowany przez nią czar, który przy jej słowach na krótki moment położył się złotym pyłem na twarzach ludzi, a Remiego zmusił do wydania głębokiego

westchnienia.

– My... – zaczął Edwin, ale Jaro bezceremonialnie wpadł mu w słowo.

– Od razu wam powiedziałem – stwierdził niecierpliwie. – Mówiłem wam, że jesteśmy wyjątkowi. – Spojrzał wyczekująco na Grima. – I co teraz?

Grim sapnął.

– Na początek poszukajcie sobie jakiejś suchej kryjówki i czekajcie, aż po was przyjdziemy. To może trochę potrwać, ale kiedy to wszystko się już skończy...

Mia chwyciła Grima za rękę.

– Nie możemy ich tak zostawić – powiedziała z naciskiem i spojrzała w sposób, który uniemożliwiał mu odmowę.

– Ale też w żadnym razie nie możemy ich wziąć ze sobą – odparł. – Nie mamy pojęcia, jakie jeszcze czyhają na nas niebezpieczeństwa, to przecież nie będzie spacer, co do tego nie ma wątpliwości, a poza tym...

– Oni są przecież kompletnie bezbronni – przerwała mu Mia, a zieleń w jej oczach zamieniła się w burzę, której gwałtowności niewiele mógł przeciwstawić. – Jeśli ich tu zostawimy, padną łupem Innostot, które wykorzystają sytuację, żeby złamać zasady. Dobrze o tym wiesz!

Grim bez trudu mógł zbić jej argumenty, ale dostrzegł w jej spojrzeniu coś, co kazało mu się powstrzymać. Znał tę jej tęsknotę, która teraz przebiła się przez burzę szalejącą w jej oczach, wiedział, że zawsze marzyła o tym, by odnaleźć innych, którzy też widzą to, co ona widziała. Odwrócił się jednak zdecydowanie. Nie może podejmować ryzyka sprowadzenia niebezpieczeństwa na całą grupę i na pewno nie będzie narażał życia Mii, żeby...

W tym momencie Lyskian wciągnął powietrze, krótko, ale z tak przeraźliwym sykiem, że myśli Grima w jednej chwili pierzchnęły. Do tej pory wampir stał w milczeniu obok Mii, nieprzeniknionym wzrokiem patrząc na ludzi, teraz jednak odwrócił się i zaczął wietrzyć. W jego postawie widać było napięcie, w mgnieniu oka jego spojrzenie stało się czarne jak smoła, a każda cząstka ciała stała się cząstką ciała drapieżnika, jakim w istocie był. Grim uchwycił jego spojrzenie, lecz

zanim zdążył cokolwiek zrobić, usłyszał odgłos masywnych ciał potężnymi susami przemierzających powietrze... i ujrzał wystrzelający w ich stronę wir płomieni.

W ostatniej chwili odrzucił wir czarem zwierciadła, ale impet uderzenia odbił się od niego boleśnie, tak bardzo silny był to atak. Pospiesznie rozpostarł skrzydła. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Mia, Remi, Edwin i Radvina znikają we wnętrzu krypty – i uniósł się w powietrze. Lyskian skoczył z miejsca, w którym stał, na dach grobowca i okrył go srebrzystym czarem ochronnym. Tylko Jaro stał jak wryty. Grim chciał zawołać, żeby uciekał, ale w tym momencie z ciemności wyłonili się napastnicy.

Na pierwszy rzut oka wyglądali jak sześć ludzkich cieni, ale Grim od razu dostrzegł stonogi, chrząszcze i robaki, które czarno połyskując, roiły się na ich ciałach, i poczuł rozżarzone spojrzenie żółtych jak ropa oczu, jakby chcieli go nim spalić. Były to pozostające na wolności demony, ale w przeciwieństwie do przypadkowej zbieraniny tych poprzednich, którzy napadli ich w lesie, ci byli przygotowani. Wszyscy przyjęli tę samą postać, a kiedy uformowali szyk nad koronami drzew i posłali w stronę krypty chmurę strzał, Grim nie miał już żadnych wątpliwości: każdy z nich pochodził co najmniej z kasty Iphrirów i nie przybyli tutaj, żeby się z nimi drażnić, tylko żeby ich zabić.

Strzały z sykiem pędziły w stronę Grima. Jego prawa pięść rozgorzała oślepiającym ogniem, ciągnął za sobą potężny ogon płomieni, którym spalił pociski, zanim zdążyły bodaj dotknąć krypty. Z hukiem walnął jednego z atakujących pięścią w twarz, a robactwo natychmiast wgryzło się w jego palce. Grim strząsnął je, lecz w tym momencie kolejny demon ruszył w jego stronę, unosząc w górę płomienny miecz, który przy każdym ruchu wydawał przeraźliwe krzyki. Grim cofnął się oszołomiony. Kątem oka zobaczył Lyskiana, który otoczył trzy demony ognistym wirem i cisnął nimi daleko ponad grobami, i prawie nie poczuł ciosu miecza, który trafił go w ramię.

– Przeklęty pomocie piekła! – krzyknął, strzaskał magię broni i pozwolił, by ból smagnał jego ciało. – Czyżbyś nie wiedział, kim jestem?

Z tymi słowami chwycił dłonią miecz. Tylko przez moment światło

demona wrzynało się w jego ciało. W pokrytej robakami twarzy atakującego nie dojrzał ani śladu przerażenia, ale odczuł jego ból, kiedy posłał magię do broni demonia, która spaliła go od środka, że aż powietrze wypełniło się popiołem. Grim otarł twarz. Niech to diabli, ależ te sztuczne ciała demonów są lepkie, co do tego...

Zbyt późno dostrzegł włócznie. Odwrócił się przestraszony. Zdążył jeszcze zauważyć demonia, który wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu... i w następnej chwili usłyszał huk, kiedy z prawej nadleciał magiczny sierp i roztrzaskał włócznie na strzępy. Spojrzał w bok. Jaro o mało się nie przewrócił, ale wciąż jeszcze trzymał dłoń uniesioną w górę, a po jego twarzy przemknął uśmiech dumy.

Gardłowy wrzask demonia wyrwał Grima z odrętwienia. Ich ciała zderzyły się ze sobą, lecz zanim atakujący zdołał wywołać swoją magię, Grim wyrwał mu ją z dłoni i zacisnął wokół szyi. Wściekły poderwał demonia w górę i z całej siły grzmotnął nim o ziemię. Kiedy jednak odwrócił się z powrotem do Jaro, od strony koron drzew nadleciały kolejne Dzieci Gniewu... naliczył dziesięciu, dwudziestu, a nawet więcej osobników.

*Jest ich za dużo!*, krzyknął w myślach do Lyskiana. *Musimy...*

Więcej nie zdążył powiedzieć. Zobaczył jeszcze, jak Jaro staje na drodze demonów, jak podrywa pięść w górę i coś krzyczy, zaraz potem potężna fala uderzeniowa powaliła pierwsze szeregi atakujących. Jaro przeleciał kawał drogi w powietrzu, uderzył o ścianę krypty i stracił przytomność. Grim rzucił się w jego stronę, złapał go za kołnierz i wysłał do jego ciała zaklęcie lodu, żeby odzyskał przytomność.

– Ty głupi Hartydo! – wrzasnął tak głośno, że Jaro tylko gapił się na niego szeroko otwartymi oczami. – Umrzesz, jeśli bez przygotowania będziesz stosował magię! Rozumiesz? Zagrażasz samemu sobie i innym, a do tego...

W tym momencie z krypty buchnęło jaskrawe światło. Grim cofnął się oślepiony, obok niego wylądował Lyskian. Magia gromu z hukiem uderzyła gdzieś za nimi i zanim Jaro zdążył się zorientować, co się dzieje, Grim złapał go za kołnierz i pociągnął za sobą w światłość. Dojrzał tam niewyraźne zarysy Mii i pozostałych, potem jego oczy przywykły do blasku. Posąg zniknął, a na jego miejscu wznosiła się

kolumna migotliwego złota. Mia złapała Edwina za ramię i pchnęła w jej środek. Chłopiec od razu zniknął.

– Szybko! – zawołał Grim i pchnął Jaro w stronę kolumny. – Uciekajcie!

Przez metalowe pręty dawnej kopuły wdarł się do środka demon, lecz zanim dotknął posadzki, Lyskian wysłał ku niemu potrzaskane kawałki szkła, które z sykiem przebiły jego ciało. Zniecierpliwiony Grim pchnął histerycznie wrzeszczącą Radvinę w stronę światła, a potem obejrzał się na Lyskiana. Wampir stał nieruchomo nad powalonym demonem i zdawał się nie dostrzegać ataków pozostałych, które jednak chybiały o włos. Grim posłał ogniste zaklęcie przez dach krypty, odrzucając pięć z nich w cień, potem podbiegł do Lyskiana. I zobaczył to samo, co on. Stonogi i chrząszcze rozpadły się na popiół, odsłaniając odzianą na czarno postać o twarzy okrytej ciemną chustą. Błady jak kreda Lyskian przyklęknął i zdarł chustę.

Nie wydał żadnego dźwięku, nawet wówczas, gdy Grim, idąc za Mią i Remim, pociągnął go za sobą do portalu. Gargulec czuł jednak przerażenie pulsujące w jego żyłach. To nie Iphrir patrzył na nich z martwych oczu napastnika. Także pozostali nie pochodzili z szeregów demonów. Oni należeli do ludu wampirów.

## Rozdział 18



Światło portalu wchłonęło Mię i zniekształciło zarysy krypty, aż w końcu wyglądała już tylko jak migotliwy złoty pył. Mia straciła grunt pod nogami i ledwie przerwała swoje czary uniemożliwiające wampirom pościg, a światło wokół nich zgasło i otoczyły ich nieprzeniknione ciemności. Potknęła się o jakąś nierówność i upadła na kolana, lecz ból i głosy Grima oraz pozostałych docierały do niej jak przez mgłę. Zamiast tego wciąż miała przed oczami martwego wampira i nadal czuła przerażenie, jakie ogarnęło ją na ten widok. Obok niej podniósł się Lyskian. Nie słyszała go, ale czuła jego bliskość. Zimno jego ciała delikatnie musnęło jej skórę i na krótką chwilę znów miała przed oczami jego twarz, która wyglądała jak otwarta rana.

Było cicho i chłodno, musiesynu głupca. Jesteś nadli być głęboko pod ziemią. Jedyne źródłem ich światła był teraz Remi. Z szeroko otwartymi oczami unosił się w ciemnościach, które niemal całkowicie pochłaniały bijącą od niego poświatę. Mia podniosła się i wznieciła na dłoni błękitny płomień, który rozjaśnił usianą stalaktytami jaskinię. Ściany wyglądały jak z błyszczącego czarnego kamienia i dopiero po chwili zorientowała się, że tak naprawdę zrobione są z mięsa poprzetykanego magicznymi znakami i przymocowanego do skały, a wystawały z nich kości pokryte splecionymi ze sobą literami. Mia poczuła zapach krwi, którą tutaj przelano. Zimno bijące z pęknięć skały pod ich stopami wywoływało dreszcze i Mia starała się odsunąć jak najdalej od siebie myśli o tych, którzy swego czasu zostali żywcem pogrzebani pod kamiennymi płytami krwawej piwnicy. A więc dotarli do celu. To o tym miejscu mówił Ogrul.

Z wyrazem obrzydzenia na twarzy Radvina patrzyła na kości wystające ze ścian. Wyglądała na strasznie zmęczoną, ale sposób, w jaki

załamywała ręce, spoglądając w stronę Grima i Lyskiana, miał w sobie coś wzruszającego. Złamała jeden z obcasów eleganckich niegdyś szpilek, ale zdawała się tego w ogóle nie zauważać. Edwin trzymał się blisko niej ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, jakby tylko w ten sposób potrafił się powstrzymać od dotykania ścian, i wzdrygał się przy każdym ruchu cieni w niszach. Tylko Jaro wyglądał tak, jakby bywał już w bardziej przerażających miejscach. Mia pomyślała, że ona także po raz pierwszy użyła magii na cmentarzu, nie bardzo wiedząc, co robi. Bez pomocy Grima przypłaciłaby to wtedy życiem. Jaro był jeszcze trochę blady, ale najwyraźniej czuł dumę ze swoich dokonań w walce, bo na jego ustach błąkał się lekki uśmiech, a on sam od czasu do czasu popatrywał na Grima. Ten jednak nie zaszczycił go ani jednym spojrzeniem, tylko ponuro patrzył na Lyskiana, który obchodził jaskinię w poszukiwaniu wyjścia.

– Przez ostatnie dni widywałam istoty straszniejsze od najstraszniejszego koszmaru – powiedziała szeptem Radvina. – I obojętne, co to były za istoty, to o mało nas... – Urwała nagle, a Edwin skulił ramiona.

– ...nie zabiły – dokończył Jaro. – Co tu, do diabła, jest właściwie grane?

– To nie jest żadna gra – stwierdził Grim. – Jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, przed chwilą niewiele brakowało i położyłbyś się piętro niżej, a mianowicie do grobu, na którym się wcześniej ukryłeś.

Uśmiech zniknął z twarzy Jaro, lecz chociaż w jego spojrzeniu pojawiły się iskry gniewu, to jednak nie odezwał się ani słowem. Edwin poprawił okulary, które były chyba nieco za duże na jego szczupłą twarz i chrząknął uprzejmie.

– Od kilku dni walczymy o życie – powiedział. – Ale wciąż nie mamy pojęcia, o co tu chodzi. Może wy wiecie?

Grim westchnął.

– Demon o imieniu Verus Crendilas Dhor z przerośniętym poczuciem wyższości wpadł na cudowny pomysł, żeby wraz ze swoimi siepaczami uwolnić się z niewoli, w której zamknięto go setki lat temu, kiedy próbował złamać panowanie Gargulców nad Innoświatem i zdobyć władzę. Na razie jeszcze się ukrywa, aby umożliwić swojej hordzie pełną

regenerację, ale już teraz pozostające na wolności demony pogrążają świat w chaosie. Kiedy jednak jego właściwy orszak wykuruje się trochę po trudach niewoli, dopiero wtedy nad ludami Innoświata zawiśnie prawdziwe niebezpieczeństwo. Ponadto za pomocą magicznego artefaktu wprowadził ludzi do świata snów. Jest mnóstwo teorii na temat tego, co zamierza z nimi zrobić. Moje przypuszczenie jest takie, że zamierza ich użyć jako mięsa armatniego w szykowanej przez siebie wojnie, ponieważ poza Dorkami i Naleyami, najsłabszymi z kast demonów, wszystkie pozostałe posiadają umiejętność zasiedlania ludzkich ciał jako gospodarzy i w zależności od swojej mocy i fantazji, co zresztą w przypadku demonów jest jednym i tym samym, dowolnie je modyfikować.

Remi przytaknął jego słowom, a dla wzmocnienia efektu wywalił pięść i zaczął wymachiwać rękami, co sprawiało, że wyglądał bardziej jak zombie z horroru klasy B niż prawdziwy demon. Radvina otworzyła szeroko oczy z przerażenia, ale Edwin zaśmiał się cicho. Mia pomyślała, że sądząc po sposobie, w jaki patrzy na Remiego, już jako dziecko marzył o tym, żeby mieć przyjaciela kobolda. Uśmiechnęła się. A kto by nie chciał?

– Tak czy inaczej – ciągnął Grim – zamierzamy przeszkodzić Verusowi. Ponieważ jednak nie jest to takie proste, potrzebny nam jest Łowca Demonów, do którego jednak znacznie trudniej dotrzeć, niż mogłoby się wydawać. Jak sami widzicie, znaleźliście się w samym środku poważnych problemów.

– Co zresztą zdecydowanie jest winą tych dwojga – dorzucił Remi, wskazując na Grima i Mię. – Mówię wam, o tym, co przeżyłem z nimi w ostatnich latach, mógłbym opowiedzieć niejedną historię... i to jaką!

Remi kiwnął dumnie głową, ale ani Radvina, ani Jaro nie wyglądali na specjalnie zainteresowanych jego osobą. Tylko Edwin uśmiechnął się, kiedy Remi puścił do niego oko.

– A więc to demony chciały nas przed chwilą pozbawić życia – wymamrotała Radvina, kręcąc głową, zupełnie jakby wciąż nie mogła w to uwierzyć.

– Nie – zaprzeczył Grim. – To podobieństwo do demonów było tylko kamuflażem. Pod nim kryły się wampiry.



Jaro spojrział w stronę Lyskiana, lecz ten nie zwracał na niego uwagi. Jego twarz nie pokazywała żadnych emocji, ale kiedy odpowiedział, Mia usłyszała w jego głosie niechęć, zimną wibrację głęboko w krtani, co było jednoznacznym sygnałem, że nie ma najmniejszej ochoty drażnić tego tematu.

– To mogli być członkowie którejś z odszczepieńczych grup – wyjaśnił. – Od niepamiętnych czasów istnieją klany, które żyją w lasach albo we wnętrzu ziemi i niewiele mają wspólnego z resztą mojego ludu. Albo buntownicy, którzy od dawna występują przeciwko Lordowi i jego zarządzeniom. A teraz, kiedy Verus próbuje sięgnąć po władzę, dostrzegli dla siebie szansę. Jest mnóstwo możliwości...

– ...ale o tej najbardziej oczywistej nie mówisz – przerwał mu Grim. Oddalił się kilka kroków i prawie całkowicie zlewał się z cieniem. Gniew w jego głosie sprawił, że ziemia zadygotała, kiedy rzekł: – Bhragan Nha'sul...

Zanim jednak zdołał dokończyć, Lyskian odwrócił się gwałtownie w jego stronę, a mróz w jego oczach kazał Grimowi zamilknąć.

– Być może wasz ludu ma zwyczaj sprzeciwiać się królowi – powiedział wampir niepokojąco cichym głosem. – I być może w waszym przypadku jest to nawet słuszne. My jednak mamy inne prawa i inne wyobrażenia o tym, co jest... moralne. Nikt nie będzie w mojej obecności wyrażał się obraźliwie o Wysokim Lordzie. Przewodzi on nam nie dlatego, że tego chcemy, i nie dlatego, że nie potrafimy tego zmienić. To on wyprowadził mój lud z cienia ku światłu i nie pozwolę, żeby szargano jego dobre imię za pomocą insynuacji i podejrzeń.

Grim wbił w niego spojrzenie. Mia widziała, że nie zamierza się w żaden sposób powstrzymywać i jeśli jeszcze nie wyrzucił z siebie klątwy, to tylko dlatego, że dostrzegł przerażenie na twarzy Lyskiana na widok martwego wampira kryjącego się pod przebraniem demona.

– Mamy do wykonania zadanie – odezwał się w końcu. – I tylko troje z nas potrafi walczyć, aby obronić siebie samych i pozostałych.

Remi uniósł brwi i założył ręce na piersi, na co Grim z westchnieniem dodał:

– Troje i pół, chciałem powiedzieć. Możemy spodziewać się wszystkiego. To wszystko, co chciałem rzec.

Lyskian ledwie zauważalnie skinął głową, a potem po jego twarzy przemknął lekki uśmiech.

– Od chwili mojego stworzenia nauczyłem się jednego, przyjacielu: udając się do cieni, nie ufaj nikomu, czasem nawet samemu sobie. Masz rację, mamy zadanie do wykonania.

Edwin patrzył to na jednego, to na drugiego.

– To znaczy, że będziemy wam towarzyszyć? – Bardzo się starał, żeby nie było słycać drżenia jego głosu, ale poniósł sromotną klęskę. – To znaczy...

Mia skinęła głową, zanim jeszcze Grim zdążył się odezwać.

– Nie zostawimy was na łasce losu, nie musicie się obawiać. Nikt z nas nie dopuści, żeby coś wam się stało.

– Ale gdzie my w ogóle jesteśmy? – spytała Radvina, patrząc w stronę sklepienia jaskini, a miała przy tym taką minę, jakby spodziewała się, że zaraz skapnie jej na ramię ślina jakiegoś gigantycznego pająka.

Lyskian spojrzął na nią, nie przerywając oglądania ścian. Chodził z jedną ręką tuż nad czarnym mięsem, a kiedy jego chłód muskał kości, umieszczone na nich znaki rozbłyskiwały jaśniej.

– Ta piwnica prowadzi do Khay Lhak´nihn – powiedział wreszcie. – To budowla Dzieci Nocy. Tak nazywał się swego czasu sojusz między demonami i wampirami, kiedy nasze ludy walczyły jeszcze ramię w ramię w rozlicznych bitwach. Budowla ta tworzy sieć niezliczonych korytarzy. Także później zapewniały one mojemu ludowi schronienie, i podobnie jak my, tak i demony pozostawiły w niej swoje ślady i znaki, aby porozumiewać się ze sobą w tajny sposób. Kiedy Rhak´ Hontayowie przemierzali tę płataninę korytarzy, musieli się w niej jakoś orientować, a wcale nie zależało im na tym, żeby każdy wampir czy demon mógł za nimi podążać.

Nagle, jakby jego słowa były jakimś tajemnym rozkazem, pod jego dłonią zapłonął krwistoczerwony znak. Wyłonił się z czarnego mięsa jak ropiejący wrzód.

– Aby znaleźć ich wskazówki, wampir musi tak jak Łowcy panować nad magią demonów. Demony z kolei nie mogą ich wyczuć, ponieważ są poprzetykane i zakamuflowane mocą wampirów.

Pod wpływem wypowiedzianego cichych głosem słowa ściana

rozdzieliła się jak rozrywana tkanina, a za nią ukazała się żarząca się czerwono poświata.

– A teraz cicho – uprzedził Lyskian, patrząc na trójkę Hartydów. – Nikt nie wie, jakie straszliwości czyhają teraz w cieniach Khay Lhak'nihn.

Ruszyli za nim korytarzem o niskim sklepieniu. Powietrze w nim było chłodne i suche, bez śladu zapachu krwi przepelniającego piwnicę, z której wyszli. Ściana natychmiast zamknęła się za nimi i Mia stwierdziła z ulgą, że ściany korytarza są ze zwykłego kamienia. Co i rusz odchodziły od niego liczne boczne korytarze, gdzieś ściany były na wpół zburzone, toteż każdy nieostrożny krok odbijał się w potężnej płataninie przejść-ć niekończącym się echem. Od czasu do czasu mijali wytworne niegdyś sale, których posadzki pokrywały teraz gruz i porosty. Mia próbowała sobie wyobrazić, jak w zamierzchłych czasach wampiry szukały tutaj schronienia, ale nie udawało jej się, a kiedy przyglądała się Lyskianowi, który bezgłośnie kroczył po popękanych posadzkach i co chwila za pomocą tajemnych znaków otwierał kolejne przejścia w kolejnych korytarzach, odnosiła wrażenie, że i on zszedł wraz z nimi do obcego dla siebie świata, w mroczny i nieogarniony rozdział historii istnienia wampirów.

Mia spojrzała na Hartydów. Edwin popatrywał na cienie snujące się w niszach korytarza na przemian to z fascynacją, to z przerażeniem. Radvina, której kroków mimo złamanego obcasa niemal nie było słychać, ciasno oplotła się rękami i szeroko otwartymi oczami patrzyła w lewo i prawo, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Jaro natomiast szedł przez ciemności z miną, jakby tylko czekał na moment, kiedy będzie mógł się zmierzyć z jakimś potworem. Mia przypomniała sobie swoje pierwsze zetknięcie z Innoświatem, swoją ucieczkę przed Theyronem na cmentarzu Montmartre i swoje odczucia, kiedy po raz pierwszy trafiła do Ghrogonii. Upłynie jeszcze trochę czasu, zanim tych troje przywyknie do nowego świata i swoich umiejętności, a ona zrobi wszystko, żeby im w tym pomóc, zwłaszcza w obecnych okolicznościach. Zobaczyła jak przesuwając dłoń po fosforyzującej roślinie, pnącej się w górę ściany i uśmiechnęła się do niego.

– Jeszcze wiele rzeczy, które zobaczysz w Innoświecie, zdziwi cię

– powiedziała. – Jeśli chcesz o coś zapytać, pytaj. Oczywiście dotyczy to was wszystkich. Doskonale pamiętam moje pierwsze kroki w Świecie Cieni i wiem, że nigdy bym nie wyszła z tego cała bez pomocy.

Edwin z ociąganiem odwzajemnił jej uśmiech.

– Od dawna już o tym wiesz? – spytał i przestraszył się, kiedy jego szept odbił się echem od ścian. – Znaczy, że jesteś... Hartydką?

– W zasadzie od zawsze czułam, że jestem inna od pozostałych ludzi – odrzekła i zobaczyła, że Radvina dołącza do nich, słuchając z zainteresowaniem. Jaro natomiast nie odrywał spojrzenia od cieni i trudno było ocenić, czy jej słucha, czy też może jest myślami zupełnie gdzie indziej. – Mój ojciec też był Hartydą, ale zniszczyło go osamotnienie, a Jakub, mój brat... To właściwie jedyny Hartyda, którego znałam, zanim spotkałam was. Mniej więcej dwa lata temu dowiedziałam się dzięki niemu, kim jestem, i od tego czasu moje życie uległo całkowitej zmianie. Znalazłam swoje miejsce w Innoświecie. Na razie czujecie tylko strach i ja to rozumiem, bo ze mną było na początku tak samo. W którymś momencie jednak zauważycie, że ten świat jest częścią was, tak jak wy jesteście jego częścią, i tak jak ja będziecie marzyć o tej chwili, kiedy obydwie te światy – świat ludzi i świat Innostot – znowu się połączą, tak jak to było kiedyś.

Chciała powiedzieć coś więcej, ale w tym momencie Jaro prychnął pogardliwie.

– Ja na pewno nie będę sobie tego życzył. Żaden z ludzi nie widzi tego, co ja widzę, żaden nie potrafi zrobić tego, co ja potrafię. Po co miałbym chcieć się z nimi czymkolwiek dzielić? – Pokręcił przecząco głową. – Ludzie zniknęli, wszyscy oprócz nas, i w ogóle mnie nie obchodzą.

Edwin zmarszczył brwi i jakiś ciemny blask pojawił się w jego spojrzeniu, nadając jego dziecięcej twarzy rys twardości.

– Moi rodzice zniknęli – powiedział i Mia słyszała drżenie jego głosu. – Nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje. Oni...

Jaro machnął ręką, jakby odpędzał jakiegoś namolnego owada, i wpadł mu w słowo:

– To nie moja sprawa, chłopczyku z dobrego domu, sorry. Mnie przez całe życie wszyscy tylko odpychali. Ojczym zepchnął mnie

wujkowi, wujek do domu dziecka numer jeden, potem dwa, potem trzy i tak dalej, aż w końcu stamtąd prysnąłem i mogę się założyć, że prędzej czy później w tym pięknym ludzkim świecie wylądowałbym w rynsztoku albo w kiciu. Nikt nigdy się mną nie interesował, więc teraz ja mam ich wszystkich gdzieś. – Zaśmiał się niemalże radośnie. – Tylko my widzimy Innoświat, ludzie, tylko my, Hartydzi! To jest super!

Mia uchwyciła spojrzenie Grima, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Radvina z sykiem wciągnęła powietrze. W ostatniej chwili zatkała usta dłonią, żeby nie krzyknąć, i z obrzydzeniem patrzyła na fioletową kulę śluzu, która trafiła ją w ramię. Druga kula nadleciała od strony jednej ze szczelin widocznych w ścianie, a pędziła w stronę Remiego, który w ostatniej chwili się uchylił, w efekcie kula z mlaśnięciem wylądowała na ramieniu Grima. Remi z trudem powstrzymał się od chichotu, a Grim z ponurą miną wytarł śluz z płaszcza i bez słowa ruszył w stronę szczeliny. W milczeniu wywołał w swojej dłoni białe światło, wyszeptał jakieś zaklęcie i cisnął je w ciemność. Natychmiast rozległ się krzyk i coś z piekielnym hałasem uciekło.

– Bez obawy – powiedziała Mia z ulgą. – To tylko Dorki. Demony z pierwszej kasty, niebezpieczne co najwyżej dla szczurów i...

Radvina patrzyła z takim przerażeniem, że Mia nie wiedziała już, czy bardziej boi się ona demonów, czy może szczurów.

– Nic nam nie zrobią – ciągnęła, pomagając Radvinie usunąć obrzydliwy śluz z ramienia. – One tylko się z nami drażnią dla zabawy, nic więcej.

W tym momencie Mia usłyszała szuranie w jednej ze szczelin, ale zanim demon zdążył nabrać powietrza, żeby wypluć kolejną kulę śluzu, Jaro skoczył do przodu i cisnął w ciemność jaskrawobiały ognisty czar. Mia usłyszała wrzask demona, a potem zapadła grobowa cisza. Radvina i Edvin dosłownie zamarli, patrząc na Jaro, który jakby nic potrząsał ręką, z której wysłał czar. Jego spojrzenie ześlizgnęło się po nieruchomej twarzy Lyskiana, ale nie dostrzegł pogardy, która rozbłysła jak rozżarzona iskra w spojrzeniu wampira. Remiego, który z dezaprobatą kiwał głową, jak też Grima, którego oczy zapłonęły czarnym płomieniem, zupełnie zignorował, a z pełnym wyższości uśmiechem

spojrzał na Mię. Nic jej to jednak nie obeszło. Poczula wzbierający w niej piekący gniew i zanim Jaro zdążył cokolwiek powiedzieć, złapała go za gardło i przydusiła do ściany. Słychać było trzeszczenie, kiedy lodowy czar przedostawał się do jego ciała.

– One nie robią nam żadnej krzywdy – powiedziała z naciskiem. – Zrozumiałeś? Nie masz prawa robić czegoś takiego i jeśli jeszcze raz cię przyłapię na wykorzystywaniu mocy tam, gdzie nie jest to potrzebne, to pożałujesz... jeszcze bardziej niż teraz!

Na moment wbiła w niego wzrok, a dostrzegłszy przerażenie w jego oczach, poczuła satysfakcję. Potem puściła szyję Jaro i cofnęła się. Z jakiegoś powodu zrobiło jej się niedobrze i prawie nie słyszała, jak oparty o ścianę Jaro kaszle gwałtownie. Spoczywały na niej spojrzenia pozostałych, ale udało jej się je zignorować... poza jednym.

W milczeniu ruszyli w dalszą drogę. Mia unikała patrzenia na Grima, ale wciąż miała przed oczami jego obraz – jak stoi nieruchomo z maską cienia na twarzy, całkowicie skrywającą jego uczucia. Niewiele brakowało, a on sam zrobiłby dokładnie to samo, nie miała co do tego wątpliwości. Jaro od pierwszej chwili działał mu na nerwy i Mia wyczuwała gniew, który przyspieszył puls w jego skroniach, kiedy zginął demon. Mimo wszystko jednak tego nie zrobił, w przeciwieństwie do niej. Wciąż jeszcze czuła gwałtowność lodowego czaru w dłoniach i pomyślała o zdumieniu i przestachu, jakie dostrzegła w oczach Grima. Poczula dreszcze. Patrzył na nią jakby z wielkiej odległości, ona zresztą sama była zdumiona swoim czynem. Nigdy wcześniej nie zareagowała w taki sposób, nigdy wcześniej nie dała wyrazu swojemu gniewowi, jakby była gorącokrwistym dzieckiem ognia. Dlaczego musiało jej się to przytrafić akurat teraz, i to w dodatku wobec Hartyda, który właśnie odkrył swoje moce i próbował się jakoś odnaleźć w Innoświecie? Czyż ona też nie potrzebowała czasu, żeby zrozumieć cienie, w które weszła?

– Spójrzcie!

Głos Lyskiana wyrwał ją z zamyślenia. Wampir stał przy końcu korytarza, gdzie cienkie warstwy kamienia nakładały się na siebie jak zasłony, rozbłyskując słabym czerwonym światłem. Były na nich widoczne splecione złote znaki. Mia rozpoznała prastare formułki języków Th'ynghel i Ànth'karya, a kiedy Lyskian położył dłoń na

kamieniach, stały się one miękkie jak jedwab. Bez słowa przeszedł przez nie na drugą stronę, a Mia razem z innymi poszła jego śladem. Zasłony delikatnie kładły się na ich skórze, wydawało jej się, że słyszy wielobarwne głosy, niektóre z bliska, niektóre z wielkiego oddalenia, a kiedy zostawiła za sobą światło, spostrzegła, że jest na ścieżce obramowanej gigantycznymi żywopłotami z granatowoczarnych cierni, fosforyzujących krzewów i drzew o upiornych gałęziach. Wysoko ponad nimi wznosiło się sklepienie potężnej jaskini.

– Wygląda tak, jakbyśmy znaleźli się w jakimś lesie – mruknął Grim, rzucając ponure spojrzenie na żywopłot.

Remi prychnął pogardliwie.

– Nigdy nie zrozumiesz, jaka jest różnica między lasem, zwykłym żywopłotem, a kukułczym jajem – stwierdził i zafascynowany przyglądał się wielkim, pokrytym błyszczącymi kryształkami liściom cierni. Kiedy jednak wyciągnął palec w stronę jednego z nich, liść uformował się w dziób i próbował go capnąć. Kobold odskoczył i przerażony gapił się na liść, który zaterkotał groźnie, potem rozprostował się i powrócił do pozornego spokoju.

– Zwykły żywopłot i dziobiący liść to przecież prawie jedno i to samo – zauważył Grim ze złośliwym uśmiechem, ignorując jadowite spojrzenie kobolda. – Postaram się dowiedzieć, w jakie to kukułcze jajo wdepnęliśmy.

Właśnie zamierzał rozłożyć skrzydła, ale Lyskian go powstrzymał. Błyskawicznym ruchem wampir zerwał jeden z liści. Radvina wydała okrzyk obrzydzenia, kiedy z ogonka popłynęła lepka zielona krew, rozlewając się na ziemi w kałużę.

– Ten żywopłot ma w sobie moce demonów – mruknął Lyskian. Ledwie to powiedział, przez rośliny przeszedł niewróżący niczego dobrego szum. Grim spojrział na liść, który zdążył się już rozpaść na popiół, i sięgnął do kieszeni. Smok Carvena spał, ale kiedy Grim go trącił, otrząsnął się jak mokry pies i zaczął dreptać w miejscu, jakby nie mógł się doczekać kolejnej przygody. Zaciekawiony rozejrzał się dookoła, a potem uklonił się wszystkim uprzejmie. Edwin roześmiał się.

– Pętlowznioszpionowymładowaniem – Grim wypowiedział szeptem jedno z zaklęć. Smok natychmiast zaszurał tylnymi nogami, na

jego pyszczku pojawiły się okulary dla pilotów, takie we wszystkich barwach tęczy, a potem wyskoczył wysoko w powietrze z wyprostowanymi nogami. Z szerokim uśmiechem wykonał pierwsze obroty, zanim jednak zdołał wykonać swój popisowy numer, czyli kolejną pętlę z rozpostartymi kończynami, z ciernistego żywopłotu niby macka wystrzelił pęd i rozciął ciało smoka na dwie części. Zdezorientowany smok zamachał skrzydełkami. Jego przednia część pognęła w bok, tylna usiłowała ją dogonić, ale pęd smagał dalej i zniknął w żywopłocie dopiero wtedy, kiedy przeciwnik wylądował w dłoni Grima. Smok z ulgą spojrział na swoją tylną część, która połączyła się z przednią, otarł sobie czoło i położył się, natychmiast zapadając w sen.

Kiedy Grim z ponurą miną wkładał smoka do kieszeni, Lyskian skinął głową i mruknął:

– Tego się właśnie spodziewałem. Trzymajcie się blisko siebie.

Ledwie to powiedział, Radvina natychmiast podeszła do Grima tak blisko, że dosłownie deptała mu po piętach, a Edwin robił prawdziwą konkurencję Remiemu, jeśli idzie o wytrzeszczanie oczu z przerażenia. Nawet Jaro starał się trzymać z daleka od roślin, które mimo całkowitego braku wiatru kołysały liśćmi, szepcząc coś chórem. Mia przestraszyła się, kiedy z żywopłotu wysunęły się nagle granatowe kielichy kwiatów rozsnuwające aksamitną woń. Szepty na moment zamieniły się w śpiew i zewsząd rozbrzmiały uwodzicielskie głosy, unosząc się nad ścieżką. W tym momencie Mia poczuła kłujący ból w ręce i zobaczyła tkwiący w skórze cieniutki jak igła kolec, spod którego ciekła krew. I w jednej chwili tuż przed nią wyrósł wysoki na metr żywopłot, odcinając ją od pozostałych. Mia zdusiła chęć krzyku i zacisnęła pięści. Dostała się w przekłety labirynt. Rozległ się szydery śmiech, ale nie słyszała już nikogo z grupy. Kiedy pobiegła ścieżką z powrotem, hałas jej własnych kroków przebijał się przez złowróżbne szepty liści i z przerażającą zachłannością był połykany przez gęstwinę żywopłotu. Nadal czuła woń kwiatów, która stała się teraz słodka i ciężka, i sprawiała, że jej serce zaczęło bić szybciej. Portal zniknął. Zamiast tego kolejne ścieżki poprowadziły ją dalej, ale rośliny co i raz zastawiały jej drogę, żeby skierować ją w wybraną przez siebie stronę. Bezradnie wołała Grima i pozostałych, ale ich imiona zawisały na kolcach żywopłotu, pękając jak



bańki mydlane, i z każdym dźwiękiem, który niknął w rozmigotanych kielichach kwiatów, zmieniał się ich zapach. Teraz z kolei był słonawy, głosy zmieniły się w szum morza i ledwie Mia poczuła na skórze pierwszy podmuch wiatru, stwierdziła, że nie znajduje się już w podziemnym labiryncie, tylko nad oceanem. Znowu miała pięć lat i był z nią Lukas, który śmiał się, biegnąc razem z nią przez fale i podrzucając ją w górę. Potem obraz rozpadł się, Mia poczuła woń świec i wina i biegła ciemnym korytarzem w mieszkaniu rodziców. Stała w drzwiach kuchni, widziała Lukasa przy stole, skulonego i płaczącego, ale tak cicho, by nikogo nie budzić. Wyglądał na tak samotnego, że Mii kroilo się serce. Zaraz potem szła przez szarą mgłę Paryża. Wokół niej byli ludzie, nie czuła już żadnej woni ani ciepła, czuła tylko bliskość innych, która nie była prawdziwą bliskością, bliskość tych, którzy ją otaczali, ludzi z twarzami zdeformowanymi w szare kontury, którzy chcieli ją pochłonąć, chociaż w ogóle jej nie znali. Z jej ust wydobył się krzyk i zniszczył iluzję. Znowu była w labiryncie i za lekko przeredzonym żywopłotem dostrzegła Grima i pozostałych. Wołali ją, wyraźnie słyszała swoje imię, ale kiedy im odpowiedziała, nie zatrzymali się. Grim odwrócił się na moment, jakby coś usłyszał, ale ostatecznie jej głos do niego nie dotarł.

– Tu jestem! – wołała Mia i czuła, jak droga za jej plecami znika, jak żwir i żywopłoty spadają w nieskończoną otchłań. W panice zaczęła biec przed siebie, rzuciła się na żywopłot oddzielający ją od pozostałych, ledwie jednak pierwsze pędy oplotły jej ramiona, Grim odwrócił wzrok i razem z innymi rozpadł się na popiół. Mia robiła wszystko, żeby nie stracić nad sobą kontroli. Im bardziej próbowała się uwolnić, tym silniej pędy ją przytrzymywały. Nagle usłyszała za sobą dudnienie, któremu towarzyszył szyderczy śmiech z tysięcy gardzieli. Użyła całej siły, żeby się odwrócić. Zignorowała ból w ramionach i tylko patrzyła na żywopłot, który nagle przed nią wyrósł... i na istotę, która z rykiem z niego wyskoczyła.

Był to kredowoblady człowieczek o chudych kończynach i potężnej łysej czaszce, z której wydobywały się wijące czerwone robaki. Jego dłonie były za wielkie na to ciało, a jego palce o rozszczepionych czarnych paznokciach tak długie, że wyglądały jak poogryzane kości.

Miał na sobie spodnie za kolana, fioletową kamizelkę na nagim torsie i buty z klamrami, z których wystawały palce. W jego rękach, torsie i ramionach tkwiły igły, zupełnie jak w krawieckiej poduszczyce, a jego oczy migotały, jakby kryły w sobie szybko przerzucane stronicę ksiązek albo tasujące się karty. Kiedy otworzył usta, nici, którymi były zaszyte, rozerwały mu wargi. Z jego gardzieli wystrzeliły czerwone jak krew pędy. Mia próbowała robić przed nimi uniki, ale nie miała szans. Natychmiast oplotły się wokół jej ciała i zaczęły je kłuć cienkimi jak igły kolcami. Wydobywało się z nich zimno, które ją paraliżowało i odbierało siłę. Wpatrywała się w demona, który unosił się nad nią w powietrzu, obserwując ją zachłannie. Widziała jego myśli: chciał ją zabić każdą cząstką swojego wymyślonego ciała, chciał obdrzeć ją ze skóry i uszyć z niej nowe liście swojego straszliwego labiryntu, lochu, który był jego ciałem. Uśmiechał się, widząc jej strach. Nagle poczuła się tak, jakby ten uśmiech wymierzył jej policzek, i oderwała od niego wzrok. Zaraz, czyżby była jakimś bezbronnym dzieciakiem? Musi odnaleźć Grima, który z pewnością szuka jej gdzieś w tym diabelskim labiryncie, musi powrócić do Lyskiana, Remiego i tamtych Hartydów, którzy bez niej będą zgubieni! Dała się nabrać na igraszki demona, ale przecież jest Hartydką, uczennicą Theryona, i nie da się zabić jakiemuś trzeciorzędnemu demonowi!

Zdecydowanie wbiła paznokcie w pędy oplatające jej ręce i przywołała swoją magię. Przewyciężyła ona jej paraliż i wypełniła jej palce lodowym czarem, który trzeszcząc, wdarł się w pędy wypuszczone przez demona. Mia krzyknęła z bólu, gdy kolce w jej ciele zamieniły się w lód. Ale zobaczyła też przerażenie w oczach demona, nim lodowy czar wdarł się do jego ciała i zamienił go w błyszczący posąg. Z trzaskiem wdzierał się dalej w żywopłoty labiryntu, zdusił wszelką woń kwiatów i kiedy Mia stanęła z powrotem na nogi, pędy cierni odpadły od jej ciała jak roziskrzony okruszek.

Chwiejąc się na nogach i ruszyła ścieżką z powrotem, ale już słyszała głos Grima niczym wysyłający ciepło grzmot, a kiedy Gargulec wyłonił się z jednego ze stężeń w lód żywopłotów, wydała okrzyk ulgi. Nie miała pojęcia, jak pokonała ostatnie metry, pamiętała tylko, że ją podtrzymał, a ciepło jego ciała wyleczyło jej rany. Zamknęła oczy,

odbierając całą sobą bicie jego serca i jego zapach, i przez krótki moment było tak, jakby po raz pierwszy doświadczała poczucia bezpieczeństwa w jego ramionach i czułości w jego spojrzeniu.

Czyjeś ciche kroki sprawiły, że odwróciła się gwałtownie. To zbliżał się Lyskian z Remim i Hartydami. Przez jego twarz biegła krwawa pręga, która jednak zaraz się zasklepiła. Widocznie on również musiał stoczyć walkę z pędami labiryntu. Remi wyglądał tak, jakby dostał się do miksera, Edwin z wykrzywioną bólem twarzą trzymał się za rękę, podczas gdy Radvina i Jaro mieli tylko rozcięcia na rękach i policzkach.

– To był Khan – mruknął Grim, przesuwając dłonią po włosach Mii, zanim się od niego odsunęła. – Demon z ósmej kasty. Jego magia skonfrontowała nas z nami samymi, naszymi lękami, tęsknotami i otchłanią w nas. Mia przerwała jego czar, ale...

Głośny trzask sprawił, że Grim zamilkł. Mia zobaczyła, jak z lodu wyłonił się kolczasty pęd i smagnął powietrze. Zaraz potem przez labirynt przeszło głębokie westchnienie, kolejne pędy utorowały sobie drogę, wyrzucając w powietrze odłamki lodu.

Remi odgarnął z czoła zwichrzone włosy.

– Nie został zniszczony – wyszeptał, a Lyskian ponuro przytaknął ruchem głowy. – Nie dostał tego, czego chciał. Nic nie pomoże, jeśli znowu zamienimy go w lód, bo ten labirynt cieni jest zbyt wielki, musimy...

Mia nie słyszała już dalszego ciągu. Wielki huk rozdarł powietrze, a potem poczuła uderzenie. Coś z wielkim impetem trafiło ją w plecy i rzuciło daleko na ścieżkę. Poczowała jeszcze, jak Radvina i Jaro podnoszą się obok niej z ziemi, a zaraz potem w ich stronę pomknęła fala ostrych jak brzytwy okruchów lodu. W ostatniej chwili stanął przed nimi wyprostowany Lyskian i wyczarował osłonę ochronną. Okruchy odbiły się od niej, sypiąc jaskrawymi iskrami, ale już wokół nich zaczął pękać lód żywopłotów. Gruby jak ramię pęd owinął się wokół nogi Edwina i poderwał go w powietrze, pozostałe pędy z taką mocą tłukły w osłonę wyczarowaną przez Lyskiana, że zaczęły się na niej pojawiać czarne pęknięcia, a każde uderzenie Mia czuła z taką gwałtownością, że miała wrażenie, jakby miały jej zmiażdżyć wszystkie kości. Magia demona

wypełniła powietrze wibracją. Wdarła się ona palącym strumieniem do płuc Mii. Dziewczyna chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć żadnego dźwięku. Żar zaatakował jej zmysły, czuła, że traci przytomność. Lyskian chwiał się pod potęgą mocy Khana i Mia słyszała Remiego krzyczącego gdzieś blisko niej. Ale zanim ugięły się pod nią ręce, zobaczyła Grima. Z rozpostartymi skrzydłami przeniknął przez wijące się jak błyskawice pędy cierni. Jego dłonie płonęły złotym ogniem i kiedy uchwycił pędy, płomienny strumień wdarł się do ich wnętrza. Grim wylądował na ścieżce i trwał nieruchomo. Wyglądał, jakby całkiem zamienił się w kamień. Jego powieki drgały lekko, lecz niewzruszenie ścisnął podrygujące pędy, aż nagle przez cały labirynt przebiegło dudnienie tak głębokie, że Mia bardziej je poczuła, niż usłyszała. To głos Grima rozbrzmiał w roślinach żywopłotów, to on był tym, co przepływało przez gałęzie i konary, pędząc przed sobą demona, jakby był tylko słabym zwierzęciem. Khan z hukiem wypadł z gęstwiny, ale zawisł nieruchomo w powietrzu i ledwie Grim podniósł wzrok i spojrzał wprost na niego, oczy demona rozpekły się jak wysadzony od środka lód i zamieniły w czarny popiół. Jego ciało również zmieniło kolor i od niego zajął się cały labirynt. Przez chwilę stał jeszcze jak absurdalna parodia swojej własnej grozy, ale zaraz Grim wyrzucił pięści w górę. Pędy w jego dłoniach pękły, a kiedy ryknął, jego głos wydobył się nie tylko z jego ust, ale też z gardzieli demona i z każdego ciernia labiryntu, który z potężnym szumem opadł na ziemię jako popiół.

Ciężko dysząc, Grim osunął się na kolana. Mia podbiegła do niego, dłonie miał lodowato zimne, a kiedy na nią spojrzał, w jego oczach była jakaś obcość, przerażający chłód, zupełnie jakby musiał dopiero powrócić do niej z niezmierzonej oddali... i bronił się przed tym. Zanim jednak zdążyła pomyśleć to do końca, Grim ujął jej dłoń i uśmiechnął się wyczerpany.

– Spójrzcie na to – wyszeptał Remi i ledwie zauważalnie popukał Grima w ramię. Nie patrzył na nich, tylko na coś daleko za nimi. Mia pomogła Grimowi wstać i zdumiona stwierdziła, że znajdują się na pustyni, pustyni z ciemnego piasku, a daleko na wzgórzu, nad wejściem do jaskini, wznosi się potężna jak pałac utkany z nocy i gwiazd Akademia Cieni.



## Rozdział 19



Granatowy piasek gnał Grimowi naprzeciw przez równinę. Szli w stronę Akademii Cieni, która została wykuta w skale i swoimi czarnymi murami, potężnymi kolumnami i kunsztownie zdobionymi wykuszami przypominała potężną świątynię. Cały gmach otaczały cienie, bezgłośnie i piękne, a było w nim coś nierzeczywistego, zupełnie jakby w każdej chwili mógł zniknąć bez śladu. Grim wyczuwał ciche skupienie, jakie biło od Akademii, i przypominał sobie taniec na linie wykonany przez Rhak' Hontaya i dumny mrok w jego spojrzeniu. Być może trochę spokoju tego miejsca przeszłoby i na niego, gdyby po raz kolejny nie wystrzelił z ziemi pod jego stopami nachalny pęd. Labirynt budził się do nowego życia, niedługo znów otoczy Akademię ochronnym wałem.

Wiatr sypnął Grimowi piaskiem w twarz, aż zakaszłał. Znów poczuł w żyłach zimny żar płomieni i usłyszał w sobie echo krzyków demona. Przeniknął do każdego pędu, każdego liścia i każdego korzenia tkwiącego głęboko w piaszczystym gruncie, gdzie nie było śladu wody, i wysoko, w pozbawionym słońca niebie jaskini. Dotarł do pustyni, w której ciemność Khana była najgłębsza, miała gorzki smak, lecz pozwoliła mu poczuć echo skał, które demon od tysięcy lat w siebie wchłaniał, i na tym brzmieniu pędził dalej, otoczony lodowatym rykiem płomienia, który zagłuszał wszelkie pieczenie w jego piersi. Zostawił za sobą ból, napięcie i niepokój. Leciał, nie używając skrzydeł, i przypomniał sobie atlasowy chłód, który go wypełnił po tym cwale przez ciemność... I spojrzenie Mii, kiedy powrócił niby z wielkiej oddali. Czy jej uśmiech nie wydał mu się nieskończenie ciepły, kiedy ją rozpoznał? Rozpoznał... Czyżby naprawdę zapomniał, kim ona jest?

Westchnął. Takie myśli doprowadzały go na skraj szaleństwa. Zdecydowanie za dużo było przy nim ludzi, którzy działali mu na nerwy

tym ich wiecznym zwątpieniem i filozofowaniem. Nabrał głęboko powietrza, ale zanim udało mu się odsunąć od siebie myśli o Khanie, usłyszał jeszcze głos Serafina mówiącego cichym szeptem: *Nie idź za jego głosem.*

Wejście do Akademii było ciemne jak otchłań. Kiedy przed nim stanęli, po skale przemknął czerwony błysk. Z daleka mury wydawały się czarne, teraz jednak Grim dostrzegł w nich srebrzyste okruchy, migotliwą grę jasności i mroku. Lyskian zastukał w bramę. Odgłos odbił się echem we wnętrzu, lecz cisza, jaka potem zapadła, była tak wszechobjęająca, że stłumiła nawet szept wiatru. Była jak chwila po zaczerpnięciu powietrza, po którym nic więcej nie nastąpiło.

– Byłoby miło, gdyby jakiś uprzejmy karzełek po prostu otworzył nam bramę – wymamrotał Edwin i aż się skulił, kiedy uświadomił sobie, że wypowiedział na głos swoją myśl.

Remi zachichotał, ale Grim rzucił mu mroczne spojrzenie.

– Z nielicznymi wyjątkami karzełki nie są przyjazne – stwierdził. – A już na pewno nie w stosunku do ludzi. Albo Gargulców. Albo w ogóle do kogokolwiek.

Lyskian przesunął dłonią nad powierzchnią bramy.

– Poza tym wątpię, aby jakikolwiek karzełek wpadł na pomysł zostania paziem Rhak' Hontaya... albo potrafił na dalszą metę sprostać wymaganiom tych murów. Kryją one w sobie moc demonów i krew mojego ludu. Wzywają Łowców do walki w każdej chwili, jaką spędzają oni w tym miejscu.

Grim wyczuwał magię drzemącą w tych murach, która mimo wieku nic nie straciła ze swojej mocy. Iskry światła na jego skórze były jednocześnie dniem i nocą, przeklinały go i wabiły zarazem, i wołały do niego głosami, których musiał słuchać, aby pójść za nimi na linę. Spojrzał na bramę, której czerń była tylko myślą w jego głowie. Lyskian miał rację: Akademia Cieni była miejscem istniejącym w półmroku.

– Istotnie, miło byłoby, gdyby nas ktoś powitał – stwierdził wampir. – Albo gdyby pojawiła się jakakolwiek oznaka... życia.

Te ostatnie słowa wypowiedział z tak zimnym uśmiechem, że Radvina spojrzała na niego przerażona. Potem Lyskian przycisnął dłoń do kamienia bramy i otworzył ją. Padło na nich zielonkawe światło, ale

nie usłyszeli żadnych głosów, żadnych kroków czy hałasów walki. Tu i ówdzie na ścianach płonęły pochodnie, na stołach leżały otwarte księgi, nie spotkali jednak ani jednej żywej bądź nieumarłej istoty. Wyglądało to tak, jakby Akademia była opuszczona.

Ostrożnie przechodzili przez kolejne pomieszczenia. Mia i Lyskian szli przodem, a Grim i Remi zamykali pochód, aby uchronić idących między nimi Hartydów przed ewentualnym atakiem. Strach, zachwyt i oszołomienie malujące się na twarzach Radviny i Edwina mieszały się z taką szybkością, że Grimowi od samego patrzenia kręciło się w głowie, a Jaro jakby na chwilę zapomniał o swojej denerwującej postawie wyższości. Mijał pomieszczenia z nieskrywaną ciekawością, a Grim, chociaż znał je już z wizji dzina, również miał wrażenie, jakby widział je po raz pierwszy. Wyczuwał zapach oprawnych w skórę ksiąg, zapach Czarnej Stali w salach treningowych i żar Diamentowych Pęt, które długimi rzędami wisały na ścianach. W salach walk stały magiczne kolumny, które na dany znak pokazywały hologramy istot ludzko podobnych do żywych, a Grim przyglądał się mieczom, na których klingach płonęły splecione litery unieruchamiających zaklęć. A niech to, żeby Mourier mógł zobaczyć tę broń! Być może mniejszą wagę zaczęłyby przykładac do strojenia rekrutów na parady i inne uroczystości, a więcej energii poświęcił na wyposażenie służące do ich szkolenia. Z ponurą miną przypominał sobie pióra, które lew nie tak dawno mu zaprezentował, bredząc coś o kołpakach i stylingu, zanim Grimowi udało się umknąć. Westchnął ciężko. Na widok tych sal walk, Mourier i tak pewnie pomyślałby wyłącznie o nowych tkaninach na pokrycie ścian.

Dotarli do wewnętrznego dziedzińca Akademii i Grim przesunął spojrzeniem po kolumnach krużganków i szklanym dachu rozpiętym nad fosforyzującymi drzewami i zatrzymał je dopiero na posągu stojącym na cokole: *K'ayrhon arrs Thumon. Stajesz się tym, na co polujesz.* I znów poczuł słowa tej maksymy na swojej twarzy i pomyślał o cieniu pod kapturem. Panująca cisza zmusiła go do uważniejszego wsłuchania się w to, co było na jej dnie. Lecz co to właściwie było? Sen? Myśl? A może on sam?

Głośne węszenie zmusiło go do odwrócenia się. Remi zagłębił się w jakąś płataninę roślin tak, że spośród liści wystawał tylko jego kręcący



się tyłeczek.

– A niech to diabli – zadudnił Grim i skrzyżował ręce na piersi. – Nie sądzisz, że jesteś już trochę za stary na zabawy w chowanego? A może nakazuje to regulamin Zielonej Pięści, co? Może masz też obowiązek sprzedawać ludziom ciasteczka na cele dobroczynne? Zaraz, zaraz, jak to się nazywa ta twoja organizacja? Bractwo Małej Piąstki?

Remi rzucił mu przez ramię wściekłe spojrzenie.

– Coś poczułem! – odparł z oburzeniem. – A raczej: nic nie poczułem!

– To wspaniale – burknął Grim. – Wszyscy wiedzą, że to prawie jedno i to samo.

Remi prychnął pogardliwie.

– Żadne z was nie ma mojego nosa! Ja natomiast odbieram każdy niuans otoczenia, nawet woń marmurowej posadzki i piasku, na którym stoicie. Ale tutaj... nic! – Z nerwowymi płamami na twarzy chwycił jeden z liści i zaczął nim machać. – Irensis Baroklom – powiedział z taką miną, jakby wypowiadając tę nazwę, przywrócił pokój na świecie. – Ziele Gliniastej Sadržawki. Szeroko rozpowszechnione w Dolnym Świecie, odznacza się wytrzymałością, zdolnością do fluorescencji oraz słabym zapachem. Tymczasem... – gwałtownie dźgnął palcem powietrze, jakby zamierzał przebić komara – ...ta roślina tutaj w ogóle nie pachnie!

Grim roztarł liść między palcami i powąchał – rzeczywiście nie wyczuł najmniejszej woni. Lyskian podszedł do jednej z pochodni i przesunął palcami przez płomień, jakby były zwykłą mgiełką. Bez słowa rzucił Grimowi spojrzenie, na co ten przyłożył dłoń do jednej z kolumn i wypowiedział zaklęcie. Kolumna natychmiast zadrżała, jakby była z wody, a fale rozeszły się po posadzce, sięgając ścian i całego dziedzińca.

– Złudzenie – stwierdził Grim, widząc, jak zdumiony Remi wsadza palec w kolumnę. Szybko go jednak cofnął, zanim kamień z powrotem stężał.

– A nie mówiłem? – spytał kobold z triumfem w głosie.

Mia pokiwała głową w zamyśleniu.

– Nie mamy pojęcia, co kryje się za tym czarem. Żeby go złamać,

musimy wykryć jego formuły, a to zajmuje czas. Chyba że znajdziemy klucz.

Grim stłumił uśmiech. Miał jeszcze świeżo w pamięci klątwy, jakimi Mia wstrząsnęła jego kościołem, kiedy kilka miesięcy temu uczyła się tego i ściągała niezliczone zbiory zaklęć, żeby opanować to, co wpajał jej Theryon. Każde złudzenie na trwałe związane z danym przedmiotem, bez stałego udziału maga, kryło w sobie klucz, rdzeń, który miał w sobie moc danego czaru i podtrzymywał złudzenie.

– Mia ma rację – powiedział Lyskian. Podszedł do posągu, jego spojrzenie przesunęło się po twarzy postaci jak po udanym obrazie. – Czy widzicie mazerunek na rękach? Czujecie chłód kamienia?

Uśmiechnął się ledwie zauważalnie, kiedy Mia do niego podeszła.

– Ta postać tchnie śmiercią – powiedział szeptem.

Powoli położył dłoń na ręce posągu i powiedział coś w języku Anth'karya i z szacunkiem cofnął się o krok. Grim zauważył na jego twarzy niezwykle wyraz fascynacji, kiedy przez dziedziniec przeszedł szept niczym szum prastarych drzew na wietrze. A potem, z lekkim dudnieniem otworzyło się pęknięcie u stóp cokółu. Wystrzeliły z niego cienie i kiedy ziemia całkiem się otworzyła, z jej wnętrza wyłonił się śnieżnobiały sarkofag, na którym widniał kamienny wizerunek młodego człowieka. Dopiero kiedy Grim podszedł bliżej i przyjrzał się szczupłej twarzy, rozsypanym na poduszce włosom i łagodnemu zarysowi ust, dopiero kiedy ujrzał jego niemalże subtelne dłonie, spoczywające na rękojeści miecza leżącego na jego piersi oraz cienie pod powiekami przesuwające się jak woda pod cienkim lodem, zorientował się, że nie patrzy na posąg. Był to poległy wampir.

Sarkofag połączył się z posadzką. Błyskawicznie na cokole rozprzestrzenił się mech, który wkrótce wyglądał tak, jakby był tu od zawsze. Remi zaczął ochryple rzeźić, Radvina skuliła ramiona, Mia chwyciła się za gardło. Grim również poczuł zimno bijące od zmarłego, zupełnie jakby cienie wypływały z jego wnętrza w jego stronę, osaczając go lodowatą magią. Lyskian podszedł do wampira. Jego dłoń była spokojna, kiedy poruszył nią w powietrzu nad czołem zmarłego, ale Grim widział jak czerń zamigotała w oczach przyjaciela. Wiedział, że Lyskian, jak wszyscy przedstawiciele jego ludu, w jednakowym stopniu

gardzi śmiercią, jak i jej pragnie, i przypomniał sobie, co przyjaciel powiedział mu kiedyś pewnej wyjątkowo zimnej nocy. *Śmierć jest czarodziejką*, powiedział Lyskian szeptem, zupełnie jakby się krępował wypowiadać te słowa albo jakby coś w nim broniło się przed zawartą w nich prawdą. *Nie inaczej. Przemienia tylko to, co kocha. Mam ją w sobie, jestem jej niewolnikiem i jej narzędziem, ona jednak nigdy nie weźmie mnie miłości w ramiona, nigdy nie ułoży mnie na spoczynek, nigdy nie zapewni mi domu, tam gdzie noc i mrok. Rozerwie mnie na strzępy, bo jestem taki jak ona... a po tym nie będzie już nic, poza mrokiem we mnie.* W tamtym momencie Grim nie był do końca pewien, czy właściwie zrozumiał słowa Lyskiana, także teraz w to powątpiewał, ale kiedy zobaczył, jak kruchy wydaje się jego przyjaciel stojący obok martwego wampira, obok powłoki, która nawet jeśli rozpadłaby się w popiół, to i tak nigdy całkowicie by nie zniknęła, nie rozpułnęła się, żeby panujący nad nią umysł nie wiadomo jak tego pragnął... wtedy dotarło do niego, co one miały znaczyć i to przelotne zrozumienie przejęło go dreszczem.

Przez ciało Lyskiana przeszedł skurcz, jego palce na moment zeszywniały. Spojrzał na Grima, jego oczy były dwoma czarnymi kawałkami lodu.

– Ten grób jest tutaj naprawdę... – powiedział ledwie słyszalnym szeptem. – To jest istota tego, czego szukaliśmy. Musimy...

Więcej nie zdołał powiedzieć, ponieważ w tym momencie zmarły gwałtownie otworzył oczy. Grim zdążył tylko zobaczyć, jak jaskrawe światło jego spojrzenia odrzuca Lyskiana, a potem on sam został trafiony tym blaskiem, który uderzył go w twarz jak czyjaś potężna pięść.

Potknął się i upadł na kolana. Światło stało się tak jaskrawe, że całkiem go oślepiło. Zawołał Mię, ale zaraz blask zniknął i do jego nozdrzy dotarła woń dymu, ciężkiego, gryzącego dymu. Kiedy przyszedł do siebie, nagle poczuł w całym ciele wielkie wyczerpanie.

Dziedziniec zniknął. W powietrze sterczały zwęglone pnie drzew, otoczone ogniskami tłącego się żaru, kolumny były częściowo zwalone, a okruchy szklanego dachu, wyglądające jak igielki lodu, zasypały ruiny. Tylko posąg stał na swoim miejscu. Posadzka u jego stóp była nienaruszona, lecz ogień lizał jego ciało, kamień trzeszczał i Grim słyszał szum ogniowych ścian, upiornie zamiatających ziemię. Był to

magiczny ogień o potężnej mocy. Słupy dymu wznosiły się z murów, dostrzegł niewyraźne zarysy portalu w ścianie, a przed nim, otoczone dymem i płomieniami, liczne postacie cofały się przed żarem. Miały na sobie ciemne opończe i Grim wiedział, że mogą to być tylko Rhak' Hontayowie. Trzech Łowców umożliwiło pozostałym ucieczkę. Grim widział potężnego wampira z blizną biegnącą przez policzek, drugiego, którego białe włosy świeciły jaśniej od otaczających go płomieni, i kobietę-wampira, której oczy płonęły niebieskim płomieniem. Nie patrzyli w ogień, który trawił Akademię, nie patrzyli na uciekających, których chronili swoją magią i nie patrzyli też na magię skupioną w ich dłoniach. Ich spojrzenia były skierowane na niego. Grim dostrzegł na ich twarzach przerażenie, które było ledwie tchnieniem, ale i tak nadało tym prastarym wojownikom niespodziewaną kruchość. Grim chciał się pozbierać, ale żar z taką mocą smagnął jego skórę, że z sapnięciem opadł z powrotem. Zaczerpnięcie powietrza stało się nagle czymś tak niezwykłym, jakby próbował tego po raz pierwszy od nie wiadomo jak długiego czasu, a kiedy zacisnął powieki, sprawiały wrażenie płonącego papieru. A niech to, od kiedy to on, Dziecię Ognia, jest tak wrażliwy na działanie płomieni? Miał coś w płucach i kiedy zakaszał, splunął krwią. Dotknął piersi. Poczował ranę, rozerwane ciało, i jak ogłuszony popatrzył na swoją dłoń. Krew, która z niej spływała, była czarna, lecz palce były ludzkie i blade, jakby odlane z wosku i wystawały z rękawa ciemnej opończy. Opończy Łowcy.

W tym samym momencie powietrze wypełnił straszliwy jęk. Grim wiedział, że to posąg, zanim jeszcze na niego spojrział. Z ciemności pod kapturem buchały płomienie. I słyszał swój własny krzyk, kiedy posąg jakby w zwolnionym tempie przechylił się i upadł, z hukiem rozpadając się na tysiące kawałków. I ledwie ciało wampira się roztrzaskało, ciało Grima przeszył niewyobrażalny ból po tej stracie. Uderzył głową w posadzkę. Spoczywały na nim palące spojrzenia Łowców i Grim wiedział, że rozpadł się ich sojusz. Leżał niezdolny do ruchu, nie wiedząc, czy tym, co nie pozwala mu się podnieść, jest przerażenie wywołane tą świadomością, czy też jego roztrzaskane ciało. Leżał tak w obcym ciele i wpatrywał się w dłoń, która nie była jego dłonią. Była to dłoń wampira, którego grób był kluczem do tej iluzji.

Ledwie tak pomyślał, usłyszał krzyk. Ktoś upadł przy nim na kolana. Rozpoznał zarysy ręki z czarnymi znakami, które wżarły się głęboko w ciało, i usłyszał prastare słowa, które wyszły z jego ust niesione przez obcy głos.

– Lhor´na Proroas – wyszeptał. – *Tańcowi ciemności.*

Ledwie słyszalne były te słowa, a jednak to one właśnie odjęły Grimowi ból i coś łagodnie musnęło jego pierś, coś, czego nie potrafił nazwać. Zrobiło mu się czarno przed oczami, przez chwilę spodziewał się, że runie w wieczne ciemności i już nigdy nie zdoła się z nich uwolnić. W tym momencie poczuł pod rękami chłodny piasek, a kiedy otworzył oczy, zobaczył, że znajduje się na nietkniętym dziedzińcu Akademii. Bez tchu podniósł się na nogi, magia iluzji na moment zadrgała ponad obrazem, który widział, a potem zapadła się w siebie, jak złudny welon. Pod spodem była prawda: wypalona, na wpół zawalona ruina.

Grim przesunął dłonią po oczach. Mia i pozostali rozglądali się wokoło, jakby zostali wyrzuceni na brzeg zdeformowanej krainy czarów. Radvina klepała po plecach Edwina, który najwyraźniej nawdychał się za dużo dymu, a Jaro przesunął zimnym i nieodgadnionym wzrokiem po czarnych resztkach murów. Remi pofrunął nad kawałki roztrzaskanego posągu, którego cokół sterczał w ciemnościach jak ponure ostrzeżenie. Tylko Lyskian siedział nieruchomo przy sarkofagu Łowcy, który jako jedyny nieuszkodzony przedmiot odcinał się czystą bielą od zwęglonego krajobrazu.

– A więc to miała ukryć iluzja – powiedziała cicho Mia. Patrzyła na ruiny, jakby chciała dotknąć wzrokiem najdrobniejszego szczegółu, aby dowieść swojemu rozumowi, że zniszczenia są prawdziwe.

Grim przesunął dłonią po popiele, jaki został ze zwałonego muru, i wciągnął jego zapach.

– Akademia została spalona dawno temu. Przypuszczalnie Thoron i jego siepacze ją odnaleźli i postąpili z nią tak, jak ze wszystkim, czego się bali i czego nienawidzili.

Remi otrzepał ubranko z sadzy i przez chwilę otaczała go ciemna chmurka.

– Ale kto w takim razie stworzył iluzję? I czy wy też widzieliście

Łowców za ścianą ognia? Jeden z nich zginął, ale gdzie podzieli się pozostali?

– I kto go tutaj pochował? – Mia patrzyła na twarz wampira, jakby stała przy trumnie człowieka, malarza, który opuścił córkę dawno, dawno temu.

Wyszeptanymi cicho słowami Lyskian otworzył portal, który widzieli w swojej wizji. Wyłonił się w formie srebrzystych linii z na wpół zwęglonych resztek muru.

– Tam możemy znaleźć odpowiedzi – wymamrotał, ale Radvina zdecydowanym gestem założyła ręce na piersi.

– Za żadne skarby przez to nie przejdę – powiedziała i otworzyła oczy tak szeroko, że Grim przez chwilę obawiał się, iż mogą jej wypaść z oczodołów. – Już raz to zrobiłam i dostałam się do tego... tego... piekielnego labiryntu! Raz i nigdy więcej, powiadam! To na pewno jest jakaś pułapka i...

Jaro pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się, żeby to mogła być pułapka. Bez Lyskiana przypuszczalnie w ogóle nie zobaczylibyśmy tej wizji i nigdy byśmy na to nie wpadli, że kryje się tam jakiś portal. Tak przemyślnie ukrywanie pułapki nie miałyby sensu.

Grim założył ręce na piersi. Chociaż obojętność Jaro i ten blask w jego oczach, który w każdej chwili potrafił nabrać złośliwego i podstępного wyrazu, działały mu na nerwy, to jednak chłopak głupi nie był.

– I spójrzcie na ten sarkofag – dorzuciła Mia. – Wygląda na to, że śmierć tego Łowcy rozbiła sojusz, ale ktoś nadal pielęgnuje jego sarkofag. Kamień jest czysty, nie ma na nim popiołu i pyłu. Przy tym wietrze, który wieje w ruinach, z biegiem czasu brud musiałby się na nim osadzić. – Powoli pokiwała głową. – Tak, ktoś tutaj przychodzi, żeby zajmować się sarkofagiem, i przypuszczam, że korzysta z tego portalu, żeby oszczędzić sobie drogi przez labirynt.

– Trudno się temu dziwić – wymamrotał ledwie słyszalnie Edwin.

– Ktoś kultywuje pamięć Akademii – powiedziała Mia i ostrożnie przesunęła dłonią po policzku wampira. – Fharrl miał rację, mówiąc, że to serce nadal bije. Musimy...

Jej słowa zagłuszyło nagłe dudnienie, a zaraz potem gwałtowne trzęsienie ziemi. Grim z trudem utrzymał równowagę, a Remi kurczowo złapał się jego płaszcza, kiedy tuż przed nimi wystrzeliła z ziemi fontanna czarnego ognia. Z potężnym hukiem w posadzce utworzyła się szpara i z niesamowitą szybkością rozcinała dziedziniec w poprzek.

– Szybko! – krzyknął Grim, łapiąc za kołnierz Edwina, który stał najbliżej niego. – Do portalu! Pospieszcie się!

Wbrew obawom Grima mały Hartyda natychmiast ruszył przed siebie, lecz zanim zdążył dotrzeć do przejścia między kolumnami, z pęknięć w posadzce wystrzeliły metrowej wysokości purpurowe płomienie i odcięły mu drogę. Ogień, parszkając, buchał w jego stronę. Edwin odskoczył z powrotem do Grima i złapał za rękę Radvinę, która skamieniała z przerażenia patrzyła na miotające się na wszystkie strony płomienie. W ostatniej chwili Jaro zdołał przeskoczyć przez jedno z pęknięć, a Grim przyciągnął Mię do siebie.

Płomienie ich otoczyły, a po chwili zaczęły pojawiać się w nich łby węży, z sykiem rozdziawiające paszcze i wypełniające powietrze śpiewem. Grim odrzucił je uderzeniem gromu, one jednak z powrotem pełzły w ich stronę po kamieniach, rozdzierając powietrze rozdygotanym żarem. Edwin znowu złapał się za gardło, Radvina zaczęła się chwiać na nogach i nawet Grim czuł, jak ogień odbiera mu dech. Właśnie zamierzał zrobić w nim wyrwę Burzowym Zaklęciem, kiedy przez ścianę płomieni przeskoczył Lyskian. Jego płaszcz płonął białym ogniem, wampir pospiesznie przyciągnął do siebie Radvinę i Edwina i zanim zdążyli się zorientować, co się z nimi dzieje, rzucił się w stronę portalu. Grim zacisnął pięści, jego burzowy wichur rozdzielił płomienie. Czuł na dłoniach ugryzienia węży, kiedy przytrzymał powstały w ten sposób korytarz. Jak najszybciej się dało, przeskoczył razem z pozostałymi na drugą stronę. Srebrzyste światła portalu położyły się chłodnymi rozbłyskami na jego skórze. Ostatnie, co zobaczył, to była postać martwego Rhak' Hontaya na sarkofagu. A potem objęło go światło.

Spodziewał się, że wyląduje w jaskini, może w innym obszarze Akademii albo w jakimś zupełnie nieznanym mu miejscu. Lecz bardzo się mylił. Poczł woń nafty, usłyszał klekotanie drewnianych kończyn i jeszcze zanim się rozejrzył, już wiedział, gdzie się znajduje.

– Niech to szlag! – zadudnił groźnie. – Co tu jest, do diabła, grane?



## Rozdział 20



Marionetki wisiały w długich rzędach u sufitu, siedziały na wysłużonych fotelach i zaludniały półki, na których piętrzyły się stosy drewnianych rąk, głów i nóg, a także zakurzone tkaniny i narzędzia snycerskie. Pajęczyny splatały się z nićmi i kiedy Mia rozpalila ogień na dłoni, w jej oczach roztańczyły się cienie. Zdezorientowana ściągnęła brwi. Wylądowali w piwnicy Alvinora. Tylko co on ma wspólnego z Akademią Cieni?

Lyskian skierował spojrzenie w ciemność. Jego twarz była słabo oświetlona jej światłem, lecz Mia wiedziała, że Lyskian wszystkimi zmysłami bada teraz otaczający ich mrok. Wreszcie kiwnął głową w stronę Grima, jakby po krótkiej rozmowie przeprowadzonej w myślach.

*Pierwsze piętro*, usłyszała Mia jego głos.

Powietrze w pomieszczeniach ekspozycyjnych wibrowało pod palcami potężnej magii. Lalki poruszały się w podmuchach wiatru, który wdzierał się przez szpary w oknach, i Mia miała wrażenie, jakby lalki wykrzywiały twarze, kiedy obok nich przechodziła. Najciszej, jak potrafiła, weszła za Lyskianem po schodach i ledwie dotarli na pierwsze piętro, ciszę wypełnił jakiś odgłos, cichy, ale jednak wystarczająco wyraźny, by Mia się zatrzymała. Był to szmer płomieni, tych samych, które przed chwilą stanowiły dla nich śmiertelne zagrożenie w Akademii. Przytłumiła światło na swojej dłoni i zmrużyła oczy, chcąc dostrzec coś w czerni korytarza. Spod drzwi na samym jego końcu wydobywał się migocący czerwony blask. Kiedy się do nich zbliżyła, serce zaczęło bić jej szybciej. Pomyślała, że chociaż raz w życiu chciałaby umieć poruszać się tak bezgłośnie jak Lyskian, i to najlepiej właśnie w tej chwili. Ledwie przebiegło jej to przez głowę, a wampir spojrzął w jej stronę.

*To życzenie jest nie do pogodzenia z pojęciem życia*, powiedział cichym szeptem i uśmiechnął się. A potem wykonał ostatni krok w stronę drzwi. Światło migotało na jego twarzy, sprawiając, że wyglądała jak z marmuru. A potem gwałtownie je otworzył.

Pierwsze, co zobaczyła Mia, to wielki krąg ognia pośrodku pokoju. Purpurowe płomienie, wijąc się, były aż do sufitu. W pomieszczeniu fruwały płomieniste znaki magicznych formuł, z lekkim sykiem przebijały ścianę ognia i popiskiwały ciemnymi głosami, a przed tym widowiskiem, obejmując rękami rozżarzoną błękitną księgę, klęczał Alvinor, który z przestachem podniósł na nich oczy.

Właśnie otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy głosy wokół niego stały się donośniejsze. Znaki w powietrzu zmieniły kształty, stały się wykrzywionymi maskami, które z wrzaskiem pomknęły w stronę drzwi. Ze zdumiewającą szybkością Alvinor zerwał się na równe nogi i zanim Lyskian zdążył unieść dłoń, by obronić się przed tą wyrwaną spod kontroli magią, cisnął trzymaną w rękach księgę na podłogę. Wolumin rozpadł się na błyszczące odłamki i maski natychmiast zniknęły, płomienie zgasły, a w powietrzu rozniósł się zapach dymu. Alvinor rzucił się w ich stronę.

– A wy co tu, u diabła, robicie? – wykrzyknął, nie posiadając się ze zdumienia. Dym z pomrukiem wrócił w obręb linii unieruchamiającego czaru. Delikatne drobinki sadzy wirowały w powietrzu.

– Tak się składa, że akurat znowu uszliśmy z życiem, nic ponadto – odparł ponuro Grim. – Pytanie powinno brzmieć raczej, co ty tutaj robisz. Ten ogień mógł nas zniszczyć i to najwyraźniej na twój rozkaz.

Alvinor patrzył na niego z nieprzeniknioną miną, a potem pokręcił głową.

– A więc to byliście wy... – wymamrotał. – Czyli że ją znaleźliście, Akademię Cieni...

Lyskian ledwie dostrzegalnie przytaknął ruchem głowy.

– Co masz wspólnego z tym miejscem, mistrzu Alvinorze? I dlaczego wysłałeś przeciwko nam ogień?

Bibliotekarz podniósł spojrzenie, a po jego wargach przemknął lekki uśmiech. Następnie wskazał na fotele stojące w jednym z kątów i z westchnieniem usiadł na jednym z nich. W milczeniu odczekał, aż

skorzystają z jego zaproszenia. Na poręczach foteli była sadza, Mia czuła pod palcami jej miękkość. Alvinor spojrział na swoje dłonie, na tle sadzy wyglądały jak wyblakłe kości.

– Nie miałem pojęcia, że to wy – wymamrotał. – Usłyszałem tylko alarm, który pokazuje mi, kiedy ktoś dobiera się do Akademii i... – zamilkł na moment. – Znaleźliście sarkofag, prawda? To serce Akademii, a ja... ja jestem jego strażnikiem.

Grim założył ręce na piersi.

– Co to ma znaczyć? Co tam jest do pilnowania w tej ruinie? I gdzie są Łowcy, którzy wcześniej zamieszkiwali to miejsce?

W oczach Alvinora coś zamigotało.

– Równie dobrze to ja mógłbym was spytać, czego tam szukaliście. Domyślam się jednak, zważywszy okoliczności wstrząsające tym światem, że muszę wam z przykrością powiedzieć, że Rhak' Hontayowie odeszli. Doskonale pamiętam Pierwszych Pięciu... Dawniej często u mnie bywali ze względu na zaklęcia i przez długi czas nie miałem pojęcia, kim oni są... Nikt tego nie wiedział, poza nimi samymi. Żyli w ukryciu, nie zdradzali swojej tożsamości. Nikt jednak częściej od nich nie przychodził z powodu najtrudniejszych rytuałów i w końcu nie mogli już dłużej utrzymać tego przede mną w tajemnicy.

Słaby uśmiech przemknął po jego ustach, kiedy ciągnął:

– Feysthar o białych włosach, który poza bitwą nigdy nie wypowiedział ani słowa, ponieważ jego głos był zbyt straszliwy; Ingynon z blizną biegnącą przez policzek, pamiątką po walce z Szarym Dżinem; Andraka, której spojrzenie potrafi przebić i kamień, i ciało; Samhur o oczach z mrozu, którego żądza zemsty była nienasycona, i Oreyon, najmłodszy z nich, który zmarł w Ogniu. – Kiedy zaczerpnął tchu, twarz skrzywiła mu się jak pod wpływem bólu. – Tak, Pięciu Pierwszych Łowców tego świata. Wraz z ich sojuszem rozpadła się Lhor'na Phrakam'thin.

Lyskian patrzył na niego bez ruchu, lecz w jego oczach tańczyły czarne płomienie.

– Co się z nimi stało?

– Siepacze Thorona odnaleźli Akademię – odparł Alvinor chropawym głosem. – Spalili miejsce, które kiedyś było ojczyzną

Łowców i źródłem wiedzy o demonach naszego świata. Oreyon padł w czasie bitwy, a pozostali Łowcy postanowili ostatecznie wycofać się do Cieni. Ponieważ mi ufali, poprosili, abym miał oko na Akademię, chronił ją przed splądrowaniem i gniewem demonów, i... abym dbał o sarkofag Oreyona. Zgodziłem się i od tamtej pory dotrzymuję obietnicy.

Grim rozprostował się, że aż strzeliły mu stawy.

– Wiedziałem, że Thoron musiał maczać w tym palce – powiedział ponuro. – Jego nienawiść pozostawiła głębokie blizny na obliczu Innoświata.

Mia ledwie dostrzegalnie pokiwała głową, wspominając tego okrutnego i zrozpaczonego króla Gargulców, egzekucję Hybryda, której była świadkiem, i ludzi, których Thoron potajemnie trzymał w lochach, aby wykradać ich sny. Wielu z nich wciąż jeszcze żywiło głęboki lęk przed Gargulcami, przed niskim brzmieniem ich głosów. Remi westchnął głęboko, jakby dokładnie to samo sobie przypominał, także Hartydzi milczeli, jakby czuli niezręczność wiszącą w powietrzu. Tylko twarz Lyskiana była tak zimna, że Mię przeszedł dreszcz.

– Czy opowiedzieli ci, mistrzu Alvinorze, co się wówczas stało? – spytał. – O tym, jak zginął Oreyon?

Mia wiedziała, że nikt – może poza Grimem – nie dostrzegł zmiany, jaka zaszła w Lyskianie, ale zdawało się jej, że ma przed sobą kogoś zupełnie innego niż jeszcze parę chwil temu. Siedział tu jak człowiek, ale był wampirem, wielce inteligentnym, nieczułym mordercą, który nie znał moralności ani nie miał sumienia, kiedy działał wedle swoich własnych zasad. Ściągnęła brwi. Dlaczego właśnie teraz przychodzą jej do głowy takie myśli? Czy to była wina sposobu, w jaki Lyskian patrzył na Alvinora, czy w jaki położył dłoń na oparciu fotela? Albo tego, że drobiny sadzy nie mogły utrzymać się na jego palcach, bo były one na to za zimne?

Alvinor nie patrzył na Lyskiana. Siedział zapadnięty w sobie i zmęczony, i tylko ledwie dostrzegalnie kiwnął głową.

– Tak, Ingyon opowiedział mi o okolicznościach jego śmierci. Opowiedział mi o ogniu, o ranie ziejącej w piersi Oreyona i powtórzył mi jego ostatnie słowa. Do dziś pamiętam przerażenie w oczach Ingyona... w tych jego czystych, zimnych oczach, które nigdy przedtem

nie zdradzały najmniejszych nawet emocji. Strata Oreyona zepchnęła sojusz Łowców w otchłań, co do tego nie ma wątpliwości.

Mia dotknęła piersi. Nagle poczuła ból zranienia, słyszała szum płomieni wokół siebie i czuła słowa cisnące się jej na usta. Sięgało po nią zimno śmierci, ale w niewypowiedziane bezwzględny i okrutny sposób, a kiedy dech zamarł jej w piersi, a w oczach pojawiły się cienie, dopiero wtedy pojęła, że było to uczucie, jakiego doznał w ostatnich chwilach Oreyon. Był to nie tylko ból z powodu zagłady sojuszu, nie tylko przerażenie i strach. Pośród tych wszystkich emocji, które nią targały, była też jakaś czułość miłośniczo zagładająca jej w oczy. Tym, co Oreyon odczuwał w ostatnich chwilach życia, było... współczucie.

Uniosła głowę i spojrzała na Lyskiana. Nie potrafiła jeszcze ułożyć swoich odczuć w konkretną wiedzę, ale kiedy napotkała jego spojrzenie, od razu wiedziała, że poszedł w swoim myśleniu znacznie dalej od niej. Powoli odwrócił się do Alvinora i lekko pochylił.

– A Ingynon, ten z blizną na policzku? – spytał nieomal szeptem. Alvinor kiwnął głową.

– Tak, odniósł ją, kiedy... – Alvinor podniósł wzrok i spojrzał na Lyskiana, lecz teraz chyba i on dostrzegł chłód w jego oczach, napięcie całego ciała i delikatny, okrutny uśmiech drapieżnika na moment przed tym, gdy śmiertelnie wpije się w ofiarę.

– Ingynon stał blisko piątej z rzędu kolumny – powiedział Lyskian. – Był blisko portalu, kiedy zginął Oreyon. Stał tam wraz z dwoma innymi Łowcami, przypuszczam, że byli to Andraka i Feysthar, którzy pomagali uczniom w ucieczce przed płomieniami. W którymś momencie spojrzał w stronę Oreyona... ale to niemożliwe, żeby usłyszał jego ostatnie słowa przez huk płomieni.

Cisza, jaka zapadła, była absolutna. Alvinor siedział jak skamieniały, nagle na jego twarzy pojawiło się coś jakby ulga, zupełnie jakby od bardzo długiego czasu czekał na ten moment, a jednocześnie ze wszech miar się go obawiał. W tym momencie Lyskian złapał go za ramię. Alvinor nie zdążył się odsunąć, odwinął rękaw i sprawił, że na jego dłoni zatańczyły jasne iskry. Przez skórę przebiły się czarne znaki – te same, które Mia widziała w swojej wizji, znaki na skórze tego, który padł na kolana obok Oreyona. Wbiła wzrok w Alvinora i w tym samym

momencie już wiedziała, że to nigdy nie było jego prawdziwe imię.

Zimny uśmiech przemknął po wargach Lyskiana.

– Ty jesteś Samhur – powiedział wampir cichym szeptem. – Łowca z Pierwszej Piątki.

Alvinor spojrział na niego krótko, a potem jego twarz wykrzywiła się w demoniczną maskę. Wydał okrzyk, odepchnął Lyskiana tak gwałtownie, że ten opadł z powrotem na fotel, i jednym susem skoczył do drzwi.

„Nie wygląda na specjalnie zachwyconego, że go znaleźliśmy”, pomyślał Grim, ale zanim zdążył choćby odwrócić wzrok w jego stronę, Lyskian zerwał się z miejsca i pognął za Samhurem. Odgłos kroków Łowcy, jaki do nich docierał, był dziwnie nierzeczywisty i kiedy Mia razem z pozostałymi zbiegała po schodach, przez dom przetoczyło się głośne dudnienie. Radvina krzyknęła, ale jej głos zginął w ogólnym hałasie. Schody zaczęły się chwiać, stopnie stały się miękkie, jakby były z żywej tkanki, ściany pokryły się ciemną, błyszczącą cieczą i uległy deformacji jak w krzywym zwierciadle.

– Krew! – wrzasnął Edwin załamującym się głosem i w panice zaczął wycierać w spodnie dłoń, którą niechcący dotknął ściany.

Mia nie słuchała go. Razem z Grimem była zajęta schodzeniem po tych przeklętych schodach i podążaniem za Lyskianem, który z ogromną szybkością gnał za Łowcą. Remi trzymał się ramienia Grima, a Mia chciała się złapać poręcz, ale natychmiast cofnęła rękę, ponieważ poręcz sprawiała wrażenie ruszającej się, na w pół poszarpanej kończyny. Z porozrywanego ciała sterczały ścięgna, widziała też kości i włókna mięśni, i zanim zdążyła ostrzec pozostałych, biegnąca za nią Radvina potknęła się i pociągnęła ją za sobą w dół schodów. W ostatniej chwili Grim uratował je przed upadkiem.

– Do diabła, skupcie się! – rzucił wściekle w stronę Hartydów, co Jaro skwitował pełnym niechęci spojrzeniem. Właśnie chciał coś odpowiedzieć, kiedy powietrze rozdarł huk zatraskiwanych drzwi. Gdy ruszyli dalej, pomieszczenia zamieniły się w długie, mroczne korytarze. Odchodziły od nich niezliczone drzwi. Grim otworzył jedno z nich, a wtedy wystrzeliły w jego stronę krwawe macki. Lyskian natomiast wydawał się instynktownie w tym wszystkim orientować. Otwierał

kolejne drzwi i klapy w podłodze i prowadził ich coraz bardziej zbliżając się do Samhura, który biegł przez odpowiadające echem korytarze, przez skrzypiący piasek i przez kocie łby. Lecz w momencie, kiedy Mii już się zdawało, że za następnymi drzwiami na niego wpadną, nagle wszyscy znaleźli się z powrotem w jednym z pomieszczeń ekspozycyjnych.

Drzwi za nimi zatrzasnęły się i pokryły zaskorupiającą skórą, całkowicie stapiając się ze ścianą. Lyskian coś wymamrotał, jego słowa szukały kroków Łowcy, lecz wszystko, co udało im się przywołać z ciemności, było to bicie serca. Mia zmarszczyła brwi. Nie, to było bicie wielu serc, na początku ciche i nieregularne, a potem coraz głośniejsze. Lyskian odwrócił się, a jego płaszcz prześlizgnął się po twarzach szeregu drewnianych lalek. Mia poczuła grozę, kiedy zamiast na drewno i pomalowane na różowo policzki spojrzała w poruszające się oczy, żywe oczy, które się w nią wpatrywały. Rozległ się stukot, kiedy marionetki jedna po drugiej odwróciły głowy, a kiedy odgłos bijących serc stał się prawie nie do wytrzymania, lalki rozdziawiły usta i zaśmiały się.

Mia aż krzyknęła, tak przerażający był to dźwięk – śmiech utkany z głosów umierających dzieci. Chciała chwycić dłoń Grima, ale zanim zdołała jej dotknąć, marionetki rzuciły się w jej stronę. Twarze przypominające powykrzywiane maski sunęły przez pomieszczenie, gwałtowne razy trafiały Mię w plecy i słyszała słowa w niezrozumiałych językach, które kłuły ją jak noże. Gardło jej się zacisnęło, coś działo się z jej ciałem. Czuła się tak, jakby pod wpływem głosów marionetek jej ciało zamieniało się w kamień... albo w drewno. Jej lewa ręka gwałtownie poderwała się w górę, ale to nie ona nią poruszyła. Ogarnęło ją wielkie przerażenie, kiedy jej własne palce wpiły się w jej ramię, pozostawiając głębokie szramy w ciele. Zawołała Grima, ale wokół niej był tylko wir powykrzywianych marionetek. Niektóre z nich robiły się większe, zbierały się na podłodze, wstając nieporadnymi ruchami, i Mia czuła, jak jakaś obca wola zmusza ją, aby się odwróciła i spojrzała w twarz jednej z marionetek.

Był to rozbójnik, który wyrósł do wielkości Grima. Jego peleryna kołysała się w takt sztywnych kroków, jakimi zmierzał w stronę Mii, a na wargach miał uśmiech. Mroczny, okrutny uśmiech. Jego oczy mieniły się tysiącami barw, które Mia kiedyś знаła, ale o których zapomniała,

barw z innego świata. Kiedy uniósł dłoń, chciała się cofnąć, ale nie mogła wykonać żadnego ruchu. Dostrzegła jeszcze błysk w jego oczach, złośliwy i pożądliwy, sięgający po wszystko, czym była, a potem z jego dłoni pomknęło w jej stronę coś jak pył. Poczowała jego klucie w oczach, krzyknęła z bólu i zaraz potem przestała widzieć wokół siebie cokolwiek poza wirującą mgłą.

Zatoczyła się i padła na kolana. Jej dłonie były teraz z drewna, nie czuła pod palcami podłogi, nie czuła wichru, który wokół niej szalał. Odczuwała tylko boleśnie bicie serca w swoim znieruchomiałym ciele i nagle znowu zaczęła dostrzegać otaczające ją ze wszystkich stron marionetki... nie, to już nie były marionetki, tylko martwi ludzie – Josi, Cécile, wszyscy wisieli na cieniutkich sznurkach wrzynających się głęboko w ich martwe ciała i tańczyli z wykrzywionymi twarzami w takt głosów umierających dzieci.

Mia odwróciła wzrok. Wiedziała, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, i własnymi siłami przywróciła sobie świadomość. Zamknęła oczy. Samhur rozpełtał magię demonów, zaczarował ją, musi stawić opór jego mocy. *Demony negują to, co chcą zniszczyć*, usłyszała głos Lyskiana w swojej głowie. Na moment zobaczyła siebie stojącą w sali treningowej w jego domu i przypomniała sobie jego uśmiech, kiedy po raz kolejny rzucił ją na kolana magią demonów... I ciepło jego dłoni, kiedy pomagał jej się podnieść. Z całej siły skoncentrowała się na jego głosie, żeby nie pozwolić magii owdądzać sobą jeszcze bardziej i nagle usłyszała Lyskiana tak wyraźnie, jakby właśnie teraz do niej mówił, a nawet więcej: zobaczyła go przed sobą, mimo że miała zamknięte powieki.

Stał z przechyloną głową pośród rozszalałego wiru marionetek, jego płaszcz łopotał na wietrze. Mia dostrzegła też zarysy postaci Grima i pozostałych, którzy tak jak i ona byli bezradni w środku czaru. Lyskian stał nieruchomo, ale Mia odbierała jego myśli, przenikały one przez magię demonów i niby czułe dotknięcie kładły się obronnym gestem na jej czole. Po jego twarzy przemknął ledwie zauważalny uśmiech, kiedy zwrócił się w jej stronę. A potem nagle uniósł głowę, jego oczy stały się zielone jak Ogień Kłątwy i z rykiem, który zagłuszył wszelkie inne dźwięki, wyrzucił ramiona w górę. Z jego dłoni wystrzeliły płomienie,



niby rozpalony welon wionęły przez całe pomieszczenie, otulając sobą marionetki, by za moment upuścić je zwęglone na podłogę.

Zaraz potem paraliż ustąpił z ciała Mii. Ciężko dysząc, złapała się za gardło. Leżała na podłodze, a wokół niej, z nieruchomymi oczami zwróconymi w jej stronę siedziały marionetki, jakby nigdy nic innego nie robiły. Lyskian pomógł jej się podnieść, a chłód jego palców odebrał jej ciała ból i sprawił, że mogła złapać oddech.

– A co to takiego było, że... – zaczął Grim, ale zanim zdołał dokończyć zdanie, przez pokój przeszedł lodowaty podmuch. Drzwi wejściowe do domu stały otworem.

Noc powitała Mię mroźnymi szponami, kiedy razem z pozostałymi wybiegła na ulicę, żeby gonić Samhura przez zaułki. Był niedaleko od nich, kierował się w stronę Wełtawy, widzieli tylko ciemny zarys postaci, niczym tańczący cień. Gwałtowny wicher wionął Mii w twarz, zaczął szarpać jej włosy i zmusił do zamknięcia oczu. Czuła drżenie ziemi pod nogami, słyszała trzaski potężnych błyskawic i woń będącą mieszaniną siarki i spalonego żarem kamienia.

Za moment burza ucichła i pierwsze, co zobaczyła Mia, to była twarz Grima. Nic nierozumiejącym wzrokiem spoglądał w dół, na Wełtawę, a na jego skórze tańczyły zielone i czerwone ogniki. Mia podążyła za jego spojrzeniem i... nie mogła uwierzyć własnym oczom.

## Rozdział 21



Wełtawa zniknęła. Zamiast niej widzieli zupełnie inną rzekę, rzekę z zielonych i czerwonych iskier, które mieszały się z falami, przenikając je, a wyglądały jak zorza polarna. Przez nurt ciągnął się tunel, na jego końcu widać było słaby blask portalu, przez który uciekł Samhur. Lyskian pospiesznie rzucił się w stronę rzeki. Srebrzyste płomienie wystrzeliły z jego palców i otoczyły tunel migotliwą poświatą. Kiedy czar dotarł do portalu i obsypując go iskrami, uniemożliwił mu zapadnięcie się, usłyszeli głuchy jęk.

– Szybko! – ryknął Lyskian, przekrzykując wicher. – Nigdy nie odnajdziemy Samhura, jeśli teraz stracimy jego ślad!

Grim rozpostarł skrzydła, wycelował w brzeg i wylądował obok Lyskiana, który stał przed tunelem z rozłożonymi ramionami, podtrzymując swój czar.

– Portal już zaczyna migotać, musimy się pospieszyć!

Mia i Hartydzi, z trudem łapiący oddech, znaleźli się tuż przy nim.

– To przecież jakieś szaleństwo! – zawołała wzburzona Radvina. – Za nic w świecie nie dam się zaciągnąć do tego tunelu! Nigdy w życiu!

Grim właśnie nabierał powietrza, żeby przemówić do rozumu histerycznemu babsztyłowi, ale w tym momencie Mia położyła jej rękę na ramieniu.

– Ukryjcie się na cmentarzu – powiedziała z naciskiem. – Przyjdziemy po was, jak tylko odnajdziemy Samhura.

– Nie ma mowy. – Jaro założył ręce na piersiach. – Wystarczająco długo siedziałem w ciemnościach, kryjąc się przed światem. Dosyć tego. Teraz...

Grim bez wahania chwycił go za gardło i dostrzegł przerażenie w jego oczach. Bicie serca Hartydy pulsowało w jego palcach, ale Grim

słyszał za sobą stękającego z wysiłku Lyskiana ostatkiem sił podtrzymującego czar, nie zwracał więc na to wielkiej uwagi.

– Chcesz umrzeć? – spytał dudniącym głosem i przyciągnął Jaro tak blisko, że jego oddech muskał policzki tamtego. – Chcesz się dowiedzieć, jak to jest, kiedy się płonie w magicznych płomieniach, od lodowego ognia i tysięcy klątw, które Samhur pośle w naszą stronę, bo ma nierówno pod sufitem? Chcesz zobaczyć, jak ten przeklęty Łowca wyrywa ci z ciała każdą kość z osobna, żeby wykorzystać je do któregoś ze swoich rytuałów?

Odczekał, aż maska na twarzy Jaro pękła i w jego oczach pojawił się strach, którego się wstydził, ale wobec którego był całkowicie bezsilny.

– Jesteś Hartydą, który jeszcze nie zna swoich mocy – ciągnął Grim. – I masz w sobie wielką złość. Nie mam ochoty bawić się tutaj w psychologię, dlatego powiem tylko jedno: nie pozwolę, żebyś sprowadził niebezpieczeństwo na kogokolwiek z nas, nawet na siebie samego! Poczekaś tutaj razem z tamtymi, i zrobisz, co w twojej mocy, by ich ochronić. A jeśli nadal chcesz być z nami, co ci jak najdobitniej doradzam, jeśli ci życie miłe, to zrobisz, co powiedziałem, albo tego pożałujesz, jak jeszcze niczego w życiu! Zrozumiano?

Na moment w spojrzeniu Jaro pojawił się żar, lodowata wściekłość, która gasiła wszelki lęk, zaraz jednak spuścił wzrok i ledwie zauważalnie przytaknął. Grim puścił go. Jaro podniósł się chwiejnie, kaszłał, lecz Grim nie zaszczycił go już ani jednym spojrzeniem. Pospiesznie dołączył do Lyskiana i słysząc, jak Remi siedzący na jego ramieniu z przerażeniem łapie powietrze, posłał do swoich dłoni zaklęcie podtrzymujące tunel. Bez słowa wymienił spojrzenie z Mią, a potem weszli do tunelu.

Grim z najwyższym trudem oparł się pokusie rozłożenia skrzydeł i jak najszybszego pomknięcia przez to przeklęte migotliwe światło w stronę portalu. Głośny szum wody wywoływał wrażenie, jakby miał go za chwilę rozerwać na kawałki, ledwie jednak Grim przyspieszył kroku, jego czar zaczął niebezpiecznie trzeszczeć, zmuszając go tym samym do zwolnienia. Wyraźnie czuł w palcach masy wody napierające na wytworzoną przez niego ścianę, a to zmuszało go do maksymalnej

koncentracji. Czuł też drżenie srebrzystego blasku, który Lyskian posłał po dnie w stronę portalu. Rzadko kiedy jego własna magia wydawała mu się tak krucha jak w tym momencie.

Krok po kroku zbliżali się do portalu, woda napierała na niewidzialną ścianę magii Grima, zmuszając go do maksymalnego napięcia mięśni. Błyski światła łamały się na niewidzialnych ścianach i nagle Grimowi wydało się, że słyszy głosy mew i huk załamujących się fal w czasie nocnego sztormu. Zawsze odczuwał tęsknotę za morzem, za jego rozległością i bezkresem, ale lubił też jego potęgę, jego gniew i nieokiełznanie. Morze mogło się wydawać niegroźne, a nawet łagodne czy rozigrane, ale w swojej głębi zawsze było czymś więcej, zawsze było czymś innym, czego większość ludzi a nawet Innostot nigdy nie była w stanie pojąć. Grim robił wszystko, żeby nie stracić z oczu poświaty swojej magii, a jednocześnie czuć na twarzy morski sztorm i domyślać się siły drzemiącej w falach, zdolnej roztrzaskać wszelką magię tego świata. I usłyszał głosy, które ponownie do niego przeniknęły i których istnienie uświadomił sobie dopiero wtedy, kiedy zobaczył, że Mia szuka jego wzroku. W jej oczach dostrzegł napięcie, przeniknięte światłem fale odbijały się w zieleni widocznego w nich sztormu. I nagle Grim usłyszał śpiewy, które dobiegały gdzieś z wielkiej oddali przez ścianę magii. Ale to, co usłyszał, to nie był krzyk mew.

Ta świadomość wystarczyła, żeby zedrzeć z niego wszelkie oczarowanie. A niech to, melancholia tego miasta zakradła się do jego myśli, kazała mu myśleć o falach i mewach, wtedy, kiedy gonił Łowcę wampirów i czubkami palców musiał utrzymywać w ryzach tony wody z Weltawy! Brakowało tylko tego, żeby gdzieś przysiadł i zaczął pisać wiersze w mulistym dnie rzeki, jakby nie miał nic lepszego do roboty! Z ponurą miną odgrodził się od głosów dokładnie w tym momencie, kiedy z ciemności wyłoniły się twarze – blade, piękne oblicza o srebrzystych oczach i długich blond włosach falujących w nurcie rzeki. Były to syreny, których rybie ogony płynnie poruszały się w wodzie, i których ciała pokryte były błyszczącymi łuskami. Zbliżały się do tunelu, wiele z nich się uśmiechało, ale był to zimny uśmiech pogardy.

Grim lekko wzruszył ramionami, wywołując przerażenie na twarzy Remiego, który siedział dotąd na jego ramieniu jak słup soli, a teraz

nagle zaczął szczekać zębami. Kobold znał te morskie istoty, większość z nich była złośliwa i podstępna, i bezustannie usiłowały zamknąć jakąś żywą istotę w swoich zimnych ramionach i utopić ją wiecznym pocałunkiem. Syreny poruszały się uwodzicielsko i Grim słyszał ich śmiechy, jasne, a zarazem przerażające.

*Pospieszcie się*, przemknął mu przez głowę głos Lyskiana. *One...*

Zanim jednak Lyskian zdążył dokończyć zdanie, jedna z syren podpłynęła do samej ściany tunelu. Wbiła wzrok w Mię, a potem zręcznym ruchem wydobyła z olstra na biodrze kawałek muszli i przecięła ścianę. Ból przeszył Grima tak nagle, że aż się wzdrygnął. Krew ciekła mu z dłoni. Pospiesznie wzmocnił ścianę, zobaczył jednak, że syrena się uśmiecha, potem usłyszał trzask, jakby pękał lód... i w następnej chwili do jego ciała wdarło się zimno, które roztrzaskało wszelką magię. Tunel nad ich głowami zapadł się bezgłośnie.

Spadły na nich masy wody. Mia dosłownie w ostatnim momencie zdążyła wyczarować wokół siebie bąbel powietrza i przyciągnąć Remiego. Fale porwały Grima. Przestał oddychać i poczuł przeszywający ból w piersi. Przyłożył skrzydła do ciała, by ochronić się przed potęgą rzeki, i zatopił palce w magii Lyskiana, która nadal jeszcze pokrywała dno i chroniła portal przed zawaleniem się. Woda przetaczała się nad nim, w pobliżu widział Mię, która umocowała swój czar na dnie rzeki i siedziała teraz skulona w bąblu powietrza, wzmacniając jego ściany. Nagle zobaczył syrenę zbliżającą się z kawałkiem muszli. Dwie kolejne rzuciły się na Lyskiana, który mimo napierających mas wody ze zdumiewającą łatwością obrócił się wokół własnej osi, wysyłając w stronę atakujących czar gromu. Grim, nie posiadając się z wściekłości, schwycił sieć trzymaną przez syrenę, która podpływała do niego z zimnym uśmiechem, owinął ją w jej własny czar, a potem wypuścił z dłoni Płomienny Wir. Z wielkim trzaskiem uderzył on syrenę w pierś i odrzucił ją od ochronnej kopuły Mii. Jego czar przebił się przez nurt rzeki i oświetlił zbliżające się setki syren i monstrualnych ryb... spośród nich wyłonił się ogromny Wodnik, w którego białych oczach płonął śmiercionośny żar. Przewyższał Grima o kilka głów, jego granatowe włosy dziko wiły się wokół głowy, a ciało pokrywały blizny. Nad jego lewą ręką wiły się błyskawice, rybi ogon smagał wodę z taką siłą, że

odrzuć Grima spory kawałek, a kiedy Wodnik otworzył usta i ryknął, odsłonił kilka rzędów ostrych jak brzytwa zębów.

*Jestem Angar Kalfingrur, zagrzmiął jego głos pośród fal. Jestem gniewem Purpurowej Otchłani i Tysiąca Wysp, jestem dłonią Isidosa i Harforów, głosem sztormu na morzach świata! Macie czelność ścigać przyjaciela mojego dworu? Macie czelność wystąpić przeciwko mnie?*

Grim zacisnął pięści. Słyszał o Angarze Kalfingurze, tym Czarowniku Mórz, któremu liczne driady, syreny i nimfy przysięgły wierność i którego gniew wyładował się teraz pod postacią czarnych pijawek wpuszczonych do rzeki. Z szybkością strzał pędziły przez fale. Grim cofnął się, ale jedna z nich trafiła go w bark. Ból był krótki i gwałtowny, Grim wściekle oderwał pijawkę z ciała i odrzucił ją. Krew trysnęła z rany, zabarwiając wodę, a on poczuł, jak w tym momencie w jego ciało wnika moc rzeki, spowalniając jego ruchy. W pewnej odległości od niego Lyskian opędzał się przed kilkunastoma morskimi istotami, lecz Angar Kalfingur zupełnie nie zwracał na niego uwagi. Jego spojrzenie spoczywało na Mii.

Mia wstała w swojej kopule, a Remi unosił się przed nią z zaciśniętymi do walki pięściami. Syreny co chwila dotykały wyczarowanego przez Mię bąbla z powietrzem, a za każdym razem, kiedy dotknęły go ich lodowane palce, ubywało powietrza ze środka. Niezliczone pijawki zatapiały zęby w wyczarowanej przez Grima ścianie. Gargulec słyszał śmiech Wodnika, który łaknął życia Mii – życia człowieka. Czarne żyły pokryły osłonę, która zaczęła wyraźnie trzeszczeć. Przez moment Grim widział twarz Mii, jej strach i przerażenie. W następnej chwili osłona pękła i spadły na nią masy wody.

Grim wydał ryk, który przepędził odrętwienie z jego ciała, i rzucił się przed siebie. Angar Kalfingur odwrócił się gwałtownie i cisnął w jego stronę połyskującą zielonkawo błyskawicę. Grim nie uchylił się. Cały czas starał się nie stracić z oczu Mii, którą trzy syreny ciągnęły gdzieś w ciemność, podczas gdy Remi z wyдутymi policzkami kurczowo trzymał się jej rękawa. Błyskawica trafiła Grima, niesłychany ból przeszył jego ciało, lecz on nie dopuścił, by magia Wodnika go pokonała. Popłynęła ona złotem przez jego żyły, Grim rozsadził ten czar i zobaczył błyskawice gasnące w wodnych ciemnościach. I zanim Angar

Kalfingur zdążył cisnąć następną, Grim ślizgiem znalazł się przy nim i schwycił go za gardło.

Skóra czarownika była zimna. Kiedy jego szpony wbiły się w ramię Grima, zimno rzeki z tysiącrotną mocą wniknęło w ciało Gargulca, on jednak nie zwracał na to uwagi. Płonącymi gniewem oczami wpatrywał się w białe oczy Wodnika, a potem rzucił się w przód. Zniósł parzący mróz, jaki go otoczył, paraliżujący nurt rzeki, i pozwolił, żeby jego ciało opadło w otchłań, mrok, przekleństwo, w których tkwiło wnętrze Wodnika. Wokół niego pojawiły się obrazy, wspomnienia, myśli, które roztrzaskiwał jak cienkie skorupy. Nie miał czasu na żalobę nieba ponad oceanem, na śpiewy morskich ludów czy mroczne krzyki syren w nocy. Zimno czarownika szarpało jego zmysły, przenikało go, jakby był niczym więcej niż śmieszny strumyk wobec śmiercionośnej nawały wód. Już zaczynało mu się kręcić w głowie, ciemności wokół niego zaczynały tężeć. Angar Kalfingur miał wielką moc i z pewnością za nic nie puści Mii, nigdy. Był tylko jeden sposób, żeby ją uratować. I kiedy Grim dotknął dna, tego miejsca, w którym masy wody kryły swoją nieskończoną potęgę i do którego nie przenikało żadne światło, po jego ciele rozlała się moc ognia i Grim poszedł za jej głosem w otaczającą go ciemność. Przenikał przez obrazy wypełniające Wodnika, jakby był wichrem mknącym przez osamotniony las, a kiedy znalazł się w zatopionym statku, głęboko na samym dnie jakiegoś zapomnianego morza, i poczuł miękkie włosy dziecka na policzkach, usłyszał, jak czarownik wydaje ryk. Lecz z jego krtani nie wydobywał się jego głos. Był to głos Grima, który przeciął nim morze.

Zobaczył, jak syreny pod wpływem tego głosu puszczają Mię, zobaczył też Remiego, który z zamkniętymi oczami nadal trzymał się jej rękawa, i poczuł czarną wampirzą krew wypływającą z głębokiej rany w piersi Lyskiana. Lecz nie odbierał tego wszystkiego swoimi zmysłami, on odczuwał to zmysłami rzeki. I kiedy objął ciało Mii swoimi falami i tak jak Lyskiana i Remiego poniósł do brzegu, uświadomił sobie, że sam stał się rzeką, a nawet więcej, stał się też częścią morza, nieba, deszczu, stał się powietrzem, które właśnie w tej chwili smagało swoją lodowatą ręką powierzchnię Wełtawy, był każdym ziarnkiem piasku, każdą falą, każdą muszlą w odmętach.

*Czy to wszystko, ryknął w myślach. Czy to wszystko, co potrafisz, Samhurze? Kiedyś należałeś do najpotężniejszych wojowników tego świata, a teraz spójrz tylko na siebie! Czy to wszystko, co Akademia Cieni ma do zaoferowania? Stado ryb i innych morskich zwierząt?*

Zaśmiał się, lecz huk ognia zagłuszył wszelkie dźwięki. Zgasił pieczenie w jego piersi, wypełnił swoim chłodem jego ciało i kazał mu zapomnieć imię lisa, który nagle się przed nim pojawił, i nawet niezbyt się przestraszył, gdy ten przybrał postać Serafina. Jego brat siedział zatopiony w myślach w ruinach zamku, które z wolna odbudowywały się na nowo, a w jego oczach szalał sztorm. Grim uświadomił sobie niejasno, że Serafin straszy w jego myślach, i gniew, jaki to w nim wzbudziło, był jak ukłucie w karku. Z rykiem rozerwał ten obraz, przez moment poczuł przerażenie, jakie dostrzegł w oczach Serafina, lecz ono zaraz zniknęło w zimnym żarze wypełniającym żyły Grima, a kiedy Serafin zniknął w odmętach, nie były już one zaczarowane ani zimne. Były czerwone... i złote, jak ogień, który nosił w sobie Grim. Angar Kalfingur zwiślał w jego dłoniach bezwładnie jak szmaciana lalka. Grim prawie nie zwracał na niego uwagi i kiedy do jego uszu dobiegł skądś krzyk, nie przejął się tym. Taki spokój, spokój i chłód wypełniały jego wnętrze, teraz, kiedy czuł w sobie ogień, że mógł stać się czymś znacznie więcej niż rzeką. Mógł stać się tym, kim był!

Chciał się roześmiać, lecz w tym momencie z portalu, który nadal widoczny był na dnie rzeki, buchnęło jaskrawe światło. Trafiło ono Grima z takim impetem, że aż zrobiło mu się czarno przed oczami i został wyrzucony z wody. Przeleciał w powietrzu i wylądował na lodowatym gruncie. Czuł blisko siebie Mię i Lyskiana, słyszał przyspieszony oddech Remiego. Wiedział, że leży na brzegu, ale niemal nie rozpoznawał otoczenia. Z sapnięciem złapał się za gardło. Nagle jego ciało zaczęło sprawiać wrażenie nadspodziewanie ciężkiego, jednocześnie czuł chłód wypełniający go atlasową potęgą, uśmierzający wszelki ból. Wsparł się rękami na grząskim gruncie i otworzył oczy. Niewyraźnie zobaczył w nurcie rzeki zwęglone ciała, zobaczył oczy syren obserwujących go z nieodgadnionych głębin. Nie było już w nich pogardy, tylko coś znacznie gorszego... było w nich coś jakby lęk.

Grim usłyszał ciężkie kroki zbliżające się w jego stronę i aż zaparło



mu dech, kiedy ujrzał postać, która do niego podchodziła. Samhur zrzucił z siebie całą udawaną dotychczas słabość. Jego obnażony tors był absolutnie bez skazy, a magia zbierająca się w jego pięści była nieugięcie skierowana w stronę Grima i tylko czekała, by przy najmniejszym fałszywym ruchu zmiażdżyć go na pył. Samhur miał twarz wojownika, a jego oczy... zasnuwająca je mgła zniknęła. Kiedy się zatrzymał i spojrzał na Grima niebieskimi jak lód oczami, które niosły w sobie czarne, groźnie rozbłyskujące światło, światło, które mogło zmienić jego twarz w oblicze anioła albo oblicze diabła, to w tym momencie Grim zrozumiał – już go raz widział. To był Rhak' Hontay tańczący na linie w wizji Akademii. To on pokonał smoka i rozstrzygnął walkę ze światłem i cieniem na swoją korzyść.

Przed nim stał Samhur o oczach z mrozu, a jego żądza zemsty była nienasycona.

Przed nim stał jeden z Łowców Pierwszej Piątki.

Samhur ani drgnął, lecz jego słowa wypowiedziane cicho niskim głosem niby ostrze przecięły ciało Grima. *Jesteś dzieckiem i głupcem zarazem. Nie masz pojęcia, kogo przywołałeś.*

Później Grim nie umiał powiedzieć, dlaczego w tym momencie odwrócił wzrok i spojrzał w stronę Mostu Karola. Zapamiętał tylko postać, która tam stała – wysoką, przerażającą postać o długich czarnych włosach, z dłonią wspartą na balustradzie i jej imię przecięło powietrze niczym ostrze miecza.

*Bhragan Nha'sul.*

W następnej chwili czarna strzała trafiła Grima w ramię i zanim zdążył zaczerpnąć powietrza, zepchnęła go w omdlenie.

## Rozdział 22



Kiedy Mia się ocknęła, światło pochodni tańczyło na jej twarzy. Leżała na płaszczu Grima, nad nią wznosiło się pokryte sadzą sklepienie podziemnego lochu. Remi i Lyskian oglądali przezroczystą ścianę emanującą magiczną poświatą, która zamykała wyjście. Mia poczuła dłoń Grima na ramieniu, jeszcze zanim rozpoznała jego kryjącą się w cieniu postać. Strzała wampira, która trafiła także i ją, tkwiła głęboko w jej ciele. Wciąż jeszcze odczuwała potęgę jadu, ale i magię Lyskiana, która wyciągała z jej żył jego bolesne działanie i przyspieszała uzdrowienie. Czar Grima chłodno kładł się na jej skórze i uśmierzał pulsujący ból w ramieniu, ale nie zwracała na to uwagi. Patrzyła mu w oczy, które były tak czarne jak cienie, w których przebywał. Dostrzegła w nich twarze morskich istot, płonące ciała syren i rzekę, którą wypełnił złotym ogniem. Od bardzo dawna był Cienioskrzydłym, walczył w niezliczonych bitwach i zabił tyle Innostot, że przypuszczalnie nie potrafiłby tego nawet zliczyć, ale Mia wiedziała, że nigdy nie robił tego dla własnego kaprysu. Mimo tych wszystkich wojen nigdy nie utracił szacunku dla życia i pokory przed śmiercią. Teraz jednak... Niewiele brakowało, a zabiłby Angara Kalfingura i jego orszak i to nie dlatego, że nie miał innego wyjścia. Posunął się za daleko, wiedział o tym, widać to było w jego oczach. I coś jeszcze w nich znalazła – zimny, znieruchomiały żar, który wciąż wypełniał jego ciało i powoli wycofywał się z jego oczu, by gdzieś głęboko w jego wnętrzu czekać, kiedy znowu zostanie uwolniony.

Sięgnęła po jego dłoń i jak zawsze, kiedy czuła jego palce na swojej skórze, po plecach przeszedł jej dreszcz czułości. Jednocześnie jednak żar w jego oczach odgradzał ich od siebie welonem. Przypomniała sobie, jak na nią patrzył, kiedy chwyciła Jaro za gardło –

nieruchomo i jakby z nieskończonej dali. Nie udało mu się wtedy do niej dotrzeć w jej mroku, a teraz, kiedy siedziała w lochu obok niego, rozumiała już, jak musiał się czuć w tamtej chwili. Wyraźnie czuła nieruchomy mrok, jaki w sobie nosił, od kiedy go znała, i wiedziała, że zasklepia go przed nią moc ognia, dając mu coś, co ona mogła jedynie przeczuwać. Przypomniała sobie jego spojrzenie po walce z Khanem. Powrócił do niej z daleka i przez moment patrzyła w oczy obcego, w oczy Innostoty, którą przecież był. Przez moment była gotowa go prosić, aby odniósł ten ogień do świata bogów. A doskonale przecież wiedziała, że to właśnie ta moc ich uratowała. I nie uczyniła tego. Coś w spojrzeniu Grima powstrzymało ją, jakaś nieuchronność, która uświadomiła jej, że nie ma dla niego odwrotu i że ona nie może mu towarzyszyć w tej drodze, niezależnie od tego, jak bardzo by o tym marzyła.

*Nie zagub się*, poprosiła go w myślach, a kiedy ją przyciągnął i przytulił, wyczuła lekki ból w jego wnętrzu, zupełnie jakby w tym momencie on także odczuł rozdzielającą ich przepaść i jakby mogli ją w ten sposób przewyciężyć jakimś słowem, jakąś myślą, jakimś uderzeniem skrzydeł. Mia pogładziła go po dłoni. Grim nie był człowiekiem, był za to kimś więcej, o wiele więcej niż tylko Gargulcem czy Hybrydem. Był Dzieckiem Ognia, wiedziała o tym, ale dopiero teraz, w tym przeklętym lochu wampirów, kiedy będąc tak blisko, nie mogła do niego dotrzeć, zaczęła przeczuwać, co to oznacza.

– O, do diaska!

Cicho trzaskające iskry odskoczyły od ściany lochu, przerywając myśli Mii. Remi skrzyżował ręce na piersi i otrząsnął się gwałtownie.

– Żadne czary kobolda nie są w stanie otworzyć tego lochu – stwierdził Lyskian. – Nawet takiego, który wywodzi się z ciemności Czarnego Lasu.

Chciał powiedzieć coś więcej, lecz w tym momencie usłyszeli odgłosy kroków. Grim podniósł wzrok, wrażliwość widoczna w jego rysach schowała się za chłodną maską Gargulca. Nasłuchiwał w skupieniu. Mia usłyszała głosy dwóch wampirów, które w pewnej odległości od nich chodziły tam i z powrotem. Podniosła się. Słyszała o lochach Lorda Wampirów, wiedziała, że znajdują się na kilku poziomach pod jego myśliwską rezydencją, i czuła zimną, lekko metaliczną woń

zakrzepłej krwi.

Poruszyła dłońmi w pobliżu zamknięcia lochu. Magiczne impulsy wystrzeliły z jej palców, sprawiając, że ściana zaczęła lekko migotać, podczas gdy ona starała się wyczuć mechanizm zamykający loch. Lyskian milczał. W spokojnym skupieniu przyglądał się jej palcom, a ona przypominała sobie lekcje gry w szachy, jakich jej udzielał, w czasie których w takim samym skupieniu czekał na jej następny ruch.

*Gdzie jest Samhur*, spytała w myślach.

Grim wymienił spojrzenia z Lyskianem.

*Nie mamy pojęcia*, odparł. *Być może Lord kazał go zabić, abyśmy nigdy nie znaleźli Verusa.*

*Ten Łowca niespecjalnie się palił, żeby nam pomóc*, stwierdził Remi. *A z drugiej strony jego ostatnie słowa zrozumiałem jako dowód na to, że mógł zmienić zdanie... A widzieliście, jak on wyglądał, kiedy pomagał przyjacielowi? Jego spojrzenie przeszło mnie do szpiku kości!*

Mia aż się wzdrygnęła na wspomnienie chwili, kiedy ujrzała, jak żar w oczach Samhura rozgorzał niespokojnym migotaniem.

Remi nerwowo ścisnął palce.

*Czuję się tak, jakbym cały czas widział go przed sobą. To było spojrzenie jakby...*

Grim zmarszczył brwi na znak, że nie chce słyszeć żadnych porównań, i założył ręce na piersiach.

*Diabli wiedzą, co się dzieje z tym starym Łowcą, ale że jest Łowcą, co do tego nie ma wątpliwości. A jak tylko go dorwę, to już on mnie zaprowadzi do Verusa i pomoże mi tego przekłętego demona pokonać, czy tego chce, czy nie. Pod warunkiem, że jeszcze żyje.*

Lyskian prychnął pogardliwie, jednak Grim nie dopuścił go do słowa.

*To Bhragan Nha'sul nastął na nas te wampiry, po wczorajszej nocy to chyba jasne. Odurzył nas i gdyby nie twoja sztuka leczenia, pewnie by nas zabił. A Samhur zniknął. Jedyne, który mógłby nas wesprzeć przeciwko Verusowi i który od samego początku próbował trzymać nas z daleka od Bhragana Nha'sula. Nie bądź ślepy, Lyskanie.*

*To ty nie bądź ślepy*, odparł wampir chłodno. *Lord z łatwością*

*mógłby nas zabić i z pewnością by to zrobił, gdyby za jego działaniem rzeczywiście krył się potężny spisak, tak jak zakładasz.*

Remi w zamyśleniu podrapał się po głowie.

*Ale w takim razie, dlaczego nas więzi?*

Mia zakończyła swój czar i poczuła mrowienie w palcach.

Poświata na ścianie zniknęła, a kiedy Mia jej dotknęła, stwierdziła, że jest to znieruchomiła woda. Ostrożnie wsunęła w nią palce, lecz nie została na nich ani jedna kropla. Spojrzała na pozostałych.

*Czas się tego dowiedzieć, powiedziała cicho.*

Kroki wampirów odbijały się echem w rozgałęzionych korytarzach, tak że odnosili wrażenie, jakby dobiegały ze wszystkich stron naraz. Lyskian jednak najwyraźniej wiedział, gdzie znajdują się strażnicy, bo bez słowa ruszył przodem. Panowały ciemności, tylko od czasu do czasu na ścianach pojawiały się pochodnie, ale ich płomień był zimniejszy niż zwykle i Mia patrzyła zafascynowana, jak włosy Remiego pokrywają się szronem, kiedy przechodził przez ich blask. Większość zakamarków lochu była pusta, gdzieniegdzie tylko, w cieniu pod ścianami odkrywała nieruchome kształty, skulone istoty, które równie dobrze mogły być ludźmi, jak i wilkołakami, i od których bił gryzący zapach rozkładu. Przypomniała sobie wilkołaka, którego uwolniła z klatki, i wycie innych, kiedy przybyli do parku, i nagle wydało jej się, że znowu słyszy skowyt u bram pałacu, jak wołanie z jednej ciemności do drugiej.

Głosy wampirów wielokrotnie zbliżały się do nich, ale za każdym razem, kiedy Mia bała się już, że za następnym zakrętem staną z nimi oko w oko, Lyskian wciągał ją do jakiejś niszy. Okazywała się ona wąską ścieżką, która klucząc, prowadziła ich dalej, aż po kręconych schodach dotarli na górne piętra pałacu. Z sal dobiegała muzyka, a oni przechodzili sekretnymi korytarzami wiodącymi między ścianami. Chwilami byli tak blisko leżących na sofach i kanapach wampirów, że Mia niemal czuła zimno ich ciał. Lyskian co chwilę zatrzymywał się, nasłuchując, aż wreszcie otworzył jakieś drzwi i wyszedł na oświetlony lampami naftowymi korytarz.

Remi natychmiast pofrunął na ramię Grima. Serce Mii zaczęło walić mocno, wydawało jej się, że wszystkie wampiry w całym zamku

muszą to słyszeć. Najciszej, jak potrafili, kontynuowali wędrówkę. Korytarz rozgałęział się wielokrotnie, zza niektórych zamkniętych drzwi dobiegała muzyka skrzypcowa. Nagle Lyskian spojrzał wymownie i wtedy Mia usłyszała głosy dobiegające zza najbliższego rogu. Był to ponury, zimny głos Lorda Wampirów... i głos odpowiadającego mu Samhura. Mia nie rozumiała słów, ale słyszała, że rozmawiają gniewnym tonem. Instynktownie przyspieszyła kroku i już miała skrócić za róg, kiedy Lyskian ją powstrzymał. Błyskawicznym ruchem złapał ją za ramię i spojrzał tak, jak to robił w czasie udzielanych jej lekcji.

*Każdy z twoich zmysłów może cię zmylić, powiedział szeptem w jej myślach. Ale masz przecież więcej niż jeden. Co wyczuwasz?*

Mia miała problem z wyciszeniem głosów wampirów, a Grim, który patrzył na Lyskiana z widocznym zniecierpliwieniem, bynajmniej jej tego nie ułatwiał. Mimo wszystko udało jej się skupić na zmyśle dotyku i jeszcze zanim odwróciła dłonie wewnętrzną stroną do przodu, by odebrać ewentualne wibracje, poczuła zimny impuls na skórze i błysk magicznych mieczy. Spojrzała na Lyskiana.

*Dwóch strażników, szepnęła, a on przytaknął ruchem głowy z taką obojętnością, jakby rzeczywiście znajdowali się w jednej z sal treningowych, a nie w pałacu Lorda Wampirów, gdzie wejścia strzegły dwa uzbrojone wampiry, które tylko czekały, żeby usłyszeć zbyt głośny oddech istoty śmiertelnej. W następnym momencie twarz Lyskiana stała się zimna i zanim Grim zdążył go powstrzymać, wampir skrzył za róg. Mia słyszała, jak ślizga się w powietrzu – nieraz widziała to jego szybowanie, kiedy pędził do przodu z oszałamiającą szybkością – i teraz też zobaczyła, jak zbliża się do obu wampirów, łapie ich jednocześnie za gardła i posyła do ich ciał zaklęcie unieruchamiające, które natychmiast spowodowało u nich głęboką utratę przytomności. Tylko jego płaszcz załopotał ledwie słyszalnie, kiedy pozwolił im osunąć się na posadzkę.*

Mia wyszła z ukrycia razem z Grimem i Remim i ostrożnie zajrzała przez szybę w drzwiach. Zobaczyła Bhragana Nha'sula siedzącego bez ruchu w fotelu i patrzącego na Samhura. Łowca chodził przed nim tam i z powrotem, ale coś niewidzialnego obejmowało kostkę jego prawej nogi, utrudniając mu poruszanie się. Był to jakiś ciężki łańcuch połączony z posadzką. Lyskian położył dłoń na klamce, wymamrotał

jakieś słowa i ledwie zniknął czar unieruchamiający drzwi, dobiegły ich jasno i wyraźnie głosy.

– ...zna Verusa Crendilasa Dhora! – mówił Samhur, a imię demona wypowiedział tak, jakby chciał dokładnie posmakować na języku całą jego obrzydliwość. – Wiesz, panie, co będzie, jeśli go nie znajdziemy!

Bhragan Nha'sul prychnął tylko krótko i ostro.

– My! – mruknął. – Czyżbyś zamierzał się zbratać z Hybrydami, ludźmi i koboldami? Albo z Księciem Wampirów, który zapomniał, komu jest winien lojalność?

Mia rzuciła Lyskianowi krótkie spojrzenie, lecz on ani drgnął. Wpatrywał się w jakiś punkt w oddali, zupełnie jakby potrafił widzieć tę scenę, w ogóle na nią nie patrząc. Wróciła do patrzenia przez szybę i zobaczyła, jak Samhur kręci głową.

– Z nikim się nie bratam – odrzekł spokojnie. – Wiem jednak, na czym polega moje zadanie, moje przeznaczenie. Złożyłem przysięgę i chociaż sojusz, któremu ślubowałem wierność, się rozpadł, ważność mojego słowa honoru nie wygasła. Mam wobec niego zobowiązanie. Mam zobowiązanie wobec świata.

Lord Wampirów spojrzał na niego z taką pogardą, że Mia najchętniej splunęłaby mu pod nogi.

– Masz zobowiązanie wobec świata! – powiedział szyderczo. – No patrzcie państwo! Ty, Rhak' Hontay i bibliotekarz, chcesz mieć zobowiązanie wobec świata!

Samhur wysunął do przodu brodę, lekki uśmiech zaigrał na jego wargach, uśmiech przypominając jadowite ukłucie skorpiona.

– Istotnie – odparł. – Ty tego, panie, już nie rozumiesz. Ty już nie wiesz, jak to jest czuć się zobowiązanym wobec świata, swoich własnych darów, drogi, która się przed tobą otwiera, nawet jeśli się jej lękasz. Nie, nawet lęk nic już dla ciebie, panie, nie znaczy. Nie sądz, że nie wiedziałem. Znam cię dobrze, Lordzie Wampirów, może nawet zbyt dobrze, abyś mógł się przede mną ukryć. I wiem, że kiedyś, panie, inaczej mówiłeś. Twoje słowa jaśniały, mogły być z ognia i mogły być z lodu, i zawsze trafiały, szczególnie ciebie samego. A teraz siedzisz, panie, i mówisz, jakby świat nic cię już nie obchodził, jakby nic z tego, co się dzieje, ciebie już nie dotyczyło. Czyżbyś naprawdę to wszystko

zapomniał, panie? Czyżbyś już nie pamiętał tych czasów, kiedy byłem twoim nauczycielem?

Mia uniosła brwi zaskoczona, ale teraz, kiedy Samhur stał wyprostowany przed Lordem Wampirów, z lekko przekrzywioną głową i tym kłującym i wiedzącym spojrzeniem, potrafiła sobie wyobrazić Bhragana Nha'sula w młodych latach. A nawet więcej, wyraźnie widziała go właśnie takim, zupełnie jakby słowa Samhura go wyczarowały. I zobaczyła też Łowcę, potężnego i mądrego już wtedy, ale bez tego cienia w spojrzeniu, który potrafił z sekundy na sekundę nadać jego twarzy budzący grozę wyraz.

– Pamiętasz, panie, Dragasa Nakyroza? – ciągnął Samhur, a wypowiedziane przez niego imię podpełzło do drzwi tak namacalnie, że Mia na moment aż się cofnęła. Słyszała już o nim i widziała portrety tego prastarego wampira o szarych oczach i białych włosach, którego skóra była bielsza niż śnieg, a moc i okrucieństwo nie znały granic. – Wielkiego Lorda Wampirów, który uczynił z ciebie, panie, tego, kim jesteś! Podziwiałeś go, zanim po raz pierwszy ujrzałeś, jak żądza krwi zamienia go w bestię! Przypomnij sobie, panie, poczucie samotności, które ciebie, nowo stworzonego wampira, dręczyło na jego dworze, przypomnij sobie tęsknotę za człowieczeństwem, które ci odebrano, i przypomnij sobie ból, kiedy się dowiedziałeś, panie, że to właśnie Lord był tym, który zabił twoją rodzinę, który ją pożarł, a nie wilkołaki, jak zawsze twierdził! Przypomnij sobie, panie, co wówczas uczyniłeś. Przypomnij sobie napad szaleńcy, w którym go zabiłeś, jego, najpotężniejszego wampira Królestwa Cieni. O mały włos zatraciłbyś się w tym upojeniu. I pamiętam twarz twojego twórcy, panie, kiedy na ciebie patrzył. Pragnął zobaczyć, jak padasz. Lecz nie dałem mu przeżyć tego triumfu.

Samhur zamilkł. Przy ostatnich słowach do jego głosu zakradło się coś, jakby łagodność, lecz Bhragan Nha'sul, odpowiadając mu, patrzył na niego równie zimno jak dotychczas:

– Przerwałeś szaleństwo, w które wpadłem. Wtedy byłem ci za to wdzięczny.

Samhur ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Oddałeś się zimnu twojego umysłu, panie, i stałeś się



przeciwieństwem popędliwego Dragasa Nakyrosa, aby zachować to, czego utraty boi się każdy wampir. – Samhur pokręcił głową jak zmęczony, stary człowiek. – Lecz to ci się nie udało. Zatraciłeś się w swoim ekstremum. Nie jesteś lepszy od niego.

Wtedy Lord Wampirów podniósł się z miejsca płynnym ruchem i zmierzył Samhura lodowatym spojrzeniem.

– Uchroniłeś mnie przed upadkiem w ciemność – powiedział groźnym szeptem. – I właśnie dokładnie taką samą przysługę ci teraz oddam. Byłeś dla mnie wzorem jeszcze długo po tym, kiedy przyłączyłeś się do Łowców i zgłębiłeś arкана najciemniejszej magii. Bo ty...

Samhur postąpił do przodu, jego oczy błyszczały jak w gorączce.

– Sojusz Rhak' Hontajów pokonał Bestię z Bukaresztu w ciągu jednej jedynej nocy, owego Khana, który w najokrutniejszy sposób zmasakrował siedemnaście wampirów! To my upolowaliśmy Hieny Mórz Południowych, to my pokonaliśmy Meduzę z Syrii i to my złamaliśmy czar Hyosa nałożony na Miasto Cierni! Chroniliśmy świat przed czynami Demonów. My to zrobiliśmy! Rzucaliśmy się w ciemność, która tkwi w każdym z nas, by uchronić przed nią świat!

Lord Wampirów spojrzał na niego i niemalże współczująco uśmiezek przemknął po jego twarzy.

– Te czasy już minęły – powiedział.

Nie mówiąc ani słowa więcej, minął Samhura i ruszył do drzwi. Mia chciała się cofnąć, lecz nie mogła się oderwać od Samhura, którego oczy były jak dwie otchłanie wypełnione bólem i ciemnością.

– Nie – wykrzyknął, a jego głos był tak donośny, że aż zadrżały drzwi. – Nigdy nie zrozumiesz, panie, co rozrywa mnie od środka, ponieważ... nie chcesz tego zrozumieć! Ległeś w trumnie... dokładnie tak samo jak oni!

W tym momencie Lord Wampirów odwrócił się, a zrobił to tak szybko, że Mia zobaczyła tylko jego zamazany obraz. Złapał Samhura za gardło.

– Mówisz o wspomnieniach – wymamrotał Bhragan Nha'sul głosem tak zimnym, że Mię przeszedł dreszcz. Jego oczy płonęły, jego skóra była jak cienki pergamin, a jego ostre jak noże paznokcie wbiły się w szyję Samhura. – I to właśnie ty, który widocznie o wszystkim

zapomniałeś! Sojusz Łowców się rozpadł, znasz tego przyczynę!  
Opowiadasz o ciemnościach, w które się rzucałeś, ale jakoś zapomniałeś  
powiedzieć o tych, które cię pochłonęły! Czyżbyś nie przypominał sobie  
Łowcy Cieni, twojego przyjaciela Oreyona?

Oczy Samhura zamieniły się w lód, pokryła je drobna siateczka  
pęknięć, a jego usta otworzyły się do niemego krzyku. Lecz chociaż z  
jego ust nie wydobył się żaden dźwięk i chociaż on sam nawet nie drgnął  
i tylko czerń oczu Lorda wybiegała mu naprzeciw, Mia usłyszała jego  
głos – był to krzyk z wizji, która spadła na nią w Akademii Cieni.  
Wstrząśnięta uniosła dłoń do ust. Widziała, jak światło i ciemności  
rzuciły się na siebie w oczach Samhura, widziała rozmyte obrazy bijące  
o zamarznąętą źrenicę i rozpadające się na drobne okruchy i usłyszała  
głos Lyskiana, przebijający się przez ten krzyk, atłasowo gładki i cichy.

*Spójrzcie*, wyszeptał i zanim jeszcze Mia zdążyła się zwrócić w  
jego stronę, poczuła jego dłoń na skroni, lodowatą jak dłoń zmarłego. W  
następnej chwili przez jej myśli przemknął obraz. Ujrzała Samhura na  
nietkniętym dziedzińcu Akademii i stojących obok niego pozostałych  
Łowców. Wyglądało na to, że się kłócą.

– Thoron deptał wam po piętach – powiedział Bhragan Nha'sul. –  
Lecz kiedy pozostali Rhak' Hontayowie zdecydowali, że trzeba  
rozwiązać Akademię, ty nie chciałeś się z tym zgodzić. Twoje pragnienie  
zemsty za wszystko, co kiedykolwiek uczyniły ci demony, gnało cię  
przed siebie i sprawiło, że stanąłeś przeciwko najbardziej zaufanym  
towarzyszom.

Mia zobaczyła, jak Samhur pokrywa swój miecz płomieniami i  
jednym jedynym słowem zamienia Akademię w ryczące morze ognia.  
Jego twarz wykrzywił gniew, lecz kiedy rzucił się na pozostałych, z  
lewej strony wyskoczył jakiś cień. Mia wzdrygnęła się. Miała wrażenie,  
że znowu czuje ten ból w piersi, lecz tym razem zrozumiała, co ją trafiło:  
to miecz Samhura rozorał jej ciało. Miecz Samhura, który powalił  
Oreyona. Spojrzała na najmłodszego z Pięciu Łowców, na jego  
szukające, umierające spojrzenie, które nie mogło już objąć Samhura,  
Samhura, który go zabił.

Lyskian cofnął rękę i obraz zniknął. Zamiast tego Mia patrzyła  
prosto w twarz Lorda Wampirów, który bez słowa puścił Samhura.

Łowca zatoczył się w tył, kaszląc jak stary człowiek.

– Oreyon stracił życie, próbując uchronić cię przed tobą samym – powiedział Bhragan Nha'sul. – Czyż nie pochowaliście go wspólnie, czyż nie rozstaliście się przekonani, że wasz sojusz się rozpadł? Czyż nie zostawili cię samego, ponieważ wpadłeś... w swoją własną ciemność?

Samhur przytaknął z pewnym opóźnieniem, jakby słowa Lorda docierały do niego z dużej odległości.

– Tak – odrzekł zachrypłym głosem. – Powiedzieli, że powrócę jako ci, którymi kiedyś byli, czyli moi zaufani, moi towarzysze, moi przyjaciele, ale dopiero wtedy, kiedy odzyskam dotychczasowy stan.

– Zobaczyli, że taniec na linie musi mieć swój koniec – odparł Bhragan Nha'sul niemalże ciepło. – I ty sam sobie to uświadomiłeś, wtedy, kiedy mi o tym powiedziałaś.

Samhur podniósł wzrok i Mia wstrzymała oddech. Opadł na fotel, jego oczy były jak dwa lustra i kiedy się uśmiechnął, wyglądał tak, jakby płakał.

– Poznałem swoją twarz w ich oczach – wyszeptał tak cicho, że Mia musiała wstrzymać oddech, żeby go dosłyszeć. – Popatrzyłem na siebie i dostrzegłem w mojej twarzy oblicze demonów, które w czasie masakry pod Grhrokolem wycięły mój klan. Nie czułem nic poza bólem... i czarnym, zachłannym ogniem żądzy zemsty. Nie zdołałem dać jej odporu. Byłem za słaby i... wpadłem w nią.

Lord Wampirów stał bez ruchu, ale po raz pierwszy od czasu, kiedy Mia go знаła, rysy jego twarzy zmiękły.

– To właśnie jest powód, dla którego chcę cię chronić – odparł z niespotykanym ciepłem w głosie. – Nie wracaj na drogę, która już raz o mało cię nie zniszczyła. Verus może i jest potężny, lecz jeśli poważy się wystąpić przeciwko naszemu ludowi, zniszczymy go, co do tego nie ma wątpliwości. Ale nie ma powodu go szukać.

W tym momencie w spojrzeniu Samhura coś zamigotało, sprawiając, że jego twarz wydała się zupełnie młoda. Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

– Wciąż jeszcze, panie, niewiele wiesz o demonach tego rodzaju co on – powiedział. – I nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaką potęgą dysponuje wraz z sobą podobnymi. On zmieni oblicze świata, a być

może... być może nawet go zniszczy.

Bhragan Nha'sul uśmiechnął się chłodno.

– Nie byłyby to pierwszy raz, kiedy widzę podobne próby. Nie boję się zniszczenia świata. Na pewno nie będzie ono zniszczeniem wampirów. – Przez chwilę milczał, potem odwrócił się i wykonał ruch lewą ręką. Przez dwuskrzydłowe drzwi widoczne na końcu pomieszczenia wpadło do Sali kilka wampirów

– Dogadaliśmy się zatem – powiedział do Samhura, idąc w ich stronę. – Zostaniesz tutaj do chwili, aż sprawa się wyjaśni, a wy... – zwrócił się do wampirów – ...schwytajcie tych, którzy podsłuchują pod drzwiami.

Mia przeraziła się, ale w odróżnieniu od Remiego, który w panice głośno nabrał powietrza w płuca, i od Grima i Lyskiana, którzy zrobili krok w tył, ona nie ruszyła się z miejsca. Widziała, jak wampiry podchodzą do drzwi, widziała jak Bhragan Nha'sul właśnie zamierza wyjść z sali... i widziała Samhura, zapadniętego w sobie i z tym ogienkiem tłącym się w oku, który z wolna wycofywał się w źrenice, zakrywając mgłą spojrzenie. Może to właśnie tego światła się obawiała, światła, które powoli osuwało się w ciemność, tego tłącego się ogienka, którego zgaśnięcia nie chciała oglądać, i to spowodowało, że gwałtownym uderzeniem otworzyła drzwi i wpadła do sali.

– Samhurze o oczach z mrozu – wykrzyknęła, ignorując przekleństwo, jakie wyrwało się Grimowi, kiedy zręcznie wywinęła się z jego chwytu. – Wiesz, jak groźny jest Verus! Wiesz, że jesteś jedynym, który może nam pomóc go pokonać! Jak możesz dać zakuć się w kajdany Lordowi Wampirów, którego nic nie obchodzi, co stanie się ze światem?

Stała tuż przed Samhurem. Czuła zimno jego skóry i żar jego oczu. Nie drgnął nawet, ale w jego oczach pojawił się zimny blask, który sprawił, że zadrżała.

– Córo Burzy – powiedział szeptem – zupełnie mnie nie znasz.

Ciemność w jego oczach sięgnęła po nią, przyciągnęła ją bliżej i zmusiła do balansowania na skraju otchłani, którą był ten wampir. Ona jednak nie odwróciła się od niego, nawet wtedy, gdy chwyciły ją dwa wampiry i pociągnęły ze sobą. Wpatrywała się w żar widoczny w

spojrzeniu Samhura i w jego uśmiech, który był jednocześnie szyderczy i okrutny, ale przynajmniej był czymś więcej niż ten paraliż, który opanował przedtem jego twarz.

– Czyżbyś nie był kimś więcej? – wykrzyknęła, wbijając paznokcie w ciało wampirów, które zamruczały z niechęcią. – Kimś więcej niż tylko Łowcą, który ucieka przed samym sobą?

Wampiry wysłały do jej ciała dwa czary, które były tak zimne, że na moment zrobiło jej się ciemno przed oczami. Dojrzała obok siebie zarys postaci Grima, dwa pęta unieruchamiające przytrzymały jego ręce z tyłu i przyciskały Remiego do jego piersi. Jeden z wampirów trzymał jaskrawo świecący sztylet na gardle Lyskiana i popychał go tyłem w stronę drzwi. Kroki Lorda dudniły w sali, jego gniew pędził w stronę Mii jak niszcząca wszystko na swej drodze fala. Wampiry cisnęły ją do jego stóp, lecz zanim Lord zdążył ją chwycić, przez salę przeszło tchnienie zimna, zamieniające posadzkę w lód i kładące się szronem na oknach i zasłonach.

Mia wstała chwiejnie na nogi. Powietrze było zimne, lecz czar nie tknął ani jej, ani Grima, Lyskiana czy Remiego. Za to Bhrgan Nha'sul i jego orszak zastygli w bezruchu. Ich ubrania pokrył szron, lodowe kwiaty wykwitły na ich nieskazitelnej skórze. Tylko ich oczy żarzyły się ciemnym ogniem i Mia tak wyraźnie czuła wściekłość Lorda Wampirów, że aż się cofnęła.

W tym momencie przeszedł obok niej Samhur. Bez najmniejszego trudu pozbył się magicznych pęt z kostki u nogi. Uśmiechnął się, stając przed Lordem Wampirów.

– Nadal jeszcze mógłbyś się, panie, czegoś ode mnie nauczyć – powiedział łagodnie, a potem spoważniał. – Twoje słowa są słabe. Rozpryskują się w ciemności. Stałeś się dokładnie taki jak ten, który cię stworzył. Tak jak on wybrałeś umysł, zamiast instynktu, ale za to... nic nie czujesz. Dokładnie tak samo jak on swego czasu.

Jego oddech musnął policzki Lorda i ku zaskoczeniu Mii lodowe kwiaty zamieniły się w splecione czarne wzory.

– Ja jednak wiem, że w tym ciele jest coś więcej niż tylko zimno i żądza. Czy pamiętasz, panie, zapach bzu, migotanie światła na bajorkach w Lesie Herali, pieśni Pozbawionych Dusz na polach przed Świętem

Mrozu? Czy pamiętasz pierwszy śnieg w czarnych jak smoła włosach?

W tym momencie jakiś grymas przemknął po twarzy Bhragana Nha'sula, coś jak ból albo głęboki, śmiertelny sen. Samhur powoli pokiwał głową.

– Zbyt wiele już zapomniałeś, panie – powiedział cicho. – Zaczynj sobie przypominać.

I w tym momencie w oczach Lorda Wampirów pojawił się obraz, było to cudownie piękne, blade oblicze kobiety w jasną zimową noc. Płatki śniegu zaplątywały się w jej włosy, a ona uśmiechnęła się.

Samhur przez chwilę stał w milczeniu, zupełnie jakby szukał w znieruchomiałej twarzy Lorda Wampirów czegoś, czego od dawna mu w niej brakowało, a potem odwrócił się i ruszył w stronę dwuskrzydłowych drzwi w końcu sali. Pozostali ruszyli za nim. Mia czuła na sobie nakazujące spojrzenie Grima, ale za nic nie potrafiła odwrócić wzroku od Bhragana Nha'sula. Obraz w jego oczach bladł coraz bardziej, by w końcu się rozpaść, jakby był z popiołu, ale zanim został pochłonięty przez ciemność, Mia miała wrażenie, że Lord wyciągnie rękę, by go zatrzymać. Chwila jednak minęła i nim obraz całkowicie zniknął, Mia odwróciła się i pospieszyła z pozostałymi.

*Kim ona była?*, spytała Lyskiana, który z nieprzeniknioną miną spieszył korytarzem. Lecz to nie on jej odpowiedział.

*Myślę*, odparł Samhur, uśmiechając się ledwie dostrzegalnie. *Iskrą, która potrafiła kiedyś zmienić każdą ciemność w morze światła, a każdą pustynię w ocean bez czasu. Lecz to było dawno temu, Córo Burzy, dawniej, niż potrafisz sobie wyobrazić.*

## Rozdział 23



Noc była rozgwieżdżona i tak zimna, że powietrze pod skrzydłami Grima sprawiało wrażenie lodowatego morza. Leciał szybko i to nie tylko dlatego, że było mu cholernie zimno, a Remi zeszywniałymi od mrozu włosami kłuł go w ucho. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Samhur powiedział, że w środku nocy muszą się udać na cmentarz w Kutnej Horze, spory kawałek od Pragi. Pozostali jechali jednym z piekielnych powozów wampirów, Grim jednak wołał polecieć. Uśmiechnął się lekko na wspomnienie chwili, kiedy poszli po trójkę Hartydów, a oni wielkimi oczami patrzyli na powóz i czerwonoookie konie. Nawet Jaro, który od czasu aresztu na cmentarzu stał się jeszcze bardziej mrukliwy niż zwykle, skulił się, słysząc, jak konie parsknęły. Grim zaliczył mu to na plus. Nie bez przyczyny jednak Gargulec zdecydował się lecieć. Powóz mknął w dole pod nim jak cień, ledwie jednak w ciemnościach pojawiły się światła Kutnej Hory, Grim przyciągnął skrzydła bliżej ciała i przyspieszył, żeby wyprzedzić powóz. Wystarczająco źle się z tym czuł, że musiał wybrać się w awanturniczą podróż z dwoma krwiopijcami, za nic więc nie chciał dopuścić do sytuacji, by Lyskian do końca życia pokpiwał sobie z jego umiejętności latania.

Już po paru chwilach stwierdził z zadowoleniem, że powóz został z tyłu i że wokół nie widać nic więcej poza głęboką czernią nocy. Początkowo liczył się z tym, że być może będą ich gonić siepacze Lorda Wampirów, ale najwyraźniej Samhur miał rację.

*On nie będzie nas ścigał*, powiedział Łowca, kiedy Mia zagadnęła go w zamkowym parku o Bhragana Nha'sula. *Nie odważy się.*

Potem oznajmił, że ich celem jest cmentarz, i odtąd wszelkie pytania pomijał zagadkowym milczeniem. Grim westchnął. Ten gość był

rozmowny, jak nie przymierzając kamień, i Grim najchętniej wytrząsnąłby z niego wszystko, co wie. Ale był też wojownikiem, Łowcą Pierwszej Piątki i prastarym wampirem. Bhragan Nha'sul próbował go spętać, ale ten Rhak' Hontay bez trudu uwolnił się, i to z pęć najpotężniejszego wampira, jakiego Grim kiedykolwiek poznał. Nie, ten Łowca trzymał się wyłącznie swoich własnych zasad, co do tego nie było wątpliwości. A więc raczej nie należało próbować zmuszać go do zrobienia czegokolwiek wbrew swojej woli.

*Zupełnie jakby on jeden był na świecie*, rozbrzmiał w głowie Grima głos Remiego i Grim z trudem oparł się pokusie, by wykatapultować go w powietrze na kilka pokrzepiających salt. Zamiast tego wyłączył go ze swoich myśli i wrócił do tej chwili, kiedy Łowca popatrzył na niego tam, na brzegu Weltawy. Raz jeszcze spoglądał w nieprzeniknioną ciemność, jaka kryła się za zimnym błękitem oczu Samhura. Nie było w niej oskarżenia za na wpół spalone ciała morskich istot i nie było lęku przed tym, kim mógłby się stać. Zamiast tego, jak tamten tancerz na linie, ponownie rozniecił pieczenie w jego piersi, aż przeniknęło ten chłód, który od walki z Wodnikiem jak paraliżujący jad rozlewał się po jego ciele. W ciemności tej odbijała się też gra światła i cieni, którą Grim tak dobrze znał, i zapraszała, by sam odważył się na taniec, który śmiertelnie uwodzicielsko go kusił. W oczach wampira czaiło się zagrożenie, Grim wyczuwał je każdym włókienkiem swego ciała, a jednak coś z niepojętą siłą pchało go, by za nim podążył, by zatańczył pośród nocy, którą sam był.

Z mroczną miną odpędził od siebie tę myśl. A niech to, co się z nim dzieje? Od kiedy to spojrzenie w jakieś błękitne oczy zbijało go z tropu? Samhur był Rhak' Hontayem, któremu zdarzało się przekraczać ciemności, o których on nie miał żadnego wyobrażenia, ale był też nieobliczalny i zabił jednego ze swoich najbliższych przyjaciół. Towarzyszył im wyłącznie dlatego, by zrealizować swój własny cel: pokonać Verusa.

– Jestem koboldem, a nie jakimś przyrządem meteorologicznym – wychrypiął Remi z oburzeniem, kiedy wylądowali przed bramą cmentarza. Wzniósł się w powietrze, rozprostowując zeszywniałe kończyny. Grim aż się zaśmiał, kiedy popatrzył na kobolda. Włosy



sterczały mu dziko na wszystkie strony, nos przybrał jaskrawoczerwony kolor, a brwi były pokryte szronem, wyglądały, jakby ktoś mu je posypał cukrem pudrem.

– Można by pomyśleć, że ubiegasz się o pracę u Świętego Mikołaja – stwierdził z uśmiechem Grim. – Jeśli tylko chcesz, możemy każdej nocy odbyć taki mały lot, żebyś nie wyszedł z wprawy. Może warto, żebyś sobie strzelił teraz fotkę i wysłał Rozalii? Jestem pewien, że się ucieszy. Ale może lepiej nie, bo jeszcze cię wykluczą z Bractwa Zielonej Pięści i będziesz się musiał przenieść do Klubu Czerwononosych.

Remi prychnął pogardliwie, ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, przed bramą zatrzymał się powóz. Jako pierwszy wypadł przed drzwi i to dosłownie Edwin. Kolor jego twarzy zbliżył się do koloru twarzy Remiego i tylko parskanie koni skłoniło go do oderwania się od powozu i podejścia chwiejnym krokiem do Grima. Gargulec bez słowa położył mu dłoń na karku i wysłał do jego ciała tchnienie ciepła, co chłopiec skwitował pełnym wdzięczności uśmiechem. Radvina, z woskową twarzą i w brudnym kostiumie, doskonale nadawała się do roli ofiary w trzeciorzędnym horrorze. Nawet Jaro, który w widoczny sposób starał się niczego po sobie nie pokazać, lekko pobladł wokół nosa. Mia przeciągnęła się z ulgą po wyjściu z powozu, a Lyskian rzucił Grimowi lekko ironiczne spojrzenie, nie odzywając się jednak ani słowem.

Samhur bezgłośnie wyskoczył z pojazdu. Otworzył bramę, najmniejszej uwagi nie zwracając na kłódkę, która tak po prostu spadła na ziemię jak stopiony kawałek żelaza, i wkroczył na teren cmentarza. Cmentarz nie był specjalnie duży, pojedyncze nagrobki rzucały cienie na trawę, a u końcu alei wznosił się budynek kaplicy. Był to zwykły ludzki cmentarz, jakich Grim widział już bez liku.

– Mylisz się – powiedział Samhur, uśmiechając się kpiąco.

Grim westchnął. Mógł się domyślić, że ten krwio pijca nie będzie się silił na uprzejmości i stosował do zasad etykiety, i że tak samo jak on lubi zaglądać w myśli innych. Szybko podciągnął wyżej wał ochronny, ale Samhur w ogóle się tym nie przejął.

– To wyjątkowe miejsce – powiedział. – Według ludzkich legend król Przemysł Ottokar II wysłał opata klasztoru cystersów w Sedlcu do Jerozolimy, a ten po powrocie rozsypał na tym cmentarzu garść ziemi z

Golgoty.

Radwina otworzyła szeroko oczy.

– Z miejsca kaźni Jezusa Chrystusa – wyszeptała nabożnie i nagle Grim wyobraził ją sobie klęczącą w jakimś zagubionym na odludziu kościele i odmawiającą różaniec za jakieś swoje śmieszne grzechy. Nigdy nie traktował ludzkiej wiary zbyt poważnie – nawet znajomość z monsieu Pité niewiele w tej kwestii zmieniła.

Samhur spojrział na niego.

– Nigdy nie rozumiałem wiary śmiertelnych – stwierdził, a w jego słowach zabrzmiały zarówno pogarda, jak i tęsknota. – Może rzeczywiście trzeba być człowiekiem, żeby ją pojąć.

Grim odwzajemnił jego spojrzenie i zdawało mu się, że dostrzegł w nim jakiś ciepły błysk.

– Tak czy inaczej – ciągnął Samhur – ziemię tego cmentarza ogłoszono świętą i wyczuwam wiarę w te słowa w ziemi, w powietrzu nad grobami, w każdym z potrzaskanych nagrobków. Na żadnym z cmentarzy, na których byłem, a byłem na bardzo wielu, głosy zmarłych nie były tak wyraźnie słyszalne w śpiewie wiatru.

Grim ściągnął brwi. Lubił przebywać na cmentarzach, lubił panujący na nich spokój, opowieści szeptane przez groby, uwielbiał wielkie nekropolie Paryża, takie jak cmentarz Père-Lachaise z jego labiryntem alejek i dużymi rodzinnymi grobowcami z Gargulcami na dachach. Wiedział, że cmentarz jest zawsze najbliższy serca miasta, a teraz, kiedy Samhur odwrócił dłonie wnętrzem do przodu i skierował spojrzenie w cień, na moment wiatr zrobił się jakby zimniejszy. Pędził liście przez aleję, wzbudzając ich szept, i nagle Grim usłyszał głosy – przyjemne, a zarazem nieskończenie smutne pieśni nocy śpiewane nad ludzkimi grobami.

Samhur podszedł do drzwi kaplicy. Uchylił je nieznacznie, ale zatrzymał się, jakby nagle coś mu się przypomniało, i odwrócił się. Grim poczuł zatęchły zapach, a kiedy spojrział w ciemność za drzwiami, zimny dreszcz przeszedł mu po ciele. Głosy stały się donośniejsze, by w pewnym momencie zamilknąć w pełnym tęsknoty westchnieniu. Cisza, która zapadła, przesycona była głębokim niepokojem i rozbawione iskierki w oczach Samhura niewiele zmieniły.

– Święta ziemia to tylko słowo – mruknął Samhur i obnażył kły w geście, który Grim odebrał tak, jakby Łowca splunął na jeden z grobów. – Jak wszystko, co jest pozbawione znaczenia. Tak się jednak składa, że właśnie słowa tego rodzaju, pojęcia, których sensu nikt tak naprawdę nie rozumie, od zawsze przyciągały człowieka. Ledwie rozeszła się plotka o świętej ziemi, a już wielu śmiertelników chciało być tutaj pochowanych. Cmentarz trzeba było nieustannie powiększać, również w wyniku epidemii zarazy w XIV wieku i wojen husyckich w wieku XV, które pociągnęły za sobą dziesiątki tysięcy ofiar. – Samhur uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. – Wiemy dobrze, co kryło się tak naprawdę za tą zarazą, ale nie ma to teraz znaczenia. Wybudowano tę kaplicę, a szczątki zmarłych ekshumowano i złożono w jej piwnicach, które od tego czasu służyły jako ossuarium.

Ledwie skończył, a z ciemności kaplicy za jego plecami dobiegł śmiech. Remi tak gwałtownie pomknął na ramię Grima, że jego lądowanie Gargulec odczuł jak walnięcie pięścią. Samhur ledwie dostrzegalnie przekrzywił głowę. Stał jak strażnik na granicy światła i ciemności.

– Śmiertelni opowiadają sobie legendy o na wpół ślepym mnichu, który dokonał ekshumacji szczątków czterdziestu tysięcy osób i systematycznie układał kości w ossuarium. W XIX wieku pewien drzeworytnik otrzymał zadanie udekorowania wnętrza kaplicy, z tym że za budulec miało mu służyć nie drewno, lecz... Zresztą, zobaczcie sami.

Z tymi słowami Samhur zniknął we wnętrzu kaplicy. Grim wraz z pozostałymi poszedł za nim. Dojrzał niewyraźne zarysy schodów prowadzących do podziemi. Na ścianach czerwonym światłem zapłonęły pochodnie, po obu stronach zejścia stały dwa kielichy z Ostatniej Wieczerzy wielkości człowieka, lecz zanim Grim zdążył przyjrzeć się im dokładniej, Remi zakaszłał ochryple.

– Kości – wyszeptał.

I rzeczywiście. Obok wykonanych z kości i czaszek kielichów Grim ujrzał monogram Jezusa z tego samego materiału, a kiedy rozejrzał się dokładniej, aż wstrzymał na moment oddech. Ze sklepienia kaplicy zwieszały się girlandy czaszek, piszczele i kości udowe zdobiły gotyckie sklepienia, a wielki ośmioramienny żyrandol wykonany był chyba ze

wszystkich kości, jakie znajdują się w ludzkim ciele. Pod nim stały cztery pinakle obłożone kilkudziesięcioma czaszkami, a w pomieszczeniach obok wznosiły się trzy wielkie stożkowate stosy kości. Kilka czaszek leżało pośród błyszczących monet, zupełnie jakby ludzie chcieli w ten sposób zdobyć ich przychylność. Na wielu kościach Grim dostrzegł ślady dawnych walk, wyszczerbienia będące wynikiem ciosów bojowych cepów i obuchów. Naprzeciwko schodów znajdował się ołtarz z krucyfiksem, a kiedy do środka wpadł przez okno blask księżyca, cień krzyża legł na posadzce kaplicy. Samhur przeszedł bezgłośnie przez pomieszczenie, a gdy mijał świece umieszczone w kinkietach na ścianach i w żyrandolu, zapalały się one z cichym sykiem. Zatrzymał się przed ołtarzem. Cień krzyża położył się teraz na nim i Grim dostrzegł dziwne napięcie w rysach Samhura, gdy ten podniósł wzrok i spojrzał w oblicze Syna Bożego. Można było odnieść wrażenie, jakby cień krzyża wżerał się w skórę wampira czarnym żarem.

– Spójrzcie na to – wymamrotał Jaro, ściągając na siebie uwagę Grima. Hartyda wskazał na herb kunsztownie ułożony z kości.

Lyskian podszedł bliżej.

– To herb rodu Schwarzenbergów – powiedział. – To ta właśnie rodzina swego czasu zleciła drzeworytnikowi udekorowanie na nowo wnętrza. Widzicie tego kruka? On też został ułożony z ludzkich kości. To, że dziobie lewy oczodół czaszki, to aluzja do walk z Osmanami w XVI wieku.

– Urocze, nie ma co – mruknął Grim ponuro.

Mia spoglądała na kości z mieszaniną zdumienia i podziwu.

– Chrześcijanie kazali się tutaj grzebać, żeby być bliżej Jezusa.

W tym momencie Samhur roześmiał się. Był to dźwięk zupełnie do niego niepasujący i Grim był zdumiony, że brzmi tak ciepło, prawie po ludzku, ale kiedy się odwrócił, zobaczył wampira wciąż stojącego w bezruchu przed ołtarzem i strzepującego sobie cień krzyża z ramion, jakby to był wystrzępiony płaszcz.

– Wyobraźcie sobie tylko, jak tu będzie wyglądać zmartwychwstanie – powiedział i zaśmiał się chłodno. – Ta kość udowa u góry po prawej na żyrandolu przyciągnie sobie tamto biodro spod okna, ta czaszka z kąta przykica tutaj i będzie skakać od jednego kręgu

do drugiego. – Przeszedł kawałek i postukał lekko obcasem w posadzkę. – Niezły by z tego wyszedł korowód śmierci. Ale nawet ludzie mieli problem, żeby to sobie wyobrazić. Dlatego bogaci obywatele miasta kazali się grzebać pod podłogą i to w całości. Do wystroju wewnątrz użyto tylko kości ludzi biednych i bezimiennych.

– Zupełnie jak dzisiaj – zauważył Jaro i pogardliwie pstryknął jedną z czaszek. – Dlaczego tu jesteśmy? – spytał, siląc się na obojętny ton, lecz kiedy Samhur na niego spojrział, zastygł w bezruchu.

– Nigdy nie nadejdzie ten dzień, żebym wyjaśniał człowiekowi moc jego wiary – odparł Łowca zimno. – Mogę ci powiedzieć tyle, ślepy widzący, że nie ma na świecie wiele tego rodzaju miejsc, gdzie ciemność rozbłyskuje jaskrawym światłem, oddalając wszelkie zło, które nie potrafi znieść tego blasku. – Wskazał im miejsce przy schodach. – Odpocznijcie. Następnej nocy będziemy kontynuować naszą wędrówkę.

Radvina wydała okrzyk takiego przerażenia, że aż Edwin się wzdrygnął.

– Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy nocować wśród szczątków zmarłych – stwierdził mrocznie Grim. – I bez tego najwyższy chyba czas, żebyśmy...

– ...żebyście usiedli – przerwał mu Samhur arogancko. – Poprosiliście mnie o pomoc i otrzymacie ją, ale nie jest moim zadaniem uwolnić was od waszej bezgranicznej naiwności. Verus Crendilas Dhor to Lhot dziewiątego Kręgu, prastary demon, który w razie czego mógłby każdego z was zniszczyć jednym palcem, gdyby tylko miał na to ochotę. Także ja muszę być bardziej przygotowany, żeby mu się przeciwstawić.

Grim prychnął, lecz spojrzenie Lyskiana powstrzymało go od wypowiedzenia swojego zdania. Z mroczną miną usiadł pod ścianą obok Mii i westchnął głęboko. Tak naprawdę nie miał nic przeciwko temu miejscu, ale patrząc na twarz Radviny, należało się liczyć z tym, że lada moment straci ona przytomność. A kto wtedy będzie ją musiał wynieść, ryzykując, że zaślini mu cały płaszcz? Spojrzał na Lyskiana, który natychmiast pokręcił przecząco głową.

*Z nas dwóch to ty jesteś przyjacielem ludzi*, powiedział w myślach wampir i uśmiechnął się.

Radvina jakoś się jednak pozbierała. Błada jak prześcieradło

usiadła przy Edwinie i przyglądała się Samhurowi, który obchodził pomieszczenie kaplicy.

– Mówisz, panie, o Verusie tak, jakbyś go znał – odezwała się Mia z szacunkiem.

Przez chwilę Łowca milczał i Grim skłonny był już przypuszczać, że nie dosłyszał słów Mii, lecz Samhur podniósł w końcu wzrok.

– Nie, młode Dziecię Burzy – odparł. – Znam jednak tajne księgi Coraksa, które o nim mówią. W dawno minionych czasach służył na dworze Seta II jako Achaj, czyli uśpiony demon żyjący w symbiozie z ludźmi i służący im swoją mocą. Pomógł największym władcom osiągnąć potęgę i sławę, nigdy niczego w zamian nie żądając. Lecz któregoś dnia górę wzięła jego prawdziwa natura. Zabił syna faraona, puszczając z dymem pół pałacu. Następnie opuścił pustynię i nigdy już nie powrócił w to miejsce. Zamiast tego kroczył przez pola popiołów, nasłuchiwał szeptu wichrów na Równinach Gniewu i zaczął wykorzystywać ludzi do swoich celów. Podszeptował im rzeczy, które zaspokajały jego żądze, i skłaniał ich do czynów, które koili jego pragnienia, tak jak to czynią wszystkie demony.

Grim ledwie dostrzegalnie skinął głową. Znał jakieś strzępy przeszłości Verusa, ale o służbie na dworze Seta II nie miał dotąd pojęcia.

– To znaczy, że już wtedy znał maskę Baala – mruknął. – I w końcu ją zagarnął. Nie mówiąc o Berle Ludzi.

Samhur stanął między czterema kolumnami i nieprzeniknionym wzrokiem spojrzął w stronę Grima.

– Verus dysponuje wielką mocą – odparł, a jego głos prześlizgnął się po czaszkach zebranych w pomieszczeniu kaplicy jak wiatr po więdnących płatkach kwiatów. – Nie zna jednak wszystkich mocy tego świata, bo nie zna na przykład Mocy Cieni!

Łowca w milczeniu pochylił głowę, jakby się kłaniał, następnie uniósł dłonie i wolno poruszył palcami. Grim usłyszał słowa, które wyszły z jego ust, i podobnie jak pozostali wzdrygnął się, kiedy niespodziewanie z kolumn buchnęły czerwone płomienie. Z sykiem pomknęły w stronę Samhura, który płynnym ruchem cisnął je na posadzkę, tworząc krąg. Zawołał coś do nich niskim głosem, a one

wykonały jego rozkaz, buchając wysoko i sięgając jego dłoni. Ledwie dotknęły jego palców, przemieniły się w rozpalony żar, otoczyły jego ręce i wspięły się po jego piersi, aż w końcu otuliły całe jego ciało. Nie paliły go, chociaż wniknęły w jego ciało i rozprzestrzeniały się pod skórą. Grim miał wrażenie, że są to duchy, które po długiej nieobecności chciały przypomnieć sobie swoją ojczyznę. Czarny ogień rozgorzał w poszczególnych czaszkach wiszących na ścianach i sklepieniu. Z ich oczodołów wydobywały się zarysy jakichś postaci. Grim widział Samhura na potężnym okręcie na wodach oceanu, ale też walczące ze sobą wampiry, demony i różne Królestwa Cieni, które leżały ukryte głęboko pod ziemią i o których dotąd tylko słyszał. Lekko strzelając, przemknęły przez ogień, prześlizgiwały się przez płomień z równą łatwością, co przez ciało Samhura, i Grim pojął, że to coś więcej niż wspomnienia powracające w tym ogniu do ciała Łowcy Cieni. To miejsce było miejscem nowego początku i przypomnienia o tym, co było kiedyś, i Grim zrozumiał, że nie tylko ludzie znaleźli wieczny odpoczynek w tej kaplicy. Były tu też wampiry, prastarzy, potężni krwiopijcy, którzy niegdyś byli częścią Samhura, bo byli jego towarzyszami, jego rodziną, jego klanem. Zobaczył kobietę o długich blond włosach, wampira, który mógł mieć nie więcej niż piętnaście lat w momencie stworzenia, widział, jak się śmieją, serdecznie i ciepło. Przesuwały się obok niego kamienne hale, czuł chłód ich murów, i kiedy tak przyglądał się wampirom poruszającym się tanecznym krokiem po ciemnej, drewnianej podłodze, to czuł oddanie, jakim Samhur darzył te postacie, może niekoniecznie była to miłość, ale jednak paląca i bezwarunkowa determinacja, by oddać za nich życie. Ciemne wieże wystrzelały nad mrocznym lasem, jak trzy igły kłuły niebo, a kiedy Grim przyłapał się na myśli, że to niebo powinno zaraz zacząć krwawić, to wiedział, że patrzy na Grhrokol, prastarą i legendarną twierdzę wampirów, którą demony obróciły kiedyś w perzynę. *Przeżyło tylko niewielu i oni poprzysięgli sobie, że się zemszczą.* Samhur poruszał się w płomieniach, wyglądało to tak samo jak jego walka na linie i mimo ognia, który z dziką zawziętością przesunął się po jego ciele, Grim dostrzegł wyraz jego twarzy. Znalazł w nim ból, potężniejszy i głębszy od wszystkiego, co on sam kiedykolwiek mógłby pojąć, i jedno wiedział

bez cienia wątpliwości: gdyby spróbował się w niego wczuć, gdyby odbierał go tak, jak Samhur w tym momencie, to ból ten rozerwałby go na strzępy.

Mia pochyliła się do przodu. Wyglądało na to, że ona też wyczuwa emocje Samhura, a kiedy Grim rozejrzał się wokoło, dostrzegł je nawet w bladych rysach twarzy Lyskiana. Był to czar wychodzący od Rhak' Hontaya i jego historii, i kiedy jego ból przerodził się w palące pragnienie zemsty, to było tak, jakby iskra tego odczucia eksplodowała także w ciele Grima, jakby stała się żarem tłącym się w jego piersi, który w tym momencie zapłonął ogniem. Samhur otworzył oczy, one też stały w płomieniach porywających wszelkie wspomnienia o maskaradach, które przez tak długi czas pozwalały mu się ukrywać. Błękit jego oczu z okrutnym chłodem przebił się przez płomienie, czarny żar zalał je i zdusił. To bez wątplenia był Rhak' Hontay, Łowca Cieni, dysponujący ciemnością, którą potrafił zniszczyć każde światło.

Samhur bez słowa wystąpił z płomieni, które zmieniły się za jego plecami w zwykły ciepły ogień, i ujął w dłonie jedną z czaszek umocowanych na pinaklach. Przez kaplicę przemknął szept, czaszki uniosły się w powietrze i zaraz potem pinakiel rozszczępił się i z jego cokołu trysnęło jaskrawe światło. Samhur bez wahania sięgnął do środka i wyciągnął stamtąd skórzany płaszcz, czarny kapelusz o szerokim rondzie i magiczne bronie. Bez słowa włożył wszystko na siebie. Płaszcz był poprzetykany srebrną nicią, a kapelusz niemal całkowicie zakrywał jego twarz. Grim patrzył na pradawne diamentowe bicze, schowany w pochwie miecz z Zielonej Stali, kilka noży, które Samhur powkładał do szlufek przy butach, oraz niewielką srebrzystą kulę, której zimno cięło skórę Grima nawet z tej odległości. Musiała być zrobiona z kryształu aklonu, materiału, którego w dawno minionych czasach używano zamiast diamentów do obrony przed demonami i którego nie był w stanie zniszczyć najsilniejszy nawet Ogień Klątwy. Przez moment nad kulą ukazał się hologram Łowcy i Grim zorientował się, że była ona najwyraźniej luksusowym wydaniem jakiegoś magicznego narzędzia komunikacji.

Samhur usiadł przy ogniu i wypowiadając cicho jakieś słowa, zaczął czyścić broń. Jego głos był surowy, głoski tańczyły ociężale w



przestrzeni i chociaż Grim czuł zmęczenie, które z każdym nowym tonem zakradało się do jego ciała, nie potrafił oderwać wzroku od tego obrazu. Doskonale pamiętał swoje pierwsze lata w Naczelnej Policji Gargulcowej, lekcje w katakumbach różnych metropolii Europy, ale też noce w lasach, wichry tundr Północnego Świata czy czarne noce na wyschniętych polach Południa. Często siedział przy ogniu z Kronkiem, swoim przyjacielem i towarzyszem broni, który teraz cierpiał w szponach Verusa. Obraz ten miał w sobie ciszę i samotność, i coś przeraźliwie zimnego, co dało mu odpowiedź na pytanie, którego nawet jeszcze nie przeczuwał, pytanie, którego być może nawet nigdy nie zada, ale którego znaczenie już teraz, ponieważ pokazało na moment swój cień, sprawiło, że dreszcz przebiegł mu po plecach.

Czuł zapach włosów Mii, która wtuliła się w niego i zasnęła, słyszał, jak Jaro rzucał się niespokojnie, zanim w końcu usnął na twardej posadzce, kątem oka widział Radvinę, której drgały przez sen powieki. Remi chrapał w zgięciu łokcia Edwina, a Lyskian w którymś momencie podniósł się i po prostu opuścił kaplicę. Grim wolał nie wiedzieć, dokąd poszedł wampir. Samhur ujął w dłoń miecz i Grim natychmiast poczuł jego błyski na skórze. Zobaczył, że Łowca leciutko się uśmiecha.

*Dostałem go od Wielkiego Wezyra Konstantynopola, powiedział w myślach do Grima. Jego klinga została posmarowana jadem z oczu Wielkiego Bazyliszka, Zielona Stal sprawia, że przechodzi przez kamień jak przez ludzkie ciało. Przyjrzyj się tym wzorom na klindze.*

Grim podniósł się ostrożnie, żeby nie budzić pozostałych, i usiadł obok Samhura przy ogniu. Miecz był tak zimny, że na jego palce przeskoczyły kryształki lodu. Kiedy przesunął dłonią nad klingą, wzory jeden po drugim rozżarzały się, ukazując artystyczne obrazy potworów, straszliwych czynów i budzących grozę twarzy.

*Tysiąc Klątw Hekabe, powiedział Samhur i w jego oczach zapłonął czarny ogień. Już jedna wystarczyłaby, aby każdego nowo narodzonego wampira tego świata spalić na popiół. Dostałem je po walce ze Zwariowanym Duchem z Moskwy, który nocami zlizywał ludzkim dzieciom skórę z ciała. Ta broń zawsze dobrze mi służyła w czasie walki.*

Samhur sięgnął po miecz, ale gdy objął klingę, na jego ciele pojawiły się czarne żyły, a z ust wydobył się jęk. Pod skórą prześlizgiwał

się wąż i Grim aż się cofnął, kiedy głowa węża z sykiem wyskoczyła z ciała, by zaraz z powrotem w nim zniknąć. Samhur cofnął rękę z mieczem i jakby mimochodem przejechał dwoma palcami po żyłach, które z cichym trzaskiem wchłonęły się w ciało. *Kiedy się ścigało tak wiele demonów, jak ja, powiedział mrocznym tonem, to w którymś momencie można się zmienić w jednego z nich.* Spojrzał na Grima spokojnie i chłodno, tak jak wtedy, na brzegu Wełtawy, potem powoli skinął głową. *Ale jest wiele sposobów, by zatracić kontakt z samym sobą, prawda?*

Spojrzenie Łowcy było jasne, lecz głęboko w błękicie jego oczu Grim rozpoznał swoje własne odbicie. I chociaż słowa Samhura niby rozszarpane iskry spadły w ciemność jego myśli, to jednocześnie czuł też spokój, jakim emanował jego rozmówca i który kładł się na jego ramionach jak dający ochłodę płaszcz. Dopiero kiedy Łowca odpowiedział tym samym, Grim zorientował się, że się uśmiechnął, i odwrócił się zmieszany.

Samhur przymocował miecz do pasa i podniósł się. *Następną noc mój ogień będzie gotowy. Będzie przenikał kamień i ciało i poniesie moje spojrzenie w Cień. Do tego czasu muszę się oddalić, mam jeszcze mnóstwo rzeczy do załatwienia, skoro już wróciłem.* Pochylił się w stronę Grima, a jego dłoń spoczęła ciężko i lodowato na jego ramieniu. *Strzeż snu tych, których kochasz,* wyszeptał z powagą w głosie. *I nie zapominaj, niestrudzony Hybrydzie: Każdy staje się tym, na co poluje.*

Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł z kaplicy. Grim spoglądała na płomienie, które splatały się w tańcu jak żywe istoty i na krótki moment wydało mu się, że dostrzega w nich płonące ciała morskich istot i fale rzeki. Z mroczną miną oderwał się od płomieni i wyjął z kieszeni komunikator. Hologram pokazywał grootę skąpaną w blasku pochodni, w tle dostrzegł niewyraźne zarysy Theryona i Jakuba. Wojownik elfów przechadzał się tam i z powrotem na tle ozdobionej barwnymi malowidłami ściany, a brat Mii siedział w kucki ze zwojem pergaminu przy niewielkim ognisku. Tam też, opatulony w koc, spał Carven.

Uśmiech przemknął po twarzy Grima, kiedy przypomniał sobie, z jakim przejęciem Carven przed kilkoma godzinami mówił mu o sekretnej Grocie Trolli, w której chcieli przenocować w drodze do

miasta trolli Ysdarr, i o mało się nie roześmiał na wspomnienie zaskoczenia malującego się na twarzach Hartydów, kiedy zobaczyli chłopca w środku lasu w towarzystwie młodzieńca i wojownika elfów. Grim dotknął hologramu, obraz zamigotał lekko, ale i tak miał wrażenie, jakby udało mu się poczuć pod dłonią włosy Carvena. Chłopak oddychał spokojnie, jakby nic nie było w stanie zakłócić jego snu, i kiedy Grim mu się przyglądał, po jego ciele rozlał się spokój, który pokrył wszelką nerwowość warstwą czarnej nocy.

## Rozdział 24



Ciężkie chmury zasnuły niebo. Księżyc z rzadka przebijał się przez ich gęstą zasłonę, by zaraz znowu za nią zniknąć. Po kocich łbach zaułków przemykały cienie, sprawiając, że bruk wyglądał jak potrzaskane dziecięce czaszki. Te same cienie, przy nawet najbardziej ukradkowym rzucie oka w nisze bram i czeluście podwórek, zamieniały się w groteskowe potwory.

Samhur szedł przodem. Umieścił swój ogień w metalowym pojemniku podobnym do kadzielnicy, lecz z otworów zamiast dymu wychodziły języki płomieni, oblewając postać Łowcy upiornym blaskiem. Pojemnik ten miał mu pomóc odnaleźć Verusa, nic więcej Mia nie wiedziała, dlatego czuła się jak dziecko, idąc za nim przez ciemności i nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd ich prowadzi. Jego kroki były bezgłośnie, ale czuła jego obecność niczym dotyk lodowatych palców na skórze. Alvinor przemienił się teraz całkowicie w Łowcę, Rhak' Hontaya, który miał ich zaprowadzić do Verusa i towarzyszyć im w walce, i w Samhura, którego żądza zemsty była nienasycona. *Córo Burzy, zupełnie mnie nie znasz*, rozbrzmiewały w jej głowie jego słowa. W każdym jego ruchu wyczuwała Półmrok, rozdarcie i bezgłośnie niebezpieczeństwo, i przypominała sobie okrutną, a zarazem uwodzicielską ciemność jego spojrzenia, której się przeciwstawiła i która zawsze mogła oznaczać jedno z dwojga: wzlot lub upadek. Coś z tego odpowiadało ciemności w oczach Grima i nie uszło jej uwagi, że patrzył on na Łowcę z mieszaniną fascynacji i odrzucenia. Przyglądała mu się z boku, on jednak zdawał się tego nie zauważać. Jak nieporadne ludzkie dziecko spoglądał za Samhurem. Blask ognia tańczył na jego twarzy i z każdą chwilą Mia odnosiła wrażenie, że się od niej oddala, chociaż ani odrobinę nie przyspieszył kroku. Kiedy wreszcie na nią spojrział, ujęła

jego dłoń, ale uśmiech na jej wargach smakował goryczą. Kochała, ale zarazem bała się nocy w jego oczach, bo wiedziała, że nigdy nie zdoła jej zrozumieć. Samhur za to leciał na jej skrzydłach, bo znał ją na wylot. Był Łowcą Cieni i mógł towarzyszyć Grimowi w Ciemność, jaką nosił on w sobie jako Dziecko Ognia, i docierać do miejsc, do których ona z nim iść nie mogła.

Jakieś szurania dochodzące z dachu wyrwały Mię z rozmyślań, ale zmusiła się, by nie patrzeć w górę na demony, które podążały za nimi, szepcząc szyderstwa. Nie miały odwagi zaatakować całej grupy, ale Mia słyszała ich śmiechy, czuła złośliwe spojrzenia i wiedziała, że tylko czekają, by któreś z nich okazało swój słaby punkt. Uwolnienie Verusa i jego siepaczy wywołało z cieni rozliczne demony, część z nich nie czuła się już związana prawem, które od stuleci trzymało je w ryzach. Od czasu do czasu Lyskian ledwie dostrzegalnie unosił dłoń, a wtedy głosy prześladowców milkły, by zaraz potem rozbrzmieć za nimi ze zdwojoną siłą. Mia wiedziała, że Grim najchętniej powyrywałby im te złośliwe jęzory. Nawet Remi patrzył w noc z pionową zmarszczką między brwiami. Widocznie niełatwo przychodziło Wojownikowi Zielonej Pięści znosić ich obelgi. Spojrzała na Hartydów. Edwin wpatrywał się w ogień rozniecony przez Samhura jak w jakiś czar ochronny, a Radvina starała się nie okazywać przerażenia i spoglądała na dachy, jakby chciała zetrzeć demony na proch roziskrzonymi gniewem spojrzeniami. Jaro natomiast w ogóle nie zwracał uwagi na prześladowców. Zamiast tego z ciekawością zaglądał w okna opuszczonych domów, zupełnie jakby tylko czekał na sposobność, żeby wejść do któregoś z mieszkań. Dopiero kiedy ogień Samhura buchnął mocniej, szepty demonów całkowicie ucichły.

– O, nie – powiedział Edwin, gdy w końcu stanęli przed małym drewnianym domkiem. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po marionetkach widocznych w oknach i głośno przełknął ślinę. – Zapomnieliście o lalkach? Jak urosły i...

Radvina podeszła bliżej okna i zacisnęła powieki, jakby w ten sposób mogła poznać prawdziwą istotę marionetek.

– One nas zaatakowały – powiedziała i znowu przerażenie odmalowało się na jej twarzy. – A my nie mogliśmy nic z tym zrobić.

– Za żadne skarby nie wejdę znowu do tego domu – stwierdził Edwin podniesionym głosem. – Jeszcze mi życie miłe!

– Ależ z was tchórze! Szkoda daru Hartydów dla takich jak wy. Zostańcie lepiej na ulicy, niech was zeżrą demony, będzie o dwie kule u nogi mniej. – Jaro przewrócił oczami.

Mia właśnie zbierała się, żeby mu odpowiedzieć, kiedy Samhur odwrócił się w ich stronę. Zmierzył Radvinę i Edwina chłodnym spojrzeniem, ale kiedy się odezwał, jego głos brzmiał niemal łagodnie.

– Wy, ludzie, macie prawo się bać. Powinniście jednak być dostatecznie mądrzy, żeby wiedzieć, kiedy można, a kiedy nie. Ponieważ strach może być jednym i drugim: obroną i paraliżem.

A potem spojrzał na Jaro i jego głos stał się równie lodowaty jak wyraz jego twarzy.

– Ignorancja natomiast zawsze jest jednym i tym samym – powiedział. – Głupotą.

Z tymi słowami otworzył drzwi. Radvina potknęła się, zupełnie jakby ktoś ją popchnął, a Edwin ruszył za Łowcą z osobliwym błyskiem w oku. Jaro wykrzywił twarz, ale kiedy zauważył kpiące spojrzenie Mii, bez słowa ruszył przed siebie. Grim patrzył za nim i Mia przez moment nawet myślała, że puknie go w głowę, tak gniewne było jego spojrzenie. Ostatecznie tylko odprowadził go wzrokiem i razem z Mią wszedł do domu Łowcy.

Mia знаła przyjemniejsze rzeczy niż powrót do miejsca koszmarnych wizji, którymi próbował odpędzić ich Samhur, i westchnęła ciężko, kiedy w nozdrza uderzyła ją znana już woń dymu. Marionetki się nie poruszały, ale Samhur wyszeptał coś, i ledwie jego głos musnął ich policzki, w ich oczach pojawił się blask, na moment sprawiając, że jakby ożyły. Mia czuła zimną ciemność ich spojrzeń. Wydawało jej się, że słyszy szelest ubrań i klekot drewnianych kończyn, ale kiedy się obejrzała, lalki ciągle pozostawały w tych samych miejscach i wbijały nieruchomy wzrok przed siebie, tak że za nic nie mogła stwierdzić, czy jej odczucia były prawdziwe, czy nie. Samhur odsunął na bok jeden z foteli i otworzył ukryte za nim tajne przejście. Do pomieszczenia wlało się światło pochodni.

*Co to jest rzeczywistość, ludzkie dziecię?,* spytał w myślach Mię,

kiedy pozostali przechodzili przez drzwi. Przez moment miała wrażenie, jakby zapytał ją na głos, bo wiedział, że ona potrafi odnaleźć odpowiedź na to pytanie, które dla niego widocznie było tajemnicą.

*To zależy od charakteru naszych myśli,* odrzekła.

Samhur zatrzymał się, w jego oczach pojawiło się coś jakby szacunek. *I od pytań, jakie sobie zadajemy, prawda,* odrzekł po chwili. *Czasami odpowiedzi są bez znaczenia, jeśli udało się właściwie postawić pytanie. Ale czasem są też groźne. Niewiele jest istot, które potrafią wytrzymać tę zmienność i udać się na poszukiwanie prawdy. Tym cenniejsi są ci, którzy tak czynią, ci, którzy idą za wewnętrznym głosem, nie zważając na otaczającą ich ciemność... albo noc w ich wnętrzu.*

Lekki uśmiech przemknął po jego twarzy i przez moment Mia dostrzegła ból kryjący się na dnie jego ciemności, na dnie zagadki, jaką dla niej był. Był to przeklęty, czarny ból, który rozrywał mu pierś w czasie samotnych nocy. Lekko uniósł głowę. Po raz pierwszy, od kiedy się znali, Mia miała wrażenie, że spojrzał na nią tak naprawdę i przez głowę przemknęła jej myśl, jakby przysłana przez Samhura: Wszystkie noce były samotne. Mia ledwie zauważalnie odpowiedziała mu uśmiechem. Może i był niebezpieczny, ten Łowca Cieni o tysiącu twarzy, którego Półmrok wywabiał Grima z jej ramion... Był jednak zarazem zagubiony i poszukujący, jak ona, i w tym momencie podrzucił jej okruch światła ze swych ciemności.

Ruszyła za pozostałymi korytarzem, który schodził spiralnie w dół. Samhur poruszał się tak samo bezgłośnie jak płomień, które niósł. Schodzili coraz głębiej i głębiej, a na ścianach tańczyły cienie, by wreszcie ześlizgnąć się w głąb bocznego korytarza. Samhur otworzył ciężkie drewniane drzwi na jego końcu i weszli do pomieszczenia całkowicie pokrytego czarnym popiołem. Tylko sklepienie było jak odwrócona powierzchnia wody. Niczego nie odbijała, ale tańczyły nad nią języczki zielonego i niebieskiego światła, wywołując lekkie fale.

Samhur wszedł na środek pomieszczenia i uwolnił ogień, który migocząc, zatrzymał się nad powierzchnią jego dłoni. Bez słowa Łowca przesunął przez niego palce, na co języczki pod sklepieniem zmieniły się w ogniste zasłony i oświetliły pomieszczenie. Dopiero teraz Mia mogła zobaczyć, że podłoga i pokryte popiołem ściany poprzetykane są siatką

jakby wyschniętych korzeni drzew. Ostrożnie przesunęła po nich dłonią i stwierdziła, że te sploty są twarde jak kamień i zimne jak lód. Na korzeniach, w większości pokrytych grubą warstwą popiołu, wygrawerowane były znaki, formuły i glify z dawno minionych czasów.

– Wyjątkowo tu przyjemnie – mruknął Grim z przekąsem, strzepując płatki popiołu z ramienia, co spowodowało, że Remi trzykrotnie kichnął. – Zastanawiam się, ile jest piwnic w twojej piwnicy, Łowco Cieni.

Samhur lekko uniósł brwi, zupełnie jakby pytał, czy Grim rzeczywiście chce to wiedzieć. Podczas gdy jego ogień zawisł nieruchomo w powietrzu, on sam podszedł do ściany i przesunął dłonią po korzeniach, sprawiając, że cofnęły się z kawałka posadzki. Pod spodem był biały marmur.

– To miejsce jest tak stare jak Lhor'na Phrakam'thin – stwierdził Samhur. – Służyło nam jako wieża rytualna, często z niego korzystaliśmy, dawniej, kiedy jeszcze... – Zamilkł i Mia odniosła wrażenie, że poczuła na skórze muśnięcie cienia, który pojawił się wraz z milczeniem na jego twarzy. – To nasze miejsce. Siadajcie, ale pod żadnym pozorem nie opuszczajcie kamiennego podłoża, nie dotykajcie popiołu... I milczcie.

Edwin sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wydostanie się w końcu z popiołu. Podnosząc nogi sztywno jak bocian dotarł do owalu, który odsłonił Samhur, i wyczekująco popatrzył na Radwinę i Jaro, którzy zbliżali się z ociąganiem.

Grim założył ręce na piersi i ani myślał podejść.

– Wystarczająco dobrze znam się na magicznym popiele, żeby wiedzieć, jakie mogą się w nim kryć moce – powiedział. – Tym ważniejsze wydaje mi się, żebyś nas wtajemniczył, co ma się tutaj dziać. Może w końcu coś nam powiesz?

Samhur odsunął się o kilka kroków i zdjął płaszcz oraz koszulę. Jego skóra wyglądała w tym świetle jak białe kości.

– Może tak – odparł, kiwając głową z uśmiechem... i zgasił ten uśmiech z taką łatwością, jakby to było życie człowieka. – A może nie.

Zanim Grim zdążył zareagować, do przodu wystąpił Lyskian.

– Nie mam wątpliwości, że doprowadzisz nas bliżej celu –



powiedział uprzejmie, lecz Samhur potraktował go z szyderstwem.

– O ile rzeczywiście znasz swój cel, łaskawy Książę – odparł. – Ale masz rację. Odnajdę Verusa, tego możecie być pewni. W każdym razie wygląda na to, że nie wszyscy tutaj dysponują niezmierzoną skarbnicą wiedzy jak nasz Hybryd. Rytuał, który za chwilę odprawię, nie jest do końca bezpieczny, tak jak popiół, na którym stoicie. Proszę bardzo, możecie zostać tam, gdzie jesteście, ale żebyście nie myśleli, że będę się potem zajmował waszymi ciałami, które w mgnieniu oka ulegną zwęgleniu. Zupełnie tak, jak wasz...

Remi z taką prędkością pomknął na sam środek owalu, że w powietrzu rozległ się świst jakby lecącej strzały. Mia wraz z pozostałymi poszła za jego przykładem i stwierdziła, że kamień pod jej stopami jest ciepły, zupełnie jakby był żywą istotą. Samhur podszedł bliżej, koniuszki jego palców pokryły się czarnymi płomieniami. Edwin cofnął się, lecz wampir parsknął gniewnie.

– Powinniście być mi wdzięczni, że myślę o czymś tak nieistotnym jak wasze życie i dbam o środki ostrożności. Chcecie żyć, czy umrzeć? Czy może będziecie tu stali tak długo, aż Verus osiągnie to, czego chce?

Mia wystąpiła pierwsza. Kiedy spoczęło na niej spojrzenie Samhura, poczuła pulsowanie w skroniach. Odniosła wrażenie, że jeszcze bardziej przyciąga ją do skraju owalu. A potem nagle wyciągnął swoją płonąca dłoń w jej stronę. Jego palce, które spoczęły na jej czole, były lodowato zimne. Zadrżała, kiedy przesunął nimi po jej policzkach, potem ujrzała lekkie migotanie sigli, które kreślił na jej skórze. Po kolei nałożył swoją magię na wszystkich pozostałych, a potem odwrócił się. Płomienie w jego dłoni zabarwiły się na zielono. Powrócił do swojego ognia pośrodku pomieszczenia, a wtedy zapłonął wokół niego ognisty krąg. Rozłożył ręce, zaczęły po nich przeskakiwać iskry, tworząc na jego skórze splecione znaki, z cichym sykiem zapadające się w siebie. Niektóre pozostawiły blizny na jego ciele, lecz twarz Samhura ani drgnęła. Stał bez ruchu i kiedy ostatni znak przeniknął do jego ciała, osunął się na kolana. Niemalże z czcią podniósł spojrzenie. Ogień nad jego głową zmienił się w sztylet z białych płomieni, który z przenikliwym odgłosem przeciął powietrze, wbijając mu się w pierś. Potem rozbłysnął na moment, wysunął się z jego ciała i zgasł.

Mia usłyszała stłumiony jęk Edwina i czuła, jak Remi chwiejnie utrzymuje się przy niej w powietrzu, ale nie mogła oderwać oczu od Samhura. A ten zanurzył dłonie w popiele i wtedy z jego palców buchnął ogień i popłynął przez sploty wypełniające pomieszczenie jak krew płynie przez ludzkie żyły. Kamienna skorupa pękła, pod spodem ukazały się żyły pełne żaru, rozprzestrzeniające się po ścianach i posadzce, aż całe pomieszczenie skąpane było w migotliwym blasku. Mia nie wiedziała, czy jest jeszcze w pomieszczeniu wykutym w kamieniu głęboko pod ziemią... czy może w trzewiach żywej istoty.

Z ust Samhura wyrwał się szept i wydawało jej się, że widzi słowa, których drżące kontury muskają jego skórę. W tym momencie pękły blizny rozsiane na jego ciele i krew poczęła skapywać na żyły w posadzce, które zaraz nabrały ciemnej barwy i uniosły się w górę. Oplotły jego ramiona i nogi i uniosły go w powietrze. Przez krótki moment pozostawał bez ruchu, głowa opadła mu na piersi, z jego torsu spływała krew, miał spętane ręce i nogi. Wyglądał jak... Lecz zanim Mia zdołała dokończyć tę myśl, Samhur poderwał głowę w górę i otworzył oczy.

Stały się białe jak śnieg. Spojrzał na Mię, albo spojrzało coś, co przyczaiło się w ich cieniu. Łowca wykrzywił twarz w grymasie, zupełnie jakby głęboka czerń wcisnęła się od wewnątrz w jego rysy, by je zdeformować. Powieki zaczęły mu drżeć, krew z szumem gnała w żyłach oplatających pomieszczenie, zalewając je czarnoczerwonym światłem, a kiedy zamknął oczy, z blizn na jego ciele wypłynęły obrazy, unosząc się nad nim łagodnie niby hologramy. Mia dostrzegła niebo i chmury, burze nad kryjącą się w mroku nocy ziemią i mroczne ulice. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła. Coraz szybciej pędziły w jej stronę kolejne obrazy, zmieniały się w wir migocących świateł i w momencie, kiedy gwałtowne zawroty głowy zaczęły mącić jej świadomość, ujrzała przedzierającego się przez nie Samhura.

Wciąż jeszcze żyły trzymały go w powietrzu, ale teraz wykonywał gwałtowne ruchy, zupełnie jakby z czymś walczył. Głębokie szramy ukazały się na jego policzku, a kiedy coś, jakby potężny cios, odrzuciło jego głowę, odczuła impet tego uderzenia tak mocno, że aż poleciała w tył. Kiedy wylądowała na posadzce, spostrzegła, że jest poza

chronionym obszarem. Na jej twarzy osiadały płatki popiołu, wokół dostrzegła zarysy hologramów, które ku jej przerażeniu rozprysły się z potężnym hukiem. Trysnęła z nich krew. Mia z trudem stłumiła krzyk, kiedy trafiły ją bryzgi, ale kiedy przejechała dłonią po policzku, był na niej tylko popiół. Lekko oszołomiona wstała. Zobaczyła w pewnej odległości Grima, widać on również został wyrzucony poza krąg ochronny, tak zresztą jak i Edwin, który leżał nieprzytomny pod przeciwległą ścianą. W owalu Lyskian właśnie stawał na nogi. Spojrzał na nią, ale nagle w powietrzu zawisł jakiś dźwięk, który sprawił, że wszyscy znieruchomieli, coś jakby z trudem powstrzymywany śmiech. Zaraz potem Samhur odrzucił głowę w tył, gwałtownie i nienaturalnie, zupełnie jakby ktoś go do tego zmusił, i zanim Mia zdołała pojąć, co się dzieje, rozwarł usta i wyskoczyła z nich jakaś istota, demon o chudych, owłosionych kończynach i ostrych jak brzytwy szponach.

Z dzikim wrzaskiem wyprostował się, potoczył wzrokiem wokoło i wyrzucił ręce w górę. Płonący krąg żaru rozsypał się w czerwone iskry, które spadły na popiół, wydobywając z niego kolejne demony, w sumie jeszcze trzy, nad których mocarnymi ciałami sadza rozciągała się jak śluzowata skóra. Rozwarte w ryku paszcze i ostre zęby pędziły w stronę Mii, demony rozcinały popiół niby wody morza. W ostatnim momencie udało jej się zrobić unik przed błyskawicą ciśniętą przez jednego z atakujących. Grim rozpostarł skrzydła i płomienistym sierpem oddzielił głowę demona od tułowia, lecz w następnej chwili rzucił się na niego drugi. Lyskian wyskoczył z owalu i wspólnie go odepchnęli, ale demon próbował ich dosięgnąć płomienistymi biczami. Pomieszczenie aż drżało. Mia otoczyła się czarem ochronnym, dzięki czemu umknęła przed kolcami, które nagle wystrzeliły z popiołu pokrywającego pomieszczenie, i pospieszyła do Edwina. Złapała go szybko i dowlokła do bezpiecznego owalu, gdzie Radvina pomogła go wciągnąć na biały marmur. Zanim jednak Mia zdążyła postawić na nim nogę, chwyciły ją krwawe szpony. Cisnęła w stronę demona lodowy wir, warstwa sadzy rozerwała się, ukazując wyżartą miejscami twarz pozbawioną skóry. Patrzyły na nią nieruchome trupie oczy. Poczowała cuchnący oddech wydobywający się spomiędzy jego warg i ogarnęło ją przerażenie, kiedy uświadomiła sobie, że zaraz wniknie on do jej wnętrza. Uderzyła go z

całych sił, ale jej magia rozwiała się jak delikatny dym w zderzeniu z wichrem. Dyszała, na moment w jej polu widzenia pojawił się demon z ostrymi szponami. Upiornym ruchem przejechał nimi po ciele Samhura, aż pozostała na nich jego skóra, obnażając żywe mięso. Zaraz potem prześladowca chwycił ją mocniej i znów patrzyła mu w twarz. W jego oczach była żądza. Mia w rozpaczy wysłała do czubków palców Czar Burzy, kiedy nagle zobaczyła, jak rozpalają się znaki na jej skórze. Demon cofnął się, lecz było już za późno. Jego oddech, który paraliżująco kładł się na jej ciele, zmienił się w czerwone płomienie, które buchnęły w jego stronę i w ułamku chwili otoczyły go huczącym ogniem. Z wrzaskiem wypuścił Mię, która odczołgała się, a Jaro i Radvina wciągnęli ją na chroniony obszar. Widziała, jak prześladowca zmienia się w płonącą lepłą masę. Otaczający go ogień oderwał się od niego i błyskawicznie przeniósł się na demona, który przypierał do muru Lyskiana i Grima, gotując mu ten sam los. Samhur, zanim jego prześladowca zdołał mu zadać dalsze obrażenia, zamachnął się pięścią i posłał go w płomienie. Także i ten ostatni demon spłonął z ochryplym wrzaskiem, po czym płomienie posłusznie ułożyły się w krąg, który Samhur rozpałił na początku rytuału. Sploty wypuściły Samhura, który ciężko dysząc, upadł na posadzkę, a wtedy ogień zgasł.

Mia nie wahała się ani chwili. Pospiesznie podbiegła do Samhura, potem przysiadła obok Grima, który wysłał leczące zaklęcie do ciała Łowcy. Krew płynęła z rozlicznych ran na jego dłoniach i ramionach, kiedy jednak Lyskian przesunął ręką nad piersią Samhura, ten poruszył się. Ruch był tak nagły, że Mia aż się wzdrygnęła i musiała się pochylić, aby zrozumieć słowa, które Łowca wyszeptał pokrytymi zakrzepłą krwią ustami:

*On tu jest.*

Odsunęła się przerażona. Te słowa pojawiły się w jej myślach, ale to nie głos Samhura je wypowiedział, lecz głos... Zanim zdołała pomyśleć właściwe imię, Łowca otworzył oczy. Były złote jak... Ciężkie Znikczemienia, od którego wzięły barwę.

*Verus*, przemknęło jej przez głowę i w tym samym momencie Samhur z zadziwiającą prędkością zerwał się na nogi. Odrzucił Grima i

Lyskiana czarem tak gwałtownym, że upadli zamroczeni. Z jego gardła wydobył się śmiech, a kiedy postąpił w stronę Mii, poczuła, jakby szyć ścisnęła jej jakaś lodowata dłoń.

*Córo Burzy*, wyszeptał demon, a ona nie wiedziała, czy jego głos wydobywa się z ust Samhura, czy też słowa rozbrzmiewają bezpośrednio w jej myślach, okrutne i śmiertelne, jak wszystkie słowa Verusa. *Pójdź ze mną i stań się... Córq Znikczemnienia!*

Mia cofnęła się chwiejnie. Próbowwała dostrzec Samhura w postaci, która się ku niej zbliżała, lecz wyglądało na to, że Verus wymazał wszelki ślad jego istoty, poruszając się sztywno jak... Mia znieruchomiała. Jak marionetka! Ledwie to pomyślała, usłyszała w myślach głos Samhura, spokojny i wyraźny. *Można by pomyśleć, że jest w nich coś więcej niż tylko śmierć i wieczność, prawda? I czasami wydaje mi się, że tak właśnie jest.* Przez moment Mia dostrzegła coś, jakby wyraz zdumienia, przemykający po twarzy stojącej naprzeciw niej postaci. W tym momencie skoczyła błyskawicznie do przodu, chwyciła diament wiszący u pasa Samhura i przycisnęła mu go do czoła. Verus wydał ryk, skóra pod kryształem zwęgliła się i Mia poczuła wpatrzony w siebie gniewny wzrok. Chwilę później powrócił do nich błękit oczu Samhura i Łowca upadł. Śmiech demona był jednak pełen szyderstwa i odbijał się echem w pomieszczeniu tak długo, aż Samhur się rozkaszał.

Cisza, jaka potem zapadła, była jak łopocząca płachta przykrywająca otchłań. Łowca z trudem podniósł się na nogi, jego rany goiły się szybko, lecz w oczach miał powagę, która sprawiła, że Mia zadrżała.

– Co za piekło... – zaczął Grim, zbierając się z posadzki, lecz zanim jeszcze Lyskian uniósł ostrzegawczo dłoń, Samhur rzucił mu spojrzenie, po którym Grim zamilkł.

– Nie mów o rzeczach, o których nie masz pojęcia – powiedział Łowca mrocznym głosem. – Nie widziałeś jeszcze prawdziwego piekła, głupi Hybrydzie.

Otarł twarz, na czole zostały mu delikatne smugi popiołu.

– Verus został ostrzeżony – powiedział Lyskian. – Czy może się myłę?

Samhur pokręcił głową.

– Nie mylisz się. Gdybym nie poczynił odpowiednich przygotowań, bylibyśmy teraz wszyscy poddanymi jego woli.

Remi zmarszczył brwi.

– Ostrzeżony? Ale...

– Widzieliście demony, które kręcą się po całym mieście – odparł Samhur spokojnie. – Słyszeliście obelgi, jakie rzucały w naszą stronę te odważniejsze z nich, a z demonami jest jak ze szczurami: jeśli widzisz jednego, to znaczy, że setki innych kryją się w cieniu. Chyba nie macie złudzeń, że większość z nich stoi po stronie Verusa?

Mia milczała przez chwilę.

– Powiedziałeś, że on jest tutaj – szepnęła do Samhura. – Czy to znaczy, że...

Kiedy Samhur na nią spojrzał, jego oczy ukryte były w mroku.

– Verus czai się w Cieniach – wymamrotał. – Gdzieś głęboko pod tym miastem. Wycofał się w pustkę czasu, w ciemność tego, co niewypowiedziane, tam, gdzie kiedyś w wiecznym zepsuciu rozkwitały kwiaty szkarłatu. Kiedyś była to główna siedziba demonów na tym świecie, lecz było to nazbyt dawno, abym sam mógł to pamiętać. To Miejsce Przerazenia, wypełnione mrokiem i gniewem. Nie, Verus nie wycofał się do Miasta Płomieni z jego czarnymi jak smoła zaułkami i oknami przypominającymi oczy. Jego drogi wiodły jeszcze dalej w głąb ciemności, wiodły do dawnego serca Rha'manthuru. Dostrzegłem go w Wieży Klątwy demonów, w Kharamonie, Twierdzy Gniewu.

Mia skuliła się lekko. Grim opowiadał jej o tym miejscu, o Wieży Przerazenia, która kiedyś była główną siedzibą demonów położoną głęboko pod ulicami Pragi. Wciąż jeszcze podobno nad jej murami snują się Czarne Klątwy. Przypomniała sobie ryciny, które widziała w księgach Ghrogonii – widoki Rha'manthuru emanujące tak dzikim pięknem, że miała wrażenie, jakby czuła zapach krwi, którym wciąż jeszcze przesycone były ulice.

– Twierdza Gniewu zmieniła się od czasu panowania demonów – powiedział Lyskian. – Od dawna kryje w sobie zagrożenia, których boją się nawet prastare demony. Z jakiego powodu Verus miałby się tam wycofać?

Uśmiech Samhura był jak pchnięcie.

– Niewiele wiecie o demonach jego rodzaju. On nie boi się Cieni... on je zaprasza do tańca. Tak samo, jak robimy to my, Łowcy. – Chwycił swój płaszcz. – Nie możemy tracić czasu. Verus został ostrzeżony, wie, że deptę mu po piętach, a Wieża Klątwy to miejsce o wielkiej mocy. On na pewno...

Nic więcej nie zdążył powiedzieć. W pomieszczeniu rozległo się ogłuszające dudnienie, zaraz potem wszystko zaczęło dygotać. Mia straciła grunt pod nogami. Coś przebiło się z wnętrza ziemi, posadzka rozpękła się i potoki zielonych i żółtych płomieni zaczęły lizać ściany i wnikać w nie. Skały zaczęły niebezpiecznie trzeszczeć i osypywać się, a płomieniste jezioro nad ich głowami zmaćniło się złowróżbną czernią. Tylko Samhur stał bez ruchu pośrodku tego chaosu. Jego spojrzenie przebiło ogień i spoczęło na Mii.

– Biegnijcie! – ryknął, potęgą swego głosu podrywając ich z ziemi.  
– Biegnijcie, co sił w nogach!

## Rozdział 25



Z pęknięcia z potężnym hukiem buchnął ogień. Posypały się iskry, które Grim czuł na skórze jak ukłucia rozżarzonych igieł, w nozdrza uderzył go opar prastarej magii, która z nieposkromionym gniewem wydostała się z głębin ziemi. Pospiesznie chwycił dłoń Mii i pociągnął ją za innymi. Musieli jak najszybciej opuścić pomieszczenie. Za nimi burzyła się siła demonów, magia przekleństwa o potężnej mocy, która rzuciła się na czar obronny Samhura, rozbijając go w wibrujący pył. Ledwie zostawili za sobą korytarz, a już pognał w ich stronę kłęb ognia.

Mia oddychała szybko. Owiewały ją lodowate wichry, kolejne czary ochronne Łowcy, które miały ustrzec ich przed płomieniami. A w płomieniach słyszać było echa śmiechów, krzyków śmiertelnie przerażonych istot i skomlenie niezliczonych przeklętych. Grim miał wrażenie, że słyszy też dudnienie kopyt i czuje rozżarzony oddech potężnych harpii. Samhur z hukiem wyrwał z zawiasów sekretne drzwi i wypadli z domu wprost na ulicę. Wszystkie ulice Pragi poprzecinane były pęknięciami, z których buchały płomienie, wznosiły się w powietrze i ślizgały się nad budynkami, które w ich uścisku, niby pod wpływem czarodziejskiej dłoni, zmieniały się – na fasadach wyrastały czarne ciernie, cegły stawały się chropowatą skórą, wieże z kości strzelały w niebo lub pochylały się ku uciekającej grupie niby szyje dinozaurów, a cienie za oknami pęczniały w czające się potwory przyciskające do ścian popękane cielska.

Grim biegł skulony za Łowcą, trzymając dłoń Mii, Remi z całych sił wczepił się w jego płaszcz. Lyskian trzymał Radvinę i Edwina, przed sobą pędził Jaro. Ziemia pod ich nogami drżała, kamienna skorupa powoli pokrywała miasto tak, że kościelne wieże sterczały w nocne niebo niczym połamane włócznie, a budynki mieszkalne zamieniały się



w upiorne domy wzniesione z żywej tkanki. Dookoła tryskały gejzery ognia i co chwila ściany płomieni pędziły w ich kierunku, w ostatniej chwili rozrywane potężną magią Samhura. Grim czuł potęgę tego ognia, miał wrażenie, że płynie on w jego krwi. Były to zapomniane, śmiertelne zaklęcia, które rozładowały się w nieujarzmionym chaosie, wołały do niego głosami mącącymi mu w głowie. Nie rozumiał ich słów, zbyt stary był to język, zbyt splątane melodie, a jednak czuł ogromne pragnienie, by za nimi podążyć, zanurzyć się w ich żarze i tańczyć wraz z nimi, jakby przez całe życie czekał na ich zew, jakby były zdolne wydrzeć z jego ciała wszelki niepokój i to palenie, a...

Z wściekłością zacisnął pięści i odegnał myśli. Do licha ciężkiego, nie jest przecież demonem, którego można w ten sposób omotać! Znał triki Car'lay Ythemów, zbyt wiele takich czarów widział w życiu, żeby teraz ulec ich kusicielskiej mocy. Niech ten diabelski czar będzie sobie potężniejszy od wszystkich dotychczasowych – Verus nigdy nie zdoła rzucić go tym na kolana!

Zdecydowanym ruchem przygarnął Mię do siebie, rozpostarł skrzydła i dał susa nad pęknięciem. Zanim jednak zdążył wylądować po drugiej stronie, przez ziemię przeszło dudnienie połączone z ogłuszającym hałasem piekielnych wrzasków. Pęknięcie rozszerzyło się, pochłaniając niemal pół przecznicy. Z powstałej w ten sposób otchłani buchnęły płomienie i Grim w ostatniej chwili dołączył razem z pozostałymi do Samhura stojącego w wejściu do jakiegoś budynku. Dokładnie w tym momencie z rykiem, od którego załopotał płaszcz Grima, na powierzchnię wydostały się demony Ghrogonii.

Grim rozpoznał je ponad wszelką wątpliwość. Zbyt wiele z nich osobiście zamykał w diamentowych lochach, zbyt wiele wypuszczał z nich na krótko, gdy były wzywane na przesłuchanie, spędzał z nimi niezliczone noce w zabezpieczonych pomieszczeniach. Tak, pamiętał każdego z nich, a jednak aż zaparło mu dech, kiedy zobaczył je teraz na wolności. Tuż po ucieczce ich ciała wyglądały jeszcze upiornie, ale teraz to się zmieniło – zdążyły już wydobrzeć po męczarniach niewoli. Grim rozpoznał plujących ogniem Fy, Holoklitów napadających zwierzęta i zmieniających je w przerażające potwory, jak i potężnych Khanów, którzy uwolnieni z pęt, pędzili przez płomienne welony czaru, aż iskry

sypały się w noc, i wzmacniali się jego siłą. Jeden z Ifrirów, pod postacią czarnego byka, rozorywał rogami bruk ulicy, a z pęknięć wystrzelały błyszczące krwawo kolce i wrastały w fasady domów, jakby to było żywe ciało. Liczne, całkowicie nagie Fy o diabelsko wykrzywionych twarzach, skakały po dachach, jednym skinieniem palca miotając w powietrze dachówki. Demony Ghrogonii, od stuleci trzymane w niewoli przez Gargulców, zostały przywołane i przybyły... Widać było, że już wkrótce powrócą do dawnych sił. Ich głosy mieszały się z prastarymi klątwami i jedno Grim wiedział ponad wszelką wątpliwość: jeszcze nigdy nie widział obrazu takiego jak ten, obrazu ucieleśniającego grozę, wolność i potęgę.

Fy jak oszalałe zaczęły szaleć na dachach, ale ledwie pierwsze kominy wylądowały na bruku, powietrze przeciął trzask ognistego bicia. Iskry sypnęły się nad dachami i Grim ujrzał Gargulca, który pędził za demonami, uderzeniami bicia zmuszając Fy do zaprzestania zniszczeń. Dziwny ból przeszył Grima na ten widok. Poczł nagle woń Północnych Stepów, smak dymu z ognisk i poczuł ciemność katakumb Pragi, która musnęła jego policzki jak wtedy, gdy wchodził do nich razem z tamtym Cienioskrzydłym. Bo był to Kronk, spętany teraz obcą wolą przyjaciel i towarzysz, który jak inni najpotężniejsi Cienioskrzydli Ghrogonii znalazł się w szponach demonów i musiał słuchać ich rozkazów. Obok pojawili się Walli, Pyros i Vladik i płomienistymi biczami zmuszali demony do spokoju. A kiedy Kronk odwrócił wzrok i spojrzał na Grima białymi jak wosk oczami, ten z trudem powstrzymał się, by nie polecieć do niego i nie wytrząsnąć tkwiącego w nim przekłętą demona. W ostatniej chwili ktoś chwycił go za ramię i strumień zimna tak gwałtownie przeszył jego ciało, że oderwał wzrok od Cienioskrzydłych i spojrzał wprost w twarz Samhura. Łowca przytrzymał go żelazną ręką, jego oczy były jak dwa okruchy błękitnego szkła, a przeszywający wzrok sprawiał wrażenie, jakby potrafił przepalić kamień i ciało. Grim nie odwrócił się, kiedy wampir wylądowywał gniew w palącym zimnie, lecz jego serce biło jak szalone, gdy poczuł na skórze żar ciemności płonącej w oczach Samhura. Kiedy odgłosy wokół zaczęły cichnąć, a on z nadzwyczajną wyrazistością zaczął słyszeć szum nocy, skrywającej się głęboko w wieczności wampira, za lodem i błękitem, Samhur opuścił wzrok.

Grim poczuł się tak, jakby został nagle wypuszczony z mrocznych objęć, lecz gniew w jego wnętrzu zamilkł. Dopiero teraz dostrzegł zieloną poświatę migocącą nad pokrytymi skorupą ścianami i poczuł zimno magii, którą Łowca okrył budynek. Spojrzał w stronę Kronka i zdołał opanować się, patrząc na towarzysza broni, na jego twarz wykrzywioną przez demona w potworną maskę. Nawet z tej odległości wyczuwał męki, jakie musiał cierpieć Kronk. Spojrzał mu w oczy, które wciąż jeszcze płonęły zimnym białym żarem.

*Jestem tutaj*, powiedział cicho i widział, jak jego słowa wpadają w ciemność, w którą został wrzucony Kronk, i gasną jak małe iskierki.  
*Jestem tutaj i uwolnię was, a wtedy spotkamy się ze Złem i zniszczymy je jak wesz w futrze niedźwiedzia. Jak za dawnych czasów!*

Nie był pewien, czy błysk w oczach Kronka to było tylko złudzenie, ale przez moment czerpał z tego ciepło i nadzieję.

W tym momencie smagnął go śmiech, który nagle przeleciał nad dachami. Pod biczami Cienioskrzydłych szalejące demony uspokoiły się i przysiadły na kopułach, wieżach i dachach domów. Zaraz potem od strony Hradczanów spłynęło potężne dudnienie. Grim spojrzał w tamtą stronę i zaparło mu dech.

Praski zamek zmienił się w siedzibę demonicznej mocy. Prawie wszystkie budynki wokół stały się organicznymi formacjami z kamienia. Miały ostre jak igły dachy, pokrywały je gonty przywodzące na myśl błyszczące pancerze chrząszczy, wszędzie na ulicach i domach pleniły się dziko rośliny. Mury zamku wyglądały jak potężne cielsko węża o błyszczących łuskach, a nieco dalej, ze złożonymi skrzydłami, oplatając groźnie szponami wieżę katedry Świętego Wita wznosił się z budynku kamienny smok. Jego ciało było częściowo zrosnięte z katedrą, a może katedra z nim. Choć jednak był stężałym kształtem z czarnej lawy i nic się w nim nie poruszało, poza jego potężnym cieniem, który kładł się na wciąż jeszcze przemieniające się miasto, Grim czuł spojrzenie jego lodowatych oczu i przeląkł się lekko, kiedy dostrzegł złoty błysk w źrenicy smoka.

Kronk i pozostali Cienioskrzydli wylądowali na jednym z potężnych smoczycy szponów. Grim usłyszał, jak smok nabiera powietrza w płuca... potężny wdech prastarej potęgi. A kiedy je

wypuścił, w różnych częściach miasta wybuchły pożary, miało się wrażenie, że oddech potwora przenikał każdą kostkę miejskiego bruku, każdą ulicę i każde ziarenko żwiru... jakby nagle cała Praga stała się jednym wielkim smokiem.

Potężny szum rozdarł powietrze. Grim przygarnął Mię, kiedy zarzewia zapłonęły zielonym ogniem. I wtedy z gardzieli smoka wyłonił się otoczony płomieniami Verus. Potężna błyskawica rozdarła niebo nad katedrą i kiedy demon wylądował przy Cienioskrzydłych siedzących na szponach smoka, stworzył wielki wizerunek samego siebie spoglądającego z otchłani nieba na miasto.

– Car'lay Ythemowie! – wykrzyknął i jego głos przetoczył się po uliczkach, ale rozlegał się nie tylko z katedralnej wieży, wydobywał się też z płomieni ognia, które rozpalił. Ryki demonów odpowiadających na to wezwanie okrzykami wojennymi odbijały się echem w nocnym powietrzu. Dotąd ta nazwa była dla Grima tylko złowróżbnym cieniem, lecz teraz, kiedy widział demony na dachach Pragi, niemal nabożnie wpatrujące się w Verusa, teraz, kiedy ich gniew wprawiał powietrze w drżenie, a ich magia wzbierała mrocznie i złowrogo w ich jeszcze na wpół wycieńczonych ciałach, po raz pierwszy z całą mocą dotarło do niego, jak stary był to lud. Czuł zimno ich ciał, żar ich spojrzeń i palący ból w ich wnętrzach i przez chwilę nie wiedział, czy to nie on sam nosi w sobie ich niepokój, ich rozdarcie, ich żądzę... i tęsknotę za wolnością, jakiej nigdy nie zaznali.

Verus poczekał, aż okrzyki umilkną, a potem uśmiechnął się.

– Długo czekaliśmy na tę noc! – zawołał, a jego głos omiótł budynki miasta jak tchnienie wiatru. – Długo znosiliśmy ucisk i ból, tolerowani i zniewaleni przez tych, którzy powinni nam służyć. Patrząc na was i widząc, jakie cierpienia musieliście znosić, ale powiadam wam: te czasy już minęły!

Budynek, w którego wejściu stał Grim wraz z innymi, aż zadygotał, tak ogłuszające były wiwaty demonów, kiedy Verus podniósł pięść ku niebu. Ze ścian opadły drobiny tynku, aż Remi kichnął kilkakrotnie. Grim posłał mu karcące spojrzenie, ale nie potrafiłby powiedzieć, czy kobold był biały od pyłu spadającego ze ścian, czy też z powodu widoku, jaki się przed nimi rozciągał. Verus uniósł w powietrze

jakiś przedmiot, była to maska Baala.

Palce Mii były lodowato zimne, kiedy chwyciła dłoń Grima.

– Prosiłem was o cierpliwość – ciągnął Verus. – I dzisiejszej nocy zostaniecie wynagrodzeni za wasze trudy. Dzisiejszej nocy będziecie mieli przedsmak tego, co się stanie!

Nałożył maskę na twarz, słowa zaklęcia przetoczyły się groźnie ponad dachami i uderzyły w Grima. Gargulec mocniej przygarnął Mię, Remi ukrył się w zgięciu jego łokcia, a Lyskian pochylił głowę w oczekiwaniu na podmuch, który pędził strumienie płomieni nad domami. Edwin i Radvina wyglądali jak kupka nieszczęścia i nawet Jaro patrzył na Verusa okrągłymi z przerażenia oczami. Tylko Samhur stał bez ruchu, pozwalając, by płomienie maski tańczyły na jego twarzy. Ześlizgiwały się po nim, jak po tarczy ochronnej, nie przenikając do Mii i pozostałych, a jednak ich żar wbijał się jak cierń w ciało Grima. Płomienie wystrzeliły w niebo i zgasły z nagłym sykiem.

Cisza, jaka zapadła, była pełna napięcia. Nawet demony tkwiące na dachach ani drgnęły, jakby wiedziały, co teraz nastąpi. Grim, kiedy usłyszał pierwsze trzaśnięcie drzwi, poczuł bolesne uderzenie serca w piersi.. Cisza pękła, ale stawało się to powoli, jakby rozdzierał się kawałek tkaniny. Dziwny szept wypełnił powietrze i wraz z nim zniknął spokój, jaki w ostatnich dniach zalegał nad miastem, owa mocarna, ale zarazem przeklęta cisza, która była przyjazna i łagodna, choć przepełniona grozą, jak to potrafi być cisza w świecie, gdzie nie ma już ludzi.

Grim zobaczył ich, zanim spojrział w tamtym kierunku. Bosych mężczyzn, kobiety w nocnych koszulach i dzieci trzymane za rękę przez rodziców. To ludzie wracali do Pragi. Jeszcze częściowo pozostawali we władaniu snu, ale ich twarze były wykrzywione na widok koszmaru, niektórzy mamrotali coś pod nosem, jakby wiedzieli, jakie to istoty spoglądają na nich z góry z nieskrywaną żądzą.

Verus wciągnął powietrze w płuca, jakby chciał wchłonąć ludzki zapach, i natychmiast płomienie buchnęły wyżej. A potem, ledwie zauważalnym ruchem pstryknął palcami i ludzie obudzili się. W pierwszej chwili zachowywali się tak, jakby nie wiedzieli, że to, w czym się teraz znaleźli, to już nie sen, ale zaraz potem pierwszy demon wydał

ochryply ryk, którego podmuch odrzucił im do tyłu włosy. Ludzie zaczęli krzyczeć w panice, a ich przerażenie było dla Grima jak cios nożem. Zaciśnął pięści na widok płomieni, które wystrzeliły przed nimi, uniemożliwiające ucieczkę. Z sykiem wystrzeliwały w stronę ludzi, którzy instynktownie odskakiwali w tył. Demony siedziały na dachach, jak przyczajeni drapieżcy, z trudem odrywały wzrok od ludzi i spoglądały w stronę Verusa, który zdjął maskę i nadał swojej twarzy wręcz obrzydliwie piękny wyraz okrucieństwa. Z wolna wyciągnął dłoń i zanurzył ją w popiele pokrywającym szpony smoka. Natychmiast rozbłysnął pod spodem czerwony żar.

– Czy czujecie moc, jaka tli się w tym popiele? – spytał.

Grim ujrzał, że demony idą za jego przykładem i też zanurzają dłonie w ciemność. Wszędzie rozbłyskiwał żar. Wyglądało to tak, jakby ktoś w tysiącach miejsc naraz zadawał miastu rany. Krzyki ludzi niosły się po ulicach.

– Czy czujecie cienie Kharamonu, klątwy Twierdzy Gniewu? To ja je przywołałem! A one idą za moim rozkazem, albowiem przyciągnąłem je do światła dzięki snom tych, nad którymi panuję! Posłuchajcie głosów naszych przodków, poczujcie ich gniew, ich rozpacz... i ich moc! Ich ogień przywróci wam dawną moc i żaden wróg nie zdoła już przeniknąć przez wasze płomienie! Już niedługo dokona się mój czar, a wtedy przyjdzie czas zemsty! A do tej chwili tańczcie, Dzieci Gniewu!

Mówiąc to, zanurzył dłoń głębiej w szpony smoka. Rozpalony żar rozlał się po ciele potwora, jego oczy rozbłysły dzikim ogniem, smok wyprężył się, jakby budząc się do życia, i z przeraźliwym rykiem plunął na dachy miasta zielonym ogniem klątwy. Płomienie natychmiast się rozprzestrzeniły, pokrywając budynki, ale nie paląc ich, i pomknęły ulicami jak śmiercionośny opar mgły. Grim poczuł na ramieniu dłoń Samhura. Wampir chciał go pociągnąć za sobą, ale Grim nie potrafił oderwać wzroku od tego, co widział. Nad miastem przetoczył się ryk demonów, które rzuciły się na ludzi. Prześlizgiwały się przez ogień, przeżyły się w jego objęciach, jakby przenikał je potężny czar wzmacniający, i Grim czuł te magiczne impulsy niczym palące ukłucia na skórze. Klątwy z Twierdzy pędziły ogłuszającymi głosami przez noc, oplatały gardła demonów i na uderzających ze świstem skrzydłach niosły

ich ku dawnej mocy.

Ludzie uciekali w panice. Zderzali się ze sobą i padali na ziemię, i co chwila któregoś z nich porywał jakiś demon i włókł ponad dachami miasta. Jeden z demonów, dysząc z żądy, wylądował przed jakimś młodym człowiekiem stojącym niedaleko Grima, złapał go za gardło i plunął mu w twarz swoim oddechem. Zanim jeszcze młody człowiek stracił przytomność, demon wydobył się ze swojego dotychczasowego ciała jak liniejący wąż i pod postacią białego dymu wniknął w człowieka, a jego dawne ciało rozpadło się w popiół, podczas gdy ofiara zaczęła gwałtownie dygotać. Grim słyszał, jak młodemu człowiekowi pękają kości, kończyny wykręcają się nienaturalnie i kiedy demon zmusił swoje nowe ciało, żeby stanęło na czworakach, oczy człowieka zmieniły się w czarny żar. Z dzikim wyciem wspiał się po ścianie domu i zniknął, ale natychmiast pojawił się następny demon. Gonił dziesięcioletnią może dziewczynkę, która rozbiła kolano, ale chyba w ogóle nie czuła bólu. Ze strachu biegła na oślep ulicą, a demon pędził za nią, rzucał w nią kamieniami, ciągle chybiając o włos. Rozwścieczony Grim zagłębił szpony w murze domu. Bez wahania wcisnął Mię w objęcia Lyskiana, a potem strząsnął z ramienia dłoń Samhura i skoczył przed siebie.

Jednym susem przeskoczył przez ścianę płomieni i rzucił się na demona. Złapał go jeszcze w locie, z całej siły trzasnął pięścią w twarz i cisnął nim o fasadę domu. Demon zamachnął się na Grima, był to Xay, demon lodowy, lecz wściekłość Grima sprawiła, że słowa zaklęcia spłonęły mu na języku, wyrywając z gardła wrzask bólu. Nie panując nad sobą, Grim wyciągnął z kieszeni diament, ale kiedy chciał go przycisnąć do czoła demona, coś złapało go od tyłu.

Uderzył głową o ziemię, ale zanim zdążył się zerwać na nogi, ze wszystkich stron otoczyły go płomienie klątwy. Bolesnymi pchnięciami wnikały w jego skórę, wdzierały się do płuc i kładły wielotonowym ciężarem na piersi. Wsparł się pięściami o ziemię, lecz ogień kruszył jego koncentrację, a kiedy na moment odsłonił dziewczynkę, którą właśnie porywał demon, palące ostrza rozpaczy wbiły się w żołądek Grima. Wydał ryk, lecz ogień strząsnął jego myśli, zmieniając je w tańczący pył.

Dłoń była tak zimna, że Grimowi odjęło oddech. Chwyliła go za gardło, lecznicze zaklęcie przeszło jego ciało i kiedy został porwany w powietrze, ogień klątwy spłynął z jego ciała, pozwalając, by jego skórę musnęło atłasowe powietrze nocy.

*Ty głupi Hybrydzie, powiedział cicho Samhur, bo to on właśnie potężnymi susami pędził przez płomienie, taszcząc ze sobą Grima, by wreszcie przebić mur jakiegoś domu. Wylądowali na marmurowej posadzce holu, kawałki ścian spadały na nich z góry, lecz zanim Grim zdołał stanąć na nogi, Łowca znowu poderwał go w górę. Jego oczy lśniły czarnym żarem. Otrzeptał resztki ognia z płaszcza Grima i popatrzył na niego z dezaprobatą. Czy tobie się wydaje, że potrafisz pokonać klątwy takie jak te, ogień przywołany potęgą snu i żywiący się najpotężniejszymi klątwami tego świata? Zmierzył Grima zimnym spojrzeniem. Jeśli jeszcze raz zagroźysz sobie albo naszej misji, to pozwolę ci szczeznąć w płomieniach.*

Samhur powiedział to spokojnie i z powagą, i Grim nie miał najmniejszych wątpliwości, że mówi serio. Nie miał czasu odpowiedzieć, ponieważ ogień klątwy dotarł już do okien i sprawił, że rozpadły się na tysiące kawałków. Samhur pognał przez deszcz odłamków jak przez płatki śniegu, a Grim ruszył za nim. Samhur jednym kopnięciem otworzył drzwi do piwnicy i zbiegł schodami pokrytymi niebieskim ogniem.

– Grim!

Kiedy dotarli do mrocznej piwnicy, Mia wpadła mu w ramiona, a Remi ustawił się przed jego nosem z wyrazem zatroskania na twarzy.

– Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę, że nawet ty nie możesz pokonać klątw sprzed tysięcy lat – powiedział kobold, starając się przybrać srogą minę, ale Grimowi nie uszedł wyraz ulgi w jego oczach

– Są rzeczy, które się wie – odparł Grim, spoglądając w stronę Samhura, który w milczeniu wzmacniał czar ochronny Lyskiana na schodach. – I są rzeczy, które mimo wszystko trzeba zrobić.

Mia pogładziła go po policzku, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, jej spojrzenie padło na płaszcz Grima. Lewa poła była nadpalona. Grim także spojrział w dół i zobaczył stopione szczątki komunikatora. Z ponurą miną wziął w rękę grudkę metalu.



– Najnowsza technika – burknął i rzucił go gdzieś w ciemność piwnicy. Przejechał dłonią po oczach, by przegnać z myśli obraz tamtej dziewczynki, lecz nie do końca mu się to udało.

– Verus ukrył się w podziemnym świecie Pragi – powiedział szorstkim głosem. – A teraz, kiedy go wykryliśmy, wylazł na powierzchnię, by zabarykadować się w mieście.

Remi usiadł na ramieniu Edwina, oświetlając swoim blaskiem wykrzywione przerażeniem twarze Hartydów. Nawet Jaro najwyraźniej był pod wrażeniem wydarzeń, ponieważ oddech miał przyspieszony, a twarz niespotykanie bladą.

– Przynajmniej wiemy już, gdzie jest – stwierdził kobold. – Najlepiej będzie jak najszybciej poinformować o tym Mouriera, żeby mógł uzbroić oddziały i przeprowadzić je tutaj tajnymi drogami, żeby...  
– Umilkł, zobaczywszy spojrzenie Grima, ale to Lyskian wypowiedział myśli Gargulca.

– Nawet armia Ghrogonii nie pokona ognia, który chroni demony – powiedział. – Doświadczyliśmy jego mocy, w tych płomieniach Verus jest dla nas nieosiągalny, więc jeśli doszłoby do wojny...

– ...to byłyby praktycznie nie do pokonania – dokończył Grim, z trudem powstrzymując się od walnięcia pięścią w najbliższą ścianę, tak bardzo był wściekły na samą myśl o tym, że Verus siedzi w ogniu jak pająk pośrodku pajęczyny. Sapnął ciężko, bo wiedział, że to nie Verus będzie pilnował tego czaru. Aż nazbyt wyraźnie miał przed oczami twarze Cienioskrzydłych i znowu poczuł się bezradny i zrozpaczony, że w żaden sposób nie może pomóc przyjaciołom. Właśnie chciał się odwrócić, kiedy Samhur podniósł wzrok.

– Zdarzało mi się już przechodzić przez inne piekła niż tobie znane – powiedział Łowca niemalże łagodnie. – I jednego nauczyłem się w czasie tych podróży: każde narzędzie można złamać, podobnie jak i ten czar. Nie mamy jednak zbyt wiele czasu. Wkrótce czar się dopełni i wtedy Verus będzie gotowy do wojny. – Samhur zamilkł na moment. – Nie jestem zwolennikiem fałszywych nadziei, dlatego powiem wam to od razu: jest tylko jedna droga, by go jeszcze powstrzymać, ale jest ona niemal nie do przejścia. – Remi zrobił najbardziej niepokieszoną minę, jaką kiedykolwiek Grim widział, lecz Samhur uśmiechnął się ledwie

dostrzegalnie. – Mimo wszystko musimy nią pójść. Ale strzeżcie się! Ta droga bowiem sprawi, że każdy z was dotrze do granicy samego siebie. A jeśli nie będziecie się mieć na baczności... także poza nią.

## Rozdział 26



Tunel widniał niewyraźnie w ciemnościach. Mech porastał rynsztok ciągnący się w mętnej szarości, a Ognie Klątwy, które tu i ówdzie rozpalały się na ścianach, budziły drzemiące w zagłębieniach i niszach roztańczone cienie.

Mia słyszała za plecami szepty Edwina i Radviny. Starala się nie zwracać uwagi na pogardliwe uwagi Jaro na temat wyraźnego napięcia w ich głosach. Lyskian szedł przodem, w milczeniu i tak bezgłośnie, jakby sam był tylko cieniem. Co i rusz płomienie sięgały w stronę Mii, a wtedy dziewczyna otulała się ciaśniej opończę barwy popiołu. Raz jeszcze poczuła zapach nocnego jarmarku, na który zaprowadził ich Lyskian. Swoje towary prezentowały tam przede wszystkim gnomy, w powietrzu unosił się odór pieczonych psów i kotów. Radvina wyrzuciła wreszcie swoje szpilki i dostała buty z zielonej skóry, które w połączeniu ze sfatygowanym kostiumem nadawały jej wygląd filmowej superbohaterki po przejściach, a Edwin nie mógł sobie odmówić wymiany okularów na okulary trolli, które pozwalały mu za naciśnięciem guzika oglądać świat oczami kobolda, gnomów z cieni czy kamiennego trolla. Nawet Jaro uśmiechnął się lekko, kiedy Lyskian sprezentował mu nóż z Czarnej Stali o rękojeści z rzeźbionej kości harpii. Na klindze żarzyły się splecione symbole demonów. *Broń prawdziwego wojownika*, powiedział wampir i przez moment w oczach Jaro mignął osobliwy cień. Potem Lyskian kupił dla wszystkich długie do ziemi opończe z kapturami, które wydzielaly przyjemny chłód i przynajmniej na krótko chroniły przed Ogniem Klątwy, rozprzestrzeniającym się w kanałach i gęstniejącym z każdym ich krokiem... z każdym krokiem, który zbliżał ich do praskiego zamku.

Mia pospiesznie przekroczyła rozciągającą się między ścianami

zasłonę z płomieni. Ogień chciał jej dosięgnąć, poczuła gorąco na twarzy, ale iskry ześlizgiwały się po oponczy. Wreszcie dostrzegła migotanie na końcu tunelu, które przy akompaniamencie złowrogich trzasków odpychało cienie. Teraz naprawdę byli już niedaleko celu. Mia znała historie, jakie w świecie ludzi krążyły na temat Złotej Uliczki – podobno za czasów Rudolfa II alchemicy wytwarzali tutaj złoto dla cesarza i szukali kamienia filozoficznego. Słyszała też legendy z Innoświata, które mówiły o duchach i wampirach, o magii ukrytej w murach domów, obojętnie w której z rzeczywistości odwiedza się to miejsce. Bo Praga miała tych rzeczywistości więcej niż tylko jedną. Mia nabrała głęboko powietrza, kiedy pomyślała o domu pod Ostatnią Latarnią, czyli magicznym miejscu, gdzie znajdowało się przejście do tej niewidzialnej Pragi. Ten tajemniczy świat rozciągający się za tamtym progiem znała dotąd jedynie z opowieści i na moment poczuła mrowienie w okolicach żołądka, które diabelnie przypominało żądzę przygody. Zaraz jednak znowu poczuła żar Ognia Klątwy na policzkach, co z miejsca odsunęło na bok wszelkie zauroczenie.

*Magię tego demona niełatwo złamać, powiedział Samhur. Trzeba do tego dwóch rzeczy i Księżę Wampirów wie, skąd możecie wziąć obydwie. W tym czasie ja wraz z naszym Cienioskrzydłym i jego mądrym koboldem spróbujemy znaleźć sposób przeciwstawienia się zmasowanej sile jego opętanych kolegów.*

Łowca nie pozwolił Grimowi na najmniejszy choćby sprzeciw i tak oto grupa rozdzieliła się i każda jej część ruszyła własną drogą. Na moment Mia odwróciła jeszcze wzrok i spojrzała na Grima stojącego w cieniu. Nie patrzył na nią, przypuszczalnie nawet nie zauważył, że się odwróciła, i tym mocniej odczuła mroczne ogniki w jego oczach. Dreszcz przejął ją na myśl, że on i Samhur, Łowca, który dobrze znał żar pragnący ich dosięgnąć, zjedną zaraz do Dolnego Świata. Mia zacisnęła pięści, raz jeszcze poczuła gwałtowną chęć, by się odwrócić i podbiec do Grima, a zaraz potem ból świadomości, że nie zdoła uchronić go przed tym, co czeka na niego wśród cieni. Ruszyła za Lyskianem, lecz postać Grima tak wyraźnie stała jej przed oczami, jakby patrzyła na niego, jakby widziała go spadającego plecami w dół, w przerażającą ciemność. Z całych sił odepchnęła te myśli na bok i zamiast nich wpuściła głos

Lyskiana.

*Na początek potrzebujemy trucizny, która zdolna będzie sprostać klątwom demonów, objaśniał. Takiej, która będzie groźna dla każdej istoty śmiertelnej oraz nieumarłej, a nawet dla demonów i ich czarów.*

Mia skuliła ramiona, kiedy przeskakiwała przez zasłonę z ognia i nic nie mogła zrobić, że mimo gorąca przez moment poczuła lodowate zimno.

*Czarna Nafta, przeniknął jej myśli szept Lyskiana. Oto nasz cel.*

W czasie pobierania tajemnych nauk Mia wiele słyszała o Czarnej Nafcie i wiedziała, że bardzo trudno ją zdobyć, wiedziała też, że Jakub użył jej kiedyś w walce z Hybrydami. Żywo przypomniawszy sobie opowieści Grima o straszliwym działaniu tej substancji i swoje własne zranienie, kiedy użyła tej broni przeciwko Serafinowi. Było wiele przyjemniejszych rzeczy niż perspektywa ponownego zetknięcia się z tą trucizną. Mia nabrała głęboko powietrza, z rozmysłem ignorowała żar, który wniknął do jej płuc. Zamiast tego znowu rozbrzmiał w jej wnętrzu śmiech Verusa. Ujrzała Kronka i pozostałych Cienioskrzydłych, bezbronnych w szponach demonów, potem przez jej myśli przesunęły się postacie Josi i matki, jej ciało przeszyły krzyki ludzi Pragi... zacisnęła pięści. Nigdy nie padnie przed Verusem na kolana, nigdy. *Przypominam sobie ciebie*, powiedział do niej. *Zgadza się*, pomyślała z ponurym uśmiechem. I na pewno zapamięta ją na długo, kiedy się już z nim rozprawi.

Przy końcu tunelu ogień próbował sięgnąć rozżarzonymi pazurami do jej twarzy. Kilka ogniowych zasłon wsunęło się jedna w drugą, żar wprawiał powietrze w drżenie. Lyskian odwrócił się, a ona skinęła potakująco głową, zanim jeszcze zdążył spojrzeć na nią pytająco. Nie mieli czasu do stracenia. Z każdą sekundą demony stawały się silniejsze. Rzuciła spojrzenie Hartydóm i ruszyła za Lyskianem w płomienie.

Prawie nie widziała, po czym stąpa, tak mocno nasunęła kaptur na twarz, a chłód opończy obejmował ją ochronnym uściskiem. Skupiła się na rytmicznym oddechu, na uderzeniach serca i na każdym ruchu ciała. Co chwila oglądała się na Hartydów, którzy trzymali się tuż za nią. Wreszcie Lyskian zatrzymał się przy jakiejś drabinie. Posłał lodowe zaklęcie, które przy akompaniamencie trzasków pokryło szczeble, i

ruszył w górę. Mia poczekała, aż Hartydzi pójda za nim i jako ostatnia zaczęła się wspinać. W tym momencie żar Ognia Klątwy skruszył magię Lyskiana. Metal drabiny zrobił się gorący i zanim Mia dotarła do ostatnich szczebli, zaczął parzyć ją w palce. Instynktownie oderwała dłonie, nie zdążyła jednak runąć w dół, bo Lyskian złapał ją za kołnierz i wciągnął do Górnego Świata.

Powietrze stało w płomieniach, jego żar palił gardło Mii. Daremnie próbowała stłumić narastającą panikę, kiedy nagle znowu usłyszała krzyki ludzi zaatakowanych przez demony. Nie mogła się ani ruszyć, ani myśleć. Zachwiała się, a wtedy chwyciła ją jakaś dłoń, chłodna i niosąca uspokojenie. W jednej chwili ucichły wszelkie dźwięki. Słyszała tylko kroki Lyskiana i czuła jego dłoń przeprowadzającą ją przez ogień. W następnej chwili wyłoniły się przed nią drzwi i ledwie wszyscy przekroczyli ich próg – ogień zniknął. Drzwi zamknęły się za nimi cicho.

Mia, ciężko dysząc, zerwała kaptur z głowy. Znajdowali się w niewielkim pokoju, który początkowo wydawał się całkowicie pusty, dopiero na drugi rzut oka dostrzegła pajęczyny zwisające z belek powały oraz podziurawione przez mole zasłony w oknach, na które od drugiej strony napierała skłębiona mgła. Zasłony były czerwone jak te w jej pracowni, ledwie o tym pomyślała, w nozdrza uderzył ją zapach farb olejnych i kurzu. W kącie stały sztalugi. Mia była przekonana, że kiedyś już widziała ten obraz, pokazywał sylwetkę wilkołaka, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ani gdzie to było. Odwróciła wzrok i dopiero teraz zauważyła granatowy wazon na parapecie, który zbladł jak rozwiewający się dym. Mia przypomniała sobie jeden z talerzy matki, był tego samego koloru. Zdumiona przyglądała się, jak wazon zmienia się w ten właśnie talerz, ledwie jednak dotknęła go palcami, już nie potrafiła zrozumieć, czemu wydał jej się taki znajomy.

*To miejsce nas obrabowuje,* usłyszała w myślach głos Lyskiana. *Nie możemy tu długo zostać.*

Jakiś ruch dostrzeżony kątem oka kazał Mii odwrócić głowę. W kącie pokoju stały rozklekotany drewniany stół i taboret, na którym siedziała z zamkniętymi oczami jakaś postać. Był to stary człowiek o szarej i zapadniętej twarzy, jego kościste dłonie spoczywały splecione na kolanach; nie potrafiłaby jednak powiedzieć, czy siedział tu przez cały

czas. Zapach unoszący się z jego palców wydał jej się znajomy, był to zapach terpentyny, ale w tym momencie jego włosy stały się złociste i miękkie, twarz zmieniła się w twarz kobiety, dziecka, młodzieńca. Ujrzała błękitną chustę okrywającą jego ramiona, przypomniała sobie twarz matki, która miała obrus w tym samym kolorze, i w tym momencie twarz siedzącej naprzeciw niej postaci znów zmieniła się, stała się szczupła i delikatna. Mia usłyszała jak Radvina wciąga głośno powietrze, a kiedy włosy postaci zaczęły się układać w loki, a usta ułożyły się w łagodny uśmiech, pojęła, że to oni sami stwarzają te obrazy – wymyślają je przez cały czas, budują z okrucichów wspomnień. Zrozumiała, że dom pod Ostatnią Latarnią to miejsce bez świata, i jeszcze zanim twarz postaci pokryła się jasnoniebieską, lekko przebłyskującą skórą, a jej talia stała się talią kobiety, Mia wiedziała, że ma przed sobą Hermafrodytę – strażnika przejścia do niewidzialnej Pragi.

Ledwie to pomyślała, dokonała się jego ostateczna przemiana. Włosy spływały mu łagodnymi splotami na kark, rysy twarzy pozostały rysami młodzieńca, a kobiece kształty okryte były jedwabnymi szatami. Powoli otworzył oczy i chociaż były one dwoma błyszczącymi srebrno zwierciadłami, Mia nie czuła lęku. Srebrzysty blask przesunął się po jej twarzy. Wiedziała, że Hermafrodyta jednocześnie patrzy też na pozostałych, że ich sprawdza. Dostrzegła niewyraźnie, że Hartydzi opuścili oczy.

*Mgła przyniosła wieść o płomieniach, powiedział Hermafrodyta głosem, który był jednocześnie miękki i twardy, ale o którym Mia nie potrafiłaby powiedzieć, czy – mimo że wydobywał się z zamkniętych ust – rozlegał się w całym pomieszczeniu, czy tylko w jej myślach. Przyniosła wieść o tęsknocie, o śmierci i o znikczemnieniu. Wpuściła was do mnie. Kim jesteście?*

Lyskian wykonał nieznaczny ukłon, na który Hermafrodyta nie zareagował. Wciąż przyglądał się Mii, jakby poprzez nią mógł widzieć pozostałych, albo jakby potrzebował jej oczu, by ich zobaczyć.

Lyskian przedstawił się krótko, a potem rzekł:

– Verus Crendilas Dhor napadł na świat ludzi, a teraz Innoświat stoi u progu wojny z demonami. Aby jej zapobiec, musimy dotrzeć do

sekretnej Pragi, bo tylko tam...

*...tylko tam możecie znaleźć to, czego szukacie, dokończył Hermafrodyta. Mii zdawało się, że słyszy śmiech w jego słowach, ale nie umiałyby powiedzieć, czy brzmiało w nim szyderstwo, czy raczej rozbawienie. Tego jestem świadom. Lecz moje pytanie brzmiało, kim jesteście, i nie otrzymałem na nie odpowiedzi. Patrzę na was. Widzę światło, widzę ciemność i wszystkie odcienie pomiędzy. Przybyliście tutaj, lecz być może jesteście tylko ulotnościami na białym papierze. Skąd wiecie, że jesteście czymś więcej niż postaciami z jakiejś opowieści? Wiecie to? Czy tylko tego pragniecie? I co to w ogóle takiego jest – pragnienie?*

Wydawało się, że wcale nie oczekuje wyjaśnienia, lecz jego słowa zapadały we wnętrze Mii jak rozpalone kamienie i przez moment wydawało jej się, że pociągną one za sobą wszelką myśl i wszelki cel, i że nie będzie się mogła ruszyć, dopóki nie znajdzie na nie odpowiedzi.

*Pragnienie to życie*, powiedział ktoś i Mia przestraszyła się, kiedy rozpoznała swój własny głos. Nie miała pojęcia, skąd wzięły się te słowa, być może z koloru talerza na parapecie albo woni terpentyny, którą przesycone było powietrze, a może z oddechu wilkołaka na obrazie, na który nie mogła patrzeć bez poczucia, że straciła w tym domu coś bezpowrotnie. Nie odwróciła się, gdy srebrzysty blask wycofał się z oczu Hermafrodyty, pozostawiając po sobie tylko czystą biel. W jego oczach była Nicość i Mia czuła, jak wymazuje on przestrzeń wokół siebie, samego siebie pali na popiół i od nowa stwarza cały dom, z ich myślami, wspomnieniami, snami. Patrzyła, jak do jego oczu powraca srebrzysty blask, ona sama wciąż tu była, serce biło w jej piersi i przez krótki czas dźwięk ten odbijał się echem w ciele Hermafrodyty. Ledwie zauważalny blask przemknął po jego twarzy, blada poświata, która wyglądała jak uśmiech.

*Kto dotrze do tajemnicy po drugiej stronie drzwi?* Spojrzał na Mię, zanim jednak zdołała cokolwiek odpowiedzieć, skłonił lekko głowę. *Ten, kto usilnie tego pragnie*, odpowiedział sam sobie. Jednocześnie uniósł dłoń i dopiero teraz Mia zauważyła długie, spękane paznokcie, które pozostawiły krwawe rany na wewnętrznej powierzchni jego dłoni. Wskazał na Lyskiana, a potem na Mię. *Wy możecie iść. Pozostali – nie.*



Radvina sapnęła przestraszona, a niezadowolony Jaro chciał wystąpić do przodu, ale Lyskian go powstrzymał. Tylko Edwin stał bez ruchu, a jego oczy były dwoma błyszczącymi niebieskimi jeziorami za szklami okularów trolli.

– Dlaczego? – spytała Mia, w żaden sposób nie mogąc opanować drżenia głosu. Znów poczuła żar Ognia Klątwy, jednocześnie zobaczyła, że na ścianach pojawiły się obrazy, a wokół niej meble i ubrania, które wydały jej się znajome, jakby pochodziły z zapomnianego snu. Czuła, jak dom Hermafrodyty odbiera jej siły. Lyskian miał rację, muszą się szybko wynosić, jeśli nie chcą się zagubić w tym miejscu.

Twarz Hermafrodyty utraciła wszelki blask. Na jego policzkach pojawił się chłód, który rozprzestrzenił się po całym pokoju. Na oknach pojawiły się lodowe kwiaty. *Żadne z was nie przeżyłoby tam, dokąd chcecie się udać*, odrzekł niemal bezgłośnie. *Tamten świat by was spalił.*

Mia wymieniła spojrzenia z Lyskianem.

– Ale oni nie mogą wrócić – powiedziała z naciskiem. – Rzeczywistość stoi w płomieniach!

*Z nią jest tak od zawsze, z tą... rzeczywistością*, powiedział Hermafrodyta cicho i można było odnieść wrażenie, jakby nie wypowiedział tego słowa nigdy wcześniej. *Byłaby to łatwiejsza śmierć niż w Ogniach Tajemnic. Nie macie o niczym pojęcia w tych waszych lochach. Nie znacie prawdziwego ognia.*

Opuścił wzrok i ledwie srebrzysty blask jego oczu ześlizgnął się z Mii, stał się słabszy, poczuła, że za wszelką cenę nie wolno pozwolić, żeby całkiem zgasł. Wystąpiła do przodu, chociaż mróz w pobliżu Hermafrodyty się wzmagił.

– Na czym polega różnica? – spytała, podczas gdy jej oddech zamarzał w powietrzu, zmieniając się w wirujące gwiazdki, które powoli opadały na podłogę w postaci śniegu. Mia przypomniała sobie pewien spacer po Lasku Bulońskim tuż przed Bożym Narodzeniem, padał śnieg, była wtedy jeszcze dzieckiem, ale kiedy tylko pojawiła się przed jej oczami uśmiechnięta twarz ojca, natychmiast odrzuciła wspomnienie. Odepchnęła przygniatającą pustkę, która w niej pulsowała, i ściągnęła brwi.

– Dlaczego ja nie spłonę?

Hermafrodyta z wolna uniósł głowę. Szary welon otulił jego ciało, które wyglądało tak, jakby miało zaraz skamienieć. Na jego policzkach było widać już tylko słabe pasemko srebra, które połyskiwało jak łyzy. *Ty nosisz go w sobie*, odparł, a jego głos brzmiał jakby z oddali. *Ten płomień, którego jeszcze nie znasz. On cię chroni, ponieważ sam jest tajemnicą.*

Podmuch wiatru tchnął Mii drobinki lodu w twarz. Dopiero teraz dostrzegła, że drzwi znajdujące się na przeciwległej ścianie otworzyły się. Do pomieszczenia wpadło niebieskie światło, nie mogła jednak dostrzec, co jest za nim. Nagle z ogłuszającą donośnością usłyszała w głowie głos Hermafrodyty:

*Wchodźcie, zadudnił, jakby niesiony na skrzydłach burzy. Wchodźcie, skoro nie chcecie zostać w moim Miejscu bez Świata!*

Mia spojrzała na Hartydów. Na ich twarzach malował się strach, gniew... i smutek. Lyskian rzucił jej krótkie spojrzenie i wiedziała już, że na pewno zostawiłby ich, gdyby nie było innego wyjścia. Odwróciła się, ponieważ nie mogła znieść chłodu w jego oczach, lecz to właśnie jego głos niespodziewanie rozległ się w jej myślach, działając jak rozgrzewający prysznic.

*Oni nie tylko patrzą na twoje obrazy, usłyszała słowa, które powiedział kiedyś, gdy rozmawiali o jej pracach. Oni też coś z nich czerpią. Może nawet nie wiedzą, co to jest, ale czują tęsknotę, Mia. A ty... ty możesz im to dać.*

Mia przymknęła oczy, wysyłając magię do koniuszków palców. Łagodnie kreśliła linie, powietrze było pod jej ręką jak malarskie płótno, a ona skoncentrowała się na zapachu terpentyny, który był dla niej tak swojski. Wyobraziła sobie, że stoi w swojej pracowni, zobaczyła światło załamujące się w kryształach przy oknie, poczuła zapach zasłon, o których zapomniała, i nagle dostrzegła wilkołaka na płótnie w kącie, przypomniała sobie talerz matki i szorstkie dłonie Lukasa pokryte odciskami i przesycone zapachem, który zawsze napełniał ją tęsknotą i wrażeniem jakiejś magii pośrodku pozbawionej życia pustyni, czuła płatki śniegu na policzkach w Lasku Bulońskim. Cały czas miała zamknięte oczy, a jednak patrzyła sobie samej w twarz i czuła wiatr we włosach, noc, która rozpościerała się nad nią rozległym czarnym łukiem

nieba i chłodne kamienne płyty wieży kościoła Świętego Jakuba pod stopami. Bez tchu otworzyła oczy i kiedy znalazła się z powrotem w domu Hermafrodyty, talerz zniknął, podobnie jak obraz z wilkołakiem.

Za to przed nią, unosząc się w powietrzu, wisiał *Noir* – obraz, który uczynił ją sławną. Jeszcze nigdy nie rysowała niczego w magiczny sposób, lecz kiedy odwróciła się w stronę Hartydów, miała wrażenie, jakby patrzyła na ludzi podziwiających jej obraz. Radvina podeszła bliżej z otwartymi ustami, Jaro pochylił się do przodu, by dokładniej zobaczyć linie, a Edwin stał tylko nieruchomo i patrzył w płonące oczy na obrazie, w których było coś, co bezpośrednio dotknęło ich wszystkich, a oni nie mogli nic na to poradzić, ani sobie tego wyjaśnić. Lyskian spojrzął na nich, po ustach błąkał mu się delikatny uśmiech. Mia nie czuła już chłodu i nie czuła też strachu. Jedyne, co odczuwała, to blask osadzający się gdzieś głęboko w niej i rozświetlający jej wnętrze na widok, który ujrzała. Na twarzach Hartydów odnalazła ten sam wyraz, jaki uwieczniła na obrazie: niepowstrzymane, głębokie zdumienie i tęsknotę, które mogły być początkiem nowego świata.

Hermafrodyta podniósł się bezgłośnie. Był wyższy, niż spodziewała się Mia, i poruszał się tak płynnie, jakby unosił się nad ziemią. Jego twarz była nieruchoma, lecz kiedy stanął tuż przed nią, w jego oczach ujrzała swoje odbicie i wydawało się jej, że Hermafrodyta się uśmiecha. Bez słowa uniósł dłoń i ledwie dotknął jej obrazu, ten rozpadł się w czerwony żar, który migotliwie oblepił jego dłoń. Hermafrodyta podszedł do Hartydów i jednemu po drugim przesunął dłonią po czole, a oni nie cofnęli się. Łagodny blask otoczył na moment ich ciała i zgasł. Radvina spojrziała ze zdumieniem na swoje dłonie, Edwin przejechał sobie po czole i nawet Jaro wydawał się przez moment oczarowany – zupełnie jakby musnął ich uśmiech Hermafrodyty.

*Wróć razem z nimi, powiedział Hermafrodyta, zwracając się do Mii. Jeśli pozostaną sami w tamtym świecie, osłona zgaśnie, a oni umrą. Nie są jeszcze gotowi.*

Mia ledwie zauważalnie przytaknęła ruchem głowy. Patrzyła, jak Lyskian wraz z Hartydami przechodzi przez drzwi, błękitne światło łagodnie kładło się na ich twarzach. Tuż przed progiem odwróciła się raz jeszcze. Hermafrodyta wciąż stał w tym samym miejscu, równie

nieruchomo, jak dotychczas. Mia patrzyła, jak pokój znowu zmienia się w puste, białe pomieszczenie. Także sam Hermafrodyta zaczął się rozwiewać, lecz wiadomo było, że powstanie na nowo, gdy tylko jakaś istota pojawi się w jego miejscu bez świata. Mia pochyliła lekko głowę jak w ukłonie, a on patrzył na nią w milczeniu, z tęsknotą, z jaką ludzie spoglądają w lustro, za którym domyślają się innego, nieosiągalnego świata. Potem odwróciła się, by iść dalej, a kiedy przestąpiła próg, wiedziała, że już po wsze czasy część jego będzie stała w tym pokoju i patrzyła za nią – jakby pogrążona we śnie, z którego nie ma przebudzenia.

## Rozdział 27



Woń anyżu i cynamonu była nie do zniesienia. Z mroczną miną Grim włókł się za Samhurem korytarzem pociągu, ignorując wrogie spojrzenia wampirów, które rozsiadły się na atlasowych siedzeniach. Nie było niczym nadzwyczajnym, że w wielu większych miastach wampiry miały własną sieć kolejową, aby nie narażać się na zbyt długie towarzystwo ludzi czy Innostot, lecz w przeciwieństwie do paryskiego metra, pociągi Pragi najwyraźniej obroniły się przed jakąkolwiek modernizacją.

Na staroświeckich stolikach leżały ozdobne obrusiki, służący w wytwornych liberiach podawali podróżnym kryształowe kieliszki, a pod sufitem bujały się złote lampy i Grim przy każdym zakołysaniu się pociągu musiał wciągać głowę w ramiona, żeby go któraś nie trafiła. Remi śmigał między tymi brzydactwami, jakby trenował do mistrzostw świata w locie slalomowym, a Grim robił wszystko, żeby nie zahaczać skrzydłami o nadwątlone półki bagażowe, które od czasu do czasu skrzypiały boleśnie. I zupełnie jakby tego wszystkiego było mało, w tym diabelskim mauzoleum na szynach do tego stopnia cuchnęło ulubionymi zapachami snobistycznych praskich wampirów, że robiło mu się niedobrze.

Również Samhur nie wyglądał na specjalnego miłośnika tych woni. Z kapeluszem naciągniętym głęboko na oczy mijał podróżujące wampiry, nie zaszczycając ich ani jednym spojrzeniem. Krwiopijcy natomiast przyglądali mu się z nieskrywaną pogardą. Grim nie był pewien, czy w ogóle domyślali się, kogo mają przed sobą. A przecież byle nowicjusz z NPG na widok diamentowych biczów, które Samhur miał zamocowane na plecach, od razu wiedziałby, że ma przed sobą Łowcę Demonów. Cóż, rekruci z Ghrogonii nie byli arystokratycznymi

wampirami interesującymi się głównie koronkowymi obrusikami i cynamonowym odorem, których zdaniem do wymogów wampirzej egzystencji należały zarówno wyszukana garderoba, jak i ludzcy służący, którzy nie mieli pojęcia, że są niewolnikami. Grim pomyślał o Lyskianie. Książę Wampirów pod pewnymi względami odpowiadał temu stereotypowi wampira, ale jednocześnie z dużym upodobaniem się z niego wyłamywał, i to wtedy, kiedy najmniej się tego można było spodziewać. Te wampiry jednak pogardliwymi spojrzeniami obrzucały pokryte zaschniętym błotem buty Samhura, a kiedy Łowca otworzył wreszcie drzwi jednego z przedziałów i opadł ciężko, aż skrzypnęło, na staroświecki fotel, dwa wampiry demonstracyjnie opuściły przedział. Remi z zachwytem przysiadł na pikowanym abażurze lampy zwisającej nad blatem stolika, za to Grim ostrożnie opadł na fotel i rzucił Samhurowi sceptyczne spojrzenie.

– Czasy Łowców minęły – stwierdził Samhur, chociaż Grim nie powiedział ani słowa. – Jestem egzotycznym egzemplarzem wampira, może zresztą zawsze nim byłem. Żadne stado nie przyjmie takich, którzy muszą kroczyć za swoim przeznaczeniem. Cóż, jestem pewien, że wiesz, o czym mówię.

Samhur sięgnął do kieszeni i wyjął małe, srebrne pudełeczko. W milczeniu otworzył je. Remi zajrzał do środka zaintrygowany, a Grim z uniesionymi brwiami patrzył na leżące tam jakby sprasowane liście, ciemnoczerwone płatki. Poczuł zapach krwi, jeszcze zanim Remi wrócił na abażur z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Samhur uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Powoli wyjął jeden z płatków i przysunął do ust.

– Nie ma nic bardziej uspokajającego od zapachu krwi twoich wrogów – powiedział.

Grim patrzył z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia, jak policzki wampira z lekka różowieją. Przez moment miał ochotę zapytać, czyją to krew Samhur nosi przy sobie w pudełeczku, ale wampir już się odwrócił i patrzył przez okno, jakby w ciemnościach tuneli mógł dostrzec coś, co przyniosłoby odpowiedzi na dawno zapomniane pytania, odpowiedzi, których wcale nie chciał usłyszeć. Jego spojrzenie spochmurniało, lecz zanim całkowicie zanurzył się w lodowatym milczeniu, Grim pochylił się lekko do przodu i spytał:

– A dokąd właściwie jedziemy?

Umyślnie zadał to pytanie jakby od niechcienia, ale zbyt długo jednak zwlekał z jego wypowiedzeniem, żeby nie zabrzmiało niecierpliwie. Wiadomo było, że muszą jakoś złamać panowanie demonów nad opętanymi Cienioskrzydłymi, lecz Samhur zaraz na początku drogi jednym spojrzeniem dał mu jasno do zrozumienia, że wszelkie pytania są niepożądane, tak więc Grim dreptał za nim jak uczeń, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd zmierzają. Teraz jednak przyszedł już czas położyć temu kres, bez względu na to, jak prastarym wampirem i Łowcą Demonów był Samhur. I okazało się, że Samhur najwyraźniej nie zamierza już unikać odpowiedzi.

– Zmierzamy do Rha'manthuru – odparł bez chwili wahania, wskutek czego Remi tak gwałtownie podskoczył, że aż rozkołysała się lampa.

Grim zatrzymał ją, rzucając karcące spojrzenie koboldowi, który udawał, że odpędza jakiegoś natrętnego komara.

– Miasto Płomieni – powiedział i w tym momencie znowu poczuł woń, która dotarła do niego już w tunelach sieci kolejowej, woń popiołu i śniegu, woń, która przebiła się przez fetor nieumarłych, rozrywając go na nic nieznaczące strzępy. Niespokojne migotanie w oczach Samhura było jakby ponurym przedsmakiem.

– Kiedyś była tam ojczyzna mojego ludu – powiedział Łowca szorstkim głosem. – Pamiętam jeszcze szum Martwej Rzeki, której wody omywały moje ciało niczym płomienie, pamiętam ciernie Gaju Szeptów i promienie bijące od Srebrzystych Topoli, które sprawiały, że nasza blada skóra była jeszcze bardziej prześwitująca. Mieszkaliśmy w Cieniach i sami byliśmy cieniami. Tak, tak właśnie było. Rha'manthur było klejnotem ciemności w głębinach ziemi. Dzisiaj niewiele już pozostało z jego dawnego blasku.

Ledwie skończył, przez powietrze przeleciał szept, z przyganą muskając jego usta. Brzmiał jak szelest spadających na wietrze liści lub ciche uderzenia skrzydeł nad grobami i Grimowi wydawało się, że słyszy w nim jakieś imię zaklęte w zamarzającym oddechu kruka. *Skarnaara*, usłyszał tuż przy uchu. Remi rozejrzał się wokoło, jakby też słyszał głosy przenikające przez ciemne okna i sięgające zimnymi

palcami do policzków Grima. Skarnaara, Piękność Mrozu, która w dawno minionych czasach w ciągu jednej jedynej nocy uwolniła tundry Wschodniego Świata od Krwawych Kojotów, Okrutna Srebrnego Stepu o oczach jak kryształy, Caryca Nocy, niegdysiejsza towarzyszka Bhragana Nha'sula, zanim wycofała się do Dolnego Świata, w Cienie, które ją niegdyś zrodziły. Grim wiele słyszał o wojnach, jakie prowadziła we Wschodnim Królestwie, podczas których sama walczyła przeciwko niezliczonym wilkołakom Krainy Stepów, odnosząc nad nimi zwycięstwo, i o jej głosie, który jednym dźwiękiem potrafił zmrozić ludzką krew. Przypomniawszy sobie ryciny, jakie oglądał w księgach Ghrogonii, wtedy, gdy przybył z Italii do Paryża, niedoświadczony, młody i niewiele jeszcze wiedzący, i znowu poczuł dreszcz, jaki przeszedł go wtedy, gdy spojrzał w jej oczy. O tak, znał niezliczone opowieści na temat Skarnaary, wampirzycy Pierwszego Czasu, a przecież tak naprawdę nic o niej nie wiedział. Nagle znowu stał przed jej wizerunkiem. Miał wrażenie, że było to dopiero wczoraj, i nic nie mógł poradzić, że tamte uczucia owładnęły nim także teraz, gdy przypomniawszy sobie jej bladą skórę, jej czarne jak smoła włosy, otulające ją niby oponcza zrobiona z ciemności, i jej oczy, których spojrzenie otaczało go niczym morze szklanych okruchów, a on nie mógł się odwrócić, chociaż było ono bolesne, tak jakby rzucił się głową w dół w lodowate zimno.

*Tak*, powiedział cicho Samhur w jego głowie i uśmiechnął się, kiedy Grim z ponurą miną zamknął przed nim swoje myśli. – Ona też jest mitem, tak jak całe to przeklęte miasto.

Remi westchnął głęboko.

– Mit czy nie mit – wymamrotał pod nosem – ale obojętne jak bardzo interesująco to wygląda na początku, to na końcu i tak zawsze jest tak samo: wszystko okazuje się piekielnie niebezpieczne.

– Istotnie – zaśmiał się Samhur. – Caryca Nocy jest potężna, nikomu bym nie radził wchodzić jej w drogę, niezależnie od tego, co robi. Ale to nie ona jest największym niebezpieczeństwem tam na dole.

Rzucił spojrzenie Grimowi, a kiedy wsunął do ust kolejny krwawy płatek, w jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. Grim sapnął z irytacją.

– Zdarzało mi się już przechodzić przez większe ciemności niż



Cienie Pragi czy otchłanie wampirycznych dusz – powiedział i strzelił kostkami palców, widząc, że ironia w oczach Samhura tylko się zwiększyła. – Nie boję się Cieni Rha'manthuru.

Samhur uśmiechnął się ledwo zauważalnie.

– Widzę, że będziemy mieli razem niezłą zabawę – powiedział i odwrócił się, żeby uniemożliwić Grimowi poczęstowanie go odpowiednią ripostą. – Bardzo się cieszę, że jesteś taki nieustraszony, na pewno nam się to przyda. Niełatwo dzisiaj zdobyć moc Fhar'al Brunkura, zwłaszcza jeśli trzeba się w tym celu udać do Zamczyska Gniewu.

Grim poczuł, jak opada mu szczęka. Kątem oka dostrzegł jeszcze, że Remi nerwowo przejeżdża dłonią po czole.

– Nie dam z siebie robić głupca – powiedział i aż musiał na moment zacisnąć zęby, żeby zachować spokój. – Od stuleci nie ma już żadnych Fhar'al Brunkurów w dostępnym świecie.

Szyderstwo w spojrzeniu Samhura było jak policzek.

– Czyż nie powiedziałaś przed chwilą, że znasz Cienie, głupi Hybrydzie? Powiadam ci: jak najbardziej są i zawsze będą. Będą tak długo, jak długo będzie istnieć noc w całej swej piękności i grozie. I to właśnie noc będzie stała u naszego boku w walce przeciwko twoim przyjaciółom, którzy całkiem przypadkiem noszą w sobie najsilniejsze demony z orszaku Verusa. Czarny Diament wie, jak się z nimi rozprawić, ponieważ jest taki sam jak on, tylko tysiąc razy silniejszy. Dlatego nie potrafią się oprzeć jego mocy. Wciągnie je w swoją własną ciemność i da im poznać granice tego, czego nigdy nie będą zdolne pojąć. Jego moc przeciwstawi się ich żądom, odbije je jak w zwierciadle, aż wyda im się, że za chwilę zostaną przez nie rozdarte, i popchnie je wprost w nasze ramiona. Bez Czarnych Diamentów, młody przyjacielu, nie mamy szans.

– Żaden wojownik przy zdrowych zmysłach nie uda się do Zamczyska Gniewu – stwierdził Grim. – To miejsce jest...

– ...przekłęte – dokończył szeptem Remi. – Słyszałem okropne rzeczy o tunelach Cieni, które tam prowadzą, i przerażające opowieści o samym Zamczysku.

Grim jeszcze bardziej spochmurniał.

– Pomijając to wszystko, Czarne Diamenty to relikty prastarej magii, które nie podporządkowują się nikomu i nie dają się w żaden sposób kontrolować. Są niebezpieczne, złośliwe i żaden przyzwoity...

– ...Cienioskrzydły nigdy by się nimi nie posłużył? – Samhur uś-miechnął się tak szeroko, że jego kły rozbłysły w świetle lampy. Zaraz jednak znowu spoważniał i to tak nagle, że cienie w jego oczach nabrały niesamowitego wyrazu. – Masz absolutną rację. A jednak musimy przeciwstawić ciemności demonów coś, co będzie jej podobne. A tak przy okazji – od samego początku nie bardzo odpowiada mi maska, jaką nakładasz, nazywając się Cienioskrzydłym. Wiem, że rozmawiam z Dziecięciem Ognia, bo tym właśnie jesteś, a Dziecię Ognia będzie umiało wykorzystać moc Czarne Diamentu.

Przez krótki moment w oczach Samhura rozbłysła ciemność, która zaniepokoiła Grima, chociaż nie potrafił powiedzieć, z jakiego powodu. Łowca odwrócił się i kiedy znowu spojrzął przez okno, jego twarz pokryła maska mrozu, jednoznacznie świadcząca o tym, że na razie konwersacja została zakończona.

Grim spojrzął na Remiego. Kobold także znał Czarne Diamenty tylko z opowieści, a jednak wystarczyły same legendy mówiące o ich mocy, żeby przeszedł go dreszcz. Nie wspominając już o opowieściach na temat Zamczyska Gniewu. Grim nie miał mu tego za złe. Słyszał opowieści o Wieży Klątwy demonów i te o czarownikach, których w dawno minionych czasach pochłonęła moc Fhar'al Brunkura, płomień wystrzelający z Czarne Diamentu, zdolne obrócić w popiół całe miasta, oraz o niebezpieczeństwach, na jakie wystawiały się kiedyś potężne Innostoty, aby wejść w posiadanie tych mrocznych kryształów. Nikt nie umiał powiedzieć, skąd się wzięły, legendy jednak mówiły, że to łzy pierwszych smoków, które rozlały się po ziemi u początków świata, które w lodowatym jego oddechu stężały w czarną potworność.

Grim przejechał dłonią po oczach. Nie było sensu zagłębiać się w mity i legendy. Instynktownie sięgnął do kieszeni, zanim przypomniał sobie, że jego komunikator spłonął w Ogniu Klątwy. Chciał porozmawiać z Carvenem, jak to często robił w ostatnim czasie, a teraz, kiedy dłoń napotkała pustkę i w końcu wyciągnęła tylko kolorowego smoka – westchnął. W milczeniu patrzył, jak smok kręci piruety, jak

jedzie na wyimaginowanej deskorolce po stole, i wreszcie uśmiechnął się, kiedy smok uniósł jedną brew i spojrzał ku niemu w górę. Pewnie Carven i tak nie miałby zasięgu w tych przeklętych jaskiniach trolli, po których się pałętali, a jednak Grim musiał się mocno wziąć w garść, żeby nie poprosić Samhura o jego komunikator. No bo co wtedy by sobie Łowca o nim pomyślał? Smok wykonał stanie na rękach na jego palcu wskazującym... i dopiero w tym momencie Grim zorientował się, że Samhur gapi się na niego z bezbrzeżnym zdumieniem. Na ułamek chwili Grim znieruchomiał tak jak i smok. Remi wydał dźwięk, który aż za bardzo przypominał stłumiony chichot, a spojrzenie Samhura mówiło samo za siebie, chociaż jego twarz pozostała nieruchoma. Grim szybko schował smoka do kieszeni. Bezskutecznie bronił się przed uczuciem wstydu, jakie nim owładnęło, i właśnie zamierzał się odwrócić, kiedy nagle lampa nad stołem zaczęła mrugać. Zaraz potem przez pociąg przeszedł wstrząs. Zobaczył jeszcze, jak kpina znika z oczu Samhura. W tym momencie światło zgasło. Grim natychmiast posłał ogniste zaklęcie do swoich dłoni... i stwierdził, że Łowca zniknął.

– Co do diabła... – zaczął, kiedy pociąg zadygotał ponownie, tym razem gwałtowniej, by wreszcie z cichym piskiem wyhamować. W zapadłej ciszy aż nazbyt wyraźnie Grim słyszał brzęk tłuczonego szkła i krzyki wampirów, którym towarzyszyło przeraźliwe wycie. Odgłosy te kazały mu wyjść z przedziału, Remi natychmiast dał susa na jego ramię. Jakieś potężne kroki zatrzęsły pociągiem. Grim wyciszył głosy wampirów i ciężkie dyszenie kobolda, i skupił się na dudnieniu, które zbliżało się jak odgłos burzy. Po chwili przez drzwi widoczne na końcu korytarza wpadły do ich wagonu dwie piekielne bestie.

Poprzednio były pewnie psami, ale teraz skóra zwisała im w strzępach, odsłaniając żywe mięso, a w na wpół otwartych paszczach widać było czarne i ostre jak noże zęby. Ich oczy płonęły zielonym ogniem. Grim wyczuwał demony, które tkwiły w tych ciałach. Bestie przekrzywiły głowy, wietrząc, a ich zgniły oddech pełził korytarzem jak obłok trucizny. Nie zwracały uwagi na wampiry, które uciekały z dalek położonych przedziałów. Nieruchomo wpatrywały się w Grima i wydawało mu się, że widzi w ich rysach coś jak szyderstwo. Nie miał wątpliwości, że nasłał je Verus. Czyżby ten przeklęty demon naprawdę

myślał, że mogą go powstrzymać jakieś dwa żałosne kundle?

Pięści zapłonęły mu ogniem, który rozdarł ciemności i spowodował, że okna nabrały krwistoczerwonego blasku. Demony zaczęły warczeć, chrapliwie i gardłowo, i jeszcze zanim odchyliły łby do tyłu, by zawyć przeraźliwie, zapaliły podłogę u swoich łap czarnym żarem, który hucząc, wspinał się w górę po ich ciałach. Grim słyszał trzask kości, kiedy bestie przyjmowały postawę wyprostowaną, ich czaszki zmieniały kształt, a szczęki przekształcały się w potężne paszcze. Remi aż sapnął na ramieniu Grima, widząc, jak jakiś nieostrożny wampir wytoczył się ze swojego przedziału i został rozerwany na pół szponami jednej z bestii. Czarna krew bluznęła na obciążone atlasem ściany. Z ochryplym rykiem demon cofnął ramiona i plunął wzdłuż korytarza promieniem żaru, od którego popękały okna. Grim w ostatniej chwili postawił przed sobą wał ochronny, żar spłynął po nim, lecz magia bestii zmieniła barwę jego czaru, który chwilę później rozpadł się. Grim zacisnął pięści. W tych kundlach niewątpliwie kryły się nie byle jakie demony, co do tego nie było wątpliwości.

Napastnicy z powrotem opadli na czworaki i skoczyli w jego stronę, on jednak rozpałił w pięści Ognisty Bicz. Roztrzaskał nim lampy, potem podciął łapy jednemu z piekielnych psów; trafiło go sypiące iskrami zaklęcie unieruchamiające i otoczył biały żar, lecz jego towarzysz przeskoczył go jednym susem i zanim Grim zdążył zrobić unik, dosięgnął go potężnym ciosem. Grim przeleciał przez korytarz, roztrzaskując drewniane drzwi do następnego wagonu. Prawie nie słyszał krzyków wampirów, które przed nim uciekały, widział tylko demona pędzącego w jego stronę, zerwał się więc na równe nogi i zaciśniętą pięścią walnął bestię w pysk. Zanim jednak jego lodowe zaklęcie zdążyło rozlać się po ciele wrzeszczącego demona, druga bestia zrzuciła z siebie płomienisty czar i skoczyła Grimowi na plecy. Rozżarzone szpony rozorały mu ciało. Grim ryknął z bólu i rzucił się plecami na ścianę. Potężnym machnięciem skrzydeł cisnął demonem o podłogę. Czarny żar zawirował w powietrzu, lecz Grim chwycił bestię za gardło i posłał do jej ciała potrójne zaklęcie unieruchamiające, wskutek czego monstrum, dusząc się, wydało głośny ryk i upadło. Jego towarzysz zawył przeraźliwie, mając pysk do połowy rozdarty mocą lodowego

czaru, ale gdy Grim złapał go za kark, monstrum odrzuciło łeb do tyłu i wbiło zęby w jego ramię. Nie posiadając się z gniewu, Grim cisnął bestię w głąb korytarza, gdzie legła bez ruchu. Niestety jad demona powalił Grima na kolana, przeciskał się przez jego ciało jak tysiące igieł, a zaklęcie leczące tylko trochę łagodziło ból. Oddech Grima był przyspieszony, czuł też bezlitosny zawrót głowy. Gdzież, do diabła, podziewa się Samhur, kiedy jest potrzebny? Remi unosił się na wysokości twarzy Grima, w oczach kobolda widać było troskę, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, rozległ się jakiś dźwięk. Remi zwrócił spojrzenie w stronę sufitu i Grim też teraz to usłyszał. Skrzydła. Kamienne skrzydła przecinające powietrze.

W następnej chwili coś ciężkiego wylądowało na dachu kilka wagonów od nich. Rozległ się zgrzyt metalu, któremu towarzyszyło skrzypienie wyłożonych drewnem ścian. A potem na mgnienie oka zrobiło się cicho. Grim słyszał tylko nerwowe sapanie Remiego, któremu gestem kazał poszukać bezpiecznej kryjówki. Zaraz potem rozległ się syk, jakieś szpony wbiły się dokładnie nad nimi w dach, potem nastąpiło potężne uderzenie... i metal został rozerwany. Z szumem skrzydeł do wagonu wdarli się Cienioskrzydli, dwaj rekruci, a przed nimi, z kruczoczarnymi oczami i dziwnym, okrutnym uśmiechem na wargach stał Kronk.

Grim odrzucił strach, który chciał nim zawładnąć. Już uniósł rękę, by posłać do pięści lodowy czar, ale coś go powstrzymało przed zaatakowaniem najbliższego towarzysza walki. Wyrzucił z siebie klątwę, by siłą przepędzić magię z dłoni, ale było już za późno. Kronk skoczył do przodu, złapał go za gardło i posłał do jego ciała zaklęcie błyskawicy, które niemal pozbawiło go zmysłów. Poczuł, jak pędzi ku niemu potężna fala bólu. Patrzył w twarz Kronka i w jego oczy, które widziały przecież tyle cierpienia i okrucieństw, a jednak nigdy nie stały się obojętne. Gdzieś w ich głębi dostrzegł ból na wpół ukryty pod szyderstwem demona, który zawładnął tym potężnym Cienioskrzydłym. I wtedy Grim poczuł przypływ gniewu. Zignorował własny ból, szarpnął się do przodu i odrzucił Kronka.

Teraz skoczyli na niego obydwaj rekruci, lecz Grim trzasnął każdego z nich pięścią w twarz tak, że padli obaj na kolana, i zanim

Kronk doszedł całkiem do siebie, Grim sięgnął ręką do jego piersi i złapał demona, który się w nim zagnieździł. Przycisnął mu do czoła diament. Poczul lodowate pulsowanie w palcach, gdy go paraliżował. Twarz demona wyłoniła się z kamiennego ciała Kronka niby straszliwie wykrzywiona maska i na moment stracił on panowanie nad swoim gospodarzem. Teraz na Grima patrzył Kronk – płonące czarno oczy, usta wykrzywione ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Zaraz jednak jego twarz ponownie wykrzywił spazm bólu – demon wbił szpony głęboko w jego ciało i Grim czuł, jak przyjaciel z powrotem zapada się w ciemność, w której go uwięziono. Demon powrócił do jego twarzy, zamieniając ją w złośliwą maskę. Musiał to być Khan, prastary i potężny demon, Grim wyczuwał to doskonale. Słyszał, jak Kronk krzyczy z bólu, a krzyk przyjaciela odbijał się echem w nim samym. Było to gorsze niż jakakolwiek trucizna, którą demony mogły posłać do jego ciała. Nie mógł ot, tak po prostu uwolnić Kronka. Świadomość ta napełniła go rozpaczą i bezradnością. Czuł mrok otaczający przyjaciela, cierpienia, jakie musiał teraz znosić, i kiedy wypuszczał demona ze szponów, wydał ryk, od którego popękały wszystkie okna.

W następnej chwili dostał potężny cios w kark. Zdążył jeszcze poczuć krew spływającą po plecach i żar szponów, które zagłębiły się w jego ciele. A potem upadł na podłogę. Płomienne pięści rekrutów pędziły już w jego stronę, lecz zanim Grim zdążył wytworzyć czar obronny, na napastników rzucił się jakiś cień. W błyskawicznym tempie otoczył ich tułowia diamentowymi pętami, poderwał Grima na nogi i pociągnął za sobą.

*Jesteś dzieckiem, powiedział szeptem Samhur, pędząc z nim przez wagony pociągu z taką szybkością, że Grim tracił oddech. Myślisz, że Verus nie wie, jaką magięnosisz w sobie? Myślisz, że nie spróbuje wszystkiego, żeby uniemożliwić ci przekreślenie jego planów?*

Grim chciał się uwolnić, lecz Łowca trzymał go żelaznym chwytem.

*Kronk jest moim przyjacielem, zadudnił Grim, czując bolesne pulsowanie krwi w skroniach. A pomijając tych dwóch rekrutów, był sam. Pokonywałem już nie takie demony jak jakiś Khan, więc...*

*Ten demon to Khan Sherezara, przerwał mu Samhur głosem*

przypominającym grzmot. *Sługa tego króla pustyni, który pozwala każdemu ze swoich siepaczy mieć udział w jego mocy. Sherezar to śmierć rodem z burzliwego morza, żar słońca i księżyca, to on brał udział w masakrze Grhrokolu, a tobie się wydaje, że możesz go ot, tak, pokonać? Jak myślisz, dlaczego szukamy Fhar'al Brunkura? Nie zdołasz uwolnić swoich przyjaciół tylko dlatego, że wydaje ci się, że jesteś Bogiem!*

Mówił jeszcze więcej, ale Grim już go nie słuchał. Wszystko, co odbierał, to bicie serca Remiego uwieszonego przy jego szyi, lodowaty wicher w tunelu, kiedy uciekali w ciemność... i wyraz twarzy Kronka, który go prześladował, ta milcząca i bezgraniczna rozpacz, kiedy demon ponownie przejął nad nim kontrolę. Grim nie chciał się uwolnić od bólu swojego towarzysza. Bezustannie miał przed oczami obraz Kronka z powrotem zapadającego się w Cienie, w które cisnął go Khan, bezustannie miał przed oczami nadzieję malującą się w spojrzeniu Kronka. Był tak blisko przyjaciela, tak diabelnie blisko. Lecz Cienie wyrwały go z jego dłoni. A on nie był dość mocny, by go utrzymać.

## Rozdział 28



Nad dachami miasta królowało niebo pozbawione gwiazd. Za domem pod Ostatnią Latarnią kryła się Praga dawno minionego czasu, Praga, której ulice oświetlały gazowe latarnie, gdzie nie było samochodów i żadnych zwyczajnych ludzi, Praga, gdzie każdy kamyczek zaczynał snuć szeptem opowieść, jeśli tylko znalazło się czas, by go wysłuchać, i gdzie domy były otulone złotawym blaskiem, od którego miasto błyszczało jak zatopiony w wodzie klejnot.

Sięgając przed siebie po omacku upiornymi palcami, po uliczkach Małej Strany ciągnęła się mgła, połykała światło sączące się z okien mieszkań i muskała twarz Mii, jakby chciała zatrzeć jej kontury niczym kreski na rysunku. Radvina i Edwin trzymali się blisko niej, nawet Jaro szedł zaledwie kilka kroków z tyłu, najwyraźniej ostrzeżenie Hermafrodyty podziałało. Lyskian szedł przodem, a mgła sprawiła, że jego postać wyglądała na jeszcze mroczniejszą niż w rzeczywistości. Od kiedy dotarli do niewidzialnej Pragi, nie odezwał się niemal ani jednym słowem i Mia wiedziała, że nie należy próbować go nagabywać, kiedy jest w ponurym nastroju.

*Bathelon Raeghar*, powiedział w języku ànth'karya, kiedy powitała ich mgła miasta. *Yrensis Bhraka* w języku Innoświata, *Czarna Nafta* w języku ludzi. *Trucizna gwiazd i księżycy, zew mroku w czarnej jak smoła nocy i krew Cieni w całym ich źle i zagubieniu – serce najgłębszych i najstraszliwszych snów tego świata. Czy potrafcie sobie wyobrazić, gdzie można dostać takie serce?* Spojrzał na Hartydów bez cienia uśmiechu, wcale nie czekając na odpowiedź. *U jednego z Khareo Lhumisów. Zbieraczy Snów.*

Powiedział to swobodnie, niemal mimochodem, lecz błysk w jego oczach sprawił, że Mia zadrżała. Wiedziała, że nie będzie łatwo zdobyć



Czarną Naftę. Znała Zbieraczy Snów z Ghrogonii, potężnych magów i alchemików, którzy oddawali się swej pracy pod surowym okiem Mouriera, słyszała też o Khareo Lhumisach z Karpat, ślepych nieumarłych o potężnych skrzydłach, którzy nocami w okresie Szczodrych Godów przelatywali nad ludzkimi wioskami i kradli sny noworodków, aby przedłużyć własne istnienie. A Grim wiele razy z ponurą miną odmawiał jej zabrania do któregoś ze Zbieraczy Snów na nocnych jarmarkach, najczęściej czarowników, jasnowidzów i zaklinaczy umarłych w jednym, którzy w nieregularnych odstępach czasu rozbijali obozy niedaleko miasta, oferując za odpowiednią opłatą sny z całego świata. *Sny są niebezpieczne*, powiedział Grim, patrząc na nią tym nieprzeniknionym spojrzeniem, który okrywał jego twarz cieniem i na mgnienie oka pozwalał dostrzec jego prawdziwy wiek. *A ci, którzy nimi handlują, jeszcze bardziej, bo robią interesy na czymś, czego nikt nigdy do końca nie pojmie, udając, że wiedzą na ten temat wszystko. Nierzadko zdarzało się, że jakaś łatwowierna Innostota straciła życie, wpadając w sidła takiego Khareo Lhumisa.*

Mia wciągnęła w płuca chłodne powietrze nocy. Bardzo chciałaby się dowiedzieć czegoś więcej o Zbieraczu Snów, do którego się udawali, lecz Lyskian minę miał nieprzeniknioną, więc powściągnęła ciekawość i skupiła się na obserwowaniu postaci spotykanych po drodze. Byli to ludzie o pokrytych sadzą twarzach, którzy na drewnianych wózkach stukających po bruku przewozili różne towary i patrzyli na nią ciemnymi oczami, a wyglądali jak odległe wspomnienia, były też gnomy, duchy i wampiry, których głosy mieszały się z szemraniem rzeki wijącej się ciemnozieloną wstęgą przez miasto. Zdarzały się pojedyncze Gargulce szybujące na skrzydłach, a ich uśmiech przywodził Mii na myśl postękiwanie prastarych drzew przechylających się w podmuchach wichru. Na wszystkim osadzała się jakaś osobliwa matowość, co przypominało Mii dźwięki ze snów, wydawało jej się, że każdy odgłos, każde tchnienie wiatru stają się rzeczywistością dopiero poprzez jej myśli, zupełnie jakby ona sama była czarnym kotem wskakującym na popękany mur albo rojem duchów lecących nad dachami gdzieś w dal, mieszających się z dymem z kominów. Widziała swoją twarz w ciemnych oknach niektórych domów, a jednocześnie patrzyła na siebie,

jakby stała we wnętrzach tych mieszkań i spoglądała na odzianą na czarno dziewczynę na ulicy, która dziwiąc się jak dziecko, sama stawiała się częścią otaczającej ją zagadki. To miasto było tajemnicą, która chroniła samą siebie, i gdy tylko Mia próbowała dotrzeć do jej sedna, umykała jej. *Tajemnice tego świata objawiają się tylko tym, którzy są gotowi pozwolić, by ich zmieniły*, przeczytała gdzieś. Odsunęła więc na bok uporczywe myśli, odwróciła dłonie nadgarstkami do przodu, aby chłodny wiatr owiewał jej puls i wsłuchiwała się w oddech miasta – oddając się zdumieniu, ale nie szukając odpowiedzi.

Po chwili grunt pod ich nogami zaczął się nagle zmieniać. Kostki bruku skurczyły się, tworząc delikatny, szary żwir, który z szelestem zaczął pięć się w górę po fasadach domów. Budynki zmieniły się w budowle z ciemnego piasku. Edwin odskoczył na bok, kiedy z tyłu pędem nadjechała płonąca dorożka, z której wnętrza pomachał ku nim bezgłowy mnich. Z domów wyslizgiwały się upiorne postacie, w podwórkach tańczyły cienie i Mia odnosiła wrażenie, jakby przechodzili przez szybko zmieniające się plany jakiegoś niemego filmu.

– To są sny – powiedział Lyskian. – Skupiają się wokół tych, którzy ich szukają... zagubione myśli, dręczące lęki, zapomniane strachy. Wszystko to, co w realnym świecie wybrzmiewa między jawą a snem, i aż nazbyt często zostaje pochłonięte przez pierwsze światło dnia, tutaj ma swoje stałe miejsce.

Mia właśnie chciała coś odpowiedzieć, kiedy Edwin wydał zduszony krzyk. Od fasady jednego z domów oderwała się postać klauna o ostrych jak brzytwy szponach. Już sięgał ramienia Edwina, ale zanim zdołał cokolwiek zrobić, Radvina skoczyła do przodu, kopnęła napastnika kolaniem między nogi i wbiła mu kciuki w oczy, a z jej palców wystrzeliły przy tym błękitne iskry. Radvina krzyknęła przestraszona, ale klaun już rozsypał się w wirujący piasek. Nic nierozumiejącym wzrokiem Radvina wpatrywała się w swoje dłonie, a kiedy podniosła spojrzenie na Mię, po jej twarzy przemknął nieśmiały uśmiech.

– Kurs samoobrony dla kobiet – powiedziała, wzruszając ramionami. – Ale tego numeru z iskrami tam się nie uczyłam.

Mia odwzajemniła jej uśmiech.

– Stopniowo nauczycie się wykorzystywać swoje umiejętności. Pomogę wam w tym, tak jak Theryon i...

W tym momencie Lyskian ledwie zauważalnie uniósł głowę. Nasłuchiwał, a jego napięta postawa kazała Mii zamilknąć.

– Zbliżamy się do celu – powiedział Lyskian rzucając spojrzenie na Hartydów. – Wydarzenia, takie jak te, będą się mnożyć, ale nie musicie się niczego obawiać.

Mroczne nurty Wełtawy wzbierały falami w ich stronę i jakby w odpowiedzi na słowa Lyskiana w twarze uderzył ich nagły wiatr, zimny jak jesienne sztormy nad morzem. Szorstką ręką porozrywał mgły w uliczkach i poderwał piasek z domów, tak że Mia przez moment widziała tylko roztańczone tumany. Ciaśniej otuliła się opończą, wiatr szarpał jej włosy i odpędzał piasek, który po obu stronach ulicy spiętrzył się w sięgające nieba wieże. Dopiero na drugi rzut oka zorientowała się, że to gigantyczne szafy na akta, stojące jedna przy drugiej po obu stronach uliczki. Chciała się odwrócić do pozostałych, ale natychmiast uderzył ją gwałtowny podmuch wiatru i pędził ją dalej przed siebie, podczas gdy szafy przysuwały się do siebie coraz bliżej. Wiatr zrobił się bezgłośny i Mia słyszała już tylko swoje własne kroki odbijające się upiornym echem w długim korytarzu, w jaki zmieniała się uliczka. Niebo migotało, stało się białe jak kinowy ekran i Mia przestraszyła się, kiedy nagle pojawiły się na nim twarze, ludzkie twarze, które spoglądały na nią z góry. Z szaf na akta dobiegały szepty, zmieniały się w słowa, których nie potrafiła sobie wytłumaczyć.

*Nic to nie pomoże.*

W jednej z szaf otworzyły się drzwi i na ulicę wyszli ludzie w garniturach, wszyscy wyglądający identycznie. Mieli szare, zastygłe twarze, tak pospolite, że Mia natychmiast zapomniała, jak wyglądały. Ludzie ci w rękach trzymali aktówki. Jakby napędzani wspólnym mechanizmem jednocześnie spojrzeli na zegarki i ruszyli w stronę Mii, nie zwracając na nią uwagi, i chociaż musnął ją jedynie ruch powietrza wywołany przez ich ciała, została odrzucona jak po silnym ciosie. Zatoczyła się. Starła się usunąć na bok, ale na ulicę wychodzili kolejni ludzie, mężczyźni w jednakowych garniturach i kobiety o ustach

pomalowanych tak jaskrawą czerwienią, że ich skóra sprawiała wrażenie jeszcze bardziej szarej, niemal do tego stopnia, jakby w ogóle ich za maską biurowych kostiumów i aktówek nie było.

*Z kłamstwa robi się istotę porządku świata.*

Jak marionetki ludzie ci podążali za jakąś anonimową siłą, niewidzialną zasadą, której Mia nie była w stanie przejrzeć, i im bardziej starała się iść pod prąd, tym zimniejszy stawał się wiatr, dmący w jej stronę. Koniec ulicy piętrzył się szaro przed jej oczami, miała wrażenie, że to morze, które w każdej chwili mogło wylać się na bruk, a jednak nigdy tego nie robiło. I zanim Mia zdołała nazwać niepokój, jaki przynosił się na nią z tego, co widziała, znów usłyszała głos:

*Ruch bez końca, niepokój przeniesiony z niespokojnego żywiołu na bezradnych ludzi i na ich dzieło!*

Cienie wysokich jak wieże szaf na akta piętrzyły się groźnie nad Mią, blade, martwe oblicza ludzi przesuwwały się obok niej, owiewane tym samym przerażającym, lodowatym tchnieniem, które szyderczo mierzwiło jej włosy, i chociaż z całych sił broniła się przed strachem, który zaczynał ją ogarniać, tym bardziej bezbronna czuła się pośród tej rzeki ciał. Przerazliwie wyraźnie słyszała huk zamykanych drzwi, dzwonek telefonu i zupełnie jakby to ona podniosła słuchawkę, znów jej myśli przeniknął głos:

*Jak sobie wyobrażasz koniec?*

Cisza.

Mia słyszała w słuchawce echo uderzeń własnego serca, pytanie się powtórzyło, a odpowiedź, która nie była jej odpowiedzią, wydobyła się z szaf i dotarła do niej jak wypowiedziane szeptem zaklęcie:

*Przedtem myślałem, że wszystko musi się dobrze skończyć. Teraz sam w to nieraz wątpię. Nie wiem, jak to się skończy. Czy ty wiesz?*

Stuk słuchawki odkładanej na widełki sprawił, że Mia aż podskoczyła. Wydawało jej się, że trafiła do jakiegoś labiryntu, który służył tylko do tego, aby spotkało ją niepowodzenie, albo nawet gorzej – który w ogóle nie miał z nią nic wspólnego. Ta myśl, przy całej swej beznadziejności, była przynajmniej jakimś konkretnym bólem pośród

niemocy i być może to właśnie on zaczął przemieniać nagle wszystkie oblicza wokół niej, aż wreszcie stały się jedną i tą samą twarzą, twarzą młodego mężczyzny o ciemnych, otoczonych cieniem oczach, który patrzył na nią z lekko przechyloną głową.

*To, co twórczo działałem, jest wyłącznie owocem przebywania w samotności.*

Ludzie wciąż ją mijali, ale ona stała już bez ruchu. Po prostu stała w miejscu, w którym była, i zupełnie jej nie zdziwiło, kiedy zobaczyła owadzie kończyny zamiast rąk wylaniające się z rękawów idących. Znów mieli te same nieruchome twarze, co poprzednio, ale na końcu ulicy, tam, gdzie jeszcze przed chwilą było szare morze, stał ów młody mężczyzna i w milczeniu patrzył na Mię.

Jego oczy były jak obraz, który mogłaby sama namalować, tyle w nich było treści, dla których wyrażenia słowa nigdy by nie wystarczyły. Spoglądał na nią jakby przez tysiące zasłon, wiedziała, że oddzielają ich całe światy, a jednak przez moment czuła bicie jego serca w swojej własnej piersi, a za rozpaczą widoczną w jego spojrzeniu, tęsknotą i lękiem dostrzegła czarne światło, płomień, który spalił wszelką wstrętność labiryntu. Jego blask śmiertelnym chłodem kładł się na armię ludzi, sprawiając, że upadali. Płonęli jak postacie z papieru, a z ich popiołów wyrastały szklane kwiaty. Kwiaty pękały z cichym brzękiem, kiedy Mia szła w stronę mężczyzny, kalecząc jej bosc nagle stopy. Ból jednak przepędzał zimno, które paraliżująco rozlewało się po jej ciele, czyniąc je pozbawionym czucia, i Mia nie broniła się przed nim. Słabo dobiegał ją głos mężczyzny unoszący się w powietrzu, wzniecający tumany zeschniętych liści, które z chrzęstem chitynowych pancerzyków sunęły po bruku.

*Stojąc przede mną i na mnie patrząc, co wiesz o bólach, które są we mnie, i cóż ja wiem o twoich.*

Mia dostrzegła na jego twarzy wyraz niechęci i słyszała złośliwy śmiech ludzi, którzy wciąż spoglądali na nią z migocącego, bladego nieba. Przez moment bała się, że szklane kwiaty wokół niej ponownie przemienią się w przerażające papierowe postacie. Zdecydowanie nabrała powietrza w płuca. Wydostanie się z tego labiryntu, z tego koszmaru, do którego się dostała. Poczwała przekorę, jaka pojawiła się w

jej spojrzeniu, i zanim mężczyzna przed nią zdążył unieść brwi w lekkim zdumieniu, odpowiedziała mu w myślach:

*A gdybym padł przed tobą, płakał i opowiadał, powiedziała, dobrze wiedząc, że to nie są jej słowa, lecz jego, napisane pewnej jaskrawej nocy bez świtu, czegoż więcej dowiedziałbyś się o mnie niż o piekle, gdy ktoś ci powie, że jest gorące i straszne?*

Nie pozwalała mężczyźnie odwrócić wzroku, nadal podchodziła w jego stronę, nie pozwoliła mu się też cofnąć, jak najwyraźniej przez moment miał zamiar. Wciąż jeszcze odczuwała zagrożenie płynące z cieni otaczających ją wież oraz strach – ten nieokreślony lęk przed czymś, czego nie mogła ani zobaczyć, ani pojąć, ale jednak odczuwała to równie wyraźnie jak to, że oddycha. To on stworzył to wszystko, wiedziała o tym, znała też jego nazwisko, które było jak wołanie z innego świata i w tym momencie nie miało najmniejszego znaczenia. Jednocześnie bowiem dostrzegała piękno jego ponurości, która nasącała wszystko wokół magiczną czernią i która była tak głęboka i tak zagadkowa, że Mia nie mogła się od niej oderwać.

*Choćby dlatego ludzie powinni stać przed sobą nawzajem z taką czcią, taką zadumą, taką miłością, jak przed bramą piekieł.*

Po jego twarzy przemknął uśmiech – coś jak pęknięcie w półmroku – i gdy tylko mężczyzna to zauważył, odzwierciedlił się też na jego ustach. Jego twarz stała się jeszcze bardziej delikatna niż dotąd, i Mia dostrzegła, że mrok ze spojrzenia nieznanego zmienił nie tylko świat wokół niej, ale że on dostrzegł to samo piękno także w jej oczach, kiedy stanęła całkiem blisko niego. I dopiero teraz, kiedy płomień w jego wnętrzu zapłonął z mrocznym wdziękiem, dostrzegła, że to, co wiatr zawiewał w jej stronę to nie były liście, tylko strzępki papieru, odrywające się od jego nieforemnego garnituru, jego włosów, jego skóry.

Przestraszyła się, kiedy zorientowała się, że on znika i zdawało jej się, że słyszy szelest liter na papierze, który brzmiał jak brzęczenie czarnych owadów. Mężczyzna bez słowa ujął jej dłoń, poczuła zimno jego palców na skórze, i poczuła też strzępek papieru, który jej podał, i płomień, które z cichym szepceniem pełgały po znakach.

*Nadstaw się na deszcz, niech cię przeszyją żelazne promienie,*

*ślizgaj się w wodzie, co chce cię unieść; lecz trwaj na miejscu, czekaj tak wyprostowany, aż nagle i bezkresnie przeniknie cię słońce.*

Mia odwzajemniła jego uśmiech, poczuła światło płomieni na palcach i jeszcze zanim do jego oczu zdążyły powrócić cienie, jego postać zadrgała przez moment, jakby był tylko odbiciem w wodzie. W następnej chwili stopił się z mrokiem ulicy, szafy na akta przybrały z powrotem kształty zwykłych domów, niebo stało się ciemne, jak przedtem, a wiatr, którego Mia prawie już nie odczuwała, ucichł. Wydawało jej się, jakby ktoś zdjął z niej welon, który utrudniał jej oddychanie, zapewniając jednocześnie spojrzenie w ciemność, w której było tyle bólu, tyle tęsknoty i tyle piękna.

Poczuła chłód, gdy zbliżył się do niej Lyskian i kątem oka zauważyła też Hartydów, ale wciąż nie ruszała się z miejsca, w którym przed chwilą stał mężczyzna. Tak, wiedziała, kim jest, wiedziała to od pierwszej chwili i aż się uśmiechnęła, słysząc pogardliwe prychnięcie Lyskiana, który kręcił głową. Poważał bardzo niewielu ludzkich pisarzy.

– Dawniej zaklinał swoje myśli na papierze – wymamrotał ponuro.  
– Ale jak to się często zdarza, one nie chcą tam pozostać. Teraz nawiedziły nas tutaj, w tym upiornym świecie.

Bez słowa ruszył w dalszą drogę. Mia ruszyła za pozostałymi i patrzyła na płomienne linie na skrawku papieru w swojej dłoni. Był to szklany kwiat. Ostrożnie przesunęła dłonią po liniach, które jej nie poparzyły. Raz jeszcze poczuła obecność tamtego mężczyzny i jego snu, i wciągnęła w nozdrza zapach, który przenikał Pragę jak obietnica. Był to zapach lęku, tęsknoty i osamotnienia – z domieszką wiedzy, że w Cieniach jest znacznie więcej niż tylko to.

## Rozdział 29



Grim siedział skulony w mikroskopijnym przedziale, wciśnięty między Samhura i jakiegoś wampira o powykrzywianych żółtych palcach, skrzydła miał zmięte jak starą gazetę, kolana trzymał niemal pod brodą i z najwyższym trudem powstrzymywał się od walnięcia pięścią w okno, żeby wpadło przynajmniej trochę powietrza. Remi kulił się na jego ramieniu, jak tylko mógł, a naprzeciw Grima siedziały trzy kolejne wampiry, które ani myślały bodaj na chwilę oderwać od niego wzrok. Ich bezruch był przy tym wszystkim tak absolutny, że sprawiały wrażenie woskowych figur. Ani jedno mrugnięcie nie zaburzyło zastygłych rysów ich twarzy. Wyglądało to tak, jakby chciały wysssać Grimowi krew samą siłą myśli.

Z ponurą miną Grim rzucił spojrzenie Samhurowi, który wgapił się w ciemność, jakby dostrzegał tam coś więcej niż tylko odbicie zastygłych rysów żałobników z tego przeklętego przedziału. Po walce z Cienioskrzydłymi Łowca z bezwzględnością zakrawającą już na złośliwość poprowadził ich najbardziej nieprzyjaznymi korytarzami Dolnego Świata. Najwyraźniej sprawiało mu niekłamaną radość, że po ciemnościach, które właśnie przebyli, może im pokazać ciemności jeszcze głębsze, a Grim cały czas czuł w nozdrzach zapach katakumb Pragi, który niewiele się zmienił od czasu, gdy ostatnio w nich przebywał. Przypomniał sobie wrzaski rebeliantów z odległych czasów, zapach dymu i krwi, i piasek pod stopami, i chociaż skutecznie zwalczył uśmiech, którym Verus obdarzył go wówczas niby przekleństwem, to jednak teraz, kiedy ponownie zapaścił się w Dolny Świat Pragi, zdawało mu się, jakby z każdym krokiem powracał do czegoś, dla czego nie miał jeszcze nazwy, może do jakiegoś wspomnienia, jakiejś myśli albo dawno zapomnianej drogi. Z westchnieniem nabrał powietrza. Po upływie



prawie wieczności dotarli wreszcie do tego rozklekotanego pociągu. Od tego czasu przemierzyli w nim zawrotne otchłanie, podskakując na najmniejszej nawet nierówności.

Grim poruszył ramionami, aż strzeliło mu w stawach i od razu poczuł bolesne ukłucie w policzek. Remi siedział na jego ramieniu tak sztywny, że nawet jego włosy zesztyniały w kłujące kolce i przy każdym przechyle tego przekłętego pociągu wbijały się boleśnie w ciało Grima. I jakby tego było mało, w nieregularnych odstępach czasu kobold wydawał bulgocące dźwięki, świadczące o tym, że niechybnie zbiera mu się na wymioty. Grim doskonale go rozumiał, ponieważ jego żołądek skurczył się do wielkości chyba ziarnka grochu. O ile jednak kobold mógł w tym piekielnym pojeździe przynajmniej rozprostować nogi, to Grim przy każdym szarpnięciu stukał kolanami Samhura lub pasażera siedzącego na ławce obok niego, tego wychudzonego na wiór wampira, który nawet nie próbował nie okazać Grimowi, że jeszcze nigdy w swoim nieskończonym życiu nie siedział obok kreatury budzącej takie obrzydzenie jak on.

Grim właśnie zamierzał rozprostować nieco skrzydła i narazić się tym samym na kolejne lodowate spojrzenie sąsiada, kiedy przez okna wpadło światło. Ściany tunelu z ledwie obrobionego kamienia mijały ich w pędzie. Grim pochylił się do przodu, chcąc zobaczyć trochę więcej, ale w tej samej chwili poczuł, jak tracą kontakt z ziemią.

Instynktownie wcisnął się plecami w fotel, prawą ręką zaparł o ramę okna, a lewą nogą o drzwi, żeby nie być miotanym po przedziale jak worek kartofli. Wampiry patrzyły na niego z politowaniem i Grim właśnie szykował się, żeby odpłacić im za to odpowiednio kąśliwą uwagą, kiedy odwrócił na moment spojrzenie i z miejsca zapomniał o współpasażerach.

Z przeraźliwym sykiem wystrzelili z tunelu i lecieli w powietrzu przez potężną jaskinię. Rozgałęziała się ona na liczne sale, potężne kamienne słupy podtrzymywały jej sklepienie, a pod nimi rozciągała się dżungla w zielonych i ciemnogrnatowych barwach. Cierniste pnącza oplatały ściany, Grim słyszał ryki dzikich zwierząt i widział stada różnobarwnych ptaków szybujących w powietrzu niby welony z migotliwych klejnotów. Ażurowymi meandrami wił się przez dżunglę o

wiele za wysoki wiadukt z osypujących się kamieni i kiedy pociąg z hukiem wreszcie na nim wylądował i popędził po szynach, sypiąc spod kół iskrami, Grimowi wydawało się, że czuje, jak wiadukt się chwieje. Szpony u jego stóp z taką mocą wryły się w drewno podłogi, że aż powstały w nim głębokie karby, jego zmniejszony do rozmiarów groszku żołądek skakał mu w brzuchu jak kulka automatycznego bilardu, a trzy wampiry – niby trzy małpki, które nic nie słyszą, nic nie widzą i nic nie mówią – wgniatały go swoimi pogardliwymi spojrzeniami w siedzenie. Z ziemi co chwila wyrastały skalne formacje przypominające gigantyczne budowle termitów, migotliwe światła rozjaśniały tunele, którymi pędzili, a kiedy tempo jazdy się zmniejszyło, kiedy skończyło się przekłete szarpanie pojazdem i zaczęli spokojnie sunąć przed siebie, jakby szybowali nad torami, Grim wyprostował się. Zignorował zrządzenie oburzonego sąsiada, gdyż przed nimi, wśród skalistego krajobrazu, otoczone dzikim nurtem Martwej Rzeki, wznosiło się Rha'manthur, Miasto Płomieni.

Z daleka wyglądało jak pęknięty czarny kamień, którego kryształy migotały w ciemnościach. Potężne stalagmity wyrastały z pociętych przepaściami wzgórz i dopiero kiedy byli już bliżej, Grim zorientował się, że to wieże i że z niektórych wydobywa się czerwone światło. Obok nich biegły wąskie uliczki, ponure domy stały u ich podnóży i jedyne, co wyglądało na żywe, to był dym, który od czasu do czasu snuł się z któregoś z kominów i znikał pod sklepieniem jaskini jak duch. Latarnie uliczne sprawiały, że uliczki rozbłyskiwały zgniłym pięknem, a ich światło załamywało się w martwych oczach posągów stojących na dachach i występach murów. Brakowało tylko deszczu, by uczynić ten mrok idealnym, i Grim przyłapał się na tym, jak z czcią przesuwają wzrokiem po gotyckich katedrach, które wampiryczni architekci pobudowali tu na dole. A mimo to Fha'manthur nigdy nie było całkowicie miastem wampirów. Z morza domów co chwila wystawały czarne jak smoła budowle demonów, potężne wieże usiane kolcami, które błyszczały, jakby dopiero co zanurzono je w świeżej krwi, budynki, których balustrady i werandy zostały wycięte w naturalny sposób z ciała kamienia i zrujnowane zamczyska, których ściany były tak cienkie, że widać było przez nie ruchliwe światło pochodni

płonących w środku. Bez wątpienia budowle wzniesione przez wampiry były perfekcyjne pod względem artystycznym, rzadko kiedy Grim widywał kościoły o takim uroku, budynki mieszkalne o takiej elegancji, a jednak ich wspaniałość bladła na tle surowej pierwotności budowli demonów. Wyglądały, jakby same wyłoniły się z ziemi, w jednym akcie mocy, który był raczej nieokiełznanym pędem do zabawy niż świadomą sztuką i żaden z wampirzych budynków nie był w stanie przebić ich potęgi, która ciągnęła się przez całe miasto jak wrzód w formie zaskorupiałej sieci żył. Grim patrzył na zespół niewielkich rezydencji rozsypanych u stóp ruin zamczyska, wyglądających jak odlane z czarnej lawy. Wyglądało to dla niego tak, jakby jakieś dziecko rozmieściło swoje klocki na terenie należącym do właściciela zamku, i ledwie to pomyślał, po raz pierwszy poczuł jakiś cień, który groźnie przemknął po dachach. Podążył za chłodnym tchnieniem, które musnęło jego policzki, i odwrócił wzrok. A tam, nad dachami miasta wznosił się Kharamon, Zamczysko Gniewu. Królowało jak potężna wieża na skale ponad morzem domów, jak siedziba lennego pana nad wioską jego poddanych. Spoza kłębiących się wokół niego czarnych kłątów ledwie widać było zarysy murów potężnej wieży. Wyglądało to zupełnie tak, jakby kryła się za łopocącymi zasłonami, a jednak Grim poczuł tłące się zagrożenie, czające się w czarnych oknach, i widział blanki, które zmieniały czubek wieży w zakrzywione szpony smoka. Do tamtego miejsca właśnie podążała sieć żył Rha'manthuru, które u stóp skały zmieniały się w potężne powrozy ciemności. *Tunele Cieni*, przemknęło Grimowi przez głowę i poczuł groźbę pobrzmiwającą w tej nazwie. Powoli wciągnął do płuc powietrze. Nawet jeśli wampiry bardzo się starały, żeby zrobić z Rha'manthuru swoje miasto, to jednak tak całkiem do końca im się to nie udało.

Z cichym szumem pociąg dotarł do dworca, budynku zwieńczonego szklaną kopułą, który od nagłego gwizdu lokomotywy zadygotał zupełnie jak Remi na ramieniu Grima. Najwyraźniej sam pociąg nie mógł się już doczekać, kiedy pozbędzie się nieproszonych gości. Grim poczekał, aż wampiry się ulotnią i wraz z pozostałymi opuścił przedział. Z westchnieniem zeskoczył na peron, rozprostował skrzydła, które całkiem już mu zdrętwiały, i poczuł się tak, jakby właśnie

wyczołgał się z puszkii konserw. Pociąg wydał mu się niewiele większy niż kapsuły latające Ghrogonii i kurczył się z każdym spojrzeniem wampirów. Remi otrząsnął się jak mokry pies i nawet Samhur poruszał ramionami, jakby spędził za dużo czasu na zimnie.

Łowca bez słowa ruszył przed siebie i Grim pospiesznie podążył za nim. Remi zlustrował nieliczne stoiska gnomów z cieni, które w hali dworca z osypującą się sztukaterią oferowały najróżniejsze towary od artystycznie wykonanej odzieży, przez alchemiczne ingrediencje i najróżniejsze buteleczki i flakoniki z krwią niemal wszystkich stworzeń żyjących na ziemi, i wyraźnie się przeraził, kiedy wyszli z dworca i wkroczyli w ciszę miasta.

Ulice wokół dworca wyglądały jak wymarłe. Z rzadka tylko spotykali jakieś wampiry i Grim miał wrażenie, jakby trafił do miasta gdzieś na dnie morza, gdzie jakakolwiek forma życia z natury rzeczy musi wywołać zdumienie. Skrzywił się. Rzeczywiście, przecież mieszkańców tego miasta trudno było określić jako żywych. Ich skóra była jeszcze bledsza niż skóra ich krewniaków z Górnego Świata, ich oczy bezdennie czarne i pozbawione blasku, i niejednokrotnie nie mógł powstrzymać dreszczy, kiedy któryś z nieumarłych przeszedł obok niego, bezgłośnie i tak szybko, że Grim odczuwał tylko podmuch powietrza muskającego mu policzek. Nosili szaty z dawno minionych czasów i tylko z rzadka Grim dostrzegał w ich oczach coś w rodzaju zaciekawienia, i to zawsze wówczas, kiedy zbyt późno je zauważył, bo na przykład stały w jakimś mrocznym podwórku, znieruchomiałe, jakby wrośnięte w ziemię, albo kulily się przykucnięte na dachach, wbijając w niego spojrzenie pełne dławiącej żądz. Od czasu do czasu przemykały też obok nich demony, niegdyś niewolnicy wampirów, które od dawna jednak miały swobodę opuszczania Miasta Płomieni, a mimo to pozostawały w obrębie jego murów. Grim nabrał powietrza... i natychmiast tego pożałował. Zaczął gwałtownie kasłać, a Remi bez sensu zaczął walić go po plecach. Dym, który podstępnie dostał mu się do płuc, palił go w tchawicy. Grim czuł się tak, jakby zamiast powietrza nabrał w płuca wody i chociaż zaraz potem złapał oddech, odniósł wrażenie, że jakiś ciężki kamień zapadł się w niego i pociąga go coraz bardziej w głąb, aż ku samym podstawom tego miasta.

Gniewnie przejechał dłonią po oczach i pomyślał o cmentarzach Paryża, o tych ogromnych nekropoliach z ich grobami, kaplicami i mauzoleami, z których co chwila wyrywały się lodowate podmuchy, sięgając ku tym, którzy przechodzili za blisko. Ta sama wyczekująca cisza czaiła się też tutaj, między budynkami Rha'manthuru. Nad Grimem przemykały cienie i dymy, i przypomniał sobie koty, bezgłośnie buszujące na grobach cmentarza Père-Lachaise, jedyny ruch przerywający nocny spokój. Grim zdusił kaszel, poczuwszy na języku smak rozkładu. Rha'manthur było prawdziwym miastem umarłych.

*Nigdy nie pojmiesz różnicy między umarłym a nieumarłym,* powiedział Samhur w jego myślach. *A poza tym i tak nie masz racji. To miasto żyje. Popatrz uważniej.*

Grim właśnie zamierzał powiedzieć coś na temat arogancji i bezczelności, jaką było czytanie w jego myślach, kiedy Łowca przystanął i przyłożył dłoń do fasady jednego z domów. Wymamrotał jakieś zaklęcie i pod jego palcami zapłonęła płatanina korzeni, rozprzestrzeniając się krwawą siatką po budynku. Grim podszedł bliżej i ledwie jej dotknął, poczuł w koniuszkach palców palący ból. Przestraszony cofnął dłoń, na skórze miał bąble od oparzeń i wyraźnie czuł prastarą moc kryjącą się w korzeniach. Spojrzenie Samhura tylko potwierdziło jego domysły: to właśnie archaiczna siła demonów spowiła to miejsce swego czasu Ogniami Klątwy, stwarzając dyszącą, zadymioną gęstwę, która odbierała Grimowi oddech. Ruszyli dalej i Grim dopiero po pewnym czasie dostrzegł zarysy kształtów wydobywających się z tych korzeni niczym wypowiedane szeptem klątwy i w niewróżący niczego dobrego sposób mieszających się z cieniem potężnej wieży, który kładł się lodowatym płomieniem na dachach domów. Zabarwił cegły szarością gnijącego listowia i wysłał do głowy Grima myśl, która sprawiła, że Gargulec aż się wzdrygnął. Ten żar prowadził do Zamczyska Gniewu. To ono było czarnym jak smoła przeklętym sercem tego miasta.

Dopiero gdy Samhur się zatrzymał, Grim podniósł wzrok. Stali przed rezydencją z szerokim tarasem. Szron pokrywał stopnie schodów i Grimowi wydawało się, że słyszy dobiegający od strony ciemnych okien szept, dźwięk przypominający śpiew tundry Wschodniego Świata. Serce

zatrzymało mu się na czas jednego uderzenia, kiedy pojął, przed czyimi drzwiami stoją, lecz Samhur rzucił mu niechętnie spojrzenie.

*Ona jest panią tego miasta, powiedział Łowca spokojnie. Nikt nie może w nim zrobić nawet kroku bez jej przyzwolenia i możesz być pewien, że ona od dawna wie, że weszliśmy do Rha'manthuru. A nawet więcej, że w tej chwili stoimy u jej drzwi. Przed Skarnaarą nie ukryje się nic, co dzieje się w Cieniach. Ona jest Carycą Nocy i...*

Remi miętosił dłonie, że aż strzelały mu stawy, i gapił się na drzwi, jak mysz na czającego się na nią kota.

– ...i jest niebezpieczna – wyszeptał.

Samhur uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

*Jest potężna, odrzekł. Lecz, jak już mówiłem: to nie ona jest największym tutaj zagrożeniem. Zamczysko Gniewu jest przeznaczone dla demonów, dla nikogo innego. Nie uda nam się zrobić nawet kroku w Tunelach Cieni, jeśli ona nie otworzy przed nami tych ciemności. Nie będzie jednak łatwo jej przekonać. Być może okaże się to zupełnie niemożliwe.*

Grim westchnął. Odpędził myśl, że zupełnie bezsensownie próbował przekonać sam siebie o istnieniu jakiejś innej drogi do celu niż próśby kierowane do najstarszej wampirzycy tego świata. Ba, ulegał tym złudzeniom jak jakiś niemądry wojownik Zielonej Pięści i teraz czuł z tego powodu pogardę do samego siebie. Czyżby nie był wystarczająco dorosły, żeby czegoś takiego nie wiedzieć? Zawsze można było zejść jeszcze głębiej i niewątpliwie tak właśnie by zrobił, gdyby była na to najmniejsza bodaj szansa. Wiedział o tym od samego początku.

Samhur właśnie zamierzał wstąpić na schody, kiedy z balustrady zeskoczył mu wprost pod nogi zaniedbany żółty kocur. Z jego skołtunionej sierści z artystyczną fantazją sterczały długie pasma, a na czubku głowy widać było sztywne włoski układające się niemal w kształt irokeza, w awanturnicznym kontraście do jedwabiście gładkich skroni. Był nieco otłuszczony, lecz w świetle latarni wiszącej nad wejściem pazury błyszczały mu jak świeżo wyostrzone. A kiedy zamrugał oczami, Grim dostrzegł w nich zielonkawe migotanie.

– Przybysze z Górnego Świata – syknął kot, wypluwając te słowa jak kawałek nieświeżego mięsa.

– Lepiej się zastanów, komu wchodzisz w drogę, dorenie – powiedział cicho Samhur, patrząc ponurym wzrokiem na demona w kociej postaci.

Na tym ostatnim nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia. Zastrasząco ludzkim gestem uniósł brwi, zmierzył Samhura od stóp do głów, a potem parsknął cicho z pogardą.

– Łowca taki jak ty powinien mieć lepsze oko do istot takich jak ja – odparł i z jadowitym szyderstwem odchylił głowę w bok. Dopiero teraz Grim zauważył sinawą bliznę na jego szyi, ledwie zasłoniętą sierścią i świadczącą o tym, że był khara'zajem – byłym niewolnikiem, który jeszcze w czasach, gdy jego lud był całkowicie podbity, otrzymał wolność, ale z własnej woli pozostał przy swoim wampirzym panu. Kocur spojrzął na Grima, jakby słyszał jego myśli, i dumnie wysunął do przodu brodę.

– Jestem Lheki Baranow, Pierwszy Zausznik Jej Wysokości Królowej Nocy, szósty stopień, drugi krąg, Naley – przedstawił się.

Stał tak dumnie, że Grim przez chwilę widział go oczami wyobraźni w błyszczącej zbroi i aż się uśmiechnął. Samhur natomiast zdawał się w ogóle nie słyszeć słów kocura.

– Pałetasz się po zwierzęcych ciałach, bo najwyraźniej na więcej nie starcza ci mocy – stwierdził. Jego głos był równie pogardliwy co spojrzenie kocura, ale jednocześnie Grim słyszał w nim wyraźnie chłód, który w jednej chwili mógł zmienić twarz Łowcy w strasliwą maskę. Lheki jednak nie dał się sprowokować.

– Ciało kota to coś bardzo szlachetnego – odpowiedział swobodnie. Ze zgrzytem przejechał pazurem po tarasie i natychmiast na budynku zapłonęły rozżarzone znaki, a bijący od nich żar boleśnie trafił Grima. Remi wstrzymał oddech. Samhur ani drgnął, tylko ściągnął brwi, kiedy Lheki rozbawiony podniósł na niego wzrok.

– I sami zobaczcie – kontynuował Lheki. – Nawet takiemu Łowcy jak ty, panie, mogę uniemożliwić wejście na te schody, czy to nie zdumiewające?

Remi zakaszłał, żeby zatuszować uśmiech, ale Samhur nie zwracał na niego uwagi.

– Nie ścierpię, żeby jakiś pomniejszy demon zagradzał mi drogę. –

Podniesiony głos Samhura sprawił, że znaki rozbłysły żarem. – Muszę w pilnej sprawie widzieć się z Carycą i nie mam za wiele czasu. Po raz ostatni wzywam cię: bądź posłuszny mojej woli!

Ujął w dłoń rękajeść diamentowych pęt, a na jego skórze zapłonęły czarne znaki. Lheki odskoczył, jakby uderzył go podmuch lodowatego wiatru, a znaki na tarasie zamigotały, ale nie zgasły całkowicie. Kocur z ponurą miną zagłębił pazury w kamieniu. Jego głos był ledwie słyszalny, kiedy powiedział szeptem:

– Łowca z Pierwszej Piątki.

W jego oczach pojawił się błysk, mieszanina tęsknoty i lęku.

– Wiele o tobie słyszałem, panie – rzekł, powoli wydobywając pazury z kamienia. – Wiele wiem o twoich czynach z pism wampirów, wiele krąży szeptanych i legendarnych opowieści po Cieniach i jak w każdym demonie budziłeś we mnie grozę, panie, w każdej szarej godzinie mojego istnienia. Samhur o oczach z mrozu, Samhur, który jednym wskazaniem palca zwięgłił Śpiewające Szakale, towarzyszy zabaw Khana z Jerycha, Samhur, który uwolnił Lasy Południa od Xaya Ciemności, Samhur, który zabił niezliczone rzesze Dzieci Gniewu. Słyszałem o szaleństwie w twoich oczach, panie, lecz teraz, kiedy stoisz przede mną we własnej osobie, nie boję się. Jesteś Rhak’Hontayem, wrogiem, który chce mnie zabić za to, kim jestem i... jesteś taki sam jak ja, rozumiesz, panie?

Coś jakby uśmiech przemknęło po jego kociej twarzy, a potem zmrużył oczy i jego spojrzenie stało się przenikliwe.

– Dobrze wiem, co się teraz dzieje w Górnym Świecie – powiedział. – Wiem, że część mojego ludu próbuje sięgnąć po władzę. Znow chcą sprowadzić na świat nieszczęście, a ja znam potworności, które mogą się wydarzyć pod ich panowaniem.

Przerwał na moment, widząc, jak Remi unosi brwi.

– Nie wszystkie koboldy cuchną Cieniem i żądzą – powiedział Lheki cicho. – I nie wszystkie demony łakną chaosu i śmierci.

Ponownie zwrócił się do Samhura.

– Nie moja sprawa, w jakie ciemności zamierzasz się rzucić, panie. Ale powiedz mi jedno, Łowco moich pobratymców: po czyjej stronie stoisz? Czy jeśli pozwolę ci przekroczyć ten próg, będziesz walczył o



wolność świata, o ludzi, którzy nigdy nie byli wrogami mojego ludu, o Gargulce, dla których staliśmy się obcy? Ruszysz do bitwy o to, na co kiedyś przysięgałeś? Czy może nie jesteś lepszy od tamtych?

Grim gwałtownie nabrał powietrza w płuca, ponieważ na chwilę nieświadomie wstrzymał oddech. Remi patrzył w napięciu to na jednego, to na drugiego i tylko Samhur stał w lodowatym bezruchu i spoglądał z góry na kota. Coś zamigotało w jego oczach, Grim nie potrafił powiedzieć, czy był to gniew, czy może zniecierpliwienie, czy może jeszcze co innego, coś, co kryło się głęboko w Cieniach wypełniających Łowcę. A potem Samhur skinął głową.

– Dzielą nas całe światy – odparł. – Nigdy za wiele nie wiedziałem na temat dobra czy zła i nic nie wiedziałem o wartościach, które niektórzy z twego ludu niegdyś tak wysoko poważali. Ty z kolei nie masz pojęcia o ciemnościach, z których powróciłem. A jednak mamy coś, co nas łączy, Dziecię Gniewu: wola zachowania wolności jako czegoś, czym powinna ona być, a mianowicie dobrem wszystkich. Dlatego tu powróciłem. Dlatego odrzucę Złoty Cień tam, gdzie jego miejsce – w płomienie Diamentowego Ognia. I powtórzę raz jeszcze: każdy, kto stanie mi na tej drodze, każdy, kto spróbuje spowolnić moje kroki, czy to świadomie, czy też nie, każdy, kto nie będzie chciał być moim towarzyszem w tej walce, staje się w sposób nieunikniony moim wrogiem.

Grim czuł serce Remiego bijące przy jego szyi i obserwował wymianę spojrzeń między demonem a Łowcą. Samhur posłał w stronę kocura swój lodowaty żar, lecz spłynął on po nim jak woda. Wreszcie kocur uśmiechnął się swoim zagadkowym uśmiechem.

– Wejdźcie – powiedział i ruchem ogona sprawił, że nakreślone żarem znaki na murach zniknęły. Potem odwrócił się i lekkim ruchem głowy spowodował, że drzwi wejściowe otworzyły się, a on pierwszy wszedł do środka.

Wnętrze przyjęło ich chłodnym półmrokiem. Na ciemnych dywanach leżały odłamki szkła, rozbłyskujące w blasku nielicznych pochodni jak kawałki lodu, i Grim miał wrażenie, jakby był na jakimś cmentarzu i wszedł przez któreś z drzwi wiszących na przerdzewiałych zawiasach i bez przekonania zagradzających dostęp do grobowca. Nieraz

zadawał sobie pytanie, dokąd dojdzie ludzkie dziecię, które przekracza takie drzwi? Do światła, do Cieni, a może do wiecznego Półmroku? I czy właściwe pytanie może je uratować przed tym, o czym zapomni poza granicami własnego świata?

Stanęli przed drewnianymi drzwiami z łuszczącą się niebieską farbą. Lheki poruszył wąsami, najwidoczniej rozmawiając z kimś w myślach. A potem otworzył drzwi.

Ciemnozielone światło niemal czule musnęło sierść kocura, kiedy przekraczał próg. Jedwabście, niby zimne wody Morza Północnego przesunęło się po twarzy Grima, który wchodząc za Samhurem, instynktownie wstrzymał oddech, jakby stąpał po morskim dnie. Pomieszczenie było pogrążone w półmroku. Długie, kiedyś zapewne białe zasłony niemal całkowicie skrywały szeroki front okien, przez które wpadał mętny blask Srebrzystej Topoli, jak światło z jakiegoś innego świata, by zgasnąć przy wystrzępionych fotelach, które białe jak kość stały pośrodku pomieszczenia. Grim czuł tłące się ciepło dawno zgasłego ognia w kominku. Drobiny kurzu tańczyły w powietrzu jak okruchy wspomnień. Wszystko sprawiało na nim wrażenie snu, w którym nie może się odwrócić od postaci utkanej z ciemności i zapomnianych łez. Tą, na którą patrzył, była Skarnaara – Caryca Nocy.

Siedziała w kącie pomieszczenia w fotelu z wysokim oparciem, delikatne dłonie spoczywały nieruchomo na podartych podłokietnikach. Czarne jak smoła włosy sięgały podłogi, skórę miała tak bladą, że aż połyskiwała w panującym tu mroku, a oczy, w których obrysie uwięzły Cienie, patrzyły bezdenną czernią w resztki dREW na kominku. Grim nie umiałby powiedzieć, czy polana pokrywał popiół czy kurz i z niewiadomego powodu wydawało mu się, że nie ma w tym momencie ważniejszego pytania.

Lheki wskoczył na oparcie fotela i zupełnie jakby ten ruch ją przebudził, wampirzyca uniosła głowę i spojrzała w stronę przybyszów. Dopiero teraz Grim odgadł jej prawdziwy wiek kryjący się za twarzą młodej dziewczyny, którą kiedyś była, i poczuł się tak, jakby jego wzrok przebijał się przez tysiące masek. Widział ją w łańcuchach na kamiennej podłodze, z ciałem przesłoniętym powiewającymi szatami, widział ją w bojowym rynsztunku na potężnym rumaku i widział ją na skraju klifu, z

rozwianymi włosami przypominającymi stado wron. Widział, jak się śmieje, widział ją na pustyni, na blankach twierdzy i nad trupami wrogów, i dopiero jej uśmiech przywiódł go z powrotem do tego pomieszczenia na dnie morza, bez jednego słowa mówiąc mu, że przybył na próżno. Nie było odpowiedzi na niezadane przez niego pytania i żadne z jej niezliczonych imion nie mogło mu odpowiedzieć, kto kryje się tak naprawdę za bladym obliczem o pięknych jak sen oczach. Imiona były bez znaczenia w chłodzie tego morza.

Samhur zatrzymał się i kiedy musnęła go spojrzeniem, pochylił głowę. Grim pospiesznie zrobił to samo, a Remi szybko sfrunął na ziemię i kłaniając się, zostawił delikatne odciski w kurzu. Caryca ledwie dostrzegalnie uniosła dłoń, dłoń jakby wykutą z lodu, i zatopiła ją w futrze Lhekiego, najwyraźniej znak dla nich, że mogą się już poruszać.

– Królowo Nocy – zaczął Samhur i Grim po raz pierwszy, odkąd go znał, usłyszał w jego głosie coś jakby cień pokory. – Księżno Krainy Mgieł, Władczyni Wschodnich Bagnisk i Gryfów Asporeyosa, zechciej przyjąć moje pozdrowienie. Wiele czasu już upłynęło od chwili, kiedy nasze drogi skrzyżowały się po raz ostatni, i bardzo bym pragnął, aby to inne powody sprowadziły mnie do ciebie, pani, lecz... – Przerwał i powoli pokręcił głową. – Z pewnością słyszałaś pani, co się dzieje w Górnym Świecie. O Verusie Crendilasie Dhorze, który uwolnił demony Ghrogonii, który podsycił moc Wieży Klątwy ludzkimi snami i właśnie w tej chwili przekształca Złote Miasto w twierdzę, do której nie będzie już miała wstępu żadna wolna istota. Jeszcze mamy szansę złamać zaklęcie, jakie nałożył on na miasto ludzi, i zrzucić jego i jego pomocników z tronu, który im się nie należy. Musimy jednak działać szybko, a ponieważ Verus wysłał do ochrony zaklęcia najpotężniejsze demony, jakich mogła dostarczyć jego armia, potrzebujemy twojej pomocy, o pani. – Znów zamilkł na chwilę. – Nasza droga wiedzie do Tuneli Cieni i chciałbym prosić o twoją zgodę, pani, abyśmy mogli do nich wejść. Proszę cię o Światło Gyosu, o Pani Nocy.

W oczach Carycy pojawił się błysk. Nawet nie drgnęła, wpatrując się w Łowcę, a Grim zauważył, jak Samhurowi drgają mięśnie szczęk. Potem Skarnaara odwróciła się. Jej spojrzenie przesunęło się po podłodze, na krótki moment musnęło Remiego i wreszcie spoczęło na

Grimie. Natychmiast coś zimnego zacisnęło się na jego gardle, nie pozwalając mu się odwrócić, a kiedy objęła go czerń jej oczu, poczuł jak głosy wojowników, którzy przy ogniskach rozpalanych w katakumbach snuli opowieści o jej osobie, lodowatym tchnieniem pała jego skórę niczym upiorne śpiewy. Nawet najgłębsza noc była jasna wobec tej ciemności, w której nie było już żadnej iskry, bo zdawała się sama stać cała w płomieniach. Lecz ten ogień był zimny i kiedy ledwie dostrzegalnie skinęła głową, patrząc na niego jakby z wielkiej oddali, poczuł, że to ona przemieniła ten dom w morze, w miejsce poza wszelkim czasem. Wyglądała jak młoda kobieta, lecz była starsza od najstarszego ze znanych mu Gargulców i nie mogła ukryć tych stuleci w Cieniach. Spływały po jej skórze jak jedwab i przerażające tchnienie wieczności spoczęło na wargach Grima niczym lodowaty pocałunek. Zaraz potem uścisk wokół jego krtani ustąpił. Przeszył go kłujący ból, kiedy zaczerpnął powietrza, i odczuł coś w rodzaju nostalgii, kiedy Skarnaara przesłoniła swoje spojrzenie atlasowym mrokiem, zasłaniając przed nim swoją ciemność. Nagle powietrze wokół wydało mu się gorące od żaru i niemal zatęsknił za powrotem do chłodu i samotności, która kryła się za tymi zasłonami.

– Co wiecie o Świetle? – spytała Caryca Nocy głosem, który był jak blask gwiazd, chłodny, pełen grozy i nieskończenie piękny. – Nic – odpowiedziała sama sobie, powoli kierując spojrzenie na Samhura i lekko pochylając głowę. – Przypominam sobie ciebie, Łowco z Pierwszej Piątki. Przypominam sobie, kim kiedyś byłeś. I przypominam sobie także te dni, które spędziłam na dworze Lorda. Zawsze byłeś dla mnie dobry, byłeś jego przyjacielem, jego nauczycielem... i wciąż jeszcze jesteś, czyż nie tak?

Samhur wahał się przez moment, potem skinął twierdząco głową.

– Tak, jestem, chociaż on nie chce tego uznać – odparł i po raz pierwszy od kiedy weszli do tego pomieszczenia, po twarzy Carycy przemknęło coś jakby uśmiech.

– Dobrze go znasz, panie – odrzekła miękko. – Zawsze taki był.

Jej spojrzenie przesunęło się ku zasłonom, które wydeły się pod wpływem lekkiego tchnienia wiatru i pojedynczy promień światła dotknął jej twarzy, czyniąc ją doskonałą. Wyprostowała się, jak gdyby

ten blask wskazał jej coś, co warte było poruszenia się... zaraz jednak zasłona opadła połykając światło i Caryca osunęła się z powrotem w mrok.

– Wszystko to było dawno temu – rzekła załamującym się głosem.  
– Trudno mi zatrzymać na tym moje myśli, rozpadają się w moich rękach jak ludzkie kości i przestają mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. – Wolno pokręciła głową. – Żądacie ode mnie Światła Gnyosa, lecz ono nie jest po to, by wykorzystywać je do celu takiego jak wasz. Ono jest po to, by rozświetlać mój mrok, to wszystko.

Caryca przesunęła spojrzenie na kominek. Grim poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach, lecz Samhur uniósł lekko rękę.

– Wasza Wysokość – powiedział z naciskiem. – Czy przypominasz sobie, pani, w jaki sposób swego czasu zyskałaś ten ogień? Czy przypominasz sobie żar, jaki wniosłaś do ciemności pałacu wówczas, kiedy Lord był jeszcze młody i jego samotność omal go nie spaliła? Czy przypominasz sobie, pani, bitwy, jakie stoczyłaś, swoją wolę, która wciąż gnała cię w świat, zmuszając, byś nie godziła się na żadne cierpienia, żadną ciemność taką jak ta, która teraz na nas spada?

Caryca spojrzała na niego.

– Nic nie wiesz o ciemności – wyszeptała i tak mocno zagłębiła dłonie w sierści Lhekiego, że kocur aż się wzdrygnął. Grim zauważył szron, który rozprzestrzenił się po wszystkich kończynach demona. – Nie spłonęłaś na Pustyni Lwa, niedźwiedzie nie oderwały ci ciała od kości i nie poleciałaś wraz z Łabędziami Olbrzyma ponad górami, tak wysoko, że nie sięgał cię już nawet blask słońca. Chcesz Światła Gnyosa, tego światła, które rozerwało zasłonę Rzymu w dawno minionych czasach i którym odpędzam Cienie, które wciąż jeszcze żarzą się w niszach i piwnicach tego przeklętego miasta?

Gwałtownie wypuściła z płuc powietrze i nagle na kominku rozbłysnął żar. Był to zimny, biały żar, od którego Grima przeszedł dreszcz.

– Ja jestem panią tego Światła i to ja decyduję, że ono nie będzie dbało o rzeczy poza Mrokiem! Cienie nie są tobą zainteresowane, panie!

Grim dostrzegł ciemność w jej oczach, która sięgała w jego stronę z przerażającym chłodem, i kiedy Samhur skłonił głowę, wiedział, że

Łowca nie powie już ani słowa. Sam czuł gniew, którym emanowała Caryca, i wiedział, że powinien się odwrócić i odejść, że nie wolno mu ryzykować sporu z prastarą wampirzycą, która jednym jedynym spojrzeniem mogła zetrzeć go w pył. Zdawał sobie sprawę z tego, że muszą znaleźć inną drogę, odpędzał od siebie słowa Samhura, które mówiły, że innej nie ma, i już miał skłonić głowę, kiedy nagle wzdrygnął się na dźwięk swego własnego głosu.

– Jesteś legendą, pani – rzekł i w następnej chwili najchętniej odgryzłby sobie język. Remi gapił się na niego wielkimi jak spodki oczami, odczuł chłód Samhura, który zakłębił się obok niego, chcąc zmusić go do milczenia, ale on podniósł spojrzenie i wbił wzrok w Carycę, aby przeciwstawić się mocy Łowcy. – Słyszałem nieskończenie wiele opowieści na twój temat, pani, legend o poszukiwaniu Run Tysiąconocych, o bitwie o Zamczyska Lodowych Olbrzymów i o twoim zwycięstwie nad Yarthongurem, Strzałą Świętych Stepów. Czytałem o twojej urodzie, o twoich włosach, które w wichrach Burzowego Lasu chwytaly opowieści i o twoich oczach, pani, których blask potrafił zamienić każdą oddychającą istotę w popiół. Słyszałem też o twoim głosie, pani, przerażającym i zimnym, a zarazem miękkim i oszalamiającym, i potrafię sobie odmalować, jaka mogła być ta wampirzyca, która pędziła konno przez Dżungle Ifrithonu, mając kostki owinięte Wężami Bagdadu, które przedtem zabiła. Wydawało mi się, że stanę przed Wojowniczką Ciemności, wampirzycą, która nosi płomieniste znaki Iryosu, lecz... – zamilkł na moment, wytrzymując zimno, które niby przeraźliwie ostry wiatr smagneło mu policzki, gdy na nią spojrział – ...lecz najwyraźniej się pomyliłem. Nie ma już mocy i godności w tym Mieście Umarłych, nie ma niczego, co przeczyłoby indolencji tak typowej dla twojego ludu. Kiedyś byłaś silna, Caryco, lecz spójrz na siebie. Ułożyłaś się do Wiecznego Spoczynku, ty, która nie możesz umrzeć.

Caryca podniosła się tak szybko, że Grim nie zdążył się cofnąć i chociaż nie zrobiła ani kroku w jego stronę, to kiedy jej ręka wystrzeliła do przodu, niewidoczna dłoń chwyciła go za gardło. Samhura coś uderzyło w pierś, aż upadł na kolana, a Remi zniknął z pola widzenia Grima jakby został zmieciony gwałtownym podmuchem wiatru. Grim

widział tylko Skarnaarę i ogień, który z przerażającą jasnością płonął na kominku, sprawiając, że w całym pomieszczeniu roztańczyły się cienie. Zasłony łopotały głośno, na szybach i podłodze zaczęły się błyskawicznie rozprzestrzeniać lodowe kwiaty, a Caryca Nocy stała nieruchoma w swojej lodowej burzy. Tylko jej włosy smagały powietrze, pozostawiając palące pręgi na policzku Grima.

*Nic nie wiesz o mojej wieczności*, ciągnął jej głos w jego myślach i kiedy wciągnęła go w swoją ciemność, poczuł na skórze żar Pustyni Wschodu, posmakował na wargach jadu Węży Bagdadu, ujrzał popołudniowe niebo nad niezliczonymi polami bitew, szybował nad górami ludzkich zwłok, a kiedy pędził po niebie, gnany czymś, co odrywało mu strzępy skóry z ciała, nie czuł już zimna w swoim wnętrzu, nie czuł samotności, która szalała w nim z ochryplym rykiem. Czuł tylko nicość, która wpadała mu do oczu jak roztańczone drobinki popiołu, nicość w obliczu świata, w obliczu życia i piękna, które nie miały już dla niego znaczenia. Utracił je, były czymś innym, stały się obce w całym tym czasie, przez który uchodził śmierci. I już nie słyszał lodu, który skradał się ku niemu po podłodze pomieszczenia pod morzem. Lód dawno go już spowił i unieruchomił, i kiedy Grim ponownie znalazł się przed obliczem Carycy, upadł na kolana, niezdolny do myślenia ani odczuwania czegokolwiek.

Skarnaara odwróciła się jakby w zwolnionym tempie i opadła na fotel. Ogień w kominku zgasł, jakby w ogóle nigdy nie płonął. Kurz znowu pokrywał polana.

Grim poczuł, że Samhur podnosi go i stawia na nogi, ujrzał siebie samego idącego tyłem do drzwi, nieodwracającego się od Carycy. Nagle coś w jej postawie nakazało mu się zatrzymać, coś, co dostrzegł w jej ciemnościach i kiedy z Samhurem dotarł już do drzwi, na krótki moment poczuł na sobie jej spojrzenie. Odsunął dłoń Samhura i nabrał powietrza, które zimnym strumieniem wpłynęło mu do płuc, zimne jak powietrze znad morza.

– Masz rację, pani – powiedział, mając wrażenie, jakby dopiero teraz po raz pierwszy tak naprawdę ją zobaczył, niewyraźną, ale przecież cudownie piękną za maską z lodu, która zsunęła się jej częściowo z twarzy. – Znam jednak pieśni, które o tobie, pani, śpiewają, i pamiętam

słowa z jednej z nich: *Ona to coś więcej niż popiół i dym*. Czyżby to była nieprawda?

Spoglądał na nią, lecz przez moment to nie ją widział przed sobą, lecz Mię, jej włosy rozwiane na wietrze, jej uśmiech, widział ją stojącą na jego wieży w Paryżu, widział ją na lekcjach walki u Theryona i widział ją dokładnie w tej chwili, kiedy podążała swoją drogą u boku wampira. Czy to jego własne słowa wyczarowały w nim te obrazy? Czy była to zasługa powietrza, które tak przerażająco, a jednocześnie czule go opływało? A może raczej czarna głębia oczu Carycy – zagadka i otchłań w jednym?

– Nie jestem gawędziarzem – powiedział. – Ale wiem jedno: opowieści, pieśni i legendy są po to, abyśmy pamiętali o prawdzie. Nie o prawdzie świata, o tym nie mam pojęcia, bo być może czegoś takiego w ogóle nie ma. Mam na myśli prawdę, która tkwi w nas samych. – Aż musiał się wyteńczyć, żeby jego głos brzmiał spokojnie. – Tam na górze umierają ludzie, Gargulce i wampiry. Tam na górze ginie świat, jaki znamy, Caryco Nocy. Czy rzeczywiście nie chcesz już mieć z nim nic wspólnego? Czy nadal chcesz zostać tutaj, w znieruchomieniu i chłodzie, jakby pieśni, jakie wciąż się śpiewa o tobie, pani, w jasnym świetle, były niczym innym tylko kłamstwem i głupimi bajeczkami? Przecież to ty uczyniłaś ten świat takim, jakim dzisiaj jest. Czy naprawdę chcesz pozwolić, by zniknął w otchłani i spłonął, pozostawiając po sobie... popiół i dym?

Grim nie miał pojęcia, jak długo tak stał, wpatrując się w Skarnaarę, nie pamiętał też potem, skąd wziął się blask, który nagle pojawił się w jej oczach, ani jak szybko podniosła się z fotela. Wszystko, co pamiętał, to to, że nagle stała tuż przed nim, tak blisko, że czuł na wargach jej oddech, i uśmiechnął się, ponieważ tchnienie to nie było martwe i zimne, lecz ciepłe i łagodne. W jej oczach zapłonęła iskierka jak pochodnia, którą ktoś wrzucił do nieskończonej głębokiej studni, i kiedy chwyciła jego dłoń i rozpałała w niej Światło, nie musiał nawet patrzeć, aby wiedzieć, że jest to Światło Gnyosu. Jej palce spoczywały na jego skórze jak bezcenny marmur.

– A zatem lećcie, jeśli potraficie – powiedziała szeptem, a w jej głosie było tyle samo ufności co bólu. Bezgłośnie powróciła na swój



fotel, włosy z szelestem rozłożyły się na jej postaci. Grim skłonił się, potem poczuł, jak Samhur łapie go i ciągnie za sobą, i usłyszał huk zatraskujących się za nimi drzwi. Kiedy jednak po chwili kroczył uliczkami Miasta Umarłych, towarzyszył mu uśmiech, który wysyłał falę ciepła do jego ciała, uśmiech Skarnaary, uśmiech Carycy Nocy.

## Rozdział 30



Diabelski Potok błyszczał w mroku nocy jak wstęga wilgotnego czarnego jedwabiu. Po obu jego stronach ciągnęły się szeregi zapuszczonych domów o fasadach omywanych nurtem z istic wenecką melancholią, a światła latarni na Moście Karola odbijały się w rozkołysanej wodzie jak rozżarzone iskry. Mia przechyliła się za burłę niewielkiej łodzi. Przypomniała sobie legendę, jaką Lyskian opowiedział jej kiedyś o tej odnodze Wełtawy. Powiadano, że jej nazwa wzięła się od pewnej starej kobiety, która patrzyła na odbicie swojej twarzy w wodzie i nagle dostrzegła w niej diabła. Mia spojrzała teraz w odbicie swojej twarzy. Na tle jedwabistej czerni wyglądała na jeszcze bledszą niż zwykle. Nagle przestraszyła się, kiedy pod powierzchnią ukazała się twarz wodnej nimfy. Patrzyła na Mię srebrzystymi oczami, opierając dłonie o powierzchnię wody, jakby to było lustro. Mia w ostatnim momencie powstrzymała się przed zrobieniem tego samego. Powoli pokręciła głową. Wiedziała, że nimfa nie ma nic wspólnego z Wodnikiem i jego orszakiem, lecz znała złośliwość morskich istot. Także i tutaj gest ten był przypuszczalnie wyrazem śmiertelnego wyrachowania. Nimfa uśmiechnęła się zagadkowo. Jej granatowe włosy wiły się wokół ramion i kiedy ześlizgnęła się z powrotem w otchłań wody, Mia odniosła wrażenie, jakby poczuła na wargach jej oddech – jedwabisty i chłodny jak morze.

Z westchnieniem odwróciła się do pozostałych. Żadne z nich chyba nie zauważyło nimfy, nawet Lyskian, który z nieruchomym wyrazem twarzy wpatrywał się w jakiś punkt w oddali. Coś się w nim działo, zdawała sobie z tego sprawę, a teraz, kiedy bezgłośnie sunęli po wodzie niewielką łodzią, bez możliwości zawrócenia, czuła na skórze mroczną poświatę jego oczu. Kiedyś już taka poświata wydała jej się

złowieszczym zwiastunem czegoś, co ma nastąpić. Miała wrażenie, że Lyskian z każdym krokiem zrobionym w tym mieście wzmacniał swoją ciemność, zupełnie jakby z milczącą nieuchronnością zbliżał się do Cieni, które w sobie skrywał. Kiedy odwzajemnił jej spojrzenie, ujrzała go nagle na krawędzi jego własnej otchłani, spoglądającego w dół, w ciemność, jak na zapomnianą tajemnicę. Już niedługo, pomyślała, i nie miała pojęcia, skąd nagle wzięła się w niej ta myśl, już niedługo może być tak, że nie będzie dla niego innej drogi jak tylko prosto w ciemność.

Jakieś skrzywienie kazało Lyskianowi odwrócić spojrzenie. Z ciemności wyłoniły się niewyraźne zarysy młyna, Mia dojrzała barwną rzeźbę Wodnika na drewnianym rusztowaniu – pozdrowienie demonów z innej Pragi. Edwin od razu objął się rękami, lecz Mia nie zwracała na niego uwagi. Na wpół rozpadające się drzwi za młyńskim kołem prowadziły do środka budynku i Mia wyraźnie dostrzegła postacie, których zarysy wyłaniały się z fasady tylko po to, by zaraz z powrotem się z nią stopić, jakby były tylko złudzeniem. Z kamieni wydobywały się końskie ciała, kształty satyra, oblicza wampirów i wyciągające się w pustkę ręce ludzi i demonów. Przez Cienie przemknęły szepty, kiedy Lyskian cichym zaklęciem sprawił, że łódka przybiła do brzegu. Ledwie wyszli na pomost, Mia poczuła drżenie przebiegające przez powietrze i mające swoją kontynuację w drganiu luźno ułożonych desek, drganiu biorącym się jakby z tłumionego śmiechu.

Lyskian zapukał rytmicznie do drzwi. Na moment szepty się wzmogły. Mia wzdrygnęła się, kiedy ze ściany wyłonił się świński łeb z wybałuszonymi woskowymi oczami i wbił w nią spojrzenie. Zaraz potem do drzwi zbliżyły się kroki. Rozległ się gniewny głos, który przypominał Mii skrzekliwy głos mewy, padło jakieś polecenie w obcym języku i natychmiast wszystkie postacie wróciły do fasady. Przez chwilę przez dom przetoczyło się dudnienie, jakby ktoś zasunął kamieniem wejście do lochu.

Niebieski płomień pochodni buchnął w jej stronę, oślepiając ją tak, że widziała tylko zarysy mężczyzny, który przed nimi stanął. Był tak wysoki, że aż musiał pochylić głowę, żeby nie zahaczyć o framugę drzwi, a jego chude ciało otulała przeżarta przez mole, długa do ziemi oponcza. Dopiero kiedy się skłonił, Mia zobaczyła jego twarz. Przed

nimi stał Gargulec. Jego zapadłe policzki, wysokie czoło i nos, który wystawał z twarzy jak dziób sępa, były z szarego kamienia. Był stary, lecz jego oczy nie znały czasu – miały w sobie zarówno skrywane zgorzknienie, jak i zawadiacką radość, która sprawiała wrażenie, że może w każdej chwili wyrzucić ramiona w górę i wybuchnąć na całe gardło szczerym, dziecięcym śmiechem. Jego oczy nie były czerwone, jak oczy innych praskich Gargulców, tylko zielone jak rzeka, a gdy spoczęły na Lyskianie, natychmiast rozbłysły.

– Książę – rzekł obcy tym samym chropawym głosem, jakim zapędził cieniste istoty z powrotem w ściany budynku. – Dawno cię nie widziałem po tej stronie miasta. Jak tam ma się wieczność w twoim ciele, czy już stała się twoim przekleństwem, panie?

Lyskian odpowiedział uśmiechem na jego uśmiech, lecz w jego spojrzeniu nie było radości.

– Wieczność nie może być przekleństwem – odparł ze spokojem. – Wieczność zna tylko samą siebie i na tym polega jej tragedia. Powinieneś to wiedzieć, Baltazarze.

Gargulec zaśmiał się ciepłym, dudniącym śmiechem przypominającym odgłos, jaki wydają ciężkie kamienie staczające się do morza.

– Znasz się na tragedii, panie, dobrze to pamiętam. Kiedy tak patrzę na twarze twoich towarzyszy, to chyba nie tylko ty. Czyżby to rzeka napędziła wam takiego strachu? Czy też raczej moi... hmm... moi współlokatorzy? – I nie czekając na odpowiedź, rzucił: – Wchodźcie, proszę.

Na podkreślenie swych słów wykonał zapraszający gest pochodnią, tak że aż sypnęła iskrami, które z sykiem wylądowały na drewnianej podłodze młyna, wywołując głośnie sapanie. Brzmiało ono jak westchnienie jakiejś prastarej istoty schowanej gdzieś w Cieniach – samotnej, spętanej i łaknącej uwolnienia. Baltazar niechętnie wytknął głowę przez drzwi i mrużąc oczy, wpatrzył się w noc.

– Zamknij się, stary popaprańcu – wymamrotał w podmuch wiatru, który próbował sięgać do jego twarzy. – Masz już rzekę i mgłę, a to nawet więcej, niż na to zasługujesz. Pozostań więc po swojej stronie granicy albo zapoznasz się z innymi ogniami niż moje!

Odgłosy ustały i Baltazar z zadowoleniem skinął głową. Mia ruszyła za innymi wąskim korytarzem wyłożonym drewnem i sprawiającym wrażenie, jakby już nieraz woda sięgała aż po sufit, ponieważ z fug wydobywał się zapach stęchlizny, a w dziurach po sękach trafiały się muszelki.

– Cały czas za mną – poleciał Baltazar, idąc przodem, a kiedy tak szedł, różne upiorne istoty wylaniały się z podłogi, czepiały się skraju jego opończy i podciągały się na niej w górę. Mia dostrzegła mikroskopijne małpki, szarą papugę mającą na szyi łańcuszek z krzyżem i mnóstwo innych zwierząt, które wydając najróżniejsze ciche odgłosy, wylaziły z Cieni kryjących się w zakamarkach domu. Baltazar prychnął co chwila, ale pozwalał, żeby papuga podciągała się dziobem po rękawie, a potem zajęła miejsce na jego ramieniu, nie zabraniał też żadnej z pozostałych istot bawić się w chowanego w fałdach jego opończy.

Zaprowadził przybyszów do pomieszczenia, które na pierwszy rzut oka przypominało Mii marynarską tawernę. Pod ścianami, na których wisiały koła sterowe, latarnie okrętowe i zawiązane na linach węzły, stały ławy, w rogu widniał poharatany kontuar, a obok, w przekrzywionym kredensie stały najróżniejsze butelki z napojami. Krzesła stały na pozszywanych ze ścinków dywanach, a czarny piec w regularnych odstępach wypluwał kłęby pomarańczowego dymu, który unosił się pod belki sufitu, zmieniając niekiedy w powykrzywiane twarze, zagadkowym wzrokiem spoglądające w dół na obecnych. Pod ścianami stały masywne regały z ciemnego drewna, na których widać było szeregi szklanych pojemników o najróżniejszych kształtach i wielkości.

Baltazar próbował jako tako uprzątnąć jeden ze stolików zawalonych papierami i różnymi rupieciami, a zaciekawiona Mia podeszła do regałów. Dopiero po chwili zorientowała się, że to, co znajduje się w butelkach, garnkach i karafkach, to nie są szklane kulki, lecz kryształy połyskujące najpiękniejszymi barwami. Jaro został przy drzwiach z rękami założonymi na piersiach, a Radvina nerwowo rozglądała się po pomieszczeniu, jakby obawiała się, że zostanie pożarta przez pojawiające się w dymie twarze. Za to Edwin z zaciekawieniem

wyciągnął rękę w stronę jednej z butelek. Ledwie dotknął szkła, butelka zmieniła kształt, korek wyskoczył z szyjki i wyfrunęły z niej niezliczone kryształy. Delikatne jak bańki mydlane, szybowały w stronę Edwina. Mia dostrzegła w nich poruszające się obrazy, twarze, zwierzęta i krajobrazy, i wydawało jej się również, jakby słyszała jakieś dźwięki z innego świata. Zafascynowany Edwin wyciągnął dłoń w stronę jednego z kryształów, w którym widać było lecącego niebieskiego ptaka, i ledwie barwy kryształu pojawiły się na jego palcach, ptak wyleciał ze środka i z dzikim wrzaskiem zaczął fruwać po pomieszczeniu.

Baltazar zaśmiał się ochryple. Jednym ruchem ręki zmusił kryształy do powrotu do butelki. Także ptak został ponownie zamknięty w połyskującym pęcherzyku światła, zanim prowadzony niewidzialną ręką korek zatkał ponownie szyjkę butelki.

– Widzę, że znowu dobieraliście się do butelek, przekłeta bando darmozjadów! – wymamrotał Baltazar, rzucając spojrzenie na papugę, która niby uosobienie niewinności błędziła wzrokiem po suficie, jakby oczywiście nie miała z czymś takim nic wspólnego. Potem Baltazar popatrzył na Edwina.

– Trzeba nie byle jakich czarów, żeby ożywić ludzkie sny – powiedział z uznaniem. – A to właśnie przed chwilą uczyniłeś i to zwykłym uśmiechem dziecka. Nie zapomnij o tym, nieświadomy niczego Hartycydo.

Zmieszany Edwin opuścił dłoń, na której zostało jeszcze trochę niebieskiej barwy. Miał na ustach uśmiech, który sprawiał, że jego twarz wyglądała jeszcze młodziej i spokojniej. Baltazar zmiótł ostatnie papiery na podłogę i usiadł przy stole.

– Zajmijcie miejsca – powiedział do nich i poczekał, aż spełnią jego polecenie, a potem przesunął wzrokiem kolejno po wszystkich i spytał: – Co mogę dla was zrobić?

Lyskian siedział bez ruchu na krześle, z rękami złożonymi na kolanach, lecz Mia wyczuwała emanujące z niego zimno.

– Wiesz, co się dzieje poza granicą... – zaczął Lyskian, lecz Baltazar pokręcił głową, prychnąwszy pogardliwie.

– Gdyby mnie interesowało, co się dzieje za jakimiś tam granicami – powiedział wzburzony – tobym je zmiótł. Ale przyznaję, słyszałem o

jakichś wydarzeniach. Przed pewnymi rzeczami nie można się obronić, a bezsensowne informacje to jedne z nich. Opadają człowieka jak rój natrętnych owadów i bynajmniej nie wystarczy im, że cię użądła, o nie, one wbijają żądło głębiej, aż zatrują swoim jadem każdą twoją myśl, aż w końcu sam stajesz się tą bezsensowną informacją. – Spojrzał krótko na Radwinę, która gapiła się na niego z otwartymi ustami, a potem odwrócił się z powrotem do Lyskiana i mówił dalej: – A więc słyszałem o tym. Demony, ta hołota z Cieni, próbują sięgnąć po władzę. A kiedy tak patrzę na ponure miny waszej bohaterkiej gromadki, odnoszę wrażenie, jakbyście zamierzali spróbować im w tym przeszkodzić. Nawet o to nie pytam, bo wiem, że mam rację. Jak zawsze, zresztą, chociaż chciałbym, żeby było inaczej. To przerażające, być zmuszonym patrzeć na głupotę jak przez szkło powiększające, i nie móc temu przeszkodzić. – Pokręcił głową. – Potrzebujecie Czarnej Nafty. Wiem. I chętnie bym wam ją dał, ponieważ zazwyczaj miewam wystarczająco dużo koszmarów, w których moi klienci mogą się zanurzyć, ale... No cóż, zniknięcie ludzi z tamtego świata odbija się też na moich interesach. Świat Snów łączy wszystkie rzeczywistości, rozumiecie? To on jest najpotężniejszym czarownikiem, jakiego znam. Teraz jednak kto inny panuje nad snami ludzi, więc i u mnie skończył się... zapas ciemności, o które mnie pytacie.

– Czy nie ma innej drogi? – spytała Mia.

Bastazar spojrział na nią. Do jego oczu zakradła się ciemność, a była to ta sama zimna pewność, którą znała z oczu Lyskiana i która przejmowała ją dreszczem.

Gargulec uśmiechnął się lekko, lampa wisząca tuż nad stołem wyczarowała cienie na jego twarzy. Mia nie mogła odwrócić wzroku i przez moment ujrzała go na tratwie ze sterem w dłoniach, a kaptur, który teraz zwieszał mu się niedbale na plecach, miał nasunięty głęboko na twarz. Jej stopy zmierzały w jego stronę po piaszczystym zboczu, słyszała fale rzeki i wdychała słonawe powietrze. Baltazar był kimś więcej niż tylko Gargulcem, teraz to poczuła. Był też Przewoźnikiem, któremu nie wolno było zejść na żaden z brzegów i który nie musiał się obawiać wód śmiertelnej rzeki, ponieważ jego tęsknoty leżały poza nią. Odwrócił się, zanim obraz jego samego w jego oczach zdążył unieść

głowę i skruszył go.

– Zawsze jest inna droga – odparł. – Pytanie tylko, czy jesteśmy gotowi nią podążać.

W milczeniu spojrzeli w stronę Lyskiana i Mia poczuła, że czerń w oczach tego ostatniego zapłonęła jak ogień. Popatrzył na nią spoza lodowatej maski i chociaż nie wypowiedział ani jednego słowa, Mia zrozumiała, o jakiej drodze mówi Baltazar.

– Musimy wykorzystać nasze własne sny – powiedziała ledwie słyszalnie. – Musimy zanurzyć się w którymś z naszych własnych koszmarów, aby zdobyć Czarną Naftę.

Baltazar uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie, zanim jednak Mia zdążyła otworzyć usta, Jaro parsknął pogardliwie i powiedział:

– Są gorsze rzeczy od snów. Jeśli to tylko tyle...

Zanim jednak zdążył dokończyć zdanie, Baltazar spojrzeli na niego tak lodowatym wzrokiem, że Jaro aż znieruchomiał.

– Od kiedy tylko tu wszedłeś, wyczuwam w tobie lekceważenie – powiedział Gargulec. – Od kiedy tu wszedłeś, wyczuwam twój gniew i arogancję. Ale powiadam ci: nie masz najmniejszego pojęcia o tym, co cię tu otacza. Gdyby było inaczej, już dawno narobiłbyś w spodnie ze strachu, wielki i potężny Widzący! – Jaro zapadł się w sobie z ciężkim westchnieniem. Baltazar przesunął wzrokiem po Edwinie, który patrzył na niego wielkimi oczami, ale bez cienia strachu. – Nie ma nic groźniejszego w świecie, zarówno w tym, jak i w każdym innym, niż siła snu, która nas otacza. A wiesz, z jakiego powodu?

– Ponieważ nic na świecie nie jest silniejsze od snów – odparł ledwie słyszalnie Edwin. Jeszcze nigdy jego głos nie brzmiał tak spokojnie i z taką pewnością jak w tej chwili.

Gargulec powoli skinął głową.

– Inną rzeczą jest wejść w czyjś sen – ciągnął, zwracając się do wszystkich – sięgnąć do jego dna i wydrzeć mu jego tajemnicę. Już wtedy konieczna jest znajomość jego siły, trzeba umieć wyczuć, w którą stronę skierować kroki na jego podstępnych ścieżkach. Zdarzało się, że tacy wędrowcy na chwilę gubili się w obcych snach, napotykali niebezpieczeństwa, którym nie byli początkowo w stanie sprostać... rzadko kiedy jednak sedno takiego snu potrafiło ich pochłonąć.



Radvina spojrzała na kryształy zamknięte w pojemnikach stojących na regałach.

– A wtedy... umierali?

– Zgadza się – odrzekł Baltazar. – Także sny obcych potrafią być niebezpieczne. Ale to duża różnica, czy trzeba uciekać przed łapą niedźwiedzia, żeby nas nie rozerwał na strzępy, czy też pożera nas własna ciemność. Nic z tego nie rozumiesz, księżniczko. Jeszcze nie rozumiesz. Może będziesz miała szczęście i pewnego dnia sama się o wszystkim przekonasz.

Radvina wpatrywała się w niego z wyrazem twarzy, który mówił, że w jej rozumieniu słowo „szczęście” oznacza zupełnie co innego. W tym momencie Lyskian skłonił się lekko.

– Ja jestem gotów iść – powiedział, spoglądając na Baltazara. – Poprowadź mnie na dno.

Gargulec patrzył na niego przez chwilę i Mia w nagłym przypiływie lęku zapragnęła, aby Zbieracz Snów pokręcił przecząco głową i odrzucił propozycję Lyskiana. Baltazar jednak uśmiechnął się tylko i wstał.

– Bardzo się zmieniłeś, panie – powiedział. Energicznym ruchem ręki zmiotł zwoje pergaminów i kawałki świec leżące na jednej z kanap i przeciągnął ją na środek pomieszczenia. – Pamiętam czasy, kiedy najchętniej wrzuciłbym cię głową naprzód do Diabelskiego Potoku za twój gniew, żądzę i głupią zuchwałość. Nauczyłeś się, co to znaczy strach, książę. Czy może raczej... przypomniawsz sobie?

W jego spojrzeniu pojawił się smutny i może lekko kpiący uśmiech. Patrzył, jak Lyskian bez słowa odpowiedzi zdejmuje płaszcz i kładzie się na kanapie, wbijając wzrok w sufit. Dym uformował się w tuman piasku. Mia w napięciu patrzyła, jak Baltazar wyciąga z kieszeni czarny klejnot na łańcuszku, ale zanim zdążył go przesunąć nad ciało Lyskiana, chwyciła dłoń Księcia Wampirów. Była lodowato zimna. Lyskian uśmiechnął się ledwo zauważalnie, ale nadal leżał bez ruchu, jakby był martwy.

*O nie, usłyszała w głowie jego szept. Śmierć unika mego towarzystwa, tak było od zawsze. A znasz mnie przecież na tyle, żeby wiedzieć, że też nie szukam jej bliskości.*

Mia zdobyła się na uśmiech, lecz nawet kiedy Lyskian się od niej

odwrócił, nie wypuściła jego dłoni. Bez słowa usiadła na krześle, które przyniósł dla niej Edwin, i patrzyła, jak Baltazar kołysze czarnym kamieniem nad piersią Lyskiana. Jego powieki zadrżały, przez ciało przebiegł skurcz. Zacisnął dłoń na dłoni Mii z taką mocą, że aż poczuła ból. A potem opadł z powrotem na kanapę.

Baltazar schował wahadełko do kieszeni. Kazał krzesłu, żeby się przysunęło i usiadł. Także Radvina i Jaro podeszli bliżej, ale Mia nie zwracała na nich uwagi. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby Lyskian spał. Wyglądał jak posąg, w którym żarzy się słabe, lodowate światło i aż zadrżała, widząc piękno, jakie od niego emanowało. Rozpościerało się nad nim coś w rodzaju głębokiego spokoju i bezruchu, które nie pozwalały jej odwrócić spojrzenia. Wyraźnie czuła na palcach mróz jego ciała, ale po raz pierwszy, od kiedy go знаła, pojęła tak do końca dumę tego chłodu.

Przestraszyła się nie na żarty, kiedy nagle poruszył palcami. Cisza, jaka go spowijała, przysła, kazała Mii zerwać się na równe nogi, zanim jeszcze dostrzegła strużkę krwi, która nagle puściła się z kącika jego oka. Spojrzała na Baltazara. Podniósł się i w napięciu patrzył na wampira.

– Co się z nim dzieje? – spytała szeptem.

Gargulec wyciągnął rękę i przesunął nią nad powiekami Lyskiana. Oczy Baltazara najpierw zrobiły się szare, a potem białe. Przez chwilę patrzył na Mię mlecznymi gałkami, zanim powoli wrócił do nich kolor.

– Jest w wielkiej ciemności – wymamrotał Zbieracz Snów. – Akurat...

W tym momencie Lyskian westchnął i Mia z przerażeniem spojrzała na swoje palce. Jej skóra była umazana krwią, na powierzchni dłoni Lyskiana widać było głębokie cięcie. Jego krew czarnymi strumykami spływała z kanapy na podłogę, a Mia czuła otchłań pod powiekami Lyskiana.

– Musimy go obudzić – powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie. – Inaczej nie odnajdzie drogi powrotnej!

– Ale on musi zrobić to sam – odparł Baltazar poważnym głosem, kładąc dłoń na skroni Lyskiana.

Mia wiedziała, że przeniknął w ten sposób do myśli wampira. Wystarczająco często widziała, jak robił to Grim i inni Cienioskrzydli.

Teraz rozejrzy się po śnie Lyskiana i...

– A niech to! – Głos Baltazara uderzył ją w twarz z siłą pięści. Na jego policzku pojawiło się biegnące w poprzek głębokie cięcie, krew spływała z rany, brudząc jego opończę, on jednak zdawał się tego nie zauważać. Z mroczną miną spoglądał z góry na Lyskiana. – Co za głupiec z tego nieśmiertelnego – wymamrotał. – Nie mogę go sprowadzić z powrotem, ponieważ jego ciemność mnie nie znosi. Nigdy bym go nie znalazł w tym jego śnie.

Mia wyczuwała zwątpienie w każdym ze słów, jakie do niej powiedział.

– Ja na pewno go znajdę – powiedziała bardziej do siebie niż do niego i zdecydowanie kiwnęła głową. – Zaprowadź mnie do niego.

Radvina złapała ją za rękę.

– To niebezpieczne – powiedziała głosem przepełnionym strachem. – Nie możesz przecież...

– Mogę zrobić wszystko, co zechcę – odpowiedziała Mia. – Może to i niebezpieczne, ale żebyś to akurat ty przestrzegająca mnie przed niebezpieczeństwem? Czy to nie ty całkiem niedawno zmusiłaś do ucieczki zabójczego klauna ciosami z kursu samoobrony i garścią błękitnych iskier strzelających z palców?

Uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie, kiedy Radvina ją puściła. A potem wbiła spojrzenie w Baltazara.

– Jeśli on umrze – powiedział Baltazar, nakazując drugiej kanapie, żeby się przysunęła – to jego śmierć porwie cię ze sobą.

Kładąc się na kanapie, Mia nabrała głęboko powietrza. Dym pod sufitem skupił się w niewielką burzę.

– Lyskian nie umrze – powiedziała. – Odnajdę go w jego śnie.

Baltazar popatrzył na nią, ale to nie współczucie pojawiło się na mgnienie oka w wyrazie jego twarzy. Była to raczej tęsknota za chwilą, jakiej nigdy nie będzie mu dane przeżyć, tęsknota za chwilą w obliczu śmierci, która uszlachetnia każde tchnienie. Poczula jeszcze, jak kołysze wahadłem nad jej piersią, a potem jej ciało przeszył chłodny, przenikliwy ból i opadł na nią ołowiany ciężar. Wokół niej wstały mgły, a ona spadała, spadała bardzo długo w nicość, by wreszcie poczuć pod palcami splekane kamienie.

Zimny wiatr dał jej w twarz, rozrywając mgłę, której strzępy przesłaniały ruiny. Powoli wstawiała na nogi. Na wpół potrzaskane wieże sterczały prosto w ponure nocne niebo, czarne blanki próbowały dosięgać gwiazd, a pokryte sadzą mury, wyglądające jak szkielet potężnego dinozaura wznosiły się w ciemnościach. Mia przypominała sobie to miejsce, już raz je kiedyś widziała. Kiedy spojrzała na opuszczony rynek, z jednej z na wpół zrujnowanych kolumnad wydobył się welon z popiołu i gestami widocznych niewyraźnie zarysów dłoni zaczął ją zapraszać do wejścia. Podeszła w tamtą stronę i poczuła na ustach ruch powietrza, kiedy popiół ułożył się pod jej stopami w ścieżkę. Ruszyła po niej jakby w zwolnionym tempie, kroczyła przez mgłę i wichry, przez góry i oceany, przez noc i dzień i nie czuła nic poza uderzeniami własnego serca i chłodem popiołu pod stopami. Wreszcie ujrzała na horyzoncie cienki pasek czerwonego żaru i znalazła się na polu maków, rozległym jak morze.

Popiół z szeptem położył się cienką warstwą na kwiatach, które pod jego dotknięciem zwęgliły się i rozpadły z cichym szelestem, a u kresu drogi Mia ujrzała jakąś postać. Był to Lyskian. Wiedziała, że każdy jej krok odczuwa on jak pchnięcie nożem. Ostrożnie podeszła, obawiając się, że on po prostu wstanie i odejdzie, prosto w morze maku przesycone ciężkim, melancholijnym aromatem. On jednak nie ruszył się z miejsca i kiedy zatrzymała się przed nim, wciąż siedział zatopiony w myślach, z lekko pochyloną głową i włosami rozwianymi na wietrze.

Patrzył w zwęglony kawałek ziemi między nimi, a ona nagle pojęła, że uciekł przed nią, właśnie przed nią, przed nikim innym, i dopiero kiedy uklękła przed nim, uniósł głowę i spojrzał. Na jego twarzy widać było smugi popiołu, mogło się wydawać, że płakał. Bez słowa uniósł dłoń. Trzymał w niej czarny kwiat maku i Mia wiedziała, że to on go tak przemienił, bo wszystko, czego dotknął, zmieniało się w czarny popiół.

Instynktownie wyciągnęła rękę w jego kierunku, on jednak skulił się jak zranione zwierzę, opuściła więc rękę i wyjęła kwiat z jego dłoni. W jej palcach mak zabarwił się znowu na czerwono. Lyskian patrzył na to jak na cud, a kiedy Mia oddała mu kwiat, mak zachował barwę. Ponownie uniosła dłoń, pogłaskała Lyskiana po policzku i powiedziała

cicho: *To tylko sen*. Zdążyła jeszcze zobaczyć zdumienie w jego oczach, uśmiech, który przemknął po jego ustach, smutny i piękny, a potem przez pole poniósł się jakiś szept i postać Lyskiana rozplynęła się w białą mgłę.

Gwałtowny podmuch wiatru uderzył Mię w twarz. Połamał kwiaty, zamieniając pole maków w pustynię czarnego pyłu. Zimny dym sunął nad ziemią i kiedy Mia stanęła na nogi, poczuła nagłe dudnienie przenikające ziemię i usłyszała zbliżające się do niej sapanie. Zdecydowanie odrzuciła strach, ledwie jednak zdążyła się odwrócić, ciemność za nią zatrzasnęła się. Zaczęła biec, czuła, jak coś zbliża się do niej, coś potężnego, co ukrywało się przed jej wzrokiem, a jednak było już tak blisko, że wydawało jej się, jakby wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, by tego dotknąć. Im ciemniejsza stawała się noc, którą ją ścigała, tym bardziej paląca była panika rozlewająca się w jej żyłach i zabarwiająca wszystko na czarno.

Nic nie widząc, upadła na kolana. Pod rękami czuła spróchniałe drewno, przez chwilę wydawało jej się, że po palcach spływa jej krew. W tym momencie coś złapało ją za nogę. Mia krzyknęła. Był to korzeń, nic więcej, ale ona i tak widziała stężałą rękę trupa, rozszarpane ludzkie szczątki, siebie samą w morzu krwi i czuła na karku lodowaty oddech, który nie pozwalał jej się odwrócić. Odskoczyła od otchłani, ale ona wciąż była za nią, a magia Mii pozostawała głucha, chociaż cały czas próbowała ją przywołać. *To tylko sen*, powiedziała do siebie, *to tylko sen*. Coś jednak – czy to była otaczająca ją zewsząd ciemność, martwe dziecko, które wyszło zza jakiegoś drzewa, albo może ona sama – odpowiedziało jej: *To nigdy nie jest tylko sen*. Mia potknęła się. Wiedziała, że w każdej chwili może stracić równowagę i runąć w otchłań, i krzyk zamarł jej na wargach, ponieważ pojęła, że i tak nikt nie ruszyłby jej na ratunek.

*Nikt.*

To słowo sprawiło, że straciła grunt pod nogami. W milczeniu runęła w rozpadlinę za sobą. Odchyliła głowę w tył i patrzyła z przerażeniem, jak z ciemności nad nią wyłania się smok, wielki potwór o potężnych skrzydłach i płonących oczach. Wyglądał, jakby był z

kamienia, lecz pod jego popękaną skórą żarzył się ogień. Z rykiem zamachnął się w jej stronę łapą i Mia poczuła jeden z jego pazurów na ramieniu i usłyszała swój własny krzyk, kiedy ból niemal odebrał jej rozum.

*Nikt.*

Smok zamachnął się znowu, Mia czuła, jak to słowo płonie na jej czole, i zanim jeszcze ból w ramieniu przebrzmiał całkowicie, wyrwała je sobie z ciała. Widziała, jak słowo leci w ciemność niby migotliwe światełko. Zabrało coś ze sobą, może jej lęk? Odwróciła się gwałtownie. Smok patrzył na nią nieruchomo, kiedy wylądowała na linie. Na linie, która ją utrzyma.

*Nie była nikim.*

Kiedy uniosła się w powietrze, nie potrafiłaby powiedzieć, czy skoczyła, czy może też pofrunęła, w każdym razie czuła się tak, jakby szybowowała w powietrzu. Robiła uniki przed ciosami smoka, a kiedy rozwarł paszczę, rzuciła się do przodu. Płomienie odskakiwały od niej jak krople deszczu, spadała w jego ciemność i pozwoliła się jej przeniknąć, całemu jej zimnu i całemu żarowi, i kiedy jeszcze smocza noc pulsowała w jej żyłach, ona sama poczuła spokój, swobodę, niemal zadowolenie.

Wylądowała w całkowicie ciemnym pomieszczeniu, ale mimo wszystko wiedziała, że jest ono z kamienia, z białego marmuru ciągnącego się aż po horyzont w postaci sklepień i kolumnad. Ledwie to pomyślała, dojrzała w ciemnościach przed sobą płomień. Czarny jak smoła, a w samym jego środku widniało złote ziarenko piasku.

Mia czuła blask na twarzy, miała wrażenie, jakby to pyłek z kwiatów kładł się na jej skórze. Uśmiechnęła się, kiedy blask płomienia musnął jej palce. Znieruchomiała, zaczęła nasłuchiwać delikatnych dźwięków w swoim wnętrzu, nasłuchiwać ciszy, którą się stała. A potem dotknęła ziarenka piasku. Przenikliwy ból przeszył jej ciało. Mia krzyknęła... i zaraz potem ocknęła się na kanapie w pokoju Baltazara. Ujrzała twarze Hartydów, skupione spojrzenie Baltazara, który opatrywał ranę na jej ramieniu... i Lyskiana, który stał tuż przy niej i

trzymał ją za rękę. Na moment znów znaleźli się razem na polu maków, a ciemność w jego oczach była jedwabista i chłodna. Czy to, co dostrzegła w jego spojrzeniu, to była wdzięczność, przyrzeczenie dane gdzieś między wszystkimi światami, słowo, którego nie umiała sobie objaśnić? Lyskian uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie i spojrzał na ziarenko piasku unoszące się nad jej piersią. Baltazar wymamrotał zaklęcie i otoczył ziarenko migocącym czarem ochronnym.

– Udało ci się, Dziecię Burzy – powiedział cicho i na jego twarzy pojawił się uśmiech, od którego jego rysy zrobiły się miękkie i osobliwie młode. – Lecz twoja droga dopiero się zaczęła. Idź zatem i zdobądź drugą część waszego zaklęcia. Zdobądź Duszę Pragi.

## *Rozdział 31*



Martwa Rzeka pędziła z hukiem przed siebie, jakby za chwilę miała wystąpić z brzegów. Grim czuł wodny pył na skórze, lodowatą słoną wodę, która tryskała ze skalnej ściany jaskini, a brała początek gdzieś w Cieniach wokół Rha'manthuru albo jeszcze niżej, być może w Pustyniach Mrozu albo Korytarzach Wichrów, w każdym razie na większych głębokościach niż te, które kiedykolwiek poznał. W milczeniu kroczył obok Samhura brzegiem rzeki. W pewnej chwili strzepnął z ramienia Remiego, który tuż przy jego uchu otrząsał krople wody z włosów i spoglądał w dół na nurt.

Od kiedy ruszyli tą krętą ścieżką, porośniętą z obu stron roślinami o skórzastych liściach, unikał spoglądania na Wieżę Klątwy demonów. Zbyt wyraźnie czuł jej cień, wżerający się w ziemię kawałek ciemności, która odwzorowywała zarysy wieży i z samej siebie tworzyła jej kontury. Z ciemności rozciągającej się u stóp Grima wznosiły się potrzaskane wieże przypominające organy blanki i pozbawione blasku okna, które patrzyły na niego jak tysiące oczu. Aż się wzdrygnął, kiedy krwistoczerwone płomienie wystrzeliły ze szczelin w skale i próbowały go dosięgnąć. Cień wieży kładł się na nich, tworząc różne wabiące postacie, istoty snujące się na skraju drogi, które go przywoływały, przekrzykując nawet huk rzeki. Grim zmuszał się, by patrzeć przed siebie przez ich półmroczne ciała i skupiać się na tunelach, tych potężnych naczyniach krwionośnych, które czekały na nich u stóp klifu. Nie było innej drogi w górę, ku Zamczysku Gniewu, sam wiedział o tym doskonale, a Samhur podkreślił to raz jeszcze, i to tak dobitnie, że Remi zapadł się w sobie jak mokry worek składający się z sierści i kości. Grim zapalił w dłoni Światło Gnyosu. Nie wypuszczał go z dłoni, od kiedy podarowała mu je Caryca Nocy, a teraz, kiedy szczeliny w skałach



zaczął odczuwać jak rany na własnym ciele, jego chłodny blask przynosił mu ulgę, kładąc się na skórze.

Kiedy dotarli do jednego z tuneli, siedzący na jego ramieniu Remi zaczął nerwowo oddychać, a potem oddał się mamrotaniu uspokajających mantr Bractwa Zielonej Pięści. Tunel był większy od każdego tunelu ludzkiego metra, a płatanina żył zasłaniających wejście połyskiwała czerwono jak poszarpane mięso. Za nimi pulsowała głucho ciemność. Grim miał wrażenie, jakby uśmiechała się do nich szyderczo.

Samhur zbliżył się do wejścia. Pochylił się i przesiał między palcami kamyki pokrywające ziemię. Grim ściągnął brwi, słysząc nienaturalnie wysokie dźwięki, jakie to powodowało, ale widząc, co Samhur trzyma w dłoniach, stłumił sapnięcie. Były to zęby – ludzkie zęby i odłamki kości. Remi aż się cofnął, ciężko dysząc. Tunel musiały wypełniać szczątki dziesiątków tysięcy ludzi, ale kto u diabła...

– Jesteś jednym z nich – wymamrotał Samhur i nawet nie starał się ukryć szyderstwa w głosie. – Zawsze o tym zapominam. Była to siedziba władców demonów, mój niemądry przyjacielu, wtedy, kiedy były jeszcze potężniejsze niż w ostatnich dniach. Jak ci się wydaje, co tutaj robiły w czasie długich nocy swojej wieczności? Nie masz o tym pojęcia, prawda? Może zresztą i lepiej. Nie każdy potrafi objąć rozumem te potworności. Słyszałem jednak, że widziałeś katakumby Pragi, te obszary, w których mój lud odprawiał kiedyś swoje obrzędy. Lyskian mi o tym opowiadał. Powiedział, że widziałeś ołtarz Cienistych Alfów. Wyobrażam sobie, jak musiało cię to przerazić. A przecież to były tylko dziecinne igraszki w porównaniu z czynami prastarych demonów.

Grim bardzo się cieszył, że może ukryć wszelkie emocje pod kamienną maską. Zbyt żywo stały mu w pamięci obrazy z krwawej krypty Alfów, którą odkrył rok temu pod najstarszym domem Paryża. Wciąż jeszcze miał przed oczami ludzkie ciała w pętach z drutu i wylupione oczy, porzucane na ziemi jak rozjarzone kule. Alfowie zrobili to dla wrózek, dla perspektywy własnej wolności i Grim wiedział, że wampiry w niczym im nie ustępują pod względem okrucieństwa. I aby się go dopuścić, nie potrzebują żadnego powodu poza swoją własną nieobliczalną chęcią. Znał opowieści o bestialskich orgiach, które krwio pijcy Paryża odprawiali w czasach, kiedy on był jeszcze nowy w

mieście, znał też potworne czyny wielu demonów. Wystarczająco często z nimi walczył, lecz teraz, kiedy przesunął spojrzeniem po okruchach ludzkich kości pod swoimi nogami, przeszedł go dreszcz. Nigdy wcześniej w żadnym miejscu pozbawionym życia nie odczuwał takiego zimna, takiej rozpacz i gniewu. Mógłby przyklęknąć, mógłby spróbować dowiedzieć się, co tu zaszło, lecz nie zrobił tego. Niektóre obrazy nie były przeznaczone dla niego. Samhur miał rację. Pewnych rzeczy nigdy chyba nie zdołałby do końca pojąć.

– Na swoje szczęście – powiedział Łowca w odpowiedzi na jego myśli. A potem zacisnął pięść, zmiażdżył zęby i okruchy kości na pył i uniósł je do nosa. Z wahaniem wciągnął w nozdrza powietrze.

– Jeszcze dzisiaj czuję ich przerażenie – powiedział głuchym szeptem. – Tak długo już tu leżą, lecz ten zapach nie zniknie nigdy, podobnie jak ciche szepty tęsknoty. Oni zawsze, zanim zostaną przez nas zabici, patrzą na nas nieśmiertelnym domagającym się czegoś wzrokiem. Zawsze tak było. Nie wiedzą bowiem, że wszystko, co mielibyśmy do zaoferowania oprócz śmierci, to klątwa i kara. – Pozwolił, aby pył opadł z powrotem na ziemię. – Wiele jest na świecie miejsc takich jak to, gdzie wyczuwa się jeszcze dawną moc demonów, wiele takich, gdzie panowanie tego ludu z okrutną siłą naznaczyło oblicze ziemi. I wszystkie mają tę samą woń.

Grim patrzył na blask w oczach Samhura z mieszaniną napięcia i fascynacji. Potem Łowca odwrócił się w stronę wejścia i jego twarz spochmurniała – spoglądał na zamykające wlot tunelu gęste sploty żył.

– Nie będzie chyba wielkim problemem spalenie tego gąszczu Czarem Płomieni. – Grim właśnie zamierzał wysłać zielone płomienie do swojej pięści, kiedy Samhur pokręcił głową.

– Twoja magia niewiele zdoła zdziałać przeciwko mocom panującym nad tym miejscem. Potrzebowalibyśmy olghariów, wtedy byłoby łatwiej.

– Kamieni demonów? – spytał Remi, robiąc wielkie oczy. – Wydawałoby się, że Łowca, taki jak ty, panie, powinien...

Zamilkł gwałtownie, kiedy zorientował się, że słowa te brzmią dość bezczelnie, lecz Samhur tylko uniósł brwi.

– Nawet Łowca taki jak ja nie nosi ze sobą wszystkich możliwych

zaklęć demonów – odparł spokojnie. – A już zwłaszcza takich, które nie są specjalnie trwałe. Kobold z bagien powinien wiedzieć, że olgharia można znaleźć wyłącznie na brzegach Ajosu. A jakoś nie przypominam sobie, żebym tam był w ostatnim czasie. A może ty byłeś?

Remi spuścił oczy jak skarcony rekrut, a Grim z trudem powstrzymał uśmiech. Rzeczywiście, absurdem było zakładać, że Samhur nosi przy sobie kamienie demonów, te obrzydliwe czarne żuki, które mają gniazda wyłącznie w dębach nad Ajosem – jeziorem ukrytym głęboko pod murami Moskwy, gdzie wciąż jeszcze panują Czarne Harpie i którego nawet Cienioskrzydli unikali jak wilkołaki ognia. Remi jednak nie za długo oddawał się uczuciu zawstydzenia; podleciał do splotów i wzruszył ramionami.

– Na tamtych kamieniach za bardzo się nie znam... – tu popukał mimochodem w jedną z żył, która pod jego dotykiem skurczyła się jak ciało ślimaka – ...ale moglibyście przecież te chwasty zwyczajnie posiekać, dobrze mówię? Od czego macie miecze?

Pokazał na broń Samhura. Łowca zastanawiał się przez moment, a potem wyjął broń. Zapłonęły na niej symbole zaklęcia, a powietrze wypełniło ciche brzęczenie. Jednym płynnym ruchem Samhur wykonał obrót i pociął sploty tak szybko, że żyły spadły na ziemię jak obcięte kończyny. Za nimi widniały kolejne sieci splotów, lecz Remi nie zwracał na nie uwagi. Na moment skrzywił się z obrzydzeniem, a potem skinął głową zadowolony.

– Tak też to sobie wyobrażałem – stwierdził z uśmiechem, zupełnie jakby to on operował mieczem. – Jeśli...

Zanim zdążył dokończyć, jeden z zakrwawionych kawałków żyły skoczył w powietrze i trafił Remiego w ramię. Kobold wrzasnął, a Samhur złapał wijącą się mackę. Mikroskopijne żądła z mlaskaniem zagłębiły się w skórę wampira i zaczęły wysysać z niego krew jak pijawki. Potem rozległo się gulgotanie, po twarzy Samhura przemknął ponury uśmiech... i macka w jego dłoniach spłonęła na popiół. Obojętnym ruchem Łowca strząsnął resztki z dłoni.

– Krew nieumarłych niezbyt służy Dzieciom Gniewu – wymamrotał, a potem spojrzął na Grima i Remiego – Niestety, waszej krwi to nie dotyczy. Dla was pokonanie tego tunelu mogłoby być nawet

bardziej niż bolesne.

Remi patrzył ze zdumieniem na swoje poparzone ramię. Drżącymi wargami wypowiedział zaklęcie leczące i z lękiem popatrywał teraz na pozostałe macki, które zaczęły podrygiwać i łączyć się z powrotem ze sobą.

– Musi być jakaś inna droga – wyszeptał. – Przecież to coś stanowi powszechne zagrożenie, zaraz nas zaatakują i...

– ...zabije.

Nie tylko Remi się odwrócił, słysząc ten głos. Nawet Grim lekko się wzdrygnął. Tylko Samhur stał bez ruchu. Dopiero kiedy Leki siedzący nad nimi na występie tunelu skłonił głowę, spojrzął w górę na kocura.

– Niewątpliwie – ciągnął demon. – A przynajmniej jednego z was. Pozostałych albo zapędzą na skraj śmierci, albo przynajmniej zadadzą im gwałtowny ból, ponieważ ich żądła mają zadziory, które wyrywają kawałki ciała ofiar.

Grim instynktownie spojrzął na dłoń Samhura i zauważył zamykające się rany. Już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, kiedy Leki niedbałym ruchem rzucił coś w ich stronę. Sześć czarnych kamieni spadło ze stukotem między zęby i okruchy kości. Samhur pochylił się tak szybko, że Grim ledwie zobaczył ten ruch, i zaraz potem zaczął obracać kamienie w dłoni. Remi z ociąganiem podfrunął bliżej. Grim dojrzał porośnięte włoskami owadzie nogi i czułki, które wyrosły z czarnych ciał. Wydzielala się z nich biała mgła, wżerając się w skórę Samhura, który zdawał się jednak tego nie zauważać.

– Olgharia – wymamrotał i spojrzął na Lekiego z widocznym zdumieniem.

– A co sobie myślałeś, Łowco? – spytał kocur z wyrazem ironicznej satysfakcji na twarzy. – Że przyniosę wam okruszki chleba, żebyście je rozsypywali po drodze, w nadziei, że uda wam się wyjść z tuneli Cieni? – Usłyszeli jego prychnięcie, które brzmiało trochę jak śmiech, i kocur wskazał głową na kamienie demonów w dłoni Samhura. – Pewnie niedługo pożyją, kiedy są tak daleko od swojego jeziora, ale ich lud zawsze tam był, jeszcze przed Dniami Pierwszego Mrozu, przed wampirami i nawet przed Gargulcami, jeśli wierzyć legendom. Są jak

zółwie. W ich ciałach drzemie wystarczająco dużo prastarej mocy, aby mogły się wam przydać w waszej drodze. – Na moment jego spojrzenie złagodniało, kiedy przyglądał się kamieniom, a potem oderwał od nich wzrok i spojrzał wprost w oczy Samhura. – Ale jedno wam radzę. Czcijcie ofiary tak, jak i ja bym zrobił.

Łowca odwzajemnił jego spojrzenie i po raz pierwszy na jego twarzy nie było ani pogardy, ani gniewu. Skinął głową i wykonał lekki ukłon. Grim mógłby się założyć o wszystko, że zaraz się odwróci i pozwoli Lekiemu odejść, nie zadając mu pytania, które Grimowi od dawna cisnęło się na usta. I rzeczywiście, Samhur odwrócił się w stronę wejścia do tunelu, ale w tym momencie Grim spojrzał w górę, w stronę demona.

– Czemu nam pomagasz? – spytał i przez moment dostrzegł uś-miech, który wykrzywił pysk kocura.

– Jestem demonem – powiedział kocur nie bez dumy. – Jestem Dziecięciem Gniewu, Pierworodnym Cieni, znam zarówno chłód umysłu, jak i jego skrajność, i nie obawiam się nieskończoności światów. W dawnych czasach być może nawet poszedłbym za Verusem. Być może dałbym się uwieść jego słowom, jego czynom lub też stanowi świata, który jest mało znośny dla istoty takiej jak ja, tak jak jest podobno nie do zniesienia dla wszystkich istot potrafiących myśleć, oddychać i kochać. – Spojrzał na Grima, jakby ten coś powiedział, i pokręcił powoli głową. – Niewiele wiesz o moim ludzie. Nawet nie przeczuwasz, do czego jesteśmy zdolni. Ale powiadam ci: Verus i jego siepacze są godni pogardy. Nie są tym, co powinni reprezentować Car'lay Ythemowie. Jesteśmy czymś więcej, czymś o wiele więcej niż to. Z ogromną ochotą sam walczyłbym przeciwko nim, ale nie na darmo siedzę w kociej skórze. Kimże ja jestem, żalonym Naley'em, niczym więcej. – Westchnął i zanim Grim zdążył zaprotestować, sam nie wiedząc, skąd wzięła się w nim taka nagła chęć, kocur kontynuował: – Niestety, w tym wypadku jest tak jak zawsze: najpotężniejsi decydują, co stanie się ze światem. Moja władczyni od dawna już zrezygnowała z wszelkiej walki, tak jak wszystkie wampiry w tym odwiecznym mieście. Za to wy... – Płomień w jego oczach rozblęsnął na moment. – Wy staniecie przeciwko nim, prawda? A jeśli to uczynicie, Łowco,

Cienioskrzydły i koboldzie, pamiętajcie, że nie wszystkie demony są takie jak oni. Są też Dzieci Gniewu mające honor, być może nieco inny niż wasz, ale to nie znaczy, że mniej przez to wart. Z tego właśnie powodu tu przyszedłem. Abyście o tym nie zapomnieli.

Patrzył na nich spokojnie. Grim czuł spojrzenie kocich oczu na swojej skórze i przez moment zobaczył Lekiego stojącego na wzgórzu w czasie bitwy, na dziobie statku z morskim wichrem w skołtunionej sierści i usłyszał jego głos, ciemny i energiczny, niosący się nad polem popiołu. Lekci uchwycił jego spojrzenie i coś jakby uśmiech przemknęło po jego twarzy. A może był to tylko szept, ciche słowo wypowiedziane w jakimś języku, którego Grim nie rozumiał? Nie zdążył już podążyć za tą myślą, ponieważ Lekci dumnie uniósł głowę jak wojownik i jednym susem zniknął mu z pola widzenia.

Samhur przetarł oczy – niezwykle gest jak na starego Łowcę, a potem zwrócił się w stronę wejścia do tunelu, uniósł dłoń z kamieniami do ust i wymamrotał zaklęcie. Z wściekłym buczeniem olgharia uniosły się w powietrze. Grim niemal słyszał, jak opierają się woli Samhura, ale zaraz potem ich ciała pokryły się zielonkawym, migotliwym blaskiem i wleciały do tunelu. Wydając ciche trzaski, usiadły na splotach, a Remi krzyknął ochryple, kiedy ich ciała rozpadły się w białą mgłę. Mgła zaczęła wędrować po splotach żył jak trucizna, zmieniając je w jasny piasek, który z cichym szelestem opadł w dół, pokrywając krwistoczerwoną ziemię. *Jak ślad śniegu*, przemknęło Grimowi przez głowę i westchnął ciężko. Czy naprawdę musi akurat teraz wymyślać jakieś porównania, i to w dodatku takie, które zapowiadają coś złego. Uniósł wyżej Światło Gnyosu, ale nim jeszcze zdążył wejść do tunelu, Samhur poruszył palcami nad płomieniem i zaklęciem zmniejszył go tak, że ledwie oświetlał dłoń Grima.

*Nigdy nie pozwól, aby twoi wrogowie wiedzieli, jaką rozporządzasz siłą*, powiedział szeptem Łowca, a Grim skinął ledwie zauważalnie głową. Samhur był wojownikiem, od którego nawet on mógł się jeszcze czegoś nauczyć, co do tego nie miał wątpliwości, a coś w sposobie, w jaki wampir z nim rozmawiał, sprawiało, że był gotów sam przed sobą się do tego przyznać. Remi również zmniejszył swoje światło i ruszyli za Samhurem w głąb tunelu.

Ciemności były tak gęste, że mimo wysiłków Grim nie potrafił dostrzec nic więcej poza niewyraźnymi zarysami ścian i poszczególnych głazów. Słyszał szepty za swoimi plecami, coś jakby tchnienie czyjegoś oddechu musnęło mu policzek, lecz kiedy ciemność zaczęła oddzielać się od ścian, skupił wzrok na płomyku w swojej dłoni. Kątem oka dostrzegał istoty o poszarpanych ciałach, które spotkali już w Cieniach Wieży, teraz jednak wyczuwał też zapach krwi, która nieskończenie dawno temu zastygła w ich żyłach, a ich głosy nie były już wabiące i kuszące, tylko ostre i pełne gniewu. Byli to wyklęci, wskutek gwałtownej śmierci lub klątwy przywiązani do tego miejsca i na zawsze spętani przez przygniatającą wszystko ciemność. Dygoczący na ramieniu Grima Remi też nie odrywał spojrzenia od płomyka. Tylko Samhur kroczył przez ciemność z takim spokojem, jakby spacerował po ukwieconej łące skąpanej w blasku księżyca. Jakby nie dostrzegał tych wszystkich postaci, które wyciągały do nich ręce niby jakieś senne zjawy, i nie wzdrygał się, kiedy w tunelu rozlegał się chrzęst, któremu towarzyszył chrobot niezliczonych mikroskopijnych nówek. Grim starał się powściągnąć wyobraźnię, lecz im głośniejsze stawało się chrobotanie na ścianach, tym trudniej było mu utrzymać w ryzach narzucające się obrazy. Coś drapało cichutko, najpierw w dużej odległości, a potem tuż przy jego uchu, i ledwie dostrzegł czułki owada sięgające jego policzka, już poczuł je na skórze. Oskoczył gwałtownie, ale zanim zdążył przywołać czar, Samhur przesunął dłonią nad Światłem Gnyosu. Płomień rozpalił się jasnym blaskiem, w jednej chwili oświetlając tunel i... Grim pożałował, że tak się stało.

Remi ciężko dyszał tuż przy jego uchu, a Grim musiał wstrzymać oddech, żeby nie zdradzić jakimś dźwiękiem swego obrzydzenia. Ściany i sklepienie tunelu pokryte były zwartą masą wielkich jak talerze insektów, głównie pajaków, które łaziły jedne po drugich i spadały na ziemię grubymi jak roje pszczoł gronami. Chrobocząc kończynami, pędziły w stronę Światła, które odpychało je, gdy tylko docierały do granicy blasku.

Samhur bez słowa szedł przodem w górę tunelu, a Grim tuż za nim, z walczącym z odruchem wymiotnym koboldem na ramieniu. Droga wiodła śliskimi schodami i krętymi ścieżkami, co chwila musieli

wspinać się po rumowiskach skalnych, będących pozostałością po zarwanym w wielu miejscach sklepieniu. Grim w takim napięciu ochraniał dłonią Światło, że wkrótce całkiem stracił czucie w palcach. Przerażliwie wyraźnie słyszał zgrzytanie chitynowych pancerzyków, miał wrażenie, że przesuwiają się po jego skórze, że je rozdeptuje. Wreszcie do tunelu wpadło zimne światło dnia i kiedy wreszcie zostawili za sobą przekłete korytarze, insekty cofnęły się w ich cień.

Weszli do na wpół zrujnowanego świątynnego miasta z licznymi powalonymi wieżami, spękany murami i budynkami wznoszącymi się w Półmroku niby potrzaskane ciała. Ziemię pokrywały żarzące się sploty, rozsiewając mętny blask, ze skał wyrastały drzewa o konarach jak szpony, a w pewnej odległości od nich, otoczone kamiennymi wałami, wznosiły się na skraju klifu Klątwy Wieży niby potężna ściana łopoczących płacht. Samej wieży można się było tylko domyślać gdzieś za nimi, lecz kiedy zaczęli się zbliżać, Grim poczuł obecność Zamczyska jak lodowate cięcia na skórze. Zaraz potem usłyszał szepty w liściach drzew brzmiące jak śpiew Czarnych Łabędzi. Słyszał o nich, o tych istotach, które były ni to ludźmi, ni to ptakami, o kobietach o najpiękniejszych kształtach, białych lub czarnych włosach i czarnych jak noc oczach. Wiedział, że mieszkają też w lasach Górnego Świata, w piwnicach opuszczonych domów, w opuszczonych i zagubionych wieżach, znał legendy mówiące o ich śpiewie, którego nie potrafił sobie wyobrazić aż do tej chwili. Szepty niosące się wśród liści były pełne tęsknoty, niemal wydawało mu się, że słyszy w ciemnościach uderzenia czarnych skrzydeł, i zbyt późno zauważył cień, który nagle wystrzelił ku niemu z prawej strony. Zdażył jeszcze zrobić unik przed niewielką, przypominającą małpkę istotą, która gapiała się na niego żółtymi oczkami, ale w tym momencie ona wyciągnęła rękę i z taką prędkością chwyciła Światło Gnyosu, że wyslizgnęło się ono z dłoni Grima. Wydając radosne odgłosy, małpiopodobne zwierzę wskoczyło na drzewo i zniknęło w ruinach.

– Ty ludzki głupcze – wymamrotał Samhur, lecz zanim jeszcze Grim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Remi z wściekłym sapnięciem skoczył w powietrze. W jego spojrzeniu płonęło osobliwe zdecydowanie, kiedy patrzył w stronę, gdzie zniknęła małpka... i w następnej chwili



popędził w tamtym kierunku. Grim zaklął pod nosem. Nie może dopuścić, żeby kobold został rozszarpany w powietrzu przez owłosioną małą o żółtych oczach, co do tego nie było wątpliwości. Właśnie zaczął rozpościerać skrzydła, kiedy nagle usłyszał chrobotanie, któremu towarzyszyło gwałtowne drżenie gruntu. Zaraz potem z tunelu wysypały się insekty, te obrzydliwe wytwory Ciemności. Zwietrzyły swoją szansę.

Osłona ochronna Samhura płomieniście spoczęła na skórze Grima. Spaliła kamienne podłoże i pierwsze szeregi pajęczych odwłoków, lecz następne już pięły się po szczątkach swoich towarzyszy, dusiły płomienie własnymi ciałami i zagłębiały szczęki w osłonę rozpostartą przez Łowcę. Grim wzmocnił jego magię, wysyłając snopy złotych iskier. Ciała pajaków pękały z obrzydliwym hukiem, zalewając pozostałe żółtym śluzem, lecz im potężniejsza była magia broniących się, tym liczniejsza była fala insektów wylewająca się z Cieni. Magia Samhura z taką siłą wibrowała w ciele Grima, że wydawało mu się, jakby zaraz miała nim cisnąć o skały. Stojąc plecami do siebie, odpychali pająki, lecz obrzydliwe kreatury za nic nie chciały zrezygnować. Samhur właśnie zdziesiątkował liczne ich szeregi podmuchem lodowatego wichru, kiedy na osłonę ochronną padł cień kolejnej potężnej fali insektów. Grim wyrzucił przed siebie zaciśnięte pięści i wysłał do osłony Ognisty Wir, lecz już w następnej chwili fala trafiła ich z taką siłą, że Grim przeleciał w powietrzu i twardo wylądował plecami na ziemi. Czuł chwyt Samhura jak przez watę. Łowca poderwał go na nogi, lecz kiedy Grim poszedł za jego wzrokiem, aż odjęło mu mowę.

Fala insektów rozdzieliła się i przy wtórze głośnego chrobotu skupiła się, tworząc twarz, miecz, a potem cały superorganizm o kształcie gigantycznego pajaka, a wokół jego kończyn wiły się zdeformowane ludzkie ciała. Z głośnym młaśnięciem otworzyły się potężne szczęki, kończyny z dudnieniem uderzały o grunt, aż posypały się odłamki skał. Grim dostrzegł jeszcze, jak Samhur wznosi w powietrze miecz, ledwie jednak Łowca zdołał odrąbać jedną z potężnych nóg pajaka, insekty z szumem przefrunęły w inne miejsce, skupiając się w czarny kształt. W następnej chwili coś trafiło Grima w pierś. Cios był tak potężny, że upadł na ziemię i z obrzydzeniem stwierdził, że to jeden z insektów zagłębia szczęki w jego ciało. Zwierzę skoczyło mu na twarz.

Wyczuwał demona tkwiącego w tym czarnym ciele i ostre chwytnie narzędzia, które przemocą otwierały mu usta. W przypiływie wściekłości złapał ciało owada i oderwał je od siebie. Prawe oko zalewała mu krew i widział tylko zarysy Samhura, który w rozwianym płaszczu stał przed potężnym pająkiem. Łowca co chwila rzucał się do przodu, lecz nie sposób było dosięgnąć owada. Grim dyszał z wysiłku. Niech to szlag, jest ich zbyt wiele i są dosłownie wszędzie.

Coś chwyciło go za nogę, ale zanim zdążył odtrącić pająka, następny skoczył mu na plecy. Daremnie próbował podnieść się, bo paraliżujący jad wiązał jego magię. I kiedy tak klęczał bezsilny, jego przeciwnicy skupiali się właśnie w śmiertelny rój. Już czuł ich szczęki na szyi, kiedy nagle coś przebiło się przez ciała napastników. Światło. Grim odrzucił głowę w tył. Było to Światło Gnyosu, które niby wybawienie chłodno spoczęło na jego skórze. Pająki odskoczyły z sykiem i kiedy stanął, przez chwilę nie wierzył własnym oczom.

Samhur leżał na ziemi, jego skóra nosiła ślady niezliczonych ukąszeń, ale nad nim unosił się w powietrzu, malutki na tle gigantycznego pająka, zielony kobold. Włosy sterczały mu na wszystkie strony i dygotał na całym ciele, unosząc w górę pięść ze Światłem Gnyosu, lecz w jego spojrzeniu była dzika determinacja.

– Kreaturo z Cieni! – wrzasnął, odrzucając głowę do tyłu, aż rozwiały mu się włosy. – Jestem dziecięciem bagien i lasów, wojownikiem Zielonej Pięści... i pokażę ci, co to strach!

Chwycił Światło Gnyosu w obie dłonie, skoczył wysoko w powietrze i pomknął wprost na pająka. Grim wstrzymał oddech, widząc, jak Remi przebija ciało potwora, jakby był włócznią ze światła. Usłyszał ochrypy wrzask kobolda i kiedy ten rozpałił Światło całkowicie, ciało pająka rozprysło się na wszystkie strony w potężnej eksplozji. Fala uderzeniowa trafiła Grima jak cios pięścią. Poleciał plecami na ścianę, ale nie upadł. Nie widział złotego szlamu, który rozbryznął w powietrzu, tylko kaszlał jak w transie, kiedy gęste obłoki popiołu wdarły mu się do płuc.

– Ty przeklęty koboldzie! – ryknął, a jego głos wprawił w drżenie drzewa. Ogarnęło go bezbrzeżne przerażenie, kiedy szedł przez plac i rozgarniał rękami popiół, jedyne, co zostało w tych przeklętych ruinach.

Jeszcze raz zobaczył przed sobą Remiego z szaleńczą odwagą w oczach, gniewem i bohaterstwem, które kazały mu rzucić się w środek ciemności. – I co ty sobie wyobrażałeś? – ryknął Grim, zatrzymując się na środku placu. – Nie jesteś wojownikiem, jak wmawiała ci Rozalia, jesteś tylko koboldem z bagien o skołtunionych włosach i Niuchaczem, jesteś... – Tu przerwał, bo coś ścisnęło mu gardło, nie pozwalając wydobyć słowa. – Remi! – wykrzyknął w końcu, patrząc na tumany popiołu wokół siebie. – Nigdy nie byłeś głupcem takim jak ja!

Nie wiedział, czy to popiół sprawił, że w jego oczach pojawiły się łzy, kiedy padł na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

– To prawda, zgadza się – powiedział jakiś głos za jego plecami.

Jeszcze nigdy Grim tak szybko nie zerwał się na nogi, a kiedy zobaczył Remiego z przypalonymi włosami, jak wyczołguje się zza załomu muru, trzymając w czarnych od sadzy dłoniach Światło, z jego ust wyrwało się przekleństwo tak ordynarne, że aż się rozkaszał. Natychmiast rzucił się w stronę kobolda i gwałtownie przycisnął go do piersi. Remi zaczął rzeźzić, ale kiedy Grim go w końcu puścił, w jego oczach był uśmiech.

– Jedno jest pewne – powiedział Grim. – Nie co dzień się zdarza, żeby kobold uratował od śmierci Rhak' Hontaya i Cienioskrzydłego. Może powinieneś opowiedzieć o tym Rozalii. Ja bym był z ciebie dumny... na jej miejscu.

Lewa powieka Remiego zaczęła podejrzanie drgać.

– Jestem wojownikiem Zielonej Pięści – odparł i po raz pierwszy w słowach tych nie było dla Grima nawet cienia śmieszności.

– Zgadza się – powiedział jak najbardziej poważnie. Remi zamrugał oczami, jakby doszukiwał się w słowach Grima ukrytej ironii, ten jednak tylko się uśmiechnął i dodał: – A nawet więcej.

A wtedy uśmiech Remiego rozprzestrzenił się po całej twarzy.

– Nigdy nie lekceważ kobolda w trakcie misji – powiedział i przejechał dłonią po oczach, które też łzawiły... pewnie od tego przekłętego popiołu. – Jest w nas o wiele więcej niż taki kamienny łeb jak ty potrafi się domyślić.

Grim skinął głową. A niech to, jakże lubił tego zielonego kobolda. Gdyby te obrzydliwe pająki odważyły się porwać go ze sobą w zaświaty,

to własnoręcznie by go stamtąd wydarł, a potem przekonałyby się, co to znaczy naprawdę pełna cierpienia śmierć. Co do tego...

Jego myśl przerwało zimno cienia. Płonąc lodowato, ciemność kładła się na jego czole i kierowała jego spojrzenie w stronę kamiennych wałów, które żarzyły się czarnym światłem. Samhur ukląkł, jego dłoń spoczęła na popękanych głazach. Za nim nie było już nieprzeniknionych Cieni, które Grim dopiero co widział. Za czarnym światłem Łowcy otoczonego szponami Wiecznego Kamienia wznosił się Kharamon – Zamczysko Gniewu.

## Rozdział 32



Synagoga stała w mroku jak twór ze snu. Dziwnie obco wznosiła się pośród domów, jakby była cierniem, który przebił się przez cienką skórę rzeczywistości i opowiadał o jakimś innym świecie – świecie pełnym czarnych rzek i szepczącego pustynnego piasku. Jakby tylko czekała, by zalać otaczające ją miasto swoim zapachem starości i tajemnicy, by je pochłonać. Mia w napięciu zatrzymała się wraz z pozostałymi przy drzwiach wejściowych. Spodziewała się, że będzie musiała odpędzić nagle rodzący się w niej strach, który chciał nią zawładnąć w obliczu tego budynku, ledwie jednak skierowała spojrzenie w ciemność, która niby skrzydła przywarła od środka do okien, jej pierwsze wrażenie zmieniło się diametralnie. Nagle wydało jej się, że synagoga to jedyne rzeczywiste miejsce w tym świecie, przestrzeń, która sama zrodziła otaczającą ją rzeczywistość i kształtowała ją jak pierwszy zamysł jakiejś opowieści.

Zbita z tropu przesunęła dłonią po oczach i po minach Hartydów rozpoznała, że nie tylko ona miała taką myśl. Lyskian natomiast tylko uśmiechał się ledwie dostrzegalnie. *Legenda powiada, że po zburzeniu Jerozolimy aniołowie tu właśnie przenieśli części świątyni Salomona. Czy czujecie zapach startych na proch kamieni i dymu wydobywającego się ze szczelin murów? Czy czujecie tę dal, która do was przemawia?*

Mia usłyszała, jak Edwin ze zdumieniem głośno wciąga w płuca powietrze, zupełnie jakby w ich stronę naprawdę wionął delikatny zapach zwiastujący obecność słonecznej pustyni, a także potu i łez. Nie była zdziwiona, że Lyskian przyprowadził ich tutaj w poszukiwaniu duszy Pragi. Przypuszczalnie za tą nazwą kryło się zaklęcie, które mogli otrzymać tylko w miejscu takim jak to.

Ledwie Lyskian zapukał, ciemność po drugiej stronie rozpadła się

w migotliwy blask świec. Do drzwi podeszła drobna, pochylona kobieta i kiedy zbliżyła dłoń ze świecą do samej szyby, aby wyrzeć na ulicę, światło padło na starą, naznaczoną radością i cierpieniem twarz. Jej oczy, którymi błyskawicznie omiotła nieoczekiwanych przybyszów, jakby w oczekiwaniu tajemnicy, były czarne jak kruki i miały w sobie coś filuternego.

Kobieta odsunęła kilka rygli, a kiedy otworzyła drzwi, wiatr z ulicy zderzył się z ciepłym zaduchem wnętrza i zaczął szarpać poły długiego płaszcza, którym kobieta była otulona. Lyskian skłonił głowę, zanim pozdrowił ją w myślach, ona zaś popatrzyła na Hartydów i uśmiechnęła się lekko. Kiedy zatrzymała wzrok na Mii, jej oczy rozbłysły. Mia nadzwyczaj wyraźnie usłyszała łopotanie jej płaszcza, przez moment miała wrażenie, że nieznajoma chce zdradzić jej zagadkowe słowo, które z dawien dawna było przeznaczone tylko dla jej uszu, a którego ona długo jeszcze nie będzie w stanie pojąć. Kobieta jednak milczała. Skinęła tylko lekko głową i kiedy się od niej odwróciła, Mia wiedziała już, jak brzmi jej głos: surowo i lekko zgrzytliwie, jak rozstrojona wiolonczela, która nie musi już harmonizować z innymi instrumentami.

*Kamienie o was opowiadają*, powiedziała kobieta po czesku i Mia nie miała pojęcia, czy rozumie te słowa wskutek czaru, który na niej spoczywał, czy też dlatego, że one same były magią i rozpościerały swoje znaczenie w głowach tych, dla których były przeznaczone.

*Niektóre sprawy nie zmieniają się nigdy, nawet dla śmiertelnych istot i rzeczy*, odparł Lyskian. *Tak więc z pewnością będziesz wiedziała, z jakiego powodu przybywamy, Terezo Matyas, która od zawsze przewidujesz rzeczy, które dzieją się w tym miejscu.*

Figlarność w oczach kobiety rozbłysła na moment, nadając jej twarzy coś z kobolda. *Wiem to i owo*, powiedziała, uśmiechając się chytrze. *Większości z tego wcale nie chciałabym wiedzieć. Za dużo jest szpargałów na świecie, na każdym zresztą, nie tylko na tym. Jeśli nie będę uważać, to pewnego dnia rozsądzą mi głowę.*

Zaśmiała się ochryple, ledwie jednak zrobiła krok na ulicę, wiatr przybrał na sile i zmiotł jej uśmiech z twarzy. Skryła się z powrotem do wnętrza budynku, a jej spojrzenie, którym przebijała ciemność ulicy, stało się kłująco przenikliwe. *Wiele spraw jest u progu zmian w tych*

*dniach, wymamrotała. Spraw, których nie widzę jeszcze wyraźnie. Spraw, które sięgają dalej niż tysiąc kartek papieru, o wiele dalej, niż przeczuwa każde z was.*

Zmrużyła oczy i wbiła spojrzenie w jeden punkt, gdzieś w Cieniach. Ledwie zauważalnie trzykrotnie przesunęła palcem w powietrzu. Wiatr cofnął się z sykiem jak zranione zwierzę. Tereza oderwała wzrok od ciemności i spojrzała na Mię. *Idźcie, powiedziała miękko i wskazała na ulicę. Drzwi po drugiej stronie są gotowe na wasze przyjęcie. Prowadzą na strych. Doprowadzą was... do waszego celu.*

Lyskian podziękował bez słów, także Mia skłoniła głowę i kątem oka dostrzegła, że Hartydzi zrobili to samo. Tak naprawdę jednak prawie nie zwracała na nich uwagi i kiedy Tereza zniknęła we wnętrzu domu, nagle poczuła przemożne pragnienie, by za nią podążyć. Stara kobieta jednak pokręciła głową. Przytrzymała drzwi, jakby musiała przeciwstawić się gwałtownemu naciskowi z drugiej strony.

*Być może któregoś dnia zobaczymy się znowu, powiedziała. I może wtedy zaproszę cię do środka, Córo Burzy. Tym razem jednak ta droga nie jest dla ciebie.*

Mia odniosła wrażenie, jakby kobieta pogłaskała ją po policzku, chociaż Tereza nawet nie uniosła ręki. A kiedy zamknęła drzwi i w jednej chwili po drugiej stronie zgasło światło, Mia poczuła na plecach lodowaty dreszcz. Nigdy wcześniej nie widziała takiej ciemności jak teraz za tamtymi oknami, ciemności, jakby...

– Wiedziałem – wymamrotał Jaro, wrywając Mię z rozmyślań. Skrzyżował ramiona i spoglądał na Lyskiana przez zmrużone powieki. – Wiedziałem, że musimy iść na strych.

Mia zmarszczyła brwi. Po raz pierwszy zobaczyła w jego spojrzeniu coś jakby strach i zbiło ją to z tropu. Radvina patrzyła na Jaro nierozumiejącym wzrokiem, a Edwin ledwie dostrzegalnie kiwnął głową.

– Znam tę legendę – powiedział. Jego spojrzenie przesunęło się na Lyskiana, który patrzył na niego tak, jakby Edwin właśnie zwymiotował mu pod nogi, ale chłopiec nie spuścił wzroku. – Dziadek mi ją opowiadał, dawno temu, kiedy bałem się ciemności. Zrobił to, aby odebrać przerażającą moc potworom, które, jak mi się wydawało,

mieszkają w mojej szafie. Więc opowiedział mi o potworze, który był jeszcze straszniejszy i...

Lyskian pokręcił głową.

– Nigdy nie zrozumieć metod wychowawczych stosowanych przez ludzi.

– Nic to zresztą nie pomogło – ciągnął Edwin ze słabym uśmiechem. – Do dziś boję się ciemności. Przynajmniej czasami.

Jaro popatrzył na niego z taką pogardą, że Edwin aż się cofnął, ale kiedy Jaro spojrział w stronę dachu synagogi, do jego oczu powrócił strach.

– To, co jest tutaj, to coś zupełnie innego niż jakiś potwór spod łóżka. To... Golem.

Ostatnie słowo prawie zupełnie zagłuszył nagły podmuch wiatru. Lodowatym tchnieniem musnął kark Mii, usłyszała płomienie, które próbowały jej sięgnąć, i poczuła ich śmiertelny żar. Lyskian niechętnie wykonał dłonią ruch w powietrzu, wiatr zamarł, a wraz z nim trzaskanie niewidzialnego ognia.

– Golem – powtórzył spokojnie. – Po hebrajsku „nieukształtowana masa”, wszystko, co niegotowe, w tradycji rabinicznej.

– Zgadza się – przytaknął Edwin. – Wiele legend powstało wokół tej postaci, najbardziej znana mówi o praskim rabinie Jehudzie Löw, który stworzył Golema, by chronił żydowską społeczność. Była to istota z gliny, dysponująca niewyobrażalnymi mocami, ale niepotrafiąca mówić. Pewnego dnia jednak...

– ...istota ta zwróciła się przeciwko swemu twórcy – wymamrotał Jaro. – Golem dokonał niewyobrażalnie potwornych czynów, podobno gnał ulicami, niszcząc wszystko, co stało mu na drodze. Bruk był czerwony od krwi dzieci, które miażdżył w dłoniach... – Zamilkł, kiedy Lyskian z sykiem wciągnął w płuca powietrze, a potem dorzucił tylko: – W każdym razie tak czytałem.

Wampir uśmiechnął się zimno.

– Zdumiewające, ileż to objawiasz umiejętności – stwierdził, a potem zwrócił się do pozostałych: – Istotnie, wiele mówi się o czynach i zbrodniach Golema, a jeszcze więcej o tym, jak skończył. Nie wiercie we wszystko, co czytacie.



– Ale ty, panie, nigdy go jeszcze nie spotkałeś, prawda? – spytał Jaro. Lyskian nic nie odpowiedział, ale Mia czuła, że Jaro ma rację. Wyczytała to z mrocznego cienia z niebezpieczną powolnością zasnuwającego oczy Lyskiana. – Skąd w takim razie możesz wiedzieć, panie, jak to jest z tymi legendami, co jest w nich prawdziwe, a co nie? – pytał Jaro dalej, ale w tym momencie Lyskian podniósł na niego oczy, ledwie dostrzegalnie, ale tak gwałtownie, że Hartyda aż się wzdrygnął.

– Prawda zawsze leży w oczach tego, który patrzy – powiedział Lyskian. – Legendy są po to, by budzić przerażenie u małych dzieci. Czasami udaje im się to również z głupcami.

Mia wyraźnie zobaczyła gniew, który zabarwił policzki Jaro na czerwono, ale to Edwin wystąpił do przodu.

– Podobno jego szczątki nadal spoczywają na strychu synagogi – powiedział szeptem, a w jego oczach pojawił się taki blask, jakby właśnie opowiadał przy ognisku historię o duchach. – To podobno kupka gliny, nic więcej, ale tak dokładnie to nie wiadomo, ponieważ rabin Löw zabronił komukolwiek wchodzić na strych, kiedy złożył tam szczątki potwora.

– Cóż – powiedziała Mia, wzruszając ramionami. – Jeśli o nas chodzi, to chyba nie będziemy się trzymać tego zakazu, prawda?

Jej głos zabrzmiał swobodniej, niż się spodziewała. Wyraźnie wyczuła niepokój, jaki ogarnął wszystkich, ale jednocześnie słyszała w myślach głos Terezy i widziała osobliwą ufność, jaka tliła się w oczach starej kobiety. *Córo Burzy*, powiedziała do niej, i coś w sposobie, w jaki wypowiedziała ten zagadkowy tytuł, dodało Mii odwagi. Odwróciła się i podeszła do frontowej ściany budynku. Metalowa drabinka prowadziła w górę do wąskich, ozdobionych gwiazdą Dawida drzwi. Już miała położyć dłoń na szczeblu drabiny, kiedy zorientowała się, że pozostali patrzą na nią w milczeniu, zaskoczeni.

– No, co jest? – spytała. – Czyżbyście widzieli tu jakieś inne drzwi? Musimy wejść po tej drabince, inaczej...

– Kiedy my nie widzimy żadnej drabiny – stwierdził Lyskian. – W każdym razie takiej, która sięgałaby do ziemi. Wszystko, co dostrzegamy, to migotliwe światło pod twoją dłonią i szczeble rozpoczynające się kilka metrów nad twoją głową. – Zamilkł i na

moment na jego twarzy pojawił się cień napięcia. – Ta droga nie jest przeznaczona dla nas. Musisz iść sama.

Edwin odetchnął z taką ulgą, że aż Radvina spojrzała na niego z wyrzutem. Mia z umiarkowanym powodzeniem stłumiła ogarniający ją strach na widok żarzących się szczebli drabinki i mrocznych drzwi umieszczonych wysoko w fasadzie budynku. I znów usłyszała trzaskanie płomieni, i przez krótką chwilę wydało jej się, że słyszy śmiertelne krzyki, przejmujące grozą i paraliżujące jak zatrute strzały. Potem zaczerpnęła głęboko powietrza. A niech to diabli, przecież nie będzie się bała jakiejś tam kupki gliny!

Lyskian uśmiechnął się do niej. *Cokolwiek spotkasz tam na górze, umiesz sobie z tym poradzić. Nie zapominaj o tym.*

Skinęła głową ledwie zauważalnie, a potem odwróciła się i wspięła po niewidzialnej drabince. Drzwi były metalowe, lecz wydawały się ciepłe pod jej palcami, i ledwie ich dotknęła, uchyliły się. Mia spojrzała w dół... i zobaczyła tylko nieprzeniknioną mgłę. Zupełnie jakby znalazła się wysoko nad chmurami, ale niebo nad nią nadal było czarne, poprzetykane zwiewnymi pasmami mgły. Wysłała do swojej dłoni czar obronny, potem popatrzyła na granatowy blask wypływający przez szparę drzwi i weszła do wnętrza budynku.

Drzwi zamknęły się za nią, wydając odgłos przypominający szelest przewracanej stronicy. Znalazła się na opuszczonym strychu, który, pomijając grubą warstwę pyłu na zmurszałych deskach podłogi i pajęczyny rozpięte między belkami powały, był całkowicie pusty. Ledwie jednak Mia to pomyślała, a już poczuła, że się myli. To miejsce wcale nie było opuszczone. Unosił się w nim zapach gliny, atramentu i pergaminu, który wbrew jej woli odprężył ją i kazał ruszyć przed siebie.

Przez okna wpadał mdły blask. Szyby były tak cienkie, że przy każdym kroku Mia słyszała, jak wibrują, a kiedy dotarła na drugi koniec strychu, zobaczyła w rogu coś pokrytego grubą warstwą pyłu. Była to stara lalka. Jej drewniana twarz była zniszczona, gdzieniegdzie tylko widać było farbę, czerwona sukienka pokryta była brudem, a na nogach pozostał tylko jeden bucik. Mia podniosła lalkę, która okazała się cięższa, niż można się było spodziewać. Ledwie starła warstwę kurzu z jej twarzy, oczy lalki poruszyły się i spojrzały prosto na Mię.

Dziewczyna aż skuliła się ze strachu, ale jej ręce obejmowały lalkę, jakby były do niej przyrośnięte. W jej myślach pojawiły się obrazy, które niby jaskrawe błyskawice stłumiły w niej wszelki strach: widziała lalkę w czystej sukience i z zaplecionymi warkoczami siedzącą na dziecięcym łóżeczku, a potem samą w pustym pokoju, na wpół przykrytą gazetami, a jeszcze potem leżącą w deszczu na ulicy. I nagle Mia sama znalazła się w ciele lalki. Czuła dziwnie głuche uderzenia jej serca we własnej piersi, widziała szare niebo rozpięte nad jej głową i samochody mijające ją z hukiem. A krople deszczu spadały na nią z góry jakby w zwolnionym tempie, sprawiając, że powietrze śpiewało. Mia poczuła miękki rozbryzg wody, kiedy pierwsza kropla trafiła ją w czoło. W tym samym momencie iluzja zniknęła. Znowu stała na strychu, trzymając lalkę, ale już bez cienia przymusu, chociaż wciąż jeszcze słyszała deszcz i śpiew powietrza, które powoli cichły. Przez moment miała za sobą tylko mrok, zaraz potem kątem oka dostrzegła jakiś ruch, lekkie tchnienie wiatru musnęło jej włosy i pomieszczenie wypełniło się rozżarzoną brązowym światłem. Niemal poczuła wyczekiwanie, które ścisnęło jej pierś, a kiedy powoli się odwróciła, oddech jej zamarł.

Pierwsze, co zobaczyła, to jarmarczna karuzela z drewnianymi konikami i powozami, stojąca w półmroku strychu i przy każdym obrocie rzucająca błyski światła niczym uderzenia skrzydeł na jej twarz... i na wszystko inne, co nagle zaludniło strych, spiętrzone na rozchwianych stołach i półkach: staroświeckie zegary z pozytywką, na wpół zardzewiałe i z odpryskującym lakierem, oprawne w skórę księgi, których woń przypominała Mii zatechłe piwnice i zapomniane opowieści, wszelkiego rodzaju i wielkości zabawki, obrazy z groteskowymi postaciami ni to zwierząt, ni to ludzi spoglądającymi w przestrzeń pełnymi Cieni spojrzzeniami i gotowymi w każdej chwili wyskoczyć z ram, manekiny bez rąk i z na wpół wyżartymi twarzami, a do tego mnóstwo luster z mętnego, popękanego szkła. Na wszystkich tych rzeczach spoczywała dziwna poświata, zupełnie jakby ktoś pokrył je brązowym kurzem, a kiedy Mia położyła lalkę na jednym z foteli i ostrożnie przesunęła dłonią po jego poręczy, na jej palcach pozostały błyszczące drobiny. W tym momencie zobaczyła fotel stojący w wielkiej sali balowej, usłyszała skrzypcową muzykę i ludzkie śmiechy z dawno

minionych czasów. Wszyscy, którzy kiedykolwiek zasiedli na tym fotelu, stali się jego częścią, która nigdy już nie poszła w zapomnienie, i nim Mia zdążyła pojąć, w jakim to miejscu się znalazła, zakłęcie obronne w jej dłoni zgasło, a jej wargi z ociąganiem wypowiedziały szeptem słowo:

– Wspomnienia...

W tym samym momencie otaczający ją zapach stał się bardziej intensywny. Wręcz wydawało jej się, że czuje na skórze słońce, widzi, jak atrament wnika we włókna pergaminu, a kiedy zwróciła oczy w stronę cienia, który być może przez cały czas stał w głębi, przy drzwiach, mimo że dotąd go nie zauważyła, zapach ten otulił ją jak tchnienie wiatru w leniwy letni dzień. Poczowała, że na widok tego, co stało na końcu pomieszczenia, oddycha szybciej i jakby z oddali usłyszała strach brzmiący w głosie Jaro. Coś jednak w sposobie, w jaki ta postać spoglądała na nią z półmroku, coś w jej milczeniu i delikatnej vibracji powietrza odbierało siłę strachowi. Przez moment wydało jej się, że znowu słyszy trzask płomieni, zaraz jednak dobiegł ją inny odgłos, coś jakby śmiech, mroczny, głęboki śmiech z ciemności. Łagodnie musnął jej twarz, stłumił płomień i uciszył krzyki, a ona pojęła, że to nie tutaj znajduje się źródło zniszczeń, które odczuła, stając u drzwi tego pomieszczenia. Tutaj mogła się przed nimi schronić. Światła przedmiotów wokół niej stały się jaśniejsze, prześlizgiwały się po ciele postaci stojącej naprzeciwko, zupełnie jakby je przywoływała, by ją rozświetliły.

Na pierwszy rzut oka postać wyglądała jak zwyczajny wysoki człowiek, ale Mia wiedziała, że to wrażenie jest mylne jak każde porównanie, po które sięgała, by pojąć to, co widzi. Cień, który stał naprzeciwko niej, był czymś innym, czymś, na co nie znajdowała słów – istotą, jakiej nigdy dotąd nie widziała. Istota ta była bez ubrania, ciało miała z grubsza uformowane z gliny, na nagiej czaszce widać było blizny ciągnące się aż na pierś i spięte metalowymi klamrami, a na czole widniał odcisk pieczęci. Było to hebrajskie słowo prawda, lecz jego pierwsza litera została zatarta, tak że mogło oznaczać również śmierć. I przez krótki moment przez głowę Mii przemknęła myśl, że być jest to jedno i to samo.

Nos w szerokiej twarzy sprawiał wrażenie złamanego, usta wyglądały jak zrobione nożem rozcięcie i Mia nie potrafiłaby powiedzieć, czy się uśmiechały, czy też były wykrzywione grymasem bólu. Spojrzała tej istocie w oczy, lecz chociaż światło zdążyło pokryć jej ciało lekką brązową poświatą, to oczy nadal kryły się w głębokiej czerni. Ich spojrzenie musnęło jej skórę chłodnym, aksamitnym tchnieniem i zanim zdążyła świadomie o tym zdecydować, ruszyła w stronę nieznanego. Równocześnie on ruszył w jej kierunku. Światła tańczyły na jego ciele, nie wydawał żadnego dźwięku, a jednak Mia czuła drżenie podłogi, jakby poruszał się po niej wielki ciężar. Bez słowa zbliżali się do siebie, dzieląca ich odległość wydawała się o wiele za duża jak na długość strychu i kiedy Mia stawiała krok za krokiem, przedmioty zebrane w pomieszczeniu przemykały obok niej w pędzie. Wydawało jej się, że gdzieś w oddali słyszy jakieś głosy opowiadające jej w nieznanym języku zagmatwane historie, a kiedy stanęła naprzeciwko obcego na wyciągnięcie ledwie ramienia, dostrzegła pęknięcia biegnące przez jego skórę niczym cienkie linie na pustynnym piasku albo ślady, jakie ocean i jego fale pozostawiają na plaży. Cienie w jego oczach rozbłysły, Mia czuła ich niebywały chłód i zarazem żar, który mógł ją spalić za sprawą jednego wypowiedzianego słowa. I chociaż strach próbował sięgnąć po nią z całą mocą, to jednak trafiał w pustkę. Otulał ją zapach ciepłej gliny, atramentu i prastarego pergaminu. Patrzyła na obcego, którego ciało było niedokończone, a zarazem emanowało takim spokojem, pewnością i głębią, że było to doskonalsze od wszystkiego, czego dotąd doznała, i wiedziała już, że taki właśnie miał być: niedokończony, ponieważ dopiero ona miała go dokończyć. Dopiero dzięki niej...

Uśmiechnął się. Z wahaniem odpowiedziała mu tym samym i nie cofnęła się, kiedy z jego spojrzenia zniknęły Cienie. Oczy nadal jeszcze miał czarne jak dwa lustra nocą, ale teraz ich ciemność pociągnęła Mię do przodu. Zachwiała się przestraszona, bo poczuła się tak, jakby miała wpaść głową w otchłań głębokiej studni. Zaraz jednak otuliła ją zasłona, która powiewała nad ciemnością jego oczu i przerwała jej spadanie. Ta ciemność była piękna i przerażająca zarazem, była światłem i cieniem, życiem i śmiercią, była początkiem i końcem, tak jak on sam, i ledwie

Mia to pomyślała, od razu uświadomiła sobie, że wszystkie legendy o nim, o Golemie, były prawdziwe, a zarazem nieprawdziwe. I usłyszała jego prawdziwe imię, odbijające się w niej cichym szeptem: Duma.

*Szukasz czegoś, powiedział głosem, który był ciepły jak nagrzane słońcem kamienie. Lecz Dusza Pragi nie jest zaklęciem, jak ci się wydaje. Dusza Pragi to jest to wszystko. Rozpostarł ramiona, a wtedy światło przedmiotów rozgorzało na jego skórze jak płomienie. Możesz ją wziąć ze sobą, jeśli staniesz się jej częścią.*

Mia omiotła spojrzeniem drewnianą karuzelę, konie patrzyły na nią, jakby lada moment miały się oderwać od mocowań. *Ale jak...*, zaczęła, lecz uśmiech Dumy kazał jej zamilknąć.

*Wspomnienia to magia, powiedział łagodnie. Zbieram je od początku czasu. Opowiedz mi, jaki jest prawdziwy powód twoich poszukiwań. Podziel się ze mną wspomnieniami. Podaruj mi je, a otrzymasz to, o co mnie poprosiłaś, dawno temu, zanim jeszcze weszłaś na mój strych.*

Duma patrzył na nią, wciąż jeszcze z tym niemym uśmiechem na twarzy, a Mia słyszała za plecami skrzypienie karuzeli, czuła pył pod stopami i brązowe światło, które z wahaniem próbowało sięgnąć jej dłoni. Serce biło jej mocniej, kiedy tak patrzyła w ciemność w oczach Dumy, ciemność, którą powstrzymywała jedynie cienka zasłona. I chociaż czuła wielką chęć, by odmówić jego zaproszeniu, postąpiła krok do przodu. Było w jego oczach coś, co ją przyciągało, jakaś tajemnica, którą dawno temu sama ukryła gdzieś w swoim wnętrzu i której oddech teraz, kiedy skinęła przyzwalająco głową, wionął jej w twarz zimny i niepowstrzymany. Cofnęła się przestraszona, lecz w tym momencie zasłona na oczach Dumy rozerwała się i zanim Mia zdążyła się odwrócić, jej spojrzenie wpadło w wypełniającą je ciemność. Z całych sił próbowała odpędzić strach, z szeroko otwartymi oczami gnała przed siebie i przeraziła się nie na żarty, kiedy usłyszała jakiś dźwięk niosący się przez noc, dudniący i potężny. Coś porwało ją, jakby jakaś potężna fala. Zaczęło się ku niej zbliżać jakieś pulsowanie i kiedy w końcu przez nią przepłynęło, pojęła, że nie wpadła w otchłań oczu Dumy, tylko siebie samej, a ten dźwięk, który ją otaczał, to bicie jej własnego serca.

Mimo wszystko słyszała głos Dumy. Był razem z nią w

ciemnościach i to on rozerwał Cienie, wydobywając z nich obrazy – wspomnienia z dawno minionego czasu. Pojawiła się przed nią matka, miała długie, miękkie włosy i uśmiech, który zawsze był łagodny i pełen miłości. Zobaczyła Josi tańczącą bosą na łące, poczuła na skórze delikatny letni wietrzyk, wiejący, kiedy leżała razem z Jakubem w trawie, ale gdy tylko próbowała zatrzymać jakieś wspomnienie, ono natychmiast rozmywało się i znikało. Bardzo wyraźnie wyczuwała obraz, który znajdował się pod wszystkimi innymi. Był cały w płomieniach, czuła, jak się zbliża i ściąga wszystkie barwy, tak że wszystkie inne wspomnienia były już tylko szarymi cieniami. Oderwała wzrok od szarych zarysów i weszła w obraz swojego dziecięcego pokoju. Czuła miękkość swojego misia pod palcami i zaśmiała się, kiedy Jakub robił głupie miny. Biegała z innymi dziećmi po mokrym od deszczu leśnym runie, czuła się lekko i swobodnie. Biegła najszybciej, jak umiała, lecz i tak była za wolna. Nagle poczuła w nozdrzach jakiś zapach i usłyszała muzykę – jarmarczną muzykę. Las rozstał się i znalazła się wśród jarmarcznych straganów, w powietrzu unosił się zapach prażonych migdałów, a tam, całkiem niedaleko, przy budce, gdzie sprzedawano losy, stał Lukas. Z uśmiechem odwrócił się w jej stronę. W jego oczach nie było wyczerpania i smutku i Mia pobiegła do niego, biegła naprawdę, tak przemożne było pragnienie, by znaleźć się w jego objęciach. Czuła jego szorstkie dłonie troskliwie gładzące jej policzki, dłonie, które zawsze były umazane farbami, patrzyła na jego twarz ze zmarszczkami od uśmiechu wokół ust, słyszała opowieści, które jej kiedyś opowiadał, i widziała istoty, które wyłaniały się z jego słów i które sprawiały, że jej dzieciństwo było bogate i kolorowe. Wyszła z tego wspomnienia, odwróciła się i ujrzała migocący obraz z tysiąca barw, który płonący i niesamowity sunął w jej stronę przez Cienie. Szybko płynął przez blednące wspomnienia, które rozbłyskiwały na moment jak iskry, by zaraz zgasnąć: Lukas szukający czegoś, czego się domyślał i co przemilczał, Lukas samotny i szary w czasie wystawy swoich obrazów, Lukas, fetowany i sławny, Lukas, płaczący skulony przy kuchennym stole, gdy wydawało mu się, że nikt tego nie widzi... i z każdym takim wspomnieniem żołądek Mii kurczył się coraz bardziej, aż wreszcie bez tchu zanurzyła się w płonącym obrazie.

Znalazła się w najgłębszej głębi siebie samej, ciemność zamknęła się wokół jej serca, które, jak jej się wydawało, musi zaraz pęknąć i o mało nie odeszła od zmysłów, kiedy tak się nie stało. Znalazła się w pracowni Lukasa. Stojące wokół sztalugi były ogromne, poczuła znajomy zapach terpentyny i farb olejnych, i jakiś dodatkowy, bardzo wyraźny, lekko metaliczny zapach, który niczym jad rozchodził się po całym pomieszczeniu. Wiedziała, że musi mieć teraz siedem lat, a kiedy podeszła do postaci leżącej pod oknem, zaparło jej dech. Stała przy kałuży krwi, która rozlała się po podłodze. I mimo wszystko skierowała wzrok w Cienie, tak jak tamtego dnia.

Miała wrażenie, że słyszy, jak rozdzierają się ciemności rozpięte nad ciałem jej ojca niby chroniąca go tkanina, i pierwsze obrazy dotarły do niej jak w błyskach flesza. Nienaturalna pozycja ciała. Broń, którą wciąż trzymał w prawej ręce. Granatowo zabarwione opuszki palców. Czaszka, która dziwnie płasko leżała na podłodze. I wszędzie krew. Zachwiała się, lecz zwróciła spojrzenie na bliznę poniżej obojczyka i skupiła się na niej. Ojciec kiedyś jej o niej opowiedział. Znowu słyszała jego głos, nie rozumiejąc jednak sensu słów. Ta blizna była ochroną, była ostrzeżeniem i wezwaniem, by się oddaliła, odwróciła, nie pozwoliła, by spojrzenie powędrowało wyżej. Ale Mia nie zwracała na to uwagi. Na siłę uniosła głowę i tak jak wtedy spojrzała w martwą twarz ojca.

Jego oczy były pozbawione życia. Nigdy nie rozumiała, co to znaczy, kiedy używał tego określenia w swoich opowieściach, ale teraz, kiedy jego oczy patrzyły na stojące wokół obrazy, nie widząc ich, już to wiedziała. Rany w tyle głowy nie widziała, zauważyła tylko zakrwawione włosy i uśmiech, który zastygł mu na wargach, sprawiając, że twarz wyglądała jak maska. W tym obrazie nie było spokoju i kiedy organizm zmusił Mię do zaczerpnięcia oddechu, z najwyższym trudem udało jej się powstrzymać mdłości. Wezbrała w niej rozpacz. Poczuła, że coś się w niej umacnia, coś, co zawsze w niej było, ale dopiero teraz, kiedy ujrzała ojca leżącego w kałuży krwi, mocniej wbiło szpony w jej ciało. Nie wydała żadnego dźwięku, nie wybuchnęła też płaczem. Minie dużo czasu, zanim będzie potrafiła to zrobić, wiedziała o tym. Zamiast tego stała po prostu bez ruchu i tak jak wtedy obrazy stojące wokół niej



zmieniły się w Cienie, stały się upiornymi postaciami, które dotykały jej swoimi żelaznymi skrzydłami, a ona czekała na paraliż, jaki nią wtedy owładnął, kokon, który miał ją na resztę życia zamknąć wraz z jej żałobą, uwięzić ją w martwym spojrzeniu ojca.

Ale nic takiego nie nastąpiło.

Niemal z przestraczem odwróciła głowę w stronę Cieni, lecz nie było już w nich przerażających obrazów jak wtedy, gdy była mała. Wszystko, co zobaczyła, to była jej twarz – szkice pokazujące jej oczy, nos, zarys podbródka, które Lukas rozdzielił na liczne sztalugi jako wstępne szkice do tego portretu, który teraz znajdował się głęboko pod ulicami Paryża, w Ghrogonii, chroniony przez Vraterniusa niczym wielki skarb. Patrzyła sobie w twarz, lecz dziewczyna na obrazach nie patrzyła na nią – przyglądała się Lukasowi, który leżał na podłodze przed nią, skulony i bez życia, a on... on odwzajemniał jej spojrzenie. Serce Mii ścisnął bolesny skurcz. Jego ostatnie spojrzenie przeznaczone było dla jej niedokończony, naszkicowanej tylko twarzy, a on doskonale przy tym wiedział, że już nigdy nie zobaczy jej inaczej. Nie wpatrywał się w pustkę, nie wpatrywał się w półmrok pracowni. Patrzył na nią.

Cienie wokół niej zapłonęły migotliwie, zamieniły się w potwory, jak wtedy, lecz Mia wciąż czuła oddech smoka ze swego snu i powściągnęła chęć ucieczki przez przerażeniem, które chciało ją owładnąć. Zamiast tego uklękła obok Lukasa i po raz pierwszy, od kiedy zamknęła ten obraz w sobie, nie widziała nic przerażającego w jego twarzy. Widziała go takim, jakim był przez te tygodnie przed śmiercią, przykucniętego za drzewem w Forêt de la Licorne, czuwającego przy śpiącej matce, znieruchomiałego pośród swoich podziwianych obrazów. Widziała, jak stoi nocą przy łóżku Jakuba, a potem przy niej i wreszcie przed jej portretem, ze spokojem na twarzy i z oczami ożywionymi osobliwą przejrzystością. Prowadził pędzel niemal z czułością i teraz, kiedy Mia podążała za jego wzrokiem, po raz pierwszy uświadomiła sobie podobieństwo tego obrazu do namalowanego przez nią autoportretu *Noir*. Ciemne włosy okalały szczupłą dziecięcą twarz, twarz dziewczynki w wieku może sześciu lub siedmiu lat. Lekko niechętnym wzrokiem spoglądała z płótna na pokój i było w jej spojrzeniu coś... Mia nie ruszała się z miejsca. Nie potrafiła znaleźć słowa na to, co w nim

dostrzegła, ale wiedziała, że do dziś taki wyraz pojawia się w jej oczach, kiedy dostrzega w świecie magię, misterium, do którego zbliżyła się dzięki Innoświatom. Ten sam wyraz miały też oczy jej ojca i ludzie odczuwali przed nim pewien rodzaj lęku – instynktownie i zupełnie bez powodu. Mia spokojnie przyglądała się sobie samej w wieku siedmiu lat. Ten obraz zawsze nappełniał ją smutkiem, lecz teraz zmienił się on, jak wszystkie obrazy jej ojca, w ciepły kamień, który powoli coraz głębiej osiadał w jej wnętrzu. Wciąż jeszcze była w niej ta mała dziewczynka i wciąż miała oczy ojca.

Nie przestraszyła się, kiedy odwróciwszy się, stwierdziła, że stoi w kuchni swojego dawnego mieszkania. Przy stole siedział Lukas, to był ten wieczór, kiedy zobaczyła go płaczącego i ukradkiem wróciła do swojego pokoju. Tym razem jednak się nie odwróciła. Podeszła do niego i czuła, że sama płacze, a kiedy spojrzał na nią, nie było żadnej różnicy między rozpaczą, która wypełniała i ją, i jego. Wyciągnął rękę, jego palce były szorstkie i ciepłe, a jego postać falowała jak na poruszonym wiatrem płótnie. Zamienił się teraz w istotę, którą widziała na skraju Świata Umarłych. Dostrzegala zarys jego postaci, widziała, jak przemierza pustynie i morza, czuła ogień, który w sobie skrywał i który tak dobrze znała, a potem poczuła, jak cicho gaśnie. Falowanie ustało i znowu klęczała przy nim w nędznej kuchni, lecz jej uśmiech płynął do niego przez tysiące otchłani. Rozumiał ją. Był taki jak ona. I w tej wspólnocie na jeden bezcenny moment zginął wszelki chłód. Zrobił jej prezent, a ona z dumą go nosiła. Odwzajemnił jej uśmiech... i wraz z tym gestem wspomnienie rozsypało się.

Mia zobaczyła, że klęczy przed Dumą. Spoglądał na nią z góry, jego spojrzenie łagodnie przesuwalo się po jej skórze, co pozwoliło jej nabrać powietrza. Wszystkie przedmioty wokół zmieniły się w zarysy ze srebrzystego pyłu, konie z karuzeli patrzyły w ich stronę płonącymi oczami. Wstając, Mia zachwiała się, lecz wyczerpanie, które ogarnęło jej ciało, miało w sobie głęboki, niewzruszony spokój, jakiego jeszcze nigdy wcześniej tak mocno nie doświadczyła.

Poczuła ciężar w zaciśniętej dłoni. Otworzyła ją i zobaczyła pocisk z broni ojca. Na palcach poczuła lepkość krwi. Wzdrygnęła się, kiedy Duma przesunął po tym wzrokiem, zamieniając jedno i drugie w

migotliwe światło, które pod wpływem jego szeptu zmieniło się w pył. Mia czuła jego chłód na palcach, a kiedy spojrzała na Dumę, jego oczy nabrały innego wyrazu: światło pomieszczenia odbijało się w nich jak tysiąc gwiazd i obudziło w nich blask, który zmienił je w lustro z płynnego ołowiu.

Uśmiech Golema stał się wyraźniejszy. *Twoje wspomnienie to więcej niż wszelkie podziękowania*, powiedział, zanim ta myśl zdążyła do końca uformować się w głowie Mii. *Twoje poszukiwania będą długie, dłuższe, niż sobie wyobrażasz. Teraz jednak masz ze sobą mój oddech – Pył Gwiazd.*

Mia skłoniła głowę, gardło jej się ścisnęło, kiedy Golem odstepił na bok i odsłonił drogę do drzwi. Powoli ruszyła w ich stronę, światła wspomnień mijaly ją w pędzie, wypełniając jej ciało ciepłem i ufnością. Z wysiłkiem szukała słów, które mogłaby powiedzieć Dumie, doskonale wiedząc, że Golem domyśli się ich na długo przed tym, zanim ona zdąży je wypowiedzieć.

Przy drzwiach raz jeszcze się odwróciła, ale strych był już pusty.

### *Rozdział 33*



Zamczysko Gniewu była to potężna wieża z zamarzniętego popiołu. Organiczne struktury pięły się licznymi warstwami aż do samego szponu Smoka, połyskiwały w półmroku jak rozcięte mięso, rozlewały się kamiennymi zwojami jedne na drugie, jakby były wnętrzościami niezliczonych istot, nadając Wieży Klątwy wygląd czegoś przerażająco żywego. Krwistoczerwony żar płonął w szczelinach czarnego kamienia, znaki klątwy napierały od środka na fasadę, pozostawiając na niej odciski wyglądające jak wypalone stygmaty. Grim wyczuwał potęgę płonącego lodowatym żarem Cienia Kharamonu, zupełnie jakby zatapiał on w jego ciele tysiące kling.

To było miejsce, w którym Orrun Argranthon zmroził na lód Klątwy Dwunastu Wron, gdzie niezliczone hordy Wschodniego Cienia rozpadły się w proch w obliczu zimna tkwiącego w jego murach i gdzie władczyni Jazmhul stworzyła swoich jeźdźców, aby uwolnić od nieczystości Dolny Świat na przyjęcie swego ludu. Było to miejsce, które spało od niepamiętnych czasów, na wpół zrujnowane i zniszczone, ale Grim wciąż jeszcze czuł woń siarki i płomieni w złotych Smoczych Misach Pierwszych Władców Demonów, zaklętych tam w klątwy i koszmary, i słyszał krzyki Zagubionych Dusz, które – niegdyś zajęte przez Demona i opuszczone dopiero po długim czasie – odnalazły drogę do dusz tego okrutnego ludu, do samego centrum dawnej potęgi i siedziby władców Car'lay Ythemów z dawno minionych czasów. Niby postrzępione sztuki odzieży wciąż jeszcze wokół budowli przemykały pojedyncze cienie, a za progiem drzwi, które wyłaniały się z muru jak zastygłe usta, kryła się najgłębsza ciemność.

– Niezwykle gościnne – wymamrotał Remi, siadając na ramieniu Grima.

Samhur podniósł się z wolna. Czarne światło, którym przerzedził nieco Cienie Kharamonu, złowieszczo migotało na jego twarzy.

– Zamczysko Gniewu nie zostało zbudowane po to, by przyjmować przybyszów – powiedział. – Zostało zbudowane po to, by być jądrem przerażenia. I właśnie tym się stało.

Mówiąc to, ruszył w stronę wieży po skalnym podłożu, które wyglądało jak martwe, zbielałe ciało. Z dołu dobiegało ich głucho dudnienie rzeki.

– Marzyłem, żeby coś takiego teraz usłyszeć – mruknął Remi. – Niektórzy powinni po prostu zachować swoją wiedzę dla siebie, jeśli nikt ich nie pyta. Czy to naprawdę takie trudne? Są sprawy, o których żaden z nas nie chce wiedzieć, szczególnie w tym momencie.

Grim w milczeniu poszedł za Samhurem. Nie miał wątpliwości, że Łowca potrafiłby opowiedzieć o tym miejscu znacznie więcej, ale on też niespecjalnie się palił, żeby to usłyszeć. Żar Zamczyska sprawił, że Cienie zaczęły złowroźnie wędrować, od czasu do czasu kamienie wielkości pięści rozsypywały się pod ich nogami, jakby były z piasku. Grim unikał dokładniejszego przyglądania się podłożu, ponieważ z każdym krokiem coraz bardziej zaczynał wątpić, że to naprawdę kamienie pękają pod ich stopami, a nie skurczone od żaru czaszki. Rozpalone światło kamiennych wałów kładło się na nim migotliwymi jęzorami i Grim miał przed oczami te wszystkie armie, które próbowały je sforsować w czasie pradawnych wojen. Słyszał krzyki umierających, żywcem stapiających się z przeklętymi skałami, i czuł zapach ich krwi, który sprawiał, że powietrze wciąż było brzemienne śmiercią i rozpaczą.

Tuż przy wejściu Samhur przystanął i ledwie podniósł dłoń, ciemność zapłonęła czerwonym światłem, osobliwie szeleszcząc, jakby jakaś skryta w niej potężna istota zaczerpnęła oddech. Grim zatrzymał się przy Łowcy i poczuł żar, ale nie był to żar ognia. Był to żar straszliwej, śmiertelnej gorączki.

– Daimon – powiedział Samhur mrocznym szeptem. Stał bez ruchu, ale kiedy tak spoglądał w ogień, na jego ustach błąkał się oczarowany uśmiech. Uśmiech, który osobliwie kontrastował z lodowatym zimnem, z jakim okrutne Cienie Wieży kładły się na jego ciele. – Daimónion, Raz'kantyél, Bhaal Vahron. Ileż języków ma dla

ciebie nazwę, ileż ust wypowiedało ją w godzinie śmierci? A przecież jesteś zawsze jednym i tym samym, tym, co przetrwało wszystkie czasy, Sercem Gniewu, które będzie się tutaj czaić na wieki, czekając na tych, którzy nie mają innego wyjścia, jak tylko rzucić się w twoje ciemności. Duchu! Słyszę twój głos.

I zupełnie jakby jego słowa zmusiły do zamilknięcia szelest i trzaskanie ognia, także Grim nagle usłyszał jakiś dźwięk. Pochłaniał on wszelkie inne odgłosy i niespodziewanie żar, który jeszcze przed chwilą gnał przez jego żyły, stęzał w bolesnym zimnie. Z Wieży wydobył się krzyk, jasny i krystaliczny, daleki od wszystkiego, co żywe. Grim stał nieruchomo, czuł pęta, jakimi ten krzyk oplótł jego pierś, i zbyt późno dostrzegł cień, który w tym momencie wyskoczył zza kamiennego wału.

Cios dosięgnął go gwałtownie, miał wrażenie, jakby zaraz miała mu eksplodować czaszka. Przeleciał w powietrzu, usłyszał przeraźliwy pisk i zachwiał się, kiedy próbował zachować równowagę przy lądowaniu. Grunt pod nim zmienił kształt, zupełnie jakby wypił co najmniej siedemnaście praghanów, a przekłete wały tańczyły wokół niego jak tuzin wściekłych Mefistofelesów. Ciężko dysząc, z trudem dochodził do siebie, lecz w tym momencie coś zatopiło się w jego piersi. Sparzył dłoń, kiedy próbował to chwycić, ale nagły ból przepędził zawroty głowy. Piekącymi palcami chwycił pęta, które pozbawiały go siły, i wyrwał je z ciała. Wściekłym ruchem cisnął je na ziemię. Znał tę magię, która przed chwilą przenikała jego ciało, czuł obecność cienia, który stał wysoko nad nim, na jednej ze skał, i usłyszał skrzypiący odgłos skrzydeł, kiedy Gargulec uniósł się w powietrze. Grim pozostał z opuszczoną głową, czerń podłóża piekła go w oczy, ale kiedy wstrzymał oddech, czuł już tylko zimno kamiennej krwi w swoich żyłach i potężne pragnienie, by nie dopuścić do siebie oburzenia. W oddali widział Samhura zmagającego się z dwoma Cienioskrzydłymi i przeklętymi posokowcami, magia żaru sprawiała, że jego osłona ochronna sypała iskrami. Na krótko za jednym z wałów pokazał się Remi, ale kiedy jakiś rykoszet rozbił skałę niedaleko jego głowy, kobold błyskawicznie schronił się za zwałami kamieni. W tym momencie pięść Grima wystrzeliła w powietrze, trafiając Kronka w skroń. Z gardła tamtego wydobyło się stęknienie, które brzmiało jak jęk bólu, ale Grim wiedział,

że tak naprawdę przyłożył demonowi, tej piekielnej istocie, która kryła się w ciele jego towarzysza broni niczym obrzydliwy szczur, więc poczuł ogarniającą go satysfakcję.

Kronk padł na ziemię, lecz zanim Grim zdążył spętać go zaklęciem unieruchamiającym, z ramienia leżącego wystrzeliła macka ośmiornicy i owinęła się wokół gardła Gargulca. Lodowate zimno przeniknęło do ciała Grima, jego dłonie zaczęły w sposób niekontrolowany dygotać. Z całej siły uderzył w mackę, lecz jego ogniste zaklęcie tylko ją wzmocniło. Zacisnęła się, a Grim ciężko dysząc, padł na ziemię. Stłumił ogarniającą go panikę, kiedy zaczął tracić czucie w nogach. Niewyraźnie docierało do niego, że Kronk się zbliża.

Jego kroki były powolne, zupełnie jakby demon chciał się nasycić cierpieniem przeciwnika, a kiedy Grim uniósł głowę i spojrzął na Kronka, nie ujrzał przed sobą twarzy przyjaciela. Patrzył w oczy khana. Były białe, a ich wyraz zmienił kamienne oblicze Kronka w diabelską maskę. Ostre jak brzytwy zęby przecięły skórę Kronka, krew spływała mu po wargach.

– Ty pomioście Ognia – powiedział demon głuchym głosem, który bardziej przypominał groźny ryk lwa niż ciemny i dudniący głos Kronka. Mróz dotarł do żołądka Grima, który stracił już czucie w rękach. – Masz czelność wyzywać mnie do walki, mnie, sługę Sherezara? Mógłbym cię utopić w huku Pękającego Morza albo spalić w żarze Słońca i Księżyca! – Zamilkł na chwilę, uśmiechając się przebiegle. – Ale może tego jednak nie zrobię. Mój obecny gospodarz jest wprawdzie silny, ale ty podobasz mi się bardziej. Zakuję cię w łańcuchy do czasu, aż zniszczę to śmieszne ciało, a potem ty będziesz mi służył!

– Chętnie bym ci wygrawerował ten twój głupi uśmiezek na tyłku, gdybyś taki miał! – Grim wypluł te słowa jak martwego robaka i widział po minie khana, że kompletnie go zaskoczył. Zanim jednak demon zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Grim szarpnął skrzydła w tył i stanął na nogach. Zadał khanowi druzgocący cios, rozerwał pęta i złapał go za nogę, z całej siły wbijając szpony w łydkę Kronka, a krzyk, jaki rozdarł powietrze, nie był tylko krzykiem demona. Bardzo dawno temu, w walce z Czarnym Dżinem Bagdadu, Kronk o mało co nie stracił nogi i wciąż jeszcze miejsce, w które ugryzł go wtedy Dżin, sprawiało mu niekiedy

nieznośny ból – wystarczająco silny, by na chwilę uczynić go niezdolnym do walki. Kronk osunął się na ziemię i zanim demon zdążył się zorientować, co się dzieje, Grim opasał go diamentowymi sznurami unieruchamiającymi i przywiązał do jednego z wałów.

Krzyk Samhura sprawił, że Grim odwrócił się gwałtownie. Łowca właśnie pozbył się napastników potężną falą uderzeniową czerwonego ognia, lecz podczas gdy posokowce i jeden z Cienioskrzydłych padli na ziemię, drugi rekrut zdołał wznieść się w powietrze. Z rykiem wyciągnął teraz przed siebie ramiona i zanim zdążyło go trafić zaklęcie Samhura, pomknęły ku niemu Cienie Wieży. Śmignęły po murach, Grim skulił się, żeby go ze sobą nie porwały, i usłyszał narastające wokół głosy nocy, które brzmiały jak tysiące śpiewających kling. Z fasady wyłamały się rozżarzone sigle, strumienie popiołu spłynęły do zaciśniętych pięści demona, który w jaskrawej błyskawicy wysłał klątwy gniewu mrocznymi strugami w kierunku przeciwników.

Samhur zakręcił się wokół własnej osi, wyczarował w dłoni rozżarzoną do białości lancę, za pomocą której rozbił pierwszy rój klątw, lecz kiedy następny przelatywał nad głową Grima, klątwy wystrzelały w jego stronę niby ostrza noży. Grim wydał okrzyk, pospiesznie rozpostarł nad sobą potrójne osłony obronne, lecz ogień Kharamonu stopił jego magię i przywrócił demonom dawną siłę. Khan zerwał się na równe nogi, a pęta unieruchamiające odpadły od niego, jakby były z popiołu. Grim i tak widział tylko jego zarysy. Klątwy sprawiły, że padł na kolana, a kiedy sięgnęły mu do gardła, zdusiły jego krzyk. Słyszał, że Khan się zbliża, już czuł płomienistą pięść, która lada moment go trafi... nagle poczuł jakieś drgania, jakieś wołanie wśród rozszalałych rojów, który sprawiło, że klątwy wokół niego się rozerwały.

Z trudem uniósł głowę. Samhur stał pośrodku wichury i z wolna rozpościerał ramiona, jego płaszcz łopotał. Wzrok miał opuszczony, lecz Grim widział uśmiech na jego twarzy, ten przypominający maskę, okrutny uśmiech, który sprawiał, że rozplomieniała się ciemność w jego oczach. Samhur w milczeniu patrzył ku niemu, zupełnie jakby nie widział demonów, które rzuciły się na niego, pokrywając srebrzystą osłonę ochronną głębokimi szramami. W jego spojrzeniu jarzyły się Cienie, jeszcze straszniejsze niż Ogień Klątwy, który zapłonął w oczach



Khana, i Grim wręcz czuł otchłań, jaka w tym momencie otworzyła się w Łowcy, szczelina, z której wyskoczyła ciemność jak dzika bestia. Tłoczyła się pod postacią węzowych ciał, wypychając od środka skórę Samhura, zmieniała kształt jego twarzy i pokryła ją migotliwą warstwą. Na obliczu Łowcy pojawiły się niezliczone inne, jeszcze bardziej przesycone Cieniami twarze demonów, które niby tysiące czarnych dusz pchały się na zewnątrz.

Grim nie mógł oderwać od niego wzroku. Zupełnie jakby Łowca coś do niego wołał, coś, co sypiąc iskrami spod kopyt, szykowało się do drogi, by za nim podążyć. I kiedy Samhur wyrzucił ramiona w górę, wypuszczając z nich zaklęcie, także Grim zerwał się na równe nogi. Nie czuł już bólu, nie czuł zmęczenia, czuł tylko palenie w piersi, które za jednym zamachem porwało ze sobą wszelkie zmęczenie i w formie potężnego bólu przeniknęło do każdej komórki jego ciała. Wzbierał w nim ponury ryk, który dotąd pętały tysiące łańcuchów, i Grim dał się nieść temu tonowi, jakby to był wiatr pod jego skrzydłami. W porywie wściekłości zadał khanowi cios, od którego głowa poleciała mu w tył, a sam demon przeleciał przez wały. Ruszając za nim, ujrzał Samhura, jak pokrytymi płomieniem, rękami wzywa do siebie rój klątw i modeluje go w czarnym ogniu.

Posokowce zawyły z bólu i Grim poczuł, jak błękitne płomienie, w jakie zamienił się rój, niby krople deszczu padają na jego skórę. W oślepiającym świetle płomienie wystrzeliły przed siebie, roztrzaskując strumienie klątw płynące z Kharamonu i kiedy demony wokół Samhura poupadały na ziemię, wijąc się w bólach, Łowca stał, poruszając rękami niczym dyrygent, potem wybuchnął śmiechem, od którego cała krew odpłynęła Grimowi od głowy, a który jednocześnie porwał go ze sobą, jakby przez całe swoje przekłete życie czekał tylko na to, by ten śmiech usłyszeć. Było to jak amok, który rozprzestrzenił się w jego własnych żyłach, sprawiając, że Samhur przez moment wydał mu się diabłem otoczonym przez swoje rozwrzeszczane demony, a jednocześnie aniołem w oślepiających płomieniach niebios.

Strzała pojawiła się tak niespodziewanie, że Grim prawie jej nie zauważył. Przemknęła z sykiem tuż obok jego głowy, roztrzaskała osłonę ochronną Łowcy i trafiła go między łopatki z takim impetem, że

aż rozległ się huk. Samhur wydał ryk, jego ciało błyskawicznie otoczył Ogień Klątwy, a jego własne płomienie zgasły w ogłuszającej eksplozji. Grim widział zbliżającą się falę uderzeniową, zaraz potem wyrzuciła go ona w powietrze, aż twardo spadł na ziemię.

Wbijając szpony w skałę, by stanąć na nogi, słyszał grzmot Martwej Rzeki i wrzask demonów, które gnały w jego stronę. On jednak widział tylko Samhura, który upadł bezgłośnie, i czuł Ogień Klątwy, jakby to w jego ciało się wżerał. Szybko posłał złote Ogniste Wiry w stronę napastników, które powaliły ich na ziemię, zanim jednak zdążył wznieść się w powietrze i pospieszyć do Samhura, przez płomienie przedarła się jakaś postać o wykrzywionej nienawiścią twarzy.

Dłoń Kronka zacisnęła się na szyi Grima, ale to khan ział mu w twarz zgniłym oddechem. Grim wbił szpony w jego ramiona, lecz ledwie zdążył posłać lodowy czar, sam poczuł gorąco po uderzeniu żarem. Zachwiał się. Demon bezlitośnie wbijał szpony w jego ciało, popychając go na skraj klifu, skąd dochodził z głuchym dudnieniem głos rzeki.

*Nic nie wiesz o moim ludzie, wysyczał khan, a każde jego słowo wbijało się w oczy Grima jak igła. Wydaje ci się, że nas pokonałiscie, wtedy, kiedy zdobyliście władzę, ale to nieprawda! Nikt, głupi Hybrydzie, nie może pokonać demona! Roztrzaskam cię o dno Martwej Rzeki, rozszarpię cię w jej nurtach, które żywią się wszelkimi cierpieniami i upokorzeniami, których mój lud przez was zaznał! Rezygnuję z twojego ciała, żeby poczuło to, co my czuliśmy przez tak długi czas!*

Z tymi słowami khan posłał błyskawicę w ciało Grima, która na moment odebrała mu zmysły. Kiedy zaraz potem się ocknął, leżał na ziemi, a demon siedział na nim; czuł palce Kronka na szyi jak palce trupa. Jego twarz owionął lodowaty wicher, leżał na samym skraju otchłani i słyszał głos rzeki, który wołał jego imię. W jej nurcie czekały go obłęd, niewyobrażalny ból i ciemność, i już widział obrzydliwe iskielki triumfu w oczach demona. Zacisnął pięści. Niech to wszyscy diabli, przecież oczy, w które patrzył, to nie są oczy khana. To oczy jego przyjaciela.

Wkładając w to całą wściekłość, jaka się w nim nagromadziła, trzasnął głową w twarz demona. Tamtemu puściła się z nosa krew i na moment zwolnił uścisk, a Grim nie wahał się ani chwili. Zdecydowanym

ruchem złapał go za skronie i wbił wzrok w płomienną zieleń ognia, który płonął w oczach tamtego.

*To jeszcze nie wszystko*, powiedział, zabierając te słowa w płomienie, kiedy rzucił się do przodu, wysyłając przez palce wspomnienia głęboko w ciemność, gdzie leżał w łańcuchach Kronk. Grim pędził przez ogień i przez noc, widział, jak siedzi z przyjacielem na polach pod Rzymem, wtedy, kiedy poskramiali Przemieniaczy, widział siebie razem z nim w katakumbach Budapesztu w poszukiwaniu Hordy Lisz, widział siebie ramię w ramię z nim za tronem Thorona w czasie egzekucji, widział, jak patrzą na siebie, w milczeniu i z uśmiechem pośród zrujnowanych ulic Ghrogonii, gotowi wspólnie walczyć przeciwko Ciemności... gotowi umrzeć za siebie nawzajem.

Grim czuł płomienie Ognia Klątwy i słyszał wrzaski demona, który go dusił. Nie zwracał jednak na to uwagi. Skupił się na twarzy, która właśnie przebijała się przez Cienie. Była to kamienna twarz z kruczoczarnymi oczami, które widziały więcej niż tylko śmierć i cierpienie, twarz należąca do wojownika, bohatera, który nie padnie na kolana przed żadnym demonem na świecie. Spoglądał w oczy Kronka i powtórzył przyrzeczenie, które mu złożył.

*Uwolnię cię*, powiedział i na moment poczuł aksamitny chłód, który krył się w oczach Kronka w czasie nocy przy ognisku w tundrach Północnego Świata, czy w spalonej ludzkiej wiosce po drugiej stronie Rzeki Grzmotu, wówczas, kiedy Grim był jeszcze młody, a Kronk był już doświadczonym wojownikiem. Ten chłód, to najgłębszy uśmiech, do jakiego zdolny był Kronk, i Grim poczuł ścisk w gardle, kiedy na niego odpowiedział.

Kronk podniósł się z wolna, zupełnie jakby sprawiało mu to ból, lecz kiedy odchylił głowę do tyłu i wydał ryk, wtedy pękła władza demona i w momencie, kiedy impet tego ryku wepchnął Grima z powrotem do jego ciała, w ciemnościach zobaczył Kronka, wojownika, towarzysza, przyjaciela.

Grim stęknął, kiedy znalazł się z powrotem w swoim ciele. Demon zabrał dłonie z jego szyi. Patrzył na Grima nic nierozumiejącym wzrokiem, ale przez zieleń jego spojrzenia przebijała najgłębsza czerń. I kiedy Grim odepchnął go od siebie, demon chwiejnie stanął na nogach,

zupełnie jakby był marionetką, której kuglarz poplątał sznurki i właśnie rozpaczliwie próbuje je rozwikłać. Grim słyszał pozostałe demony, które otrząsnęły się już i znowu zaczęły się do niego zbliżać. Przesuwały się przed jego oczami jak czarne strzępy mgły, nie miały już siły, by odeprzeć ich atak, i coraz mocniej wyczuwał żar Ognia Klątwy, który oplatał ciało Samhura. Nie mógł zatem spodziewać się pomocy Łowcy. Ciężko dysząc, wysłał do swojej pięści zaklęcie ognia; na pewno nie padnie przed nimi na kolana, co do tego nie było wątpliwości.

Już słyszał pomruk grzmotu, który miał go roztrzaskać, lecz w tym momencie Kronk wyrzucił ręce przed siebie. Jego oczy były kruczoczarne, nie było już w nich Ognia Klątwy, a z jego rąk wystrzeliły bicz czerwonego światła i unieruchomiły demony mocnym chwytem. Demony wrzasnęły, kiedy przyciągnął je ku sobie. Grim spojrzął na Kronka, wpijając się wzrokiem w jego spojrzenie, i usłyszał swój własny krzyk, kiedy Kronk odbił się od klifu i runął plecami w dół, w przepaść.

Rzeka ryczała, pozbawiona jakichkolwiek cugli, lodowaty wicher wionął Grimowi w twarz, kiedy rzucił się na skraj otchłani. Jakby w zwolnionym tempie Cienioskrzydli spadali w ciemność i przez ryk żywiołów doleciał go głos, który odebrał mu dech. Były to dwa słowa, słowa, które Kronk wypowiedział do niego. Była to odpowiedź, wiedział o tym, i wbił szpony w skałę, żeby nie krzyczeć.

– *Ja wiem*, powiedział Kronk cicho.

A potem zniknął w odmętach.

## Rozdział 34



Złota Uliczka pogrążona była w zakłętej ciszy. Małe kolorowe domki tłoczyły się obok siebie, jakby coś knuły, zielony dym unosił się z białych jak kość kominów, a ciepłe światło ulicznych latarni błyszczało na bruku jak rozlana oliwa.

Mia bez słowa podążała uliczką za innymi. W tamtej Pradze widziała w tym miejscu wyłącznie płomień Ognia Klątwy, teraz jednak jej wzrok prześlizgiwał się po malutkich domkach i wydawało jej się, że jest dzieckiem mijającym zamknięte zaczarowane drzwi. Daremnie wypatrywała na końcu uliczki domu Hermafrodyty, dostrzegła tam tylko jakieś opustoszałe podwórko, ale Ostatnia Latarnia była na swoim miejscu, co wywołało uśmiech na twarzy Mii. Patrzyła na zarysy postaci widocznych za oknami, siedzących w migotliwym blasku świec przy zawalonych szpargałami biurkach, nad starymi foliałami i na gnomy z Cieni, które skakały po dachach, przenosząc paczki i wiadomości, i wręcz czuła tchnienie tajemnicy, która kładła się na wszystkim, objawiając się tylko temu, kto potrafił we właściwym czasie zapytać o to właściwymi słowami.

Także Hartydzi zdawali się odbierać ten nastrój, wypełniający uliczkę. Edwin z dziecięcą ciekawością zaglądał w małe okienka, Radvina obserwowała ryzykowne skoki gnomów, zupełnie jakby zamierzała pójść w ich ślady, a Jaro pozbył się swojego ponurego wyrazu twarzy i nawet lekko się uśmiechał, przyglądając się dymom, upiornie płynącym nad dachami. Tylko Lyskian kroczył uliczką, jakby była zwykłą dekoracją do filmu, do którego magii nie miał dostępu, i dopiero kiedy spojrzał w stronę Mii, przez jego lodowatą maskę przebił się uśmiech.

Zatrzymali się przed niebieskim domkiem o dwóch oknach różnej

wielkości. Migotliwy blask napierał od środka na cienką szybę, ale kiedy Mia pochyliła się, usiłując coś dojrzeć, spojrzała w swoją własną twarz. Lyskian zastukał do drzwi, na co z miejsca rozległo się soczyste przekleństwo. Przez żółtawy blask przebił się płomień i szybkim zygzakiem zbliżył się do drzwi. Mia usłyszała jeszcze jakiś cienki głosik, który coś mówił, a potem rozległo się skrzypienie i drzwi się otworzyły.

Przed nimi unosiła się w powietrzu otoczona płomieniami misa, na której – z nogami skrzyżowanymi jak przy medytacji – siedział mały człowieczek. Na ciele miał tylko cienki, zapisany arkusz papieru i był nie większy niż przedramię Mii. Skórę miał bladą, oczy fioletowe, a kiedy się uśmiechnął, odsłonił dwa rzędy granatowych zębów. Paznokcie za to miał srebrzyste jak ołów i ostre jak brzytwy.

*Homunkulus*, powiedział cicho Lyskian, a na jego twarzy odbijała się osobliwa fascynacja czymś, czego nawet on nie potrafił do końca pojąć. *Jak to powiedział Goethe w „Fauście” ustami Wagnera? „Że to, w czym uznawano misterium natury, / Ważąc się mierzyć i analizować, / Organicznie tworzące się dawniej struktury / Zdołamy dziś rozumnie wykrystalizować”.*

Mia jak zaczarowana wpatrywała się w małego człowieczka. *Vraternius* mówił, że *homunkulusy* często pomagają alchemikom przy magicznych praktykach, odpowiedziała. *Ale jeszcze nigdy w życiu nie widziałam takiej istoty.*

*Bardzo trudno jest stworzyć sztucznego człowieka*, stwierdził Lyskian. *Dlatego, jeśli jakiś alchemik ma na swoje usługi homunkulusa, świadczy to o jego mocy.*

– I o jego niezemskiej inteligencji – huknął ktoś donośnym głosem z wnętrza domu. – Szlag by to jasny trafił, nie uczą was tam grzeczności w tej Akademii Wampirów, czy jak? Możecie sobie stać z rozdziawionymi gębami pod domem albo w środku, grunt, żebyście łaskawie zamknęli drzwi! Parowe Duchy z ulicy tylko czekają, żeby się wślizgnąć tam, gdzie ciepło, ale w moim domu nie ma dla nich miejsca!

Homunkulus pełnym gracji gestem zaprosił ich do środka. Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, otoczyło ich przyjemne ciepło połączone z zapachem tytoniu, żywicy i rozgrzanej do białości stali. Dom składał się z jednego tylko pomieszczenia, zagraconego bez reszty krzywymi

regalami. Stały na nich najbardziej osobliwa aparatura i alchemiczne utensylia, na podłodze piętrzyły się wielce chwiejne stosy książek. Mia kilkakrotnie schodziła z Vraterniusem do Magicznych Zbiorów Ghrogonii i już tam była zafascynowana niezliczonymi przedmiotami, lecz tutaj, w tym mikroskopijnym pomieszczeniu, gdzieś poza realnym światem, magia alchemii wydawała jej się jeszcze wspanialsza. Prastare aparaty destylacyjne, grudki metali, pokrzywione noże, szpatułki, chochle i fiołki, miniatury planet i czarne od sadzy lustra tłoczyły się obok siebie bez żadnego widocznego porządku. W powietrzu unosiło się kilka ognistych mis, a przy biurku, zwrócony plecami do drzwi, siedział niewielki człowiek o rozwichrzonych siwych włosach i zamaszystymi ruchami wodził piórem po czarnym arkuszu papieru. Jego opończa była zbyt wielka, toteż jej dolny, pokryty kurzem skraj wystrzępił się i zwisał długimi nitkami.

– Mistrzu Karanov – zaczął Lyskian, lecz alchemik niecierpliwie poderwał w górę wolną rękę i sapnął.

– Ty masz do dyspozycji całą wieczność, panie, ale ja nie – burknął. – Nie zaszkodzi ci więc, jak trochę poczekasz.

Mia wymieniła spojrzenia z Lyskianem i uśmiechnęła się, dostrzegając w jego oczach iskierki rozbawienia. Po chwili Mistrz Karanov rzucił pióro na stół i odwrócił się w stronę przybyłych. Jego skóra była blada jak tutejsze kominy, na policzkach miał delikatne blizny, zupełnie jakby w jego ciało wżarły się klątwy niezliczonych demonów. Zimnym wzrokiem zlustrował wszystkich po kolei. Dopiero kiedy Lyskian skinął głową, wąskie usta Mistrza ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

– Spocznij, Książę – wymamrotał niewyraźnie i podniósł się z miejsca. Stojąc, był niewiele wyższy, niż kiedy siedział, lecz Mia wyczuwała magię, jaka od niego biła, a Edwin aż się cofnął przestraszony.

– Nie musisz się mnie bać, mały – rzucił Mistrz Karanov nie bez ironii. – Jak tak na was patrzę, to ostatnio musieliście widzieć gorsze rzeczy niż ja. – Uniósł lewą brew i zerknął na kieszeń płaszcza Lyskiana. – Jeśli mój nos mnie nie myli, domyślam się, z czym do mnie przyszliście. Pokażcie, co przynieśliście, żebym jak najszybciej miał was

z głowy.

Mia patrzyła zafascynowana, jak wyciągnął rękę do Lyskiana, a przedmioty, które od niego dostał, zawisły nad jego dłonią.

– Nikomu innemu nie powierzyłbym tych przedmiotów – zapewnił Lyskian. – Nikomu innemu poza najlepszym alchemikiem Sekretnej Pragi.

Mia dosłyszała w tonie jego głosu, że te słowa, to było coś więcej niż zwykła uprzejmość. Niezwykle rzadko zdarzało się, żeby wampir okazywał komuś szczerzy szacunek, ale jeśli już się tak działo, to było to ze wszech miar prawdziwe.

Mistrz Karanov mlasnął językiem i zaśmiał się bez cienia szyderstwa.

– Istotnie, jestem najlepszy – stwierdził bez wywyższania się. – Ale tak to już bywa, że jak się jest w czymś bardzo dobrym, to regularnie trafia się okazja, żeby odwalić czarną robotę za innych. Tak było we wszystkich światach, które dotąd objeździłem. Przynosicie mi Czarną Naftę. I przynosicie mi Duszę Pragi. Jeśli to prawda, co mówią plotki – a ponieważ są to złe wieści, więc pewnie są prawdziwe – to pewnie chcecie, abym połączył je w czar, który będzie zdolny poradzić sobie z Klątwą Demonów.

– Nawet więcej – odparł Lyskian spokojnie. – On musi ją zniszczyć.

Mistrz Karanov skrzywił się.

– Nie wątpię, że znasz się na niszczeniu, drogi przyjacielu – mruknął niechętnie. – Ale powinieneś też wiedzieć, że nic nie ma końca. Nic tak po prostu nie znika. Wszystko się tylko przemienia. Tego uczy nas zarówno alchemia, jak i życie. – Przy tych ostatnich słowach zatrzymał spojrzenie na Mii i zanim odwrócił się z powrotem do Lyskiana, w jego wzroku pojawiło się coś kłującego. – Znasz moją cenę, panie.

Wampir rzucił mu niebieskawy kamień.

– Przemień ten kryształ w złoto, jeśli masz na to ochotę. Ale załatw nam czar, którego potrzebujemy. Czas nagli, a jak sam wiesz, on nie czeka na nikogo.

Alchemik z nieprawdopodobną zręcznością złapał kryształ i zaczął



nim obracać, trzymając go blisko zmrużonego oka.

– Kryształ Orpado – powiedział cicho i uśmiechnął się mrocznie. – Istotnie, wiesz, panie, czym opłacić alchemika.

Spojrzał krótko na Lyskiana, a potem wpuścił kryształ do kieszeni. Mamrocząc coś pod nosem, podszedł do biurka, jednym ruchem zgarnął na ziemię wszystko, co na nim było, i mlasnął językiem. Homunkulus natychmiast zeskoczył z latającej misy i z taką szybkością pomknął wzdłuż regałów, że Mia prawie nie mogła nadążyć za nim wzrokiem. Jednocześnie poruszał ustami, wypowiadając bezgłośnie zaklęcia, które sprawiały, że różnego rodzaju przedmioty same frunęły mu do rąk. Z metalowych stelaży, miedzianych szalek, śrubek i sprężyn, kamieni, drutów i najróżniejszych knotów od świec w mgnieniu oka złożył tak skomplikowaną aparaturę, że nawet Jaro z wrażenia aż syknął przez zęby. Na koniec mały człowieczek z artystyczną lekkością przeskoczył przez cały szereg buteleczek i wrócił na swoją misę. Edwin z najwyższym trudem powstrzymywał się, żeby nie dotknąć aparatury, ale Jaro podszedł do niej blisko i przyglądał się z nieskrywanym zaciekawieniem. Mistrz Karanov w tym czasie zdjął z półki księgę, której litery zapłonęły w momencie, gdy ją otwierał. Stronice z szelestem przewracały się same, aż księga otworzyła się na konkretnym zbiorze zaklęć. Mia przewróciła oczami. Ileż to razy była świadkiem takich rzeczy w czasie ćwiczeń u Theryona i nigdy nie udało jej się zrobić nawet czegoś najprostszego.

Mistrz Karanov podniósł wzrok, jakby słyszał jej myśli, i uśmiechnął się szelmowsko.

– Alchemia to rzemiosło, młoda damo – powiedział, dźwigając księgę do biurka. – Wystarczy odrobina talentu, by się tego nauczyć. Podejdźcie bliżej.

Wszyscy skupili się wokół biurka, a alchemik sięgnął po Duszę Pragi. Z cichym brzękiem pył posypał się na jedną z miedzianych szalek, która na krótki rozkaz Mistrza ustawiła się tuż nad cieniusieńkim knotem. Mia nie poczuła żadnego ciepła, widziała jednak płomień wychodzący z knota i w napięciu patrzyła, jak Mistrz Karanov wkłada ziarno jej snu w otwór skręconej spiralnie rurki. Z początku słabo, a potem coraz wyraźniej między dwoma cieniutkimi drucikami pojawił się

pulsujący wir jaskrawego żaru. Magia, którą rozprzestrzenił, była chłodna i Mia czuła na skórze każdy impuls jak lekkie drżenie. To był czar, który z pewnością pokona Ognie Klątwy na ulicach Pragi, nie było co do tego żadnej wątpliwości. Mia wstrzymała oddech, kiedy blask zmienił barwę i powoli pociemniał. Mistrz Karanov chrypliwym głosem wypowiedział formułkę zaklęcia, ale nagle przerwał mu jakiś przeraźliwy dźwięk. Drobnutkie cząsteczki złota wytrysnęły z rurki i rozsypały się w powietrzu.

Mia instynktownie zatkała uszy. Słyszała o syrenach, potężnych czarodziejkach ludu morza, które swoim straszliwym śpiewem zwabiały ludzkie ofiary w odmęty, słyszała też relacje o Szarych Olbrzymach z Karpat, których dudniący oddech przebijał się przez ciało i kości, a jednak wiedziała jedno: tamte odgłosy z pewnością nie mogły być bardziej straszliwe od tego śpiewu. Kłujący ból odebrał jej oddech, błady jak kreda Edwin objął się rękami, a Radvina zachwiała się i musiała się go przytrzymać. Mia poczuła dreszcz, widząc na twarzy Jaro cień, który wykrzywił jego rysy w maskę, przywodząc jej na myśl łapczywość wygłodzonego zwierzęcia. Dopiero kiedy Lyskian rozpostarł nad nimi czar ochronny, udało jej się znowu wziąć oddech, nadal jednak w powietrzu wisiały tamte śpiewy, a rozżarzony wir stracił barwę, migocąc tylko w tracącym na sile świetle.

– Przeklęta kreatura! – wykrzyknął Mistrz Karanov i cisnął jednym z miedzianych kociołków w homunkulusa, aż płonąca misa, sypiąc iskrami, upadła na podłogę. Ludzik nerwowo skoczył za regały i ukrył się za szkieletem królewskiego pytona, nie spuszczać alchemika z oczu. Mistrz Karanov szybko podwinął rękawy i wypowiedział zaklęcie, kreśląc w powietrzu splątane linie układające się w płomienne znaki nad aparaturą. Mia ujrzała magię, która tłumiała przeraźliwy śpiew, jednocześnie z leniwą powolnością przyzywając do siebie drobiny złota. Odetchnęła z ulgą, kiedy śpiew przycichł. Nie przerywając pracy, Mistrz Karanov rzucił gniewne spojrzenie homunkulusowi.

– Ile razy ci mówiłem, żebyś mi tu nie eksperymentował pod moją nieobecność i to w dodatku ze złotym pyłem! Wiesz przecież, jaki potrafi być złośliwy. Przenika do najgłębszych zakamarków i w ułamku chwili potrafi zniszczyć cały czar! Kiedy ty wreszcie zapamiętasz, że

nigdy nie pracujemy z zanieczyszczonym materiałem! Powinieneś być za to przeklęty, gdyby nie to, że już jesteś! Żebyś...

Więcej nie zdążył powiedzieć, ponieważ podłoga zadygotała tak głucho i groźnie, że jego i tak blade oblicze zrobiło się całkiem białe. Rozległ się dźwięk, jakby gdzieś otworzyły się jakieś drzwi albo wieko trumny i Mia usłyszała dudniące kroki, zbliżające się od strony uliczki. Lyskian coś wykrzyknął. Mia nie знаła tego języka, lecz zorientowała się po jego głosie, że grozi im niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, któremu żadne z nich nie zdoła sprostać. Mistrz Karanov zacisnął pięść, by przywołać zaklęcie, lecz w tym samym momencie z hukiem otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wdarł się lodowaty wichur. Jego uderzenie trafiło Mię w brzuch niczym potężna pięść. Padła na kolana, ciężko dysząc, podczas gdy wichur pognał między regały, zrzucając wszystkie książki na podłogę. Szarpał włosy Mii, poczuła, jak przenika ją przeraźliwe zimno, a kiedy spojrzała w stronę drzwi, cała krew odpłynęła jej z głowy.

Na progu stał Duch, ale nie był on z rodzaju tych, które Mia znała z Ghrogonii czy z cmentarzy Paryża, żaden tam cień w rozwianych szatach z dziwnym uśmiechem na ustach. Ten duch był jednym z Przeklętych – człowiekiem, który nie potrafi pojąć, że już nie żyje. Za życia musiał być wielkoludem o gęstych bokobrodach, śmierć jednak nadgryzła jego ciało i teraz skóra wisiała na nim w strzępach, odsłaniając przegniłe mięśnie i ścięgna. Jego niegdyś drogocenne szaty okrywały ciało jak łachmany, a czarna opończa, świadcząca o tym, że był alchemikiem, była zaledwie cieniem. Jak wszyscy Przeklęci cuchnął krwią i rozkładem, jego dyszenie wypełniło pokój, a powietrze zastygło od mrozu, kiedy postąpił krok do przodu. Chociaż jego ciało było niemal przezroczyście, deski podłogi aż zadudniły pod jego stopami, a kiedy spojrzał na Mię żarzącymi się białymi oczami, miała wrażenie, jakby to jego ostre paznokcie przejechały jej po policzkach. On jednak oderwał od niej spojrzenie i zaczął badać wzrokiem wszystko dookoła, a kiedy znalazł to, czego szukał, jego ciałem wstrząsnął spazm. Patrzył na stworzony przez Mistrza czar, który właśnie zmieniał barwę na ciemną czerwień.

– Odejdź! – wykrzyknął Mistrz Karanov, wyciągając przed siebie

pięść. Zanim jednak zdążył wystrzelić z niej czar, przybysz wyrzucił ramię do przodu i zadał alchemikowi niewidzialny cios, który odrzucił go na regały i pozbawił przytomności. W tym samym momencie upadł też na podłogę homunkulus i znieruchomiał. Z szybkością, która sprawiała, że Mia bardziej to czuła, niż widziała, przybysz rzucił się na czar i łapczywie sięgnął po migotliwe drobinki złota. Rozżarzony wir zapłonął na moment gwałtownie, druciki ze zgrzytem wygięły się w stronę dłoni ducha, jakby w magiczny sposób je do siebie przyciągał. Duch jednak za nic nie mógł schwytać złota i im dłużej łapał pustkę, tym bardziej stawał się gniewny. Tracąc panowanie nad sobą, obijał się o stelaże i rurki, i Mia niemal zdrętwiała, kiedy dostrzegła dym wydobywający się z potrzaskanych przewodów. Rozżarzony wir rozbłysnął na moment, a potem skupił się w trzy iskry. Mia zerwała się na równe nogi. Musi powstrzymać Ducha, nie może dopuścić, żeby zniszczył ten czar. Zanim jednak zdołała wypowiedzieć jakiegokolwiek słowo, rozległ się głos Lyskiana:

– Mhar'khor Praa'nam!

Ciało Lyskiana pokryły błękitne strumienie światła i kiedy wyciągnął przed siebie dłoń, jaskrawa świetlista włócznia trafiła Ducha w pierś. Siła magii Lyskiana sprawiła, że przybysz odrzucił głowę w tył, zaczął załamywać ręce jak w piekielnych mękach i wreszcie z przeraźliwym hukiem padł na kolana. Krew ciekła mu z ust, ale kiedy Lyskian podszedł, by zadać mu ostateczny cios, zacisnął pięść, a z jego ust wydobył się głos jak klątwa. Mia poczuła zimno bijące od niego ze znacznie większą siłą niż poprzednio i usłyszała coś jak sapnięcie, kiedy zamroziło czar wysłany przez Lyskiana. Przybysz znieruchomiał. Mia oddychała z trudem, tak zimno zrobiło się w pomieszczeniu. Niewyraźnie słyszała dyszenie Radviny i Jaro, Edwin dygotał w ataku paniki, ale nie miała czasu zajmować się teraz Hartydami. Spojrzała na Lyskiana i na szron, który śladem czaru przesuwiał się po jego rękach, pokrywając jego oczy lodem. Zaraz potem wampir upadł ciężko, jego włosy rozsypały się na ciemnej podłodze, a jego skóra połyskiwała blado w ciemności. Nieznajomy poderwał pięści w górę i sprawił, że potrzaskane odłamki przedmiotów pomknęły przez powietrze. Mia w ostatniej chwili rozpięła czar ochronny i zerwała się na nogi, by skoczyć

ku Hartydom, ale dotarła do nich za późno. Jaro zdołał się schować za jednym z przewróconych regałów, ale Radvina została zraniona odłamkami w ramię, a jeden z ostrych pocisków trafił Edwina w pierś z taką siłą, że go przewrócił. Przerażony chłopiec podniósł dłoń, krew ciekła mu po palcach. Kiedy spojrział na Mię, wyglądał jak dziecko, które znalazło się w śmiertelnym koszmarze. Pospiesznie wysłała do jego ciała czar uzdrawiający, jej magia walczyła z ciemnością, która po niego sięgała, i Mia nie puszczała jego ręki. Z determinacją spojrzała w jego oczy. Nie dopuści, żeby odwrócił wzrok, i kiedy poczuła ciepło, którym jej magia wypełniła jego ciało, odetchnęła z ulgą. Na pewno go uleczy, ale jego oczy nadal były tylko dwiema ciemnymi jamami wypełnionymi strachem. Kiedy stracił przytomność, miała wrażenie, jakby mimo wszystko wyslizgnął się z jej rąk, a ona nie mogła temu przeszkodzić. Czowała wzrok Radviny, który biegł ku niej jakby z wielkiej dali, i nie mogła już wytrzymać zimna, które w tym momencie od środka rozsadzało jej głowę.

Kątem oka ledwie dostrzegła jakiś ruch. Zmusiła się do powstania na nogi, ale było już za późno. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, niewidzialna dłoń Ducha złapała ją za gardło, uniemożliwiając oddychanie. Mróz błyskawicznie rozprzestrzenił się po jej ciele śmiertelnym paraliżem, trzymały ją bezlitosne dłonie przybysza, chociaż on sam wciąż stał daleko od niej. Był lodowato zimny jak trup, ale Mia czuła jego wypielęgnowaną skórę i przez moment ujrzała przed sobą dumnego maga, jakim był kiedyś, dawno temu, w nieskończenie odległym czasie, zanim żądza złota przywiodła go do zguby. Zaraz jednak zimno jeszcze bardziej przybrało na sile i coś jakby czarne skrzydło musnęło czoło Mii. Nagły zawrót głowy odebrał jej wzrok, zaczęła spadać przez tysiące welonów nocy i dopiero kiedy uderzyła o twarde podłoże, a po jej twarzy z szelestem przemknęły liście, dojrzała przed sobą parę oczu wypełnionych mrocznym pięknem.

*Przypomnij sobie.*

Ten głos przeniknął ją na wskroś. Kiedy otworzyła oczy, znów znajdowała się w izbie alchemika, a to, co tańczyło wokół niej, to nie były liście, tylko strzępy papieru.

*Nadstaw się na deszcz, słyszała głos w swoich myślach, niech cię przeszyją żelazne promienie, ślizgaj się w wodzie, która chce cię unieść; lecz trwaj na miejscu, czekaj tak wyprostowany, aż nagle i bezkresnie przeniknie cię słońce.*

Nie mogąc złapać tchu, zorientowała się, że trzyma w dłoni kwiat, który bezgłośnie zmienił się w ciecz. Atrament ciężkimi kroplami spływał jej po palcach, a jego ciemność wzbogacały ciche szepty. Piał się po ścianach i wyłaniały się z niego cieniste postacie, owady wielkości człowieka, pozbawieni twarzy kaci, ludzie w mundurach. Mia rozpoznawała je wszystkie jak dawno zapomniane sny i podczas gdy te istoty prostowały się, otaczając Ducha, przenikając przez niego, tłamsząc jego krzyk swoją potężną mocą, wsysającą jego zimno – ujrzała go przed sobą, tego młodego człowieka, pisarza, który kiedyś zamieszkiwał ten dom. Patrzyła mu w oczy, widziała w nich światło i ciemność, i czuła, że uleczył ją z choroby, która nie miała nazwy.

Kątem oka dostrzegła, jak jedna z postaci pochyła się nad Mistrzem Karanovem i przywraca mu przytomność. Chwiejąc się, stanął na nogi. Usłyszała jego głos, kiedy wymamrotał zaklęcie, zobaczyła szkatułę w jego dłoniach i otwierające się na niej liczne rygle – a potem wieko otworzyło się i z wnętrza szkatuły buchnął ogłuszający śpiew. Ciemne postacie odstępowały, Duch wyprężył się z wrzaskiem, by zaraz potem z obłędem w oku rzucić się głową naprzód do szkatuły. Mistrz Karanov szybko zatrzasnął wieko i wypowiedział potrójne zaklęcie unieruchamiające.

Ciszę, jaka teraz nastąpiła, wypełniał tylko szelest cienistych postaci, które pochowały się w kątach pomieszczenia, już tylko zarysy, jak jakieś skryte myśli, a wraz z nimi zniknął też on, młody człowiek o ciemnych oczach, zupełnie jakby nigdy go tu nie było.

Ciężko dysząc, Mia upadła na kolana obok leżącego Lyskiana. Położyła dłonie na jego skroniach. Były tak zimne, że straciła czucie w opuszkach palców, lecz jej magia rozpływała się ciepłem po jego ciele i wypierała mróz, który przenikał do głębi. Otworzył oczy, w jego spojrzeniu błysnęło coś, jakby zdumienie, kiedy ją rozpoznał. Usłyszała Mistrza Karanova, który klnąc pod nosem, pstryknięciem palców przywrócił do życia homunkulusa. Potem spojrzał badawczo na swoich

gości, jakby chciał się upewnić, że wszyscy żyją, i pochylił się nad pociętą aparaturą. Z cichym brzęczeniem rozżarzony wir pojawił się od nowa.

Mia spojrzała w stronę Hartydów. Edwin ocknął się z omdlenia, palce mu drżały, kiedy dotykał gojącej się rany. Radvina siedziała tuż przy nim, lecz przerażenie wryło się głęboko w jej twarz, sprawiając, że wokół oczu tańczyły głębokie cienie. Tylko Jaro wyglądał na nieporuszonego. Patrzył na Mię w milczeniu, jakby domyślał się, co chce powiedzieć, i tylko czekał, by się temu sprzeciwić. Mia powoli pokręciła głową jakby w odpowiedzi na pytające spojrzenia Hartydów. Wciąż jeszcze czuła pulsujący zawrót głowy, przez chwilę wydawało jej się, że słyszy głosy ludzi tłoczących się wokół niej w czasie jej pierwszej wystawy i czuje na skórze spojrzenia, które biegły ku niej jakby z wielkiej odległości i gasły w pół drogi. Nabrała głęboko powietrza. Coś w niej przeczuwało nadejście tej chwili i chociaż wiedziała, że decyzja była nieunikniona, nagle wyraźnie poczuła szklaną ścianę dzielącą ją od Hartydów i czuła się tak, jakby zaraz miała się udusić pod jej ciężarem.

– Nasza wspólna droga tutaj się kończy – oznajmiła. – Wszystko, co teraz nastąpi, jest zbyt niebezpieczne, abyście mogli stawić temu czoło. Gdy tylko opuścimy Sekretną Pragę, wróćcie na cmentarz. Ukryjcie się i trzymajcie z dala od niebezpieczeństw Innoświata. Do czasu, aż wszystko się skończy.

Potem spojrzała w stronę Jaro, który siedział w kącie z rękami założonymi na piersi.

– Ty będziesz im towarzyszył. Twoja moc jest wielka, nawet jeśli nie do końca zdajesz sobie z tego sprawę, ale dasz radę ich ochronić, albo...

– ...się na to nie zgodzę – odparł Jaro chłodno. – Jestem wystarczająco silny, by iść dalej razem z wami i tak właśnie zrobię. Nie jestem mięczakiem tak jak tych dwoje, więc na pewno...

Zimno tak raptownie wydobyło się z ciała Lyskiana, że Mia aż się wzdrygnęła. Lyskian ani drgnął, tylko objął spojrzeniem Jaro, a to wystarczyło, żeby tamtemu zaparło dech.

– Możesz iść z nami – powiedział tak cicho, że Mię przeszedł dreszcz. – Możesz nam towarzyszyć przez ogień, burzę i śmierć, chociaż

nie jesteś w stanie się z nimi zmierzyć. Lecz ja nie będę cię ochraniał. Wprost przeciwnie. Z radością będę się przyglądał, jak płoniesz żywcem. Decyduj!

Gniew na twarzy Jaro był aż nadto wyraźny. Mia niemal słyszała chrzęst jego kości, kiedy w końcu zmusił się do kiwnięcia głową. Odwrócił się bez słowa. Czują atrament na palcach, kiedy spojrzała w oczy Lyskiana, te ciemne, niespokojne oczy, i pomyślała o tamtym młodym człowieku, o samotności w jego głosie i szeleście rozszeptanych strzępków papieru, który towarzyszył jego słowom – tu, po jej stronie muru.



## Rozdział 35



Ciemność płonęła zimno na skórze Grima. Pełgała po jego ciele, jakby badając go niewidzialnymi palcami, i ledwie od niechcienia skrywała otchłań pod mostem, przez który przechodzili. Skupiony odsunął trochę na bok Remiego, który jak zwykle siedział mu na ramieniu. Też je słyszał, te krzyki dolatujące gdzieś z głębi, i wystarczyło mu, że przez brzmiące w nich cierpienie z trudem łapał równowagę na tym przypominającym cyrkową linę moście. Niepotrzebne mu były dodatkowo szczeciniaste włosy kobolda w uchu.

Wydawało im się, że już całą wieczność podążają za Samhurem przez Zamczysko Gniewu. Łowca przetrwał Ogień Klątwy, a nawet więcej, od momentu, gdy wyrwał sobie jego płomienie z ciała, ciemność w jego oczach stała się jeszcze mroczniejsza i teraz spoglądał w Cienie Kharamonu, jakby chciał je wyzwąć na kolejny taniec nad przepaścią. W milczeniu prowadził Grima i Remiego przez opustoszałe sale o przypominających żywe organizmy sklepieniach, przez wyglądające jak żyły tunele, rozczłonkowane lochy i komnaty, gdzie po kątach zbierały się płyny ściekające ze ścian niby jak przedwieczna krew. Grim wyczuwał, że z każdym ich krokiem powietrze staje się zimniejsze, jakby warstwa po warstwie kładło się na jego ciele, pozwalając przenikać tylko odwiecznemu mrozowi panującemu w tych salach. Od kiedy zrobił pierwszy krok w tę przeklętą ciemność, wszystkie zmysły nakazywały mu zawrócić, a jednocześnie narastało gorąco w jego skroniach, ten przypominający gorączkę żar, który czuł już u bram Zamczyska. To on popychał go do przodu, w głąb Cieni, coraz głębiej ku sercu przerażenia – tam, gdzie czekał na nich Fhar'al Brunkur.

Spod nóg Samhura wystrzelały drobne okruchy skał i spadały w otchłań, a kiedy po upływie długiej chwili Grim nadal nie słyszał, by

dotarły do dna, nieprzyjemne uczucie w okolicy żołądka zmieniło się w twardy kamień. Zatrzymał się na moment, lecz zanim Remi zdążył przytrzymać się jego kołnierza, Grim przywołał w wyobraźni twarz Kronka. Przecież jego stary towarzysz broni błąka się w tej chwili przez koszmary Martwej Rzeki, więc on chyba może wytrzymać trochę wrzasku dochodzącego z bezdennej otchłani! Zacisnął pięści, aż zachręściły mu kości. Już niedługo znowu spotka Kronka, a wtedy wspólnie pokażą khanowi, jak może wyglądać koszmar, co do tego nie miał wątpliwości.

Jego myśli przerwał chrypliwy głos wrony, przenikając upiornie ciemności. Remi wzdrygnął się gwałtownie, kiedy tuż obok niego para skrzydeł wzburzyła powietrze, by zaraz potem zanurkować w otchłań. Samhur zatrzymał się tak niespodziewanie, że Grim prawie na niego wpadł. Z głębokim dudnieniem zapłonął ciemny żar w szparach sklepienia daleko pod nimi i uformował słowa z dawno zapomnianych czasów. Były to klątwy pędzące przez ciemności w tysiącach wypowiedzianych szeptem słów, a kiedy znaki połączyły się w niewyraźne zarysy postaci i zamigotały, na moment rozjaśniły ciemności wokół nich.

Grim aż wstrzymał oddech. W Cieniach leżały niezliczone postacie, ciała splecione w groteskowe twory, ze szponami wbijającymi się nawzajem w ciała, a kiedy ich oczy rozbłyły w białym świetle, zorientował się, że ściany otchłani w całości składają się z tych ciał. Im dłużej się im przypatrywał, tym więcej postaci w nich rozpoznawał, niekiedy kilka w jednym ciele, powykręcanych i splecionych w kończynach prastarych istot i z każdym niuansiem, jaki zaczynał dostrzegać, ześlizgiwał się coraz bliżej nich. Słyszał, jak go przyzywają, jak wołają jego, Dziecię Ognia.

Dłoń Samhura ciężko spoczęła na jego ramieniu. Zimno wampira boleśnie zamknęło się wokół jego piersi, pozwoliło mu jednak oderwać się od otchłani, w której żar rozplomienił się w tym momencie jaskrawym ogniem. To było dwanaście gigantycznych wron, których ciała z głośnym szumem obudziły się do życia. Odrzuciły łby do tyłu i wydały wrzask, od którego zatrzęsł się most, a kiedy rozpostarły ogniste skrzydła i wzniosły się w powietrze, Grim rozpoznał w uderzeniach ich skrzydeł Orruna Argranthona, Czarownika Pierwszego Czasu, którego

szata była otchłanią, a one szybowwały w jej gardziel. Jego wołanie przebiło się gromem przez żar i ciemność, Grim poczuł mróz, za pomocą którego Orrun przemienił klątwy we wrony, i ujrzał, jak pędzą w jego stronę w burzy ognia i lodu.

Usłyszał jeszcze Samhura wykrzykującego zaklęcie, lecz Czarownik już wyrzucił ręce w górę i posłał w ich stronę Błyskawicę Cienia, która rozplatała most przed nimi. Odłamki skały mknęły w powietrzu. Grim schwycił Remiego, który ześlizgnął się z jego ramienia, i rozpostarł skrzydła, ale w następnej chwili uderzenie wronich skrzydeł trafiło go w kark. Było tak silne, że miał wrażenie, iż słyszy, jak pękają mu kości. Uniósł się w powietrze, wyrzucił przed siebie pięść, trafiając wronę w skroń. Jego dłoń wypełniło paraliżujące zimno, ale bestia zanurzyła się w Cienie jak w morze z ciemnego jedwabiu. Grim odwrócił się gwałtownie. Dojrzał niewyraźną postać Samhura, który przebijał się przez wirujące skrzydła wron, jakby robił uniki przed czarnymi mieczami, i zbyt późno usłyszał krzyk, który usunął mu powietrze spod skrzydeł. W następnej chwili trafił go w ramię ostry jak brzytwa dziób. Wrzasnął z bólu, zobaczył, jak oczy wrony rozplomieniają się białym żarem i zanim zdążył się odwrócić, potężne szpony złapały go za kołnierz i szarpnęły w stronę światła.

Nigdy wcześniej Grim nie widział takiej jasności, która jednocześnie była niczym innym jak tylko samą ciemnością. Jedyne, co teraz odczuwał, to klątwy, które wystrzelały z otchłani i rozżarzonymi promieniami wbijały mu się w ciało. Siarka i płomień nasyciły powietrze. Zanurzył dłoń w piórach wrony i ujrzał wyłaniających się z jej oczu pierwszych władców demonów ze złotymi Smoczymi Misami w dłoniach, z których wydobywały się koszmary. Otoczyły go czarnymi obłokami i ledwie dotknęły jego skóry, ujrzał, jak Us'vuril i Kar'monthas prowadzą swój lud przez stepy Udhuru, jak rozszczepiają potem Góry Wschodu i nakazują Ogniovi Ziemi pochłonąć ich ciała, aby mogli osiągnąć bezgraniczne istnienie. Patrzył im w oczy, które były światłem i cieniem, i kiedy wrona zaskrzeczała po raz trzeci, nie czuł już ani bólu, ani zimna. Zamiast tego słyszał jakiś pomruk w swoim wnętrzu, ciemność wokół niego była łagodna jak pieszczoła i wiedział, że żar w jego głowie musi się w niej rozplynać, że nie ma innej drogi jak

tylko ta – lot w Cienie. Wrzask wrony odbił się w jego wnętrzu mrocznym echem i zrozumiał, że to, co wydobyło się z jej gardła, to było słowo, słowo, które kryło się w nim samym i które w jednej chwili mogło zdusić bolesne pieczenie w jego piersi. *Arrmonghur*. Dotarł do Serca Gniewu, odnalazł słowo... *które już na wieczność będzie tutaj czyhać na tych, którzy nie mają innego wyjścia, jak tylko rzucić się w twoją ciemność.*

Głos Samhura trafił Grima jak strzała. Przez chwilę znowu poczuł, jak zimno Łowcy przenika do jego ciała, i nie zawahał się ani chwili. Oderwał wzrok od światła w oczach wrony i wysłał do jej ciała swoje ogniste zaklęcie, aż od środka zaczął przebijać złoty ogień. Bestia z gwałtownym krakaniem wypuściła go ze szponów, Grim zaczął spadać z wielkiej wysokości. W ostatniej chwili zdołał rozwinąć skrzydła i wylądował na zniszczonym moście. Wokół niego szalał gwałtowny wichur, blisko piersi czuł oszalałe bicie serca Remiego. Dwie kolejne wrony leciały w jego stronę przez Cienie, lecz kiedy z wysuniętymi do przodu szponami wypadły z Ciemności, Samhur wskoczył przed nim na most.

Jego płaszcz łopotał na wietrze, on jednak stał bez ruchu, jak w czasie swojej walki ze smokiem – wyczuwając Ciemność wokół siebie i przenikając mrok w swoim wnętrzu. Powoli dobył miecza. Znaki klątwy na kłindze rozbłysły, aby niczym włócznie ze światła pomknąć w stronę wron i zamienić je w czarny popiół. Grim słyszał ich wrzaski, ale głośniejszy w jego głowie był głos miecza, ten śpiewny, pełen skargi przenikliwy zew, który tak długo był spętany i tylko na krótki moment odzyskał wolność. Rozpięła się nad nimi srebrzysta powłoka ochronna, splecione ze sobą znaki prześlizgiwały się przez nią niby malutkie rybki, za którymi Grim nie mógł nadażyć wzrokiem. Znaki chłodno przesuwwały się po jego skórze, kiedy tak szedł mostem za Łowcą i czuł chłodną siłę, z jaką Samhur złamał wolę Nocy. Zostawili za sobą most, ale wrony wciąż im towarzyszyły, nawet wtedy, kiedy szli przez tunele i opuszczone komnaty. Co chwila wypadały z Cieni i wysyłały w ich stronę klątwy drzemiące w murach Zamczyska. Budziły się one do życia w trzaskających płomieniach, potwornie zniekształcone istoty próbujące ich dosięgnąć ostrymi szponami, lecz mimo że wielokrotnie

przemieniały swoje czary w Ognie Klątwy i wysyłały boleśnie w jego stronę – Samhur poradził sobie ze wszystkimi. Za każdym razem, gdy któryś z atakujących zamieniał się w popiół, jego oblicze pojawiało się na obliczu Łowcy, wykrzywiając je w demoniczną maskę, tak że Grim nie potrafiłby już powiedzieć, która z tych twarzy była twarzą wampira, a która tylko maską.

Wreszcie dotarli do przepaści, której gardziel rozpościerała się smoliście u ich stóp, wysyłając w ich stronę lodowaty wichur. Nawet wrony wycofały się na moment, sprawiając wrażenie, jakby obawiały się oddechu wydobywającego się z otchłani Zamczyska. Płaszcz Łowcy łopotał na wietrze, a w jego oczach było coś, jakby pytanie, którego Grim nie potrafił jeszcze pojąć. W tym momencie skrzydła wron przecięły powietrze, bestie ze skumulowaną siłą spadły na nich z góry, lecz Samhur wyrzucił pięści nad głowę, od ścian oderwały się cienie i pomknęły w jego stronę jak płomienne zasłony, a kiedy wysłał w ich ogień swój głos, rzuciły się na wrony. Grim ujrzał, jak ich ciała zapłonęły, raz jeszcze usłyszał wrzask, a potem rozsypały się w popiół. Płaty popiołu dotykały zarem jego skóry. I słyszał ochryple krzyki, które pędziły spalone ciała przez powietrze, by odrodzić je w Cieniach. Samhur uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie, kiedy popatrzył na Grima.

*Cel jest blisko, powiedział cichym głosem i ujął mocniej rękojeść miecza. Pamiętaj o tym, że masz latać, a nie upadać!*

Nie czekając na odpowiedź, skoczył w przepaść. Grim rozpostarł skrzydła i poszybował za nim. Uczynił to natychmiast, zanim jakakolwiek wątpliwość mogłaby mu w tym przeszkodzić, i był nadzwyczaj rad, że Remi, schowany w fałdach jego opończy, nie widzi, co dzieje się poza obrębem powłoki ochronnej. Raz jeszcze usłyszał wysoko nad sobą wrzask rozszarpanych wron, bardzo szybko jednak pochłonął go wichur, który ich otaczał. Co chwila odginał Grimowi skrzydła i miotał nim na wszystkie strony jak liściem. Uderzył o skalną ścianę i poczuł sztywne włosy Remiego na szyi, kobold zawołał coś, ale Grim nie zrozumiał go, ponieważ nagle jakiś głos przebił się przez wichur – jego własny głos, który zagłuszył w nim wszelki ból. *Nie upadnę*, rozbrzmiewały echem jego słowa. Słowa, które tak dawno temu wypowiedział do Mii i które były zgodne z prawdą, tylko inaczej niż

wtedy, mocniej. *Polecę!* Zdecydowanie zacisnął pięści. *Polecę,* pomyślał, posyłając swój głos przez otaczającą go noc. *Nie urodziłem się po to, by upaść!*

I zupełnie jakby te słowa skierowały wiatr pod jego skrzydła, odrzucił głowę w tył i wyrwał się z bezwolnego odurzenia, w które popadł. Wystrzelił w górę i ledwie zaczął pędzić przez wichur, Samhur uniósł dłoń z mieczem i wykrzyknął zaklęcie. Jaskrawe światło wystrzeliło z ostrza, a było tak jaskrawe, że Grim odskoczył oślepiiony. Zobaczył jeszcze, jak obaj pędzą przed siebie, potem dostrzegł zarysy pojedynczych istot z Cienia i zobaczył, jak rozrywają się wokół nich niby strzępki papieru... i zaraz potem nie widział już nic poza białym światłem, które przyniosło ze sobą ciszę.

Powoli opadali coraz głębiej. Światło wokół nich też opadało jak gwiazdny pył, pozostawiając po sobie atłasową, czarną ciemność pozbawioną zimna i demonicznych ogni. Dopiero szum fal przerwał ciszę i kiedy Grim dostrzegł pod sobą morze, od razu wiedział, że nazywa się Gharasund i powstało z łez zagubionych dusz. A pośrodku znajdowała się wyspa otoczona wzgórzami z lodu. Było to ptasie gniazdo, osieroczone i wielkie jak pustynia, a jednak, kiedy wylądowali na jego skraju, Grimowi wydawało się, że wystarczy, aby wyciągnął dłoń, a będzie je mógł schować do kieszeni i zabrać ze sobą.

Samhur uśmiechnął się na swój spokojny, a zarazem lekko kpiący sposób, który mówił Grimowi bez cienia wątpliwości, że Łowca potrafi czytać w jego myślach. *Krzyk Uthu*, powiedział i przyklęknął, aby przesunąć palcem po pokrytym popiołem gruncie. *Dziecię Thagala i Hekaiste, Adeptcie Czarnego Gniewu i Nosicielu Znak Kłatwy na złotym czole. Otoczone przez Noc i Ogień to właśnie twoje gniazdo. To twoje życie i twoja śmierć.*

Uniósł dłoń i ledwie dostrzegalnie poruszył palcami. Ponad falami przebiegł szept. Grim nie był pewien, czy to, co słyszy, to głos Samhura. Chwilę później popiół wzniósł się w powietrze. Delikatnymi strugami popłynął w stronę Samhura i tuż nad powierzchnią jego dłoni połączył się w wir. Smugi stawały się coraz gęstsze i wkrótce Grim widział tylko czarne zasłony, słaby blask Remiego wyglądającego spod jego oponczy oraz zarysy Łowcy, który wezwał do siebie cały popiół. Przez grunt, na

którym stali, przeszło drzenie. A kiedy ostatnia drobina popiołu wleciała w wir, gniazdo składało się już tylko z białych jak śnieg skał. Samhur uniósł dłoń do ust i kiedy skończył wypowiadać zaklęcie, w jego głosie słyszało się jakby brak tchu. Wir natychmiast się rozpadł i na jego dłoni wylądował kryształ, częściowo pokryty skorupą popiołu. Niemal z czcią Łowca uniósł go do oczu i kiedy go obracał, odbił się w nim błysk jego miecza, sypiąc iskrami. Grim odczuwał smoliście czarny blask, jakby to były palce obmacujące jego ciało.

– Czy to... – zaczął Remi, który z czcią przenosił wzrok z Samhura na kamień i z powrotem.

Łowca uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– Dopiero będzie – powiedział cichym głosem, zanim jednak zdążył powiedzieć coś więcej, powietrze wypełniły szepty, które sprawiły, że Grim znieruchomiał. Słyszał już kiedyś ten dźwięk, ten krzyk, który w tym momencie rozbrzmiał nad falami i ponownie pochłonął wszystkie inne odgłosy. Wołanie było jasne i krystaliczne, i zupełnie spoza granicy wszystkiego, co żywe. Grim znowu poczuł pętle opasujące mu pierś.

Samhur złapał go za rękę i wyrwał z tego zastygnięcia.

– Będziesz go niósł – powiedział ochryple i zamknął dłoń Grima wokół diamentu. Kamień był zaskakująco ciężki i tak zimny, że Grim instynktownie chciał cofnąć dłoń, lecz spojrzenie Samhura nie znosiło sprzeciwu. – Strzeż go, Dziecię Ognia. Ja nie dostanę tego, czego szukamy.

Zanim Grim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, ciemność wokół nich rozerwał krzyk. Wszystkie dźwięki, jakie w Zamczysku dotarły dotąd do jego uszu, były zaledwie cieniem tego głosu, wiedział to na pewno. Ten krzyk mógłby palić lasy i miażdżyć góry, przebijał kamień i ciało, i każdą zbroję, pochodził z Międzyświata, do którego nawet Grim nie mógł się dostać i o którym nie miał najmniejszego pojęcia. Ten krzyk odbijał się echem w jego wnętrzu, jakby wprawił w wibrację jego kości, i kiedy Grim się rozejrzał, krew odpłynęła mu od głowy. Otaczające ich morze uważał za obraz ciemności, ale się mylił. Morze było tylko maską, tak jak maską była ciemność, a w rzeczywistości... w rzeczywistości było niczym innym jak tylko czarnym ogniem.

Samhur z rykiem uniósł miecz i bez wątpienia nie było to przedwczesne. Morze płomieni wezbrało i spadło na nich falami wysokimi jak wieże. Magia Łowcy wyrąbała im przejście, które jednak było bardzo wąskie, a płomienie pędziły za nimi, jakby były jeźdźcami Królowej Jazmhul. Grim widział w płomieniach ogromne postacie, centaury z błyszczącymi włóczniami i straszliwie zdeformowane zwłoki rozrywane na kawałki przez jeźdźców, i wydawało mu się, że zaraz go zmiotą, a kopyta ich koni zmiażdżą i jego. Zatoczył się, w ostatniej chwili uniknął upadku. Remi stracił oparcie i musiał wpić się palcami w rękaw Grima. Głos Łowcy przebijał się przez szum płomieni, wysyłając w stronę jeźdźców płonące strzały. Z każdym ciosem, jaki zadawali im atakujący, z każdym krzykiem, który rozdzierał powietrze, Grim czuł, jak kryształ w jego dłoni staje się coraz cięższy. Lodowate zimno wnikało w jego palce, sprawiając, że odgłosy wokół niego stawały się głuche, jakby znalazł się we śnie, a zaraz potem usłyszał w myślach głos z prastarych popiołów i skał.

*Dlaczego, rozbrzmiało w jego wnętrzu. Dlaczego chcesz mnie ukraść?*

Pytanie sprawiło, że Grim się potknął. Samhur chciał pospiesznie chwycić go za rękę, lecz w tym momencie z ziemi buchnął potężny ogień i odrzucił Grima daleko w tył. Zobaczył jeszcze spojrzenie Samhura, który patrzył na niego tak, jakby to przewidział. A potem płomienie między nimi połączyły się i Grim został sam.

Pospiesznie rozpostarł osłonę ochronną, na którą płomienie natychmiast się rzuciły. Zmobilizował się, żeby wstać. Musi dołączyć do Samhura, bo inaczej... Powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk, tym razem okrutny i brzmiący jak szyderyczy śmiech, i Grim już wiedział, że to on jest obiektem polowania. Nikt inny, tylko on.

*Dlaczego chcesz mnie ukraść?*

Jeźdźcy smagali rozpalonymi biczami rozpostartą przez niego osłonę, a on odczuwał każdy cios. Jednocześnie zimno diamentu wnikało do jego wnętrza. Był to prastary jad, który ten piekielny kamień wysyłał w głąb jego ciała i obudził w nim coś, co odpowiedziało ochrypłym rykiem. Grim zacisnął pięści. Przecież jest Dzieckiem Ognia, do jasnej



cholery, i nie pozwoli, żeby jakiś obcy żar zadawał mu cierpienie! Coś w nim wybuchnęło śmiechem, kiedy rozpostarł skrzydła i rzucił się w sam środek czarnego ognia.

Magia płynęła złotem w jego żyłach, wystarczył mały krok, by nie czuł już żadnej różnicy między żarem w swoim wnętrzu, a otaczającymi go płomieniami. Coś w jego piersi krzyczało w gorącym pragnieniu chłodu, który był tak blisko i którego łaknął tak bardzo, jak wędrowiec łaknie wody po długim marszu przez pustynię. Znów usłyszał krakanie wron, poczuł światło ich oczu na swojej skórze i raz jeszcze dotarło do niego słowo, które przebiło się przez Cienie, jak śmiertelne pchnięcie miecza. *Arrmonghur*. Bez tchu rzucił się w tamtą stronę, czuł noc w swoim wnętrzu, która znaczyła o wiele, wiele więcej niż Zamczysko, upiorne miasto Rha'manthur czy Dolny Świat Pragi. Były w tym krzyku, który go przenikał, wszystkie Cienie świata, wszelka ciemność, wszelkie czarne sny, a kiedy wyciągnął dłoń w stronę płomieni, wiedział, że wystarczy, by je schwycił, a stanie się taki jak one i w jednej chwili zgasi tym pieczenie w piersi. Jad diamentu obejmował jego zmysły zimnym żarem, ale nadal czuł żar płomieni na dłoni i słyszał słowa, które niemal bezgłośnie przemknęły przez jego myśli. *Nie zagub się*.

Cofnął gwałtownie dłoń, kiedy przez ciemność przebiła się twarz Mii... jej uśmiech, bezradny i daleki, i zieleń w jej oczach, która łagodziła jego ból.

Jakby z potężnym uderzeniem skrzydeł zapadła cisza, sprawiając, że zgasł otaczający go zewsząd ogień. Grim czuł gwałtowne pulsowanie w głowie, miał wrażenie, jakby nacierały na niego welony popiołów, i kiedy wylądował, znalazł się z powrotem w szarej ciemności nad otchłanią, stojąc na mikroskopijnym kawałku skały, unoszącym się swobodnie w powietrzu.

Odetchnął gwałtownie. Diament spoczywał w jego dłoni ciepły i lekki, po chwili jednak zapłonął czerwonym światłem i stał się tak gorący, że wyslizgnął się Grimowi z palców. Chciał go złapać, ale w tym momencie kamień rozpękł się z głębokim, potężnym hukem i wydobył się z niego Feniks, czarny jak smoła i wypełniony złocistym światłem, które stawało się coraz jaśniejsze. Pióra w jego ogonie zwieszały się daleko w głąb otchłani, jego upierzenie przypominało Grimowi

słoneczny blask migotliwie kładący się na ciemnej wodzie jeziora, a niebieskie oczy patrzyły z góry. Grim odwzajemnił to spojrzenie, a wtedy płomienie stały się łagodne i miękkie. Rozległo się westchnienie tak przenikliwe, że trafiło Grima prosto w serce, i ujrzał łzę, która toczyła się po policzku Feniksa będącego już jaskrawym światłem. Z cichym brzękiem oderwała się od jego ciała i w tym momencie ptak spłonął w złotym rozbłysku.

Grim poczuł iskry na twarzy i w ostatniej chwili złapał łzę, zanim zdążyła upaść na skałę. Był to Czarny Diament. Przez moment wydawało mu się, że dostrzega w nim twarz Mii, ale nagły zawrót głowy przesłonił mu oczy ciemnym welonem. Ostatkiem sił odepchnął się od skały, która rozpadła się pod jego stopami, i poszybował przez ciemność. Jad płynący w jego żyłach spychał go w dół i Grim wylądował na krawędzi stromej skały. Z najwyższym trudem uniósł kryształ do oczu. Czarny blask położył się na jego twarzy i Grim usłyszał w nim echo krzyku Uthu, krzyku Feniksa, który płonął w najpotworniejszych płomieniach, aby potem powstać znowu z własnych popiołów. Jakież wdzięk był w tej istocie, jaki chłód... i jakie piękno.

Ból był tak gwałtowny, że Grim stracił oddech. Jego czar uzdrawiający z całą mocą walczył z jadem, lecz on miał wrażenie, jakby był zaledwie gasnącą iskierką wobec ciemności, która go otaczała, i nie wiedział już, czy to wszystko dzieje się na jawie, czy we śnie, kiedy nagle usłyszał kroki. Zbliżały się do niego z wielkiej oddali, lekkie i ciężkie zarazem. Chciał otworzyć oczy, ale nie mógł. Ostatnie, co do niego dotarło, zanim stracił przytomność, to dotyk zimnej dłoni na jego czole, dłoni jakby wyrąbanej z lodu.

## Rozdział 36



Korytarze Asduru leżały w Cieniach. Tunele rozciągające się pod Pragą jak szeroko rozgałęziona sieć wyłożone były czarnym jak smoła marmurem, a stropy zwieszały się tak nisko, jakby niebotyczny ciężar, jaki na nich spoczywał, przygniatał je do ziemi. Niebieskie pochodnie zapalały się na ścianach, gdy Lyskian się do nich zbliżał, i gasły, gdy tylko wyszedł poza krąg ich blasku.

Mia szła tuż obok niego, lecz niemal nie czuła zimna jego ciała. Zamiast tego wciąż czuła płomienie Ognia Klątwy, którym z ledwością uszli w korytarzach pod praskim zamkiem. Po ucieczce przed Ogniem odprowadzili Hartydów na cmentarz i Mia przypomniała sobie nieprzyjemną ciszę, jaka między nimi zapadła. Wiedziała, że podejmuje słuszną decyzję, niezależnie od tego, jak bardzo wściekły miałby być z tego powodu Jaro. Droga była zbyt niebezpieczna dla ludzi bez magicznego wyszkolenia, czego dowodziła rana Edwina, ale jednak... Miała przed oczami jego twarz, przerażenie malujące się w jego oczach, które w jednej chwili zniszczyło wszelką ciekawość, wszelkie zafascynowanie, nie pozostawiając nic poza bezradnością, i zastanawiała się, czy kiedy ona trafiła do Innoświata, jej twarz miała kiedykolwiek taki wyraz. Pomyślała o wszystkich tych sytuacjach, przed którymi starał się ją ochronić Grim, o niebezpieczeństwach, na jakie niejednokrotnie z dużą dozą lekkomyślności się wystawiała i o jej zachwycie nad Dolnym Światem, który zawsze brał górę nad wszelkimi innymi emocjami. W każdej chwili gotowa była rzucić się głową w dół w jego zagadki, bez siatki zabezpieczającej i liny, i pomijając krótkotrwałe ataki paniki, nigdy w życiu nie miała ochoty przed nim uciekać. Nigdy tak na serio nie przyszło jej do głowy, by tęsknić za tym otępiałym stanem niewiedzy sprzed przebudzenia. Ale Edwin i Radvina tęsknili, widziała to w ich

oczach. Chcieli wrócić do swojego starego świata, świata, którego już nie było, i to ich pragnienie kładło się chłodem na ramionach Mii, podobnie jak ignorancja, z jaką Jaro traktował cuda Cieni. Nie powiedział na pożegnanie ani słowa, lecz w jego spojrzeniu był gniew... i jakiś osobliwy błysk, który przypominał Mii łapczywe spojrzenie hieny tuż przed atakiem. Westchnęła. Jaro na pewno z czasem nauczy się kierować niezadowolone ze świata na jakieś inne tory, była co do tego przekonana. Theyron mu w tym pomoże, podobnie jak i Jakub, a nawet ona sama i... Grim, który bez wątpienia będzie potrafił przywołać młodego Hartydę do porządku szybciej, niż się tamtemu wydaje.

Uśmiechnęła się na myśl o Grimie. Samhur przekazał im wiadomość, że Grim zdobył Czarny Diament, Przeciwczar był zatem w ich posiadaniu, zaś armia Ghrogonii dotarła do lisiej nory w Pradze i czekała na sygnał do ataku. Mia poczuła mrowienie. Marzyła o tym, by dzielić tę chwilę z Grimem, tę chwilę tuż przed osiągnięciem celu. Myślała o tym, jak siedzieli przy ognisku Łowcy, o uśmiechu na jego ustach i tłącym się w jego oczach żarze, co nadal sprawiało, że zimny dreszcz przebiegał jej po plecach. Zszedł do samego serca Gniewu i przyniósł stamtąd Czarny Diament... lecz co jeszcze ujrzał w Ciemności? Odsunęła tę myśl na bok. Już niedługo się zobaczą, a wtedy dowie się, co się z nim działo, i wspólnie złamią Czar Klątwy, który swoim Ogniem zagradzał im drogę do Verusa. Lecz była jeszcze inna droga w górę do praskiego Zamku – droga, która prowadziła głęboko w dół, do dawnego Królestwa Wampirów.

Czuła stęchłe powietrze wypełniające korytarze, powietrze, które było jak ostatnie tchnienie uwięzione w gardle umierającego. Przez długi czas, jak objaśnił jej Lyskian, wampiry były czystym ludem Cieni, ludem Dolnego Świata tak jak demony, dopiero potem udały się ku światłu. *I jak zawsze, gdy ktoś raz znajdzie się w jego blasku, powiedział jej z uśmiechem, nie może się już od niego oderwać. I wtedy taki ktoś jest już po wsze czasy stracony dla Świata Cieni.* Dlatego też większość wampirów opuściła swoje podziemne królestwo, ale ono samo nadal tam było, zastygłe w wiecznym pięknie. Co chwila od korytarza, którym podążali, odgałęziały się tunele i przejścia, a ciężkie drzwi prowadziły do innych części Asduru. Mia wiele słyszała o tym królestwie, o

rozżarzonych wulkanach i niezgłębionych jeziorach, o polowaniach w tajemniczych korytarzach i dżungli Islagonu wokół Miasta Płomieni, Rha´manthuru, i aż się wzdrygnęła na myśl, że Grim musiał przemierzyć Noc Kharamonu w poszukiwaniu Czarnego Diamentu. Samhur umówił z Lyskianem jako miejsce spotkania chatę pod Czerwoną Skałą – miejsce, o którym Mia jeszcze nigdy nie słyszała, a Lyskian na jej pytania wolał wstrzymać się z objaśnieniami. *Świat wampirów jest niebezpieczny, powiedział jedynie. I to zwłaszcza wtedy, gdy wygląda tak, jakby spał.*

W tym momencie Lyskian przystanął przed kamiennymi drzwiami. Przesunął dłonią tuż nad ich powierzchnią, płonące niebiesko linie połączyły się w obrębie drzwi w jaskrawe światło i drzwi się otworzyły. Znaleźli się w lesie z płomieni. Prastare drzewa wystrzelały wysoko w usiany drobnymi rozbłyskami mrok jaskini, liany zwieszały się z ich koron, a paprocie o jedwabistych, białych liściach poruszały się lekko na wietrze. Jednak ogień, który pokrywał wszystkie drzewa i rośliny nierównomiernie mieniającym się żarem, barwiąc pnie drzew na czarno, bynajmniej nie pochłaniał lasu, wręcz przeciwnie – wydawało się, że podtrzymuje go przy życiu. Welony płomieni muskały leśne poszycie, kolorowe ptaki wzlatywały w korony drzew, sypiąc iskrami z ogonów. Mia dostrzegła też cienie bezgłośnych zwierząt pojawiających się w ciemnym żarze poszycia i spoglądających na nią rozplomienionymi oczami.

Przez woń palącego się drewna i tłącego się ognia przebijał się jakiś zapach, który Mia czuła dotychczas zaledwie kilka razy i który teraz przeniknął ją dreszczem, ponieważ podpełzał do niej po podłożu. Były to wymieszane zapachy śniegu, metalu i jedwabistych kwiatów. To krew prastarych wampirów nasączyła ziemię, zmuszając ją do wydania roślinności tego rodzaju. Nagle powietrze rozdarł krzyk jakiegoś ptaka, a dźwięk ten sprawił, że wargi Mii wypowiedziały nazwę lasu.

– Ha´nak Nuy – wyszeptała ledwie słyszalnie. – Las Polowań z Pierwszego Czasu.

Lyskian stanął przy niej. Jego spojrzenie powędrowało po poszyciu, jakby widział w ciemności obrazy z dawno minionych dni, postaci z bronią, będące ledwie tańczącymi zarysami na tle jaskrawych ognia, bestie w łańcuchach czyhające w otchłani lasu. Dawniej wampiry

polowały tutaj na zwierzęta, Innostoty... i ludzi. Lyskian opowiadał Mii o tym i chociaż wiedziała, że nigdy nie brał w tym udziału – *polowania tego rodzaju nigdy mnie nie interesowały*, mawiał – w jego oczach pojawił się teraz osobliwy blask, który sprawił, że na moment stopniała maska młodości skrywająca jego twarz i ujawnił się jego prawdziwy wiek. Lyskian skinął głową, jakby chciał potwierdzić jej myśli, ale nie patrzył na nią. Bez słowa wskazał ścieżkę biegnącą między drzewami i ruszył przed siebie.

Mia podążała za nim w milczeniu. Zapach krwi stapał się z odgłosami lasu i płomienistymi drzewami w obraz o mrocznym pięknie. Czarne motyle pozostawiały ślady popiołu na skórzastych liściach roślin, ich skrzydła połyskiwały w ruchu, a ziemia co chwilę drżała od ochryplego ryku wielkich drapieżników. Mia właśnie wyciągnęła rękę, żeby dotknąć kwiatu rosnącego na skraju ścieżki, kiedy Lyskian rzucił jej krótkie spojrzenie i spytał: *Na pewno chcesz to zrobić?*

Patrzył na nią wyczekująco i ze spokojem, jak to zazwyczaj robił w czasie lekcji, i Mia westchnęła. Aż za często słyszała to pytanie, by nie wiedzieć, że byłoby wielkim błędem odpowiedzieć na nie twierdząco. Wzięła więc jakiś patyk, żeby dotknąć kwiatu, ale ledwie go zbliżyła, z kwiatu wystrzelił czarny jak smoła język i zamienił patyk w pył. Mia z przerażeniem patrzyła na kwiat, w którego kielichu przez ułamek sekundy widać było pokryte łuskami ciało o długich czułkach. Zaraz potem zniknęło.

Lyskian uśmiechnął się ledwie zauważalnie. *Przypomnij sobie, co mówiłem. W moim świecie nie zobaczysz prawdy, jeśli nie będzie ci się chciało pokazać. Jeśli zaufasz pozorom Cieni, upadniesz.*

Kontynuowali drogę i Mia przekonała się, jak bardzo miał rację. Co chwila pojawiały się w poszyciu zwierzęta, które patrzyły na nią nieruchomym wzrokiem. Chociaż Mia nie mogła ich dokładnie rozpoznać, chociaż nie słyszała żadnych odgłosów, wiedziała, że zwierzęta te kierują się węchem i kiedy muskało ją jakieś lodowate tchnienie, nie miała wątpliwości, że pochodzi z pożądliwie otwierających się nozdrzy. Zdarzało się, że i sarny przemykały z lęklwym wdziękiem przez Cienie, dostrzegła też potężnego jelenia, który za nimi podążał. Kiedy jednak spojrzał na nią, Mia zorientowała

się, że patrzy na ludzką twarz pokrytą bliznami, z najwyraźniej niewidzącymi, białymi oczami, które objęły ją spojrzeniem, jakby potrafiły ją zobaczyć... ale w jakiś inny, okrutny sposób. Mia nie mogła nic na to poradzić, ale istota ta sprawiła, że w tym momencie ujrzała las takim, jakim był naprawdę. Ponieważ to, co było w tych oczach, ten zimny blask, nieznający innego prawa niż swoje własne, nieznający litości ani nadziei – wszystko to Mia poczuła dookoła.

Kryło się to na gałęziach płonących drzew, przemykało ścieżką i wpatrywało się w ich stronę, węszyło za nimi i sapało, stwierdziwszy, że oto do lasu wszedł wampir, bo od bardzo dawnego czasu nie było tu żadnego krwio pijcy. Mia czuła te spojrzenia drapiące ją w kark trupimi palcami, podobnie jak ciemność kryjącą się pod rozedrganą powierzchnią piękna – jednym słowem zło, lub to, co dotychczas za takie uważała. Dopiero teraz, kiedy była przez nie osaczona, teraz, kiedy zeszła do jednej z jego kryjówek, zorientowała się, że nigdy tak do końca nie umiała go pojąć, a jeśli nawet, to że było bardziej oddalone od rzeczywistości niż jakiegokolwiek kłamstwo. A im dłużej szła tą ścieżką, im mocniej czuła ciemność na skórze i zimny oddech tamtych istot, które dostrzegały ją znacznie wcześniej, niż ona zdążyła się zorientować, że jest obserwowana, tym bardziej rozpadała się jej dotychczasowa definicja zła. Nigdy wcześniej nie wyczuwała takiego oddania i tęsknoty skierowanych do niej, bezwzględnych i nieznających kompromisów. Patrzyła w Cienie, dobrze wiedząc, że nie zdoła ich przeniknąć i być może właśnie dlatego była w takich chwilach bliżej nich niż kiedykolwiek wcześniej. Czuła otaczające ją Mrok, grozę i zimno... i jedyne, co ją przepełniało, to tylko głęboki, tęskny szacunek.

– Ten las jest przepiękny – powiedziała cicho.

Po twarzy Lyskiana przemknął uśmiech.

– Jest taki, jaki jest – odrzekł spokojnie.

Mia patrzyła na niego z boku i być może wspomnienie blasku w jego oczach, który przez moment pozwolił jej odczuć jego prawdziwy wiek, skłoniło ją do zapytania:

– Ty już tu kiedyś byłeś, prawda?

Lyskian milczał. Mia spodziewała się, że pokręci przecząco głową, jak zawsze, gdy pytała o jego przeszłość, do której bronił jej wstępu, lecz

jego spojrzenie przesunęło się po Cieniach, jakby potrafił w nich dostrzec więcej niż tylko roztańczoną ciemność, i w ledwie widoczny sposób skinął potakująco głową.

– Bhrogrum Dakaskos oprowadzał mnie po tym świecie. To on mnie nauczył wszystkiego, co powinien wiedzieć młody wampir.

– Ale to nie on... – Mia zawahała się, kiedy Lyskian na nią spojrział.

– Nie – odparł, nie czekając, aż dokończy pytanie. – To nie on mnie stworzył. Urodziłem się w trakcie wojny, której okrucieństwa nie potrafisz sobie nawet wyobrazić. To było już dawno temu, ale ja do dziś czuję zapach ludzkiej krwi i widzę twarz mojego stwórcy w blasku pochodni. – Rysy jego twarzy stwardniały, kiedy zaczął mówić dalej: – Traktował mnie jak swojego psa i kiedy zginął, błąkałem się rozdarty, zrozpaczony, opuszczony. – Lyskian zamilkł na chwilę, a jego rysy odprężyły się. – Byłem w drodze do mojej dawnej ojczyzny, niepowstrzymanie przyciągany czymś, co utraciłem na zawsze, kiedy znalazł mnie Bhrogrum Dakaskos, ten wojownik już wówczas będący legendą. Odwiódł mnie od zamiaru dalszego kroczenia tą drogą. – Lyskian uśmiechnął się jakby pod wpływem jakiegoś bolesnego wspomnienia. – *Trzymaj się z dala od światła*, powiedział do mnie i poszedłem za nim do Cieni. Został moim mentorem, moim towarzyszem i przyjacielem, pokazał mi drogę, którą muszę kroczyć jako Nieśmiertelny – ścieżkę między światłem a ciemnością. Nigdy nie okazał słabości, poza jednym wyjątkiem, który oznaczał zarazem jego śmierć. Obronił mnie przed hordą demonów pod wodzą Ogrula, poświęcając się za mnie. Do dziś mam przed oczami jego twarz i ten dziwny wyraz pewności w jego spojrzeniu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że przyniosę chlubę jego dziedzictwu. Lecz nie przyniosłem.

Ból w jego głosie kazał Mii spojrzeć w jego kierunku. Ujrzała, jak w jego oczach pojawia się obraz, obraz zamku, który wydał jej się znajomy. Już raz widziała tę budowlę, na wpół zniszczoną, i dostrzegła Lyskiana w oknie spoglądającego w dół ku młodej dziewczynie o brązowych, spływających lokami włosach. Przez głowę Mii przemknęła myśl, której nie rozumiała: *Powrócił do siebie*, lecz Lyskian pokręcił



przecząco głową.

*Nie ma powrotu dla kogoś takiego, jak ja, odrzekł. Nie ma drogi prowadzącej z powrotem do światła, które się utraciło.*

Mia właśnie chciała zaprotestować, kiedy przez las przeszedł jakiś dźwięk. Lyskian położył dłoń na rękojeści miecza. Z jego oczu natychmiast zniknął blask, na twarzy pojawiło się lekkie napięcie i ledwie to uczucie przeniosło się na Mię, raz jeszcze usłyszała ten dźwięk, tym razem wyraźnie: zbliżające się pożądliwe sapanie.

*Co to takiego?*, spytała, wysyłając do pięści zakłęcie obronne, chociaż nie miała najmniejszego pojęcia, przed kim miałyby się bronić.

Ośłona wysłana przez Lyskiana położyła się na jej skórze lodowatym mrozem. *To Cienie*, odparł. *Przebudziły się.*

W następnej chwili ciemność między drzewami zaczęła migotać. Mia dostrzegła jakieś istoty prześlizgujące się po poszyciu, słyszała ich krzyki rozdzierające powietrze na strzępy. Lyskian przyspieszył kroku, sięgnął do kieszeni płaszcza i sychnął na ścieżkę drobnym piaskiem. Z sykiem zapłonął niebieski ogień, który z oszałamiającą prędkością pomknął ścieżką w obu kierunkach. Mia chciała się cofnąć przed zimnem, jakim emanowały płomienie, lecz Lyskian złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. *Nie zbaczaj ze ścieżki*, rozbrzmiał jego głos w jej myślach, podczas gdy ogień otulał jej stopy niby mgła. *Jeśli tylko opuścisz krąg światła, Cienie cię rozszarpią!*

Ledwie to powiedział, ziemia zaczęła dygotać pod gwałtownym tupotem. Płomienie pełgały wokół stóp Mii, utrudniając jej poruszanie się, i nagle z Cieni wyskoczyły jakieś istoty przypominające dziki, o ostrych jak brzytwa szablach i czarnych cierniach przebijających się przez szarą niczym popiół skórę zamiast sierści.

*Ghorazy*, przemknęło Mii przez głowę. Słyszała o tych istotach, które żyły też w niektórych częściach Borów Mroku. Byli to przeklęci ludzie, przynajmniej tak opowiadały sobie koboldy, z tym że nikt nie potrafił powiedzieć, czy to prawda. Kilkadziesiąt ghorazów wyskoczyło z ciemności, porozumiewając się głośnym kwiczeniem i sapaniem. Coraz bardziej zbliżały się do ścieżki i kiedy tak gapiły się płonącymi oczami i rozdziawiały paszcze, by wydawać przeraźliwe ryki, ich ciała zabarwiały się krwistą czerwienią. Lyskian wymamrotał zakłęcie,

płomienie pokryły jego palce, lecz zanim zdążył je wypuścić, trzy ghorazy wskoczyły na ścieżkę. Niebieski ogień natychmiast się na nie rzucił, lecz ich ciała zapłonęły czerwonym żarem i oparły się czarowi. Parskając, pędziły przed siebie, ale w tym momencie Lyskian cisnął płomienie na ścieżkę i błękitny ogień zamienił się w jaskrawe światło, które łąpczywie pognało ścieżką, utworzyło falę nad ghorazami i spaliło je, jakby były wycięte z papieru.

Pozostali prześladowcy wydali wrzask, jakby światło dosięgnęło ich samych, ale w tej samej chwili jakiś straszliwy ryk przytłoczył ich głosy. A był tak ogłuszający, że przez dobrą chwilę Mia nie słyszała nic innego. Lyskian wymamrotał parę zaklęć, wysyłając ogień na obie strony ścieżki, spalił kilka ghorazów, lecz nagle przez ścianę płomieni przeskoczył jakiś cień, wielki jak koń, tyle że trzy razy szerszy. Był to odyniec, czarny jak noc, z której się wyłonił. Wylądował zaledwie kilka długości ramion za Mią. Dziewczyna krzyknęła, kiedy jego kopyta zadudniły po ścieżce. Światło sięgnęło po niego, ale on zdawał się nie zauważać krwawych ran. Kiedy ryknął ponownie, fala uderzeniowa odepchnęła ogień od niego, zapalając krzaki po obu stronach ścieżki.

Mia poczuła na karku jego oddech, ale w tym momencie Lyskian złapał ją i potężnym susem wyskoczył w powietrze. W pierwszej chwili myślała, że polecą, czuła nocny wiatr na policzkach i włosy Lyskiana, miękkie i znacznie cieplejsze od jego rąk. Ciemność lasu przemykała obok nich, a potem znowu wylądowali na ścieżce. Ogień rozbryznął się, iskry strzeliły na wszystkie strony. Udało im się odskoczyć od odyńca całkiem spory kawał, lecz bestia zbliżała się niepowstrzymanie, otoczona po obu stronach ścieżki ghorazami pędzącymi przez Cienie. Lyskian przyciągnął Mię bliżej, jego oczy były czarne jak Cienie lasu.

*Widzisz Czerwoną Skalę?*, spytał, wskazując na koniec ścieżki. Mia dostrzegła nieco z boku czerwoną poświatę, która przebijała się między drzewami jak cierń ze światła. *To jest twój cel. Pozostań na ścieżce, aż dotrzesz do rozwidlenia. Biegnij, jak najszybciej potrafisz i... nie oglądaj się za siebie.*

Mia otworzyła usta, żeby zaprotestować. Nie może pozwolić, żeby sam walczył z ghorazami, to szaleństwo! Zanim jednak zdołała wydobyć chociaż jedno słowo, Lyskian złapał ją za rękę, a jego chwyt był tak

silny, że poczuła ból.

*Biegnij!*, krzyknął, a jego głos przeniknął jej myśli, jak cios. Odskoczyła i kiedy zaczęła biec, to przez moment uciekała także przed Lyskianem. Nigdy przedtem takiego go nie знаła, zupełnie jakby jakaś obca jej ciemność napierała od wewnątrz na jego twarz i próbowała Mię nastraszyć.

Gdzieś za nią eksplodował potężny czar, poczuła falę uderzeniową i usłyszała krzyk Lyskiana, który sprawił, że straciła oddech. Obejrzała się, zielone płomienie oplatały ścieżkę, lecz oto z ich środka z triumfalnym wyciem wypadł odyniec, a kolejne ghoraze spieszyły za nim. Mia biegła, nie mogąc oderwać od nich wzroku. Ledwie mogła oddychać. Lyskian gdzieś zniknął, co on, u diabła, zamierza? Potknęła się, biegła dalej, aż dotarła do rozwidlenia i bez wahania rzuciła się w krzaki. Ciernie kaleczyły jej skórę, nietoperze o rozżarzonych skrzydłach przelatywały jej nad głową, skrzecząc złośliwie. Za jej plecami ryczały ghoraze, ale Mia nawet się nie odwróciła. Wzrok miała skierowany na skałę, która żarzyła się w ciemności, a kiedy dotarła do polany, czuła się tak, jakby udało jej się ujść z piekła.

Najszybciej, jak mogła, pognąła w stronę skały. Chata musiała być całkiem niedaleko. Tam będzie bezpieczna przed ghorazami, zabezpieczy ją czarami, a potem... Nie udało jej się dokończyć tej myśli, bo nagle na jej drodze wystrzeliły z ziemi drewniane pale. W ostatniej chwili zdołała je ominąć, ale już pojawiły się następne, i zaraz potem coś złapało ją za nogę. Krzyknęła, upadając twardo na ziemię, i błyskawicznie obróciła się na plecy. Roślinny pęd wystrzelił z ziemi i oplótł jej nogę tak mocno, że poczuła kłujący ból w całym ciele, zanim jednak zdołała uruchomić odpowiedni czar, kolejne pędy chwyciły ją za ręce i pociągnęły przez polanę. Rozpaczliwie próbowała się od nich uwolnić, ale ostre ciernie wbijały się w jej ciało, wstrzykując paralizujący jad.

Boleśnie uderzyła o jeden z pali, została poderwana w górę i w błyskawicznym tempie do niego przywiązana. Pędy oplótły jej tułów jak stalowe liny i prawie nie mogła oddychać, za to tym wyraźniej słyszała śmiertelną ciszę, jaka nagle się na nią opuszczała. Żaden odgłos nie dobiegał już z lasu. Żadnego trzasku płomieni. Żadnego skrzypienia

pędów, których ciernie tkwiły w jej ciele. Z tysiącokrotnym wzmocnieniem usłyszała za to trzask gałęzi, kiedy z krzaków wyłonił się odyniec i stanął na skraju lasu.

Mia czuła, jak po nogach ścieka jej krew, i czuła ciężkość, która chciała przycisnąć jej brodę do piersi. Zdecydowanie wbiła spojrzenie w odyńca. Przecież nie jest bezbronnym dzieckiem, do jasnej cholery, tylko wojowniczką, i nie będzie pochylać głowy przed jakąś tam bestią z Cieni!

Odyniec, zupełnie jakby usłyszał jej myśli, wyszedł na polanę. Miała wrażenie, że dostrzega w jego ruchach jakieś wahanie, lecz zaraz potem z jego gardła wydobył się bulgot, tak głuchy i groźny, że zaczęła dygotać. Przywoływał do siebie kompanów i podczas gdy on wpatrywał się w nią z oddali, reszta jego pobratymców wyszła z Cieni. Wyglądali jak wrzody na skórze łąki i kiedy zebrali się wokół swojego prowodyra, odyniec uniósł w górę łeb. Czerwony żar jego oczu jakby spływał mu po policzkach, jakby z czaszki wypływała mu krew, a kiedy wykrzywił pysk, mierząc Mię wzrokiem, w jego oczach pojawiło się coś ludzkiego, coś, co przepełniło ją niewyobrażalnym strachem. Jednocześnie coś oplotło jej szyję, a było to gorsze niż jakikolwiek czar paraliżujący i jakikolwiek ból. Zbierało się w niej obrzydzenie, chciała odwrócić wzrok, ale nie zrobiła tego. *Nigdy nie padniesz przed nikim na kolana*, powiedziała do siebie. *Nigdy*.

W rysach odyńca pojawił się cień gniewu, a może czegoś innego, dawno już zapomnianego. Jego szable odbijały światło skały, sprawiając wrażenie, jakby były pokryte krwią. A potem skoczył do przodu. Mia widziała, jak pędzi w jej stronę, potężny, z szaleństwem w oczach, już niemal czuła jego kły na swojej szyi i odbierała jego odór, odór czarnej, posklejanej sierści, resztek mięsa ofiar między zębami... i jego pot. Był to ludzki pot. Mia poczuła podchodzące do gardła obrzydzenie i w tym momencie usłyszała krzyk, dziki i nieokiełznany, i tak zimny, że oderwała wzrok od bestii i spojrzała w czarne niebo jaskini, tam, skąd dobiegał krzyk.

To Lyskian z szaleńczą prędkością pędził w powietrzu. Jego włosy powiewały na wietrze, skóra była tak blada, że sprawiała wrażenie przezroczystej, a oczy płonęły ogniem tak czarnym, że Cienie lasu

wyglądały przy nim na szare. W dłoniach trzymał dwie pochodnie płonące śnieżnobiałym ogniem. Jedną cisnął w odyńca, który był oddalony od Mii o kilka długości ramion, trafił go i odrzucił daleko na skraj polany. Zaraz potem wylądował na skraju lasu, ale natychmiast znowu wzniósł się w powietrze i jakby mknąc po niewidzialnych kamieniach, drugą pochodnią zapalił drzewa na skraju polany. Płomienie wystrzeliły w górę i ruszyły przed siebie. Ogień otoczył atakujących, zamykając ich w pułapce, a każdy nim dotknięty, płonął żywcem.

Lyskian wylądował pośrodku polany i gdy tylko Mia go ujrzała, z rozwianym włosom, otoczonego Cieniami i śladami okropności, ujrzała przed oczami obrazy bitew, w których uczestniczył, polowań, które prowadził razem ze swoim starym mistrzem, i wojen, w których był wodzem w czasach znanych Mii tylko z opowieści. Poderwał w górę miecz, z którego z grzmotem buchnął czarny płomień, a kiedy odwrócił się i użył go przeciwko wrogom, ich ciała osunęły się na ziemię jak ścięte kłosa.

Mia wiedziała, że miecz jest sporządzony z aryonu, stali Najstarszych Wampirów Pierwszego Czasu, znała zaklęcia i magiczne formułki, na których opierała się jego moc. Lyskian używał go z wielką łatwością. Chociaż ghorazy zadawały mu głębokie rany, nie udało im się go powalić. Jego ruchy stawały się coraz szybsze, blask miecza coraz bardziej jaskrawy i kiedy Mia spojrzała w oczy Lyskiana, wzdrygnęła się mimo woli. On był nie tylko wojownikiem wolnego ludu Krainy Cieni. Był wampirem, dla którego dobro i zło nie miały znaczenia, jeśli akurat nie chciało mu się ich włączyć do własnego systemu wartości. Ludzka fasada opadła, a to, co Mia ujrzała pod nią, sprawiło, że krew odpłynęła jej z głowy. Zbyt łatwo było dać się zwieść pozorom, zbyt łatwo było się w nich zagubić, ale teraz, kiedy Lyskian walczył z ghorazami, teraz, kiedy nie było miejsca na żadne maski, Mia po raz pierwszy patrzyła bez żadnej zasłony w otchłań, jaka się w nim kryła. Lyskian kładł jednego przeciwnika za drugim, sprawił, że polana spłynęła krwią, a kiedy zabił ostatniego sztychem prosto w serce, odrzucił głowę do tyłu i obnażył zęby. Były ostre jak igły, zupełnie jak kły drapieżnika, który nie zna nic innego niż krwawy amok. Mia patrzyła bez tchu, jak Lyskian pochyla głowę. Kiedy wyjął z kieszeni chustkę i otarł nią klingę miecza z krwi,

jego spojrzenie było utkwione gdzieś w dali. Potem włożył miecz do pochwy, poruszył ramionami, jakby go coś bolało, i powoli odwrócił wzrok w stronę Mii.

Jego rysy z wolna zaczęły przybierać wyraz opanowania, lecz w oczach wciąż jeszcze płonął czarny ogień. Kiedy jego spojrzenie padło na nią, jej nadgarstki przeszył kłujący ból. Przerażenie było tak niewiarygodnie silne, że aż się skuliła. Aż nazbyt wyraźnie czuła własną krew ściekającą po palcach i wiedziała, że Lyskian poczuł to wcześniej od niej – słodkawy i kuszący zapach ludzkiej krwi. W jego oczach pojawił się osobliwy blask, kiedy ruszył w jej stronę.

Mia z całej siły starała się uspokoić oddech, powiedziała sobie, że on na pewno wiedział o tej pułapce i tylko dlatego jej nie uprzedził, ponieważ ghorazy nigdy nie odważyłyby się wyjść na polanę, gdyby nie wyczuły jej strachu. Tak, na pewno tak właśnie było, Lyskian nie chciał jej zrobić krzywdy, bo... Lyskian był już bardzo niedaleko i czerń w jego oczach zgasła wszystkie jej myśli. Było w nich coś, co syciło się jej strachem. I usłyszała w myślach słowa, które do siebie wypowiedzieli. *Ufam ci*, powiedziała i znowu zobaczyła ten zagadkowy uśmiech Lyskiana, kiedy jej odpowiedział: *Dziecinko... nie powinnaś tego robić.*

Zatrzymał się tuż przed nią. Nie mogła znieść jego wzroku, który był zimny i okrutny i nie miał już w sobie nic ludzkiego. Poczła przeraźliwy przypływ lęku, ale dokładnie w chwili, kiedy zaczęła dygotać na całym ciele, w czarnych oczach wampira zobaczyła siebie. Z determinacją zanurzyła się w ciemności jego spojrzenia jakby w dwóch zwierciadłach i poczuła jego tęsknotę, jego rozpacz, jego walkę z tym, kim był. Wokół niego szalała ciemność i przez krótki moment poczuła też przemożne pragnienie poddania się tej jego tęsknocie, rzucenia się w Cienie, żeby go powstrzymać w spadaniu i żeby on mógł ją powstrzymać w spadaniu w nieskończoną nicość. Strach sprawił, że jej głos drżał, ale jej słowa były łagodne, gdy powiedziała: *Jesteś jak las.*

Widziała, jak słowa te wpadają w jego ciemność – na moment czas stanął w miejscu. A potem zwierciadła rozpękły się i porwały ze sobą żądzę.

Lyskian popatrzył na nią, jakby się dopiero co obudził. Rysy jego twarzy były miękkie, niemal delikatne. Ostrożnie rozwiązał ją, wyleczył

jej rany i poczekał, aż będzie gotowa przebyć resztę drogi. Nie powiedział ani jednego słowa, lecz na jego wargach błąkał się uśmiech, który kazał Mii pomyśleć o szepczących popiołach i krwistoczerwonej woni maku na polu wieczności.

## Rozdział 37



Sen był jak morze z czarnego jedwabiu. Grim nie miał pojęcia, jak długo leżał na dnie oceanu, kiedy nagle przez ciemność przedarło się światło, mętny, srebrzysty blask, który dotknął jego ciała i ledwie to się stało, pociągnął je w stronę powierzchni.

Owiał go lodowaty podmuch, lecz zanim ból głowy sięgnął jego skroni, poczuł czyjąś dłoń na czole. Była delikatna jak ręka lalki, lecz on wiedział, jaka siła tkwi w każdym palcu, i wiedział o czarnej krwi, która zbyt wolno płynęła w żyłach tej osoby, zupełnie jakby ktoś na siłę ją tam wtłoczył. Czuł siłę otaczającego go morza, przypływ, którego fale gdzieś w oddali uderzały o ciemne skały, i głęboki spokój, który przyniósł ze sobą z dna oceanu. Przez moment wydawało mu się, że jeśli tylko zdoła całkiem otworzyć oczy, zobaczy chmury i błękitne niebo. Wtedy dłoń cofnęła się z jego czoła. Fale wokół niego powoli zanikły, podobnie jak ból głowy czający się pod czaszką, i Grim zobaczył, że leży na obciążonej atlasem sofie. Przyjemny chłód muskał jego czoło. Otworzył oczy.

Znajdował się w jakimś pokoju na dnie morza. Stały w nim prastare i poniszczone meble, tkaniny, którymi były pokryte ściany, odpadały w strzępach, a niemal ślepe lustra odbijały światło wpadające przez częściowo powybijane szyby okien. Nie było słycać nic poza ciszą i głuchym biciem jego serca. Uniósł się nieco. Drobinę kurzu zatańczyły w mętym świetle, obok sofy płonęła pochodnia i Grim nagle zrozumiał, gdzie się znajduje. Słabo świecące mgły prześlizgiwały się po jego skórze, wyciągając z ciała jad Feniksa. W fotelu obok, na wpół zlewając się z Cieniami, siedziała Caryca. Jej włosy poruszał bezgłośny wiatr wiejący w tym upiornym domu, jakby były igraszką fal. Jej oczy kryły się w ciemnościach. Grim niemal czuł mrok na swojej twarzy jak



czyjeś zimne palce.

– Gdzie... – zaczął, lecz jego głos był tylko ochrypłym skrzekiem.

Skarnaara podniosła się w milczeniu. Włosy opadły jej na ramiona jak jedwabista zasłona, a kiedy się nad nimi pochyliła, przesuwając dłonią nad jego sercem, jej twarz rozjaśnił blask pochodni. Była tak blada, jakby na zamarzniętym uśmiechu zaległa cieniutka warstewka lodu, a oczy, które z oddali wydawały się czarne, w rzeczywistości były ciemnozielone i tańczyły w nich złote iskierki. Jej magia była cicha, lecz Grim natychmiast odczuł zmianę, kiedy ustąpiły ogrzewające pasma mgieł. Drapanie w gardle zniknęło i chociaż Caryca nie powiedziała ani jednego słowa, jednym spojrzeniem odpowiedziała na wszystkie jego pytania. To ona go znalazła. To ona go uleczyła. Samhur i Remi czekają na niego. Zanurzył się w ciemność Feniksa, która od prastarych czasów zalegała w Zamczysku Gniewu. Caryca uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie i opuściła dłoń. Na moment dotknęła jego piersi. Jej palce były ciepłe. Potem wróciła na swój fotel z twarzą zwróconą w stronę blasku płomieni. Spojrzała na niego.

– Jad Feniksa jest silny – powiedziała. – Ale ty także. Bardzo długo twoje odbicie widniało w blasku diamentu, zanim zdołałeś mu ujść, ale udało ci się i sny mojej magii sprowadziły cię z powrotem na powierzchnię.

Grim powoli skinął głową. Dopiero teraz, kiedy Caryca o tym powiedziała, w jego głowie pojawiły się obrazy, niewyraźne zarysy istot o zielonkawej skórze i zagadkowych oczach z obsydianu. Czuł, że pływa w czarnym stawie, po chwili poczuł czyjeś ręce chwytające go i ciągnące w dół, przez migotliwe światło, i miękkie, długie włosy. Jak to możliwe, że zapomniał te sny, te obrazy, które teraz wydawały mu się tak rzeczywiste?

Caryca uśmiechnęła się zagadkowo.

– Czyżby twoje sny nie były warte tego, byś uważał je za rzeczywistość? – spytała, a migotanie skierowało wzrok Grima na jej kolana. W dłoniach trzymała Czarny Diament, lecz w miejscu, w którym dotykały go jej palce, jego blask zgasł. Grim ujrzał rozbłyskującą w nim swoją twarz, a także twarze Remiego, Theryona, mury Ghrogonii, Paryż w mdłej szarości zimowego poranka. Obrazy te poruszyły go głęboko,

czuł zapach włosów Mii, słyszał głos Walliego, czuł zimno Górnego Świata, a na języku smak dymu wypełniającego *Zmierzch*.

– Podarowałaś coś Krzykowi Uthu – powiedziała Caryca łagodnie.  
– On dał ci za to swoją łzę, Fhar'al Brunkur. Widziałam obrazy tego zdarzenia w twoich oczach, kiedy leżałeś w gorączce. Widziałam las w płomieniach, stolicę Innoświata, zielonego kobolda... i dziewczynę o ciemnych włosach i szukających oczach. Wielokrotnie ją widziałam. Kim ona jest?

Jak oświetlony snopem światła z latarni morskiej rozbłysnął w diamencie obraz, który sprawił, że wszystkie inne zbladły. To była Mia, w tamtej chwili, kiedy odwróciła się w stronę Grima, gdy rozdzielili się w piwnicach Łowcy. Przeszła już przez drzwi, ale zanim się oddaliła, raz jeszcze obejrzała się, myśląc, że on tego nie zauważy. Grim dostrzegł jednak jej spojrzenie, w którym było tyle tęsknoty, miłości i oddania, tyle smutku i lęku, i za to ją kochał, za to, że miała takie właśnie oczy i że umiała tak na niego patrzeć.

– Moim życiem – odparł. – Dotarła do mnie w ogniu Feniksa, przedarła się przez wszystkie Cienie i ognie.

Grim odwrócił się, bo nie mógł już dłużej znieść spojrzenia Mii. Wiedział, że jego słowa są zgodne z prawdą, ale pamiętał też, jak cichy był jej głos, prawie niesłyszalny, a za to z jaką mocą porwało go wezwanie Fhar'al Brunkura. Wzdrygnął się lekko, czując na skórze kosmyk włosów. To Caryca pochyliła się w jego stronę, a jej włosy niby dym musnęły jego dłoń.

– Kochasz ją – powiedziała tak cicho, jakby wypowiedziane głośniejsze słowa mogły się rozprysnąć na kawałki i poranić jej wargi.

Grim skinął ledwie dostrzegalnie głową.

– Bardziej niż cokolwiek innego.

Spojrzała na niego, jakby zastygła w bezruchu, i Grim po raz pierwszy poczuł się nieswojo, widząc, że przestała oddychać. Przeszedł go dreszcz, chociaż wysłane przez nią strumyki ciepła cały czas muskały jego skórę. A kiedy Skarnaara nabrała wreszcie powietrza, odniósł wrażenie, jakby w ten sposób jego pozbawiła oddechu. Dopiero jej uśmiech rozluźnił napięcie, jakie nagle go ogarnęło. Skarnaara skinęła głową, jakby o tym wiedziała.

– To musi być piękne, doświadczyć czegoś takiego, będąc istotą śmiertelną – powiedziała. – Istotą, która nie musi doświadczyć końca wszystkich rzeczy.

Grimowi wydało się, że jakiś impuls przebił się przez czerní jej źrenicy – ból albo uderzenie serca. Na moment spuścił wzrok.

– Niektóre rzeczy nie kończą się nigdy, Caryco.

Jej uśmiech stężał, jakby pokryła go warstewka lodu.

– Był czas, kiedy myślałam tak samo – powiedziała, lecz jej słowa były ostre jak klinga miecza. – *Na zawsze*. Cóż to za słowa, istoto o ludzkim sercu? Cóż one mogą znaczyć dla istoty takiej, jak ja? – Zaśmiała się szyderczo, a potem znowu spowaźniała, nagle i nieoczekiwanie, i dokończyła szeptem: – Wszystko. Znaczą wszystko. Myśli o zapachu świeżo skoszonej trawy, o jego dłoni na moim policzku, jego uśmiechu na tle murów zamku w czasie burzy. Widzę go przed sobą, nas oboje, widzę jak pędzimy konno przez lasy, szybciej, niż porusza się światło, i słyszę nasze słowa jak przez tysiące zasłon z płatków śniegu. *Na zawsze. Na zawsze.*

Podniosła się i bezgłośnie podeszła do okna. Tylko jej suknia lekko zaszeleściła. Na jej twarz padło światło jednej ze Srebrzystych Topoli, coś żywego pośrodku Półmroku, co sprawiło, że wydała się jeszcze bledsza, i spotęgowało wrażenie zimna i lodu.

– *Na zawsze* – powtórzyła, a uśmiech, który przemknął po jej twarzy, był jak rana. Rozciął maskę ukrywającą prawdziwe rysy i Grim poczuł, że powinien się odwrócić, bo odebrał to tak, jakby się przed nim obnażyła. Nie zrobił tego jednak. Zbyt piękny był to widok, który się przed nim otworzył – delikatna i krucha twarz Carycy i ciemność w oczach, która rozświetliła jej postać.

– Te słowa tak wiele dla nas znaczyły – powiedziała ledwie słyszalnym głosem. – W którymś momencie jednak słowa stają się już tylko wspomnieniem. Rzeczy tracą swoje znaczenie, przesypują się między palcami jak piasek, im bardziej rozpaczliwie usiłujemy je zatrzymać. I pewnego dnia patrzemy na siebie i widzimy własną maskę w rysach tej drugiej osoby, i nie pamiętamy już, czy jest pod nią coś innego poza zimnem i lękiem, albo nawet gorzej: staje się nam to obojętne. Powietrze jest wtedy ciężkie i duszne, i nie ma już innego

wyjścia poza tym jednym.

Zamilkła, jakby zabrakło jej nagle tchu, tak że słowa wyszły z jej ust tylko w formie szeptu. Grim ujrzał obrazy pojawiające się w rozbitej szybie okna, obrazy opuszczonych sal, posadzki z zakrzepłej krwi oraz błyszczących, przydymionych zwierciadeł. We wszystkich tych obrazach widział Carycę. Widział, jak schodzi do Dolnego Świata Pragi, widział też Lorda, który za nią patrzył, gdzieś w jednej z niezliczonych komnat swojego królestwa, i słyszał krzyk rozlegający się w każdym z nich, to wołanie, do którego żadne z nich nie było już zdolne. We włosy Skarnaary zaplatały się płatki śniegu, Grim widział to tak dokładnie, że wydawało mu się, jakby czuł ich zapach, i kiedy obrazy zniknęły, zorientował się, że wciąż wstrzymuje oddech.

– Uciekłaś, pani – powiedział, zanim jeszcze nabrał powietrza. I dopiero kiedy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że to prawda. Na moment zapadła śmiertelna cisza, chłód w pomieszczeniu tak zgęstniał, że aż chwycił Grima za gardło. Właśnie chciał unieść dłoń, by przerwać ten czar, kiedy Caryca odwróciła się gwałtownie. Zrobiła to tak szybko, że jej włosy smagnęły powietrze, rwąc na strzępy jedną z zasłon. Gniew w jej oczach rozпалиł okna czerwonymi płomieniami, pojawiły się w nich postacie. Grim ujrzał snopy iskier i usłyszał płacz dawno zmarłych dzieci. Caryca stała bez ruchu, lecz wokół jej ciała szalał lodowaty wichur, szarpiąc suknię, a kiedy rozwiął jej włosy, Grim przeraził się na widok przezroczystej skóry. Pod jej powierzchnią przesuwaly się cienie, jak martwe ciała pod warstwą przejrzystego lodu. Wichur odebrał mu dech, podczas gdy rysy Carycy stały się wyraziste, jak wymodelowane ostrym świetlnym refleksem.

– Dziecię Ognia – powiedziała cicho, a jej głos sprawił, że igły wichru wbiły się głębiej w jego skórę. – Cóż ty możesz wiedzieć o żądzy ciemności, która we mnie płonie, coż możesz wiedzieć o zimnie wypełniającym moje ciało, albo o brzemieniu myśli po upływie całego tego czasu? – Czł Cienie płonące w jej oczach jak ogniste dotknięcia na skórze, a kiedy znowu zaczęła mówić, ujrzał obrazy, ukazujące się na przenikniętych płomieniami szybach. – Cóż ty możesz wiedzieć o złamanym liliach na grobie dziecka? Cóż możesz wiedzieć o czaszkach roztrzaskujących się na dnie studni i o smaku słów umierających na

lodowatych wargach? Nie znasz wieczności, istoto o ludzkiej krwi, nie domyślasz się nawet grozy nieśmiertelności, istoto o kamiennym ciele! Nie masz pojęcia, kim jestem!

Przy ostatnich słowach jej głos nabrzmiął, uniosła ręce w górę, obrazy zaczęły migotać z szaleńczą prędkością, by za moment jak smuga rozedrganych cieni zniknąć w jej piersi. Odrzuciła głowę w tył, włosy smagnęły jej ciało, pozostawiając krwawe pręgi. Grim usłyszał chrzęst kości, kiedy zacisnęła pięści, by za moment z przenikliwym krzykiem raptownie opuścić ręce. Szyby okien za jej plecami rozprysnęły się na kawałki, Cienie porozrywały się. Skarnaara stała jak skamieniała, jej włosy były tylko czarną mgłą. Kiedy zapadła cisza i grobowe zimno zwolniło uścisk na jego gardle, Grim spojrział na nią. Cieniutkie rozcięcie biegnące przez jej policzek właśnie się zasklepiało i pojedyncza kropelka krwi spływała po skórze jak czarna łza. Grim odwzajemnił jej spojrzenie, ujrzał mróz, który ze skończoną pięknnością wślizgnął się w jej rysy, skrywając każdy cień i przez moment przenikliwym żarem przeszył go ból, którego ona nie mogła już poczuć.

– Tak patrzę na ciebie – powiedziała głosem znowu tak łagodnym jak przedtem, zupełnie jakby tamten krzyk zepchnął gdzieś w głąb wszystkie inne emocje. – I robi mi się od tego ciepło, ponieważ przypominasz mi to wszystko, co utraciłam. Nigdy nie pojmiesz, co to znaczy być niczym więcej jak tylko popiołem i dymem. Dno morza to nie jest miejsce dla ciebie. Wynurz się na powierzchnię.

Grim chciał zaprotestować, lecz już nabierając powietrza, wiedział, że każde jego słowo spłonie pod jej spojrzeniem. Znał prastare wampiry, nigdy się przed nimi nie cofał, ale widok Skarnaary przejął go dreszczem. Z trudem stanął na nogi. Jej milczenie zmuszało go do stawiania kolejnych kroków, aż przeszedł przez całe pomieszczenie, a kiedy poczuł jej spojrzenie na plecach, raz jeszcze się odwrócił.

– Poczułem twój ból, pani – powiedział. – Ból, który utraciłaś i z chęcią powtórzę raz jeszcze: ty uciekasz, Caryco Nocy. Wiem, o czym mówię, bo przypominam sobie moją własną ucieczkę, i to za każdym razem, kiedy spoglądam w oczy dziewczyny, której uśmiech wstrząsnął mną do głębi, bo taki jest skończenie idealny, albo kiedy głaszczę policzek dziecka, kiedy śpi, chłopca, dla którego stałem się przyjacielem,

bratem, ojcem, po prostu dlatego, że mi na to pozwolił. – Umilkł, widząc, że Caryca otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz jednak pokręciła głową i chciała się odwrócić. Grim nie spuszczał z niej wzroku. – O ileż łatwiej jest pozostać w zimnie – ciągnął. – Wiem, jak to jest, i wiem, jaką drogę wybrałaś dla siebie, pani. Znam jej pokusy. Lecz pomyśl o jednym, pani: na koniec okazuje się, że ona odbiera nam to, co chcieliśmy zachować. Wiesz zresztą o tym, pani. A nawet więcej, Władczyni Nocy, ty... ty to *czujesz*. Spoczywasz na dnie morza, ale wcale nie jesteś martwa, jak ci się wydaje. Fale igrają twoimi włosami, a światło aż się srebrzy od twojej tęsknoty, pani. Zgadza się, spalasz się w wieczności, ale możesz jej przeciwstawić ogień, z którym ona sobie nie poradzi. – Ciemność w oczach Skarnaary rozjarzyła się i Grim z trudem tylko wytrzymał jej spojrzenie. – Czy wiesz, pani, że on jest równie skamieniały jak ty? – zapytał mimo wszystko. – Czy wiesz, pani, że siedzi w zamczysku z lodu, całkiem sam? Czy wiesz, pani, że jedyny zapach, jaki on jeszcze pamięta, to zapach płatków śniegu w twoich włosach? – Przez moment znów pojawił się przed nim obraz w oczach Lorda, który tamten ujrzał w zamku, i ponownie wydało mu się, jakby poczuł zapach śniegu, kiedy włosy Carycy poruszył wiatr. – On przepadnie wraz z tym obrazem. Zatraci się w nim, ponieważ nie zdoła go zachować. Czy chcesz, pani, aby z tobą stało się tak samo? – Pokręcił głową. – Może i jestem młody w porównaniu z tobą, pani, i być może masz rację, może jestem po prostu dzieckiem. Ale obojętne, co powiesz, pani, jednego jestem pewien: jesteś czymś o wiele więcej niż tylko popiół i dym.

Caryca nic nie odrzekła, lecz spoglądała za Grimem jeszcze długo po tym, kiedy wyszedł na mroczne ulice Rha'manthuru. Patrzyła za nim bez ruchu, oczami równie czarnymi jak jej włosy, a był w nich blask, który sprawił, że jej twarz stała się łagodna. Grim wiedział z całą pewnością, że nigdy przedtem nie widział takiego spojrzenia u żadnego prastarego wampira, spojrzenia o tak nieudawanej piękności, spojrzenia, które było niemal ludzkie.

## Rozdział 38



Gorąco przesunęło się po policzkach Mii, jakby chciało spalić jej ciało i oderwać je od kości. Drzewa tłoczyły się jedno przy drugim wokół Czerwonej Skały, ich liście migotały w strumieniu płomieni, syjąc rozżarzonymi iskrami na spaloną na węgiel ziemię. Mia czuła swąd nadpalonego materiału opończy, powietrze wdzierало się do jej płuc gwałtownym żarem i kiedy wreszcie ujrzała między pniami zbawczą chatę, wydała okrzyk ulgi.

Chatę otaczały czarne łąki. Płomienie odbijały się w jej oknach, wprawiając szyby w wibracje. Dźwięk ten przypominał Mii głosy vynthonów, które słyszała kiedyś w Morzu Północnym, przodków syren, potężnych istot z morskich głębin, które wychodzą na powierzchnię raz na trzysta lat, aby znaleźć bratnią duszę i zabrać ją w głębiny, do wiecznych ciemności. W ich śpiewach pobrzmiwała osobliwa tęsknota i zagubienie, a teraz, kiedy Mia usłyszała te dźwięki głęboko pod ziemią, otoczone śmiercionośnymi płomieniami, znowu poczuła na twarzy wiatr i fale i zobaczyła siebie stojącą z Grimem na brzegu morza. Może ogień i wichry wcale się tak od siebie nie różnią? Może w swoim zagadkowym, ciemnym sednie są nawet jednym i tym samym?

Lyskian pchnął drzwi chaty i ledwie Mia do niej weszła, otoczył ją przyjemny chłód. Zsunęła kaptur z głowy. Z jej opończy unosiły się cieniutkie smużki dymu, rozplywając się w niewielkim pomieszczeniu niczym upiorne cienie. W kącie dostrzegła drewniany stół i sześć krzeseł, deski podłogi były powycierane i pełne zadrapań, a kiedy Lyskian zapalił pochodnię zatkniętą na ścianie, Mia dostrzegła na progu ślady krwi, jakby wielokrotnie ciągnięto przez niego rannych. Pod przeciwległą ścianą znajdował się wysoki aż do sufitu portal, którego kamienie błyszcząły jak krwawe mięso. Przesunęła dłonią po wcięciach

wzdłuż krawędzi – były to słowa w języku ànth´karya – i poczuła pod opuszkami palców chłód kamienia.

– Brama Charayona – powiedział Lyskian i przesunął wzrokiem po znakach, jakby każdy z nich przemawiał do niego innym głosem. – Stworzona w głębi żelaznej góry, tam, gdzie zimno pochłania łąpczywie każdy ogień, chroni Katakumby Łowów po drugiej stronie... i Wysoki Zamek mojego ludu w Twierdzy Wiecznego Kamienia.

Mia w ledwie dostrzegalny sposób skinęła głową. Wiedziała, że wampiry po wyjściu z Cieni Rha´manthuru początkowo wybrały Hradczany na obszar swego panowania. Znała obrazy Wysokiego Zamku, leżącego we wnętrzu góry, i rysunki Wewnętrznego Kręgu, czarnymi bramami chroniącego Zamek przed obszarem leżącym poniżej, rozgałęzioną siecią jaskiń, która niegdyś służyła wampirom za tereny łowów zwane Ha´nak Nuy.

Lyskian uśmiechnął się w odpowiedzi na te jej myśli.

– Tylko najbardziej doświadczeni wojownicy są w stanie przetrwać w Katakumbach Łowów. Tylko oni potrafią przeciwstawić się istotom, które osiedlił tam Bhragan Nha´sul, bestiom nieznanym ani lęku, ani bólu, ani żadnych uczuć. Zrodziły się z Cieni, jak powiadają legendy mojego ludu, a każdy, kto kiedykolwiek tego próbował, wie, jak ciężko jest przebić serce cienia.

Światło pochodni rozbłysło jaśniej i po ścianach przemknęły złowieszcze zarysy cieni. Nagle jakiś ryk wprawił ziemię w drżenie. Dudniąc, przetoczył się po deskach podłogi. Mia odskoczyła instynktownie... i aż krzyknęła, kiedy ktoś raptownie otworzył drzwi. W pierwszej chwili widziała tylko wielki, smoliście czarny zarys jakiejś postaci i unoszący się z niej dym, dopiero kiedy oderwało się od niej małe, zielone światełko i kaszląc, zatrzymało się w pomieszczeniu, strach z niej opadł.

– Przekłęte gorąco! – zawołał Remi głosem schrypniętym od dymu. – Przeklęty las! Płonące drzewa i gałęzie, i trawy! Gdzie myśmy się dostali? Niech mnie kule biją, jeśli...

Za Remim i Grimem do pomieszczenia wszedł Samhur, a wtedy drzwi zatrzasnęły się, sypiąc iskrami. Grim powoli zsunął z głowy dymiący kaptur i próbował się uśmiechnąć.



– I kto by pomyślał, że usłyszę kiedyś, z jakim zapamiętaniem narzekasz na las – powiedział dudniącym głosem i rzucił Remiemu rozbawione spojrzenie.

Mia z ulgą padła mu w ramiona. Biła od niego woń spalonego drewna, a kiedy spojrzał na nią tym swoim czułym, lekko rozbawionym wzrokiem, zapomniała na chwilę, że znajdują się w chacie wampirów. Równie dobrze mogli być na wieży Grima, gdzieś na ulicach Paryża czy w atlasowym mroku jego kościoła głęboko pod ziemią. Byłoby jej wszystko jedno, dopóki patrzyłby na nią w ten sposób. Spróbowała się uśmiechnąć, lecz kiedy spojrzała mu w oczy, ujrzała swoje odbicie, zobaczyła, jak spada w ciemność, gdzie pochłania ją rozpalony żar. Poczowała go wyraźnie, ten płomień, gdzieś głęboko w jego wnętrzu, i po raz pierwszy zobaczyła ogień, który złowieszczym mrokiem wślizgnął się do jego spojrzenia. Płomień, który go wzywał, tego Mia była pewna, ale czy on za nim poszedł? Czy zagubił się na drodze prowadzącej do Cieni? Niespokojna czerń w jego oczach płonęła na jej skórze. Była to owa ciemność, która spychała go coraz bliżej krawędzi jego własnej otchłani i Mia miała wrażenie, że czuje lodowaty żar tych płomieni, ich potęgę, ich grozę i tę zasłonę, jaką kładły na Grimie, a która sprawiała, że stawał się dla niej tak obcy, że aż przeszywał ją dreszcz. Z przestachem spojrzała na niego i tam, gdzie jeszcze przed chwilą ujrzała samą siebie, widziała już tylko swoje odczucia odbijające się w jego spojrzeniu – i lekki ból, mroczny i z niczym niezwiązany.

– Jesteśmy bardzo blisko celu – powiedział Grim, jakby to była odpowiedź na wszystkie pytania. Mia skinęła ledwie dostrzegalnie głową. Bez słowa wyjęła z kieszeni magię Mistrza Karanova. Żarzyła się srebrzyście w jej dłoni i kiedy rozbłysła jaśniej, przepędziła wszelki mrok z oczu Grima. Odebrał od niej magię, ich palce na moment zetknęły się ze sobą.

– Ciemno się zrobiło wokół nas – powiedział cicho, a jego uśmiech dotknął jej policzków jak pieszczota. – Czas, abyśmy uszli Cieniom, które nas ścigają. – Odwinął rękaw płaszcza i położył dłoń na Berle Gargulców, które miał ze sobą. – Armia Gargulców stoi u bram. Naszym zadaniem jest je otworzyć.

Samhur podszedł do portalu i przesunął spojrzeniem po splątanych

znakach.

– Brama Charayona – wymamrotał. – Portal Łowów, Strażnik Strachów Wieczności. Nam nie zagrodisz drogi!

Przycisnął dłoń do kamienia, po jego palcach spłynęła czarna krew i brama otworzyła się z lekkim stęknieniem. Za nią znajdował się ciemny korytarz.

– Nie wszyscy z was wiedzą, jakie strachy czały się kiedyś w Katakumbach Łowów – powiedział. – Ale jedno jest pewne: od bardzo długiego czasu żaden wampir nie przemierzał tych korytarzy, a mimo wszystko wciąż jeszcze czuję dobywający się z Cieni gniew na tę krew, która płynie w moich żyłach. Nienawiść żyje dłużej od wieczności, jeśli tylko zechce. Bądźcie gotowi, jeśli chcecie iść ze mną.

Z tymi słowami przekroczył próg portalu. Zapłonęły pochodnie rozmieszczone na ścianach, oświetlając jego szybko oddalającą się postać.

– Jak zwykle uroczo to sformułował – wymamrotał Remi, kiedy ruszyli za Samhurem. – „Jeśli nie macie nic lepszego do roboty, jak iść ze mną do tego wampirzego piekła, to...”. A jeśli ja akurat nie mam ochoty, to co? A jeśli wolę fruwać po tym lesie i spłonąć żywcem jak jakiś głupi mól, który przypadkowo pomylił świeczkę ze słońcem? „Jeśli chcecie iść ze mną!”. Zupełnie, jakbyśmy mieli wybór!

Kobold prychnął pogardliwie i z ponurym wyrazem twarzy przysiadł na ramieniu Grima.

Mia może i roześmiała by się z tego jego wybuchu, gdyby nie poczuła nagle zimna otaczających ją ścian. Grim rzucał spojrzenia w nisze, w oczach miał pełne skupienie i Mia wiedziała, że zaklęcie ognia w jego pięści tylko czeka, żeby rozerwać na strzępy zbliżające się zagrożenie. Ona sama też czuła w koniuszkach palców mrowienie magii i widziała przed sobą ognisty bicz Samhura przecinający powietrze. Lyskian szedł w pewnej odległości za nimi. Kolejne pochodnie gasły, ledwie je minął, tak że zaraz za stożkiem światła korytarz okrywał się nieprzeniknioną ciemnością.

Pod dłońmi Samhura na ścianach rozpały się ogniste znaki, krwawe znamiona, które przez krótką chwilę niby żywe istoty pełzły po skale, wskazując mu drogę. Prowadził ich przez migotliwe portale coraz

dalej w sieć jaskiń. Mia poczuła woń soli i kwiatów i zrozumiała, że płonący las znajdujący się poza katakumbami ma swój odpowiednik w wnętrzu dawnych terenów łowieckich wampirów. Mijali jaskinie z jeziorami o czarnej wodzie albo pełne drzew o rozjarzonych na niebiesko liściach i korzeniach, i co chwila słychać było uderzenia skórzastych skrzydeł nietoperzy, które niekiedy przelatywały tak nisko nad głową Mii, że czuła ruch powietrza. Nietoperze wisiały w wielkich gronach pod sklepieniami, porozumiewały się skrzekliwie i wypełniały ciemność wibrującym napięciem. Ze skalnego podłoża wyrastały potężne rośliny, zupełnie jak w dżungli, i Mia czuła tę samą fascynację, jaką czuła już w lesie Ha'nak Nuy... I miała to samo przeczucie niebezpieczeństwa.

Co chwila słyszała jakieś szelesty w gęstwinie, szuranie ostrych pazurów i skrzeki wydobywające się z głodnych gardeł, a kiedy Samhur nagle zatrzymał się, unosząc w geście ostrzeżenia zaciśniętą pięść, oddech uwiązał jej w gardle. Grim zbliżył się do Łowcy. Mia dostrzegła obrzydzenie w jego oczach, kiedy podążył wzrokiem za spojrzeniem Samhura, i wyraźnie usłyszała, jak Remi ze świstem wciąga powietrze. Poczwała zimno Lyskiana za sobą i zmusiła się do zrobienia dalszych kilku kroków, aż stanęła obok Samhura. Spojrzała na ścieżkę i poczuła, jak krew odpływa jej z głowy.

Przed nimi leżało zamrożone, nienaturalnie powykrzywiane ciało człowieka. Jego nogi i ręce były połamane, a z rozdartej piersi usiłował się wydostać również pokryty lodem demon o zakrwawionym ciele. Jego rysy były wykrzywione bólem, a szpony wbijał w twarz człowieka, zmasakrowaną jak reszta ciała. Widocznie demon w piekielnych męczarniach próbował wydobyć się z ciała gospodarza i właśnie w takim momencie dosięgnął go koniec.

– Przeklęty głupiec. – Samhur przyklęknął i kiwając ponuro głową, przysunął dłoń do oczu demona o spękanych czarnych źrenicach.

– C... c... co t... t... to takiego? – wyjąkał Remi, a potem odchrząknął zniecierpliwiony i powtórzył już normalnie: – Co to takiego?

Samhur opuścił dłoń.

– Groza z dawno minionych czasów, niemal zapomnianych przez świat i wyparta z myśli mojego ludu do świata koszmarów. – Spojrzała na

Lyskiana, którego kredowoblada twarz odcinała się od ciemności otoczenia, i Mia bardziej wyczuła imię, niż je usłyszała. Imię, które wyszło z jego ust niczym lodowate tchnienie: – Khranados.

Kiedy tylko je wypowiedział, w twarz Mii wionęło zimno, a wokół niej uniosły się Cienie, tworząc przerażające kształty, bezgłośnie i tylko w zarysach, zupełnie jakby to były jedynie myśli i sny. Usłyszała jakieś sapania w gęstwinie, szelest sierści i wydawało jej się, że czuje na skórze chłodne, okrutne spojrzenia.

– Pierwsze wilkołaki tego świata – ciągnął Samhur. – Niektórzy twierdzą, że wyszły z łona wilczycy, która wykarmiła Romulusa i Remusa, inni widzą w nich odbicie Fenrira, mitycznego wilka z sag Północy, a jeszcze inni twierdzą, że ukradły smokom ogień. Nikt nie potrafi powiedzieć z całą pewnością, która z tych legend odpowiada prawdzie, lecz nasz lud od zarania dziejów urządzał łowy na khranadosy. Baliśmy się ich i nienawidziliśmy zarazem za to, czym były, a mimo wszystko rzadko kiedy udawało nam się któregoś z nich zgładzić. Nieśmiertelne, tak jak i my, były tu jednak przed nami, i to na długo przedtem, nim nastąpiły dni krwi i mrozu.

Lyskian skinął ledwie zauważalnie głową.

– Jednym uderzeniem łapy potrafią roztrzaskać nasze wieczne życie. W żadnym innym wilkołaku nie pozostało mniej z człowieka, jak w tym. Jest on już całkowicie zwierzęciem kierującym się wyłącznie instynktami. Z nich czerpie swoją siłę, jakiej my nigdy nie posiadziemy. To monstrum składające się z nienawiści i żądzy, które zrobi wszystko, by zaspokoić i jedno, i drugie.

Remi właśnie otwierał usta, ale to Grim zadał pytanie, jakie kobold chciał zadać:

– Kogo nienawidzą khranadosy?

Samhur uśmiechnął się lekko.

– Wampirów – powiedział głucho. – My bowiem byliśmy tymi, którzy na nich polowali. Ludzi. Ponieważ oni byli tymi, którzy nimi gardzili. I wszelkich innych żywych istot tego i innych światów, nic bowiem nie jest w stanie stłumić żądzy khranadosa. My...

Nagły krzyk przerwał jego słowa. Z początku wydawał się przypominać głośne krakanie kruka, zaraz jednak rozbrzmiał ponownie, i

teraz był już szczekliwym, ochrypłym wołaniem, któremu ciemność odpowiadała echem. Mia czuła wstrząsy, jakby gdzieś niedaleko przemieszczały się jakieś ciężkie cielska, i kiedy pierwsza para żółtych oczu rozbłysła między wielkimi drzewami, aż się wzdrygnęła. Oczy natychmiast zgasły, ale Mia dostrzegła złocisty blask otaczający źrenicę i przez moment wydawało jej się, jakby poczuła na skórze płomień Ughruru, praognia, który według legend Gargulców wciąż jeszcze żarzy się we wnętrzu Ziemi i kryje w sobie smoki, które tak naprawdę nigdy nie opuściły tego świata.

Coś trzasnęło w gęstwinie i zaczęło zbliżać się do niej ze wszystkich stron jednocześnie. Samhur krzyknął, ale w trzasku pękających gałęzi Mia prawie go nie słyszała. Szybko stanęła w pozycji obronnej. Bardziej odczuwała ryk Grima, niż go słyszała. W tym momencie z leśnego gąszczu z głośnym hukiem wypadło siedem cieni. Ze swoją zielonkawą, błyszczącą łuskowato skórą wyglądały jak raptory, gady z Pierwszego Czasu, który Mia знаła jedynie z ksiąg i opowieści. Lyskian trafił pierwszego z nich magiczną strzałą, która rozerwała mu pierś. Krew gada zbryzgała twarz Mii, parząc jej skórę, ale dziewczyna nie zwracała na to uwagi. Bicz Samhura odpędził dwa kolejne z powrotem w leśne gęstwiny, Grim spalił trzy następne Płomiennym Wirem. Mia wyrzuciła przed siebie zaciśniętą pięść, głos jej się załamał, kiedy wykrzyknęła zaklęcie. Widziała jeszcze, jak gad rozwiera paszczę, jak robi zamach ogonem, chcąc ją roztrzaskać, ale już w następnej chwili dosięgło go zaklęcie, zamrażając jego ciało jeszcze w locie. Bestia z hukiem runęła na ziemię, rozpadając się na drobne kawałki, jakby była z wypalanej gliny.

Ciężko dysząc, Mia przyklękła na jedno kolano. Podniosła wzrok na Samhura, który wbił nieruchome spojrzenie w jedno z drzew. Na gałęzi siedział złoty kruk, znieruchomiały tak jak Łowca, o oczach jak dwa zwierciadła. Mia nie umiała sobie tego wytłumaczyć, ale wzrok kruka sprawił, że się zatoczyła, jakby zadał jej cios. Usłyszała, jak Grim nabiera powietrza, kątem oka ujrzała, jak Remi przyciska dłoń do ust, i poczuła zimno, jakie ze zwiększoną intensywnością płynęło od Lyskiana. Dopiero jednak widząc, jak Samhur chwieje się na nogach, zrozumiała, czym był ten kruk. Przeniknął Ciemność, był Widzącym,

Tropicielem na łowach. Był okiem khranadosa.

Ptak wydał głos i po straszliwej chwili ciszy gdzieś z głębi ziemi odpowiedział mu ryk – ten sam ryk, który już w chacie sprawił, że Mii zamarł dech w piersiach. Samhur odwrócił się gwałtownie, w ułamku sekundy objął ich wszystkich wzrokiem.

*Czarne Bramy!* – zahuczał jego głos w myślach Mii. – *Musimy dotrzeć do Wewnętrznego Kręgu, tylko jego nie zdoła sforsować!*

W następnej chwili ryk powtórzył się. Ze sklepienia jaskini odpadło parę skalnych odłamków, uderzając w ziemię tuż obok Mii. Samhur wyjął miecz. Ze znaków klątwy buchnęło oślepiające światło i kiedy ruszyli za Łowcą w gęstwinę, Mia widziała praktycznie tylko płonące linie, które miecz przed nią wyrąbywał w ciemności. Każdym uderzeniem, jakie Samhur zadawał drzewom, wydobywał z nich okrzyk bólu, a one wyciągały gałęzie w ich stronę i usiłowały złapać ich za nogi. Magia ochronna wibrowała na skórze Mii, uderzenia gałęzi były bolesne, ale dziewczyna czuła coraz bliższe dudnienie ziemi, które odpędzało wszelkie oznaki zmęczenia.

Wreszcie dotarli do tunelu, który odchodził od ich rozległej groty. Nierówne stopnie pięły się w górę, ściany były kruche i częściowo porozbijane, tak że Mia mogła dostrzec rozgałęziony system jaskiń, rozciągających się po bokach ich ścieżki. Rozjaśnione migotliwym światłem widniały pod nimi mosty i przepaście, stalagmity wyrastające jak wieże, i potężne drzewa, które z niemal zwierzęcymi sapnięciami wyrywały korzenie ze skały, by ich nimi dosięgnąć, zupełnie jakby obudzone tamtym rykiem.

Tunel zaczął się poszerzać, cienie sunęły za nimi niby wilki i tylko niektóre odpowiadały żalonym wyciem na ryki swojego stwórcy. I chociaż Samhur wielokrotnie otwierał portale do innych obszarów, ich prześladowca był coraz bliżej. Mieli wrażenie, że im szybciej biegli, tym szybciej ktoś potężnymi szarpnięciami jakby wyrywał im ziemię spod nóg, a kiedy dotarli do podpartego kolumnami korytarza, ciężkie kroki za nimi wydawały się być już tuż tuż.

*Dalej!*, wykrzyknął Lyskian, wskazując szarą bramę na końcu korytarza. *Wewnętrzny Krąg jest już niedaleko!*

Mia trzymała się Grima. Pędzili nad ziemią, kolumny zlały się w

jeden szary tunel, zanim jednak zdołali dotrzeć do bramy, coś wdarło się za nimi do korytarza. Ziemia uniosła się od wstrząsu, mnóstwo kolumn zważyło się. Grim trzymał Mię, zygzakując między rozpadającymi się kolumnami, lecz nagle w sklepieniu utworzyła się rysa i z góry spadły potężne kawały skał. Ostry głaz trafił Grima w skroń. Krew popłynęła mu po twarzy i Mia wyczuła gniew, który natychmiast spłynął do jego pięści czerwonym ogniem. Grim wyrzucił ramiona w górę i jednym potężnym ciosem roztrzaskał upadające przed nimi kolumny, wydając przy tym ryk, od którego Mii zaparło dech. W jej stronę buchnęła ściana pyłu, Mia widziała tylko zarysy Samhura i Lyskiana obok siebie. Remi ciężko dyszał, kiedy wylądowali przy zwałach gruzu, które sięgały niemal sklepienia jaskini, a z tyłu niepowstrzymanie zbliżała się do nich potęga zdolna zmiążyć w łapach dowolną skałę.

– Dziecię Ognia! – wykrzyknął Samhur dudniącym głosem. – Ta skała nie oprze się twoim płomieniom, jeśli cię poprowadzę! Spal ten gruz! Spal to wszystko!

Na twarzy Grima pojawił się cień, wprawdzie tylko na moment, ale jednak zdążył sprawić, że Mia aż zadygotała. Właśnie odwracał głowę, by spojrzeć, kiedy ponownie rozległ się ryk i z gwałtownością, od której niemalże sam się zachwiał, Grim stanął przy Samhurze. Łowca położył mu dłoń na ramieniu, czarne płomienie tańczyły na jego palcach. Mia nie usłyszała, co powiedział, widziała jednak złowróżbne migotanie w jego oczach, kiedy w ledwie widoczny sposób się uśmiechnął. W tym momencie Grim wyrzucił przed siebie zaciśnięte pięści. Wytrysnął z nich oślepiający ogień, a płomienie były tak jaskrawe, że Mia cofnęła się, nic nie widząc. Usłyszała stęknienie skał i poczuła pył z trawionych ogniem kamieni. Postać Grima widniała jak niewyraźny cień na tle tego ognistego piekła, jakie rozpętał. Kruszył w tym ogniu skały, jakby były z piasku. Przesuwał się do przodu krok za krokiem, zanim jednak dotarł do bramy, ziemia za nimi rozwarła się. Mia poczuła cień, jaki na nią padł, i lodowate zimno, jakie od niego biło, dopiero jednak kiedy odwróciła się i spojrzała na istotę, jaka przed nią stała, krew odpłynęła jej z głowy.

Widowała już wilkołaki, Przemieniaczy z plemienia N' uuk zamieszkujących pustynie Południa, a także k'hanaiów z Północy, którzy tylko raz w roku ukazywali się w ludzkiej postaci, aby gołymi rękami

rozrywać najsłabszych z plemienia, albo też tajemniczych ludzi-wilkołaków z miast, którzy mieszkali poza obrębem magii i dopiero tam osiągnęli swą prawdziwą moc. Przypomniała sobie Dharka, plemiennego przywódcę wilkołaków Paryża, których widziała w walce, i aż nazbyt dobrze pamiętała, jak zbliżał się do niej ze swoją hordą na złomowisku. Wszystkie te wilkołaki były wystarczająco potężne, by stanąć do walki z wampirem takim jak Lyskian, z Hybrydem takim jak Grim, czy Łowcą, jak Samhur. Były nieokiełznane i wolne, i w tej właśnie dzikości tkwiła ich siła, której bały się wszelkie potrafiące myśleć Innostoty. Tak, Mia doskonale pamiętała strach, jaki odczuwała na widok tych istot. Ale w porównaniu z tym, co teraz ujrzała, nagle wydały jej się one jak kanapowe pieski.

Miała przed sobą ogromnego wilka. Stał na dwóch nogach, zupełnie jednak nie przypominając przez to człowieka, i znieruchomiał. Jego czarna jak smoła sierść stapiała się z Cieniami, a jego pazury były tak ostre, że bez trudu zagłębiały się w skałę, na której stał. Ogromne kły wystawały z jego paszczy. Mia wciąż czuła warkot, który czaił się w jego krtani i tylko czekał, by wydostać się na zewnątrz, i wiedziała, że nawet lekki cios jego łapy wystarczy, żeby oddzielić jej głowę od ciała. Wszystko w tej istocie było brutalne, lecz to nie widok tej skumulowanej przemocy ścisnął jej gardło. Tym, co ją paraliżowało, był wzrok, jakim wilkołak na nią patrzył, właśnie na nią, na nikogo innego, i ogień w jego oczach, ten złoty żar, który podobno spoczywał w sercach Pierwszych Smoków i obudził je do życia. Istota, jaką miała przed sobą, była czymś więcej niż tylko wilkiem czy człowiekiem. Ta istota była khranadosem i w tym momencie Mia nie miała najmniejszych wątpliwości, że legenda mówiła prawdę: żarowi jego ognia nie sprosta żadna moc tego świata. Ta bestia ukradła smokom ich ogień.

Wilkołak w ledwie widoczny sposób pochylił głowę, ale już ten ruch wystarczył, by Mia aż się skuliła. A potem postąpił krok naprzód. W tym samym momencie coś trafiło go w pierś. Czarne błyskawice rozbłysły nad jego ciałem, zaraz jednak zgasły, lecz w jego piersi tkwił sztylet, wysyłając do jego żył srebrzysty żar, podobny do płynnego ołowiu. Wilkołak z bólu aż odrzucił głowę do tyłu. Lyskian szybko pociągnął Mię w swoją stronę. Dziewczyna, słysząc chwiejne kroki



wilkołaka za plecami, z trudem oparła się pokusie, by odwrócić się. Z potężnym rykiem Grim skruszył ostatnie kawałki skał zasłaniających bramę, która pod dłonią Samhura zapłonęła czerwonym blaskiem, że aż Mia poczuła go na swojej skórze, podobnie jak zaraz potem ciemność, która otoczyła ją za bramą. Biegła najszybciej, jak potrafiła, ścigana przez złote oczy wilkołaka, i jej serce zrobiło susa razem z nią, kiedy otworzył się korytarz i na drugim końcu usianej stalagmitami jaskini dostrzegła czarną bramę do Wewnętrznego Kręgu. Grim i Samhur już tam dotarli, brama ze zgrzytem odsunęła się w górę, lecz w tym samym momencie jaskinią wstrząsnął ryk wilkołaka, rozrywając ziemię, z której trysnęły gejzery ognia. W ostatniej chwili Lyskian chwycił Mię za rękę i jednym szarpnięciem odciągnął ją od płomieni. Dziewczyna twardo uderzyła o ziemię. Oszołomiona podniosła się i stwierdziła, że siła szarpnięcia odrzuciła ją daleko. Za daleko. Czarna Brama chroniła Wewnętrzny Krąg Wysokiego Zamku, lecz oni nie zdołają dotrzeć do niej przed wilkołakiem i jej za sobą zamknąć. Jedno było pewne: jeśli khranados przedostanie się tam razem z nimi, nie będzie już ratunku.

Następne chwile mijały już jakby w zwolnionym tempie. Mia usłyszała, jak wilkołak wypada z tunelu, niemal poczuła zapach jego spalonego ciała i srebra, które wżarło się głęboko w jego wnętrze, słyszała krzyki Remiego, czuła, jak magia Samhura rozrywa powietrze, kiedy posłał w stronę wilkołaka Płomienny Wir – i ujrzała twarz Grima, kiedy objął ją spojrzeniem. Lęk o Mię sprawił, że jego rysy były niemalże miękkie, kiedy jednak postąpił w jej stronę, a Samhur zatrzymał go, łapiąc za ramię, Grim wydał ryk, który odbił się echem w jej wnętrzu. Brama między nimi zaczęła opadać, ona jednak nie odrywała wzroku od oczu Grima, czuła wypełniającą je ciemność i Cienie, i przez moment wydało jej się, jakby opadająca brama coś symbolizowała, coś, co ona czuła, ale wypierała przez cały czas. Zmusiła się do uśmiechu, ignorując żar płonący gdzieś na dnie oczu Grima. *Masz lecieć*, powiedziała spokojnie i wiedziała, że on ją słyszy. *A nie upadać*.

A wtedy brama z głuchym hukiem uderzyła o ziemię. Mia czuła chłód Lyskiana, słyszała siebie wykrzykującą zaklęcie. A za nią czaiła się sprężona do skoku Ciemność.



## Rozdział 39



Cisza była wręcz nie do zniesienia. Paraliżującym chłodem zacisnęła się na gardle Grima, zmuszając go do wbicia wzroku w kamienie Portalu, zupełnie jakby mógł dostrzec w jego ciemności twarz Mii. Z całych sił starał się odepchnąć obraz wilkołaka, złoto w jego oczach, jego ryk, który sprawiał, że nawet jemu, Cienioskrzydłemu, ciarki przechodziły po plecach. Mia była wojowniczką, z pewnością zdołała się przeciwstawić grozie katakumb i wspólnie z Lyskianem odnajdzie drogę przez labirynt Dolnego Świata, który nieskończenie dawno temu wampiry wykuły we wnętrzu góry. Ani jedna cząstka jego „ja” nie miała co do tego najmniejszej wątpliwości, a jednak mimo wszystko za nic nie mógł się odwrócić od tej przeklętej bramy. Zignorował uścisk Samhura i przenikliwe spojrzenie Remiego, którym ten go mierzył. Zamiast tego słyszał głos Mii, widział, jak otaczają ją Cienie Feniksa i przez moment miał ochotę roztrzaskać kamienną bramę i zabrać dziewczynę na ich stronę. *Masz lecieć*, usłyszał jej spokojny głos. *A nie upadać*. Ale czy naprawdę mieli jakikolwiek wybór? Coś w jego wnętrzu mówiło mu, że dawno już oboje wpadli w niewyobraźną ciemność, niezdolni wyciągnąć do siebie rąk, by zapobiec upadkowi. Odsuwał od siebie tę myśl, ale teraz, kiedy tak stał przed bramą, kiedy czuł, jak po drugiej stronie zapada noc i twarz Mii z wolna rozpływała się na tle kamieni, dotarła do niego z całą mocą. Uniósł pięść do piersi i znów poczuł moc płomienia, który otulił jego ramiona welonem zimna. Jak niewidzialna ściana zapadł między nim a Mią. Zanim jej uśmiech zniknął całkowicie, Grim wyrwał się z odrętwienia i ciężkim krokiem ruszył korytarzem.

Remi frunął za nim pospiesznie. Światełko kobolda, migocząc, przesuwano się po wiszących na ścianach zakurzonych obrazach

przedstawiających wodzów wampirzych klanów z dawnych wieków. Czuł spojrzenia krwiopicców na swojej skórze, każde z nieruchomych ust wydawało się oddychać jadem, a kiedy Samhur dogonił go bezgłośnie, twarz Grima spochmurniała. Powoli zaczynał mieć dosyć zimna bijącego od wampirów, dosyć Lyskiana, który pełnym cieni spojrzeniem patrzył na Mię, dosyć demonów pustoszących Górny Świat i dosyć tego przekłętego żaru w piersi, który gnał go przed siebie, chociaż on zupełnie nie wiedział dokąd. Do diabła z tym wszystkim, przecież wie, gdzie jest jego miejsce, wie już od momentu, kiedy podążył za Moirą do Paryża. Udało mu się powściągnąć niepokój, lecz im dłużej przebywał w Cieniach Pragi, im głębiej zapuszczał się w Dolny Świat, który z każdym krokiem przypominał mu o buncie sprzed dwustu lat i o zagadkowym uśmiechu Verusa, tym trudniej było mu się przed nim bronić. Ciemność wgrzyzała się żarem w jego ciało, aż się wzdrygnął na wspomnienie, jak Mia spojrzała na niego w chacie krwiopicców – była przerażona tym, co odpowiedziało na jej spojrzenie. Czyżby spojrzała w twarz czemuś innemu, czemuś, co od dawna już w nim spoczywa i co teraz wyszło na światło dzienne, roztrzaskując fasadę, pod którą niby pod maską skrywał to, kim naprawdę był? *Dlaczego opuściłeś Italię, Dziecię Ognia, no, dlaczego? Czy naprawdę potrzebowałaś gorsetu paryskich Gargulców? Nie uleczył cię on z tego piekącego uczucia w piersi, prawda?* W jego myślach rozbrzmiewał głos Serafina, czuł w sobie ryk płomienia, obiecujący mu ochłodzenie i ulgę. Oparł się o ścianę, szurając o nią skrzydłami, i zaklął głośno. Przekłęta ciasnota i ciemność! Musi się stąd wydostać, już najwyższy czas. Nic dziwnego, że powoli zaczyna tracić rozum i zapominać, kim naprawdę jest, skoro od wielu dni czuje na twarzy tylko ten idiotyczny blask emanujący od kobolda i Ognie Klątwy!

Remi spojrzał na niego z boku. *Jesteśmy bardzo niedaleko celu, powiedział i opuścił się na ramię Grima. Zaraz przełamiemy czar, pošlemy Verusa do piekła, a potem... Mia da radę. Jestem tego pewien. Wiesz dobrze, że jest wystarczająco silna, żeby uciec tamtym bydlakom. A Lyskian...*

Grim sapnął głośno. Jeśli w obecnej sytuacji było coś, co było mu jeszcze mniej potrzebne niż krwawe szramy na skrzydłach, to rozmowy o Księciu Wampirów. Zgadza się, był u boku Mii i z pewnością

zaryzykuje własne życie, żeby ją ochronić, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Ale chociaż okoliczność ta działała na niego uspokajająco, to jednak z drugiej strony niepokoiła go, zwłaszcza teraz, kiedy wiedział, że rozdziela ich ta czarna brama i kiedy spadając, czuł na twarzy wiatr.

*Burza i Ogień to silne istoty, powiedział Remi, zupełnie jakby czytał w jego myślach. Potrafią zrodzić grzmot i popiół, i żar, mogą przynieść zniszczenie, ale i wieczne życie. W połączeniu są silniejsze niż jakikolwiek czar tego świata, czasem jednak muszą iść własnymi drogami... drogami, które być może przywiodą ich kiedyś z powrotem do siebie... kiedy już odnajdą siebie samych.*

Grim westchnął ciężko. Tego mu jeszcze brakowało: pseudopsychologicznych rozważań kobolda, z nim samym w roli przedmiotu analizy. Wiedział, że Remi lekko się uśmiecha, jak zawsze, kiedy wie, że ma rację.

*Znam swoją drogę, odparł. Prowadzi ona na początek przez ten przeklęty grobowiec krwiopijców, potem przez trupy demonów aż do Verusa, tego łajdaka z rodziny lhotów. A wtedy już będzie przeklinał tę godzinę, kiedy zdecydował się wypełznąć ze swojego diamentowego lochu, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.*

Remi pokręcił głową, zupełnie jakby Grim był niegrzecznym chłopczykiem, który właśnie upaśćkał cały stół płatkami z mlekiem. *Powinieneś wiedzieć, że ignorancja nie jest dobrym doradcą.*

*Do diabła, Remi, ofuknął go Grim. Przestań rozprawiać o rzeczach, o których nie masz pojęcia!*

Chciał powiedzieć coś więcej, ale w tym momencie spojrzenie Remiego sprawiło, że kpina zniknęła z jego twarzy. Pojawiła się w nim powaga, która kazała Grimowi zamilknąć.

Remi zagryzł wargę, żeby ukryć jej drżenie, ale nie odwrócił się.

*Może i masz rację, powiedział. Może naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego od tygodni niespokojnie błądzisz przez noc, może i nie mam pojęcia, co cię tak pali od środka, nie mam pojęcia o zimnie, które zanurza twoje spojrzenie w Cieniach, albo o przerażeniu kryjącym się gdzieś głęboko w twoich oczach, kiedy ujrzałeś płonącą Wełtawę. Może i nie mam pojęcia o tych wszystkich rzeczach, bo jestem zwykłym*

*koboldem, mikrusem o jasnych myślach, niezdolnym do koszmarnych snów. Ale może to właśnie ty się mylisz, tak uważając. Może ja przeczuwam, co może znaczyć ta ciemność, którą dostrzegam w twoich oczach. Może nauczyłem się tego od ciebie?*

Grim spojrział na niego i na moment znowu znalazł się w Borach Mroku, po kolana w przeklętym bagnisku, kiedy nagle z gęstwiny wyłonił się zielony ognik. Dawno temu Remi uratował mu życie, wyprowadził go na stały grunt i od tego czasu został jego towarzyszem i najlepszym przyjacielem. Do diaska, ten kobold naprawdę zna go aż za dobrze.

*Czuję w tobie ciemność, od kiedy cię znam, ciągnął Remi. I wiem, jaka potrafi być potężna, może nawet wystarczająco potężna, aby sprawić, byś zapomniał, kim jesteś. Dlatego przypominam ci o tym, czy tego chcesz, czy nie. A to, że nigdy nie lubiłeś, kiedy się okazywało, że ktoś jest mądrzejszy od ciebie, to żadna tajemnica.*

Grim wykrzywił usta w uśmiechu.

*Bo wystarczająco rzadko się to zdarza.*

*Oczywiście, że zawsze będziesz tak uważał, powiedział Remi z szelmowskim uśmiechem. I przypuszczalnie rzeczywiście lepiej dla ciebie, że w tym momencie skupiasz się na najbardziej oczywistych celach. Nie każda istota jest zdolna do... jak to zawsze mówi Rozalia: działań wielowątkowych.*

Grim bez słowa pstryczkiem zrzucił kobolda z ramienia, aż ten uderzył w jeden z obrazów, wzniecając chmurę pyłu. Remi natychmiast wyskoczył z niej, kaszląc gwałtownie, a wyglądał, jakby wpadł głową do beczki z mąką. Jego uśmiech przedarł się przez warstwy kurzu, powodując, że Grim też się zaśmiał.

A wtedy Samhur uderzył go w pierś, aż Grim też się rozkaszał.

*To nie miejsce dla żartownisiów, powiedział cicho, a jego głos zabrzmiał tak lodowato, że Grimowi z miejsca odechciało się żartów. Chyba że wolicie na zawsze pozostać w tych jaskiniach. Zapewniam, że już wielu głupców przed wami poszło tą drogą!*

Remi rzucił nerwowe spojrzenie przez ramię, jakby spodziewał się, że ograbiony z kurzu krwiopijca z portretu zaraz zetrze go w proch, a

Grim tylko kiwnął głową ponuro. Samhur miał rację. To miejsce wciąż jeszcze oddychało zapachem dawno minionych czasów, niemal czuł na języku smak dymu prastarych czarów i kiedy przez wąskie drzwi weszli za Samhurem do opuszczonych sal dawnego zamku, poczuł na skórze ciężkie zimno, które ciążyło na komnatach Lorda niczym klątwa. Obejmowało pokryte kurzem fotele, kominki, w których dawno już zgasł magiczny ogień, i ozdobne posągi stojące pod obitymi tkaniną ścianami. Długie zasłony skrywały czarne szyby okien, a sufity były pokryte barwnymi malowidłami przedstawiającymi smoki, gryfy i herosów z szeregów Pierwszych Wampirów. Tu również znajdowały się pochodnie, które zapalały się na dźwięk kroków Samhura. Grim przyglądał się półkom, na których stały prastare manuskrypty, a wiele z nich zostało napisanych ludzką ręką. Przypomnił sobie opowieści Mouriera o przyjęciach u Wysokiego Lorda, jakie odbywały się w dawnych czasach na praskim Zamku. Srebrzyste pochodnie rozświetlały okna, pomieszczenia wypełniały wielogłosowe śmiechy Innostot i Grim widział przed sobą odświętnie odziane wampiry o skórze tak białej, że wyglądała jak cieniutki pergamin. Tymczasem wiedział przecież, że skóra Prastarych jest twarda jak kamień i tak zimna, jakby zrobiono ją z lodowców Arktyki.

Ciężkim krokiem Łowca przemierzał pomieszczenia, a jego opończa zostawiała delikatny ślad w kurzu. Grim ujrzał ich przed sobą, czarny kwiat, jakim było wtedy towarzystwo wampirów, królestwo szepczących cieni. Wydawało mu się, że słyszy muzykę, oszałamiającą, namiętą muzykę, która przypominała mu o bitwach sprzed Czasu, o tym, że wampiry pożerały kiedyś serca nieprzyjaciół i podczas krwawych rytuałów robiły z ich dzieci swoich niewolników. I widział postacie tańczące na parkiecie, istoty w rozwianych szatach, poruszające się w takt muzyki, istoty, których szaty tak upiornie fruwały w powietrzu, jakby były... W tym samym momencie Remi wydał okrzyk przestachu – rąbek czyjejs sukni musnął jego włosy. Nagle Grim uświadomił sobie, że istoty na parkiecie nie były złudzeniem. One naprawdę tam tańczyły.

Instynktownie posłał do pięści czar obronny, lecz wtedy tańczący zwrócili się w jego stronę i roześmiali jasnym, dziecięcym śmiechem.

Ich ciała były przezroczyste, a oczy mlecznobiałe. Kiedy podbiegli do Grima, dopiero tuż przy jego twarzy rozwiewając się w dym, poczuł ich palce na policzkach. Wśród szeptów opar cofnął się, lecz w Cieniach formowały się kolejne postacie, ludzkie dzieci, a także wampiry, niektóre z poszarpanymi kończynami, inne w prastarych szatach, ale wszystkie z tym na wpół oszalałym, na wpół nieobecny wyrazem twarzy, co chwila nagłymi ruchami próbujące sięgnąć do opończy Grima albo przejechać Remiemu dłonią po włosach, że aż kobold poblady z przerażenia szukał ucieczki na ramieniu Grima.

*Ha'rechole*, wymamrotał Samhur, nie zaszczycając istot nawet jednym spojrzeniem. Grim przytaknął ponuro. Duchy. Nigdy specjalnie nie przepadał za tym ludem, za tymi przekłętymi duszami, które nie mogły znaleźć spokoju i przez to swoim ponurym nastrojem działały innym na nerwy. Poznał kilka z nich na cmentarzach Paryża i przyszło mu stwierdzić, że najwyraźniej ich jedyną radością jest nabijanie się z mających akurat służbę Gargulców. Zazwyczaj trzymały się razem, ale nigdy nie przepuściły okazji, żeby zaanektować dla siebie jakieś szczególnie nastrojowe i opuszczone przez inne Innostoty miejsca. W pewnym sensie przypominały tym cholerne gołębie i na tę myśl mina jeszcze bardziej mu spochmurniała.

Wśród szeptów duchy zebrały się za ich plecami i sunęły teraz za nimi. Im szybciej Samhur prowadził ich przez pomieszczenia, tym ciemniej brzmiały ich głosy, coraz więcej z nich przepływało przez sufity i ściany, a ich jeszcze niedawno tylko zaciekawione oblicza, teraz zaczynały się wykrzywiać w złowrogie maski. Muskały Grima w przelocie na wpół poszarpane kończyny, widział zmasakrowane zwłoki dzieci, wpatrujące się w niego wywróconymi oczami, i co chwila z ziemi wystrzelał wprost przed nim strach na wróble w łachmanach, próbujący go chwycić. Dotknięcia *Ha'recholi* były lodowato zimne i Grim właśnie postanowił porozrywać ich niemal przezroczyste ciała ognistym zaklęciem, kiedy jakiś szczególnie zuchwały duch rzucił się w jego stronę i swoimi zręcznymi palcami sięgnął po Remiego. Grim usłyszał jeszcze, jak włosy kobolda pokrywają się lodem i w jednej chwili chwycił ducha za gardło, wysyłając zieloną błyskawicę do jego zwiewnego ciała, tak że oczy tamtego zamigotały, a on sam z cichym



westchnieniem rozplynał się w mgiełkę. Grim popatrzył, jak za chwilę duch zmaterializował się od nowa w tłumie sobie podobnych, i demonstracyjnie wytarł dłoń w opończę. Duchy bezgłośnie skupiły się w zachłanną, groźną masę zmasakrowanych ciał. W tym momencie Samhur dobył miecza. Błękitne światło buchnęło w ich stronę. Łowca ruszył wolnym krokiem, one cofnęły się, ale tylko na moment. Zaraz potem pierwszy rzucił się z szaleństwem w oczach, przesunął się po klindze, rozcinając sobie ciało na dwie połowy. Drobne płomyki zatańczyły na brzegach rany, duch jednak zaśmiał się histerycznie, a jego nogi zaczęły tańczyć w rytm pstrykania palcami, podczas gdy tułów okręzał klingę miecza dzikim wirami. Grim wiedział, że duchy również boją się klątw demonów, że odczuwają ból i strach – lecz te postacie, które patrzyły na nich, jakby postradały zmysły. Były inne. W ich oczach było szaleństwo, wyglądały jak zmaczone ślepotą. Grim wzmocnił czar ochronny, lecz każde dotknięcie dłoni ducha sprawiało, że czuł zimno, jakie się z nich wydobywa, i prastarą moc, jaką nosił w sobie każdy z nich. Te istoty zbyt długo były uwięzione między światami, zdawał sobie z tego sprawę – zdążyły zagubić się w Półmroku.

– Do Arlekina! – zawołał jakiś głos, który zabrzmiał jak zgrzyt paznokci po tablicy. Remi skulił się, ale okrzyk od razu został podchwycony przez pozostałe duchy, aż wreszcie zaczął dobywać się ze wszystkich gardeł jednocześnie. Duchy tłoczyły się wokół nich i spychały ich swoją cielesnością, która sprawiała wrażenie skoncentrowanego wichru, przez kolejne sale. Grim co chwila miał ochotę posłać w ten tłum Płomienny Wir, żeby przynajmniej na moment rozszarpać ich ciała, wiedział jednak, że nie wolno mu podsycać ich gniewu. Niewiele było istot, z którymi unikał konfrontacji, jeśli tylko się dało, ale Ha'rechole właśnie do nich należały, i to nie bez powodu. Nikt nie był w stanie zniszczyć ducha, jeśli ten mu na to nie pozwolił, tak jak nikt nie mógł zranić szaleńca, jeśli nie dopadł go w jego własnym świecie.

Z hukiem wyleciały z zawiasów jakieś drzwi i znaleźli się w przyozdobionej złotem sali z zakurczonym parkietem. Kręcone schody prowadziły do znajdującego się nad nią pomieszczenia. W swojej ograniczonej do zarysów nierzeczywistości Ha'rechole porozsiadały się

na fotelach, niektóre trzymały w dłoniach filiżanki z herbatą, inne swoje odcięte głowy, a na trójnogim krześle, utrzymanym w równowadze przez kupkę potrzaskanych naczyń, siedział Arlekin.

Zanim jeszcze Grim miał szansę przyjrzeć mu się bliżej, dostrzegł w jego dłoni martwego królika. Pozadzierane czarne paznokcie wbijały się w ciało zwierzęcia, Grim aż nazbyt wyraźnie słyszał trzask pękających kości i zupełnie jakby jego obrzydzenie stłumiło wszelkie odgłosy, nagle zapadła martwa cisza. Z pyszczka królika kapiała krew i Grim przyłapał się na myśli, czy to, co widzi, to naprawdę może być krew, czy tylko złudzenie. Zmusił się, żeby odwrócić wzrok, i spojrzał Arlekinowi prosto w twarz.

Kostium wisiał na jego chudej postaci jak wyblakła, pomalowana w czerwono-czarne romby skóra. Kapelusz w kształcie dzwonka siedział krzywo na czaszce, spod niego wystawały strąkowate włosy, opadające mu głęboko na czoło, a blizny, ciągnące się przez policzki, jakby po cięciu brzytwą, przypominały Grimowi znaki wycięte na oprawnych w skórę woluminach najstarszych *Necronomików* Ghrogonii. Oczy miał mlecznobiałe, pośrodku gałek zarzyła się czarna iskra, sprawiająca, że cień ostro zakończonego nosa wbijał się głęboko w ciało, a twarz przypominała pośmiertną maskę. Jedynie w uśmiechu, który szelmowsko wykrzywił wydatne, pomalowane na czerwono wargi, było coś żywego. Ledwie jednak Grim to pomyślał, od razu wiedział, że to nie jest właściwe słowo na określenie tego, co trzymało Arlekina na jego śmiesznym tronie. To szaleństwo kryjące się za oczami, dzika i bezlitosna wojna, w której wszelkie możliwe siły umysłu rzuciły się na siebie w orgii przemocy, pozostawiając krwawe strzępy na psychicznym polu bitwy.

– Błazny przybywają na dwór króla! – wykrzyknął Arlekin i zaśmiał się tak głośno i z taką przesadą, że cała jego świta pospiesznie przyłączyła się do śmiechu.

Grim wyraźnie czuł, jak Remi dygoce, i wcale mu się nie dziwił. Rzadko kiedy słyszał do tego stopnia rozpaczliwy i przytłaczający śmiech, jak ten wydobywający się z ust duchów. Brzmiał on tak, jakby próbowały naśladować coś dawno już zapomniane. W tym momencie Samhur wystąpił do przodu. Wciąż jeszcze trzymał w dłoni miecz,

płomienie znaków klątwy prześlizgiwały się po twarzy Arlekina, zmazując uśmiech z jego warg. Śmiechy ucichły. Przez krótki moment Samhur patrzył Arlekinowi prosto w oczy, a w jego spojrzeniu pojawił się żar, będący odpowiedzią na iskrę w oczach Arlekina. A potem Łowca skłonił głowę.

– Wybacz mi, panie – powiedział tak pokornie, że Grim w ostatniej chwili powstrzymał się przed uniesieniem brwi na znak zdziwienia. – Od długiego czasu nie byłem w tych salach. Nie miałem pojęcia, panie, że obrałeś je za swoje miejsce pobytu. Gdybym się tego spodziewał, nie przyszedłbym z pustymi rękoma.

Arlekin wydał dźwięk, który mógł być wyrazem zarówno szyderstwa, jak i zadowolenia.

– Co ty powiesz? Może przyniosłbyś mi królika? Uwielbiam trzask ich kości.

Jakby na potwierdzenie tych słów, skrzył zwierzęciu kark. Remi aż się wzdrygnął, a Arlekin spojrzał na niego zimnym spojrzeniem węża.

– Może przyniosłbym ci człowieka, panie – powiedział Samhur spokojnie, ponownie ściągając na siebie zainteresowanie Ha'recholów. – Wiem, że twój lud, panie, ma do ich krwi podobną słabość jak mój.

Na wargi Arlekina zakradł się ponury uśmiezek.

– Nie pijemy jej – powiedział ledwie słyszalnie. – Wchłaniamy ją w nasze ciała. Na tym od zawsze polegała różnica między nami. Wy jesteście trywialni. My natomiast jesteśmy prawdziwymi Książętami Cieni.

Duchy jeden za drugim zaczęły powtarzać ten tytuł, a Arlekin z zadowolonym uśmiechem kiwał się na stołku, by wreszcie unieść dłoń i nakazać milczenie swojej świcie. Potem rzucił pobieżnie okiem na Grima.

– No, ale przyprowadziłeś mi przynajmniej półczłowieka – stwierdził niemalże obojętnie. – Jak już z nim skończę, to użyję jego skrzydeł jako liści palmowych do wachlowania. I popatrzcie tylko na jego kamienną głowę! Jak mi się zechce, to wycisnę mu te oczy z czaszki i zagram nimi w ping ponga!

Szaleńczy zachwyty nad tym pomysłem objawił się w postaci czerwieni na policzkach Arlekina i Grim daremnie usiłował ignorować

wpijające się w niego spojrzenia pozostałych duchów.

– Oni wszyscy muszą umrzeć! – wrzasnął jeden z Ha'recholi, taki w rozwianym szlafroku, trzymający pod pachą własną głowę. – Nie mają czym opłacić cła za przejście! Zgładź ich, Arlekinie Trójnogiego Tronu, zgładź ich!

Wybuchły frenetyczne wrzaski, niektóre z duchów uniosły się w powietrze i z triumfalnym wyciem zaczęły przelatywać nad Grimem i jego towarzyszami.

– N– n– niech zat– t– tańczą jak marionet– t– tki! – zawołał jeden z nich i wyrwał sobie nogi, które same zaczęły stepować, a towarzyszył im aplauz pozostałych. – N– n– niech t– t– tańczą i sk– k– kaczą, ich n– n– nogi i ręce, ich s– s– serca!

Z histerycznym śmiechem duch rzucił się na Samhura, zanim jednak dotarł do Łowcy, ten wypuścił z płuc powietrze i przez pomieszczenie przeszła fala mrozu, pokrywając Ha'rechole lodowymi kwiatami, a objąwszy rękę jękającego się ducha, sprawiła, że ta rozpękła się na dźwięczące odłamki. Wydobyła się z nich blada mgiełka, która powoli z powrotem zmieniała się w poprzednie ciało.

Pozostali patrzyli w napięciu na Samhura, podczas gdy Arlekin z niechęcią otrzepał futerko królika za szronu.

– Mówisz o mądrości, panie – zaczął Samhur i Grim nie słyszał w jego głosie ani śladu napięcia, widział je tylko słabo przebijające się przez czerń jego oczu, ale to wystarczyło, by napięły się wszystkie mięśnie jego ciała. – Kiedy jednak po raz ostatni jej dowiodłeś? Nie jest mądre marnować swoją moc dla niewłaściwej sprawy. Mądre jest, gdy się ją wykorzystuje mądrze! Pamiętasz, panie, owe Cienie, które kiedyś próbowały zakwestionować twoją pozycję, te, które w świecie światła zwie się demonami?

Oczy Arlekina pojaśniały, jakby zapłonął w nich ogień. Na jego twarzy pojawił się gniew, emocja, która sprawiła, że nabrała ona niemal ludzkiego wyglądu, podczas gdy obłęd jego dotychczasowych rysów stopniał jak złe wspomnienie.

– W tej chwili demony właśnie przejmują władzę – ciągnął Samhur. Duchy dalej wpatrywały się w niego, lecz coś z tego ognia, który rozprzestrzenił się w Arlekinie, przeszło też na nich i pożądliwość

zniknęła z ich rysów. – Przypomnij sobie, panie, bitewną ucztę Baala z Genui, polowania z nagonką na równinach Płonących Stepów! Jakże często ten diabelski pomiot dawał się wam we znaki, jak często palił wasze ciała w Ogniach Klątwy i rozsypywał ich popiół na cztery strony świata? – Pomruk przeszedł przez tłum, a pobrzmiewał w nim niemal lęk. Samhur pokiwał z wolna głową. – Niedługo znowu tak się będzie działo, nie ma bowiem mocy na tym świecie, która mogłaby się przeciwstawić tym bestiom, kiedy już całkowicie obudzą się do życia. Wy najlepiej o tym wiecie! Znajdą także i was, jeśli nas nie przepuście!

Samhur stał bez ruchu z płomiennym mieczem w dłoni. Oczy duchów zrobiły się czarne, ich ciała emanowały, jakby wypełniało je światło, a jego źródłem był Arlekin. W milczeniu siedział na tronie i kiedy Grim tak patrzył na niego, na ten wyniosły, zamyślony wyraz twarzy i spokój w spojrzeniu, wiedział już, że ten Ha'rechol nie zawsze nosił kostium arlekina. Musiał być kiedyś znamienitym człowiekiem, dostojnikiem w dawno minionych czasach, zanim jakieś niewysłowione cierpienie za życia i w wieczności straszliwie go oszpeciło. Grim poczuł mroczną iskrę na skórze... i wzdrygnął się, kiedy zaczęła migotać, kiedy zatopiła się z powrotem w bieli oczu Arlekina, wysysając ogień także z ciał stojących wokół duchów. Wyblakły one, stały się ledwie konturami spoza świata, który kiedyś znały, i kiedy na usta Arlekina powrócił uśmiech, to był on jak cięcie na policzku Grima.

– Głupcy – powiedział Arlekin. – Wydaje się wam, że nie wiedziałbym, gdyby za tą górą, w której jestem zamknięty, za tymi salami z Cieni i kamienia, i z westchnień waszych przodków, tego wiecznego, wiecznego powietrza, które przeze mnie przepływa, nie było innego świata? – Jego głos przybrał na sile i zanim Samhur zdążył cokolwiek zrobić, ręka Arlekina wystrzeliła do przodu i chwyciła go za gardło. Błękitna mgła ześlizgnęła się z jego palców, z wolna wspinając się po policzkach Łowcy. – Popełniliście błąd, wkraczając do mojego świata – powiedział szeptem. – Bo nie ma tutaj nic poza mną i moją wolą. Ja jestem królem i...

– Nie widzę tu żadnego króla – powiedział dudniącym głosem Grim. – Widzę tylko zgniłe, rozkładające się ciało, w którym mieszka

gnijący duch. Władco trójnokiego tronu... to ty jesteś błaznem w tych salach!

Mówiąc to, uderzył Arlekina w pierś. Duch poleciał w tłum, wypełniły go złociste płomienie, liczne Ha'rechole zniknęły w żarze, zanim jednak Grim zdążył złapać Samhura i rzucić się do ucieczki, Arlekin już pomknął w jego stronę. Kostium wisiał na nim w strzępach i chociaż jego palce były tylko przezroczystymi konturami, z niewiarygodną siłą wpiły się głęboko w szyję Grima. Grim przypomniał sobie biednego królika, a kiedy Arlekin grzmotnął nim o podłogę, usłyszał chrzęst własnych kości. Spadł na niego grad ciosów pozostałych duchów, atakujący przelatywali przez jego ciało, jakby go w ogóle nie było, i słyszał w sobie echo ich śmiechu, ilekroć zagłębiały szpony w jego wnętrzu, porywając coś ze sobą. Jak lodowate wichry pędziły przez jego myśli, sny i wspomnienia, widział, jak zabierają ze sobą obrazy, odczucia, zapachy. Walczył, by je zachować, ledwie jednak znalazły się w upiornych palcach, stawały się coraz bardziej przezroczyste i już wkrótce nie potrafił odnaleźć słów, którymi mógłby je nazwać. Lodowata pustka Ha'recholi wypełniła go z taką mocą, że kamień jego policzków rozpałił się do czerwoności, ale nawet to odczucie docierało do niego jakby z wielkiej oddali. Zamknął oczy, pod powiekami czyhała tylko mglista biel i daremnie bronił się przed niemocą, jaka go ogarnęła. Ciosy były coraz rzadsze albo może on po prostu przestał je czuć. Nagle usłyszał jakiś dźwięk w otępieniu, jakie go otaczało, dźwięk, od którego aż się wzdrygnął w nagłym błysku wspomnień. Słyszał zbliżające się kroki bosych stóp, poczuł, jak ktoś siada obok niego. Dziecięca ręka uniosła jego głowę. Miał ogromny problem z otwarciem oczu, ale jednak mu się udało. Patrzył w twarz małej, nieżywej dziewczynki. Jej oczy były szare jak morze, zimne i okrutne, a kiedy się pochyliła i pogłaskała go po policzku, poczuł, że zabrała tym gestem ostatnią resztkę ciepła z jego ciała. Wyrwała też z niego ostatni obraz, Grim dojrzał go w szarości jej źrenicy – zobaczył chłopca, który stoi nad brzegiem czarnego jeziora i patrzy w jego stronę. Był to Carven, zobaczył go tylko przez moment, zanim obraz został pożarty przez szarość wypełniającą dziewczynkę. Wyprężył się, by pozbyć się mrozu, którym przesyciło go dziecko, i rzucił się głową przed siebie. Do diabła, przecież jest Cienistoskrzydłym,

przez setki lat odczytywał i niszczył ludzkie wspomnienia... nie cofnie się przed jakąś małą dziewczynką! Lecz wspomnienia ducha były inne. Zaledwie jakieś płatki popiołu wirowały wokół niego, kiedy frunął przez Półmrok jej myśli. Były to obrazy, widział je jak przez popękane szyby okien, zniekształcone przez pęknięcia na szkle, trudne do poznania. Kładły się na jego skórze, paraliżowały jego ruchy, lecz w ich wnętrzu czuł coś innego, jakieś wahanie, które widniało także w spojrzeniu dziewczynki. Jej oczy nie były białe, tak jak oczy innych duchów. Jej oczy... były szare.

Ledwie to pomyślał, z mroku wyłonił się wygładzony przez morze kamyk i ujrzał na nim jałowe pole nocą, a ujrzał z taką ostrością, że aż sprawiło mu to ból. Rzucił się w ten obraz, spadł na twardy grunt, za jego plecami widniało miasto, lecz tu, na polu były tylko dzikie psy w cieniu drzew i dziewczynka u jego stóp. Leżała skulona, jej ciało było pokryte wrzodami, krew spływała jej po skroni. Ostrożnie położył dłoń na jej czole, czuł, że dziecko ma złamane obie nogi, jej płuco było rozdarte, oddychała z najwyższym trudem. Patrzyła na niego bezradnie, zbyt słaba, by ująć jego dłoń, lecz wtedy on sięgnął po jej rączkę. Ktoś ją tu pozostawił, ktoś, kto powinien ją kochać. Tylko tyle pojmował, ale to wystarczyło. Czuł absolutną samotność tego dziecka w obliczu śmierci. Czuł zimno, które rozchodziło się po jego ciele i chciało go sparaliżować. Wnikanie w ducha nieumarłego jest bardzo groźne, zdawał sobie z tego sprawę. Kilkakrotnie już spotykał się w ten sposób ze śmiercią i w ostatniej chwili udawało mu się umknąć. Musi się oderwać, musi się stąd wynieść. A jednak wpatrywał się w dziewczynkę, taką bezradną i małą, a ona trzymała się go i z jej oczu znikał strach. Zimno stało się dla Grima obojętne i za chwilę przestał je w ogóle czuć. Zapomniał, dlaczego się tu znalazł, czuł tylko czarne skrzydło nad sobą, miękko musnęło jego czoło, a kiedy unióśł dłoń i odgarnął dziewczynce kosmyk włosów z czoła, ona się uśmiechnęła. W tym samym momencie po jej ciele przesunął się złocisty blask i zniknął w jej klatce piersiowej. Ze zdziwieniem uniosła wzrok, w jej spojrzeniu pojawił się obraz. Grim rozpoznał w nim samego siebie, trzymającego dziewczynkę w ramionach. Lecz trzymał ją nie jako Grim, Cienioskrzydły, Hybryd, Dziecię Ognia. Trzymał ją jako tamten chłopiec znad jeziora.

Ból przeszył Grima jak ostrze miecza. Kiedy jaskrawe światła zatańczyły przed nim, stracił dziewczynkę z oczu. Słyszał swój krzyk, ale głos mu się załamał i otulił go szum skrzydła. Chciał na nie spojrzeć, jeden jedyny raz, ale nie mógł się ruszyć i kiedy zaraz potem objęła go jakaś niewysłowiona ciężkość, potrzebował chwili, by pojąć, że powrócił do własnego ciała.

Lodowate powietrze wdarło się do jego płuc i kiedy otworzył oczy, ujrzał bladą dłoń dziewczynki leżącą na jego piersi. Uderzenia serca wypełniały jego ciało bólem, zupełnie jakby to serce uczyło się dopiero bić. Duchy unosiły się wokół niego, patrzyły na niego złośliwie i tępo. Samhur klęczał na podłodze z raną w barku, podczas gdy Remi ze sztywnymi od mrozu włosami podfrunął trochę bliżej. Potem Grim spojrział na dziewczynkę, która siedziała przy nim. Nie miała już szarości w oczach. Jej oczy były czarne tak jak jego.

Cofnęła rękę, ale dopiero wtedy, kiedy na jej twarzy położył się cień, Grim dostrzegł zbliżającą się do niego postać. Ujrzał w jej oczach odbicie Arlekina, stężały uśmiech na martwej twarzy, dłonie z ostrymi jak noże paznokciami wyciągnięte do przodu. Pozostałe duchy zbiły się w gromadę i podchodziły z nisko pochylonymi głowami, ale w chwili, kiedy chciały się na niego rzucić, dziewczynka skoczyła na równe nogi.

Jej głos był tak jasny i czysty, że przebiła wszelkie mroki spowijające pomieszczenie. Z jej dłoni popłynęły potoki światła i niewidzialnym uderzeniem odrzuciła duchy. Arlekin wylądował na swoim krześle, które rozpadło się pod nim z hukiem, i zanim Grim zdołał pojąć do końca, co się stało, Samhur złapał go za kołnierz i pociągnął za sobą.

Z wielką prędkością pędzili przez pomieszczenie, pojedyncze duchy zaczynały się podnosić i próbowały ich złapać. Grim słyszał, jak pruje się jego opończa, kiedy ledwie widoczne dłonie chwyciły za jej skraj, lecz już mieli przed sobą schody, a na ich końcu dojrzał drzwi, czarne drzwi z krwistoczerwoną pieczęcią. Samhur przyłożył do niej dłoń, pieczęć pękła z cichym stęknieniem, drzwi się otworzyły. Grim słyszał za plecami wrzaski duchów, widział, jak Samhur i Remi uciekają przez próg i obejrzał się raz jeszcze.

Arlekin podnosił się chwiejnie, Ha' rechole tłumnie pędziły w



stronę schodów, lecz ich ciała były tak blade i nierzeczywiste, jakby były ze snu. Tylko jeden z nich był prześwietlony promieniem: mała dziewczynka stojąca pośrodku pokoju i w milczeniu spoglądająca w górę, w stronę Grima. A on skłonił przed nią głowę i bez słowa przyłożył zaciśniętą pięść do piersi. A wtedy dziewczynka o czarnych oczach uśmiechnęła się.

## Rozdział 40



Ciemność była absolutna. Ostre skały wrzynały się w plecy Mii, dłonie miała pokiereszowane i zakrwawione, kolana poobijane od niezliczonych upadków na nierównej powierzchni, lecz zimno ściany tunelu przenikało do jej ciała, pokrywając ból przytępiającym wszystko welonem. Stała bez ruchu przy Lyskianie i nasłuchiwała w ciemności.

Udało im się ujść wilkołakowi; Lyskian złapał ją przy kamiennej bramie i pociągnął ze sobą, potem, po szarpiącej nerwy gonitwie przez katakumby udało im się ukryć w tym tunelu. Mia nie wiedziała, gdzie dokładnie się znajdują. Czuła tylko wilgoć w powietrzu i powiew, który co chwila muskał jej włosy. Gdzieś musiało być wyjście z tego labiryntu i nie miała wątpliwości, że Lyskian je odnajdzie.

Od dłuższej już chwili panowała cisza, tym większe więc ogarnęło ją przerażenie, kiedy ziemię wprawiły w drzenie ciężkie kroki. Słyszała warczenie wilkołaka, głębokie i mroczne, dochodzące gdzieś z drugiej strony ściany tunelu, i miała wrażenie, że jednym oddechem mógłby strzaskać dzielące ich skały. Wietrzył. Mia niemal czuła na skórze jego oddech. Przypomniała sobie krwawe szramy na dłoniach i kolanach, dobrze wiedziała, z jaką łatwością niektóre Innostoty wyczuwają ludzką krew i że nawet czar kamuflujący, który nałożyła na siebie, niekoniecznie musi ją ukryć przed khranadosem. Skupiła się na biciu własnego serca, na otaczających ją ciemnościach i na tym, by wstrzymać oddech. Wiedziała, że wilkołak potrafi go usłyszeć, i przypominała sobie wszystkie lekcje, jakich udzielił jej Lyskian. Leżała na dnie Jeziora Szeptów z zakłębieniem zimna w ciele i przez wiele minut nie potrzebowała powietrza. Teraz jednak, kiedy słyszała wilkołaka skradającego się po drugiej stronie ściany i ponownie czuła cienie jego oczu tańczące na jej skórze, było jej nieskończenie trudniej niż wtedy na

dnie jeziora. Ale nie poddawała się, przez moment zobaczyła przed sobą twarz Grima, tak jak wtedy, kiedy po zdanym egzaminie wyszła z wody, widziała dumę w jego spojrzeniu i szacunek. Ale odsunęła od siebie obraz, który teraz chciał nią zawładnąć, obraz Grima stojącego w tunelu, kiedy opuściła się brama. Uderzenia serca sprawiały jej ból, ale nie ruszała się. Nie pozwoli, by udusiły ją słabość i lęk.

Raz jeszcze wilkołak powęszył chwilę, potem wyraźnie rozczarowany warknął i oddalił się. Jego kroki stawały się coraz cichsze, ale nawet kiedy już dawno nie było ich słychać, Mia wciąż nasłuchiwała. Dopiero gdy Lyskian położył jej dłoń na ramieniu, nabrała powietrza w płuca. Było to bolesne, jej puls przyspieszył, gorąco pomknęło żyłami i była wdzięczna za chłód, który wcześniej wchłonęła. Egzamin w jeziorze był drobnostką w porównaniu z tą sytuacją, zdawała sobie z tego sprawę. Właśnie zamierzała oderwać się od ściany, kiedy usłyszała delikatny szelest, jakby suchy liść spadł na szorstką skałę. Poczowała jeszcze, jak Lyskian przyciąga ją do siebie i w tym momencie usłyszała ryk wilkołaka. A potem ściana się rozpekła.

Skalne odłamki fruwały w powietrzu i Mia ukryła twarz na piersi Lyskiana. Jego ogniste zakłęcie z hukiem wystrzeliło w stronę wilkołaka, który wyłonił się z rumowiska, i odrzuciło go z powrotem w ciemność. Mia i Lyskian pognali korytarzem. Mia nic nie widziała, bezradnie potykała się na popękany podłożu i aż się skuliła, kiedy Lyskian uderzył pięścią w ścianę. Natychmiast pojawiły się na niej błyskawice rozświetlające korytarz migotliwym światłem. Dostrzegła zwisające ze sklepienia szpiczaste stalaktyty. Z szybkością strzały pędzili przed siebie, podczas gdy wilkołak gnał za nimi równoległym tunelem. Tunel był jednak dla niego za mały, dlatego co chwila rzucał się z drugiej strony na ścianę, odrywając od niej kawały skał. Stopy Mii nie dotykały podłoża, zupełnie jakby było ono rozżarzone, a skalne bloki omijała tak, jakby nigdy nic innego nie robiła. Lyskian ciągnął ją za sobą, co chwila słyszała syk srebrnych pocisków, które miotał na ich prześladowcę przez osypującą się ścianę i za każdym razem wstrzymywała oddech, słysząc bolesne wycie trafionego wilkołaka. Zbliżał się jednak niepowstrzymanie i kilka razy w ostatniej chwili udawało jej się zrobić unik przed uderzeniem jego łapy, która

niespodziewanie przebijała się przez pękającą ścianę tunelu. Przez hałas usłyszała głos Lyskiana. W szumie ognia rozpostarł się u końca korytarza łuk bramy, zanim jednak zdołali ją osiągnąć, Lyskian wypuścił srebrne strzały w płomienie, które nabrały od tego migotliwych barw. A potem przeskoczyli przez bramę, a płomienie musnęły chłodem skórę Mii, nim wylądowali w wielkiej jaskini.

Usiane ostrymi jak igły formacjami sklepienie podtrzymywał stalagnat, którego odgałęzienia wnikały w podłoże i ściany na podobieństwo korzeni. Od jaskini odchodziły pełne Cieni nisze. Rozżarzyły się, kiedy Lyskian wymamrotał zaklęcie, a jeden z malutkich korytarzy zapłonął na czerwono.

*Prowadzi ku światłu,* powiedział cicho Lyskian w myślach Mii. Spojrzała na niego przestraszona, słysząc w jego głosie zdradliwy ton pożegnania i już chciała pokręcić przecząco głową, kiedy schwycił ją za ramię i pchnął w tamtą stronę. Jego oczy płonęły w ciemności, powoli unióśł ręce i rozpałił w dłoniach czarny ogień. *Biegnij!*

Nie wiedziała, czy to rozkaz zmusił ją do pobiegnięcia w stronę tunelu, czy też może zdecydowanie, z jakim Lyskian na nią spojrzał. Pędząc przed siebie, obejrzała się i zobaczyła, jak Lyskian rzuca zaklęcie w stronę stalagnatu, wprawiając go w drżenie. Jaskinię wypełniło głucho dudnienie, posypały się odłamki korzeni wchodzących w podłoże, ze sklepienia zaczęły spadać kawałki skał i kiedy Lyskian nieprzerwanie posyłał w stronę stalagnatu kolejne zaklęcia, wokół Mii zaczęły spadać ostre jako noże odłamki. Biegła dalej, tunel był już tak blisko, że czuła jego żar. Zanim jednak do niego dobiegła, usłyszała za sobą ryk. Odwróciła się. Tuż za nią przez ścianę przebił się wilkołak.

W jego oczach gorzały płomienie, na piersi widać było krwawe rany, a kiedy odchylił głowę i zawył, Mia aż się wzdrygnęła. Lyskian skoczył przed niego, utworzył w dłoniach wir błyskawic, wystarczająco potężny, by strzaskać osypujący się stalagnat, ale w chwili, kiedy uruchomił magię, wilkołak zadał mu potężny cios, który odrzucił Lyskiana na ścianę. Khranados schwycił wir błyskawic w szpony, na moment skrył się za jaskrawym, oślepiającym blaskiem... i odrzucił czar w stronę Lyskiana. Magia objęła jego ciało i Lyskian z przerażająco powykręcanyymi kończynami unosił się w powietrzu do chwili, aż magia

zgasła.

Kiedy spadł na ziemię, Mia krzyknęła i ruszyła w stronę wilkołaka, który właśnie zamierzał rozszarpać wampirowi gardło. Posłała po ziemi Płomienny Wir, który pomknął wprost na niego i eksplodował tuż przy jego stopach. Khranados cofnął się chwiejnie i wściekły spojrzał na ludzką istotę, która śmiała mu przeszkodzić.

Trafiło ją jego rozżarzone spojrzenie, ale nie czuła już lęku. Nie widziała nic poza potężnym wilkołakiem między nią a Lyskianem, widziała, jak pochyla łeb i szykuje się do skoku i zrobiła błyskawiczny unik, tak jak się tego nauczyła u Theryona. Uciekała przed nim zygzakami i w biegu skupiała całą swoją magię w jeden potężny czar. Wystrzelił z jej dłoni jaskrawym snopem światła, Mia aż krzyknęła, tak silny był odrzut. Jej magia pędziła w stronę nadwerężonego stalagnatu, by wbić się w niego jako żelazna włócznia. Kamienny słup zadygotał podejrzenie, ze sklepienia spadł deszcz ostrych odłamków, zmuszając wilkołaka do odskoczenia. Mia przebiegła przed nim prosto do Lyskiana i pospiesznie pomogła mu stanąć na nogi. Lyskian wsparł się ciężko na jej ramieniu i rzucili się do ucieczki, mając nad głowami migocący czar ochronny. Wilkołak rzucił się za nimi. Mia czuła bicie serca w całym ciele i musiała skupić wszystkie siły, żeby nie krzyknąć. Dopiero kiedy khranados był już od nich oddalony o kilka susów, wykrzyczała ostatnią formułę zaklęcia. Żelazna włócznia eksplodowała z hukiem, rozrywając stalagnat, który przewrócił się na bok z głuchym łoskotem, grzebiąc pod sobą wilkołaka. Skalne odłamki roztrzaskały czar ochronny Mii, która ostatnim wysiłkiem rozpętała za swoimi plecami Czar Burzy, a potem pognęła z Lyskianem w jarzący się żarem tunel.

Ciężko dysząc, oparła się o ścianę. Do korytarza wdarły się kłęby skalnego pyłu. Zdążyła jeszcze zobaczyć twarz Lyskiana, zdumienie i przerażenie malujące się w jego oczach, zanim zgasł otaczający ich żar. Ledwie zrobiło się ciemno, tunel zmienił się w korytarz z sypkiego popiołu. Mia krzyknęła, tracąc grunt pod nogami. Leciała przez niewypowiedzianą ciemność, by wreszcie ciężko upaść na skałę. Słyszała, jak wzbijają się wokół niej płatki popiołu. Z trudem stanęła na nogi. Nie widziała Lyskiana, ale kiedy położyła dłoń na jego piersi, przeraziła się. Lyskian krwawił. Kiedy poczuła na palcach zimno

wampirzej krwi, instynktownie cofnęła rękę i musiała się zmusić do zaczerpnięcia oddechu, tak bardzo przerażała ją świadomość, że jego rana bez wątpienia jest ciężka, inaczej już dawno by się zagoiła. Wystarczająco często widziała, jak bez trudu leczył nawet bardzo poważne rany, tym bardziej więc lodowate było przerażenie, które ją ogarnęło. Lyskian nie powiedział ani słowa. Przyciągnął ją do siebie i wspólnie pokuśtykali po nierównym podłożu, aż przez ciemności zaczęło się przedzierać szare światło.

Oślepiąca blaskiem Mia zamrugała oczami. Wyszli z korytarza i znaleźli się w na wpół zrujnowanym, eliptycznym amfiteatrze, na arenie wysypanej drobnym białym piaskiem. Z ziemi wystawały pale, niektóre ostro zakończone, inne rozszczepione, a na piasku leżały szkielety – ludzi, wampirów, ale też Innostot takich jak chimery, przemieniacze czy trolle z Cieni. U szczytu owalu widniał kamienny portal, bogato zdobiony drogocennymi kamieniami i słowami w języku ànth'karya. Jarzył się chłodnym blaskiem.

Lyskian puścił Mię. Przycisnął dłoń do piersi i wpatrywał się w portal. Ledwie dostrzegalnie skinął głową. Mia nie mogła dosłyszeć słów, które wyszły z jego ust, ale słowa te podchwyciły jakieś upiorne głosy, niosły je w powietrzu, by dotrzeć w końcu do portalu. Na moment słowa na portalu rozbłysły, a potem portal uniósł się z cichym zgrzytem. Za nim znajdował się korytarz o ścianach z białego marmuru, a wyływało z niego ciepłe światło, kładąc się blaskiem na piasku areny. Serce podskoczyło Mii do gardła. Byli już niedaleko wyjścia, teraz już to wiedziała. Zrobiła nawet krok w stronę portalu, kiedy poczuła chłód, jaki nagle zaczął bić od Lyskiana. Odwróciła się, on spojrzał na nią, po jego ustach przemknął słaby uśmiech, a potem twarz ściągnęła mu się bólem i padł bez czucia na ziemię. Przerażona Mia usiadła przy nim.

*Uciekaj, wymamrotał, ale nawet w myślach Mii jego głos był tak słaby, że nie potrafiła już zapanować nad strachem. Nie mogę iść z tobą. Nawet ciało takie jak moje nie może sprostać pazurom khranadosa.*

Jego dłoń bezgłośnie opadła na piasek. Dopiero teraz Mia zobaczyła ranę ziejącą w jego piersi i aż zaczęła dygotać. Czarna krew wciąż jeszcze z niej wyływała, wsiąkając w piasek i pozbawiając twarz Lyskiana jakiegokolwiek barwy. Jego skóra stała się przezroczysta, a

kiedy oczy zasnuł czarny, matowy blask, Mia zrozumiała, że wampir zaraz umrze. Czuła, że zbliża się do niej ból, który pochłonie ją bez reszty, jeśli natychmiast nie wstanie i nie odejdzie. Nie mogła znieść jego spojrzenia, nie chciała słyszeć słów, które do niej wypowiadał, a jednak dotarły do niej przez zasłonę, która przesłaniała jej wzrok, zamazując jego obraz.

*Ludzkie dziecię, powiedział szeptem i niemal usłyszała, że się uś-miecha. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, to twoje szczęście. Nie zapomnij o tym. I nie zapomnij... zapachu maków.*

Po policzkach Mii popłynęły łzy. Nie odwróciła wzroku, kiedy jego ciało zaczęło dygotać, lecz kiedy puścił jej rękę, kiedy poczuła zimno, które szykowało się, by wziąć go w posiadanie, jak jakieś żądne krwi zwierzę, poczuła wzbierający gniew.

*Nie, odpowiedziała w myślach i złapała go za ramiona, że aż się wzdrygnął. Jego powieki zatrzepotały, nie poznawał jej już, ale ona wiedziała, że słyszy jej myśli – wciąż jeszcze miał tę zdolność.*

*Nie, powtórzyła. Niczego nie zapomnę. Nie zapomnę pyłu na ulicach Budapesztu, który wciąż jeszcze masz na butach. Nie zapomnę brzmienia twojego głosu, kiedy opowiadałeś mi baśnie mojego ludu, i nie zapomnę barwy twoich oczu, kiedy spoglądasz na księżyc, tego czarodzieja, którego, podobnie jak Grim, na równi kochasz i gardzisz nim. Posłuchaj mnie, Lyskianie, Księżę Wampirów. Nie zapomnę niczego, a wiesz czemu? Bo tego nie chcę. I z tego samego powodu nie umrzesz tutaj, w krainie khranadosa. Nie będziesz tu leżał we własnej krwi i żegnał się ze mną, a ja nie wrócę bez ciebie do światła. Nie boję się tych wszystkich Cieni, rozumiesz? I wiem, że potrafię cię uratować!*

Lyskian otworzył oczy, lecz nie było w nich żadnego blasku. Mia patrzyła tylko w matową, nieruchomą ciemność, a jednak wydawało jej się, jakby tę noc rozdzierał jakiś niemy krzyk. Sięgnęła po sztylet przymocowany do cholewy buta i szybkim ruchem nacięła sobie nadgarstek. Ból był przenikliwy, ale nie zważała na to. Widziała tylko, że Lyskian zamyka oczy, uniosła więc jego głowę i przytknęła nadgarstek do jego warg, by spłynęła na nie krew. Ich dotyk na jej skórze był lodowaty, chłód jego ciała przenosił się na nią i aż drżała na myśl, że może być za późno, że on już nic nie czuje poza mrozem

Wiecznej Nocy, do której powróci po zakończeniu istnienia. Tym mocniej się przestraszyła, kiedy nagle chwycił jej nadgarstek. Oczy miał nadal zamknięte, lecz trzymał ją z niespodziewaną siłą, i kiedy zaczął pić, wciągnął ją w ciemność pod swoimi powiekami, a ona nie mogła się temu przeciwstawić.

Ciemność była aksamitna i tak zimna, że odebrało jej oddech. Zaraz potem poczuła bliskość Lyskiana. Był wszędzie, muskał jej włosy pod postacią tchnienia wiatru, lodowatymi palcami gładził kark i przyzywał ją jeszcze bliżej siebie, mrocznie i czule, jak we śnie tuż przed przebudzeniem. Gwałtowny ból pulsował w jej ciele, odczuwała go, lecz nie zniszczył on w niej pragnienia, by jeszcze głębiej rzucić się w tę ciemność. I kiedy całkowicie straciła oparcie, a noc wionęła wokół niej w czarnych welonach, wydawało jej się, że tańczy nad potężną otchłanią. Czarne ognie przebijały się przez ciemność, obejmując jej biodra, ramiona, twarz, zupełnie jakby i one były tancerzami wysłanymi przez głos Lyskiana, władcę świata poza wszelkim światłem. Zimno ustąpiło z ciała Mii, zamiast tego w jej żyłach zaczął płynąć żar ogni, czuła oddech Lyskiana na swojej skórze. Jeszcze nigdy nie byli tak blisko siebie i chociaż welony zmieniły się w czarne skrzydła, i chociaż zimno powróciło, a ból z wielką mocą przywrócił ją rzeczywistości, nie odczuwała nic poza czułą grozą tej nocy, która ją otaczała i której częścią chciała zostać, pozbawiona myśli, pozbawiona wątpliwości, bezpowrotnie.

Później nie potrafiłaby powiedzieć, czy to ból bezlitośnie wyrwał ją z objęć ciemności, czy też może ryk kamiennych ust, ten krzyk, który dotarłby do niej wszędzie, ponieważ ją znał i już raz ją przywołał, wtedy, gdy omal nie umarła, walcząc z Serafinem. Była wtedy blisko śmierci, przypominała sobie Cienie owego tunelu, które przykuwały jej wzrok i przyciągały bliżej światła, tego oślepiającego blasku, będącego tak naprawdę tylko nocą, która się teraz wokół niej rozerwała.

Ból był wszechogarniający. Zupełnie jakby w jej ciało wniknęło śmiercionośne zaklęcie lodu, któremu umknęła o włos. Czerwone smugi przesłaniały jej pole widzenia, kłującymi impulsami wracało w nią ciepło. Każdy mięsień był maksymalnie napięty i ledwie odzyskała ostrość widzenia, zobaczyła pochylonego nad sobą Lyskiana. Wciąż



jeszcze ścisnął jej nadgarstek, lecz jego usta oderwały się od jej skóry i dostrzegła krew, którą miał umazane wargi. Jego skóra była śnieżnobiała, w rysach ani śladu choroby i rozkładu, a jednak odnosiła wrażenie, jakby siedziała naprzeciwko kogoś zupełnie obcego, jakby widziała go po raz pierwszy jako tego, kim był w istocie – prastarym wampirem, który sięgnął po życie.

Patrzył na nią bez ruchu, a ona widziała swoje odbicie w jego oczach, które były okrutne i tak zimne, jakby nigdy nie widziały w niej kogokolwiek innego tylko zwykłą śmiertelniczkę, którą może rozszarpać wieczność jego czarnej krwi. Ogarnęło ją przerażenie i zerwała się na równe nogi. Przez moment dostrzegła pęknięcie w czerni jego oczu, zaraz jednak stłoczyły się przy nim Cienie i kiedy wypełniły całe jego spojrzenie, po jego ustach przemknął uśmiech, który jednym potężnym uderzeniem roztrzaskał wszystkie obrazy Lyskiana, jakie kiedykolwiek widziała.

*Ludzkie dziecię*, powiedział szeptem. *Nie powinnaś była tego robić.*

Jego słowa rozpadły się w myślach Mii i odepchnęły ją od niego. Nogi nie od razu chciały ją nieść, na początku zatoczyła się, lecz zanim Lyskian zdążył ponownie ją złapać, zmusiła się do biegu. Głowę miała całkowicie pustą, czuła tylko ten lęk i przerażenie, jakie ją ogarnęły, gdy spojrzała w jego oczy. Był w nich mróz, którym Lyskian mógłby ją zabić, nie robiąc nic więcej, tylko uśmiechając się w sposób, w jaki to zrobił.

Jego śmiech sprawił, że się odwróciła. Był jak pękające szkło. Lyskian podniósł się z ziemi, założył ręce na piersiach, jakby zamierzał z politowaniem pokiwać głową nad nieporadnością jej ucieczki, i patrzył na nią tak przenikliwie, że odczuła to jak pchnięcie sztyletem.

*Niemądra*, usłyszała w głowie jego szept, i jeszcze zanim ruszył do przodu, zbliżając się do niej tak szybko, że dostrzegła tylko jego cień, już wiedziała, że ma rację. Lyskian był wampirem, był wojownikiem i jej mentorem. Nawet gdyby nie przewyższał jej mocą tak nieskończenie, jak to było w rzeczywistości, to i tak wystarczająco dobrze znał każdą jej słabość, by złapać ją w mgnieniu oka. Pojawił się tuż przy niej, przerażająca postać z Półmroku, lecz nie sięgnął po nią. Po prostu stał z tym swoim okrutnym, a zarazem rozbawionym uśmiechem, zupełnie

jakby to była tylko zabawa.

*Biegnij*, wyszeptał i chociaż najchętniej by go uderzyła, żeby zetrzeć mu z twarzy ten pewny siebie uśmiezek, to jednak odskoczyła tylko i po prostu pognąła w stronę portalu. Słyszała pęta, które cisnął w jej stronę, w ostatniej chwili skoczyła w powietrze, lecz tak jak to było w czasie jednego z ćwiczeń, natychmiast wysłał kolejny płomienny sznur, który owinął się wokół jej kostki i powalił ją na ziemię. Instynktownie posłała do pięści biały ogień i rozerwała pęta, a zaraz potem rozpostarła nad sobą czar ochronny i cisnęła Lyskianowi w pierś zakłęcie gromu. Wampir jednak uskoczył w bok i znowu rzucił się w jej stronę. Uniosła się w powietrze najszybciej, jak potrafiła, pognąła przez rozjarzone lodowe iskry, ale Lyskian doganiał ją płynnymi, pozbawionymi wysiłku ruchami, które i tak były szybsze niż jakikolwiek sus Mii. Opadła z powrotem na ziemię, instynktownie wysyłając do palców lodowy czar. Nigdy dotąd nie udała jej się tak skomplikowana magia jak Błękitne Ognie. Lyskian nieraz się z niej śmiał. Przypomniała sobie jego na wpół ironiczne, na wpół czułe spojrzenie, kiedy pomagał jej wstawać po każdym upadku, i wspomnienie to sprawiło jej ból. Zacisnęła pięść. Brama była już niedaleko. Mogło jej się udać przedostać na drugą stronę i stamtąd rzucić burzowe zakłęcie, by brama się zawaliła. Nie da się złapać jak bezbronne zwierzę. Nawet jemu.

Czuła jego obecność tuż za sobą, lecz zanim zdołał dotknąć jej włosów, skoczyła wysoko w powietrze, obróciła się wokół własnej osi, rozpostarła palce i wykrzyczała zakłęcie, z którym tak często sobie wcześniej nie radziła. Z jej dłoni wystrzeliły trzy iskry. Dostrzegła jeszcze zdumienie w oczach Lyskiana, a zaraz potem błyskawice, które wystrzeliły błękitnym ogniem i połączyły iskry ze sobą. Z trzaskiem utworzyła się sieć z ognia i lodu, która z wielkim impetem trafiła Lyskiana, zanim zdążył uskoczyć. Mia słyszała jeszcze, jak jego ciało uderza o kamienne obramowanie sceny, ale nie widziała już tego. Nie posiadając się z dumy, opadła na ziemię i pognąła w stronę bramy. Udało jej się, udało jej się wywołać te przekłete Błękitne Ognie, teraz...

Więcej nie zdążyła pomyśleć, ponieważ tuż przed nią wyłonił się z ziemi rozżarzony łańcuch. Ziarenka piasku, które się z niego ześlizgiwały, zamieniały się w płomienie żarłocznie sięgające w jej

stronę. Impet buchającego ognia odrzucił Mię daleko w tył. Upadając, uderzyła plecami o ziemię, aż straciła oddech, i zanim ściana płomieni rozpadła się w popiół, tuż przy niej znalazł się Lyskian. Na jego ustach nie było już uśmiechu, na policzku dostrzegła krwawą szramę, która szybko się zamykała, lecz ciemność w jego oczach świadczyła o gniewie, że jakaś śmiertelniczka zdołała go zranić.

Mia pospiesznie pozbierała się z ziemi, lecz kiedy się odwróciła, chcąc uciec, Lyskian znowu stał przed nią. I znów się uśmiechał, zimno i uwodzicielsko, i zanim zdążyła odskoczyć, złapał ją za kark i przyciągnął do siebie. Mia waliła na oślep z całych sił, ale on był jak z kamienia. Trzymał ją nieustępliwie, jego oddech muskał jej szyję. Był ciepły... od jej krwi.

*Masz smak tęsknoty*, powiedział szeptem i niemal słyszała, że się uśmiecha w ten swój cichy, nieco smutny sposób, który zawsze tak lubiła. Wiedziała, jak teraz na nią patrzy, wiedziała, że ma na wpół przymknięte oczy, które skrywają czające się w nich okrutne zimno i że cień w kącikach ust nadaje każdemu jego słowu charakter czegoś dziecinnego, łagodnego i niemalże niewinnego. Lecz jej przerażenie sięgnęło tej wizji i rozbiło ją na kawałki. Zimno, jakim teraz emanował Lyskian, z taką mocą owładnęło ciałem Mii, że ledwie udało jej się utrzymać na nogach. Wszelkie próby przywołania jakiegokolwiek magii spełzły na niczym.

*Jest w tobie głos morza*, mówił dalej, podczas gdy jego palce niemal z czułością głaskały jej kark. *I pachniesz wichrem, ludzkie dziecię. Czuję go, gdy tylko na ciebie spojrzę. Byłem głupcem, sądząc, że jestem wystarczająco silny, by oprzeć się tej woni.*

Objął ją mocniej, jego paznokcie wpijały się w jej ciało, lecz zanim jego wargi dotknęły jej szyi, odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz. Jego oczy były już tylko dwoma czarnymi zwierciadłami, a kryjąca się w nich noc uderzyła ją prosto w twarz, lecz Mia nie zwracała na to uwagi. Z determinacją odpowiedziała na to spojrzenie z ciemności i wyszeptała: *Wicher jest posłuszny mnie.*

I rzuciła się głową naprzód. Poczuła, jak pękają zwierciadła, poczuła noc o barwie głębokiej czerwieni, która się za nimi kryła, i Cienie, które sięgały po nią swoim nieokiełznanym chłodem. Nigdy

dotąd nie była w myślach Lyskiana, zawsze ostrzegał ją przed tym, co mogłaby tam znaleźć, przed zimnem, głodem i żądzą, i przypominała sobie, że już same jego słowa zawsze skłaniały ją do cofnięcia się przed ciemnością, jaką nosił w sobie. Wszystkie jego ostrzeżenia okazały się słuszne. Nie potrafiła się przed nim zamknąć, jego żądza bez żadnych przeszkód wdarła się do jej ludzkich żył, jego głód opanował jej wnętrzności, a jego pragnienia, nie do zaspokojenia i tak niepołamane, że aż zaparło jej dech, spaliły wszelkie jej krzyki w swoich rozżarzonych szponach. Słyszała jego śmiech, niewyraźnie czuła, jak odchyła w bok jej głowę, gdzieś w innym świecie, którego nazwy zapomniała, lecz kiedy poczuła na skórze jego wargi, pozwoliła, aby przepłynęła przez nią fala żądzy, i poczuła w niej smutek, rozpacz, tęsknotę. Uchwyciła się tego, było tak, jakby chwycił ją jeden z tych śmiercionośnych Cieni i porwał ze sobą, coraz głębiej w ciemność Lyskiana, aż pojawiła się przed nią smuga czerwonego żaru. Powiększała się szybko i Mia poczuła zapach, który sprawił, że dopiero teraz zorientowała się, ku czemu zmierza. Zapach był aksamitny, ciężki i melancholijny, i wtedy ujrzała przed sobą maki, pole sięgające po horyzont i dalej, a kiedy na nim wylądowała, płatki kwiatów wzbity się, muskając jej policzki.

Tymczasem na arenie przez ciało Lyskiana przebiegł skurcz, jakby ktoś dźgnął go nożem w plecy. Mia wzdrygnęła się, kiedy w odpowiedzi jego palce jeszcze bardziej zagłębiły się w jej ciało. Wyparła lodowate zimno, kiedy jego zęby dotknęły jej skóry i ruszyła w myślach przez pole maków. Kwiaty pod jej stopami były miękkie, czuła się jak w mrocznym śnie. Krwistoczerwony pył wzbijał się wokół niej, okrążył ją tanecznie miękkim brzemieniem i odsunął się na bok jak zasłona, odsłaniając widok na łożę ze szkła.

Leżała na nim młoda kobieta i dopiero po chwili Mia poznała, że to ona sama. Miała na sobie sukienkę z ciemnoczerwonego atlasu, jej skóra była biała jak mleko – nie oddychała. Z bijącym sercem podeszła bliżej i patrzyła na siebie z rosnącym zdumieniem. Wyglądała przecudownie, oczy miała zamknięte, włosy rozsypane na jasnych poduszkach. Aż zabrakło jej tchu, kiedy zrozumiała, że nie żyje. Dłonie sprawiały wrażenie drobniejszych, a jednocześnie silniejszych niż normalnie,

paznokcie były ze szkła, a skóra tak idealna, jakby ją wykuto z najdelikatniejszego kamienia. Właśnie wyciągała rękę, by dotknąć swojego policzka, który wydawał jej się całkiem obcy i swojski zarazem, kiedy jej sobowtór nagle otworzył oczy. Druga Mia spojrzała na nią oczami, w których nie było nic, tylko zimny ogień barwy popiołu. Spojrzenie uderzyło Mię boleśnie w pierś i odepchnęło ją.

W tym samym momencie poczuła, że Lyskian ją puszcza. Zmusiła swoje ciało, by zadało mu cios w pierś, i widziała, jak leci w powietrzu, by wylądować na skraju amfiteatru. Upadł, Cienie zamigotały w jego oczach, amok, w który wpadł, powoli cofał się do jego wnętrza, lecz kiedy podniósł wzrok i spojrzał na Mię, nagle pojawił się przed nią na polu maków, zupełnie jakby rzeczywistość była tylko złudzeniem, zupełnie jakby nigdy nie było niczego innego, tylko to pole czerwonego żaru.

Zrozumiał, co się stało, Mia to widziała. Zrozumienie objawiło się w rysach jego twarzy, na moment wykrzywając je w wyrazie przerażenia i bólu, i kiedy spojrzał na nią ponad jej sobowtorem leżącym na szklanym łożu, w oczach miał łzy. Wyrzucił ramiona w powietrze, jego krzyk uderzył Mię jak potężny podmuch wiatru, a szklane łoże i obca postać na nim rozsypały się w popiół. Jednocześnie maki zaczęły więdnąć, lecz nie spadały na ziemię, tylko ich płatki unosiły się w powietrzu jak ostre odłamki i kiedy Lyskian zamilkł, odrzucając głowę do tyłu, wszystkie poleciały w jego stronę. Mia próbowała się uchylić, ale odłamki, które dotknęły jej ciała, zamieniały się w czarny pył, tymczasem Lyskiana ciężko raniły. Rozrywały jego ubranie, a tam, gdzie go trafiły, jego ciało spalało się na popiół. Nie wydał najmniejszego okrzyku bólu, tylko patrzył na Mię, a na jego policzkach pojawiały się głębokie rany. W tym momencie usłyszała jedyne słowo, jakie do niej wypowiedział.

*Uciekaj.*

Skłonił głowę i nad płonącym polem rozbrzmiał jego jasny śmiech. Poczowała dreszcz, gdy go usłyszała. Znów widziała go przed sobą, widziała żądzę w jego oczach i raz jeszcze ogarnęło ją przerażenie, kiedy uświadomiła sobie, kim on jest. Coś w niej wołało, żeby natychmiast

opuściła jego myśli, że musi zrobić to, co jej powiedział, że niebezpieczeństwo wcale nie jest jeszcze zażegnane. A jednak została. Z każdym odłamkiem w niego uderzającym coraz silniej odczuwała ból, który przyszło mu znosić. Czuła jego oddech na czole i czuła jego zapach, tę delikatną nutę poza krwią i rozkładem, która od zawsze ją do niego przyciągała. Powoli ruszyła w jego stronę. Wytrzymała rozpacz widoczną w jego spojrzeniu, i jego gniew, nie odwróciła się ani na moment.

*Wyczuwam strach, który w sobie nosisz, powiedziała do niego. Kryje się w każdym z czarnych kwiatów na tym polu, w każdej burzy zesłanej przez to niebo i w każdym spojrzeniu, jakim na mnie patrzysz. Nazwałeś mnie ludzkim dziecięciem. Ale ja jestem czymś więcej niż tylko tym, Lyskanie, i dobrze wiem, że to nie żądza budzi w tobie takie przerażenie. Bierze się ono od czegoś, co kryje się w tobie gdzieś głębiej, gdzieś, gdzie nie może być połknięte przez okrucieństwo. Bo i ty jesteś kimś więcej, niż ci się wydaje!*

Była już przy nim. Odłamki fruwały wokół niej, lecz nie zwracała na nie uwagi. Jedyne, co widziała, to wyraz twarzy Lyskiana, kiedy padł na kolana, tak łagodny i tak podatny na zranienie, że aż przeszedł ją dreszcz.

*Patrzyłam na ciebie, ciągnęła. Pamiętam twój uśmiech, kiedy uczyłeś mnie zaklęcia Lodowych Olbrzymów, i stworzyłam zorzę polarną na niebie, wtedy, w tę ciepłą letnią noc. Pamiętam brzmienie twego głosu, kiedy mówiłeś o muzyce mojego ludu, o śpiewakach z dawnych wieków, którzy umieli powściągać swoimi głosami wichry i sprawiać, że morze zaczynało mówić. I widzę cię przed sobą, jak stoisz na brzegu Czerwonej Rzeki, z ramionami na wprost uniesionymi w górę, jakbyś słyszał swoich przodków na drugim jej brzegu i ich wołanie o to, co w sobie nosisz.*

Uklękła tuż przed nim. Jego włosy musnęły jej policzek, położyła dłoń na jego piersi i kiedy poczuła w palcach bicie serca, nie wiedziała, czy to było jego serce, czy jej. W tym samym momencie odłamki zastygły w powietrzu, rozbłyskując jak gwiazdy na niebie. Mia delikatnie pogłaskała go po policzku, jego rany zamknęły się, jakby były tylko czarnym snem.

*Jesteś tęsknotą, wyszeptała. A tęsknota nigdy nie niszczy. Ona chroni życie przed wszelkimi zagrożeniami płynącymi z Cieni.*

Spojrzał na nią z lekkim zdumieniem. Ledwie zauważalnie uśmiechnął się i kiedy przytulił ją do siebie, złożyła głowę na jego piersi, nie czując już strachu, samotności czy rozpacz. Czuła tylko zapach maków, które znów nabrały czerwonej barwy i których płatki spadały wokół niej, i atlasowy chłód jego ciała... I ciszę brzmiącą w dwóch jasnych jak kryształ słowach: *na zawsze*.

## Rozdział 41



Czarny Diament rzucał srebrzyste iskry na ściany wartowni, w której dawniej kontrolowano zarówno wyjścia do Górnego Świata, jak i portale prowadzące w dół, do królestwa wampirów. Grim oparty o ścianę przyglądał się, jak Samhur przy małym stoliku głaszcze diament, jakby to było żywe ciało. Remi siedział na blacie, z widocznym napięciem wsłuchując się w słowa Łowcy, od których barwa iskier zmieniła się na krwistoczerwoną. Trzeszcząc, prześlizgnęły się po twarzy Grima, co skłoniło go do podejścia bliżej stolika.

Głos Samhura stał się mocniejszy, czerń w diamencie zakłębiła się jak smagane wichrem chmury, a potem, jednym szybkim skrętem dłoni Łowca przywołał tę ciemność do siebie. Szemrząc, wydostała się z kryształu. Grim słyszał szepty w Cieniach, które kładły się na palcach Łowcy, mroczne i uwodzicielskie, takie, jakim kiedyś był Wicher Feniksa. Poprzetykane były drobnym diamentowym pyłem, podczas gdy sam kryształ, promieniejący szklanym blaskiem, nie miał już w sobie ciemności i unosił się nad dłonią Łowcy.

– Fhar'al Ilios – powiedział Łowca, rzucając spojrzenie Grimowi. – Biały Diament. Jest twój, mnie się już do niczego nie przyda.

Grim chwycił kryształ, a blask kamienia zatańczył mu na dłoni. Przez moment wydało mu się, że widzi w nim twarz Carvena, uśmiech Mii i rozgwieżdżone niebo nad Paryżem, razem z przeklętym Księżycem. Samhur wyjął z kieszeni płaszcz a dwie strzykawkę i wciągnął do nich Cienie diamentu. Na widok tych przedmiotów oczy Remiego rozszerzyły się w nagłym przerażeniu, a jego twarz przybrała barwę charakterystyczną dla osób cierpiących na chorobę morską.

– Bez obawy – mruknął Samhur. – Ten czar nie jest przeznaczony dla żył kobolda.



Na twarzy Remiego pojawiło się coś jakby błysk ulgi, zaraz jednak dała o sobie znać jego przekora.

– Nie jestem wcale taki słaby, na jakiego wyglądam – powiedział.  
– Nie zapominaj, panie, co się stało w Zamczysku Gniewu. Jestem wojownikiem Zielonej Pięści i jako taki udam się...

Grim rzucił mu spojrzenie tak ponure, że Remi natychmiast zamilkł.

– Wojownik, nie wojownik, ale będziesz się trzymał z daleka od tego, co będzie się działo za tą górą. Mam nadzieję, że się rozumiemy – zadudnił. – Będziemy musieli walczyć z Kronkiem i pozostałymi, nie mówiąc już o demonach, które noszą w sobie, i potrafię sobie wyobrazić, co oni mogą zrobić z takim małym koboldem jak ty, natomiast co do sytuacji odwrotnej, to jakoś nic nie przychodzi mi do głowy.

Remi założył ręce na piersi.

– Nigdy nie grzeszyłeś przesadną wyobraźnią. Może powinieneś...

Więcej nie zdążył powiedzieć, ponieważ w tym momencie Samhur podwinął rękaw i zacisnął pięść. Jego żyły nabrzmiały ciemno. Chwycił strzykawkę i wbił sobie igłę w ramię aż po nasadę.

Remi wyskoczył w powietrze tak gwałtownie, że aż walnął głową w sufit, a potem spadł na stolik jak dojrzała śliwka. Wielkimi oczami patrzył na ramię Samhura, także Grim nie bez obrzydzenia przyglądał się, jak czar niczym grube robaki pełźnie żyłami Łowcy. Ostre jak noże odłamki wciskały się od wewnątrz w skórę, zabarwiając ją krwawą czernią. Z towarzyszeniem przeraźliwych trzasków czar przesunął się w górę ramienia. Samhur przytrzymał się blatu, jego żyły na szyi i skroniach nabrzmiały, na twarzy pojawił się wyraz bólu, a kiedy czar dotarł do oczu, w jednej chwili, przy akompaniamencie brzęku pękającego szkła, zamieniły się one w kryształy i patrzyły nieruchomo w ciemność. Grim zobaczył, jak palce Samhura wbijają się w blat stolika, jakby był z masła, i czuł opór Łowcy wobec przenikającej go Ciemności. Samhur z sapnięciem odrzucił głowę do tyłu, jego spojrzenie przebijało się czarnym ogniem przez kryształową warstwę w jego oczach i ledwie przedarło się przez Cienie, okruchy diamentu zatopiły się w jego ciele. Skóra zagoiła mu się tak szybko, że kilka mgnień oka później nie było już na niej żadnych śladów i kiedy przeciągnął się z chrzęstem kości, jak

po długim śnie, zaśmiał się tylko szorstko i spojrzał na Remiego.

– No – powiedział nieomal z rozbawieniem i przesunął drugą strzykawkę po stole w stronę kobolda. – Cienie czekają, mój przyjacielu.

Remi gapił się, jakby Łowca postradał rozum, a po chwili przywołał najbardziej nieudany uśmiech, jaki Grim kiedykolwiek u niego widział.

– To będą musiały poczekać – powiedział pospiesznie i niby niechcący cofnął się o kilka kroków. – Pójdę z wami, ale do głowy by mi nie przyszło... w końcu nie każdy z nas musi od razu wchodzić aż do samego środka, prawda? Kobold powinien być jak oko sokoła, które na was uważa, albo bardziej jak sokoli nos. W każdym razie... Wystarczy tego! – Wykonał gwałtowny gest odmowy i nogą odsunął przerażający przedmiot, nie zaszczycając go najmniejszym nawet spojrzeniem.

Grim wziął strzykawkę do ręki. Zamknięte w niej Cienie stłoczyły się przy szklanej ścianie, czuł ich zimno na palcach. Samhur patrzył na niego ponuro. Grim podciągnął rękaw i zawahał się na moment. Wydawało mu się, że słyszy dziwnie znajomy śmiech, zanim jednak zdołał głębiej się nad tym zastanowić, śmiech zanurzył się w Cieniach, pozostawiając po sobie jedynie migoczącą ciemność. Powoli nabrał powietrza w płuca, a potem wbił sobie igłę głęboko w ramię i wstrzyknął czar Fhar'al Brunkura. Ból pojawił się natychmiast i był tak gwałtowny, że Grim aż się cofnął, uderzając plecami o ścianę. Igła wysunęła się z jego ciała, zobaczył jeszcze, jak strzykawka spada na ziemię i roztrzaskuje się, ale potem nie czuł już nic poza mrozem w żyłach i ognistą ciemnością, która zaczęła pulsować mu w skroniach i powaliła go na ziemię. Mocnymi falami czar rozchodził się po żyłach, odłamki zagłębiały się w ciele i pełzły w górę, z całą siłą wzniecając pieczenie. Zawładnęła nim potęga Feniksa i przez krótki czas pędził pod postacią wron przez Zamczysko Gniewu, prześlizgiwał się niczym wieczny Cień i czuł na wargach słowo, które w każdym przeklętym okrucieństwie czaru wysyłało jad do jego żył. Jednocześnie gdzieś głęboko w nim rozlegał się ryk i na moment zapragnął tylko tego, by popędzić ponad morzami płomieni, wdrzeć się głębiej, aż do tego głosu, który go wołał, aby wydrzeć z piersi pieczenie, które rozorywało go z nieoczekiwaną siłą. Nie panując nad sobą, zacisnął pięści. Fhar'al Ilios zagłębiał się w jego

ciele, a kiedy ból wycisnął z jego oczu łzę Feniksa, Grim odrzucił głowę do tyłu i jednym uderzeniem w ścianę przywrócił sobie przytomność.

Ciężko dysząc, otworzył oczy. Odłamki diamentu schowały się z powrotem w jego ciele i podczas gdy Remi wydał westchnienie ulgi, Samhur spojrział na niego wzrokiem wypełnionym Cieniami, w milczeniu i z przechyloną głową, zupełnie jakby odczytał w jego twarzy coś, co go zaniepokoiło. Ledwie jednak Grim na niego spojrział, Łowca podniósł się.

– Chodźmy – powiedział szorstkim głosem. – Nasza pora jest bliska.

Opuścili wartownię i pospieszyli kręconymi schodami na górę. Grim czuł Ogień Klątwy napierający na kamienną bramę od drugiej strony, a na skórze czar ochronny Samhura. Remi, który siedział mu na ramieniu, natychmiast zaczął dygotać z zimna. Łowca nie zwracał uwagi na błękitne iskry sypiące się z brzegu jego opończy. Zatrzymał się tuż przed bramą i odsunął ją w górę. Ogień buchnął w ich stronę i Grim ruszył za Samhurem w płomienie, chociaż jeszcze zimno uciekało z jego ciała, a on sam mrużył oczy przed bijącą z bramy jasnością. Budynki były niemal całkowicie zespolone z ogniem i Grim aż nadto wyraźnie słyszał wołania poszczególnych demonów pędzących w powietrzu gdzieś wysoko nad dachami. Nie zauważyły jeszcze intruzów poruszających się tak szybko, jak uciekające cienie, i Grim aż stracił na chwilę oddech, kiedy nagle w płomieniach pojawiła się przed nimi bryła katedry św. Wita z potężnym kamiennym smokiem. Stała w ponurym majestacie, z fasadą poprzetykaną żyłami wypełnionymi zielonym żarem, z oknami migoczącymi w blasku ognia, jakby obwieszczały jakieś niesłychane nieszczęście. Grim lekko uśmiechnął się, a potem uniósł się w powietrze, podążając za Samhurem, który jednym potężnym susem znalazł się na dachu katedry. Rzeczywiście zbliżało się nieszczęście... nieszczęście o kamiennych skrzydłach i z krwią Czarnego Diamentu w żyłach.

Magia Samhura była niemal niesłyszalna w szumie płomieni. Rozpostarł nad katedrą zakłęcie ciszy i przeszedł przez jedno z okien jak przez wodę. Szkło załaskotało Grima po skórze, nim znalazł się we wnętrzu budynku. Kościół wypełniał cienisty chłód, gdzieniegdzie tylko

płomienie przebijały przez mury, a powietrze było przesiąknięte owym zagadkowym zapachem, którego nie potrafiły zagłuszyć nawet kadzidła. Był to stary zapach, zapach łez i potu, bosych stóp na świętej posadzce i niemych błagań wznoszonych ku czemuś, co od zawsze bardziej było pytaniem niż odpowiedzią, i czego słowa przenosiły raczej szepczące kamienie, wiatr pośród gałęzi drzew albo taniec gwiazd, a nie wstrętne amorki i figury bożków, które ludzie obrali sobie za medium.

Ciszę zmącił jakiś odgłos... zimny, lekko skórzasty dźwięk skrzydeł przecinających powietrze. Grim stanął przy Samhurze w cieniu kolumny. Remi ześlizgnął się z jego ramienia i schował w niszy między ceglami. Przedarło się do nich na górę migotliwe światło i kiedy Grim spojrział w stronę ołtarza, zobaczył Czar Kłątwy unoszący się nad nim niby płomienista kula. Jej blask rozlewał się ciemną zielenią aż na płyty posadzki głównej nawy, jej ogień sprawił, że roztańczył się Półmrok katedry, a tam, w dole, widoczni zaledwie jako mroczne zarysy, poruszali się Cienioskrzydli pilnujący czaru.

Na widok Kronka wychodzącego z ciemności Grim poczuł na wargach chłód swojej kamiennej krwi i zdusił w tym chłodzie wszelkie odczucia. Przesunął spojrzeniem po wnętrzu katedry. Odkrył Walliego i Vladika stojących naprzeciwko przy balustradzie oraz trzech innych Cienioskrzydłych, patrolujących przejście dokładnie pod nim. Pyros zajął miejsce na ambonie, skrzydła wystawały mu za plecami jak skrzydła anioła. Grim usłyszał jeszcze dwa kolejne Gargulce chodzące między ławkami. Spojrzął na Samhura. Łowca dał mu znak. Grim skinął ledwie dostrzegalnie głową, a potem, równie bezgłośni i wypełnieni Cieniami jak Półmrok, który ich otaczał, ześlizgnęli się z balustrady.

Jeszcze w locie Grim wyrzucił przed siebie pięść i ognistym zaklęciem strącił Walliego i Vladika do kościelnej nawy, gdzie padając, strzaskali płyty nagrobne, zaraz potem spętało ich zaklęcie unieruchamiające. Samhur wylądował przy nich z rozwianą opończę. Uniósł ramiona i nim którykolwiek z Cienioskrzydłych zdążył go dosięgnąć, magia Czernego Diamentu wystrzeliła z jego palców i otoczyła trzy Gargulce stojące między kolumnami. Jej siła poderwała wszystkich trzech w powietrze, oplątała ich rozżarzonymi nićmi i niby potężna pajęczyna rozpięła między kolumnami. Grim złapał Walliego i

Vladika za kark i cisnął ich w sieć Łowcy. Cienioskrzydli wili się z bólu, lecz krzyki, jakie wydobywały się z ich ust, nie były ich głosami. Były to krzyki demonów czujących w swoich ciałach moc Diamentu.

Ich ból był muzyką dla uszu Grima. Każdy dźwięk sprawiał, że krew szybciej krążyła mu w żyłach i kiedy Kronk popędził w jego stronę, próbując dźgnąć go dwoma ognistymi sztyletami, zrobił tak szybki unik, że atak uderzył w pustkę, a on mógł zobaczyć gniew w oczach khana. Ten jednak natychmiast wzbił się w powietrze. Błyskawicznie obrócił się wokół własnej osi, a jego kopnięcie sprawiło, że głowa Grima odskoczyła w tył, a on sam z hukiem upadł na ziemię. Nim jednak Kronk zdążył się na niego rzucić z wzniesionymi do ciosu sztyletami, Grim uruchomił przed sobą lustrzany czar i odepchnął nim intruza.

Powietrze rozdarł krzyk Samhura i zaraz potem przez nawę pomknęły rozżarzone Płomienne Wiry. Z potężnym rykiem wyłaniały się z nich czaszki wilkołaków, płomieniste lwie łapy i syczące macki, uderzając Cienioskrzydłych w piersi i miotając nimi z hukiem o ściany. Zanim Kronk zdążył po raz drugi rzucić się na Grima, otrzymał cios i zniknął mu z pola widzenia. Za to w powietrze uniósł się Pyros. Samhur natychmiast przyciągnął go do siebie płomienistym biczem i posłał do jego ciała ogień Czarnego Diamentu. Grim zobaczył, jak odłamki diamentu wbijają się w ciało Pyrosa, jak krzyczy z bólu... i jak ze strasliwym wrzaskiem z jego gardła wydobywa się demon. Pyros padł bez czucia, za to Samhur schwytał uciekającego demona biczem i zanim ten zdołał się zorientować, co się z nim dzieje, Łowca przycisnął mu do czoła diament i w ten sposób go pojmał.

W tym samym momencie dwaj kolejni Cienioskrzydli przedostali się przez Płomienny Wir i wznosząc w górę pięści, rzucili się na Grima. Ten zacisnął dłonie i jego Burzowe Zaklęcie powaliło napastników na ziemię. Złapał ich za gardła i posłał do ich ciał siłę Diamentu. Demony z wrzaskiem wyskoczyły z ciał swoich gospodarzy. Pierwszego Grim schwytał jeszcze w locie, ale drugi odepchnął go i wzniósł się w powietrze. Z towarzyszeniem histerycznego chichotu jego ciało rozpękło się, z klatki piersiowej wyskoczyły potężne pajęczne nogi i demon zamienił się w jaszczurkowatą istotę z potężnym łbem i ostrymi jak noże

zębami, bez trudu powalając Grima na ziemię. Gargulec w ostatniej chwili uniknął kolejnego ciosu, złapał jedną z nóg i przyciągnął za nią demona w swoją stronę. Ten z hukiem uderzył o ławki, aż poleciały drzazgi, i nim zdążył się pozbierać, Grim skoczył mu na pierś i przycisnął mu do czoła diament. Skóra demona spłonęła przy akompaniamencie jego żalosnych wrzasków. Grim czuł gorąco ognia na palcach, niewzruszenie jednak wypowiedział zaklęcie i dopiero kiedy napastnik został uwięziony w ogniu diamentu, Grim nabrał w płuca powietrza.

Ledwie jednak stanął z powrotem na nogi, przez wnętrze katedry przeszedł potężny poszum. W powietrze strzeliły czarne płomienie, roztrzaskały Płomienny Wir Samhura i z głośnym hukiem rozerwały pajęczynę Łowcy. Cienioskrzydli spadli półprzytomni na ziemię, ale Walli natychmiast skoczył wysoko w powietrze. Jego ciało wpadło w niekontrolowane drgawki. Po chwili z trzaskiem otworzyły się jego usta i z wnętrza z rykiem wyskoczył demon przemieniony w meduzę o sześciu ramionach i płonących czerwono wężowych ciałach, które nie posiadając się z gniewu, rozrywały powietrze czerwonymi błyskawicami. Grim cofnął się instynktownie. Wiedział, kogo ma przed sobą, zanim jeszcze demon wypluł swoje imię, a którego znaki, wijąc się, rozpląły się w płomieniach.

*Sherezar, wyszeptał ogień, a dym wionął przez kościelną nawę jak rozpalony pustynny piasek. Śmierć Pękającego Morza, Żar Słońca i Księżycy... Czego się tknę, zamienia się w popiół!*

Demon rozwarł paszczę i Grim usłyszał trzask płomieni, które tamten nosił w sobie. Potężna ogniowa burza rozszalała się po wnętrzu kościoła. Z szaleńczą prędkością przemknęła obok Grima, płomienie sięgnęły do jego opończy, lecz w tym momencie Samhur ruszył w stronę demona, powoli, jakby pokonywał opór wichru.

*Sherezarze, powiedział i dobył miecza. Pamiętasz zapewne tę klingę, która już raz zepchnęła cię w Cienie. Przecięła twoje gardło jednym pociągnięciem i nie zawaha się tego powtórzyć!*

Demon wpatrywał się w niego z góry, gniew zapłonął w jego rysach, na jego ustach pojawił się okrutny uśmiech.

*Samhurze, ty żalosny Łowco! Wtedy byłem młody i głupi, tak jak ty*

*jesteś do dziś. Lecz Cienie mnie wyrobiły, Cienie, o których nie masz najmniejszego pojęcia!*

I nie czekając na odpowiedź, odrzucił głowę do tyłu, aż rozwarła się potężna rana na jego szyi, a z gardła wystrzeliła fontanna piasku płonącego przeraźliwie jasnym Ogniem Klątwy, powalając Samhura na ziemię. Grim szykował się już do skoku, kiedy nagle coś złapało go od tyłu. Poczł ostre szpony na piersi i szum kamiennych skrzydeł, w tym momencie został poderwany w powietrze. Nie posiadając się z wściekłości, uderzył głową do tyłu, trafiając Kronka prosto w twarz, ale Gargulec go nie wypuścił. Mieszkający w nim khan zaśmiał się ochryple i posłał do ciała Grima czar unieruchamiający, niemal pozbawiając go przytomności.

*Ty głupi półczłowieku, syknął demon, jeszcze bardziej zagłębiając szpony w ciele Grima, a powietrze wypełnił triumfalny ryk jego mistrza Sherezara. Wciąż jeszcze niczego się nie nauczyłeś o Ludzie Gniewu? Nikt nas nie pokona, od kiedy On nas prowadzi... On, Złoty Cień Nikczemności! Półczłowieku, spójrz na mnie, na mnie, który zostałem stworzony z Ciemności, który zostałem zrodzony, aby panować nad istotami takimi jak ty! Verus był Achajem, zna wszystkie twoje słabości, zna je, ponieważ jesteś człowiekiem, a on przeniknął wszystkich ludzi!*

Na mikroskopijną chwilę przed oczami duszy Grima zapłonął obraz Verusa. Leżał u jego stóp, tak jak wtedy, w katakumbach Pragi, lecz obojętna maska, która zazwyczaj skrywała twarz demona, teraz opadła i Grim ujrzał pod nią ból, ledwie widoczny i tak nierzeczywisty, że aż stracił oddech. Niezwykle intensywnie poczuł zapach Dolnego Świata, znowu miał piasek pod stopami i wiedział, że jeszcze nigdy nie był bliżej rozwiązania zagadki tego, co się stało wtedy, tam na dole.

*Pleciesz trzy po trzy, wysapał Grim i natężył się, jak tylko mógł, by zrzucić czar unieruchamiający. Jesteście skazani na zagładę, zawsze byliście, a teraz wybiła wasza godzina! Verus to demon, nie ma pojęcia o ludziach, bo...*

Khan wybuchnął pełnym pogardy śmiechem.

*To dlaczego, wyszeptał tak blisko ucha Grima, że ten mógł poczuć jego zgniły oddech, dlaczego przyjął właśnie taką postać? On, który może sobie sprawić każde ciało, jakie mu się zamarzy? Nigdy nie zadałeś*

*sobie tego pytania, prymitywny Hybrydzie? Dlaczego patrzy na ciebie oczami... człowieka?*

Zaśmiał się raz jeszcze i zanim Grim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, złapał go za kark. Grim niemal czuł już błyskawicę, która rozbłysła w palcach demona, kiedy od prawej strony nadleciała zielona strzałka i trafiła Kronka w szyję. Kątem oka Grim dostrzegł Remiego z procą, ale nie tracił ani chwili. Błyskawicznie wbił Kronkowi łokieć w żołądek i uwolnił się od jego chwytu, chociaż moc czaru unieruchamiającego wciąż jeszcze pulsowała w jego żyłach. Zdażył uskoczyć przed demonem, lecz zanim ten zdołał zamachnąć się do kolejnego ciosu, smagnęła ich fala gorąca, powalając Grima na ziemię. Z trudem stanął z powrotem na nogi i wtedy zobaczył Sherezara unoszącego się wysoko w powietrzu. Piasek zamienił się w rozszaławy żar, dziko piętrzący się przed ołtarzem. Samhura widać było już tylko jako skulony cień pośród ognia.

*Przypomnij sobie, Łowco mojego ludu, wykrzyknął demon i wybuchnął głośnym śmiechem. To ja byłem tym, który zniszczył twój klan, rozszarpując ciała twoich pobratymców, jakby były z papieru! Pamiętam włosy młodzieńca, były brązowe i miękkie, i oczy blondwłosej kobiety, pożarłem ich z przyjemnością! Wciąż jeszcze słyszę ich głosy, och, to była prawdziwa rozkosz przez te setki lat mojej udręki!*

Wyrzucił ręce w górę i kościół wypełniły przerażające przedśmiertne krzyki.

Grim zrobił unik przed ciosem Kronka, serce waliło mu w piersi jak oszalałe, kiedy uciekał zygzakiem przed Gargulcem. Czar unieruchamiający sprawiał, że wszystko wokół niego falowało, ale na pewno nie wpadnie po raz kolejny w szpony demona, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości, bo... Potężne dudnienie przerwało jego myśli. Wydawało się wydobywać z samej katedry i przypominało zaczerpnięcie powietrza przez kamiennego smoka po długim śnie. Samhur wyprostował się. Jego postać odcinała się smolistą czernią od czerwonego żaru, nie chwiał się i kiedy rozłożył ramiona, jego dłonie zapłonęły czarnym ogniem. Wężowe kształty przesuwwały się pod jego skórą, przebijały zęby przez jego ciało, stając się wijącymi cieniami napierającymi od środka na skórę. Grim rozpoznawał je, kontury



wszystkich przeciwników, których Łowca kiedyś pokonał. Kiedy tak prześlizgiwały się z chrzęstem pod jego skórą, żar Sherezara przygasał. Zupełnie jakby były własnym cieniem Samhura, płynęły przez nawę katedry i – nie odrywając się całkiem od niego – tworzyły jego zarysy, czyli rozwianą opończę i dłoń z mieczem, by ostatecznie przemienić się w demoniczne potwory. Muskały twarz Grima lodowatym chłodem i czuł moc, jaka od nich biła, zapładniając powietrze niepohamowaną siłą. Nie patrzył jednak na nie, tylko na Samhura. Łowca stał nieruchomo, spoglądając w jego stronę, a żar jego oczu buchał rozszalałą czernią. Grim znał ten ogień, który wołał teraz do niego donośnym głosem. Czuł go bezustannie, gdy tylko spoglądał na Samhura. Teraz jednak, ponieważ Łowca wysłał swoje cienie przez nawę katedry i zaatakowały one Sherezara ostrymi jak brzytwy pazurami, trzymając Cienioskrzydłych w szachu, teraz, kiedy Samhur odrzucił głowę w tył, wydając ryk, pieczenie w piersi Grima rozlało się rozpalonym ogniem i słyszał, jak ryk Łowcy powtarza się echem w jego wnętrzu. Bez wahania uderzył Kronka pięścią w twarz tak, że ten przeleciał przez kościół, waląc plecami o jedną z kolumn.

Patrzył, jak Samhur rzucił się na Sherezara tak szybko, że stał się tylko cieniem o wykrzywionej w maskę, na wpół oszalałej twarzy. Chwycił czaszkę demona, diamentowy ogień z taką mocą wystrzelił do jego ciała, że aż trysnął snopem iskier z jego oczu. Samhur w niepohamowanym gniewie porozrywał węże na dwoje, ich zakrwawione cielska wylądowały na posadzce i na ławkach, i wypluł w stronę Sherezara potężny strumień Cieni, który kawałami wrywał mu ciało.

Grim wiedział, że powinien być przerażony, widząc to, ale słyszał w swojej głowie tylko głos Samhura w szale przywołującego jad Feniksa. Diamentowe odłamki uniosły się we wnętrzu jego ciała, uniemożliwiając jakąkolwiek jasną myśl. Ryk, który w nim wzbierał, był mroczny, widział w sobie morze ognia i kiedy Samhur oderwał demonowi głowę i w powietrze trysnęła czarna krew, Grim rzucił się w sam środek żaru i ciemności. Nie zważał na to, że twarz Samhura na moment stała się twarzą Sherezara, czuł tylko szal, który krążył w jego własnych żyłach i kiedy odwrócił się, łapiąc Kronka za kark, chłód Czarne Czarę zgasł w jego płomieniach.

Magia pomknęła żyłami, napędzana rykiem płomieni, i kiedy wysłał w stronę khana moc Diamentu, poczuł ból tamtego. Męka demona wszechpotężnie pulsowała w skroniach Grima, ale nie przestawał. Rzucił się w ciemność przeciwnika, rozdarł ból swoimi szponami i pędził przez jego myśli, nietykalny, jakby to były jego własne myśli. Czuł moc khana w swoich żyłach, był lwem o płonącej grzywie, Sfinksem w niebiosach Egiptu, zanim jeszcze w tym kraju miała miejsce jakakolwiek wojna ludzi, i poszybował w stronę pustyni rozciągającej się na samym dnie myśli demona. Każde ziarenko piasku było jedną z nich, każde tchnienie wiatru wspomnieniem i Grim przenikał je wszystkie, formował je na nowo, tak że demon wrzeszczał w jego szponach z przerażenia. Przywołał chmury nad sobą, by rozdarły noc grzmotami i wichrem. Błyskawice rozcinały firmament, Grim ciskał je w stronę ziemi i płomień w jego wnętrzu znikł w chłodzie, kiedy poczuł nieograniczoność swojego działania. Jakieś słowo pojawiło się na jego ustach, kojąc pragnienie, słowo, którego od tak dawna się obawiał i za którym tęsknił, i które teraz po raz pierwszy, od kiedy pamiętał, utraciło wszelki walor przerażenia. *Arrmonghur*.

Nie pozostawił demonowi żadnej jego myśli. Przemieniał wszystkie, jakby z oddali czuł, że swoim lotem rozszarpuje demona na kawałki, wciąż jednak szybował przed siebie w lodowatym gorączkowym śnie, w którym zlewały się ze sobą szaleństwo i rzeczywistość. Pędził nad pustyniami, nad morzami i nad górami, i kiedy do jego uszu przeniknął czyjś głos, aż się zdrygnął, tak bardzo wydał mu się on obcy.

*Upadniesz.*

Grim odwrócił się gwałtownie i w tym momencie z nocy wyłoniła się postać, która go okrążała, postać z na wpół rozerwaną piersią i białymi skrzydłami. Przez moment przez głowę Grima przemknęła bezsensowna myśl: *anioł*. Lecz oczy postaci unoszącej się naprzeciw były czarne jak jej krew i postać ledwie dostrzegalnie pokręciła głową.

*Serafin*, wyszeptał Grim. Brat uśmiechnął się.

Grim uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie widział, by brat uśmiechał się w ten sposób. Uśmiech był jak zwierciadło i to on właśnie zmusił go do powrotu do Półmroku katedry. Zimno jednak krążyło z

wielką mocą w jego ciele i zupełnie się nie przeraził, widząc w swoich szponach dziwnie bezwładnego Kronka. Skóra Gargulca żarzyła się pod jego palcami, ale jego imię wydało mu się dziwnie obce, i kiedy spojrzał w kamienną twarz wykrzywioną bólem, uświadomił sobie, że właśnie szykuje się, by go zabić. Patrzył na dawnego towarzysza z tępym pulsowaniem obojętności, nie czując niczego innego poza sobą samym – patrzył na niego jak bóg. Właśnie zamierzał się odwrócić, kiedy ktoś złapał go za kark. Był to Samhur. Jego oczy wyglądały jak dwa odłamki szkła, jego spojrzenie przeniknęło Grima, zupełnie jakby mogło przepalić kamień i ciało. Grim przez moment ujrzał go stojącego z wzniesionym mieczem nad Oreyonem, ujrzał ból w oczach najmłodszego z Łowców – i odskoczył, zupełnie jakby ta emocja jego samego przebiła mieczem. Poczul, że Samhur swoim mrozem zdławił w nim ryk płomienia, i kiedy patrzył w twarz umierającego Kronka, prerażenie odnalazło drogę przez zimno. Ból na moment z taką mocą przeszył jego pierś, że Grim aż stracił równowagę i ciężko upadł na ziemię.

Wokół niego wzbily się tumany popiołu. Samhur zostawił go w spokoju. Grim widział osłabione ciała swoich towarzyszy, których Łowca uwolnił od demonów, i słyszał Remiego, który opuścił już punkt obserwacyjny, ale na wszelki wypadek zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Wszystko to jednak odbierał jak przez jakiś welon. W jego ramionach leżał Kronk. Oczy miał zamknięte i nie oddychał, a na jego twarz powoli nasuwał się wieczny kamień.

Grim zadrżał, wyjmując z kieszeni diament i przyciskając go do czoła Kronka. Niewyraźnie poczul, jak khan zadygotał. Grim wysał z niego wszystkie siły. Machinalnie wywlókł demona z ciała Kronka i zamknął go w diamentowym więzieniu, ani na moment nie odrywając oczu od swojego towarzysza. Utracił go, zapomniał się w odurzeniu, w jakie wciągnął go taniec Samhura z Cieniami.

Położył dłoń na piersi Kronka, chociaż z trudem mógł znieść zimno powoli wypełniające ciało towarzysza. Ileż to razy walczyli ramie w ramie, ileż to razy ratowali sobie nawzajem życie, ileż to razy spodziewali się, że zostaną unicestwieni przez niebezpieczeństwa Innoświata. Zawsze się wspierali – w tundrach Północnego Świata, na

pustyniach Mrocznego Obszaru, w jaskiniach Wiecznego Śniegu i wreszcie w Mrokach Pragi w czasie buntów demonów. Grim poczuł, jak ściska mu się gardło. Wciąż jeszcze w jego piersi żarzyło się zimno płomienia i czuł ból, że nie może rozedrzeć welonu sprawiającego, że świat wokół stał się niewyraźny i odległy. Na moment rozpacz stała się tak dojmująca, że nie mógł jej wytrzymać. Wyszeptał słowa zaklęcia i wspomnienia z ich wspólnych przeżyć otoczyły ich jak migotliwe obrazy. Oddał się złudzeniu, że Kronk także je widzi – obojętnie, gdzie się teraz znajduje.

Grim przejechał dłonią po oczach. Nie może teraz zalać się łzami, to byłby już szczyt wszystkiego. Z trudem udało mu się opanować. Ten przeklęty Cienioskrzydły tyle razy nadstawiał dla niego głowę, a jak on mu się za to odpłacił? Zabił go! Był głupcem, półczłowiekiem, który dał się zwieść kuszącym Ciemnościom, a przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że zepchną go w nieszczęście, a razem z nim wszystko dookoła. Tymczasem...

*Przestań beczeć.*

Grim podskoczył tak gwałtownie, że aż ugryzł się w wargę. Przez moment znowu ujrzał siebie na kolanach przed ludzkimi dziećmi, wtedy, w tamtej wiosce, kiedy nie mógł ich uratować. Czuł ziemię na dłoniach, czuł, jak podnosi głowę... i nagle miał przed sobą Kronka, swojego majora i przełożonego, którym Kronk wtedy był, Gargulca o lodowatym spojrzeniu i głosie, który każde wypowiedziane szeptem słowo mógł zamienić w broń. Grim potrząsnął głową i zorientował się, że Kronk naprawdę na niego patrzy.

*Jesteś Cienioskrzydłym, młody mieszkańcu Ghrogonii, powiedział Kronk i czarny jak smoła uśmiech zakradł się do jego oczu, uśmiech, w którym było tyle samo ciepła, co kpiny. Nie zawstydzaj mnie swoimi łzami.*

Grim uśmiechnął się równie niepewnie jak wtedy. Poczuł się jak dziecko, ale było mu to całkowicie obojętne. Ten cholerny skurczybyk okazał się twardszy, niż sobie wyobrażał. Gim jeszcze nigdy nie poczuł takiej ulgi, jak w tym momencie.

Bez słowa pomógł Kronkowi stanąć na nogi. Najchętniej wzięłby

go w objęcia, ale zdawał sobie sprawę, że w ten sposób przekroczyłyby granicę, która dla starego Gargulca była nienaruszalna. Popatrzyli na siebie krótko, po twarzy przyjaciela przemknął uśmiech, który Grim odwzajemnił. Potem Kronk skinął głową i powoli ruszył w stronę pozostałych Cienioskrzydłych.

Grim poczuł wzrok Samhura i spojrzał w jego stronę. Wywołane przez Grima obrazy wciąż jeszcze migotały w kościelnej nawie i wyglądało to tak, jakby ich światło znikало w błękicie oczu Łowcy. Przez jego twarz przemknęło coś, jakby wspomnienie, i Grim usłyszał imię Oreyona, zanim jeszcze je wypowiedział. A więc to Samhur uchronił go przed otchłanią, wyciągnął go z zimna i ciemności. Zanim jednak Grim zdążył coś powiedzieć, cokolwiek, by okazać wdzięczność, Łowca odwrócił się i ruszył w stronę Ognia Klątwy.

Grim wstrzymał oddech, kiedy Samhur cisnął w Ogień przeciwczar Mistrza Karanova, lecz fala uderzeniowa, która zaraz potem rozbiła kulę, powaliła go na ziemię. Okna katedry rozprysły się na kawałki i tam, gdzie jeszcze przed chwilą żarzyła się mroczna zieleń, przez powietrze poszybował jaskrawy wir. Powiększał się szybko, wnikał w ściany katedry i kiedy Grim wraz z pozostałymi wspiął się na szponiastą łapę kamiennego smoka, ujrzał, jak światło to pokonuje Ogień Klątwy, który zamienił Pragę w Królestwo Gniewu.

Demony szybowały nad nimi, ich wrzaski rozdzierały powietrze. Uaktywniły wały ochronne twierdzy, ale Grim wiedział, że nie mają już szans, zbliżała się bowiem armia Ghrogonii. Dostrzegł ją w oddali i zaraz też usłyszał odgłosy pierwszych ataków na zewnętrzny wał. Remi wydał triumfalny okrzyk, Cienioskrzydli stali nieruchomo, lecz Grim wyczuwał wyraźnie, że mimo wielkiego osłabienia z trudem udaje im się powstrzymać od rzucenia się w wir bitwy. Tylko Samhur odwrócił się od wydarzeń. Spoglądał na diamenty w swojej dłoni, na płonące w ich wnętrzu ciała demonów, i kiedy po jakimś czasie podniósł wzrok i spojrzał na Grima, jego oczy żarzyły się przejrzystym błękitem.

– Oreyon nigdy nie czuł do nich nienawiści – powiedział i uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. – Zawsze powtarzał: *Jeśli zaczniemy ich nienawidzić... staniemy się tacy sami jak oni.*



## Rozdział 42



Z przenikliwym trzeszczeniem pojawił się w kamieniu zarys sokoła. Znamię żarzyło się mrocznym blaskiem i Mii wydawało się, że słyszy krzyk ptaka, kiedy ten rozpostarł skrzydła i przefrunął nad ścianą, zanim jego kontury z wolna zniknęły. Lyskian ledwie dostrzegalnie skinął głową i z jego uśmiechu Mia mogła wyczytać, że wyjście jest już blisko. Z ulgą nabrała powietrza w płuca i ruszyła korytarzem w stronę, w którą poleciał sokół.

Lyskian szedł tuż obok. Od opuszczenia areny praktycznie nie zamienili ze sobą ani słowa, lecz Mia dobrze zapamiętała sposób, w jaki na nią spojrzał, cienisty wyraz jego oczu i kruchość wyrazu jego twarzy, gdy prosił ją o wybaczenie tego, co się stało, i znowu poczuła uśmiech na swoich wargach, kiedy ujęła jego dłoń, jak ujmuje się dłoń chorego. Wciąż jeszcze pamiętała zapach maków. Nie miał najmniejszego powodu prosić ją o wybaczenie.

Tunele za areną nie były już takie zwyczajne, wykute w skale. Ich ściany wyłożone były drogocennymi kamieniami lub uszlachetnione metalowymi podporami, a ciemność w niszach nie pochłaniała już wszelkich dźwięków jak Cienie czyhające w korytarzach z tamtej strony areny. Wydawało się niemal, jakby z wolna wracały do cywilizacji, do rzeczywistości zaginionego świata i Mia przypomniła sobie opowieści Lyskiana o Rha'manthurze, którego domy były czarne jak krew ich mieszkańców i którego światło załamywało się w martwych oczach pomników stojących na dachach i występach murów. Nie miała wątpliwości, że tam krzyk sokoła jeszcze długo błądziłby po krętych uliczkach i umierając, rozciągnąłby jeszcze jeden welon ciszy nad miastem. Tu jednak był światłem w ciemności i wyprowadzi ich z tego labiryntu, który był grobem z zapomnianych snów.

Dotarli do korytarza oświetlonego jedynie słabo jarzącymi się kamieniami. Ściany ozdobione były płaskorzeźbami, a łuk bramy na jego końcu podtrzymywały potężne kariatydy. Wyglądały jak ludzkie kobiety, lecz ich twarze kryły się w Cieniach i kiedy Mia przesunęła dłonią po kamieniu, poczuła delikatność jego porów, zupełnie jakby był żywy. Rzadko kiedy zdarzało jej się widzieć tak doskonale wyrzeźbione posągi.

– Są przepiękne – powiedziała, odwracając się do Lyskiana. – Nie wiedziałam, że twój lud wydał rzeźbiarzy obdarzonych takim talentem.

Lyskian zajrzał w Cienie skrywające twarze posągów.

– To nie jest dzieło wampirów – powiedział. – Nie jesteśmy zdolni do tworzenia sztuki. W każdym razie nie takiej.

Po jego wargach przemknął lekki uśmiech i Mia przypomniała sobie wystawy, na które ją zabierał, albumy z rzeźbami wampirów, stworzonymi z prastarych kości, i obrazy z krwi powstające pod ich dłońmi. Bez zastrzeżeń postrzegała to wszystko jako sztukę, chociaż jednocześnie pamiętała uczucie paraliżującego lęku, jakie owładnęło nią podczas oglądania. Każde z tych dzieł było pęknięciem w jej rzeczywistości i chociaż wiedziała, że nie jest przygotowana na to, co się za nim kryło, nie mogła się powstrzymać, by za każdym razem nie podejść o krok bliżej do tej szczeliny.

– W takim razie kto to wykonał?

Mia podążyła za wzrokiem Lyskiana do Cieni kryjących twarze posągów. Bez słowa uniosła dłoń, rozpałała płomień wokół palców i oświetliła ściągniętą bólem ludzką twarz. Tylko oczy sprawiały dziwnie obce wrażenie. W chłodnym skupieniu spoglądały na nią z góry i zanim Lyskian zdążył odpowiedzieć, policzki Mii musnął lekki powiew. Z cichym szeptem wyleciał z ciemności bramy i miękko dotknął jej skóry. Na moment jej serce stanęło. Jakże brakowało jej tego dotknięcia żywego świata!

Pospiesznie ruszyła za Lyskianem przez bramę i właśnie miała dać wyraz uldze, kiedy raptownie się zatrzymał. Jego spojrzenie zastygło na widok pomieszczenia, do którego trafili. Pod wyłożonymi drewnem ścianami stały cenne meble. Podłogę pokrywały dywany, obok czerwonych pochodni wisiały olejne obrazy utrzymane w mrocznych



barwach, a na niezliczonych półkach piętrzyły się stosy oprawnych w skórę książek. Z pomieszczenia wychodziło kilka łukowatych bram, częściowo zasłoniętych purpurowymi kotarami. W rogu królowała sofa, a przy wygasłym kominku stało biurko usłane arkuszami zapisanego papieru. W powietrzu unosił się zapach atramentu i dymu, pachniało też lekko kwiatami stojącymi na blacie. Były to róże, róże o czarnych płatkach.

– Co takiego... – zaczęła Mia, ale Lyskian zdawał się jej nie słyszeć. Podszedł do drewnianej tablicy na ścianie, na której wisiało kilkanaście sztyletów połyskujących srebrzyście w blasku pochodni. Mia zafascynowana wpatrywała się w ornamenty pokrywające klingi i rozszczepiające światło jak pryzmaty. Kiedy się pochyliła, usłyszała ciche, tęskne brzęczenie wydobywające się z broni. W tym momencie Lyskian tak szybko odskoczył, że Mia aż się wzdrygnęła. Jego oczy napełniły się Cieniami i kiedy wpatrywał się w sztylety, rysy jego twarzy wyostrzyły się, jakby pod wpływem wielkiego napięcia.

– Co z tobą? – spytała Mia ledwie słyszalnie.

Lyskian z trudem wyrwał się z odrętwienia i złapał się jej, zupełnie, jakby te klingi go przyzywały.

– Te sztylety pochodzą z Yskoz, Puszczy Grzmotu w Południowych Karpatach. Wykuły je trolle z Wysokiego Bagniska przed Dniami Pierwszego Śniegu. Ich moc kaleczy moje ciało nawet wtedy, gdy tylko na nie patrzę. Są nadzwyczaj ostre i groźniejsze od wszelkiej innej broni, ponieważ posiadają zdolność pozbawiania magii. Nie używa ich nikt poza...

Krakanie było niemal bezgłośnie, a jednak cała krew odpłynęła Mii z głowy, kiedy usłyszała je za sobą. Odwróciła się i zobaczyła, że wysoko, na posągu bogini Ateny, siedzi kruk o zwierciadlanych oczach i spogląda na nich z góry.

*Jego wzrok nieporuszony snem lśni, jaki śnią demony,* powiedział cichym głosem Lyskian i przez Cienie, które skupiły się za sofą, przeszedł szept. Mia spodziewała się strasznego ryku khranadosa, jakby ten miał lada moment wyskoczyć z ciemności, lecz zamiast tego wyłonił się z niej człowiek o sięgających ramion brązowych włosach. Miał na sobie czarne spodnie, jego nagi tors zdobił łańcuch, a na

przedramieniu połyskiwała złota bransoleta. Bez wątpienia był wojownikiem, lecz rysy miał regularne i naznaczone mroczną szlachetnością, co czyniło jego twarz niemal piękną. Wyglądał młodzieńczo, może na jakieś trzydzieści lat, a na jego ustach igrał uśmiech, który uwolnił Mię od lęku. Podszedł bliżej, Cienie zniknęły z jego spojrzenia i teraz mogła zobaczyć jego oczy. Były złote.

W tym samym momencie Cienie za jego plecami spiętrzyły się, tworząc zarysy khranadosa, który zbiera się do skoku na potężnych szponiastych łapach. Mia krzyknęła, ale Lyskian już skoczył do przodu. Poderwał w górę miecz, srebrzyste iskry przebiegły po klindze i broń głęboko weszła w pierś wilkołaka. Krew popłynęła po jego sierści, zanim jednak Lyskian zdążył się uchylić, khranados zamachnął się i trafił go z taką siłą, że wampir przeleciał przez całe pomieszczenie i uderzył w ścianę. Mia usłyszała trzask łamanych kości i Lyskian znieruchomiał.

Odskoczyła bez tchu. W złotych oczach khranadosa zapłonęła żarząca się czarno dzikość, dziwnie wyglądająca w jego ludzkiej twarzy, zupełnie jak to było w przypadku posągów u wejścia. Tamte posągi wcale nie przedstawiały ludzi, teraz stało się to dla niej jasne. To były wilkołaki. Khranados nieubłaganie wbijał w nią wzrok. Jego rana była głęboka, ale nie chwiał się na nogach, ani nie opadał z sił. Zamiast tego lekko pochylił głowę, uśmiech na jego wargach stał się wyraźniejszy, chociaż nie miał już w sobie nic ludzkiego. Wyraz jego twarzy przypominał Mii raczej wielkiego drapieżnika tuż przed atakiem. Wiedziała, że jej magia nie ma szans w starciu z tą istotą, i cofała się, aż dotknęła plecami deski ze sztyletami. Instynktownie sięgnęła za siebie, jej palce zacisnęły się na broni. Sztylet natychmiast sięgnął po jej magię, lecz chociaż jego jad wnikał w jej ciało, nie wypuściła go, tylko skierowała jego koniec w stronę wilkołaka.

Klinga zapłonęła błękitnym światłem, blask wystrzelił w stronę khranadosa i stworzył ze złotem jego oczu imponującą grę kolorów. W jego spojrzeniu pojawiło się coś, jakby rozbawienie, emocja, która natychmiast skojarzyła się Mii z różami starannie ułożonymi w wazonie stojącym na blacie, z portretami ludzi na ścianach i papierami pokrywającymi biurko. Pomyślała o twarzach posągów u wejścia i nagle

już wiedziała, że to on je stworzył w czasie wiecznych godzin ciemności. Ujrzała go, jak leży na sofie, kiedy w tych pomieszczeniach panuje mrok, lekko rozpraszany migotliwym blaskiem dopalającej się na biurku świecy. Ciekawe, czy obawiał się ognia, bo mógł pochłonąć słowa, które zapisywał w czasie tych nocy, myśli wywodzących się z Ciemności, których nie znał nikt poza nim samym i które nigdy nie podążą za wiatrem, który mógłby je wyprowadzić z Cieni, będących zarazem jarzmem i ojczyzną?

Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy powoli zaczął się do niej zbliżać. Mia silniej ujęła rękojeść sztyletu. Moc tej broni przyprawiała ją o zawrót głowy, ale stłumiła to poczucie. Starła się przypomnieć sobie lekcje u Lyskiana – musi być szybka, to jej jedyna szansa, szybka i... Zanim jednak zdążyła choćby dokończyć tę myśl, wilkołak skoczył w jej stronę. Złapał ją tak gwałtownie, że nawet nie dostrzegła jego ruchu, chwycił za nadgarstki i szarpnął ku sobie. Jego ciało było ciepłe, czuła bicie jego serca, lecz kiedy odwrócił jej twarz, zmuszając, by na niego spojrzała, jej ciałem wstrząsnął dreszcz. W pierwszym momencie myślała, że natychmiast ją zabije, rozszarpie jej gardło albo ją udusi, lecz kiedy na jego wargi powrócił uśmiech, z wolna i okrutnie, wiedziała, że nie będzie się spieszył. Złoto jego oczu pociemniało. Wyślizgnęły się z nich Cienie i otoczyły gardło Mii. Bezlitośnie przesunęły się po jej wargach i zaraz otuliła ją najgłębsza ciemność. Mia rozpaczliwie próbowała zaczerpnąć powietrza, kiedy Cienie wnikały do jej ciała, a Ciemność zaczęła zmieniać się w obrazy. Widziała khranadosa jako dziecko w ludzkiej postaci, biegnącego przez leśne poszycie, z pochyloną głową, bose stopy mknęły po leśnym mchu i nie mogąc nic przeciwko temu zrobić, runęła głową naprzód w ten obraz. Widziała, jak wilkołak staje na skraju lasu, dzikość przebijała już przez jego dziecienną jeszcze twarz, mieszając się z jakąś nieokreśloną tęsknotą, kiedy spoglądał w stronę ludzkich siedzib na polanie. Z małych okienek wylewał się złoty blask, Mia czuła go na skórze, zupełnie jakby to ona spoglądała w ich stronę z ciemności i czuła nieodpartą chęć wejścia w jego krąg. Znała to uczucie, sama doświadczała go niezliczoną ilość razy, i chociaż za wszelką cenę starała się patrzeć na khranadosa od zewnątrz, doskonale czuła jego rozdarcie i pytanie, na które nikt mu

nigdy nie odpowiedział. Pytanie, kim tak naprawdę jest... albo czym.

Wślizgnął się do wioski, nie po raz pierwszy, lecz kiedy próbował ukraść chleb z piekarni, piekarz zastąpił mu drogę. Przerazenie smagnęło ciało Mii, za nic nie potrafiła oderwać się od khranadosa, czuła się tak, jakby to ona zdrętwiała z przerażenia, stojąc naprzeciwko obcego człowieka. Spodziewała się, że pewnie ją uderzy i znów musiała siłą zmusić się, by wyjść z wilkołaka i patrzeć na niego z zewnątrz. Widziała przerażenie i krnąbrność w jego spojrzeniu... a potem zdumienie, kiedy piekarz podszedł do niego przyjaźnie i wskazał ręką, żeby wszedł do środka. Obrazy zmieniały się w szybkim tempie. Mia zobaczyła wilkołaka w izbie człowieka, widziała, jak dorasta jako jego syn, widziała ich obu siedzących przy ogniu, śmiejących się z jakiegoś mało ważnego żartu. Widziała, jak chłopiec dorasta, jego rysy wyostriły się, jego ciało straciło wszelką dziecięcość i któregoś dnia nad dachami wioski stanął księżyc, wielki i srebrny jak skażone klątwą lustro.

Wiedziała, co się wydarzy, zanim jeszcze doświadczyła bólu przemiany w jego ciele i zanim jeszcze ujrzała ludzką dłoń na wysłużonych deskach podłogi zmieniającą się przy akompaniamencie trzasku łamiących się kości w szponiastą łapę. Czuła krew sarny na ustach po pierwszym polowaniu na równi z mdłościami, które ogarniały ciało wilkołaka i strachem, kiedy którejś nocy mieszkańcy wioski przybyli, by go zabić. Jej ciało znajdujące się na zewnątrz tych obrazów zaczęło dygotać, serce jej się zacisnęło, a jednocześnie czuła kurz podłogi pod palcami, kiedy usiłowała się ukryć w kącie izby. Widziała, jak piekarz wychodzi do ludzi. Zerwała się, półprzytomna ze strachu, i musiała patrzeć, jak zostaje zabity przez tłum.

Mia ze wszystkich sił starała się oderwać od tej sceny, nie chciała być w myślach wilkołaka, kiedy będzie się działo to, co się zaraz miało stać... i w tym momencie skoczyła razem z nim do przodu. To ona była tą, która zwróciła całą swoją siłę przeciwko ludziom, która rozszarpała im gardła i rozpruwała brzuchy jak bydło, i kiedy potem stała pośród trupów, kiedy zobaczyła martwe dzieci i pozbawione życia oczy ludzi, jej ciało wypełniło przerażenie. To nie ona to zrobiła, to khranados był sprawcą tego wszystkiego, i była to zarazem obietnica tego, co zamierzał zrobić z nią. Lecz straszliwszy nawet od tego obrazu

był mróz, który w obliczu tej sceny ze śmiertelną grozą rozszedł się po jej ciele. Zimno, które on czuł i które teraz zamrażało od środka także ją, a ona w żaden sposób nie mogła temu zapobiec. A jednak nie czuła żadnego lęku. Razem z nim rzuciła się w las i pędziła między drzewami tak szybko, że gałęzie smagały ją jak bicze. Aż nazbyt wyraźnie słyszała bicie jego serca, czuła jego oddech na wargach, czuła jego żądzę, by ją rozszarpać... ale nie broniła się przed tym. Pozwoliła, aby zimno wpłynęło w jej żyły, pozwoliła, by przeniknęło ją całkowicie i po raz pierwszy od chwili, kiedy sama je poczuła, w czasie tych samotnych nocy po śmierci Lucasa, w czasie rozmów z Jakubem, który ciągle był tak daleko od niej, i przy każdym spojrzeniu w twarze ludzi, którzy byli od niej oddzieleni tą przekłętą szklaną ścianą, zostawiając ją samą w jej rzeczywistości... po raz pierwszy pojęła, co to zimno może oznaczać. To samotność gnała wilkołaka przez las, to ona była wiatrem, który wdzierał się pod poszarpaną odzież i przynosił ze sobą mróz, to ona była pięknem pustyni, o której nigdy nie mogła porozmawiać, ponieważ nikt poza nią jej nie widział, i niepokojem księżycy, który tylko pozornie obojętnie płynął w morzu chmur. A kiedy odrzuciła głowę do tyłu i z jej gardła wydobyło się wycie wilkołaka, pojęła, że to uczucie nie jest obce nikomu, kto potrafił emanować takim światłem tęsknoty. Nasłuchiwała tonu, który odbijał się echem pośród drzew, i uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie. Znała to przerażenie, którym wilkołak chciał ją zabić. Wiedziała jednak, że w ten sposób na pewno nie może jej zniszczyć.

Ocknęła się na podłodze u jego stóp. Dywan pod jej palcami był miękki, ale prawie tego nie czuła. Z jej palców osypywały się kawałki lodu, zachwiała się, wstając i kiedy wilkołak spojrział na nią z góry, a ciepło jego spojrzenia otuliło jej ciało, pojęła, że w tej chwili on myśli dokładnie to samo, co ona – że są do siebie podobni. Zanurzył się w jej myślach, wcale nie za pomocą magii ani demonicznych tricków, a tylko przez to, że był taki sam jak ona, i kiedy odrzucił głowę do tyłu i zawył, Mia wiedziała, że ona również nosi w sobie ten zew i że może ją on uleczyć albo zniszczyć, gdyby tylko zechciała.

Odetchnęła głęboko, czując na sobie spojrzenie Lyskiana. Odwróciła się w jego stronę. Wampir z wolna zbierał się z podłogi, lewą rękę miał zgiętą, jakby odczuwał w niej ból, i patrzył w ich stronę.

Wilkołak bez słowa ruszył przed siebie. Przeszedł obok swojego biurka, kartki papieru zaszeleściły, kiedy je musnął, i otworzył drzwi ukryte za ciężką kotarą. Do środka wionęło chłodne powietrze i zupełnie jakby jego tchnienie przerwało jakiś czar, ledwie dostrzegalnie skłonił głowę. Zdecydował się ich wypuścić.

Spojrzenie Lyskiana było przysięgą zemsty, jego oczy dwoma kawałkami lodu; wilkołak patrzył na niego z nie mniejszą wrogością. Mia natomiast zatrzymała się przed nimi i dopiero teraz zorientowała się, że wciąż trzyma w dłoni sztylet. W milczeniu wyciągnęła go w stronę wilkołaka, lecz ten pokręcił przecząco głową i po raz pierwszy uśmiechnął się w sposób, który sprawił, że jego twarz stała się całkowicie twarzą człowieka. Łagodnie ujął jej dłoń i zamknął jej palce na ostrzu broni, którą następnie wyciągnął szybkim ruchem, tak że ostrze przecięło jej ciało. Poczula ból, który był jak blask księżyca na skórze. Usłyszała głos khranadosa, niski i mocny, którym wypowiedział jakieś słowa w nieznanym jej języku, i poczuła, że moc sztyletu już nie próbuje pochłonąć jej magii. Przez moment trzymał jej rękę. Rana na dłoni zasklepiła się, choć nie wypowiedział żadnego zaklęcia, a potem usłyszała jego słowa, które łagodnie i zarazem szorstko, tak jak jego zew, musnęły jej włosy.

*Nie pozwól im zobaczyć, kim jesteś, powiedział cicho. Znienawidzą cię za tę prawdę.*

Złoty blask jego oczu przesunął się po jej twarzy, ogrzewając ją. Potem khranados odwrócił się i zanim zdążyła mu cokolwiek odpowiedzieć, zamknął drzwi, powracając do swojego królestwa.

Spojrzenie Lyskiana spoczywało na niej chłodno, kiedy szli wąskim korytarzem, ona jednak nie podniosła na niego wzroku. Raz jeszcze szła z wilkołakiem przez las, wspólnie z nim, a jednak wolna. Na jej twarzy położył się cień, kiedy pomyślała, że być może jest właśnie kimś takim: samotnym wilkiem, nierozpoznanym i nieszukany przez nikogo, i że jej tęsknota za wspólnotą z innymi ludźmi od samego początku była skazana na niepowodzenie. A co będzie, jeśli stanie się z nią to samo, co z nim? Co będzie, jeśli całe życie spędzi na szukaniu, bez szansy na dotarcie kiedykolwiek do celu?

Pozwoliła, by światło bijące od bramy, która znajdowała się na

końcu korytarza, przesunęło się po jej skórze, i nagle znalazła się w parku. Czuła płatki popiołu sypiące się z otaczających ją drzew. Serce aż jej podskoczyło, kiedy uświadomiła sobie, że znajdują się w samym sercu Pragi, w Ogrodach Kińskich, i że Ogień Klątwy został opanowany. Krzyki rozlegające się w oddali pochodziły z kamiennych gardeł. Spojrzała na Lyskiana, nie mogąc złapać tchu. Pospieszyli na niewielkie wzniesienie i ledwie ujrzeli sypiący iskrami czar spływający w noc wokół praskiego zamku, Zewnętrzny Wał Ochronny rozpadł się na płonące kawałki.

Mia czuła, że serce wali jej jak oszalałe. Grim zwyciężył, złamał Czar Klątwy i uwolnił Cienioskrzydłych, a teraz... Przejechała dłonią po ustach, jakby w ten sposób mogła uformować myśli w słowa, lecz było to bezcelowe. Wszystko, co czuła, to ciepło, które wypełniało całe jej ciało, kiedy tylko pomyślała o Grimie, i aż się uśmiechnęła, widząc eksplozje na niebie, które spadały niby ognisty deszcz. Lyskian uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie, z jego oczu zniknął wszelki chłód i obydwój spoglądali teraz w górę na grę barw, które płonęły na niebie jak zorza polarna.

Mia wzdrygnęła się, kiedy ciszę nocy rozdarł sygnał jej komunikatora. Pospiesznie wyjęła go z kieszeni i ledwie postać Jakuba pojawiła się w migocącym słupie światła, poczuła skurcz w żołądku. Z czoła lała mu się krew, a wargi drżały, kiedy zaczął mówić.

– Mia – powiedział ledwie słyszalnie – Stało się coś strasznego.

## Rozdział 43



Zniecierpliwiony Grim założył ręce na piersiach i spoglądał z góry na Samhura. Od niemal wieczności Łowca siedział skulony pod czarem kamuflującym w jednej z nisz w zamku, ignorował demony, które jak oszalałe latały nad jego głową, i poruszał palcami nad unoszącym się w powietrzu czerwonym płomykiem. W jego ogniu od czasu do czasu pojawiały się powykrzywiane twarze ze zbyt wielkimi uszami, maleńkie małpie łebki i jaszczurcze oczy, które spoglądały na Samhura ponuro, zanim ostatecznie zniknęły. Grim rozejrzał się wokół i stwierdził, że najwyraźniej jest jedynym, który wyobrażał sobie, że można mieć do roboty coś lepszego, niż tylko stać jak głupi pod migotliwym zaklęciem i czekać, aż wampir zrobi jakieś hokus-pokus, żeby odnaleźć Verusa w labiryncie Praskiego Zamku. Cienioskrzydli z zainteresowaniem przyglądali się Samhurowi, a Remi skupiał się na badawczym przyglądaniu się Grimowi, który w końcu westchnął głośno. Czuł w sobie chłód, który ciągle jeszcze wypełniał jego ciało, i musiał przywołać sobie w pamięci huk pękającego Wału Ochronnego, aby wyprzeć z niej obraz śmiertelnie bladej twarzy Kronka. Nie czas teraz na mroczne wspomnienia. Nadszedł czas triumfu.

Słyszał bojowe krzyki Ghrogonian, bezlitośnie rozrywające ciemność nocy, a kiedy demony w imponujących formacjach ciągnęły do bitwy, on wyobrażał sobie armię z chorągwiami i magią, która wypełniała powietrze ogniem. Udało im się rozbić Zewnętrzny Wał i z całą mocą rzucili się szturmem na Dzieci Gniewu, lecz wszelka siła i zdecydowanie na nic się zdadzą, dopóki Verus pozostanie na wolności. Zbyt wielki miał wpływ na swój lud, zbyt potężna była jego własna moc. Jeśli umknie, nie zdołają rzucić demonów na kolana. Nie mówiąc już o ludziach, których trzymał w Krainie Snów i którzy będą zgubieni, jeśli



się ich nie uwolni. Muszą go zetrzeć w proch, tak jak mu się to należało. Grim z chrzęstem zacisnął pięści na myśl, że mógłby to załatwić własnoręcznie.

Strzelające czarne iskry przyciągnęły jego uwagę z powrotem do płomienia. Bił z niego gęsty dym i Grim pochylił się do przodu. Najwyższy czas, żeby coś się już stało. W tym momencie z dymu wystrzeliła kula wielkości pięści i rozpędziła dym gwałtownym kichnięciem, rozrzucając wokół obrzydliwe mokre kawałki nieokreślonej materii. Kula wstrząsnęła się i ze słyszalnym mlaśnięciem odkleiło się od niej, odstając teraz na wszystkie strony, futro. Grim dopiero po bliższym przyjrzeniu się dostrzegł czarne guzikowate oczy i szerokie usta z dwoma rzędami krzywych zębów. W powietrzu unosił się przed nimi demon. Rozejrzał się wokoło i spod futra wyłoniły się cienkie jak opłatki stopy, prawie dwa razy większe od reszty ciała. Jego dłonie natomiast były małe i niemalże delikatne, i kiedy wsparł się pod boki, w połączeniu z cieniutkimi ramionkami wyglądały jak dwoje za nisko umieszczonych uszu.

Demon uśmiechnął się przyjaźnie, jakby wpadł do garnka z miodem, i powiedział coś gdaczącym głosem, który zabrzmiał tak pociesznie, że Remi zachichotał. Samhur coś na to odpowiedział, mając wyraźne trudności z imitowaniem tych dźwięków. Wyglądało to tak, jakby próbował zaśpiewać dziecięcą piosenkę, nie trafiając w tonację. Demon jednak gorliwie pokiwał głową. Nabrał głęboko powietrza, wskutek czego przez moment wyglądał jak nadmuchany kurczak z małymi, okrągłymi usteczkami. Pomachał małą rączką, wzywając wszystkich, by ruszyli za nim, a potem pacnął na ziemię i potoczył się uliczką. Samhur dał znać gestem, żeby iść za nim i wszyscy razem pospieszili za demonem.

Demon trzymał się Cieni. Z początku powoli, potem coraz szybciej pokonywał drogę. Jego stópki plaskały po kocich łbach, a przy każdym wydechu z jego ust wydobywał się mały żółty obłoczek. Bez trudu prześlizgiwał się po ścianach i niszach w murze i już wkrótce pędził przed siebie tak szybko, że Grim mocno się wytężył, by dotrzymać mu kroku. Co chwila musieli się bronić przed atakującymi demonami, które dostrzegły ich czar kamuflujący, lecz armia Ghregonii poczyniała sobie

zbyt gwałtownie, by większość z nich miała czas zajmować się tym, co dzieje się pod ich nosem. Wreszcie kulisty demon zatrzymał się. Jego futro było nieco przyklepane i stroszyło się teraz ponownie to tu, to tam. Przed drzwiami do dawnego królewskiego pałacu demon zatrzymał się... Zawahał przez moment, a potem wcisnął się jak futrzany korek w dziurkę od klucza. Jego stopy przebierały w powietrzu, potem do głowy dołączyła dolna połowa i demon wślizgnął się do środka.

Samhur pchnął drzwi i znaleźli się w przedsionku sali władysławowskiej, wykorzystywanej w dawnych czasach głównie podczas ważnych uroczystości i innych oficjalnych okazji, wystarczająco wielkiej, aby mogli w niej galopować rycerze na rumakach. Nad nimi wznosiło się skomplikowane gotyckie sklepienie, drzwi i okna miały renesansowe zdobienia. Grim poznał w dawnych czasach wypełnioną kurzem, nieco mroczną atmosferę tej sali, i tak jak wtedy wyczuł zapach dymu, któremu towarzyszyła ciężka, metaliczna woń. Demon latał tam i z powrotem przed drzwiami i mamrotał coś pod nosem. Samhur rozejrzał się wokół, jego twarz wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle. On też czuł tę woń, Grim wiedział o tym, podobnie zresztą jak Cienioskrzydli i Remi, który lekko zdyszany siedział na jego ramieniu.

*Szukacz nie potrafi już wyczuć zapachu Verusa, powiedział Samhur i pchnął drzwi. W tym pomieszczeniu unosi się magia, która przykryła jego zapach, magia prastarej mocy, która...*

W tym momencie przerwało mu ochryple kwiczenie. Demon wtoczył się do komnaty i nagle oczy zrobiły mu się wielkie jak tenisowe piłki. Grim ruszył za nim razem z pozostałymi... i stanął jak wryty.

Wonią, która przedtem drażniła mu nozdrza, była woń krwi, teraz stało się to dla niego jasne. Struga krwi wiła się po podłodze, tworząc splecione ze sobą rytualne kręgi, i co chwila wyłaniały się z niej zdeformowane kończyny, zupełnie jak ze szczeliny do innej rzeczywistości, z której coś chciało się wydostać przez najmniejsze choćby pęknięcia. Grim słyszał głosy zapładniające powietrze mrocznymi formułkami zaklęć i wzdrygnął się, kiedy spojrzął na postaci, które z upiorną symetrią siedziały pogrążone w rytuale. Wyglądały mniej więcej jak ludzie, tyle że ktoś obdarł je ze skóry. Krwawe sploty żył pokrywały ich wychudzone ciała, powieki miały

zamknięte i poprzebijanie czarnymi cierniami, podczas gdy ich bezzębne usta co chwila otwierały się raptownie z głośnym mlaskiem, a wtedy po ich splekanych wargach spływała ciemna krew, z sykiem wyparowywała w zetknięciu z ich ciałami, pozostawiając blizny w żywym mięsie. Postacie siedziały zwrócone zdeformowanymi twarzami do środka kręgu i kołysały się w nieregularnym rytmie. Trzy splecione ze sobą linie tworzyły wewnętrzny krąg, w którego środku unosiła się w powietrzu rozżarzona na czerwono, pokryta cierniami laska, która z każdym dźwiękiem wydawanym przez nieszczęsne istoty i z każdą kroplą uronionej przez nie krwi zabarwiała się coraz bardziej na ciemno, wydzielając z siebie błękitną jak lód mgiełkę.

Kulisty demon wydał ochryply odgłos, a potem wykonał cały szereg szybkich ruchów dłońmi na znak, że mimo odoru krwi ponownie spróbuje odnaleźć trop Verusa, i zaczął przeczesywać pomieszczenie. Grim nie zwracał na niego uwagi. Podszedł bliżej do miejsca, gdzie trwał rytuał, i podczas gry Remi siedzący na jego ramieniu wstrzymywał oddech, on nie potrafił powstrzymać odruchu obrzydzenia. Dłonie zmasakrowanych istot zdeformowały się w długie szpony, wyrostki kręgosłupa odznaczały się szpiczasto pod ciałem, a kiedy stanął bardzo blisko i pochylił się do przodu, zobaczył, że istoty te połączone są z krwawymi liniami rytualnymi, zupełnie jakby były one przedłużeniem ich żył, wyrwanych z ciała jakimś perwersyjnym zaklęciem i scalonych z rytualnym kręgiem, którego moc przesunęła się po skórze Grima jak zatrute klingi. Czar nie był jeszcze zakończony, lecz laska wysyłała ku Grimowi swój złowrogi blask. Cóż takiego, do diabła, się tu odbywa?

Samhur ostrożnie przestępował kręgi, wyraźnie starając się żadnego nie dotknąć. Co chwila pochyłał się, przesuwał palcami ponad nabrzmiałymi żyłami i kręcił głową. Z pochmurną miną przyklęknął przed jedną z tych dziwacznych istot. Przysunął dłoń na niewielką odległość od jej czaszki, na co istota od razu zaczęła głośniejszą mamrotać formułki. Nie były to jednak słowa. Były to bulgocące strzępy języka, którego Grim nigdy jeszcze nie słyszał. Powoli podszedł bliżej.

– Kim one są? – spytał, przyglądając się, jak Samhur przesuwa palcami tuż ponad ciałem istoty. Jakieś szczeciniaste owadzie odnóza zaczęły wypychać od środka jej ciało.

– To Zaklinacze – odpowiedział Łowca ponuro. – Istoty, które pozwalają, aby obca Moc przepływała przez ich ciało. Spełniają rolę pośredników między różnymi istotami, myślami i światami. Często czarownicy i nekromanci nabywają taką umiejętność, niekiedy nawet alchemicy i Widzący, lecz tutaj... – Pokręcił głową i Grim ze zdumieniem stwierdził, że po twarzy Łowcy przemknęło coś, jakby obrzydzenie. – Te istoty zostały do tego zmuszone. Są związane z tym rytuałem w taki sposób... jakby specjalnie w tym celu je stworzono.

Remi zaczął ciężko sapać, ale Samhur nie zwracał na niego uwagi. Pochylił się do przodu i kiedy Zaklinacz po raz kolejny z mlaskiem otworzył usta, wziął między palce trochę wypływającej krwi. Spętał ją zaklęciem, zanim zdążyła go oparzyć, przysunął ją sobie pod sam nos... i szybko cofnął rękę. Jego oczy były czarne jak smoła, kiedy popatrzył na pozostałych.

*To ludzka krew, powiedział szeptem.*

Grim spojrzał na Zaklinacza, na tę zdeformowaną istotę o na wpół rozerwanych powiekach. Czyżby to naprawdę kiedyś był człowiek? Nie zdążył podążyć dalej za tą myślą, ponieważ w tym momencie Samhur wyciągnął rękę, chcąc dotknąć ramienia Zaklinacza. Grim instynktownie go powstrzymał. Doskonale wiedział, że Łowca chciał w ten sposób dowiedzieć się, do czego służy rozgrywający się przed nimi rytuał, ale czar, taki jak ten, nie lubił, kiedy się go przerywa. Grim nigdy nie rozumiał do końca tej alchemicznej abrakadabry, nie raz i nie dwa naśmiewał się z Vraterniusa i jego włochatych towarzyszy, ale jedno wiedział na pewno – przerwanie rytuału grozi utratą życia. Zwłaszcza przerwanie rytuału, który oddycha i spala, i w dodatku którego się nie rozumie.

*Mamy do wyboru, odezwał się Samhur. Albo będziemy się bali otchłani i zaryzykujemy, że nas pochłonie, albo rzucimy się w nią ze świadomością, że potrafimy latać. Ja podjąłem już decyzję, Grimie, Dziecię Ognia. A ty?*

Z tymi słowami odsunął rękę Grima i nie odwracając od niego wzroku, położył obie dłonie na ramionach Zaklinacza. Z ciała tamtego natychmiast wysunęły się czarne pajęczce odnóży i wwierciły się w skórę Samhura, który aż sapał, kiedy poczuł wbijające się zadziory i krew

Zaklinacza niczym jad zaczęła przepływać do jego ciała. Jego skóra najpierw zabarwiła się na granatowo, potem na czarno, wystąpiły ciemne żyły, wyszły z niego, by połączyć się z żyłami Zaklinacza i zaraz zeskorupiały, przypominając korę na korzeniach prastarego drzewa. Pod jego skórą Cienie pełzły aż do szyi, oczy Samhura zmieniły barwę na ciemnoczerwoną, zupełnie jakby krew zabarwiła świeżo spadły śnieg, i kiedy zamknął powieki, przez ich skórę przebiły się ciernie, uniemożliwiając mu widzenie. Grim zmuszał się, by na to patrzeć. Usłyszał słowa w języku th'yinguel wychodzące z ust Samhura, podczas gdy żyły okręcały się wokół jego szyi i pięły w górę po nogach. Kiedy się splotły, zaczęły wydawać dźwięki, osobliwie wabiące, a zarazem przepełniające grozą, i Grim aż wstrzymał oddech, kiedy Zaklinacze zaczęły odpowiadać.

Mówili jeden przez drugiego, jedni cicho, inni głośniej, lecz ich głosy łączyły się w kanon, powtarzany coraz szybciej i szybciej, jak w jakimś amoku. Grim wyraźnie słyszał odróżniający się głos Samhura, widział ból na twarzy Łowcy, i kiedy jego dłonie wpiły się głębiej w ramiona Zaklinacza, a z kostek wyskoczyły zeskorupiałe kawałki żył, usłyszał w myślach jego głos, donośny i wyraźny, podczas gdy inny głos, głos Cieni, rozmawiał z Zaklinaczami.

*Stoję pośrodku ognia, powiedział Samhur i Grim wiedział, że także pozostali go słyszą. Zmusił się, by patrzeć na Samhura, na jego poszarpane, gwałtownie trzepoczące powieki i na jego usta, za których wargami czarna krew spływała na język. Nie widzę jeszcze sensu tego rytuału, ale słyszę, jak Zaklinacze wołają, głośno i przenikliwie. Mówią w th'yinguelu i maa'na, dawnym języku Zapomnianych, przypomnijcie sobie, przypomnijcie sobie, że od zawsze był to język Międzyświata... język duchów, elementarów i Sferycznych Cór. Widzę bożka Pana, zdeptuje ogień, woła moje imię...*

Samhur wydał sapnięcie. Remi z przerażenia pofrunął w górę, a Kronk usiadł przy Grimie, zupełnie jakby swoją obecnością mógł odjąć Łowcy choć trochę bólu, jaki w tym momencie dręczył jego ciało.

*Król Hanon, usłyszeli głos Samhura i teraz Grim już wyraźnie słyszał, że jad próbuje sparaliżować jego język, a on broni się przed tym z całych sił, władca faunów, tak, on istnieje, zapomnieliście o nim, ale on*

*był kiedyś równie rzeczywisty, jak wy teraz. Wezwał pralud leśnych bogów do Czarnego Świata, miejsca jego wygnania, aby towarzyszył mu w jego walce przeciwko sylfom, duchom powietrza. Widzę, jak maszerują, widzę, jak tańczą...*

Samhur gwałtownie odrzucił głowę w tył, zupełnie jakby siłą chciał oderwać wzrok od czegoś, co oddziela mu ciało od kości.

*Co mówią Zaklinacze?*, spytał Grim z naciskiem i Samhur skinął głową, zupełnie jakby dawał znak, że słyszy.

*Ich głosy są wyraźne.. To Orł'Vinguros, zew z Cieni, które oni tworzą... magia z Pierwszego Czasu. Sięga przez wszystkie światy, lecz istoty, które chce przywołać, mają swobodę wyboru, czy pójść za nim, czy też nie. Verus Crendilas Dhor...*

Na dźwięk tego imienia Samhur szarpnął się tak gwałtownie, że pajęczce odnóża porozrywały mu ciało. Grim w ostatniej chwili powstrzymał się przed dotknięciem go, wyczuwał jednak wyraźnie, że Łowca mu się wymyka, że jad Zaklinaczy, który zdążył już zabarwić na granatowo jego pierś, bezgłośnie i zabójczo podpełza do jego szyi. Pochylił się do przodu.

*Kogo wzywa Verus?*

Pytanie płonęło w jego myślach, nie mógł znieść milczenia, w jakie popadł Samhur, lecz wtedy usłyszał inny, potężniejszy głos, usłyszał, jak oplata on słowa Zaklinacza i zmusza je do mówienia i patrzył ze wstrętem, a zarazem zafascynowany, jak wydobywają się one z gardła tej istoty niczym skrwawione robaki. Z plaśnięciem lądowały na ziemi, pełzły po niej jak pijawki, ledwie jednak dotarły do Wewnętrznego Kręgu, unosiły się w powietrze i płonęły, zamieniając się w rozżarzone znaki. Ich blask jaśniał coraz bardziej, Grim boleśnie czuł go na skórze, ale jednocześnie słyszał też głos Samhura, coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy, a kiedy Łowca odrzucił głowę do tyłu i gwałtownie zagłębił palce w ramionach Zaklinacza, że aż dał się słyszeć trzask łamanych kości, siedzące w kręgu istoty otworzyły oczy. Z ich źrenic trysnęły płomienie, rozpalając znaki w Kręgu dzikim ogniem. W nieokiełznanej grze barw płomienie splotły się ze sobą, tworząc obraz, który pozbawił Grima tchu. Ujrzał otchłanie wynurzające się z ognia, widział piętrzące

się stosy umierających ciał i morza z krwi i wnętrzości, czuł podmuchy wiatru nad hałdami popiołu i kiedy usłyszał grzmot rzeki, która przebiła się przez pustynię barw, wiedział już, co ma przed sobą: był to Braskaton, Królestwo po drugiej stronie Światła, Kraina Zmarłych Demonów.

Wpatrywał się w płomienie i miał poczucie, jakby wpadł w sam ich środek. Czuł rozbryzgi piany Pękającego Morza, słyszał krzyki palących się, a potem zobaczył ich, strażników w tej krainie przerażenia: białe jak wosk żałobnice, diabły o twarzach powykrzywianych w maski, za nimi centaury o siedmiu głowach, monstra z ropy i siarki. Widział wielkie jak domy pająki o odnóżach wysadzanych czaszkami i ślepe dzieci o wielu ustach, których śmiech rozrywał powietrze. W korowodzie błyskawicznie zmieniających się obrazów rozbłyskiwały demony Braskatonu, próbowały dosięgnąć oka, które wślizgnęło się między nie. Samhur wzdrygnął się gwałtownie, kiedy z płomieni wyłoniła się łapa gotowa do ciosu.

Potem powietrze rozdarł ryk. Z samego środka płomieni wyłonił się potężny demon o skrzyconych rogach, smoczym ogonie i płomiennym żarze w gardzieli i kiedy uniósł pięść, i płonącym biczem rozsiekął na kawałki obrazy innych demonów wokół siebie, Grim poczuł na twarzy żar, jakby stał tuż przed nim. Demon ponownie się zamachnął, jego wzrok spoczął na Samhurze, lecz kiedy właśnie podrywał dłoń do ciosu, Samhur nabrał powietrza. Gwałtownym ruchem szarpnął się w tył i żyły oplatające jego ciało rozerwały się. Ogień zgasł, demon zmienił się w ułudę z popiołu i kiedy jego bicz z sykiem przeciął powietrze, na Zaklinaczy spadły tylko czarne płatki. Zamknęli oczy i mamrotali dalej, zupełnie jakby nic się nie stało.

Kronk położył Samhurowi ręce na piersi. Kiedy jego czar leczniczy sprawił, że żyły na ciele Samhura przyschły, a pajęczce odnóża tkwiące w jego ciele rozpadły się w proch, Łowca otworzył oczy. Z wolna odpływała z nich krew. Samhur usiadł, a jego rany zaczęły się zasklepiać.

– To Belial – powiedział szeptem i Grim wiedział, że Samhur ma na myśli demona o diabelskich rogach, który przed chwilą spoglądał w ich stronę przez płomienie. – Ursus, Mediad, Neraya i wielu, jakże wielu

innych. Znacie ich imiona, a nawet jeśli nie, to powiadam wam: ich właśnie przyzywa Verus. To najpotężniejsze demony, jakie kiedykolwiek widział ten świat.

– No, wspaniale! – wykrzyknął Remi i przejechał dłonią po włosach, jakby to one były winne całej tej sytuacji. – Zupełnie jakbyśmy nie mieli już dość demonów w ostatnim czasie. To doprawdy jakaś plaga! Nie dosyć już tego, co było dotąd? Ciekawe, skąd niby te superdemony miałyby się nagle wziąć? Schowały się u Verusa w filiżance herbaty?

Grim rzucił mu ponure spojrzenie.

– One są martwe. Verus przyzywa je z Krainy Zmarłych Demonów. Ale granicy do tego świata nie da się przełamać, nawet Verus tego nie dokona.

– To prawda – potwierdził Samhur. – Ponadto Braskaton nigdy nie wypuści swoich dzieci. Gdy tylko tamta ciernista laska zmieni barwę na czarną, rytuał się dopełni, ale demony nie będą mogły odpowiedzieć na zew Verusa, obojętnie jak silny będzie głos tego czasu. Jeśli...

Później Grim nie potrafił już powiedzieć, czy Samhur dokończył to zdanie, czy też nie. Nie wiedział też, dlaczego nagle się odwrócił. Zrobił to instynktownie, zupełnie jakby jakaś delikatna dłoń dotknęła jego ramienia. Pamiętał tylko zapach, który musnął jego policzki, zapach gwiazd i płomiennych barw, i ujrzał postać, która wysunęła się z Cieni... był to chłopiec, mały i kruchy, włosy miał rozwichrzone, a oczy wielkie jak dwa jeziora w mroźną zimową noc.

Grim wstrzymał oddech. Z drugiego końca Sali patrzył w jego stronę Carven z rękami skrępowanymi na plecach i krwawą pręgą na czole. A za nim, trzymając mu rękę na ramieniu, stał Verus Crendilas Dhor, i spoglądał na nich z okrutnym uśmiechem.



## Rozdział 44



Ulice we wschodniej części miasta wyglądały na opuszczone. Na fasadach domów z rzadka rozbłyskiwały języki blednących Ognia Klątwy, nad brukiem snuły się dymy, a powietrze wibrowało od płatków popiołu, których tumany tańczyły nad dachami. Żaden demon nie przemykał już uliczkami, wszystkie brały udział w bitwie, która nawet tutaj wprawiała ziemię w drzenie. Z otchłani nieba padał kapuśniaczek, drobne, srebrzyste kropelki, które tworzyły wydymające się od wiatru zasłony. Biegając, Mia czuła je na twarzy niczym ukłucia mikroskopijnych igiełek. Nie zwracała uwagi na kałuże zbierające się na bruku, a dźwięk jej kroków odbijał się echem od ścian opuszczonych domów, zupełnie jakby za każdym oknem i każdą zamkniętą bramą kryły się nieskończone labirynty korytarzy. Nie czuła już za sobą obecności Lyskiana, chociaż ruszył za nią, kiedy zaczęła biec. Teraz jednak gdzieś zniknął, zupełnie jakby nie chciał patrzeć, jak pędzi bez tchu przez to przeklęte miasto. W skroniach czuła pulsujący ból, który zaczął się w piersi, a potem zagnieździł się w jej czaszce. Krew szybciej płynęła w jej żyłach. *Stało się coś strasznego.* Głos Jakuba przenikał jej myśli, widziała go przed sobą, bezsilnego i rannego, i raz jeszcze wysłuchiwała, co jej powiedział, szeptem, jakby w ten sposób chciał złagodzić znaczenie swoich słów.

*Przyszli o świcie. Jeden khan, jeden iphryr i siedmiu phy, wszystko siepacze Verusa. Mówili jego głosem, widziałem go w ich oczach. Zranili ciężko Theryona, mnie osłabili czarem, który o mało mnie nie rozszarpał. Tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności jesteśmy jeszcze przy życiu.* Mia znowu zobaczyła, jak kręci głowę, zupełnie jakby musiał się zmusić do wypowiedzenia tych słów. *Carven. Zabrali ze sobą Carvena.*

Przeskakując przez kałuże, uderzyła o ścianę jednego z domów i

rozorała sobie rękę, ale nie zwracała na to uwagi. Przed oczami miała Carvena, słyszała jego śmiech, czuła jego oddech na policzku, kiedy spał, i widziała Grima stojącego przy łóżku chłopca, w milczeniu i z tym cienistym spojrzeniem, które sprawiało, że jego twarz wyglądała w równym stopniu na przepełnioną spokojem, jak i na bezwzględna. Nigdy przedtem nie widziała, żeby Grim tak na kogoś patrzył, nawet na nią, i nie miała wątpliwości, że szok, który sama teraz przeżywa, jemu mógłby odebrać rozum. Verus ma w swej mocy Carvena. Powtórzyła sobie to zdanie, zupełnie jakby to była jakaś bardzo trudna formuła, której nie potrafiła pojąć. Daremnie próbowała połączyć się z Grimem albo z Mourierem i w końcu zostawiła wiadomość u adiutanta króla. Z pewnością jednak dużo czasu minie, zanim uda się odnaleźć lwa w ogniu bitwy, a poza tym nawet on niewiele w tej sytuacji będzie mógł zdziałać. Ale po co, do diabła, Verus uprowadził Carvena? Grim zrobiłby dla tego chłopca wszystko, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości, lecz nawet on nie zdołałby powstrzymać armii Ghrogonii, gdyby stanął naprzeciwko potęgi Mouriera. I niezależnie od tego, jak bardzo Mourier był jego sprzymierzeńcem i jak bardzo Carven był bliski jego sercu, to jednak zdecydowanie poczuwał się do posłuszeństwa wobec najwyższej władzy Innoświata i do służby dla dobra swojego ludu. Mia czuła na twarzy zimny podmuch wiatru, lecz nie zwalniała. Grim znalazł się w pułapce, której ogromu nie potrafiła pojąć, ale wiedziała, że tylko ona jest w stanie mu pomóc. Musi za wszelką cenę dowiedzieć się, co zamierza Verus. Może uda jej się znaleźć sposób, żeby pokrzyżować plany demona. Wbiła paznokcie w dłonie. Jest tylko jedna możliwość wyjaśnienia, w jaki sposób ten przeklęty Złoty Cień mógł się dowiedzieć, gdzie przebywa Carven. I ta pewność do tego stopnia boleśnie paliła jej czoło, że prawie nie czuła zimna deszczu.

Prawie bez tchu dotarła do cmentarza na Olszanach. Tumany dymu ze spalonych liści wionęły w jej stronę i kiedy wreszcie stanęła przed kryptą, której szukała, kopnięciem wywaliła wąż drzwi, które ze zgrzytem wypadły z zawiasów. Stanęła w progu. Jej cień wpadał do pogrążonego w mroku pomieszczenia, poczuła nagłe gorąco, które napłynęło jej do głowy. Ledwie jednak dojrzała za sarkofagiem Radwinę i Edwina, żar powrócił do jej piersi i zamienił się w lodowaty chłód.

Bicie serca spowolniło się, oddech się uspokoił. Dostrzegła zdumienie na twarzy Radviny i strach w oczach Edwina, i pewnie przeraziłaby się swojego własnego głosu, gdyby nie to, że czuła na skórze oddech Carvena i czarne spojrzenie Grima.

– Gdzie jest Jaro? – spytała, widząc, jak każde jej słowo zmienia powietrze w lód, unieruchamia Cienie czające się po kątach i rozszarpuje okrutny wiatr wiejący przez cmentarz, tak że zapada kompletna cisza.

Radvina otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie spod łuku prowadzącego do podziemi krypty wyszedł Jaro. Przez ramię przewieszony miał zawiniątko. Na jego twarzy pojawiło się zdumienie, kiedy ujrzał Mię, ale zaraz zmieniło się ono w uśmiešek, który trafił ją jak cios. Oczy Jaro były czarne jak smoła i spoglądały na nią w sposób, który odebrał jej wszelką wątpliwość i wszelką nadzieję, że może się myli.

– Wydałeś Carvena Verusowi – powiedziała lodowatym głosem.

Radvina i Edwin przerazili się jednocześnie, zupełnie jakby byli jedną osobą, co upewniło Mię, że Jaro sam stanął po stronie Verusa. Przez chwilę mierzył ją wzrokiem, a potem parsknął pogardliwie i ruszył w jej stronę. Nie było wątpliwości, że nie ma zamiaru zamienić z nią ani słowa, lecz ona uderzyła go w pierś z taką siłą, że aż zatoczył się w tył. W jego oczach zabłysła wściekłość.

– Zejdź mi z drogi – powiedział, ale Mia zignorowała groźbę, która kryła się w jego głosie.

– Ani mi się śni – odrzekła. – Ryzykowałam dla ciebie życie, uratowałam cię przed śmiercią, podobnie jak Grim. A ty jak nam się odpłaciłeś? Verus ma Carvena w swoich szponach, Jakub i Theryon są ciężko ranni! Wydałeś dziecko w ręce demona, najgorszego demona ze wszystkich! Dlaczego to zrobiłeś?

Jaro unikał jej wzroku, przez moment wydawało się, że rzuci w nią zawiniątkiem i spróbuje ją wyminąć, on jednak w końcu podniósł głowę. Na jego twarz powrócił uśmiešek, który palił jej skórę jak trucizna.

– Wiem, po co tu przyszaś – powiedział powoli. – Ale ode mnie nie dostaniesz żadnych odpowiedzi. Nie mam pojęcia, co Verus zamierza zrobić z chłopcem i jest mi to najzupełniej obojętne. Jedyne, co wiem, to to, że demon chciał czegoś, na czym Grimowi zależy tak

bardzo, że będzie gotów się z tego powodu ujawnić.

Mia cofnęła się. Zmusiła się do odwrócenia oczu i spojrzenia w Cienie, by zdusić w sobie gniew, który przyzywał ją do siebie lodowatym głosem.

Jaro wybuchnął śmiechem.

– Czy ty naprawdę poważnie myślałaś, że jestem po twojej stronie? Że chcę pokonać demony i przywrócić światu ludzi, którymi gardzę, od kiedy pamiętam? Oni są ślepi i głusi, i nie mają pojęcia, czym może być świat, kiedy się na niego spojrzy we właściwy sposób! Doskonale wiesz, że mam rację! I uważasz dokładnie tak samo jak ja! Teraz mamy szansę stworzyć całkiem nowy świat, świat, w którym będziemy wolni... my wszyscy! Ty nie chcesz podążać tą drogą, wolisz walczyć w jakiejś pozbawionej szans bitwie, w której jesteś całkiem sama, ale to już twój problem, nie mój! Verus oferuje mi wszystko to, co mi się należy, a nawet więcej! On mnie rozumie... on, demon, rozumie mój sposób myślenia! Może mi dać, co tylko zechcę, a ty, człowiek, patrzysz na mnie, jak na...

– ...jak na zdrajcę – przerwała mu Mia bezwzględnie. Jaro wzdrygnął się, jakby go uderzyła, i uśmiech zniknął z jego twarzy. – Czemu nie widzisz, że swoim postępkami zniszczysz wszystko? Innoświat to dar! Kosmos pełen cudów, który trzeba zachować i z powrotem połączyć z tym, co zawsze było jego częścią! To prawda, jesteś Hartydą, ale także tylko człowiekiem, jak wszyscy inni!

Przez moment Jaro patrzył na nią w milczeniu.

– Jesteś głupia, Mia – powiedział w końcu cicho, z wielką powagą w głosie, jakby był bardzo starym człowiekiem. – Świat sam siebie doprowadzi do zagłady, obojętne, czy ty, ja albo ktokolwiek inny ma coś przeciwko temu. Nikt z nas nie ma szans niczego tutaj zmienić. Nie możesz pomóc Carvenowi, nie możesz pomóc Grimowi. Nikomu nie możesz pomóc, nawet samej sobie. Pytasz mnie, dlaczego widzę to wszystko inaczej... zadaj to pytanie sobie! Rozejrzyj się! Nikt tutaj nie jest taki jak ty. Radvina od samego początku ma tylko jeden cel: chce wrócić do swojej pięknie zabudowanej kuchni z automatycznie zamykającymi się drzwiami, do swojej imponującej szafy wnękowej, do swoich znajomych, z którymi co piątek zajada sushi i prowadzi

pozbawione wszelkiego znaczenia rozmowy, i do swojej robionej na zamówienie kanapy, która daje jej poczucie, że jej życie ma jakikolwiek sens, nieważne, jaki! A Edwin się tylko boi. To dziecko, które wpatruje się w ciebie jak w obrazek, bo potrafisz walczyć i robisz fajne czary, ale tak naprawdę zupełnie cię nie rozumie, podobnie jak tego czarodziejskiego świata, w który wpadł jak Alicja do króliczej jamy! A teraz przyszła Królowa Kier i woła o jego głowę, a Edwin ma już z tego strachu tak pełne spodnie, że ledwie może chodzić! On chce wracać, Mia, oni obydwójce tego chcą! Oni nie są częścią Innoświata tak jak ty! A ja? Niech ci będzie, może i jestem zdrajcą, bo mam już dosyć życia w świecie, w którym rządzą słabi, a ludzie tacy jak ja są gnębieni przez prawo i pieniądz. I nikt tego nie zmieni, nawet ty!

– Łatwo tak powiedzieć – odparła Mia, ale jej głos zaczął drżeć. Spojrzała w stronę Radviny i Edwina, którzy spoglądali na nią szeroko otwartymi oczami. – Czy on naprawdę ma rację? – spytała. – Czy to prawda, że chcecie przymknąć oczy na to, kim jesteście? Czy to prawda, że strach to wszystko, co odczuwacie wobec tego pięknego, zaczarowanego, przerażającego świata, który dostaliście w darze? Widziałam w twoich oczach wolę walki, Radvino, i wiem, że ty, Edwin, wielokrotnie już byłeś oczarowany Innoświatem. Naprawdę chcecie mi powiedzieć, że nie odczuwacie ani odrobiny zadziwienia i szacunku dla tego, co was otacza, i że nie dociera do was, jakie to ma znaczenie? Czy naprawdę do tego stopnia zostaliście zatruci tym, co nazywacie rzeczywistością, że nie potraficie już odczuwać tego czaru i marzycie tylko o jednym: aby wrócić na tę pustynię, jaką sobie stworzyliście?

Radvina nabrała powietrza, ale z jej ust nie wydobyło się żadne słowo. Siedziała nieruchomo, tak jak przedtem, a kiedy Edwin spuścił wzrok i zaczął wpatrywać się w czubki butów, Jaro wybuchnął zimnym śmiechem.

– Wydaje ci się, że potrafisz zmienić świat – powiedział. – Wydaje ci się, że ludzie tylko na to czekają, żebyś ich obudziła. Ale to wcale nie jest tak. Nikt poza tobą na to nie czeka. Wiem, że głęboko w środku doskonale wiesz, że mam rację. Odczuwasz to w snach, odczuwasz to w myślach, od których budzisz się przerażona w środku nocy, odczuwasz to za każdym razem, kiedy patrzysz ludziom w oczy, obojętne, czy będą

to Hartydzi, czy nie! Nie ma dla ciebie wyjścia. Zawsze będziesz samotna... tak jak twój ojciec!

Uderzenie Mii trafiło go z taką siłą, że wylądował plecami na sarkofagu. Odruchowo wyrzuciła przed siebie pięść. Gniew płonął w jej głowie i to on kazał jej chwycić Jaro za gardło i cisnąć nim z krypty na cmentarz, gdzie jego ciało, lecąc bezwładnie, rozbiło kilka nagrobków, zanim Jaro upadł na ziemię zamroczony.

Mia skoczyła za nim, on zdążył w ostatniej chwili zerwać się na równe nogi i uniknąć ciosu. Odskoczył gwałtownie, jego twarz była pozbawiona emocji, lecz w spojrzeniu pojawił się osobliwy wyraz. Czy to było zdumienie? Przestрах? Mia nie miała pojęcia, ale zupełnie jej to nie interesowało. *Tak jak twój ojciec.* Cisnęła mu w pierś zaklęcie grzmotu i Jaro zawył z bólu, zanim zwałił się na ziemię. Mia właśnie miała złapać go za kark, kiedy on wy dobył coś spod kurtki. Zdążyła jeszcze zobaczyć błysk metalu, potem nóż z nocnego jarmarku trafił ją w rękę i jej ciało wypełnił gwałtowny ból. Zaklęła szpetnie. Zanim jednak jad demonów zdążył ją sparaliżować, posłała w głąb siebie lecznicze zaklęcie i wyczarowała w dłoni błyszczący miecz z mrozu. Czarne Cienie prześlizgiwały się w jej polu widzenia, nagle poczuła gałęzie na twarzy, usłyszała szum drzew i poczuła zapach krwi. Niczym w burzy błysków flesza znalazła się na kilka chwil w Forêt de Licorne, zobaczyła zabitego jednorożca i twarz Lukasa ukrytego za drzewem... i w następnej chwili spojrzenie Grima w Labiryncie Cieni. Nie panując nad sobą, uniosła miecz. Nie chciała na niego patrzeć, nie teraz. I kiedy Jaro odparował jej cios, zaczęła go atakować szybciej, coraz szybciej, spychając go w tył, aż się potknął i upadł na plecy.

Deszcz przybrał na sile, lecz Mia niemal go nie zauważała. Płynnym ruchem przyłożyła ostrze do szyi Jaro. Zapach krwi stał się nie do zniesienia, na broni czuła bicie jego serca, widziała jego twarz, lecz nie dostrzegła na niej ani lęku, ani zawziętości. W jego oczach kryło się coś zupełnie innego, zanim jednak udało jej się znaleźć nazwę dla tego czegoś, rozbłysły w niej obrazy – zobaczyła go jako dziecko, czyjaś pięść trafiła go w twarz z taką siłą, że z nosa buchnęła mu krew, widziała, jak idzie boso po zimowej ulicy, a potem samotnego przy czyimś grobie. Widziała gniew, rozpacz, smutek, które z każdą garstką

ziemi rzucaną do grobu coraz bardziej splatały się w ciemność, którą wciąż nosił w spojrzeniu i która dopiero teraz, kiedy leżał u jej stóp z ostrzem jej miecza na szyli, bezgłośnie się rozstąpiła. Mia poczuła uderzenie wiatru, który rozwiął wszelkie ułudy wokół niej, i nagle знаła już słowo na określenie tego, co kryło się w oczach Jaro, teraz, kiedy tak na nią patrzył.

Współczucie.

Zupełnie, jakby spojrzenie w jej samotność coś w nim otworzyło, coś, o czym od bardzo długiego czasu nie pamiętał. I jakiś wyraz kruchości pojawił się w jego rysach. Zdawał się nie zauważać cięcia na szyi. Ale Mia je widziała i z nadzwyczajną wyrazistością czuła zapach krwi Jaro. Patrzyła na siebie z zewnątrz, zupełnie jak tego ranka, kiedy po raz pierwszy weszła w mgłę Serafina, i dostrzegła coś innego, zimnego, śmiertelnego, co kryło się w jej spojrzeniu, i prawie zaparło jej dech w piersiach. *Niemalże coś jak strach...* Przypomniała sobie twarz Lukasa w Gaju Jednorożca. Lecz zamiast bólu, jaki zwykle odczuwała, patrząc na ten obraz, w jej wnętrzu otworzyła się bezmierna pustka, powoli i nieubłaganie wypełniająca się ciszą, jaką dostrzegła w oczach ojca.

Miecz z brzękiem upadł na grób i pękł na kawałki. O mały włos zabiłaby Jaro, ta świadomość trafiła ją z osobliwie głuchym echem. Bez słowa odwróciła się. Jaro z wolna podniósł się na nogi i nawet nie spojrzęła na Lyskiana, który trzymał się z boku, między drzewami, i spoglądał na Mię z zagadkowym wyrazem oczu. Jej lecznicze zaklęcie wyparło jad demonów, lecz ona czuła tylko ciszę, której nie mogła znieść, to uczucie będące mieszaniną oniemiaenia, łez i wiatru.

Nawet nie wiedziała, kiedy upadła na kolana, a deszcz spływał po jej twarzy, jakby była jedną z kamiennych figur stojących wokół niej w wiecznym bezruchu. Ta cisza to była śmierć, to była pustka i ciemność, i teraz już nie należała do Lucasa. Należała do niej.

## Rozdział 45



Carven oddychał szybko i mimo wszelkich starań, by ukryć strach, był on wypisany na jego twarzy tak wyraźnie, że Grim nie mógł tego znieść. Czuł uśmiech Verusa, przenikał on jego ciało jak trucizna, i kiedy odwrócił wzrok od Carvena, by spojrzeć na demona, z trudem tylko powstrzymywał się, by nie grzmotnąć nikczemnika pięścią w twarz. Verus z uśmiechem skłonił głowę. Jego dłoń spokojnie spoczywała na ramieniu Carvena, ale Grim wyczuwał zimno czarunieruchamiającego, jakie od niej biło, i widział, jak chłopiec dygocze spętany potęgą magii demona.

– Ludzie są słabi – powiedział Verus łagodnym głosem, patrząc na Grima rozblaskującymi złotymi oczami. – Zawsze ci to mówiłem. Wystarczyło kiwnąć palcem, żeby przeciągnąć na moją stronę tego biednego sierotę z orszaku twojej przyjaciółki, wystarczyło nie więcej niż tchnienie, a od razu zdradził mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Powinieneś to przewidzieć, przyjacielu. Ale przecież nie tylko ludzie mają swoje słabości, prawda?

Uśmiechnął się jeszcze wyraźniej, a Grim na myśl o Jaro zacisnął pięści. Zaraz jednak odsunął od siebie gniew. W tym momencie nie chodziło o jakiegoś tam drobnego zdrajcę. Chodziło o życie Carvena.

– Czego chcesz? – spytał głuchym głosem i ledwie wypowiedział te słowa, a uśmiech na twarzy Verusa zgasł. Spojrzał na Samhura i pozostałych.

– Wynoście się stąd – powiedział. – Natychmiast.

Grim wyczuł napięcie, jakie po tych słowach przebiegło przez zebranych Cienioskrzydłych. Spojrzał w stronę Samhura, w którego oczach migotała czerń; doskonale wiedział, że Łowca nie słucha nikogo poza sobą samym. Dostrzegł Cienie kłębiące się w jego źrenicach na



widok władcy Car'lay Ythemów, ucieleśnienia wszystkiego, czym gardził. Na jego twarzy rozbłysły mrocznie cienie tych wszystkich, których zgładził. Grim raz jeszcze zobaczył Verusa, jak stoi w katedrze Świętego Wita, otoczony przez własne demony, i przez moment wydawało mu się, że Samhur rzuci się na niego, nie zważając na ludzkie dziecko, które było mu tak samo obojętne, jak otaczające ich mury. On jednak odwrócił się, bardzo spokojnie i w milczeniu, a kiedy cienie schowały się z powrotem w jego oczach, jak na jakiś bezgłośny rozkaz, pozostawiając po sobie tylko przejrzysty błękit, uśmiechnął się ledwo zauważalnie.

*To nie nasza walka*, powiedział do pozostałych, patrząc na Grima. *Dotrzymaj mu pola, pozbawiony ojczyzny Hybrydzie* – rzucił mrocznym szeptem. *Jest w tobie więcej, niż on kiedykolwiek poznał*.

Skłonił lekko głowę i Grimowi wydało się, że słyszy słowa wyszeptane przez umierającego Łowcę z grona Pierwszych Pięciu. *Lhor'na Proroas*, przebił się do jego myśli głos Oreyona, a dokończył Samhur: *Tańcowi Ciemności*. A potem wampir odwrócił się i wyszedł razem z Remim i Cienioskrzydłymi.

Grim czuł spojrzenia tamtych, strzępy myśli, jakie mu posyłali, pomagając spętać gniew w jego piersi. A potem nabrał powietrza w płuca, powoli i płynnie, i spojrzał w stronę Verusa.

– Dużo czasu upłynęło, od kiedy staliśmy naprzeciwko siebie w tym mieście, prawda? – spytał demon i Grim znów poczuł zapach katakumb, a uśmiech Verusa był jak rana na jego skórze, która nie chce się zasklepić. Przez chwilę wydawało mu się, że wystarczy, by wyciągnął rękę, i zdoła wydrzeć tajemnicę z oczu demona, lecz widział też wyraz jego twarzy, tłące się na niej szyderstwo, radość z okrutnej gry, którą prowadził. Grim parsknął z pogardą.

– Chyba nie jesteśmy tu po to, żeby pławić się we wspomnieniach? – powiedział i stwierdził z zadowoleniem, że w jego głosie pobrzmiwają nuty lekceważenia. – Nic się nie zmieniło. Tak jak wtedy, tak i dzisiaj przyszedłem, żeby przetrzepać ci szanowne dupsko.

Verus uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nie odwracając oczu od Grima, pchnął Carvena tak, że chłopiec upadł na ziemię, i rozpalił wokół niego krąg z czarnego Ognia Klątwy. Grim instynktownie chciał zrobić

krok w jego stronę, lecz powstrzymało go spojrzenie demona. Wystarczył jeden jego ruch, a płomienie w mgnieniu oka spaliłyby Carvena, jakby był z papieru.

– I znów się mylisz, tak jak ci się już często zdarzało – odparł Verus niemalże miękkim głosem. – Wszystko się zmieniło, drogi przyjacielu. Jestem zdumiony, że tego nie dostrzegasz.

– A ja jestem zdumiony, że sięgasz po te żałosne sztuczki – powiedział Grim ponuro. Siłą zmuszał się, żeby nie patrzeć na Carvena, a uśmiezek Verusa zdradzał, że demon to wyczuwa.

– Znam wiele znacznie bardziej żałosnych rzeczy – stwierdził Verus. – Wojownik Cieni doprowadzony do upadku przez serce dziecka, czy ktoś widział coś takiego?

Ciężki oddech Carvena z przeraźliwą wyrazistością wypełniał pomieszczenie. Grim wiedział, że sięgają po niego płomienie Ognia Klątwy, czuł ich żar, zupełnie jakby lizały jego własną skórę, i wyczuwał strach chłopca, śmiertelny strach, od którego aż wibrowało powietrze.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, co to znaczy być Wojownikiem – odparł. – A ja nie mam ochoty udzielać ci korepetycji. Tam, za tymi murami umierają twoi siepacze, wielki władco Car'lay Ythemów, czyżbyś nie słyszał ich wrzasków? Powiedz mi więc, dlaczego tu jesteśmy?

Verus milczał przez chwilę, a potem, niby mimochodem, uniósł ramiona i po wypowiedzianym szeptem słowie powietrze za jego plecami zapłonęło zielonym ogniem. Ogłuszający huk płomieni sprawił, że Grim aż się cofnął, ale nie mógł odwrócić wzroku od obrazu, jaki się przed nim roztaczał: oto kilka zaledwie kroków przed sobą widział płonąca granicę Braskatonu, falującą jak flaga na wietrze. Od drugiej strony napierały na nią demony, otwierając paszcze w niemym wrzasku. Bez przerwy unosiły pięści, atakowały granicę swojego świata, ale nie potrafiły jej przerwać. Ich oczy płonęły białym światłem i Grim dostrzegł w nich żądzę niczym rozżarzoną smołę. Początkowo zdawało mu się, że demony próbują dosięgnąć jego, lecz ich spojrzenia były zwrócone na coś poza nim. Odwrócił się gwałtownie... i poczuł, jak krew odpływa mu z głowy. Przed nim, bez ruchu, z białymi jak wosk oczami stali ludzie uprowadzeni ze świata, tworzący istny ocean ciał.

Ciężko oddychając, wpatrywali się w pustkę, zupełnie jakby tylko siłą obcej woli utrzymywali się na nogach. Kiedy Grim cofnął się przed nimi, poczuł na karku płomień Braskatonu. To tych ludzi dotyczyła żądza demonów, ludzi, którzy wyglądali tak, jakby tylko czekali, aby użyć swoich ciał upadłym Dzieciom Gniewu.

Nie mogąc złapać tchu, Grim spojrzał w stronę Verusa.

– Nawet ty nie jesteś w stanie przełamać granicy Braskatonu! – zawołał, przekrzykując szum płomieni.

Zobaczył tylko tężejący w maskę uśmiech Verusa i zaraz potem w jego uszach rozbrzmiał jego głos:

– Ja nie. Ale ty jak najbardziej.

W tym samym momencie coś spoczęło na ramieniu Grima jak płomienista dłoń demona. Grim wzdrygnął się i wszystkie złudne obrazy rozpadły się na kawałki. Verus stał w milczeniu, oddalony od niego o krok. Grim pokręcił przecząco głową.

– Nigdy tego dla ciebie nie zrobię – powiedział dudniącym głosem.

– Zrobisz to nie dla mnie, tylko dla niego – odrzekł Verus z uśmiechem.

Spojrzał w stronę Carvena i kiedy Grim podążył za jego wzrokiem, ujrzał złote mgły wychodzące z kręgu ognia i otulające ciało chłopca. Na jego czole zapłonął znak koloru krwi i Carven wydał krzyk, tak przeraźliwy i czysty, że Grim instynktownie rzucił się w jego stronę. Z mgieł wyłoniły się dłonie barwy popiołu, chwyciły Carvena za ramiona i kiedy Grim usłyszał Ogień Braskatonu huczące w płomieniach, wiedział już, dokąd chcą go zabrać. Wyciągnął ramiona po chłopca, lecz jego dłonie przeszły przez jego ciało na wylot jak przez mgłę. Zmartwiły z przerażenia spojrzał Carvenowi w oczy. Słyszał jego śmiech, słyszał jego płacz, czuł jego włosy na policzku i spokojne bicie jego serca, kiedy zasnął w jego ramionach, i coś w piersi Grima się zacisnęło. Oczy Carvena były jak kawałek nieba, ale nagle przez to światło przebiło się coś innego, coś mrocznego, lodowatego, mającego posmak pożegnania. Grim poczuł wszechpotężny ból wypełniający jego ciało, dostrzegł troskę w oczach Carvena, troskę, która odnosiła się do jego osoby. W następnej chwili chłopiec zniknął.

Grim nie mógł złapać oddechu. Ból przegnał zimno z jego żył i

wypełniał go teraz tak bez reszty, że wszelkie inne uczucia, wszelkie inne myśli spłonęły na popiół. Magia sprawiła, że jego pięść buchnęła płomieniem, a Grim, nie posiadając się z gniewu, wyrzucił ją w powietrze. Obraz sali rozdarł się, jakby był ekranem i nim kryjąca się za nim noc zdążyła po niego sięgnąć, rzucił się w nią głową naprzód.

Iskry okalały jego twarz, w naprzemiennym migocie dzień zamieniał się z nocą, zagęszczając się w jednolitą mgłę, by na koniec rozerwać się jak płonące ubranie. Chłodne powietrze Świata Snów uderzyło Grima w twarz. Złożył skrzydła, by przylegały do ciała, i popędził przez łąkę. Słyszał szum drzew rosnących w pobliskim lesie i skierował spojrzenie w stronę horyzontu. Wiedział, gdzie są ludzie, czuł się zupełnie tak, jakby go przyciągali. Gnał przed siebie coraz szybciej, starając się przepędzić z myśli wyraz oczu Carvena. Nigdy wcześniej chłopiec tak na niego nie patrzył, tak spokojnie, a jednocześnie z takim smutkiem, i nigdy wcześniej Grim nie czuł tak wielkiego przerażenia. Nie mógł znieść myśli, że utraci to dziecko, i nie było w nim już żadnych pytań, żadnych wątpliwości. Niechby nawet Verus rzucił przeciwko niemu całą potęgę Braskatonu i wszelkie przeraźliwe wytwory swojego przekłętego mózgu, to Grim i tak wiedział, że żadna śmierć tego ani żadnego innego świata nie zdoła wydrzeć Carvena z jego ramion. Nigdy.

Niemal dotarł już do lasu, kiedy z lewej strony mignął mu jakiś cień i zastąpił mu drogę. Grim w ostatniej chwili zdołał go ominąć. Jego szpony wryły się w ziemię, okruchy kamieni wbiły mu się w ciało, a kiedy stanął na nogi, na moment zaparło mu dech. Przed nim stał Serafin, z na wpeł rozdartą piersią, i patrzył na niego. Nie musiał nic mówić, samo jego spojrzenie wystarczyło, by Grim rzucił się w jego stronę. Nie miał czasu na stawianie zarzutów i na dyskusje, musi uwolnić Carvena, natychmiast. Odepchnął Serafina, lecz ten natychmiast znowu zastąpił mu drogę i położył dłoń na jego ramieniu.

– Nie bądź głupcem – powiedział Serafin z naciskiem. Jego palce na skórze Grima były jak z lodu. – Nikt nie jest w stanie przełamać tej granicy, nawet Dziecię Ognia!

Grim odtrącił jego rękę i patrzył w ciemne oczy pełne winy i wybaczenia, co zapierało mu dech w piersiach.

– Ja tego dokonam – powiedział, lecz Serafin pokręcił głową.

– Ale za jaką cenę? – spytał. – Czy on jest tego wart?

– Cóż ty możesz o tym wiedzieć – odparł Grim mrocznym głosem.

– Cóż ty możesz wiedzieć o biciu serca ludzkiego dziecka w twoich myślach, o jego oddechu na twoim policzku, jego śmiechu i jego płaczu, cóż ty możesz wiedzieć o tym, że serce ci pęka na myśl, że to dziecko może umrzeć? Nic, Serafinie, nic!

Z tymi słowami zamierzał ponownie ruszyć w drogę, lecz brat go powstrzymał. W jego oczach widać było ból, który nadawał im mroczną barwę.

– Masz rację – powiedział. – Nie mam pojęcia, co to znaczy mieć syna. Znam jednak ten rodzaj rozpacz, który teraz czujesz.

Wystarczająco długo podążałem jej śladem i dobrze wiesz, ile mnie to kosztowało.

Po jego ciele przemknął ogień, czarny i lodowato zimny, i Grim aż się wstrząsnął, czując żar płomieni na twarzy.

– Jesteśmy braćmi – powiedział Serafin, a jego donośny głos przedzierał się przez trzask płomieni. – Przypomnij sobie! Chcesz, żeby spotkało cię to samo, co mnie?

Na krótką chwilę Grim znalazł się ponownie w Sali Królów, gdy Serafina pochłonął Czarny Płomień. Groza tego widoku przeorała mu skórę ostrymi pazurami i ujrzał przed sobą swoją własną twarz płonąca w nieskończonym morzu.

– Nie możesz go już uratować – wyszeptał Serafin i Grim wiedział, że mówi o Carvenie. Carvenie, Wojowniku Światła, Zaklinaczu Smoków, ludzkim dziecku. – On jest już stracony.

Później Grim nie potrafił już powiedzieć, z jakiego powodu zamachnął się i z całej siły trzasnął Serafina w twarz. Może sprawił to wyraz twarzy brata, cień w jego spojrzeniu, który dostrzegł także w oczach Carvena, zanim chłopiec zniknął, i który zaciskał się teraz wokół gardła Grima jak jarzmo, ten niemy i lodowaty cień pewności. Serafin zatoczył się w tył, z nosa buchnęła mu krew, lecz ból malujący się na jego twarzy nie miał związku z nim samym.

– Nic nie pojmujesz! – zawołał Grim, przekrzykując płomienie. – Dopóki czuję na sobie jego spojrzenie, dopóki widzę jego twarz i wyczuwam bicie jego serca, tak długo nie jest dla mnie stracony! Nie

zostawię Carvena na pastwę śmierci i ciemności, za żadną cenę, nawet jeśli musiałbym zniszczyć i od nowa stworzyć całe światy! Sprowadzę go z powrotem!

Płomienie na skórze Serafina przygasły, Grim zobaczył jeszcze dziwny blask, który mignął w jego oczach, może było to zdumienie. A potem wzniósł się w powietrze. Serafin nie podążył za nim. Grim z całych sił odpychał od siebie obraz jego pływającej postaci i kiedy dotarł do morza ludzi, rozciągającego się pozornie w nieskończoność, aż po horyzont, odgrodził się od martwoty ich spojrzeń i bezwolności ich ciał. Leciał tak szybko, że rozmywali się przed jego oczami i kiedy wreszcie pojawiła się przed nim granica Braskatonu, jego serce było już tylko kurczącym się w szaleńczym rytmie mięśniem tkwiącym we wnętrzu klatki piersiowej.

Z szumem skrzydeł wylądował przed wałem płomieni Krainy Umarłych, które splatały się uwodzicielsko, rozpadały w błyszczące snopy iskier, przywierając do wykrzywionych twarzy demonów, które napierały od zewnątrz, chcąc się dostać do Świata Snów. Grim z wolna postąpił do przodu. Nie cofnął się, kiedy próbowały go dosięgnąć szpony Car'lay Ythemów, i zanurzył dłonie w płomieniach. Usłyszał ryk, gdzieś głęboko w sobie, i kiedy rozerwał łańcuchy, moc płomieni stopiła się z jego magią i pod postacią złotego ognia rozeszła się po jego ciele. Ogień wystrzelił z niego z potężnym grzmiotem. Grim zaczął płynąć, kiedy wbił się w granicę, a kiedy zaczął ją pochłaniać swoim światłem, ujrzał piękno Braskatonu – rwące rzeki, pękające góry, niebo i chmury z kości słoniowej i morza z zamarzającego deszczu, ujrzał otchłanie wyrastające z ognia i usłyszał krzyki palących się, a kiedy poczuł na ciele tchnienie wiatru nad górami z popiołu, ujrzał nad sobą skrzydła, potężne i czarne. Czuł na twarzy wywołany przez nie ruch powietrza, lecz już w następnej chwili to on sam był tym, który spowodował, że powietrze zamarzło, tym, który zbudował piramidy z umierających ciał i morza z krwi i wnętrzości. Słyszał huk rzeki, która pędziła przez pustynię barw, i kiedy rozpostarł skrzydła, a one przykryły świat szarymi cieniami, wiedział już, że jest Aryonem, Cherubinem Tysiąca Skrzydeł, Strażnikiem Pękającego Morza oraz Okiem Spoczywającym na Dogorywających i Chorych – władcą Braskatonu o skrzydłach z popiołu

i nocy. Był cierniem w ciele Ciemności, był sercem Krainy Umarłych. I kiedy zobaczył, jak pędzą w jego stronę podległe mu istoty, zdeformowane Dzieci Gniewu, których potęga rozrywała na strzępy kręcące się wokół nich słabsze demony, poczuł ich krzyki wypełniające płomienie Braskatonu niczym uderzenia prądu. Wszystkie wykrzykiwały jedno słowo, słowo, które wypełniało go wszechwładzą. *Arrmonghur*.

Zawołanie Car'lay Ythemów porwało Grima ze sobą. Ujrzał siebie stojącego pośrodku płonącej granicy, demony przelatywały przez niego i z każdą ich myślą, z każdym uczuciem, które przebiegało impulsem przez jego ciało w chwili ich ucieczki do Świata Snów, ich obraz coraz bardziej zacierał się przed jego oczami. Ledwie słyszał ich ryki, kiedy rzucały się na ludzi, ale przed sobą widział obraz świata, jaki stwórzają: ludzkie miasta rozpadające się w ruiny, lasy i nieokiełznane morza pod buchającym płomieniami niebem. I ujrzał siebie, jak wraz z Dziećmi Gniewu pędzi przez burzę, jaką ich moc rozpętała nad światem. Więcej nawet: był jednocześnie każdym z tych demonów, które przez niego przelatywały. Wiedział, że wciąż stoi w Ogniach Braskatonu, nie pamiętał jednak, dlaczego tu przybył, i w duchu przelatywał nad ziemią, patrząc na nią tysiącami oczu, szybował nad górami i morzami, katakumbami i jaskiniami. To on był tym, przez którego świat stanął w płomieniach. Wszystko, ale to dosłownie wszystko przemieniało się w ogień i mimo żaru panującego wokół, mimo barw, które go otaczały i którym musiał nadawać nowe nazwy, ponieważ w tak wspaniałym kształcie nigdy dotąd nie istniały, po jego ciele rozprzestrzenił się bezgłówny mróz, jakby żywiący się wolnością, która kazała mu pędzić po niebie w dzikiej euforii. Ryk płomieni zdusił w nim wszelkie pieczenie, aż w końcu nie czuł już nic poza aksamitnym zimnem. Bez ruchu patrzył, jak Ghrogonia rozpada się w pył, jak płomienie buchają z nocnych uliczek Paryża i pochłaniają jego wieżę, i nie czuł przerażenia, kiedy ciała jego przyjaciół płonęły w ogniu. Na próżno czekał na uczucie grozy, bo to wszystko wokół niego było jakby szumem przejeżdżającego gdzieś daleko pociągu. A kiedy pojawił się przed nim obraz młodej kobiety, na którą patrzył na swojej wieży, w swoim kościele, po drugiej stronie kamiennego portalu, nawet kiedy odczytał w jej oczach przerażenie, usłyszał jej niemy krzyk i patrzył, jak ten obraz płonie,

nadal niczego nie czuł – niczego oprócz Ognia Pierwszej Godziny. Ognia, które sam rozpętał.

Ból przyszedł niespodziewanie. Ostatnie przywołane demony uciekły z Krainy Umarłych, on jednak ledwie czuł, jak przenikają przez jego płomienie. Coś innego przykuło jego uwagę, coś jak rozbłyskujący pośród najgłębszej ciemności okrucuch szkła. Nie miał pojęcia, skąd nagle wziął się w jego piersi stłumiony żar. Ledwie poczuł, że płomienie na jego skórze słabną i ciało powraca do niego, ale za to poczuł delikatną dłoń spoczywającą na jego ramieniu z lekkością płatka kwiatu i usłyszał szum morza. Morze było czarne.

Otworzył oczy i dopiero teraz zorientował się, że przez cały czas miał je zamknięte. Za to teraz jego spojrzenie wybiegało w przód, pędziło przez Ognie Braskatonu tak, że otoczenie wokół rozmywało się i jakby przez jakiś tunel dostrzegł Carvena w Cieniach. Leżał w ramionach żałobnicy, która ciemnosynymi palcami gładziła go po policzkach, od czego traciły wszelką barwę, a jego usta siniąły z zimna. Dygotał, ale oczy miał otwarte i jego spojrzenie trafiło Grima jak cios. W oczach Carvena widniał ocean nocy i ten obraz wniknął w Grima z tak niewysłowionym bólem, że poczuł pustkę, która go nagle wypełniła, to przerażające, potężne zimno, które do siebie przyzywał i o którym wiedział, że go zniszczy, jeśli bodaj przez chwilę jeszcze będzie mu posłuszny.

Nie wahał się ani chwili. Z rykiem rzucił się przed siebie, ostatnie płomienie rozjarzyły się dziko na jego ciele i gwałtownym ciosem odrzucił żałobnicę na bok. Potem złapał Carvena, który był tak lekki w jego ramionach, jakby z jego ciała odpłynęła cała krew. Grim przyciągnął go do siebie, lecz w tym momencie powietrze rozdarł skowyt, głos żałobnicy, i ledwie pierwszy dźwięk wydobył się z jej ust, a już zjawili się pozostali strażnicy, blade kobiety w czarnych szatach i diabły na koźlich nogach i z zakręconymi rogami na nagich czaszkach. Wszyscy patrzyli na Grima płonącymi oczami, w powietrzu rozległy się śpiewy, a czyjeś śmiechy wprawiły płomienie w taneczny ruch i wywołały z żaru Cienie, które hipnotyzująco zbliżały się do Grima. Już czuł bijące od nich śmiertelne tchnienie oplatające jego ciało jak jadowite węże. Diabły wyciągały po niego ręce, włosy żałobnic muskały



jego policzki jak wypowiedane szeptem zaklęcia. Spoglądał im w oczy, które nagle stały się czarne jak niebo w rozgwieżdżoną noc, i przez moment poczuł ich wzbierającą moc i swoją tęsknotę, by znaleźć się w ich ramionach i nie myśleć już o niczym innym, jak tylko o tym, że nie ma świata poza czernią ich oczu. Zaraz jednak odwrócił wzrok. Co, do diabła, przecież nie po to zszedł do Krainy Umarłych Demonów, żeby dać się ogłupić jakiejś parze oczu!

Zdecydowanie rozpalił ogień na swojej skórze, który z grzotem odrzucił atakujących. Grim zdążył właśnie wznieść się w powietrze, kiedy wokół nadgarstka Carvena ze świstem owinął się koniec bicia. Grim odwrócił się gwałtownie. W pewnej odległości od niego stał diabeł z twarzą wykrzywioną w szyderczym uśmiechu. Usta lepiły mu się od krwi. Grim pospiesznie porwał bicz na strzępy, jego żar wpił się w ciało Carvena, lecz chłopiec zdawał się tego nie zauważać. Powoli zapadał w głębokie omdlenie. Na jego skórze pozostały ciemne ślady, Grim czuł lodowate zimno ich magii. Diabeł znów trzasnął z bicia, uśmiechając się pogodnie i zarazem okrutnie, wokół niego tańczyły migotliwe iskry, ale zanim raz jeszcze zdążył się zamachnąć, Grim rzucił się przed siebie i pognął dalej. Światło i cień zapadły się, kiedy opuścił Braskaton, przemknął z powrotem do Świata Snów i znalazł się na posadzce w sali władysławowskiej.

Carven spoczywał w jego ramionach. Był tak blady, że Grim mógł dostrzec żyły pod jego skórą, a kiedy głowa opadła mu na bok, a bicie serca stało się słabsze, Grim wiedział już, że przybył za późno – Carven umierał. Przez jedną straszliwą chwilę Grim spojrzał na siebie z zewnątrz, poczuł mróz, jaki nałożył na niego Płomień, zaraz jednak rozpacz rozdarła zimno w jego piersi, rozeszła się po jego ciele i wypełniła go bólem, jakiego dotąd jeszcze nie zaznał. Wokół gardła zacisnęła mu się pętla Czarnej Wody, nie oddychał, ale usłyszał uderzenia skrzydeł, które wydały mu się tak obce, jak nigdy i które tylko musnęły go w przelocie. Zaraz potem nie widział już nic poza włosami Carvena poruszanymi tchnieniem wiatru i ciemnością, która piętrzyła się wokół niego i która zaraz porwie go ze sobą jak wiatr porywa zeschnięte liście.

– Jest w objęciach śmierci – odezwał się ciepły, miękki głos. Grim

wiedział, że to Verus, który właśnie do niego podszedł, ale nie podniósł na niego wzroku. Jego spojrzenie spoczywało na twarzy Carvena i kurczowo trzymał się słabego bicia jego serca, które ledwie do niego docierało.

*Pewnego dnia, ciągnął Verus, pożałujesz, że nie podążyłeś za mną. Pamiętasz, jak ci to kiedyś powiedziałem? I oto właśnie nadszedł ten dzień. Mogłeś wykorzystać siłę, która w tobie drzemie, mogłeś uratować to dziecko. Lecz tak jak wtedy, tak i teraz okazujesz się na to za słaby. Wzbraniałeś się przed objęciem władzy nad Ogniem, toteż nie masz też władzy nad Płomieniem, który mógłby być dla ciebie szansą.*

Grim podniósł gwałtownie wzrok. Najchętniej zmasakrowałby teraz twarz Verusa, lecz w oczach demona było coś, co kazało mu się powstrzymać, coś łagodnego... jakby obietnica.

– Daj mi go – powiedział cichym głosem Verus – daj mi Płomień... a ja go uratuję.

Grim poczuł lodowate tchnienie, które na te słowa przeszło mu po grzbiecie. To byłoby szaleństwo oddać w ręce Verusa tę moc, której demony pragnęły od niepamiętnych czasów i którą kiedyś odebrali im sami Bogowie. Dysponując nią, Verus będzie mógł ukształtować świat według swojej woli, co nie zajmie mu zbyt wiele czasu, ponieważ już teraz znał jej tajniki lepiej niż Grim. *W tym leży moc Pierwszej Godziny*, rozbrzmiewał w nim głos Verusa. *W tym leży moc Bogów*. Nie, nie wolno mu... W tym momencie ciało Carvena zaczęło drżeć. Jego puls szalał, Grim odnosił wrażenie, jakby serce miało wyskoczyć chłopcu z piersi, i kiedy jego czoło musnął cień potężnego skrzydła, Grim wyciągnął pięść w stronę Verusa. Na jego palcach widniał płomień. Demon nie patrzył, kiedy po niego sięgnął, płomień jednak rozjaśnił jego twarz, zmieniając ją na krótki moment w maskę ze złota.

Potem Verus uklęknął przy Carvenie. Położył lewą dłoń na jego piersi i zamknął oczy. Z jego ust wyszły skomplikowane słowa, a przez jego palce przeniknęło do ciała Carvena aksamitne światło. Chłopiec zakaszłał, jakby gardło zacisnęła mu jakaś olbrzymia dłoń. Jęknął, na moment otworzył oczy i Grim dostrzegł Cień kryjący się w jego spojrzeniu jak odłamek szkła. Zaraz jednak jego ciało rozluźniło się, powieki opadły, a potem, po krótkiej chwili bezdechu, Grim usłyszał

bicie jego serca, mocne i spokojne. Łagodnie przesunął dłonią po policzku śpiącego chłopca i przez chwilę czuł tylko ciepło, które wypełniało go niczym szept.

Verus patrzył nieruchomo na Carvena.

– Znałem kiedyś chłopca takiego jak on. Przypominam sobie ciepło słońca, które poznałem dzięki niemu. Czy przypominasz to sobie, samotny Hybrydzie? Przypominasz sobie ten pierwszy raz, kiedy bez lęku poczułeś na skórze światło słońca?

Verus zadał to pytanie miękkim głosem i z taką powagą, że Grim na niego spojrział. Coś zaplątało się w spojrzeniu demona, jakiś ledwie dostrzegalny blask, który sprawił, że rysy jego twarzy nabrały osobliwej miękkości. Grim zmarszczył brwi. Kiedyś już widział ten blask w oczach Verusa, z jakiegoś powodu o nim zapomniał, teraz jednak zaprowadził on go głęboko pod ulice Pragi, do katakumb. Grim klęczał przy chłopcu. Verus stał nad nim, z kpiącym uśmiechem na wargach i jednocześnie z tym blaskiem w spojrzeniu, który tak go zmienił, nadając mu tak ludzako ludzki wygląd, że nawet Grim uwierzył tej iluzji. Wręcz czuł, że w tym ciele kryje się więcej niż tylko nienasycony chłód i okrucieństwo. Wstrzymał oddech, coś w nim chciało, żeby wyciągnął dłoń do demona, który wydawał mu się tak obcy, a jednocześnie tak znajomy, lecz w tym momencie Verus opuścił wzrok i sprowadził ich z powrotem w półmrok sali.

– Uratowałem go – powiedział demon, obserwując Carvena. – Ale pewnego dnia on umrze. Opuści cię i nie będziesz mógł temu w żaden, ale to absolutnie w żaden sposób zapobiec, jeśli nadal będziesz się opierał przed staniem się tym, kim powinieneś się stać.

Podszedł do rozżarzonej laski pośrodku kręgu i nałożył na nią maskę Baala. Laska wciąż jeszcze żarzyła się czarnym światłem, ale zaraz zaczęła nabierać innych barw. Na początek stała się w widoczny sposób ciemniejsza. Jeszcze chwila i maska wraz z odprawianym rytuałem zacznie wyprowadzać ludzi z Krainy Snów. Grim nie dawał światu więcej niż dwa dni. Wtedy Dzieci Gniewu podporządkują go sobie całkowicie. Zakaszłał i poczuł w ustach krew. Kraina Umarłych kosztowała go więcej, niż się spodziewał. Szpony strażników poraniły go, wyczerpanie pulsowało mu w skroniach i mimo zimna nadzwyczaj

wyraźnie poczuł w sobie czar unieruchamiający, jakim Verus obłożył salę. Z rytualnych znaków unosiła się czarna mgła. Były to śmiertelne tumany Braskatonu, które szepcząc coś, pełzały po ziemi i otaczały stopy Verusa, który zbliżał się do Grima.

– Nie jesteś dzieckiem – powiedział Verus spokojnie. – A jednak leżysz na ziemi u moich stóp. Mógłbym cię zabić, teraz, w tym momencie. Ale to wcale nie musi się tak skończyć i dobrze o tym wiesz. Obawiasz się Płomienia z siłą równą tej, z jaką do niego tęsknisz, ale powiadam ci: ta obawa sprawia, że jesteś słaby. Twoim przeznaczeniem jest iść za nim i wszelki opór jest daremny.

Grim parsknął tylko. Gniew sprawił, że krew szybciej zaczęła krążyć w jego żyłach, a w skroniach pojawił się palący ból.

– Co ty możesz wiedzieć o moim przeznaczeniu? – spytał dudniącym głosem. Z trudem udawało mu się zachować jasność myśli, ale jedno wiedział bez najmniejszych wątpliwości: gdy tylko czar leczniczy pozwoli mu stanąć na nogi, strzaska ten przeklęty czar unieruchamiający i zniknie razem z Carvenem.

Demon uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie i coś w jego oczach sprawiło, że Grima przeszedł dreszcz.

– Czyżbyś sądził, że znalazłeś się tutaj przypadkiem? Zapomniałeś już, że kiedyś byłem przyjacielem ludzi, tych ludzi, których tak kochasz i którzy w swoich namiętnościach i skrajnościach zawsze byli podobni do mnie, tak jak i do ciebie?

Grim nic nie odpowiedział. Nie chciało mu się już dłużej słuchać tej gadaniny, nie mógł już znieść głosu Verusa i z zadowoleniem wyczuwał, jak zasklepiają się rany na jego ciele. Jeszcze trochę i będzie mógł trzasnąć demona pięścią w twarz, tak że każde słowo zamieni się na jego języku w popiół.

– Bardzo chętnie wykorzystywałem ich do moich celów – ciągnął Verus niemal mimochodem. – Do celów właściwych każdemu demonowi, który zasługuje na to miano, a mianowicie do osiągnięcia bezgraniczności, swobody i chaosu. I gdzieś głęboko we mnie, bardziej już jako przeczucie, tliła się legenda owego Płomienia, który odebrali mojemu ludowi Bogowie. Ognia, którego nas pozbawili, bojąc się, że utracą swoją potęgę na naszą korzyść – Ognia Prometeusza, Pra-siły tego

świata, blasku Pierwszej Godziny. Tak czy inaczej... już wtedy byli na świecie ludzie wyjątkowi, a jednym z nich był... Pedro von Barkabant.

Grim wzdrygnął się tak gwałtownie, że Carven jęknął przez sen. Zobaczył go przed sobą, krwawego króla ludzi, przeklętego, jego ojca, i kiedy obraz rozprysnął się, zobaczył Verusa spoglądającego na niego z zaplecionymi dłońmi i wiecznym uśmiechem na wargach.

– Fascynował mnie – ciągnął Verus. – Człowiek, który z własnej chęci rozwinął się w kierunku, do którego przedtem tak wielu przymuszałem. Wstąpiłem na jego dwór, wykorzystałem okazję, by dzielić się z nim moją wiedzą, kiedy tylko była taka możliwość. Także wówczas, kiedy jego syn Elias zginął na polu bitwy.

Po plecach Grima przebiegł dreszcz, a Verus uśmiechnął się zimno, mówiąc szeptem:

– Tak, to byłem ja. To ja podszeptałem Pedro formułę zaklęcia, to ja pomogłem mu zrozumieć, jak ludzkie serce może przebudzić się w kamiennym ciele ku nowemu, silniejszemu życiu. I on dobrze pojął, jak blisko znalazłem się płomienia, ponieważ Dziecię Ognia mogło go przynieść ze świata, który dla mnie był zamknięty. Dziecię Ognia podległe mojej woli.

– Serafin – powiedział ochrypłym głosem, a Verus przytaknął ledwie widocznym ruchem głowy.

– Tak przynajmniej wtedy myślałem – ciągnął demon. – Lecz dopiero kiedy stracił żonę, mógł się do czegoś przydać, ale wtedy zapamiętał się w swojej żądzy zemsty i był już dla mnie stracony. Płomień by go roztrzaskał, pozostałby na zawsze w Świecie Bogów, tak jak już wielu przed nim. Był po prostu za słaby. – Verus zamilkł na chwilę, ale jego uśmiech przybrał na sile. – Ty natomiast...

– Ja nigdy nie udostępniłbym ci Płomienia dobrowolnie – odparł Grim, kręcąc głową.

Demon roześmiał się.

– Cóż, chętnie w to uwierzę, ty bowiem dawno już byłeś w jego mocy, tak jak przewidziałem długi czas temu. I to pomimo że beze mnie nigdy nie wszedłbyś w jego posiadanie.

Pochylił lekko głowę i coś w jego twarzy sprawiło, że Grim się wzdrygnął. Zobaczył Ciemnego Alfa nad dachami Dublina, Alfa, który

właśnie odwrócił głowę i spojrzał w jego stronę, i coś dziwnego pojawiło się w jego oczach, jakiś złośliwy cień, który sprawił, że Grimowi zaparło dech w piersiach. Alvarhas.

– Ty go do tego doprowadziłeś? – powiedział cicho Grim i aż musiał odchrząknąć, tak ochryply miał głos.

– Jesteś nadzwyczaj mądry, jak na Hybryda – zauważył Verus z ironią. – Tak jest, wtajemniczyłem Alvarasa z Markaru w mój plan. Wiele mu zaoferowałem za pomoc i z chęcią mi jej udzielił. Twoja mała przyjaciółeczka mocno dała mu się we znaki, jak słyszałem, ale jestem pewien, że któregoś dnia odpłaci jej za wszystko.

Grim prawie nie słyszał jego słów. Ponownie miał przed sobą scenę, kiedy Alvarhas zabija Aldrira, i ponownie patrzył w jego okrutne oczy. Verus dobrze wiedział, że sprowadzi Płomień, aby obudzić magię Carvena – od samego początku wszystko to zaplanował.

– Warto, żebyś wiedział jedno – rzekł Verus. – Beze mnie, pozbawiony ojczyzny Hybrydzie, nigdy by cię nie stworzono, beze mnie nigdy nie dotarłbyś do Ognia. W twoim kosmosie to ja jestem początkiem wszechrzeczy, to ja wyznaczyłem twoje przeznaczenie. To ja uratowałem życie twojemu ludzkiemu przyjacielowi, uczyniłem to za pomocą potęgi Płomienia i powiadam ci: ty również mógłbyś decydować o życiu i śmierci. – Grim chciał coś odpowiedzieć, lecz spojrzenie Verusa sprawiło, że głos uwiązł mu w gardle. – Pamiętasz Pragę, mój drogi? Pamiętasz? Czyżbyś naprawdę całkiem zapomniał o złotym niebie?

I znów Grim dostrzegł ten cień gdzieś w głębi oczu Verusa i zobaczył ten miękki, złocisty blask, który przemknął po jego twarzy. Odwrócił się, lecz nagle poczuł ból z powodu utraty Płomienia. Pieczenie rozlało się po jego piersi z powracającą mocą, ta walka dwóch przeciwstawnych sił, od której po jego ciele rozlewał się żar sprawiający, że wołał o chłód, i chłód tak aksamitny i tak przerażający, że z trudem udawało mu się znieść jego tchnienie. Patrzył w dół, widział swoje pięści wbite w piasek katakumb tak jak wtedy i wiedział, że podejmie decyzję, gdy tylko uniesie głowę i spojrzy w oczy Verusa, te złote oczy, które były jedną wielką obietnicą. Uniósł wzrok, coś nie chciało mu na to pozwolić, lecz zanim jeszcze zdołał spojrzeć Verusowi w twarz, ciszę

rozdarł dziecięcy krzyk.

Grim skulił się, zobaczył, jak Carven unosi rękę i atakuje Verusa pętlami z Cieni, które zostały mu na nadgarstku. Z sykiem uderzyły w pierś demona, czar unieruchamiający otaczający salę zamigotał gwałtownie i Grim nie zwlekał już ani chwili. Skoczył na równe nogi, przycisnął skrzydła do ciała i przebił ścianę. Za jego plecami rozległ się krzyk, czarne tumany mgły ruszyły w jego kierunku i Grim usłyszał głos Verusa przebijający się przez bitewny zgiełk:

– Gniewie Krainy Umarłych, słuchaj moich rozkazów!

Z głuchym dudnieniem mgła zaczęła się przelewać przez mury Zamczyska. Grim uciekał przed nią, mocno przyciskając Carvena do piersi. Z przerażeniem patrzył, jak tuman rozlewa się na Małą Stranę, zmuszając Gargulce do ucieczki. Ci, którzy odnieśli w walce rany i zostali dotknięci przez mgłę, zastygali w Wieczny Kamień.

Grim pędził przed siebie co sił, byle dalej od mgieł Krainy Umarłych i głosu demona. Na policzku czuł włosy Carvena i słyszał jego gwałtowny oddech, przed sobą jednak nie widział ciemnych budynków miasta, nie widział Cieni w uliczkach ani wojowników zmuszonych do ucieczki. Przed sobą miał nocne niebo, morze z czarnych chust – i przez krótką chwilę, mgnienie oka zaledwie, zabarwiło się ono czystym złotem.

## Rozdział 46



Lodowaty wiatr szedł od Wełtawy, wspinając się na wzgórze wyszehradzkie, ze świstem szalał wokół wież Bazyliki św. Piotra i Pawła, szczypiąc w kark Mię, która siedziała na murze, wysoko nad wzburzoną rzeką i spoglądała ponad dachami miasta. Budynki nadal jeszcze wznosiły się w niebo, choć były już zdeformowane demoniczną siłą Car'lay Ythemów, która przeniknęła je jak trucizna. Dopiero kiedy zabraknie Mistrza, który będzie nad nią panował, wycofa się w Cienie.

Czar ochronny NPG przykrywał wzgórze, chroniąc je przed ewentualnymi atakami demonów, lecz żadne Dziecię Gniewu nie pokazało się poza obrębem mgły otaczającej praski zamek i snującej się upiornie uliczkami Małej Strany. Przejmujący wiatr nie zdołał wywołać u Mii dreszczy, ale ciarki przechodziły jej po plecach, kiedy patrzyła na tumany mgły. Podobno pochodziły z Braskatonu i pożerały wszystko, co żywe, z zemsty, że Verus je okradł.

Mia pomyślała Gargulcach, które nie były wystarczająco szybkie, by umknąć przed mgłą. Wszyscy oni skamienieli, i to tak szybko, że na ich twarzach wciąż widać było przerażenie, z jakim pożegnali się ze światem. Mia o mały włos także zostałaby zaskoczona przez mgłę, gdyby w ostatniej chwili Lyskian jej nie powstrzymał. Prawie dotarli do pola bitwy, kiedy z Zamku wylał się czarny tuman, bezgłośnie pędzony demoniczną siłą, i kiedy na jego widok Gargulce rozpoczęły odwrót, Mia wbrew wszystkiemu rzuciła się do ataku z imieniem Grima na ustach. Słyszała głosy mgieł, w ich tumanach widziała skamieniałe Gargulce i wreszcie gdzieś wysoko cień Grima z martwym Carvenem w ramionach. Dopiero wtedy cofnęła się przed mgłą.

Grimowi udało się ujść bez szwanku, a jednak Mia miała wrażenie, że jakaś część jego została w mgłach Braskatonu. Długo siedziała obok



niego w pokoju Carvena w Islis, trzymała jego dłoń w swojej dłoni i razem z nim czuwała nad snem chłopca, czując zimno bijące od niego i zabarwiające jego oczy mętną czernią. Wydawało jej się, jakby zagubił się w jakimś labiryncie, w którym ona nie potrafi go odnaleźć. Ledwie wypowiedział jedno słowo, od razu poczuła, że nie zdoła do niego dotrzeć w jego myślach i w końcu nie mogła już dłużej znieść dusznego ciepła osiedla Gargulców i ciszy panującej w pokoju, w którym Grim siedział bez ruchu przy łóżku Carvena, zupełnie jakby na podobieństwo poległych wojowników także i on zamienił się w Wieczny Kamień.

Przyciągnęła kolana do piersi i pomyślała o tych niewielu słowach, jakie z nim zamieniła. Zwięźle zrelacjonował, co się stało, i powiedział o planach Verusa. Oczami wyobraźni Mia zobaczyła potężną armię maszerującą w tej chwili przez Krainę Snów, gotową najechać świat ludzi. Poczowała skurcz w żołądku, kiedy ujrzała matkę i Josi z twarzami wykrzywionymi w dramatycznym grymasie. Czy miały świadomość tego, co się z nimi stało? Także Jakub, który podobnie jak Theryon został już wyleczony z ran przez Norny z Północy, martwił się o nie. I chociaż Mia z ulgą przyjęła wiadomość, że brat jest bezpieczny, widok jego bladej twarzy był dla niej wręcz nie do zniesienia. Przejechała dłonią po oczach. Rozmawiała z Samhurem o tym, co się wydarzyło, i wiedziała, że na razie nie musi się martwić o życie opętanych przez demony ludzi. Żaden demon bowiem nie ważyłby się zranić ochraniającego go ciała, ponieważ bez niego zostałby natychmiast porwany z powrotem do Braskatonu. Trwający rytuał nieuchronnie prowadził je ku granicy Krainy Snów, a kiedy ją osiągną, zapadną w głęboki sen – dla wielu demonów będzie to pierwszy i jedyny sen w ich życiu. Mia ujrzała maskę Baala otuloną upiorną mgłą, a spojrzenie jej pustych oczodołów było jak szydery śmiech. To właśnie ten artefakt umożliwił przejście i ponieważ oddziaływał tylko na ludzką świadomość, demony musiały zapaść w śpiączkę. Kiedy jednak znajdą się w tym świecie, natychmiast się przebudzą. Mia usłyszała w myślach echo głosu Samhura: *Nie ma co sobie robić złudzeń. Pod ręką Verusa stworzą piekło na ziemi i ludzkość przestanie istnieć.*

Mia wzięła głęboki wdech. Zimne powietrze dobrze pomogło odsunąć na bok przerażające myśli, ledwie jednak spojrzała w stronę

potężnego smoka obejmującego łapami wieżę katedry, od razu wróciły wszystkie wątpliwości i zmartwienia. Co się stanie ze światem, kiedy Verus nauczy się już panować nad mocą Płomienia? Przez cały czas swojego istnienia łaknął mocy Bogów i teraz otrzymał jej część. Aż za dobrze pamiętała Szczelinę Vratatów, ten potworny świat demonów, w którym nie obowiązywały żadne normy poza chaosem i prawem silniejszego. Mgły płynęły nad katedrą, jakby były dymami znad pola jakiejś dawnej bitwy. Mia zacisnęła pięści. Verus jeszcze nie osiągnął swego celu. Grim na pewno stanie z nim do walki, obojętne, jaki lodowaty żar po niego sięga, także Ghrogonianie wezmą odwet za to, co wyrządziły im demony, a ona... Niewzruszenie wpatrywała się w mgłę. Był sposób na powstrzymanie przeklętej armii Verusa i uwolnienie ludzi. Ale nie mógł tego dokonać żaden Gargulec, żaden Hybryd, żadne Dziecię Ognia. Mia miała przed oczami uśmiech Samhura, dziwnie jasne jego spojrzenie, a złowieszcze Cienie milczały jak atlasowe morze. *Tylko jedna istota jest w stanie zniszczyć Rytuał. Istota, z której krwi narodził się zew Cieni, a mianowicie człowiek. Verus prawie już osiągnął swój cel, lecz jest ktoś, kto może przeciwstawić się jego Czarnej Magii, ktoś, kto może zniszczyć wszystko, na co on patrzy tak, jakby dawno się już stało. A potem zamilkł, lecz coś w jego oczach kazało jej wstrzymać oddech. Czy to był... respekt? Ty jesteś tą istotą, powiedział i lekko skłonił przed nią głowę. Ty, Córo Burzy, jesteś jedyną istotą, która może jeszcze powstrzymać jego zaklęcie.*

Z nierzeczywistą powolnością mgła ześlizgiwała się z zamkowych blanków. To było ostatnie, co dzieliło Mię od rytuału, no i oczywiście demony patrolujące uliczki Małej Strany. Przeczesały mgłę jaskrawym reflektorem ustawionym na usianej cierniami dzwonnicy kościoła św. Mikołaja, zupełnie jakby czekały na jakiegoś zbłąkanego Ghrogonianina. Samhur opuścił Islis już kilka godzin temu, aby zorganizować jakąś osłonę przed śmiertelnym tumanem, i jedno było pewne: gdy tylko wróci, ona zrobi to, co konieczne. By raz na zawsze pokazać Verusowi, gdzie jest jego miejsce.

Wiatr gwałtownie dmuchnął jej w twarz, rozwiewając włosy. Był jak odpowiedź na jej myśli, jak szyderczy śmiech, który ponownie sprawił, że w jej dłoni pojawił się lodowy miecz i że spojrzała w dół, na

Jaro, którego o mało co nie zabiła. Wciąż jeszcze tlił się w niej gniew, który rozgorzał na nowo, gdy zobaczyła Carvena i poczuła mury, za którymi Grim kręcił się w kółko. Miała teraz w sobie ciszę tak głośną, że aż krew pulsowała jej w skroniach. Córa Burzy, co to mogło oznaczać? Czy to znaczyło, że powinna spojrzeć w Cienie i zobaczyć w nich samą siebie, nieruchomą i z lodowatym wzrokiem, mającą na klindze miecza krew innego człowieka?

Lyskiana zauważyła dopiero wtedy, gdy znalazł się tuż przy niej. Aż się wzdrygnęła. Lyskian dotknął jej ręki, krótko i jakby przepraszająco.

– Jesteś chyba bardziej zimna ode mnie – stwierdził i zanim zdążyła zaprotestować, okrył ją płaszczem. – Jesteś człowiekiem, Mia. Powinnaś pamiętać, że nawet zwykła grypa może cię zabić.

Uśmiechnął się, ona jednak nie odpowiedziała mu tym samym. Ciepło jego płaszcza miękko głaskało jej skórę, napięcie karku zelżało i kiedy zaczerpnęła powietrza, okazało się ono aksamitne i złagodziło walenie w skroniach. Zdenerwowana ściągnęła brwi. Lyskian nigdy by nie pozwolił, żeby zdjęła płaszcz, i to był jedyny powód, dla którego tego nie zrobiła.

– O mały włos bym go zabiła – powiedziała. – Po czymś takim nie zaszkodzi posiedzieć chwilę w zimnie.

Lyskian zmierzył ją kpiącym spojrzeniem.

– Nie jesteś dzieckiem, które zasługuje na karę – odrzekł ze spokojem.

– Co chwila mi się to przypomina – powiedziała po chwili milczenia. – Jak stoję nad nim i wznoszę miecz. Czułam bicie jego serca na klindze, a jednak... Wiem, że kiedyś znowu to zrobię.

Aż się wzdrygnęła na te słowa, wiedziała jednak, że to prawda.

Lyskian ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Obserwowałem cię tam, na cmentarzu. Widziałem twoje oczy i były one tak zimne jak moje, i to w najmroczniejszych chwilach.

Spojrzała na niego spod oka, on jednak patrzył ponad dachami miasta, a kiedy przez chmury przebił się Księżyc, jego twarz wydała się biała jak świeżo spadły śnieg. Cienie w jego oczach pogłębiły się, kiedy skrzywił wargi w uśmiechu.

– Czulem twój gniew – kontynuował. – I wciąż jeszcze go czuję. Dotarłaś do granicy, która cię przeraża, rozumiem twoje powody, każdy z osobna, i za nic cię nie osądzam. Nie zrobiłbym tego także wówczas, gdybyś wbiła miecz w pierś Jaro. Śmierć, moja droga Mio, jest znacznie mniej przerażająca, niż ci się zdaje. A jednak z trudem tylko zniosłem widok twojej twarzy. Brakowało dosłownie odrobiny i sama zrobiłabyś sobie to, co o mały włos ja bym ci zrobił. Zdajesz sobie z tego sprawę? – Spojrzał na nią i widać było, że nie ma co do tego wątpliwości. – Zaatakowałaś go nie tylko z powodu Carvena czy Grima. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, czy też może się mylę?

Mia czuła, jak próbują dosięgnąć jej jego Cienie. Jak to możliwe, że potrafił zajrzeć jej tak głęboko w duszę, a ona nie widzi powodu, by się przed tym bronić?

– Poszłaś za głosem swojej tęsknoty. Twojej rozpaczliwej tęsknoty za wspólnotą, której nigdy nie będziesz miała. Nie tylko magia zapomnienia zapobiega temu, by ludzie widzieli pewne rzeczy, a jeśli otworzysz im oczy na cuda tego świata, to nie oczekuj, że ci za to podziękują. Nie spodziewaj się nawet tego, że zorientują się, co się z nimi stało. Większość z nich pozostanie ślepa, ponieważ wyjątkowość w jej istocie dostrzec może tylko ktoś, kto sam jest wyjątkowy. Niewielu jest ludzi takich jak ty, Mia, nawet wśród Hartydów.

Mia odwróciła się. Nie chciała słyszeć o swojej rzekomej wyjątkowości, która niemal doprowadziła ją do zabicia człowieka. Lecz Lyskian nie dawał tak łatwo za wygraną. Powoli wciągnął powietrze do płuc, jakby właśnie w tym momencie chciał sobie przypomnieć o tym ludzkim zwyczaju.

– Żałujesz tego, co zrobiłaś. A jednak uważasz, że nie ma dla ciebie innej drogi. Tego rodzaju myśli nie są mi obce. Ja też przez bardzo długi czas myślałem, że istnieje tylko jedna droga, kiedy nagle znajdziemy się na samym dnie naszego własnego Ja. – Zamilkł na chwilę, a kiedy zaczął mówić dalej, jego głos był cichy i szemrzący jak poszum morza w bezwietrzną noc. – Niewiele ci mówiłem o mojej przeszłości. Miałem powody, lecz teraz nadszedł czas, żebyś się paru rzeczy dowiedziała. Miałem swoje życie przed Wiecznością, życie, w którym byłem synem marnotrawnym, ukochanym, przyjacielem. Życie,

w którym mogłem być szczęśliwy i w którym ciepło słońca na skórze nie wiązało się z nostalgią i pragnieniem śmierci. W tamtym życiu to ona była moim światłem.

Jego palce były chłodne, gdy dotknął nimi skroni Mii, a kiedy spojrzała mu w oczy, wydało jej się nagle, że nie siedzą na murach opuszczonego miasta, lecz że są w jakimś zupełnie innym miejscu, może w mieszkaniu Lyskiana w Paryżu, w kościele, do którego od setek lat nie wszedł żaden człowiek, albo na polu maków o błyszczących czerwono płatkach. Patrzyła w Cienie w jego oczach i nagle wyłonił się z nich obraz – twarz młodej dziewczyny o kręconych brązowych włosach swobodnie okalających jej policzki i o kasztanowych oczach, w których był wieczny uśmiech, nawet gdy spoglądała z powagą. Zanim jeszcze Lyskian wypowiedział jej imię, Mia usłyszała je w myślach: Fenya.

– Znaliśmy się od dziecka – ciągnął powoli Lyskian. – We wszystkim była dokładnym moim przeciwieństwem. Była namiętna, podczas gdy ja byłem chłodny, radosna, podczas gdy we mnie przeważała melancholia, byliśmy jak Słońce i Księżyc, a więc stworzeni dla siebie. Wielu rzeczy sprzed mojej przemiany już nie pamiętam, ale ją zapamiętałem na zawsze, i o ile za czasów mojego życia mój mentor uniemożliwił mi powrót do niej, o tyle po jego śmierci nic mnie już przed tym nie mogło powstrzymać. Wróciłem, zdając sobie sprawę, że tym samym schodzę z wyznaczonej przez niego drogi, tej drogi, którą stworzył dla mnie i która była dla mnie bezpieczna. *Trzymaj się z dala od światła...* – Lyskian ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. – Nie zważałem już na tę radę.

Obraz w jego oczach zmienił się. Mia widziała go stojącego gdzieś wysoko, w oknie jakiegoś zamku, czuła światło bijące z pokoju, zupełnie jakby kładło się na jej twarzy, i wiedziała, że już kiedyś zetknęła się z tym widokiem. To było wspomnienie Lyskiana o dziewczynie śpiącej w tym pokoju w swoim łóżku, spokojnie i tak beztrudnie, jakby nie było Cieni, które by jej zagrażały.

– Często do niej powracałem. Nigdy się jej nie pokazałem, lecz patrzyłem na nią, kiedy spacerowała po polach maków otaczających zamek albo kiedy przyglądała się dzieciom bawiącym się na zamkowym dziedzińcu. Czułem jej spojrzenie na skórze, gdy spoglądała w Cienie z

tym spokojnym wyrazem oczu, który smakował bólem i marzeniami. Nigdy nie pragnąłem powrotu do bycia człowiekiem, zawsze jednak tęskniłem do niej, chciałem znowu być z nią. – W swojej wizji wyciągał dłoń w stronę okna i zatrzymał się na moment przed jego dotknięciem. – Pewnego dnia jednak ciężko się rozchorowała.

Fenya miotła się na łóżku we wszystkie strony, ciężko oddychając. Na przemykających w przyspieszonym tempie obrazach policzki zapadały jej się coraz bardziej, włosy lepiły się w gorączce do czoła i Mia zobaczyła nagle nieprawdopodobną radość, a zaraz potem przerażenie w jej oczach, gdy ujrzała zbliżającego się do niej Lyskiana.

– Długo ze sobą walczyłem – usłyszała jego głos. – Wiedziałem, że tylko wysoko postawionym wampirom wolno stwarzać nowych przedstawicieli naszego gatunku i Bhrogrum Dakaskos bardzo wcześnie nauczył mnie szanować czerń mojej krwi i obawiać się jej mocy. Wieczny Pocałunek jest darem nieśmiertelnego życia, ale ma swoją cenę. Nie wątpiłem, że jest to prawda, ale wtedy było mi wszystko jedno. Nie mogłem znieść myśli, że stracę Fenę na rzecz śmierci... tego Cienia, który mnie nienawidził. Dlatego postanowiłem uleczyć ją moją krwią.

Mia niemal poczuła na własnej szyi ból ugryzienia, gdy Lyskian pochylił się nad Feną. Widziała błysk gorączki w jej oczach, gdy próbowała złapać go za rękę, lecz on już się nie cofnął.

– Zatraciłem się – wyszeptał ledwie słyszalnie. – I dokonałem chrztu krwi. Fenya była pierwszym wampirem, jakiego stworzyłem.

Jego głos dobiegał jakby z wielkiej oddali. Mia była z nim w pokoju, kiedy Fenya zemdlała w jego ramionach, by po upływie nieskończonych sekund ponownie otworzyć oczy. Były tak samo brązowe jak przedtem, ale na moment przebił przez nie jasny i zimny blask, który sprawił, że Miła zadrżała. Widziała już raz takie zimno... w swoich własnych oczach na polu maków. Do oczu Lyskiana powróciły Cienie i pochłonęły obraz.

– Została moją towarzyszką – powiedział. – Wspólnie przemierzaliśmy świat na skrzydłach nocy. Po raz pierwszy, od kiedy osiągnąłem Wieczność, mogłem sycić się jej ekscesami, znajdowałem przyjemność w tym, że Fenya przewyższała mnie okrucieństwem, i nie

dostrzegałem dziwnego blasku, który chwilami zakradał się do jej oczu, sprawiając, że co jakiś czas mnie opuszczała, popychana do coraz bardziej bestialskich mordów i szaleńczych orgii. Chciała więcej i więcej, aż wreszcie zwiększyła swoją moc, przystając z demonami i przyswajając sobie ich magię. Wyglądało na to, że w niczym nie szkodzi to naszej zażyłości. Wspólnie urządzaliśmy sobie polowania na wilkołaki, na ludzi, na wampiry z innych klanów, nie przestrzegaliśmy żadnych zasad, żadnych reguł. Nieraz tak sobie myślę, że wtedy byliśmy wolni... a przynajmniej takie mieliśmy poczucie. W którymś momencie jednak dogoniły nas Cienie.

Zupełnie jakby jego słowa były rozkazem, ciemność wokół Mii zakłębiła się. Poczowała, że jest w lesie, słyszy krzyki walczących i czuje zapach wampirzej krwi.

– Pewnej nocy napadliśmy na hordę nam podobnych – kontynuował Lyskian. – Obrabowali ludzi, z których wielu pozabijali, lecz jedno dziecko pozostało przy życiu. Chłopczyk. Byłem niemal pewien, że Fenya go zabije, bo gardziła ludzkimi dziećmi. Ona jednak go zatrzymała. Chłopiec sypiał u nas i zaczął nabierać do nas zaufania. Wiele razy patrzyłem, jak siedzą oboje przy ogniu, niczym matka z synem. Doskonale pamiętam jeden z wieczorów, kiedy Fenya stała przy jego pościeli i patrzyła na śpiącego. *Jest taki spokojny, że aż tego nie pojmuję*, powiedziała.

Mia wstrzymała oddech, kiedy ujrzała Fenyę w skromnie urządzonej sypialni, słabo oświetlonym blaskiem ognia z kominka, i twarz dziecka, bladą i pełną ufności wobec tego, czego nie potrafiło pojąć. Od razu przyszedł jej na myśl Grim spoglądający na śpiącego Carvena tym bezbronnym i zarazem tak czułym spojrzeniem, i aż jej się ścisnęło serce, kiedy na twarzy Fenyi dostrzegła ten sam wyraz. W tym momencie jednak Fenya uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie i Mia poczuła zimne ciarki na plecach.

– Do dzisiaj mam przed oczami ten jej uśmiech – powiedział Lyskian. – Był jak otchłań. – Na krótko przymknął oczy i jego słowa z tym większą siłą przeniknęły do świadomości Mii. – Następnego ranka chłopiec już nie żył. Fenya zabiła go, kiedy spał.

Mia odepchnęła od siebie obrazy, które na brzmienie jego głosu

powstały w jej głowie. Nie chciała widzieć chłopca w takim stanie i nie mogła znieść pozbawionej wyrazu twarzy Fenyi stojącej przed Lyskianem.

– Nie zamieniliśmy na ten temat ani słowa – powiedział. – Dalej grasowaliśmy po okolicy, Fenya wydawała się zupełnie niezmienną. I trwało to, dopóki nie ujrzelśmy w jednej z wiosek pewnej rodziny. Dzieci bawiły się na wioskowym placu, a Fenya przyglądała się im nieruchoma. Doskonale pamiętam śmiechy tamtych dzieci i to, jak Fenya stała rozluźniona, patrząc na nie i nie oddychając. A potem powiedziała nagle...

– *Zupełnie jak monety, które spadają w nieskończenie głęboką studnię, by już nigdy się nie pojawić*, wyszeptała Mia, ponieważ słowa te pojawiły się w niej, zanim ujrzała obraz Fenyi, jaki wysłał do jej myśli Lyskian. – *A ja na nie patrzę.*

Zdawało jej się, że widzi Cienie tańczące w oczach Lyskiana, kiedy zaczął mówić dalej.

– Niedługo potem zniknęła bez śladu. Bardzo długo jej szukałem, by w końcu odnaleźć ją... w domu.

Poprzedni obraz rozplynął się i pojawiły się ruiny, które Mia już знаła. Wszędzie wokół poniewierały się zwłoki, niektóre straszliwie zmasakrowane, a Fenya siedziała pośród popiołu, trzymając w ramionach dziecko. Jej włosy rozwiewał wiatr, a kiedy wstała, pozornie obojętnie zostawiając dziecko na ziemi, nie płakała. Mia wiedziała, że to Fenya je zabiła, tak jak zabiła wszystkich, którzy tam byli. Jej oczy stały się tak lodowate, że Mia zaczęła dygotać. A wtedy pojawiło się w nich coś jakby rysa. Fenya zachwiała się, upadła na kolana, a kiedy uniosła dłoń i uderzyła się w pierś, Mia zamarła. Z jej wnętrza wydobył się żarzący się czarno ogień demonów, krew trysnęła na wszystkie strony. Fenya podniosła wzrok na Lyskiana, który właśnie wyszedł z Cieni. Patrzyła na niego, jakby był aniołem.

– Nie umarła – powiedział Lyskian ledwie słyszalnym szeptem. Stał przed swoją towarzyszką. Mia dostrzegła malującą się w jej oczach prośbę i usłyszała wypowiedziane ochrypłym głosem rozpaczliwe słowa: *Oni wciąż spadają.*

Przez moment wydawało się, jakby czas stanął w miejscu. Mia



słyszała wycie wichru, czuła płatki popiołu na twarzy i morski zapach włosów Lyskiana. A potem Lyskian złapał Fenyę za gardło. Rozżarzona siła demonów wystrzeliła w jego pierś, wydał okrzyk bólu, lecz nie puścił Fenyi. Potężny strumień zimna, jaki wysłał do jej ciała, sprawił, że padła bez czucia. Lyskian złapał ją i trzymał w ramionach, a Mia czuła ciszę w jego wnętrzu, kiedy zimno ścięło krew Fenyi i zamieniło w lód łyż na policzkach. Miała na ustach uśmiech, kiedy umierała, i za tym uśmiechem właśnie poszła Mia wtedy, gdy stała na polu maków obok Lyskiana, a on rozsypał popiół Fenyi na wietrze.

Mia ocknęła się, stała obok Lyskiana na szczycie muru. W jego oczach wciąż jeszcze tańczyły płatki popiołu i kiedy łagodnie pogłaskał ją po policzku, ujęła jego dłoń i przytrzymała w swojej. Lyskian uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie, ale tylko przez moment. Potem cofnął dłoń i pokręcił głową.

– Poszedłem za moją żądzą – powiedział. – I w ten sposób zniszczyłem to, czego od zawsze pragnąłem najbardziej: światło, które Fena nosiła w sobie. Ukradłem je jak dzikus i przez długi czas zdawało mi się, że pod cienką warstewką lodu i piękna jestem właśnie tym. Uciekłem w chłód ducha, aby uciec przed kryjącą się we mnie bestią, i udało mi się zmusić ją do milczenia... dopóki nie pojawiłaś się ty.

Mia poczuła, że krew uderza jej do głowy.

– Bardzo szybko ją przebudziłaś, a wraz z nią moje pragnienia, które udało mi się okiełznać.

Zamilkł. Mia pokręciła przecząco głową.

– Przecież zupełnie nic nie zrobiłam – powiedziała, lecz on tylko się uśmiechnął.

– Czy pamiętasz obraz, który dla mnie namalowałaś? – spytał, a jego głos był nieskończenie łagodny, gdy tak na nią patrzył.

– To nie była moja najlepsza praca... – powiedziała ochryple. – To mógł być czerwony ptak na tle czarnego nieba...

– ...albo kwiat – dokończył, a potem spytał cicho: – Kwiat maku albo kropla krwi?

Ciemność w jego oczach otuliła jej ramiona i sprawiła, że na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Tak wiele zrobiłaś – powiedział ledwie słyszalnie. – Nie mam

pojęcia, jak ci się to udało, ale otworzyłaś zamek do mego wnętrza, tak jak to masz w zwyczaju, a ja się nie broniłem. Syciłem się ciepłem, jakie mi podarowałaś, twoja żywotność przenikała moje zimno i nie potrafiłem zrezygnować z twojej bliskości, chociaż z każdą chwilą silniejszy był we mnie strach, że znów stanę się dawnym sobą. I o mały włos to właśnie by nastąpiło.

Mia ledwie zauważalnie kiwnęła głową. Aż za dobrze pamiętała Arenę wampirów i wyraz jego oczu, jego uśmiech, jego ruchy. Pamiętała zapach jego skóry i to, jak ją wołał, przerażająco a jednocześnie uwodzicielsko. Ale strach, który wtedy odczuwała, zupełnie nie doszedł do głosu.

– Uchroniłaś mnie przed tym – powiedział. – Przypomniłaś mi, że jest we mnie coś więcej niż tylko to. Sprawiałaś, że z całą mocą poczułem tęsknotę, tę łagodną i czułą tęsknotę, by nie być władcą życia, lecz je chronić, i by tę tęsknotę wciąż od nowa zaspokajać. Nie da się jej w pełni zaspokoić, lecz nie ma nic piękniejszego niż ona. Będę czuł ją w sobie aż po kres wieczności, ten niepokój... ten Płomień, który także ty nosisz w sobie.

Delikatnie ujął jej dłoń, jego palce były lodowato zimne, kiedy przesunął nimi po jej skórze. Czowała, że coś przyzywa, coś, co odpowiedziało mu głęboko w jej wnętrzu, i kiedy ujrzała Płomień, który żarząc się czernią, pojawił się między jego i jej dłonią, wstrzymała oddech.

– Jest dla ciebie zagrożeniem – powiedział Lyskian, podczas gdy ogień przesunął się po palcach Mii, nie parząc ich. – Lecz zarazem także szansą. Nigdy nie zgaśnie. Tak właśnie promieniejesz, ponieważ stoisz w samym wnętrzu ognia i możesz zapalić świat swoją tęsknotą. Płomień w tobie płonie, chociaż nigdy nie widział światła, i jakkolwiek niczego bardziej się nie boi, a zarazem niczego bardziej nie pragnie niż jego, to nigdy go nie osiągnie. Światło bowiem zawsze jest końcem tęsknoty i tym właśnie jest istota tego Płomienia. Dlatego płonie on w ciemności. To Płomień Nocy.

Mia wiedziała, że to, co pokazywał jej Lyskian, to zwykła iluzja, a jednak poczuła rozpalone zimno Płomienia na swojej skórze.

– Możesz cierpieć z powodu swojej samotności – ciągnął Lyskian

– ale przestań ją przeklinać. Ona bowiem jest tym, co budzi w tobie nadzieję, to dzięki niej świat wydaje ci się cenny i bogaty, to ona daje ci napęd i każe ci próbować zmieniać świat nawet wbrew logice. To ona jest tym, co cię uszlachetnia i czego łaknie świat, chociaż tego nie pojmujesz. Ona jest czymś więcej niż tylko bólem, Mia, ona prowadzi cię do samej istoty siebie samej i pozwala ci dojrzeć w Cieniach cuda. A czasem smutek na jej widok przebrzmiewa i zmienia się w ciepłe światło. Ona podsyca twoją tęsknotę i sprawia, że tak cenna jest bliskość, jakiej doświadczasz na jej krańcach. Lukas zwątpił w swojej samotności, ty jednak... – Zamilkł, czekając, aż Mia na niego spojrzy. – Ty jednak masz wybór: możesz podążyć jego drogą albo możesz się dzięki niej rozwijać, i czerpać z niej nieskończone piękno, piękno, które ludzie odczuwają, nawet go nie rozumiejąc.

Zamilkł i opuścił oczy na Płomień, a kiedy jego iskry rozbłysły, cisza we wnętrzu Mii zaczęła śpiewać, cicho i w obcych językach, a ona rzuciła się prosto w nią, bez zimna, bez strachu, bez gniewu. Ta cisza to był Lukas, jego poplamione farbami dłonie, zapach jego włosów, to był Jakub pełen wątpliwości, niezdecydowania, oddania, to był Księżyc, który potrafił jeszcze bardziej wzmocnić tęsknotę za nieznanym i niezmiernym, i to właśnie ona sprawiała, że Mia płonęła. To ona sprawiała, że Mia miała wypisaną na czole nadzieję i poczucie, że stoi w płomieniach. Tą ciszą była ona sama. Poczuli, że się uśmiecha, i kiedy podniosła wzrok i spojrzała na Lyskiana, ten odpowiedział jej ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

*Słuchaj tego, kim jesteś, dobiegł ją jego głos, i trzymaj się tego. Zanieś swój Płomień w świat, a kto wie... być może uda ci się go zapalić swoim marzeniem.*

Mia nic na to nie odpowiedziała. Patrzyła na siebie, jakby stała z boku, na siebie siedzącą na murze, widziała włosy Lyskiana powiewające na wietrze i uśmiech na jego wargach i wiedziała, że nigdy nie zapomni tego obrazu: oni obydwój, między ich dłońmi Płomień, który nosili w sobie i który ich ze sobą połączył... teraz i po wsze czasy.

## Rozdział 47



Carven spał. Jego oddech był równomierny i kiedy leżał z dłońmi złożonymi na piersi, wyglądał tak delikatnie i krucho, że Grim nie mógł znieść tego widoku. Siedział tuż przy łóżku chłopca i był z nim sam na sam, pomijając kolorowego smoka zwiniętego na poduszce obok głowy Carvena. Mia wyszła z pokoju jakiś czas temu, także Remi i uzdrowiacze z Islis wycofali się, jakby czując, że Grim i tak nie zauważa ich obecności. Patrzył na Carvena, nie spuszczać z niego oczu, obserwował cienie pod jego oczami i bladość skóry, nadające twarzy chłopca wyraz nie tylko choroby, ale i czegoś złowieszczonego, czego Grim nigdy wcześniej u niego nie widział. Verus dotrzymał przyrzeczenia. Uchronił Carvena przed śmiercią, lecz jej czarne skrzydło zdążyło musnąć jego czoło. Grim patrzył na bliznę, jaką diabelski bicz pozostawił na przedramieniu chłopca, przez chwilę znów widział go w ramionach żałobnicy i znów poczuł tamtą ciemność, która kryła się w jego oczach jak odłamek szkła. Grim delikatnie pogładził go po włosach. Wojownika Światła czeka długa droga, zanim odzyska dawne siły. Ale nie jest sam. Wspólnie przejdą tę drogę.

Grim poruszył ramionami, że aż zachręściły mu kości. Od wielu godzin siedział w jednej pozycji. Powietrze wpływało do jego płuc ciepłym strumieniem, ponownie uświadamiając mu obecność zimna, które nie opuszczało go od chwili jego podróży do Braskatonu. Przez chwilę nasłuchiwał palenia w piersi, lecz ono jakby całkowicie zamilkło... i ta nowa cisza była dla Grima tak osobliwa, że co chwila unosił dłoń, jakby spodziewając się jego nagłego powrotu. A przecież wiedział, że tak się nie stanie. Unicestwił je w żarze Płomienia i nie zostało z niego nic poza słabym szeptem w jego myślach. Tym wyraźniej odczuwał zimno w swoim wnętrzu. Na moment ujrzał Verusa z twarzą

rozjaśnioną światłem Płomienia i mina mu spochmurniała. Wiedział już, że jest sposób, by stawić czoło temu przekłętemu demonowi. Musi ponownie wydobyć ze Świata Bogów ten żar, lodowaty, oszałamiający żar, którego skutki wciąż jeszcze odczuwał. W czaszce mu pulsowało, odczuwał utratę Płomienia jako głuchą pustkę i żal, a jednocześnie znów zobaczył spojrzenie Carvena, a w nim przerażenie, i przypomniał sobie swój strach, kiedy krzyk chłopca odnalazł go pośród płomieni Braskatonu. Dotknął dłoni Carvena, ale odniósł wrażenie, jakby sięgał po nią z jakiejś nieskończonej dali. Zniszczył o wiele więcej niż tylko pieczenie w swojej piersi, o wiele więcej, niż potrafiłby nazwać słowami. Ta myśl kazała mu zerwać się na równe nogi i dopiero kiedy opuścił pokój, i wyszedł w noc, zanurzył się z powrotem w Cienie.

Wiatr był zimny. Gwałtownie szarpał połami płaszcza, ale pozwolił mu spokojniej oddychać. Grim ruszył przed siebie, byle dalej od głosów Islis, które sunęły za nim, byle dalej od pustych domów Pragi, paralizujących go swoim milczeniem. Do diabła, a czegoż się właściwie spodziewał? Że będzie skakał z radości po masakrze w Zamczysku? Że będzie śpiewał i tańczył na widok tych przeklętych mgieł, które uniemożliwiły atak armii oraz zbliżającej się do świata nawałnicy demonów? Gałęzie drzew szurały mu po ramionach i z każdym krokiem, który robił w ich Cienie, pulsowanie w skroniach nieco ustępowało. Usiadł na jednej ze skał, popatrzył w las i pogardliwie parsknął. No, świetnie. Właśnie udał się do lasu, żeby odnaleźć siebie. Ależ Remi miałby ubaw.

*W twoim kosmosie to ja jestem początkiem wszechrzeczy.*

Grim aż się wzdrygnął, tak niespodziewanie rozległ się w jego myślach głos Verusa. Obudził się w nim gniew. Zobaczył przed sobą demona i znów ogarnęło go przemożne pragnienie, żeby jednym uderzeniem pięści zmieść z jego twarzy ten arogancki uśmiezek. Zaraz potem znów jednak poczuł ten sam dreszcz, jaki przeszedł go wtedy, kiedy usłyszał te słowa. Verus wszystko to zaplanował. Każdy przeklęty krok, jaki Grim zrobił w Świecie Bogów, był zaplanowany przez tego łajdaka. Od niepamiętnych czasów zamierzał przywłaszczyć sobie Płomień Prometeusza – i teraz mu się to udało.

*Twoim przeznaczeniem jest iść za nim.*

Grim parsknął pogardliwie, ale słowa te wypalały sobie drogę w jego myślach. Wzerały się w jego rozum, jeszcze trochę, a oszaleje, jeśli się od nich nie uwolni. W żaden sposób jednak nie mógł się do nich dostać. Czuł tylko, jak go paraliżują i coraz głębiej wpychają w zimno, które niepowstrzymanie rozchodzi się po jego wnętrzu. Przez chwilę chciał biec szukać Mii, a może Samhura, Remiego czy Kronka, kogokolwiek, komu mógłby o wszystkim opowiedzieć. Ale nawet nie ruszył się z miejsca. Bo cóż miałby im powiedzieć? Nie zrozumieliby, co się w nim dzieje, on sam przecież tego nie rozumiał. I wiedział, że nie zniósłby spojrzeń w ich twarze, w których odzwierciedlały się on sam, jego nieruchome rysy i czerń w oczach, w których zimno zapraszało do tańca.

*Ty bowiem dawno już byłeś w jego mocy, tak jak przewidziałem długi czas temu.*

Grim nie chciał słyszeć tych słów. Odfrunęły od niego i zapaliły Cienie w leśnym podszyciu. Widział siebie szybującego nad spalonymi miastami, znów poczuł moc Płomienia w ciele, a kiedy jego wzrok powędrował w górę i poczuł na twarzy blask Księżyca, w jego wnętrzu niczym ostrze noża zagłębiły się słowa Verusa.

*Czyżbyś naprawdę całkiem zapomniał o złotym niebie?*

Grim uniósł pięść, przez moment wydawało mu się, że może się w ten sposób przed nimi obronić, zamiast tego jednak obraz lasu rozdarła rysa i zanim zdążył do końca pojąć, co właściwie robi, przeszedł przez nią do Krainy Snów. Oczy miał zamknięte, mgły muskały chłodem jego skórę, a kiedy rozpostarł skrzydła, instynktownie wiedział, dokąd musi się skierować. *Jesteśmy braćmi*, przeniknął do jego myśli głos Serafina. *Przypomnij sobie!*

Jego słowa delikatnie musnęły czoło Grima i ujrzał przed sobą Serafina, jego płomienistą postać, ranę w piersi i tamten wyraz oczu, kiedy go zostawiał. Był przy nim przez cały czas. Grim go odepchnął, lecz teraz, z każdym uderzeniem skrzydeł czuł, że coś ciągnie go do brata, coś, co przekracza jego rozum, a jednak zapiera mu dech w piersiach, odkąd poczuł cień Pałacu Snów na twarzy.

Budowla wznosiła się w czerni nocy, płonąc niebiesko. Wiele

blanków nadal było potrzaskanych, całe wieże były jeszcze zawalone, ale mury wzniosły się już ponownie i we wnętrzu mnóstwo pomieszczeń było już odrestaurowanych. W milczeniu wszedł do sali z nocy. Była opustoszała i kiedy Grim stanął blisko okien i powiódł wzrokiem po niezmiarzonej równinie, gdzie kiedyś było morze, z oddali usłyszał szum fal. Jakże często Serafin musiał stać w tym miejscu, samotny i zrozpaczony, jakże często musiał posyłać stąd spojrzenie w nadziei, że ujrzy światło w wiecznej nocy, w której objęcia się udał. Czy pamiętał promienie słoneczne, które dotykały go w innych światach? Czy pamiętał nadzieję?

*To sny tworzą mój pałac*, odezwał się cichy głos Serafina w jego myślach i zanim Grim zdążył się odwrócić, już wiedział, gdzie jego brat stoi – oparty o framugę drzwi, z lekko pochyloną głową i ledwie dostrzegalnym uśmiechem na ustach. *To jedyne, co mi pozostało.*

Grim odwrócił się plecami do nocy za oknem i patrzył w stronę Serafina. W jego piersi wciąż ziała rana, był blady jak trup, lecz uśmiech na jego twarzy całkowicie niwelował oznaki rozkładu.

*Wspomnienia nigdy nie są jedyne*, odparł Grim. *Zawsze bowiem potrzebują kogoś, kto za nimi tęskni, a tęsknota to źródło przyszłości, a nie przeszłości.*

W chwili, gdy Serafin chciał mu odpowiedzieć, Grim poczuł gwałtowne ukłucie w piersi, zupełnie jakby zimno w nim wysunęło pazury. Zachwiał się, musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Serafin już był przy nim i podtrzymał go. Grim osunął się na podłogę i oparł o okno. Spoglądał na brata w milczeniu. Wiedział, że Serafin czyta w jego myślach, wiedział też, że przy okazji dowiaduje się, co się wydarzyło. Raz jeszcze wrócił myślą do sali władysławowskiej i poczuł, jak słowa Verusa wnikają w niego niczym rozpalone żelazo. W końcu Serafin opuścił wzrok. Grim spodziewał się, że dostrzeże w oczach brata gniew albo pogardę, kiedy jednak Serafin na niego spojrział, w jego spojrzeniu było tylko współczucie.

– Ty drzysz – powiedział Serafin cicho.

– Czyżbyś tego nie przewidział? – spytał Grim, ale w jego głosie nie było szyderstwa, tylko smutek. – Nie ostrzegłeś mnie, prawda?

Serafin uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

– Przywilejem młodszego jest zachowywać się jak głupiec, braciszku.

Przez moment Grim zobaczył siebie siedzącego na murze razem z Serafinem, obydwaj byli pod postaciami chłopców, których serca nosili, i wiedział, że dawno, dawno temu wspólnie śpiewali ludzkie piosenki, że razem się śmiali i płakali, i byli braćmi na długo przed swoimi narodzinami. Po plecach przeszło mu ciepłe tchnienie. A potem potrząsnął głową.

– Wiele zrobiłem w życiu rzeczy, których żałuję – powiedział. – Wiele takich, które chętnie bym cofnął. I rzeczywiście nieraz byłem głupcem i nierozsądnym dzieckiem. Ale to, co wydarzyło się na zamku i na granicy Braskatonu... Nie, Serafinie. To znacznie wykracza poza wszystko, co było dotychczas. – Zamilkł na chwilę, lecz jego brat nic nie odpowiedział. Milcząc, siedział nieruchomo i coś żarzyło się w ciszy jego spojrzenia, co kazało Grimowi mówić dalej: – Przypominam sobie ten moment, w którym już nie potrafiłem powiedzieć, czy wypaliłem szczelinę w granicy po to, by uratować Carvena, czy też po to, by poczuć moc Płomienia. I nie wiem, co jest gorsze: spojrzenie Carvena, kiedy się zagubiłem, czy uśmiech Verusa. Może on ma rację. Być może już od zawsze było moim przeznaczeniem podążać za Płomieniem, dokądkolwiek mnie to zaprowadzi.

Serafin uniósł ironicznie brwi.

– Sam powinieneś zdecydować, co jest twoim przeznaczeniem, zamiast pozostawiać to jakiemuś trzeciorzędnemu demonowi. Verusa nie bez przyczyny nazywa się Pożeraczem Dusz.

Grim patrzył na swoją pięść, przez moment widział iskry Płomienia przeskakujące między palcami i aż przeszedł go dreszcz na wspomnienie tego, jak przejął je Verus.

– Od ciebie nie dostał tego, czego chciał – odparł. – Nigdy nawet nie pomyślałeś o tym, by przywłaszczyć sobie Płomień.

Serafin wybuchnął śmiechem.

– Myślałem o tym, i to bardzo często – powiedział, patrząc na Grima wzrokiem, jakim wśród ludzi starsi bracia mają zwyczaj patrzeć na młodszych, kiedy chcą podzielić się z nimi swoją mądrością. Pojawia się w nim wtedy błysk czegoś w rodzaju czułości. – Ale Verus znał mnie



doskonale. Płomień by mnie zniszczył i zdawałem sobie z tego sprawę.

Patrzył za okno. Światła jego królestwa migotały na jego twarzy, której rysy wykrzywił ból nakazujący Grimowi zachować milczenie. Przez chwilę Serafin wyglądał jak człowiek, którym kiedyś był, zanim Gargulce znalazły jego dom i zniszczyły jego życie. Pałac Snów emanował osobliwym spokojem, który Grim odczuł dopiero teraz, kiedy siedział obok brata, a u ich stóp otwierała się tajemnica, bezgłośnie jak płatki kwiatu. Grim czuł ból przepełniający pierś brata, czuł też własną samotność i pustkę, i widział siebie błędzącego po Italii, słyszał swoją grę na organach, odbijającą się echem w jego własnym kościele, i śmiech monsieur Pité pomiędzy dźwiękami, jego wołania, jego płacz, jego ostatnie tchnienie. Wiedział, że Serafin rozumie, że nigdy nie było inaczej i że w tym momencie są sobie tak bliscy, że każdy z nich jednym nieostrożnym ruchem może sprawić, że serce tego drugiego pęknie. Nie czuł jednak obawy i kiedy Serafin na niego spojrział, w jego oczach była ta sama ciemność, którą Grim odczuwał w sobie i która wywołała na jego twarzy uśmiech.

– Znam ten niepokój, który cię dręczy – zaczął Serafin. – Tlił się on we mnie jako śmiertelna żądza zemsty i po śmierci mojej żony to właśnie ona pognąła mnie do Aten. Szukałem tam śladów Czarnej Magii, a zamiast tego znalazłem... Verusa.

Grim uniósł brwi ze zdziwieniem. Serafin mówił dalej, a na jego twarzy położył się cień:

– Albo może powinienem raczej powiedzieć, że to on mnie znalazł. Wtedy nic jeszcze nie wiedziałem o jego prawdziwej tożsamości, przez długi czas uważałem go za przedstawiciela Bractwa Czarnej Magii. Nauczył mnie Czarę Szczurołapa i tego, jak założyć Bractwo Czarnej Magii. Sam wiesz, jakie konsekwencje miała ta moja wiedza.

Grim skinął głową ponuro. Nigdy nie zapomni bezwolnych Gargulców u bram Ghrogonii ani na wpół zrujnowanego miasta, i Mii na posadzce sali tronowej w Czarnym Cierniu.

– Wszystko, czego żądał w zamian, to była przysługa – ciągnął Serafin ledwie słyszalnym głosem. Jego wzrok powędrował ku ziemi. Potrząsnął głową, jakby dziwił się samemu sobie. – Dopiero kiedy Verus zażądał jej spełnienia i wy dostał się z lochu, dowiedziałem się, kim jest.

Ale już wcześniej osiągnął prawie wszystko, czego chciał: miał pod swoją władzą Dziecię Ognia, będące na najlepszej drodze, by się zagubić. Tego właśnie chciał od samego początku i mylisz się, uważając, że mu się oparłem. Wcale bowiem tego nie zrobiłem. My obaj, Grimie, jesteśmy istotami wyjątkowymi, i to nie tylko dlatego, że potrafimy opanować ten przeklęty Płomień. Jesteśmy istotami o niewyobrażalnej mocy. Potrafimy wysoko wzlecieć i głęboko upaść. A Verus uwielbia patrzeć, jak upadamy. Jeśli o mnie idzie, o mały włos dopiąłby swego... Gdybyś nie pojawił się ty.

– Zabiłem cię – stwierdził Grim ponuro, lecz Serafin tylko się uśmiechnął.

– Nie – stwierdził łagodnie. – W tamtym momencie nie miałeś jeszcze takiej mocy... albo woli. Pamiętasz, co mi powiedziałaś wtedy, w sali tronowej królów, kiedy staliśmy naprzeciwko siebie?

Grim przytaknął ruchem głowy i przez moment poczuł znowu tamto wyczerpanie bitwą i płomienne spojrzenia Serafina na skórze.

– Prosiłem cię, żebyś zawrócił z tej drogi. Powiedziałem ci, że jeszcze nie jest za późno.

– Ja jednak odmówiłem – odparł Serafin. – Odmówiłem pójścia za tobą, toteż została mi tylko jedna droga: ścieżka Czarnego Płomienia. Pozwoliłem, by mnie pochłoniął. To musiał być obrzydliwy widok. Rzuciłem się w głąb samego siebie, w światy, o których nie miałem żadnego pojęcia. Stałem się ich częścią, lecz pomimo bólu byłem jakby we śnie. Przez długi czas wydawało mi się, że składałem się tylko i wyłącznie z żądzы zemsty, i zdumiało mnie, że wciąż jednak istnieję i jestem jakąś częścią tego, kim byłem dawniej. – Po jego twarzy przemknął uśmiech, a potem Serafin spoważniał. – Zapadłem się głęboko – ciągnął chropowatym głosem. – O wiele głębiej, niż ty ostatnio. Nie odczuwałem już niczego poza zimnem, które pożerało mnie od środka. Zniosłem żar Czarnego Płomienia, zniosłem jego okrucieństwo i oparłem się burzom z ognia i żelaza. I chociaż wydawało mi się, że zwyciężę – nie wątpiłem w to ani przez moment – to jednak wciąż pojawiała się nowa otchłań, w którą mnie one wrzucały. Nowe męki, które musiałem przejść. Robiłem to, nie wiedząc nawet, dlaczego. Coś kazało mi zmierzać coraz dalej i dalej, coś, co aż do nie dawna nie

miało dla mnie imienia. Aż do momentu, kiedy Verus zażądał spełnienia obiecanej przysługi. – Serafin pokręcił głową, gniew rozgorzał w jego oczach, a potem Grim miał wrażenie, jakby słyszał w jego głosie samego Verusa: – *Wiążę tę przysięgę z istotą, którą najbardziej kochasz*, powiedział, a ja wtedy się zaśmiałem. Doskonale to pamiętam. *Nie kocham nikogo*, odparłem, i do dziś widzę przed sobą Verusa, milczącego i z tym swoim uśmiechem na ustach, który bezustannie prześladuje mnie w snach. W końcu rzekł: *Czasy się zmieniają, mój przyjacielu. Czasy się zmieniają*. I rzeczywiście, tak właśnie się stało. Demon zażądał wypełnienia obietnicy i wtedy znalazłem to imię, które niosło mnie przez ognie Czarnego Płomienia, by wreszcie przyprowadzić mnie z powrotem do samego siebie. Było to imię mojego brata. To było twoje imię, Grimie.

Grim zdawał sobie sprawę, że Serafinowi było równie ciężko jak jemu, mówić o takich rzeczach, i słyszał drzenie w jego głosie, kiedy ten ciągnął dalej:

– To ty właśnie prowadziłeś mnie przez ognie Czarnego Płomienia, to byłeś ty, chociaż nie miałem o tym pojęcia, aż wreszcie stało się to tak oczywiste, że o mały włos nie roześmiałem się z własnej głupoty i tego, że mogłem być aż tak ślepy.

Zaśmiał się i dotknął okna, przy którym siedzieli. Okno zmieniło się bezgłośnie, odsłaniając przed nimi widok na niebo usiane morzem gwiazd.

– Doskonale pamiętam moment, kiedy dotarłem do kresu mojej podróży – powiedział Serafin, a kiedy Grim spojrział, stwierdził, że brat siedzi w łachmanach, jego ciało jest wychudzone, a oczy ogromne w zapadniętej twarzy. – Wokół była noc, po raz pierwszy od niezliczonych dni pełna rozpalonych słońc, a ja kroczyłem przez nagie skały, aż dotarłem do morza. Było czarne jak noc, która mnie otaczała, i szeptało tysiącem głosów. Wiesz dobrze, o jakim morzu mówię.

Grim wiedział. Słyszał jego fale tak wyraźnie, że przenikało go to do szpiku kości, a kiedy się odwrócił, jego spojrzenie zapadło się w cienisty żar wody, chłodnej i migotliwej jak zapomniany klejnot. Przed nim rozciągał się Ocean Nocy.

Serafin skinął potakująco głową, zupełnie jakby odebrał myśli

Grima. Podszedł tak blisko, że fale omywały jego nagie stopy.

– Stałem na brzegu. Słuchałem jego głosów, pozwalałem, by jego wiatr igrał moimi włosami, i widziałem nas obu w jego odmętach, widziałem nas obu siedzących na murze, który kiedyś stał na polu bitwy, i słyszałem, jak mówisz o snach, o tęsknotach i o tym, że nosimy znak ognia na czołach, znak zmiany. W tym momencie uznałem, że miałeś rację wtedy, w sali tronowej: jeszcze nie jest za późno. I wraz z tą decyzją powróciły moje sny. Rozświetliły ciemności panujące wokół i wypędziły ze mnie zimno. Płakałem na brzegu oceanu, który stał się moim ratunkiem. – Oczy Serafina błyszczą najgłębszą czernią. – Verus doprowadził mnie tam, gdzie teraz jesteś ty: do zimna. Ja jednak znalazłem powrotną drogę... i to dzięki tobie. Nie dostał mnie. Widział, jak upadam, i musiałem przejść całą długą drogę do mojego oceanu, lecz nigdy nie sięgnąłem dna, nigdy nie zostałem całkowicie pobity. To, co znalazłem, to było morze.

Grim patrzył na niego z boku. Wiatr oceanu igrał włosami Serafina.

– A jednak nie chcesz powrócić do świata po tej stronie snów – powiedział.

– Nie chcę – przytaknął Serafin. – Żywię moje sny światem, do którego należą.

– W Świecie Snów niczego nie zmienią – odparł Grim. – Musisz pozwolić im pofrunąć i podążyć za nimi, by stać się wolnym, kiedy przyjdzie na to czas. Ty również jesteś Dziecięciem Ognia. – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Do tego jesteś silniejszy, niż ja byłem kiedykolwiek. – Grim czuł spojrzenie Serafina, lecz nie odwrócił się od nieprzeniknionej czerni oceanu i to właśnie wiatr znad tych wód sprawił, że słowa znalazły się na jego wargach. – Nikt poza mną nie może wyzwalać Verusa do walki. Nikt poza mną, jeśli uda mi się zdobyć Płomień ze Świata Bogów. Czuję jego utratę jako głuche pulsowanie w skroniach, coś we mnie krzyczy za nim, lecz zarazem... – Grim zamilkł na chwilę. – Zarazem obawiam się jego mocy, Serafinie. Obawiam się zimna, którym mnie przepełnia. I obawiam się tego, kim mogę się stać, jeśli będę go nosił w sobie. Kiedy w Zamku leżałem u jego stóp, Verus mówił o jego mocy i im dłużej go słuchałem, tym mniej umiałbym

powiedzieć, czy uważam jego słowa za kuszące ze względu na perspektywę, że mógłbym wtedy sam uratować Carvena, czy też dlatego, że to właśnie kroczenie drogą Płomienia pozwoliłoby mi wreszcie uciszyć to palenie we mnie. Nie mam pojęcia, co by się stało, gdyby nie to, że Carven umożliwił nam ucieczkę.

Serafin milczał przez chwilę.

– Żar w twojej piersi tli się teraz bardzo słabo – powiedział w końcu, a jego głos igrał z wiatrem ponad falami, wzburzał je i sprawiał, że tańczyły nad nimi barwne pióropusze piany. – Lecz nie zanikł zupełnie. Ten niepokój jest częścią ciebie, tak samo jak i mnie, i może uczynić z nas zarówno bestie, jak i bogów, albo tych, którymi jesteśmy. Wiem dobrze, jak ciężko jest go w sobie nosić i znam tę pokusę, by go zdusić lub podążyć za nim inną drogą. Drogą, która oddala nas od nas samych... na przykład drogą Płomienia Prometeusza. Otulił cię on zimnem, może być dla ciebie kochanką i boginią, i pozornie niczego w zamian nie żąda. Lecz to pomyłka, bo bardzo szybko będzie ci zupełnie obojętne, jakiej zażąda ceny. On da ci to, o czym marzysz, i zaspokoi twoje pragnienia, lecz jednocześnie może ci odebrać wszystko, ale to dosłownie wszystko, co z całych sił chciałbyś zatrzymać. I może cię doprowadzić do tego, że nawet nad tym nie zapłaczesz. Ten Płomień to droga, którą wskazuje ci niepokój. Nikt jednak nie zmusza cię, byś podążał nią do końca. Masz moc posiadania go... i moc przeciwstawienia się mu. Bo on nie jest wszystkim dla nas, Dzieci Ognia. Tego nauczyłem się dzięki tobie. – Serafin uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. – Kiedy stanąłem ci na drodze, gdy leciałeś do Braskatonu, powiedziałaś, że niczego nie rozumiałem. I miałaś rację. Nie doceniłem, z jaką determinacją będziesz spieszył z pomocą temu chłopcu. Naprawdę nie miałaś wyboru, musiałaś spróbować go uratować, i tak też zrobiłaś. Lecz Carven to jedynie jeden z okruchów twojego zwierciadła. Są w tobie jeszcze inne siły, siły, o których potędze nawet nie masz pojęcia.

Postąpił krok w stronę Grima i położył mu rękę na sercu. Wiatr dął wokół nich, fale obryzgiwały ich pianą, wyglądało to tak, jakby wszystkie głosy oceanu chciały się przyłączyć do słów Serafina. Lecz dla Grima nie były one głośne i przenikliwe, on odbierał je jak szept w

swojej głowie i kiedy tępe pulsowanie wypełniło jego pierś, wstrzymał oddech.

*Trzymasz się zimna, usłyszał słowa Serafina. Zimna, które daje ci Płomień, tak jak ja kurczowo trzymałem się mojej żądzы zemsty. Cóż jednak znajduje się poza nim? Obawiasz się, że gdy tylko zniknie zimno, powróci niepokój. Lecz spróbuj zadać sobie pytanie: co znajduje się za bólem, jaki sprawia ci spojrzenie w oczy Carvena? Co leży na jego dnie?*

Zamilkł, cofając jednocześnie dłón. Grim wpatrywał się w wody oceanu i po raz pierwszy, od kiedy je poznał, fale rozstały się i z głębin wyłónił się obraz. Mienił się srebrzystym blaskiem, omywały go fale i Grim czuł, jak odpowiada on szeptem w jego myślach, jak przenika jego zimno miękkim jak atlas, leczniczym ciepłem. I zanim znalazł słowo, które opisywałoby to, co właśnie odnalazł, co właśnie ujrzał, obraz zanurzył się z powrotem w ciemność, nie pozostawiając po sobie nic poza srebrzystą poświatą tańczącą na falach.

Grim prawie nie czuł zimna kryształu na palcach. Instynktownie sięgnął do kieszeni płaszczа i jeszcze zanim poczuł błyski Białego Diamentu na twarzy, jeszcze zanim zobaczył uśmiech Serafina i gasnące na falach ostatnie refleksy światła, wiedział już, że podjął decyzję.

*Verusie Crendilasio Dhor, powiedział szeptem i zobaczył, jak brzmienie tego imienia wzburzyło morze. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie otchłanie może kryć w sobie Dziecko takie jak ja... Dziecię Ognia.*

## Rozdział 48



Do diabła ciężkiego, jak długo jeszcze będziemy tu stać. Mamy czekać, aż całkiem wrośniemy w ziemię?

Grim rzucił ponure spojrzenie Księżycowi, który wisiał nad przykościelnym placem niby okrągłe lustro. Jego blask padał na zebraną na wzgórzu wyszehradzkim armię Ghrogonii i tylko pogłębiał mrok w oczach Grima. Mia czuła napięcie bijące od wojowników, ten chłodny bezruch, który prześlizgiwał się po jej skórze jak rozedrgany welon, i uśmiechnęła się lekko.

– Pewnie Samhur spodziewał się, że Gargulce będą miały nieco więcej cierpliwości – odparła. – A w każdym razie nieco więcej niż... w ogóle.

Remi, który siedział na ramieniu Grima z rękami założonymi na piersi, zachichotał.

– A to się biedaczek rozczarował. Jak widać mylić się jest rzeczą nie tylko...

Grim parsknął pogardliwie.

– Ten przeklęty Łowca powinien mieć lepsze pomysły, niż sobie zniknąć, pozostawiając tylko jakiś idiotyczny rozkaz! Ciekawe, co mu przyszło do głowy, żeby nas tutaj wzywać bez słowa wyjaśnienia.

Lyskian, który przysiadł na cokole jednego z pomników, spojrzał na niego nieomal znudzony.

– Stara się zdobyć zakłęcie, które umożliwi nam przedarcie się przez mgłę. Mgły Braskatonu pochłaniają wszelkie życie, a także magię, a ponieważ są pod całkowitą kontrolą Verusa, nie ułatwi to nam specjalnie wycieczki do Zamku. Samhur...

– Tyle to sam wiem – przerwał mu Grim. – Ale co on sobie wyobraża? Że ile czasu jeszcze mamy? Już niedługo demony dotrą do

granicy, a wtedy nie pomoże nam już żadna armia świata.

Remi westchnął.

– Najbardziej uwielbiam w tobie ten twój wrodzony optymizm. Samhur wie, co robi. Przeprowadzi nas przez mgłę, a wtedy... – Zaciśnął pięść, a w jego oczach pojawił się błysk. – A wtedy Verus zobaczy, że nie on jeden ma w żyłach moc bogów.

Grim nic na to nie odpowiedział, ale patrząc na niego, Mia miała wrażenie, że czuje zimny żar Płomienia na skórze. Wciąż jeszcze spoglądał na nią jakby z wielkiej odległości, a kiedy w jego oczach zapłonął żar, przez moment wydało jej się, że widzi go rzucającego się w ciemność, a ona nie może nic zrobić, tylko za nim patrzeć. W tym momencie jednak Grim ujął jej dłoń i przyłożył sobie do piersi. Wyraźnie poczuła moc Płomienia i zimno otaczające Grima, ale gdy pochylił się ku niej i delikatnie pogładził ją po policzku, przepełniło ją uczucie osobliwego ciepła, które sięgnęło aż czubków palców i sprawiło, że się uśmiechnęła. Teraz już nie czuła pod palcami potęgi Płomienia, tylko bicie jego serca, głucho i mocne jak bicie dzwonu gdzieś w oddali, i był to dźwięk, który na moment uwolnił ją od wszelkiego napięcia.

W tym momencie w górze przetoczył się grzmot, zielone błyskawice poprzecinały niebo tak nagle i tak potężnie, jakby chciały je rozedrzeć. Przez moment Mii wydało się, że widzi w ich świetle powykrzywiane twarze demonów Braskatonu, błyskawice zaraz jednak zgasły, a przez szeregi Ghrogonian przeszedł niespokojny szmer.

– Samhurze, Łowco Pierwszej Piątki – zamruczał Grim. – Gdzie ty się, u diabła, podziewasz?

Mia spojrzała w niebo i nic nie mogła poradzić na to, że znów powróciło napięcie. Grim miał rację, czas naglił, lecz to nie armia uchroni świat przed tym, co chciało na niego spaść. Nawet jeśli Samhurowi uda się przeprowadzić ich przez mgłę, nawet jeśli Grim stanie naprzeciw Verusa, zaś armia Ghrogonii wyzwie do walki demony – za nic nie zdołają przełamać Rytuału. To było wyłącznie jej zadanie. Lyskian popatrzył na Mię, cienie jego oczu spoczęły na niej mrocznie, a ona znów pomyślała o formułach zaklęć, które Samhur wymienił jako niezbędne do przełamania Rytuału. Przez głowę przemknęły jej słowa Grima, jego opisy Zaklinaczy i ich zniekształconych twarzy, i za każdym



razem, gdy przywoływała w myślach kolejne kroki zaklęć, przed jej oczami pojawiał się płomienisty obraz matki oraz Josi. Nic nie mogła poradzić, że w duchu znów przelatywała wzdłuż niekończących się szeregów bezbronnych ludzi, że spogląda w ich wykrzywione twarze i co chwila wydawało jej się, że dostrzega pośród nich swoich bliskich – z niewidzącymi oczami barwy mleka, mających ciała, które są już tylko pustymi powłokami.

Skurcz w środku stał się już nie do zniesienia, a nagły zawrót głowy sprawił, że aż się zachwiała. Ale w tym momencie coś przeleciało nad nią, a może bardziej na wskroś przez nią, ciepło i wiara, które na moment wypełniły ją całą. Znała to uczucie, raz go już doświadczyła i w tym momencie poczuła w nozdrzach zapach poddasza, a na skórze blask wspomnienia z Pragi, zanim jeszcze na jej wargach pojawiło się imię: *Duma*.

Kilka kroków przed nią Gargulce zaczęły się rozstępować. Mia wspięła się na palce i wtedy go ujrzała – Golema, Obrońcę Pragi, w milczeniu krocącego przez tłum. Dostrzegła brązowy blask na jego skórze i kiedy ten blask położył się na otaczających go kamiennych twarzach, stało się tak, jakby zewnętrzny spokój Gargulców przeniknął do ich wnętrza i dopiero tam stał się rzeczywistością. Bez jednego słowa po ich szeregach rozlało się opanowanie, sprawiając, że rozświetlił ich od środka łagodny blask.

Za Golemem postępował Samhur. Na policzkach miał zagadkowe symbole zaklęć, zupełnie jakby przeszedł jakiś szczególny rytuał. Kiedy odwrócił głowę, Mia zauważyła w jego włosach metalowe sprzączki i krucze pióra. Od razu pomyślała o pierwotnych mieszkańcach Ameryki i usłyszała wydobywające się z wnętrza ziemi głuche, melodyjne uderzenia bębnow, które znajdowały odpowiedź w oczach Samhura.

Duma bez najmniejszego wysiłku wspiął się na cokół jednego z posągów i chociaż nie wypowiedział ani jednego słowa, jego blask rozpostarł się na wszystkie strony, okrywając zebranych jakby welonem z brązu. Mia poczuła go, jak czuje się letni deszcz na nagiej skórze, i uświadomiła sobie głębokie, nieruchome skupienie, z jakim Gargulce spoglądały na Dumę, skupienie, na jakie zdobyć się mogły jedynie ich kamienne ciała.

Przez chwilę Golem stał równie nieruchomo jak oni – zwierciadło dla wszystkich, którzy na niego patrzyli. A potem uniósł ramiona w górę. Wyglądało to zupełnie tak, jakby wzywał ich do zaczerpnięcia powietrza, i Mia pozwoliła, by wpłynęło ono do jej płuc. I nigdy wcześniej nie było ono tak czyste i o tak dobroczynnym działaniu, jak w tym momencie. Ponad uniesionymi w górę ramionami Dumy powstały gwiazdy, srebrzysty blask wypłynął z jego oczu i połączył się przed nim w migotliwą kulę, a kiedy rozstawiając szeroko palce, przysunął dłoń tuż do jej powierzchni, wytrysnęły z nich błyskawice, od których kula rozbłysła tysiącami barw. Duma ledwie zauważalnie podniósł wzrok i kula poszybowała w górę, zatrzymując się wysoko nad głowami zebranych. Blask Księżyca mieszał się z jej barwami, wnikał do jej wnętrza i sprawiał, że zatańczyły nad nią srebrzyste iskry.

Oczy Dumy stały się całkowicie czarne. Przez krótką chwilę Mia poczuła na sobie Cienie jego spojrzenia, a potem po jego ustach przemknął uśmiech. Ponownie wyrzucił ramiona w górę i kula rozprysnęła się w deszcz płonących gwiazd. Mia usłyszała, jak śpiewają głosami, jakich nigdy wcześniej nie słyszała, chyba że w snach, i kiedy rozproszyły się wśród tłumu, kładąc się na czołach Innostot, ich twarze rozświetliła feeria barw.

Mia prawie nie poczuła, że gwiazda dotknęła jej czoła. Poczowała natomiast ciepło światła, które od czoła, poprzez pierś opuściło się do jej wnętrza i nagle pochłonęło wszelkie zwątpienia, wszelką obawę i każdą myśl, aż zdawało jej się, że cała jest już po prostu tylko tym światłem. Patrzyła w oczy Dumy i wiedziała, że w tym momencie on patrzy w jej duszę, ale nie czuła żadnej obawy. To światło sprawiało, że była wolna. Nie myślała o tym słowami, myślała o tym swoim jasnym, srebrzystym blaskiem i akurat w chwili, kiedy przeniknęło ją szczęście wywołane tą myślą, blask rozlał się po całym jej ciele i położył się na jej skórze delikatną poświatą, by po chwili zmatowieć i powrócić do jej wnętrza jak niewidzialna osłona, którą był.

Wszędzie wokół niej czar wnikał w zebranych wojowników. Zdążyła jeszcze dostrzec czarny blask prześlizgujący się po skórze Grima i znowu spojrzała w stronę Dumy. Pobłogosławił ją na swój sposób i kiedy nie widziała już w jego oczach nic poza ciemnością,

ponieważ podarował im wszystkie swoje gwiazdy, po raz pierwszy w życiu poczuła coś w rodzaju pokory.

Uśmiechnęła się, gdy spojrział w jej stronę, i dopiero wtedy zorientowała się, że on patrzy na coś za jej plecami. Odwróciła się... i w gęstwinie drzew zobaczyła Radvinę i Edwina. Hartydzi odwzajemniali spojrzenie Dumy. Mia widziała, z jakim trudem przyszło im zanurzyć się w jego ciemności i na moment przypomniała sobie dom Pod Ostatnią Latarnią i próbę, jakiej poddał ich Hermafrodyta, z której żadne z nich nie wyszło zwycięsko. Radvina zacisnęła pięści, Edwin oddychał szybko, lecz nie odwrócili wzroku i kiedy na ustach Dumy pojawił się uśmiech, w ich oczach nie było już napięcia, a ich twarze promieniały spokojnym blaskiem.

W milczeniu spojrzeli w stronę Mii. Wiedziała, że pojawili się tu nie bez powodu. W ich spojrzeniach była prośba i chociaż nie powiedzieli ani jednego słowa, Mia skinęła głową. Czowała ich strach, ich zagubienie, wiedziała, że są jej dalecy, nieskończenie dalecy, a przecież zarazem bliscy, znacznie bliżsi, niż byłaby to sobie w stanie kiedykolwiek wyobrazić. Obydwoje Hartydzi uśmiechnęli się i kiedy spojrzeli w niebo, w ich oczach zatańczyła zorza polarna, zmieniając ich w paciorki o tysiącu barw.

Mia odwróciła się w stronę Dumy. Nie umiała znaleźć słów na opisanie tego, co czuje, ale miała w sobie wielką wdzięczność. I kiedy sięgnęła po dłoń Grima, wiedziała, że on odczuwa to samo. I nie tylko on. Odbierała tę emocję ze wszystkich stron i nagle w oczach Dumy rozbłysła gwiazda. Potem następna i jeszcze następna, było ich coraz więcej. Chwilę później wszelka ciemność cofnęła się gdzieś w głąb nich. Wszystkich wypełniało światło... srebrzyste jak blask Księżyca.

## Rozdział 49



Ciemność panująca w kanałach napierała na ciało Grima niczym jakaś kleista substancja, potęgując odgłosy drapania szczurzych łap po usłanym wszelkiego rodzaju odpadkami podłożu. Rozbłyskujące sporadycznie Ognie Klątwy rzucały na ściany groteskowe cienie. W kątach widać było żałosne szczątki gnomów z cieni, które zginęły w płomieniach i których odór wypełniał powietrze mieszaniną zgnilizny i wymiocin.

Grim stał bez ruchu obok Lyskiana, Kronka i Vladika, i nasłuchiwał, lecz w ciemności do jego uszu nie dochodziło nic poza obrzydliwymi odgłosami tunelu oraz pożądlwym gulgotaniem dobywającym się z gardzieli posokowców, które patrolowały mgły gdzieś na górze, ponad ich głowami. Wyobraził je sobie, te obrzydliwe kreatury o skórze zwisającej w strzępach z ciał i kiedy usłyszał poprzez kamień ich węszenie, miał nieodpartą ochotę rozwalić strop kanału i sprawić, żeby poczuły, co znaczy pięść Gargulca z odrobiną ludzkiego okrucieństwa. Na krótko oddał się tej wizji, ale zaraz ją odepchnął. Wiedział, że najmniejszy odgłos może zniweczyć cały ich plan. Magia Dumy płonęła chłodno na jego skórze, przez jakiś czas będzie go chroniła przed mgłą, lecz jeśli zbyt długo będzie miał z nią styczność, nie na wiele się przyda. Musieli więc podejść możliwie najbliżej do Wewnętrznego Wału ciągnącego się wokół Zamku, by uniknąć walki we mgle. Za wałem było mniej tumanów i tam mogło im się udać pokonać demony. Ale obszar pomiędzy oddziałami Ghregonii a Wałem patrolowali Car'lay Ythemowie, zupełnie jakby stało się to ich nowym hobby – dlatego trzeba było tych strażników wyeliminować, żeby nie zaalarmowali za wcześnie Verusa i jego siepaczy. Grim czuł na plecach Diamentowe Pęta, które Samhur dał mu na drogę, i pomyślał o Łowcy,

Wallim i Pyrosie, którzy u wylotu kanału czekali, by poprowadzić oddziały do górnego świata. Na moment poczuł świerzbienie w palcach, jak zawsze tuż przed bitwą. Rzucił spojrzenie Kronkowi. Ramię przy ramieniu stali naprzeciw ciemności, tak jak kiedyś sobie przysięgali. Zanim jednak zdążyło przepełnić ich poczucie heroizmu, Grim usłyszał tupot szcurzych nóżek, któremu towarzyszyło mlaskanie i aż przewrócił oczami. Do diabła ciężkiego, czy nie dość, że całą wieczność musi czekać w tym przeklętym smrodzie, aż Remi, król Niuchaczy, raczy do niego dołączyć, to jeszcze musi słuchać, jak towarzyszy szcukrom przy jedzeniu?

Spojrzał w stronę Lyskiana. Wampir oparł się prawą dłonią o ścianę i stał nieruchomo. Wyglądał tak, jakby wszystkimi zmysłami starał się przeniknąć kamień, żeby dotrzeć do domu wampirów, pod którym się znajdowali, ale nawet jemu nie udało się stwierdzić, czy powietrze jest czyste. Do tego potrzebny był inny zmysł węchu niż wampirzy. W tym momencie Grim zobaczył przed sobą Remiego odzianego w czerwony mundur Niuchaczy, w skupieniu wpatrującego się w mgłę, i wydawało mu się, że niemal czuje w szczecinie kobolda tchnienie wiatru, który przemykał uliczkami Małej Strany. Na twarzy Remiego, ruszającego z całą drużyną przed siebie, nie było widać strachu. Po chwili Grim niespodziewanie usłyszał w myślach jego głos i lekko się uśmiechnął.

*Dzwoniec do Kamiennego Puszczyka*, powiedział szeptem Remi, zupełnie jakby był na szkoleniu u Mouriera.

*Jeśli ja jestem Kamiennym Puszczykiem, to ty jesteś Papużką Falistą, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości*, odparł Grim i tak wyraźnie zobaczył oburzenie w koboldzich oczach, że nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

*Psy schodzą w stronę rzeki, ciągnął Remi. Od strony Zamku zbliżają się dwa patrole, a w samym domu czeka was kilka wyzwania, ale... poradzicie sobie!*

Grim nabrał głęboko powietrza. *Dobra robota, Wojowniku Zielonej Pięści*, powiedział i ledwie dostrzegalnie skłonił przed nim głowę. Błysk w oczach Remiego zdradził mu, że kobold dostrzegł jego gest. A potem Remi wycofał się z jego myśli.

Grim wymienił spojrzenia z Lyskianem, który słyszał ich rozmowę. Oczy wampira stały się kruczoczarne, a na ustach pojawił się uśmiech. Grim skinął głową, a wtedy Lyskian otworzył portal w ścianie. Kronk i Vladik bezgłośnie wspinali się za Grimem wąskimi piwnicznymi schodami. Za nimi postępował Lyskian, sunąc dłonią po ścianie i wysyłając swoje zmysły do wnętrza domu, by w porę wykryć demony znajdujące się w pobliżu.

*Remi nie przesadził, mruknął wampir. Na piętrze czekają nas dwa wspaniałe wyzwania, kilka dalszych na końcu korytarza. Tam są trzy.*

Ledwie wyszli z piwnicy, Grim dał Cienioskrzydłym znak i zaczęli się oni skradać schodami w górę. Grim tymczasem i Lyskian przeszli przez salon. Mgła napierała na szyby okien, podłogę pokrywał kurz usiany kroplami krwi. Ściany pełne były czarnych cierni, sufit wybrzuszał się miejscami w osobliwe fale. Grim wciąż jeszcze wyczuwał zapach ludzi, którzy całkiem niedawno tu mieszkali. Było to jakieś starsze małżeństwo, Grim widział ich twarze na fotografiach za popękany szkłem. Czy oni także powrócą do miasta?

Nagle dobiegł ich cichy warkot. Grim usłyszał skrobanie pazurów po podłodze. Wyrzwał za róg i na końcu korytarza zobaczył trzy demony. Jeden z nich przybrał postać lwa, drugi dziwnie się mienił – nieomylny znak, że to Przemieniacz, a więc najczęściej wysokiej rangi demon, który potrafi się błyskawicznie zwielokrotnić, czyli pojawić jednocześnie w różnych miejscach. Trzeci miał ludzkiego gospodarza, wygiętego brzuchem do góry i chodzącego na czworakach; ten ostatni miał pazury ostre jak noże.

Grim i Lyskian jednocześnie stanęli w korytarzu. Było dostatecznie ciemno, by nawet demony miały problem z widzeniem, Grim jednak wyraźnie widział ich kontury i wiedział, że Lyskian również je dostrzega. Bezszelestnie podkradli się bliżej i dopiero gdy lew odwrócił głowę i zaskoczony zamrugał oczami, Grim skoczył do przodu. Grzmotnął go pięścią prosto w nos, tak że głowa lwa odskoczyła do tyłu, złapał go za grzywę, chwytając jednocześnie za gardło drugiego demona, tego z pazurami. Kątem oka widział Przemieniacza, który wyskakiwał sam z siebie, i Lyskiana, który w biegu rozdzierał kolejne iluzje demona, jakby to były kartki papieru.

Lew rozwarł paszczę, ale Grim natychmiast nałożył mu na kark Diamentowe Pęta i cisnął go na podłogę. Zanim drugi demon zdążył rozorać mu pazurami skórę, wyszarpnął go z jego ludzkiego gospodarza i zamknął razem z lwem w diamencie. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Lyskian przebija pierś Przemieniacza promieniem białego światła, potem i ten demon wylądował w pętach. Grim uśmiechnął się ponuro. Wyobrażał sobie, że Lew i pazurzasty będą mieli niezłą zabawę, zamknięci w tak ciasnym pomieszczeniu, jak na samotników przystało.

Z górnych pomieszczeń dobiegło szuranie, zaraz potem na schodach pojawiły się cienie schodzących na dół Kronka i Vladika. Vladik miał szramę na czole, ale nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Całą grupą ruszyli przed siebie. Kiedy Grim miał przejść obok otwartych drzwi jednego z pokoi, Lyskian chwycił go za ramię. Zaraz potem do wnętrza wpadł jaskrawy snop światła reflektora. Grim dostrzegł poruszające się w nim migotliwe odłamki i wiedział, że przenikają mgłą jak noże. Dopiero kiedy światło zniknęło, wypuścił z płuc powietrze i wyjrzał za okno. Reflektor na dzwonnicy kościoła św. Mikołaja sprawiał, że droga przez mgły będzie jeszcze trudniejsza niż normalnie. Dał znak pozostałym i pospiesznie opuścili dom.

Delikatne strzępki mgły snuły się po bruku, ledwie jednak jeden z nich dotknął ręki Grima, Gargulec poczuł, że coś kryjącego się w tym upiornym tumanie dybie na jego życie. Coś lizało jego skórę, szarpało go jak słaba trupia ręka i dopiero kiedy Grim się cofnął, mgła oderwała się od niego i przestała krępować mu ruchy. Także Kronk i Vladik starali się trzymać od tumanów najdalej, jak to tylko było możliwe, i chociaż na ich twarzach nie było widać choćby śladu lęku, Grim czuł jednak ich napięcie. Tylko Lyskian szedł przez mgłę jak gdyby nigdy nic. Opar ześlizgiwał się po nim jak deszcz, a nawet jakby się cofał, kiedy Lyskian wyciągał rękę w jego stronę.

Wampir uśmiechnął się, widząc spojrzenie Grima.

*Braskaton wcale nie łaknie śmierci, którą w sobie noszę, zauważył w myślach. Tamten świat sam ma jej pod dostatkiem*

Grim dostrzegł cień, jaki przy tych słowach położył się na twarzy Lyskiana, podobnie jak dosłyszał smutek w jego głosie, i zacisnął pięści na myśl o mgle, która chce go pozbawić życia. Było już paru takich,

którzy chcieli tego samego. Do diabła, nie da się przecież zapędzić w kozi róg paru strzępkom jakiegoś oparu.

Przekradali się płataniną uliczek. Od czasu do czasu widzieli inne oddziały armii i udało im się unieszkodliwić pięć kolejnych demonów, co chwila jednak musieli się kryć przed snopem światła reflektora przecinającego mgły i kiedy wreszcie dotarli do kościoła św. Mikołaja, Grimowi tańczyły przed oczami iskry jego obrzydliwej jasności.

Skryli się za na wpół zwalonymi murami kościoła. Grim usłyszał szept reflektora, kiedy jego światło prześlizgiwało się tuż nad jego głową. Spojrzał w górę, na wieżę, która bardziej przypominała wieżę zamczyska demonów niż kościelną dzwonnice. Nasłuchiwał. Przez moment krew szybciej zaczęła płynąć mu w żyłach, potem ujrzał w Cieniach błyski, ledwie dostrzegalne, ale to wystarczało, by napiął się każdy mięsień w jego ciele. Ostatnie iskry ze światła reflektora rozdarły mgłę nad jego głową, zanim snop przesunął się dalej.

*Teraz!*

Wypadli z ukrycia. Lyskian pognał klatką schodową na górę, podczas gdy Cienioskrzydli sunęli w powietrzu, a mgła rwała się na ich ciałach jak jedwabne nici. Grim czuł na skórze lodowate powietrze, jak cień przedarł się przez opar i bezgłośnie wylądował poniżej okna wieży. Szponami wpił się w kamień, a kiedy Kronk i Vladik zajęli pozycje obok niego, przez chwilę wyglądali jak rzeźby na kościołach Paryża. Grim uśmiechnął się ponuro. Tyle że żadna z tamtych rzeźb nie miała takiej kruczej czerni w oczach jak Kronk, żadna nie miała nawet bladego pojęcia, jaka siła drzemie w pięści Vladika... i żaden snob z Notre-Dame nie potrafiłby zawisnąć na małym palcu na uświęconej wieży demonów i wyglądać przy tym tak znakomicie jak on sam.

Ledwie dostrzegalnie do dłoni Grima zaczął się zakradać strumień zimna. Rzucił spojrzenie pozostałym i wspiął się w górę, by zajrzeć do pomieszczenia z reflektorem. Było tam pięć demonów, dokładnie o tylu powiedział Remi po pierwszym locie rozpoznawczym Niuchaczy. Jeden z nich przybrał postać byka, trzy dalsze straszliwie zdeformowały ciała swoich ludzkich gospodarzy, a ostatni stał pośrodku jako nieruchomy bazyliszek, trzymając pazur tuż nad przyciskiem alarmu, na wypadek,



gdyby w świetle reflektora dał się zauważyć bodaj najmniejszy nieprzewidziany ruch. Grim przycisnął dłonie do kamienia, czuł, jak nadchodzi zimno, tym razem słabiej, zaledwie jego tchnienie... ale dla niego było to wystarczające.

Zdążył usłyszeć, jak Lyskian wyważa drzwi, i w następnej chwili poczuł płomień Diamentowego Ognia z zimną żądzą oplatające się wokół gardeł demonów. A potem podciągnął się na rękach i znalazł się w pomieszczeniu. Błyskawicznie uderzył bazyliuszka nogą w pierś, uchylając się przed jego spojrzeniem, które wypełniło powietrze żarem. Monstrum zerwało z ciała Diamentowy Ogień i błyskawicznie ruszyło na nich. Ledwie Kronk uruchomił czar zwierciadła, demon rozwarł paszczę i spalił tę magię przeraźliwym wrzaskiem. Cienioskrzydli błyskawicznie poszukali schronienia; dźwięk wrzasku wypełnił powietrze i przerwał paraliż pozostałych demonów. Grim zdążył jeszcze zobaczyć, jak Kronk i Vladik powalili trzy z nich, a Lyskian szybkim ruchem nałożył im diamentowe pęta, lecz w następnej chwili poczuł gwałtowny cios. Upadł na ziemię, a wzrok bazyliuszka trafił rozpalonym żarem tuż obok niego. Demon złapał go za gardło i uderzył jego głową o posadzkę z taką siłą, że Grim prawie nie czuł żaru bazyliuszkowego spojrzenia. Nie posiadając się z wściekłości, zatopił szpony w jego ciele, rzucił się w bok i zatrzasnął demona w diamentowym więzieniu. Pospiesznie zerwał się na nogi. Słyszał krzyk Kronka, kiedy ten dosłownie w ostatniej chwili szarpnął Vladika, wydostając go spod śmiertelnego spojrzenia, czuł krew ciekącą mu po twarzy i wiedział, że płomienne spojrzenie bazyliuszka zaraz wystrzeli dokładnie w jego kierunku. Już prawie czuł je na skórze, kiedy nagle pojawił się przed nim jakiś cień. Był to smukły cień dziewczyny.

Mia błyskawicznie uniosła w górę odłamek i ledwie wzrok bazyliuszka w niego trafił, demon z cichym trzaskiem skamieniał. Mia odwróciła się gwałtownie, wbiła odłamek w szyję atakującego ją demona i uwięziła go w malutkim diamencie. Potem podeszła do Grima i dopiero wtedy, gdy wyciągała rękę, by pomóc mu się podnieść, po jej ustach przemknął uśmiech. Grim wstał i z trudem się powstrzymał, żeby nie przycisnąć jej od razu do piersi. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy ta dziewczyna nie potrafiła prawidłowo wyczarować nawet śmiesznego

Płomiennego Wiru. A teraz skakała po kościelnych wieżach i ratowała życie Cienioskrzydłemu, jakby to było najprostsze ćwiczenie pod słońcem. Odwzajemnił jej uśmiech i pogłaskał ją po włosach, ale ukradkiem, żeby Kronk i inni nic nie zauważyli. Potem wyjął z kieszeni swój nowy komunikator i wysłał wiadomość do Mouriera. Chwilę później dostał odpowiedź i z wolna pokiwał głową.

*Jesteśmy gotowi, powiedział pod nosem. Armia pójdzie za nami w mgłę.*

Opuścili dzwonnice. Pospiesznie przemykali uliczkami, cały czas w miarę możliwości omijając upiorne welony mgły, a kiedy dołączyły do nich pierwsze oddziały, Grim poczuł, jak krew niczym ogień wypełnia jego żyły. Byli blisko. Czuł już na skórze magię Wewnętrznego Wału, kiedy nagle mgła zgęstniała.

Początkowo zaczęły się tworzyć pojedyncze zwiewne postacie, utrudniające im przejście, wkrótce jednak Wał stał się widoczny zaledwie w zarysach. Mgła poruszała się tak szybko, jakby w jej wnętrzu szalał jakiś wichur, tym bardziej więc nierzeczywista była cisza, która nagle uderzyła Grima niczym lodowaty wiatr. Zatrzymał się i dał oddziałom znak, by się zatrzymały. Słyszał szepty dochodzące z welonów mgły, kiedy te zbierały się w jednym miejscu niczym porzucane części jakiegoś rozszarpanego ciała, i wyczuwał narastające napięcie swoich oddziałów na widok kręgu, jaki przeklęta mgła utworzyła wokół nich. Instynktownie posłał do pięści Zakłęcie Ognia. Usłyszał, jak Mia wyczarowuje ognisty bicz. W chwili gdy Lyskian sięgnął po miecz, z mgły dobiegł głuchy warkot wprawiający ziemię w drżenie. Powietrze w paszczy niewidzialnego potwora stało się ciężkie i Grimowi wydawało się, że ten dźwięk wprawia w rezonans wszystkie jego kości. Brzmiało to jak głuche warczenie jakiegoś potwora skrytego w gęstwinie, którego ryk mógłby rozerwać powietrze na strzępy. Ledwie Grim to pomyślał, mgła utworzyła zarys tygrysa.

Z tumanu wynurzyły się potężne łapy niosące ciało składające się jakby z samych mięśni i nieokiełznanej siły. Kiedy tygrys pochylił łeb i spojrzał na Grima, jego oczy rozblęły zielonym światłem. Ogon uderzał twardo o asfalt i kiedy raz jeszcze z głębi jego gardzieli wydobył się głuchy warkot, mgła niczym jedwabna tkanina otoczyła postacie

niezliczonych innych istot. Były tam harpie i warany, potężne orły i chimery o małych głowach, które w pozycji stojącej przewyższały każdego z Cienioskrzydłych. Zimno biło od tych istot, śmiertelny mróz, po tysiącokrotnie przewyższający wszelkie dotknięcie mgły. Grim usłyszał śmiech, który znał już z Braskatonu, znów zobaczył płonące oczy żałobnic i diabłów, i już wiedział: oto przebudził się Gniew Krainy Umarłych. W tym momencie tygrys skoczył do przodu. Wojownicy Ghrogonii cofnęli się przed nim, niewiele wprawdzie, ale wystarczająco, by na pysku zwierzęcia pojawił się grymas satysfakcji. Kiedy tygrys ryknął, powietrze przecięły czerwone płomienie, od których z hukiem popękały okna w pobliskich domach... i potwory Braskatonu rzuciły się przed siebie.

Błyskawicznie skoczyły na wojowników Ghrogonii, wbijając szpony w ich ciała. Grim poderwał w górę tarczę, o którą z hukiem uderzył łbem potężny orzeł, ale ledwie rozerwał drapieżnika płonąca dłonią, ten połączył się ponownie w całość. Grim rozejrzał się za Mią, zniknęła jednak gdzieś w wirze walki. Potężna magia uderzała w potwory, one jednak przenikały przez nią, scalały ciała od nowa i łączyły głosy w mroczny, otumaniający śpiew. Powietrze wibrowało od zimna, nad głowami walczących szumiały skrzydła i Grim aż się wzdrygnął, kiedy usłyszał szepty spadające na nich z góry niby deszcz czarnej krwi. Gdy tylko szpony mgły dotknęły ciała któregoś z wojowników, tworzyły się na nim odmrożenia, lecz jeszcze gorsza niż to była magia, którą Grim dostrzegł w oczach wojowników Ghrogonii, a którą wywoływał oddech cheruba. Był to Gniew Aryona, który pędził nad ich głowami na skrzydłach z popiołu i nocy; Grim z trudem odsuwał od siebie chęć poczucia, jakby to było pędzić na takich skrzydłach. Zdecydowanie zacisnął pięści. Może to i prawda, że śmierć jest najpotężniejszym czarodziejem, ale teraz pojawiła się nie w tym świecie, co trzeba!

Z rykiem, który na moment przerwał łopot skrzydeł nad nimi, Grim wyrzucił pięści w górę. Z jego palców wystrzelił biały ogień, otaczając go całego, a kiedy opuścił z powrotem ramiona, ogień potężną falą zalał cały plac. Oślonił wojowników Ghrogonii, by zaraz potem utworzyć potężną ścianę płomieni, wyższą od kościelnych wież, i odepchnąć kreatury Braskatonu, tak że nie zostało z nich nic poza poszarpaną mgłą

snującą się po bruku. Wojownicy podnieśli się z ziemi, Grim poczuł zapach ich krwi... i w tym momencie z płomieni wyskoczył tygrys o futrze zmienionym w czerwony żar i rzucił się na niego.

Grim poczuł jeszcze, jak leci w powietrzu, a potem zęby potwora zatopiły się w jego szyi. Ryknął z bólu i podczas gdy przelatywały nad nimi kolejne przerażające stwory, ciała z mgły, częściowo pokryte płomieniami, poczuł gorąco, które tygrys wysłał do jego ciała i rozżarzoną sierść pod palcami. Do jego oczu zakradły się cienie, zniekształcając obraz bitwy. Zamiast niej widział tylko ciężki mrok dżungli, czerń nocy nad górami z popiołu, czuł każdy mięsień potężnego ciała nad sobą i kiedy zatopił w nie szpony, natrafił na mróz pustyni, samotność lasów Północy tego świata i żar kryjący się głęboko w tamtych oczach, które widziały znacznie więcej niż tylko to. Śmiech tygrysa przeniknął go do szpiku i Grim już nie wiedział, czy to tygrys wydziera mu życie z ciała, czy może Księżyc nad dżunglami, tundrami, pustyniami każdego z przeklętych światów, do których wybrała się ta śmierć, by jeszcze pomnożyć swój żar i zaprosić do tańca Cienie? Na wpół sparaliżowany walczył o zaczerpnięcie powietrza. Czuł krew tych wszystkich, na których tygrys polował i których pożarł, czuł ich strach, ich tęsknotę, ich świat, i im bardziej próbował przywołać swoją magię, tym wyraźniej narastała w nim bolesna świadomość, że nie potrafi złamać zaklęcia. Ta istota składała się ze zbyt wielu. I dokładnie w chwili, kiedy mu się wydawało, że ryk tygrysa rozerwie go na kawałki, na dnie bólu odnalazł gniew. Zalał on jego ciało potężną falą, a kiedy Grim nie miał już sił i ręce opadły mu bezwładnie od śmiertelnego chwytu, wparł pięści w ziemię z taką mocą, iż miał wrażenie, że popękają mu od tego wszystkie kości.

*Diable, mruknął dudniącym głosem i wiedział, że ta istota stojąca nad nim to słyszy. Nie ty jeden podróżujesz między światami!*

A potem ryknął głosem wszystkich ludzi, którzy jak w każdym z przeklętych miast śmiertelników mieszkali w tych kamieniach, wykrzyczał ich łzy, ich lęk przed śmiercią i ich miłość, i kiedy wszyscy oni wypełnili go bez reszty, tak bardzo, że aż poczuł od tego ból, wysłał to wszystko, co w sobie skupił, do ciała tygrysa. A kiedy to nastąpiło, Grim poczuł, jak odrzuciło głowę potwora w tył i śmiertelne przerażenie

niejako od środka rozerwało monstrum na strzępy. A on miał wrażenie, jakby sam rozpadł się od krzyku każdego ze śmiertelników.

Podniósł się na nogi bez tchu. Stał chwiejnie, tak bardzo osłabiło go zakłęcie, i czuł, jak opuszczają go siły. Pospieszenie przyłożył dłoń do rany na szyi i przeraził się, czując zimno, które się z niej wydobywało. Jego zakłęcie leczące było zbyt słabe, aby powstrzymać Gniew Braskatonu, który szalał w jego ciele i czarnymi smugami mącił mu wzrok. Chwiejnie obrócił się wokół własnej osi. Bitwa wokół szalała jak wzburzone morze. Lyskian z oszłamiającą prędkością pędził z mieczem przez szeregi potworów, które padały od jego ciosów jak żywe istoty, lecz wojownicy Ghrogonii niewiele mogli przeciwstawić napastnikom. Ich magia nie robiła tamtym ciałom żadnej krzywdy, odrzucając ich tylko na krótki czas w tył, i krzyki rannych rozrywały powietrze. Grim dostrzegł Mię, która odganiała właśnie ognistym biczem warana, w jej spojrzeniu była rozpacz, która odebrała mu dech.

Cios był tak niespodziewany, że Grim padł na kolana. Słyszał szuranie kończyn za sobą i ledwie ostatkiem sił odrzucił wielkiego skorpiona, z mgły przed nim wyłoniło się siedem hien. Grim sapnął, zimno trucizny sznurowało mu gardło. Czarne skrzydło musnęło jego czoło i Grim z przerażeniem stwierdził, że wszelkie dźwięki wokół niego ucichły. Hieny zbliżały się z opuszczonymi nisko łbami. I wtedy pojawiła się przed nim twarz Mii. Krzyk wydobywający się z jego gardła był tylko ochryplym westchnieniem. Upadł ciężko na ziemię. Kamienie pod jego policzkiem były lodowato zimne, od krańców jego pola widzenia nadciągała ciemność i Grim z całej siły opierał się nieuniknionemu. Do diabła, to nie może się przecież tak skończyć, nie w tej nędznej mgle, nie mogą go w nią wciągnąć pazury jakiegoś cholernego kota!

Ale chociaż robił, co mógł, nie miał już siły się ruszyć. Chciał odwrócić głowę, popatrzeć na Mię, nie może przecież zamknąć oczu na wieki, zanim tego nie zrobi. W tym momencie wydało mu się, że słyszy śmiech i przez krótki ułamek czasu znowu zobaczył diabła z płomiennym biczem unoszącego się na niebie Braskatonu. W jego spojrzeniu było coś... Zanim jednak Grim zdołał to coś nazwać, zagubił gdzieś myśl. Cienie przed jego oczami zmieniły się w spadające pióra, w

skrzydło z czarnego jedwabiu, pozostawiając go w ciszy oślepionego.  
*Ogień.*

To była jego własna myśl i to ona kazała mu otworzyć szeroko oczy. Zobaczył zarysy jakiejś postaci, która z płonąca pochodnią w dłoni pojawiła się przed nim, i słyszał trzask iskier, kiedy szybkimi ciosami odpędziła hieny. Od tych płomieni bił osobliwy mróz, który rozerwał zimno zaciskające mu gardło i kiedy podniósł wzrok, zobaczył cztery dalsze postacie, były to wampiry, które czerwonymi, białymi i żółtymi pochodniami walczyły z Gniewem Braskatonu.

Grim nie mógł uwierzyć własnym oczom, widząc kocura, który poruszał się z oszałamiającą prędkością, błyszczącymi osobliwie pazurami rozorując twarze atakujących. I zobaczył też Lorda Wampirów, który walczył z siedmioma harpiami, i którego ruchy były tak płynne, jakby wykonywał jakiś budzący grozę taniec. Czuł zapach krwi tryskającej z gardeł mgielnych postaci, kiedy Bhrgan Nha'sul odrąbywał im głowy.

Ciężko dysząc, Grim chciał się jakoś pozbierać, ale nie udało mu się nic więcej, jak tylko unieść głowę, bo zaraz osunął się z powrotem na ziemię. Nagle przyklęknęła przy nim jakaś postać. Poczuł na policzku jej jedwabiste włosy i kiedy spojrzał w twarz Carycy, aż zapało mu dech. Była w zbroi z czarnej skóry, srebrne okucia zdobiły jej ręce i nogi, a na policzkach widniał płomienisty znak Iryos, Wojowniczkii Ciemności. W jej oczach płonął żar bitwy, lecz na jej ustach igrał uśmiech.

*Czemu przybyliście,* spytał Grim, ale formułowanie słów nawet w myśli wyczerpywało go ponad wszelką miarę. Gwałtowny ból przeszył jego ciało, gdy się pochyliła i położyła dłoń na jego szyi. Nie powiedziała ani słowa, lecz on czuł, jak zabiera od niego tchnienie śmierci wysłane przez mgłę, jak je wchłania i dusi własną ciemnością, zupełnie jakby to był nic nieznaczący płomyczek. Lecznicy czar aksamitnie wniknął do jego ciała, lecz Grim ledwie go czuł, bo podobnie jak szalejąca wokół bitwa, wszystko docierało do niego jak przez watę. Zupełnie jakby powoli opadał na dno oceanu. Widział obrazy pojawiające się w jej oczach, widział ją w drodze do pałacu Lorda, zaczął padać śnieg, szła przez puste sale, mówiąc przy tym do niego

szepcząco i miękko.

*Miałeś rację, usłyszał jej głos. Uciekłam. Straciłam świat z oczu, podobnie jak on. Tak wiele zapomnieliśmy. Utkwiliśmy w bezruchu i wydawało nam się, że tak może zostać. Ale w każdym spojrzeniu w twarze innych wiedzieliśmy, że tak nie jest. Świat się nam wymknął i nie byliśmy już tymi, którzy się kochają, tylko lustrami dla siebie nawzajem. Pewnego dnia nie mogliśmy już znieść obrazu naszych własnych twarzy i uciekliśmy przed sobą. Ukryliśmy się i straciliśmy jeszcze więcej. Pozostało nam jednak coś, czego utraty baliśmy się najbardziej i co być może właśnie dlatego kazało nam się rozdzielić, ponieważ nie mogliśmy znieść myśli, że mielibyśmy się przyglądać jego zagładzie. Nie utraciliśmy jednak tego, przy całym zimnie i całej ciemności, nie utraciliśmy.*

Grim widział w jej oczach, jak dochodzi do tronu Lorda. Bhragan Nha'sul siedział nieruchomo, lecz nie odwrócił się od niej, a kiedy podeszła i położyła dłoń na jego policzku, jego oczy wypełnił blask, od którego Grimowi ciarki przeszły po plecach. *My to coś więcej niż tylko popiół i dym*, powiedziała Skarnaara i Grim odniósł wrażenie, że ona nie mówi tylko do swojego kochanka, lecz że jej słowa były przeznaczone także dla niego. Może nie w tej chwili, ale gdzieś w odległej przyszłości, której jeszcze nie znał, a której się jednak obawiał. Jej słowa mrocznie zapadły głęboko w niego.

*Czy pamiętasz?*

## Rozdział 50



Sposób walki wampirów przypominał taniec cieni i ognia. Bez wysiłku i z taką szybkością, że Mia chwilami widziała tylko zarysy ich ciał, prześlizgiwały się między wojownikami Ghrogonii, stawały naprzeciw mgły i zadawały istotom z Braskatonu głębokie rany. Czarna była krew Świata Umarłych, tak czarna, jak krew wampirów i kiedy Mia poczuła zimne płomienie pochodni na swojej skórze, od razu wiedziała, że tylko martwy ogień może zdusić żar mgły.

Nie zwlekała ani chwili dłużej. Pospiesznie rozpostarła nad sobą czar ochronny i pobiegła. Przez rozrywające się mgły Wewnętrzny Wał migotał zielonkawym blaskiem, pierwsi Cienioskrzydli już przypuścili na niego atak, a kiedy Mia dostrzegła strzelające z niego iskry, wytworzyła w dłoni płomienny łuk. W biegu wyjęła pierwszą strzałę i napięła cięciwę. Trafiła w pierś atakującego ją warana, sprawiając, że Wał zamigotał jaskrawym światłem. Mia czuła, jak krew żywo płynie w jej żyłach, ledwie jednak wypuściła kolejną strzałę, z mgły wyskoczyła kolejna postać. Był to trójgłowy demon, który złapał strzałę w locie i złamał ją na pół z dzikim wrzaskiem. Pędził wprost na Mię, w ostatniej chwili powaliła go Burzowym Zaklęciem, zanim zdążył się podnieść, przycisnęła mu diament do czoła i uwięziła go w nim.

Ogłuszający ryk sprawił, że odwróciła się gwałtownie. Przez Wewnętrzny Wał przebiła się, nie niszcząc go, potężna fala demonów. Mia usłyszała krzyki Ghrogonian, nieokiełznane i pierwotne jak magie, które zaraz potem z impetem zderzyły się ze sobą. Ziemia zadrżała pod stopami Mii, powietrze łopotało jak żagiel na wietrze i kiedy spięła się do skoku, by dostać się w pierwsze szeregi walczących, buchnął w jej stronę żar magii, która rozlała się nad polem bitwy feerią mrocznych barw. Jej głos był ledwie szeptem pośród dźwięków wydobywających



się z kamiennych gardzieli, ale kiedy jej lodowy czar uderzył w Wał, wybijając w rozedrganej warstwie ciemne kratery, miała wrażenie, że rozpląnęła się w bitewnej wrzawie, że stała się częścią pierwotnej mocy rozpętanej przez Ghrogonian, i jej serce aż podskoczyło, kiedy pośród ogólnego chaosu rozpoznała znajomy ryk.

Grim z błyskawiczną szybkością przeskoczył nad głowami innych i wylądował bezpośrednio przed wałem. Jego ciemna postać z potężnymi skrzydłami na tle tej migotliwej osłony sprawiała majestatyczne wrażenie, a kiedy uniósł ramiona w górę i wydał ryk, nad walczącymi przeleciał wicher, który zdmuchnął Mii włosy z czoła. Złote płomienie z hukiem wystrzeliły z jego pięści i pokryły Wał niczym sypiąca iskrami sieć. Kilka demonów spłonęło w tym ogniu, inne z wrzaskiem się przed nim cofnęły. Mia poczuła jego odblask na twarzy, zupełnie jakby po jej policzkach przesunął się jedwabny welon. Kiedy Wał stęknął głośno, wydała triumfalny okrzyk. Pojawiły się pierwsze rysy i kiedy poczuła drżenie ziemi, pomyślała, że to jest efekt tego pęknięcia. Zaraz jednak pojęła, że to czyjeś kroki zbliżające się od strony zamku. Zmrużyła oczy i nagle ujrzała postać, która pokazała się po drugiej stronie.

Był to demon, czarny jak smoła, z na wpół wygryzioną twarzą cyklopa. Jego oko płonęło czerwonym ogniem. Był tak wielki, że przewyższał o kilka głów nawet Grima. Muskularne ciało tkwiło w poszarpanym mundurze, w paru miejscach widać było metalowe podpory, jakby podtrzymujące go od środka, a potężny gadzi ogon ciężko walił o ziemię, nim wreszcie znieruchomiał. Demon spoglądał na walczących i zdawał się nie słyszeć trzeszczenia Wału. Kiedy jego płomienne spojrzenie spoczęło na twarzy Mii, aż się cofnęła, taki bił od niego żar. Szyderczy uśmiešek pojawił się na jego szerokich, pozbawionych warg ustach. A potem demon uniósł ramiona nad głową i wystrzelił z nich w kopułę Wału czerwone błyskawice, które z ogłuszającym hukiem rozdzierały powietrze.

Mia aż krzyknęła, tak bolesny był to dźwięk, zaraz potem niewyobrażalny ból przeszył ją od rąk aż po barki. Zdążyła jeszcze posłać w tamtą stronę Burzę Płomieni, lecz magia odbiła się od Wału i uderzyła ją samą w pierś, tak że Mia przeleciała kawał w powietrzu i twardo upadła na plecy. Oszołomiona z trudem pozbierała się z ziemi.

Liczni Ghrogonianie również zostali odrzuceni, pozostali jednak stali naprzeciwko wału, a ich magia rozpościerała się na nim płomienście... Cała krew odpłynęła Mii od głowy. Ich ataki przestały szkodzić Wałowi, co więcej, wyglądało na to, że go wręcz wzmacniają. Na polu bitwy słychać było okrzyki bólu i Mia z przerażeniem stwierdziła, że wojownicy Ghrogonii nie mogą się uwolnić od własnej magii. Grim, którego płomienista sieć zabarwiła się na ciemno, powoli osunął się na kolana. Jego twarz wykrzywił grymas bólu i Mia widziała, jak Demon wysysa magię z jego ciała. W tym momencie z Wału wynurzyły się macki, grube jak pytony, i zaczęły ze świstem biczować szeregi Ghrogonian. Mia w ostatniej chwili uskoczyła przed jednym z takich uderzeń. Skąła rozprysła się na kawałki, jeden z ostrych odłamków trafił ją w policzek, lecz nie zwracała na to uwagi. Zdrętwiała z przerażenia patrzyła, jak jedna z macek owinęła się wokół Grima i z impetem uderzyła nim o pobliski budynek.

Silny cios trafił Mię w ramię. Ból przeniknął ją aż do płuc, zatykając dech w piersiach. Odwróciła się gwałtownie. Z góry patrzył na nią demon o oślej głowie, siedzący na skrzydlatym koniu, którego skóra zwisała w strzępach z ciała. Ponownie wzniosł w powietrze kolczastą kulę na łańcuchu, która tym razem z pewnością roztrzaskałaby Mii wszystkie żebra. Ujrzała błysk w jego oczach i usłyszała świst kuli przecinającej powietrze, lecz nawet nie drgnęła, nie okazała też żadnych oznak bólu czy strachu. Kolczasta kula pędziła w jej stronę, lecz gdy tylko Mia poczuła wzbudzony przez nią pęd powietrza, skoczyła do przodu, chwytając za łańcuch. Rozpalająca żelazo magia demona wgryzła się w jej ciało, ale Mia tylko mocniej uchwyciła łańcuch. Jej unieruchomione ramię zderzyło się z kulą, krew spłynęła jej po ręce. Jej głos drżał, gdy wypowiadała formułkę zaklęcia. W następnej chwili po łańcuchu przeleciało jaskrawe światło. Zdążyła jeszcze zobaczyć zdumienie w oczach demona, potem usłyszała chrzęst miażdżonych kości, kiedy jej magia eksplodowała w piersi przeciwnika, zmiatając go z rumaka.

Z głośnym rzeniem koń stanął dęba. Jego zęby były ostre jak brzytwy, a spojrzenie obejmowało Mię z dziką złością, lecz zanim zdążył się na nią rzucić, chwyciła go za grzywę i wskoczyła mu na

grzbiet. Jego ryk przeniknął ją do szpiku kości. Koń z nieokiełznaną wściekłością machnął skrzydłami i wzniósł się w powietrze. Mia wciągnęła głowę w ramiona, lecz w tym momencie z ciała konia wyłoniły się szpony, chwyciły jej nogi i ramiona i wysłały do jej ciała ciemność, która czaiła się we wnętrzu demona. W jednej chwili objęła ją nieprzenikniona ciemność, zdawało jej się, że spada w otchłań. Niezliczone wrzaski rozdzierały powietrze i nie były to odgłosy bitwy. Widziała wykrzywioną twarz na wpół pożartego przez dzikie zwierzęta człowieka, który w tym momencie trzymał ją w ramionach, widziała też dziecięce zwłoki z powykręcanyimi kończynami, które płacząc, siedziały we wnętrzu końskiego ciała. Wiedziała, że demon chce ją rozszarpać za to, kim jest – człowiekiem. Na razie rozszarpywał jej myśli i kazał im krążyć w formie rozżarzonych odłamków w jej żyłach, podczas gdy on sam gnał ją przez otchłanie swojego wnętrza, coraz głębiej i głębiej w Cienie. Mia jednak zniosła ból, jaki jej zadawał, i nie zamknęła oczu. Wpatrywała się w ciemność i kiedy demon posłał jej w twarz swoje zimno, tylko się uśmiechała. Chciał ją zniszczyć, ale ona nie miała zamiaru na to pozwolić. Dawno już się nauczyła, że demony nie są jedynymi istotami, które mają swoje otchłanie.

Nagle przestała czuć pęd wiatru na twarzy. Już nie spadała. Spoczywała nieruchomo w ciemności i przez moment pomyślała o linie pod swoimi stopami, linie, której wcale nie było, podobnie jak nie było smoka ani świata, ani tego przekłętego demona. To ona stworzyła tę otchłań i noc, i gwiazdy, to ona strąciła Księżyc z tronu, to ona była Początkiem i Końcem... ona była wieczną Ciemnością. Odchyliła głowę do tyłu i zawyla jak wilkołak Pierwszej Godziny, i w tym momencie ciemność wokół niej się rozerwała i znowu była na grzbiecie wierzchowca, który był już całkiem spokojny, niemalże przyjazny, i niósł ją nad polem bitwy, jakby było to od zawsze jego przeznaczeniem, w dodatku instynktownie wiedział, dokąd ona chce lecieć.

Sztylet Khranadosa w jej dłoni był lodowato zimny. Z błyskawiczną prędkością omijała świszczące w powietrzu macki, słyszała słowa, które wyszeptał do niej wilkołak, i kiedy pojawił się przed nią Wał, uniosła sztylet w górę. Z głośnym okrzykiem wbiła go w ochronną kopułę. Potężna siła odrzuciła cyklopa, a Mia przeorała

sztyletem Wał, tworząc w nim potężną szczelinę. Szczelina biegła coraz dalej i dalej, i rozchodziła się na boki w niezliczonych odgałęzieniach. Sztylet spłonął w jaskrawym ogniu, a jego jad zneutralizował magię Wału. Mia zobaczyła uwalniającego się Grima, a kiedy macki opadły na ziemię w postaci płatków popiołu, a Wał w wielu miejscach rozpękł się, syjąc iskrami, z jej gardła wydobył się okrzyk triumfu.

Wierzchowiec ze złożonymi skrzydłami rzucił się przez Wał. Jeszcze w locie Mia zeskoczyła z jego grzbietu i popędziła w stronę demona. Leżał na ziemi, lecz ona dobrze wiedziała, że za chwilę znowu się podniesie. Musi go pokonać, zanim będzie za późno. Zacisnęła pięść, przygotowując się do wysłania zaklęcia, i pędziła tak szybko, że drobiny popiołu twardo uderzały ją w twarz. Zanim jednak zdążyła do niego dotrzeć, on nagle otworzył oko i rzucił jej spojrzenie, które było jak cios pięścią w twarz. Zaparło jej dech, z trudem udało jej się utrzymać na nogach, ale za nic nie mogła się już odwrócić. Demon podniósł się z ziemi, a Mia poczuła Cienie, które wyłoniły się z jego oka i pędziły w jej stronę. Były w nich twarze powykrzywiane w przeraźliwe maski, twarze wojowników Ghrogonii, którzy spłonęli na popiół w spojrzeniu demona, a kiedy jego głos rozpałił w ich oczach białe światło, wszyscy wzniesli w górę broń i skierowali swoją magię w stronę Mii. Huk był ogłuszający, kiedy tak na nią pędzili. Mia już niemal czuła, jak ich rozpalone zimnem miecze zagłębiają się w jej piersi. I widziała też wśród rozszałanych Cieni Grima zabitego tym spojrzeniem z ognia i ciemności. Tuż przed nią uniósł w górę pięść, już miała wrażenie, że czuje na skórze ogniste zaklęcie, lecz kiedy spojrzała w jego białe oczy, odwróciła głowę. W oczach Grima nigdy nie mogłoby się pojawić takie zimno – nigdy.

Gniew demona przeniknął jego magię i powalił ją na ziemię tak gwałtownie, że uderzyła głową o skałę. Czuła, jak traci przytomność, zanim jeszcze przeszył ją ból. Rozpaczliwie broniła się przed ogarniającym ją omdleniem, ale już słyszała zbliżające się kroki demona, rozlegające się w niej głośniejsz niż bicie jej własnego serca. Jego płonące spojrzenie za moment spocznie na jej ciele. Wiedziała, że ją spali i że nie będzie się specjalnie spieszył, bo zamierza sycić się jej cierpieniem. Spojrzała mu zdecydowanie w twarz. Nie wyda żadnego dźwięku, już prędzej sama zamieni się w lód, niż da mu tę satysfakcję. Widziała, jak

w jego spojrzeniu zamigotał gniew, poczuła żar na skórze... lecz dokładnie w chwili, kiedy zaczynało jej brakować tchu, jakiś cień wślizgnął się między nią a demona i okrył ją kojącym chłodem.

Półprzytomna przejechała dłonią po oczach. Zobaczyła łopoczący płaszcz otoczony drobinami popiołu, miecz z płomiennymi znakami na klindze i od razu wiedziała, że to Samhur stał między nią a demonem... To Samhur, Łowca, uratował jej życie.

Cyklop wpatrywał się w wampira. Coś zamigotało w jego spojrzeniu, zabarwiając mu twarz płomieniem nienawiści. Potem zacisnął pięści, aż zachrzęściły kości, jego jedyne oko stało się jaskrawym ogniem i demon rzucił się przed siebie. Samhur wykonał unik tak szybko, że Mia omal nie nadażyła za jego ruchem. Zobaczyła diamentowy bicz, którym co chwila próbował smagnąć demona, słyszała śpiew jego miecza i czuła na skórze tysiące Klątw Hekabe, które w dzikim tańcu unosiły się w powietrzu, okrążając walczących płomienistymi znakami. Lecz i demon sprytnie unikał ciosów, tak że Łowcy udawało się go trafić tylko z rzadka, a w pewnym momencie niespodziewanie skręcił głowę, trafiając wampira żarem spojrzenia w pierś, aż Samhur padł pod nim na plecy. Mia daremnie usiłowała się podnieść, żeby odwrócić uwagę demona, który z impetem przygniótł Łowcę swoim cielskiem i okrył jego ciało huczącym ogniem.

Samhur powoli podniósł w górę drżące ręce, nie odwracając wzroku od przeciwnika. Zacisnął je żelaznym chwytem na gardle demona. Potężny strumień światła rozlał się po czarnej skórze, wnikając w głąb ciała, demon jednak zaśmiał się tylko głośno i tak donośnie, że jego śmiech trafił Mię jak potężny cios. Bezradnie przyglądała się, jak ogień wżera się w ciało Samhura. Ostatkiem sił wyrzuciła przed siebie nic nieczującą dłoń i posłała do niej lodowy czar. Właśnie prostowała palce, kiedy dostrzegła w oczach Samhura osobliwe migotanie, ten mroczny blask, który zawsze budził w niej taki lęk i który – jak teraz pojęła – był po prostu uśmiechem z Cieni.

Opuściła dłoń. Dostrzegła symbole, które uwidoczniły się pod skórą demona – zaklęcie, które Samhur ukrył w swojej magii i dzięki temu posłał je do ciała przeciwnika. Wyglądało to zupełnie tak, jakby czarny olej zbierał się w ukryte formułki, Znaki Klątwy, które jeszcze

przed chwilą krążyły wokół nich w dzikim chaosie i które teraz zamarły w bezruchu. Mia dostrzegła zdumienie w oku demona, kiedy jego ogień nagle zgasł, a płomienne znaki zaczęły wysyłać do jego ciała swój żar. Z rykiem zerwał się na równe nogi, znaki zwęglały jego skórę. Samhur podniósł się chwiejnie i cofnął się w bok. Demon wyszarpnął ze swego ciała rozżarzony znak z ciała i próbował uderzyć Łowcę, lecz zanim zdołał wykonać pierwszy krok w jego stronę, z metalicznym brzękiem pofrunęły w jego stronę płonące łańcuchy. Trafiły demona, wbijając się zadziornymi w jego ciało i rozpały znaki tkwiące pod jego skórą czerwonym ogniem. Demon z przeraźliwym rykiem wyrzucił ramiona w górę. Płonął, płomienie buchały na wszystkie strony i zanim osunął się na ziemię, łańcuchy rozszarpały go na kawałki.

Rozżarzone strzepy spadły na ziemię, lecz Mia prawie tego nie zauważyła. Spoglądała w górę, na dachy, skąd nadleciały łańcuchy, które rozpadły się teraz w czerwony żar... i od razu dostrzegła te trzy postacie. Były to jedyne nieruchome punkty w chaosie bitwy, nieruchome do tego stopnia, że sprawiały wrażenie nierzeczywistych. Ich długie płaszcze powiewały na wietrze, na policzkach mieli płomienne znaki, te same, z którymi także Samhur ruszył do bitwy i kiedy teraz pomógł jej stanąć na nogi, usłyszała w myślach jego głos.

*Feysthar o białych włosach, który poza bitwą nigdy nie wypowiedział ani słowa, ponieważ jego głos był zbyt straszliwy; Ingynon z blizną biegnącą przez policzek, pamiątką po walce z Szarym Dżinem; Andraka, której spojrzenie potrafi przebić i kamień, i ciało. A więc przybyli...*

Pierwsi Łowcy tego świata.

Samhur wysłał leczniczy czar do ciała Mii, płonące kawałki Wału spadały wokół nich. Mia właśnie chciała się przyłączyć do radosnych okrzyków, które niosły się nad polem bitwy, kiedy ziemia zatrzęsa się od dudniącego warkotu. Instynktownie przyklękła. Samhur przyciągnął ją do siebie. Nad nimi przeleciał ognisty podmuch. Mia odwróciła się gwałtownie... i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

## Rozdział 51



Ciężko dysząc, Grim wylądował na dachu jednego z domów i spojrzał w stronę Zamku. Płomienne wichry omiatały mury, upiornie sunęły przez plac, a tam, w najgłębszym wnętrzu potężnego smoka płonął czarnozielony żar, który z głośnym grzmiotem rozniecił Ogień i wysłał go do Zamku. W rozpalonym żarze pękały cegły, a płomienie pochłaniały mury i wieże, tworząc ogniste fantomy. Z sapnięciem sięgnęły wyżej, jak fale smaganego wichrem morza, i kiedy cały Zamek stanął w Płomieniach, Grim nie mógł się opanować i zafascynowany patrzył na to widowisko. Nigdy wcześniej nie widział Ognia Klątwy w całej ich okazałości.

Nagle przez Płomienie przeszedł potężny szum i zanim Grim zdążył pojąć, co się dzieje, z Ognia wyleciał gigantyczny rój szerszeni. Na chwilę zakryły Księżyc swoimi płomiennymi ciałami, potem ich strumień podzielił się na liczne osobne roje, które rzuciły się na Ghrogonian.

Grim wzniósł się w powietrze. Z jego pięści strzelały czarne płomienie, słyszał wycie wicheru pod skrzydłami i kiedy spadł z góry w sam środek jednego z rojów, szerszenie natychmiast spłonęły na popiół. Niezliczone ilości owadów spadały w dół, lecz brzęczenie nie słabło i Grim usłyszał szyderczy śmiech wydobywający się z szumu spadających zwęglonych ciał. Nie posiadając się ze złości, wyskoczył z roju, chłodne powietrze pozwoliło mu znowu zaczerpnąć oddech. Widział, jak resztki popiołu pozbywają się płomieni i powracają do roju. Kiedy Grim spojrzał w tamtą stronę, rój uformował się w złocistą postać. Był to Verus, który uśmiechał się ledwie dostrzegalnie, a kiedy otworzył usta, Grim usłyszał jego głos w formie brzęczenia wydobywającego się z tysięcy gardzieli. *Czekam na ciebie, Dziecię Ognia,* powiedział szeptem

demon, a zaraz potem rój rozpadł się i rzucił na pole bitwy w postaci niezliczonych płonących iskier.

Ghrogonianie wznieśli w górę osłony, ale żar wżerał się głęboko w ich magię, a roje spadały na nich z takim impetem, że z trudem udawało im się bronić. Najszybciej, jak mógł, Grim popędził w stronę Zamku i zatrzymał się tuż przed pulsującym Ogniem. Słyszał dobiegający z jego wnętrza głuchy ryk, pierś mu płonęła, jakby każdy najmniejszy nawet dźwięk rozpalał w niej żar, i na moment znów poczuł przerażenie, jakie go ogarnęło, gdy Płomień wziął go w swoje władanie w Cieniach Braskatonu. Nieruchomo wpatrywał się w Ogień Klątwy, iskry trafiały go w twarz jak piana morskich fal i wydawało mu się, że słyszy w głowie głos Serafina docierający przez szum mrocznego oceanu jak cichy szept.

*Co kryje się na twoim dnie?*

Grim wsłuchiwał się w brzmienie fal i kiedy ujrzał, jak jego brat się uśmiecha, nie czekał już ani chwili. Moc Płomienia rozlała się po jego ciele lodowatymi strumieniami, ale czuł błyski Białego Diamentu na skórze. Zagłębił szpony w Płomienie murów. Stawiły mu opór, zupełnie jakby były z cegły, a on rzucił się w ich żar i popędził przez uliczki Zamku, mając Ogień Demona na skórze. Kierował się w stronę Serca Ognia, w samo jądro Zamku, w które wniknął Verus, i mknął w tamtą stronę, nie zważając na głosy Płomieni ani na wabiące dłonie na skórze. Blask wylewał się płomieniami z okien katedry św. Wita. Grim widział górującego nad nią potężnego smoka i z rozpędem wylądował przed portalem, aż iskry poszły spod jego szponów. A potem pchnął bramę.

We wnętrzu katedry panował osobliwy półmrok, ściany z płomieni i migotliwa posadzka wyglądały zupełnie jak prawdziwe, lecz Grim nie zwracał na to uwagi. Jego spojrzenie spoczywało na Verusie. Demon stał przed ołtarzem, zwrócony plecami do Grima. Kiedy odwrócił się z wolna, Grim spostrzegł, że trzyma on w dłoniach Serce Zamku – błyszczącą kulę wyglądającą jakby zrobiona była z rozżarzonego szkła. Jej blask łączył się z ciałem demona, przenikał go Płomieniami jak na wpół zwęglony kawałek drewna i kiedy Verus się uśmiechnął, kula wniknęła w niego całkowicie. Połyskując i migocąc, delikatnie osunęła



się do jego wnętrza. Grim zacisnął pięści. Niech sobie Verus przywłaszcza to przeklęte Serce Zamku, bo on na pewno je z niego wydrze, co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Na jego pięściach rozgorzały płomienie i Grim ruszył w stronę Verusa. Zanim jednak zdołał do niego dotrzeć, Demon na wpół zatopił się w posadzce katedry i zaczął sunąć mu naprzeciw. Rozbłysnął żar, gwałtowne drżenie podłoża zachwiało Grimem. Skoczył w powietrze, ale nagle ze ściany wystrzeliła potężna głowa węża, próbując go dosięgnąć. Rozżarzony snop iskier sypnął w twarz Grima. W ostatniej chwili uskoczył w bok i pomknął między kolumnami, lecz wąż podążał za nim z głośnym sykiem. Raz za razem chybiał o włos, trafiając w ściany, a kolumny aż dygotały od uderzeń. Grim odwrócił się na plecy, chwycił Diamentowy Bicz i w momencie, kiedy wąż wyłonił się zza jednej z kolumn, smagnął go i przyciągnął do siebie. Nie tracąc ani chwili, przycisnął obie dłonie do jego czaszki i skupił się na złocistym blasku oczu. Czuł, jak pęta odbierają Verusowi siły, lecz zanim zdołał go złapać, zobaczył jego płomienne zarysy wyłaniające się z węzowego cielska. W spojrzeniu Demona był gniew. Poderwał ramiona do góry, wąż rozpadł się na kawałki, a Verus zadał Grimowi potężne kopnięcie w pierś.

Grim poleciał do tyłu, twardo uderzył w jedną z kolumn, ale zaraz poderwał się na nogi. Verus uciekał przed nim, aż dotarł do ołtarza. Uśmiech starł gniew z jego rysów, kiedy ledwie zauważalnie uniósł dłoni.

*Ogień, usłyszał Grim głos Verusa, to ja!*

W tym momencie ziemia pod jego stopami rozwarła się. W powietrze wystrzeliły gejzery ognia i posypał się deszcz iskier. Grim rozpostarł skrzydła, lecz ściany zaczęły się już osypywać i w dół leciały wielotonowe kawały sklepienia. Pędził, omijając płonące odłamki, coś trafiło go w ramię, ból przeniknął całe jego ciało i w tym momencie pękła pierwsza kolumna. Grim uskoczył, ale wstrząs był tak wielki, że uderzył o ścianę i zanim zdążył ponownie wznieść się w powietrze, spadła na niego kolejna kolumna. Trafiła go tak gwałtownie, że upadł na ziemię. Kawał sklepienia spadł tuż obok jego głowy. Chciał się jakoś pozbierać, ale kolejny kawał muru spadł na jego pierś. Daremnie próbował się ruszyć, miał wrażenie, jakby spadł na niego cały ciężar

tego świata. Hałas był ogłuszający, a kiedy chaos nieco się uspokoił, usłyszał zbliżające się kroki. Z trudem otworzył oczy. Kawałki kolumn roztapiały się przed Verusem, który powoli zbliżał się w jego stronę, by wreszcie przyklęknąć przy nim.

*Jesteś jeszcze słabszy, niż myślałem,* powiedział szeptem demon.

W tym momencie Grim sprawił, że w jego oczach zapłonęły czarne płomienie.

*Złoty Cieniu,* odparł, zmuszając się do uśmiechu. *Wciąż jeszcze nie zdajesz sobie sprawy, kogo masz przed sobą.*

I zanim Verus zdążył się cofnąć, spod gruzów wystrzeliła dłoń Grima z Białym Diamentem i przycisnęła go do czoła demona. Verus ryknął z bólu, ale Grim złapał go za kark i stanął na nogi. Kolumny wokół nich rozpadały się, zasypując ich tysiącami pękających odłamków. Gniew zabarwiał oczy Verusa ciemnym blaskiem, a na jego twarzy zamigotały obrazy. Grim ujrzał Mię w deszczu w Ogrodach Tuileries, Remiego, który unosząc się przed oknem ludzkiego mieszkania, śmiał się z jakiegoś filmu, Carvena, który na skateboardzie ślizgał się po krawędzi ołtarza w kościele Grima. Grim wiedział, że krzyki Demona nie są tylko wynikiem działania Ognia Diamentu. To tych obrazów nie mógł znieść – obrazów, które sprawiały, że Grim płonął w zimnie Płomienia.

Nie spuszczać oczu z Verusa, Grim zatopił szpony w jego piersi i wydarł z niej Serce Zamku. Demon rozpaczliwie próbował po nie sięgnąć, lecz w tym momencie dłoń Grima wniknęła do wnętrza kuli i potężna fala uderzeniowa odrzuciła każdego z nich w inną stronę. Grim zmrużył oczy, kiedy z żaru trysnęło białe światło. Przez chwilę wydawało mu się, że oślepl, i czuł, jak zimno Płomienia wypełnia jego ciało paralizującym spokojem. Zanim jednak zdołało go całego otulić, Grim otworzył oczy i spojrzał prosto w światło. Rozpoznał zarysy katedry św. Wita i klęczących tam ludzi, słyszał ich głosy, ich płacz i skargi, widział Innostoty między kolumnami, demony w trakcie prastarych rytuałów i wampiry stojące między drewnianymi ławkami jak strażnicy Czasu. Słyszał potężne dźwięki organów i szept myśli zbyt kruchych, by można je było wypowiedzieć, a jednak wystarczająco mocnych, by stworzyć majestat tej katedry, w każdej cegle i w każdym

tchnieniu oddechu. A potem ujrzał żar tryskający ze ścian, usłyszał potężny grzmot głęboko we wnętrzu ziemi, kiedy żar zapłonął. Grim rozpostarł skrzydła, unosząc się w płomieniach, które otoczyły go szelestem głosów, jego, Anioła Nocy w złotych Ogniach Znikczemnienia. Powoli rozpostarł ramiona, słyszał teraz każdy szept, czuł każde kuszenie na swojej twarzy i ledwie dostrzegalnie skinął głową. A potem, z uśmiechem na ustach, zacisnął pięści, zupełnie jakby zamykały się na gardle śmiertelnika... i zdusił Ogień siłą woli.

W następnej chwili znalazł się z powrotem we wnętrzu katedry. Stał na wypalonym gruncie, na skórze czuł chłodne, przenikliwe powietrze. Przez na wpół strzaskany dach do wnętrza wpadał jasny blask Księżyca, czaszka smoka odznaczała się ostro na tle nieba, a przed Grimem, oddalony ledwie o kilka kroków, przyklęknął na czarnych kamieniach Verus. Jedną ręką wspierał się o posadzkę, Grim widział rany na jego wypożyczonym ciele i to, jak czarny blask w jego oczach roztapia się w Płomieniach. Biały Diament bardzo nadszarpnął jego siły, lecz kiedy demon powoli podniósł głowę, na jego ustach widać było uśmiech.

Grim odpowiedział na jego spojrzenie, stojąc bez ruchu. I w tym momencie wiedzieli obaj – walka dopiero się rozpoczęła.

## Rozdział 52



Kiedy Mia dotarła na dziedziniec zamku, welony popiołu popłynęły w jej stronę. Samhur i pozostali Łowcy wyrąbali dla niej przejście w szeregach demonów i bitwa szalała teraz gdzieś za jej plecami, za to uliczki w obrębie murów były opuszczone, a stojące przy nich budynki czarne od sadzy. Wiał zimny wiatr, gdzieniegdzie widać było pojedyncze, słabe Płomienie, ale Mia wciąż jeszcze czuła żar cegieł. Głucho rozbrzmiewał w niej też ryk, który niedawno przenikał Płomienie. Przyspieszyła kroku. Grim zgasił Ogień. Wyzwał do walki Verusa. Czas, by ona przystąpiła do działania.

Przeskoczyła przez zwalony kawałek muru, a kiedy potężny grom gdzieś daleko za nią wprawił domy w drżenie, skuliła się. Nagle wyłonił się przed nią Stary Pałac Królewski; całym ciałem czuła bicie swego serca. Zatrzymała się na moment i spojrzała w niebo. Widziała niewyraźne zarysy demonów przemykających nad domami, na ich pięściach żarzyły się Płomienie i lodowy czar, a ich wrzaskliwe głosy rozcinały powietrze. Jednocześnie jednak Mia wyczuwała żar czaru ochronnego, który dał jej Samhur i który teraz w jej kieszeni wołał o uwolnienie. Musi tylko dotrzeć do Zamku i uwolnić magię Łowcy, a wtedy niegroźne będą jej demony – przynajmniej na początku. Przycisnęła dłoń do ściany domu i raz jeszcze poczuła ciepło cegieł. Potem odepchnęła się i zaczęła biec.

Jej stopy dosłownie frunęły nad placem, jej cień był tylko grą migotliwych zarysów, a wiatr uderzał ją w twarz. Prawie już dotarła do wejścia, kiedy z dachu jednego z domów oderwały się trzy cienie i wylądowały tuż przed nią. Były to demony, które w diabelski sposób zmasakrowały ciała swoich ludzkich gospodarzy – ich twarze były jak powykrzywiane maski, z czaszek wyrastały rogi, a z pleców skórzaste

skrzydła. Na widok Mii na ich twarzach pojawiły się krzywe uśmiechy. Jeden wystąpił do przodu; dotarł do niej jego zgniły oddech. Jego dłonie zamieniły się w szpony, przeciągnął się, aż zachrzęściły mu wszystkie kości. Miał zimne spojrzenie i był w swoim okrucieństwie i poządliwości do tego stopnia ludzki, że Mia aż się wzdrygnęła. Błyskawicznie oceniła swoje szanse. Te trzy demony jeszcze nie brały udziału w walce i Mia czuła ich moc jak płonącą smołę na skórze. Zmusiła się do spokojniejszego oddychania. Potrzebowała wszystkich sił na Rytuał i nie wolno jej było ryzykować walki.

W ostatniej chwili uchyliła się przed ognistym biczem, którym jeden z demonów próbował ją smagnąć. Ciągnął bicz z powrotem do siebie po bruku i kamienie topiły się pod nim jak masło, ale Mia już pędziła w stronę wejścia. Pozostałe dwa demony natychmiast opuściły się na czworaki i skoczyły za nią. Błyskawicznie wyciągnęła sztylet z buta, wykonała obrót w powietrzu i trafiła jednego z atakujących w pierś. Z rany chlusnęła krew i napastnik padł bez czucia na ziemię. Drugi jednak ją trafił, bo zanim zdążyła zrobić unik, jego pięść wylądowała na jej twarzy.

Ciężko dysząc, upadła na ziemię, błyskawicznie przetoczyła się w bok przed kolejnym ciosem, zanim w jej głowie eksplodował ból, i podcięła atakującemu nogi. W tym momencie jednak zaczął się do niej zbliżać pierwszy z demonów; kręcił biczem w powietrzu, zostawiając ogniste ślady. Mia zacisnęła dłonie w pięści. Także drugi był coraz bliżej, musiały chyba uznać ją za wariatkę, skoro próbowała walczyć bez użycia magii i pewnie miały rację. Niezwykle wyraźnie słyszała syk bicza. Będzie potrzebowała całej swojej siły, żeby pokonać te demony, a wtedy...

Sztylet nadleciał od strony dachu, rozżarzoną ostrzem przebił pierś demona z biczem i zanim ten zdążył coś zrobić, jakaś gwałtowna siła szarpnęła go w tył. Jego własna broń zawisła w powietrzu, trafiając go w twarz. Demon przeraźliwie wrzasnął i zapadł się w sobie. Mia czuła krew na rękę, lecz nie spuszczała wzroku z trzeciego demona, którego w tym czasie trafiło kilka świetlnych włóczni, powalając go na ziemię. Przyskoczył do niego jakiś cień, Mia rozpoznała zarysy męskiej sylwetki, przez moment pomyślała o Jakubie, kiedy nieznajomy otoczył

ciało demona rozżarzoną liną i unieszkodliwił go jednym uderzeniem płomieni. Szybko wyciągnął swój sztylet z ciała przeciwnika i pospieszył w stronę Mii. Dopiero kiedy zsunął kaptur opończy, Mia zobaczyła, kogo ma przed sobą.

– Jaro – powiedziała cicho.

Twarz miał szarą jak popiół, zupełnie jakby był po długiej chorobie, lecz na jego ustach rozbłysnął uśmiech, a kiedy położył dłoń na jej ręce, by ją wyleczyć, jego twarz miała miękki, spokojny wyraz.

– Nie przychodzę, by się usprawiedliwiać – powiedział. – Dla pewnych rzeczy nie ma usprawiedliwienia, prawda?

Demon za jego plecami zaczął sapać, pęta owinięte wokół jego ciała zaczęły się rozpuszczać. Mia widziała to wszystko jak przez tysiące zasłon.

– Ale dlaczego... – zaczęła, lecz Jaro tylko się uśmiechnął.

– Nie zabiłaś mnie. Dlatego. Pozostawiłaś mnie przy życiu, chociaż zasłużyłem na śmierć, i przez krótki moment patrzyłaś na mnie bez nienawiści, a nawet bez gniewu. Pewnie wyda ci się to śmieszne, ale nigdy dotąd czegoś takiego nie doznałem. Nigdy. – Zamilkł, zupełnie jakby musiał zebrać siły przed wypowiedzeniem następnych słów.

– To było miłe uczucie – powiedział ledwie słyszalnie. – Lepsze niż moja wściekłość.

Spojrzał na nią przenikliwie.

– Wiem, co to znaczy, nie zabić kogoś, chociaż ma się na to wielką ochotę. I na pewno nigdy nie wyglądałem w takiej chwili tak jak ty, jestem tego pewien. – Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech. – Chętnie bym się dowiedział, jak to jest. Dlatego tu jestem.

Smagnięcie ognistego bicia rozdarło powietrze, trafiając tuż obok nich. Jaro złapał Mię za ramię.

– Biegnij, Córo Burzy! – zawołał, wyciągając zza pasa zardzewiały miecz.

Mia spojrzała na niego i przez chwilę nie widziała w nim już zdrajcy, nie widziała w nim obcego, którym przez cały miniony czas dla niej był. Widziała przed sobą, Jaro, Hartydę, niemającego swojego miejsca, który był tak jak ona. I kiedy sięgnęła do kieszeni i wcisnęła mu do ręki parę diamentów, po jej twarzy przemknął uśmiech. A potem

pognała w stronę wejścia i ledwie zatrzasnęła za sobą drzwi, uruchomiła czar ochronny Samhura. Srebrzyste światło prześlizgnęło się po drzwiach wejściowych, ryglując je potrójnym zaklęciem, a potem rozciągnęło się na cały budynek. Przez krótką chwilę słyszała jeszcze wrzaski demonów i głos Jaro wykrzykującego mocne zaklęcia, a potem wszelkie odgłosy umilkły i Mia weszła do sali władysławowskiej.

Grim i Samhur szczegółowo opisali jej Rytuał, a Remi nie przepuścił żadnej okazji, by przedstawić wszystko w jeszcze straszliwszej formie. Opowiedzieli jej o zagadkowych znakach na posadzce, o ciężkim, metalicznym zapachu i o żyłach, które pokrywają wszystko krwawą płataniną. Opowiedzieli jej też o Zaklinaczach, tych zdeformowanych istotach, i o ich upiornym śpiewie. Mia za każdym razem czuła dreszcz na plecach, kiedy wchodziła w obrazy kryjące się za tymi słowami. Przez te godziny przed bitwą wielokrotnie próbowała stworzyć z ich opisów obraz, by uzbroić się jakoś na to, co zaraz zobaczy, lecz kiedy zbliżyła się do Rytuału, pojęła, że na coś takiego przygotować się nie da.

Patrzyła na grube żyły ciągnące się po posadzce, w których pulsowała czarna krew, a kiedy usłyszała głosy Zaklinaczy, wypełniające powietrze niczym tysiące Klątów, i kiedy spojrzała w ich zdeformowane twarze, musiała zebrać wszystkie siły, by nie zacząć dygotać na całym ciele. Z trudem oderwała spojrzenie i skierowała wzrok na laskę, która zaczęła już ciemnieć pod maską Baala. Jej puls przyspieszył. Nie zostało wiele czasu. Wstrzymując oddech, podeszła bliżej. Do jej uszu dochodziły już tylko głosy Zaklinaczy i syczenie znaków wypełniających powietrze. Znaki kładły się żarem na jej skórze, prześlizgiwały się po niej jak jedwabna tkanina, ale Mia czuła moc, która się w nich kryła i czuła okrucieństwo w każdym szeptanym słowie. Zdecydowanie odsunęła od siebie lęk, który próbował nią zawładnąć, i przyklękła przy jednym z Zaklinaczy.

Unikała patrzenia na jego twarz, wystarczyło spojrzenie na jego pokryte czarnymi żyłami ręce. Musiała jednak się przemóc. Jego żyły były zrosnięte z siatką żył na posadzce i kiedy Mia dotknęła go i poczuła pod palcami miękkie ciało pulsujące krwią, przywołała od razu głos Samhura, żeby tylko się nie cofnąć. Wszystko jej dokładnie objaśnił,

każdy najdrobniejszy szczegół, na który musi zwrócić uwagę, by zatrzymać Rytuał. Kiedy zaczęła wypowiadać formuły zaklęć, miała przed sobą twarz Łowcy. Postępowała zgodnie z jego wskazówkami, stłumiła w sobie strach, kiedy poczuła, jak żyły Zaklinacza pękają pod jej palcami i przenikliwy ból przeszywa jej dłoń, i odsunęła od siebie odgłos mlaszczącego szelestu, kiedy jej ciało pękło i zaczęło się łączyć z ciałem Zaklinacza. Przebiegło ją drzenie. Zmusiła się, by nie patrzeć na swoją dłoń, więc wypowiadając ostatnie zaklęcia, wbiła wzrok w maskę Baala. Jej rozżarzona krew wlała się w żyły Rytuału i kątem oka widziała, jak zabarwiają się one na czerwono. Dzięki temu wnikała w strukturę stworzoną przez Verusa i rozwiązywała kolejne węzły zaklęciami, które podał jej Samhur. Zaklinacze stęknęli głucho... i nagle przez salę przetoczył się warkot bardziej dudniący niż jakikolwiek grzmot.

Mia oderwała wzrok od maski. Powieki Zaklinaczy zaczęły gwałtownie dygotać, szwy niemal się rozerwały, skóra zaczęła pękać. Pod nią było mięso, tkanki zgniłe niemal jeszcze w trakcie wzrostu, a po posadzce ciągnęła się sieć błyszczących naczyń krwionośnych, przemieniając kręgi Rytuału w ścięgniste, na wpół poszarpane mięso. Mia szeptała formułki zaklęć, ale głosy Zaklinaczy stawały się coraz mocniejsze, sięgały po jej słowa i porywały je wprost z jej języka. Nagle ujrzała, jak zmieniła się czerwona barwa, jak została pochłonięta przez czarny jad, który odpychał jej magię i podczołgiwał się w jej kierunku. Wzdrygnęła się i z przerażeniem stwierdziła, że wspinają się po niej mikroskopijnej grubości żyłki. Zanim zdążyła się cofnąć, wniknęły w jej ciało i unieruchomiły ją. Rozżarzoną strumieniem czarna krew wlewała się w jej ciało, chciała krzyknąć, ale to nie jej głos wydobywał się z jej gardła. Ktoś inny posługiwał się jej strunami głosowymi, ktoś inny pędził przez jej myśli i zaraz potem zobaczyła Verusa wyłaniającego się z krwawej płataniny żył. Był to wprawdzie tylko jego zarys, z na wpół wyżartą twarzą, ale jednak z uśmiechem, zupełnie jakby rozkoszował się jej bólem. Spoglądał na nią z góry. Kiedy Mia odrzuciła głowę do tyłu, zniknął, a jednak wiedziała, że cały czas tu jest. Krył się w każdym włóknie tkanki tego przerażającego tworu... to on był Rytuałem.



Z zimnym przerażeniem Mia musiała patrzeć, jak jej dłonie zamieniają się w szpony. Kości trzeszczały, a ból stawał się tak dojmujący, że ledwie mogła zaczerpnąć powietrza. Niewidzialne ostrza przebiły jej ciało, a w głowie słyszała huczące głosy Zaklinaczy, aż miała poczucie, że zaraz rozerwą ją od środka. Półprzytomna z przerażenia chciała wyszarpnąć ręce, ledwie się jednak poruszyła, a natychmiast chwyciła ją szponiasta dłoń siedzącego obok Zaklinacza, jego ścięgna z głośnym chrzęstem sunęły po jej nogach, owijając się wokół nich, aż wreszcie Mia poczuła w nich bicie własnego serca. Jad Rytułu wnikał do jej wnętrza, paraliżując wszystko. Mia daremnie przywoływała swoją magię i dokładnie w chwili, kiedy zorientowała się, że zaczyna gubić myśli, że coraz trudniej przychodzi jej odepchnąć Ciemności, jakimi nasączała ją czarna krew, zobaczyła, jak przez jedną z żył pędzi w jej stronę stworzenie wielkości pięści z błyszczącym krwiście odwłokiem. Pajęczne nogi przebiły się przez powierzchnię żyły i to coś się z niej wydostało, było śluzowate, z ośmiorgiem zaropiałych oczu, spęczniałym odwłokiem i szeroko otwartym, ociekającym śliną pyskiem, w którym widniały ostre jak brzytwa zęby. Mia wiedziała, że stworzenie chce przejąć nad nią kontrolę i wymazać wszystko, czym była. Jeszcze chwila i wyżre jej mózg, zamieniając ją w Zaklinacza.

Świadomość tego sprawiła, że z jej gardła wydobył się krzyk, jak oszalała zaczęła szarpać więzy. Stworzenie uniosło się na nogach, wydając obrzydliwy terkot. Ból prawie odbierał Mii zmysły. Jak w transie patrzyła na to coś, co skoczyło w jej stronę. W tym momencie usłyszała świst miecza przecinającego powietrze, który rozpołowił stworzenie jeszcze w locie i zaraz potem poczuła, jak ścięgna i żyły odrywają się od jej kończyn i Zaklinacz ją puszcza. Jak ogłuszona padła na posadzkę. Ktoś ją podniósł i podtrzymał jej głowę. I wtedy poczuła ten zapach – zapach popiołu i kwiatów maku. Wokół panowała całkowita cisza, ale jeszcze zanim spojrzała na wybawcę, wypowiedziała w myślach jego imię.

*Lyskian.*

Wszystko było ciemne i czuła dziwną lekkość w piersi, jakiej nigdy wcześniej nie знаła. Chciała się uśmiechnąć, lecz Lyskian spojrzał na nią

poważnie. Dostrzegła osobliwy blask w jego oczach. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jej serce przestało bić.

Przerażenie było osobliwie mętne. Jej ciało drżało, zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, obraz Lyskiana stojącego przed nią rozmazał się. Chciała go zatrzymać, ale chłód ciągnął ją za sobą i dopiero teraz, dopiero kiedy została sama w ciemności i usłyszała w powietrzu szum jakby uderzeń skrzydeł, ogarnął ją lęk.

*Nie*, przemknęło jej przez głowę i wiedziała, że była to pewnie ostatnia myśl, na którą potrafiła się zdobyć. Zobaczyła przed sobą matkę, Josi i Jakuba, zobaczyła słońce, zieloną trawę na mokrej od deszczu łące, księżyc, zobaczyła Grima, jak śmieje się, płacze, milczy, i ostatkiem sił wypowiedziała dwa słowa, posyłając je w ciemność: *jeszcze nie*.

W następnej chwili coś mocno ją chwyciło. Spadała i szybowiała zarazem, i czuła coś na wargach, coś tak jedwabistego i ciężkiego, że nie stawiała oporu. Jakiś cichy głos w jej wnętrzu wołał coś do niej, lecz ona nie słuchała. I znów wezbrały w niej obrazy różnych istot, które kochała, i poczuła, jak Cienie kusząco głaszczą jej policzki. Jakże często już stała nad otchłanią, jakże często pochylała się do przodu w dmący wicher, tęskniąc za tym, by wreszcie się odepchnąć i skoczyć. Ciemność była jak rozfalowany welon na jej twarzy, zbyt blisko niej się znajdowała, żeby mogła się jeszcze cofnąć, więc Mia rozpostarła ramiona i rzuciła się w dół, w sam środek tego, co chciało ją zniszczyć. Miała Uczucie, że pełną piersią zaczerpnęła powietrza, a wtedy Ciemność wniknęła w nią, delikatnie i gwałtownie zarazem, i poczuła, jak na jej skórę opadają płatki maków i słyszała w ciszy oddech Lyskiana. Wiedziała, że to jego krew pije, i widziała go przed sobą uśmiechającego się w uliczkach Paryża, czekającego w deszczu przed jej pracownią, ze wzrokiem wbitym w dal, a myślami jednak przy niej. Wiedziała, że nie musi pokonywać swojej drogi sama, że może wziąć ze sobą część jego, a jemu oddać część siebie; nagle wydało jej się to takie łatwe, takie oczywiste. Kiedy otworzyła oczy, leżała w jego ramionach. Nad nimi rozpościerało się niebo bez gwiazd, a on patrzył na nią, bez śladu uśmiechu, a jednak tak czule, że jego oblicze było skończonym pięknem. Czuła w sobie jego zimno jak delikatne dotknięcie. Mogliby tak na zawsze zostać na tym polu maków i nigdy już nie byłiby... sami.

Spojrzała na niego i przez chwilę zapragnęła podążyć za tą myślą, obojętne, dokąd miałyby ją to zaprowadzić. Nie zrobiła tego jednak, ponieważ tutaj, na tym polu maków, otoczona atlasową Ciemnością, czuła ból i tęsknotę, dla których żadna skończoność, żadna wieczność i żaden taniec nad otchłanią nie mogły być odpowiedzią. Był głos, który ją wzywał, głos, który potrafił sprawić, że pękały góry. Widziała przed sobą twarz z blizną nad prawym okiem, twarz pełną dziecięcej przekory i jakieś imię wypełniło jej myśli. Imię, którego brzmienie potrafiło dosięgnąć jej wszędzie, obojętnie jak bardzo by się od niego oddaliła. Nawet jeśli droga, jaką jej ofiarował była pełna niedoskonałości, nawet jeśli oznaczać miała samotność, niepokój i rozpacz, to jednak nigdy nie zdecydowałyby się na żadną inną. Nawet gdyby miało to oznaczać rezygnację z życia, ucieczkę przed nim i nazbyt częste znoszenie go wyłącznie z bólem – i tak by ją wybrała z jednego, jedyne powodu: bo tam czekał na nią on.

*Grim*, wyszeptała.

Ból przyszedł tak nagle, że Mia aż się skuliła. To jej serce znowu zaczęło bić. Usłyszała głuchy warkot, który wypełnił jej piers rozpalonym żarem. Ciemność wokół zaczęła się rozrywać, zwracając niebu gwiazdy. Gwiazdy i Księżyc. Widziała Cienie w oczach Lyskiana, lecz on ich nie zatrzymywał. Pozwolił im odejść, odfrunąć i posłał do jej myśli obraz, który pokazywał ją samą opartą o biurko w pracowni. Spała spokojnym snem dziecka, a Lyskian stał w drzwiach i przyglądał się jej. Podszedł do niej bezgłośnie, zobaczyła, jak wyciąga rękę, by odgarnąć jej włosy z czoła i przez moment miała wrażenie, że czuje jego palce na skórze, chłodne i delikatne jak tchnienie wiatru w ponurą noc. On jednak powstrzymał się i nie dotknął jej, patrzył tylko, jakby była malowidłem, które pod jego palcami mogłoby zniknąć. Obraz rozpadł się na kawałki, lecz kiedy Mia otworzyła oczy i stwierdziła, że jest w sali Zamku, w ramionach Lyskiana, wciąż jeszcze miała przed oczami tamten wyraz jego twarzy: wokół ust igrał mu jedwabisty blask, który sprawiał, że wyglądał, jakby się uśmiechał. I po raz pierwszy, od kiedy go poznała, ujrzała w jego oczach coś jakby spokój.

Gwałtowny huk rozerwał ciszę wokół nich. Mia chwiejnie stanęła na nogi. Zaklinacze odchyliłi głowy do tyłu, a z ich gardeł dobywał się

wrzask tak przejmujący, że aż musiała zatkać uszy. Spojrzała w stronę maski Baala i stwierdziła, że czas niemal minął. Zaraz potem do sali wdarł się oślepiający blask. Mia szybko podbiegła do okna i znieruchomiała. Niebo żarzyło się złotym blaskiem, do jego kopuły przyciskały się niezliczone powykrzywiane twarze – były to demony Braskatonu napierające na cienką powłokę rzeczywistości.

Mia odwróciła się gwałtownie i chciała podbiec do maski, lecz Lyskian ją powstrzymał.

– Co zamierzasz? – spytał, a jego głos był tylko szeptem.

– Wiesz, że nie zdołam złamać Rytuału – powiedziała. – Muszę powstrzymać ludzi innym sposobem.

Sięgnęła po maskę, on jednak pokręcił głową.

– Świat Snów nie jest dla ciebie – powiedział z naciskiem. Mia tylko uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie.

– Ten tutaj też nie – odparła cicho.

Lyskian spojrzał na nią, w jego oczach tańczyły Cienie, kiedy opuścił rękę. Mia pochyliła się do przodu i na moment jej wargi musnęły jego policzek. A potem nałożyła maskę i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zniknęła w Świecie Snów.

## Rozdział 53



Grim bez tchu podniósł się na nogi na dachu katedry św. Wita. Cień smoka padał na jego twarz, bitewna wrzawa docierała do niego jak daleki odgłos burzy. Ghrogonianie uwolnili od demonów mnóstwo ludzi, umieszczając ich w okolicach zamku pod kopułami ochronnymi, lecz Dzieci Gniewu z wielkim impetem ponawiały ataki i walka wyglądała jak falowanie roztańczonych cieni. Grim słyszał, jak gdzieś daleko, w dole, na potrzaskanych płytach posadzki Verus zrywa zakłęcie unieruchamiające, lecz nie zwrócił się ku niemu. Stojąc nieruchomo, wpatrywał się w złociste niebo, migotliwie rozpościerające się nad miastem. Wydawało się cieniutką powłoką, za którą wyraźnie odznaczały się ciała demonów, które z szeroko otwartymi ustami napierały na nie od drugiej strony, zupełnie jakby uważały, że w ten sposób mogą przerwać granicę między dwoma światami.

– Jesteście głupcami – powiedział Verus, łądując za plecami Grima. – Naprawdę myśleliście, że zdołacie złamać Rytuał? Czyżbyście nie wiedzieli, że Rytuał i ja to jedno i to samo?

Grim zwrócił się w jego stronę. Na ustach demona igrał szyderczy uśmieszek. Verus wyciągnął rękę i przesunął nią po blankach murów po lewej stronie Grima. Jego dłoń przemieniła się w część murów katedry, by w chwilę później znowu stać się dłonią demona.

– To ja jestem Rytuałem – ciągnął Verus. – To ja jestem murem, na którym stoisz, i wkrótce będę też powietrzem, którym oddychasz. Umożliwia mi to Płomień, ponieważ go przeniknąłem!

– Nie jesteś Bogiem – odparł Grim. – I dla ciebie także wyznaczone są granice.

Verus zaśmiał się zimno.

– Jeśli idzie o granice, to wiesz coś o tym – powiedział cichym

głosem. – Lecz ja jestem czymś więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Nie masz pojęcia o mojej mocy, podobnie jak Mia. Jej się wydaje, że zdoła mnie powstrzymać, lecz pobłądzi w Świecie Snów, do którego ją zapędziłem! Ja jestem jej śmiercią... i w żaden sposób nie możesz tego zatrzymać!

W tym momencie Grim rzucił się do przodu. Jego pięść trafiła Verusa z takim impetem, że demon uderzył plecami o szpon smoka, a zanim zdążył przyjść do siebie, Grim złapał go za gardło, rozpostarł skrzydła i przeleciał z nim przez dach katedry. W pierwszym momencie dachówki rozprysnęły się na wszystkie strony, Grim widział, jak spadają niczym płonące odłamki, ale potem wniknął z powrotem do wnętrza katedry, czuł ich blask na twarzy i kiedy jego ciało stało się jednością z murami katedry, z przyporami łukowego sklepienia, ze zwęglonymi marmurowymi kolumnami, popłynęła przez niego potęga Płomienia, tak zimna i tak rozpalona zarazem, że odebrała mu wszelki ból. Trzymając Verusa za gardło, przedarł się przez okoliczne domy, stawał się konstrukcjami dachowymi i belkami, poddaszami, spalonymi podłogami i tumanami popiołu. Widział siebie od zewnątrz, był już tylko migotliwym zarysem i nawet nie poczuł uderzenia Verusa, kiedy ten go od siebie odrzucił.

Wylądowali na płaskim dachu. Grim przejechał po ostrych dachówkach, zdzierając skórę, ale zanim jeszcze zdążył stanąć z powrotem na nogi, smagnął Verusa ognistym biczem i powalił go na ziemię. Zerwał się natychmiast, uniósł pięść, by wypuścić z niej wir... za późno jednak dostrzegł iskrę, która oślepiła go, z hukiem eksplodując przy jego twarzy. Zaraz potem trafiła go błyskawica wypuszczona przez Verusa. Ból eksplodował w ciele Grima. Otoczył go oślepiający blask i kiedy Verus poderwał go swoją magią w powietrze, potężne uderzenia prądu wstrząsały jego ciałem, zaciskając mu gardło. Z jego ust wydobyło się sapnięcie, przez chwilę miał wrażenie, że jego mięśnie rozedrą się, tak bardzo były napięte, zmusił się jednak, by przebić wzrokiem błyskające światło i spojrzeć w dół, na Verusa. Nie posiadając się z wściekłości, Grim zacisnął dłonie w pięści i wyrzucił je przed siebie, chociaż czuł, że od tego ruchu mogą popękać mu wszystkie kości. Złapał błyskawicę w potężnym uścisku. Jej magia wciniała mu się głęboko w

ciało, wnikała do jego żył rozżarzonymi ostrzami, ale Grim nie odwrócił wzroku i nie rozluźnił chwytu. Z rykiem rozerwał błyskawicę na dwoje.

Verus uderzył plecami o komin, aż cegły się roztrzaskały. Kiedy demon stanął na nogi, zdawał się nie zauważać, podobnie jak Grim, pełzających po dachu błyskawic, które zaraz zgasły. Grim w milczeniu patrzył na krew, która spływała z wargi Verusa. A potem, zupełnie jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie, zobaczył, jak Verus unosi dłoń, przykłada ją do ust i ze zdumieniem patrzy na swoją własną krew, jakby była jakimś cudem. Potem w milczeniu popatrzył na Grima, a ten nie potrafił rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Czy to był ból? Zdumienie? Gniew? Nie miał pojęcia. W tym momencie oczy Verusa rozbłysły i stały się dwiema otchłaniami ze złotych Cieni.

*Przypomnij sobie, rozległ się w głowie Grima cichy głos demona. Przypomnij sobie złociste niebo!*

Jego uśmiech posłał do myśli Grima obraz katakumb. Było to niczym cios pięścią, zanim jednak Grim zdążył zareagować, Verus zeskoczył z dachu i popędził przez tłum walczących. Grim rzucił się za nim. Z przerażeniem patrzył, jak demon przesuwa dłonią po kilku kopułach ochronnych i zebrani pod nimi ludzie padają na ziemię, a welon szarości pokrywa ich skórę. Grim czuł, że Verus przywłaszczył sobie ich siłę i zaczął w nim narastać gwałtowny gniew. Nie dopuści, żeby demon odebrał im życie, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości!

Tak szybko, jak tylko mógł, pędził za Verusem, który właśnie wystrzelił pionowo w niebo, ale w tym samym momencie przez powietrze przetoczył się grzmot, który wymiótł Grimowi wiatr spod skrzydeł. Zatoczył się w powietrzu i zobaczył Verusa pędzącego z góry na smoka, jakby był spadającą z nieba gwiazdą. Demon z hukiem wbił się w potężny smoczy kształt. Ziemia zadrżała tak gwałtownie, że wielu walczących straciło równowagę, a w następnej chwili ze smoczego ciała wystrzeliły jaskrawe płomienie. Strumienie żaru z jego ciała topiły skałę, aż wreszcie smok wyprężył się i wydał przenikający do szpiku kości ryk. Snopy iskier wystrzeliły nad polem bitwy, Grim uskoczył przed ścianą ognia i wylądował na dachu obok, ale za nic nie potrafił odwrócić się od widoku, jaki miał przed sobą. Wpijając się szponami w mury zamku, stał

przed nim kamienny smok o ciele poprzetykanym płomieniami. Z szumem rozpostarł skrzydła i uniósł się w niebo. Każde uderzenie jego skrzydeł było jak grzmot, a kiedy odwrócił się, wbijając spojrzenie w Grima, po twarzy Gargulca przesunęły się rozpalone języki żaru. Grim wyraźnie rozpoznawał w tej potężnej istocie Verusa, słyszał jego śmiech, zimny i okrutny... w tym momencie smok otworzył paszczę i posłał w stronę pola bitwy ogromną kulę ognia.

Krzyki rozdarły powietrze. Ghrogonianie cofnęli się przed straszliwą ścianą ognia, a ciała ludzi wyglądały tak, jakby już stały w płomieniach. Grim nie wahał się ani chwili. Z ogromną szybkością rzucił się w stronę magii, raz jeszcze wchłonął w siebie krzyki Innostot i naznaczone bezradnością twarze ludzi... i chwilę potem nie słyszał już nic, tylko huk Płomieni wokół siebie. Zamknęły go w sobie, a kiedy żar pochłonął jego czar ochronny i z przeraźliwą siłą wniknął w jego ciało, przez welony płomieni przeniknął do niego głos Verusa. Przy każdym dźwięku Grim wysyłał mu swój gorący oddech, cały czas przedzierając się na lodowato zimnych skrzydłach swojego Płomienia przez kolejne warstwy Ognia, w stronę największego żaru tej magii, tam, gdzie nie było już nic więcej tylko biała Iskra.

*Ty pozbawiony ojczyzny Hybrydzie, powiedział cichym głosem demon. Walczysz z tym, który cię stworzył... z jedynym głosem, który może cię uwolnić!*

I znowu Verus wybuchnął śmiechem, i ten dźwięk wyczarował z Płomieni katakumby Pragi, sprawiając, że Grim poczuł dym z tamtego pola walki, i wypełnił powietrze odległą wrzawą bitewną. Grim czuł piasek pod palcami i bolesne pieczenie w piersi, które stopniowo słabło pod zimnymi palcami Płomienia. Zmusił się do tego, by rozpoznać za tym złudzeniem rzeczywistość. Wiedział, że wciąż znajduje się wewnątrz magii Verusa, lecz nagle prawie w ogóle przestał odczuwać żar. Niczym ognisty ptak pędził przez Płomienie, nietykalny, zupełnie jakby był w stanie unicestwić tę magię jedną jedyną myślą. Czuł spojrzenie Verusa na swoim czole i widział jego szpony na piasku katakumb. Coś jedwabistego trafiło go w twarz, welon, który złagodził jego wyczerpanie i pozwolił mu zaczerpnąć oddech. Leciał przez Płomienie jak we śnie. Tym wyraźniej odebrał mrok katakumb i zimno



w swoim ciele, które przynosiło mu spokój.

*Spójrz na siebie, mówił szeptem Verus, jakby naprawdę stał tuż przed nim. Jesteś bezbronny jak ludzkie dziecko. Czemu się wahasz? Czemu wzbranasz się przed byciem tym, kim możesz się stać? To jest więcej, o wiele więcej niż wszystko, co było możliwe w twoim świecie!* Demon przerwał na chwilę i Grim wiedział, że Verus się uśmiecha. *Pójdź za mną. Inaczej spłoniesz w moim Ogniu tak jak wszystko, co kochasz.*

Przez krótką chwilę jego głos wypełniał Grima, który nagle poczuł, że coś bierze go pod brodę, aby musiał spotkać spojrzenie Verusa. Zanim jednak zdołał zobaczyć jego uśmiech, wypuścił powietrze z płuc. Iluzja wokół zadrżała, wyraźnie zobaczył, jak wewnętrzny welon magii za jej powierzchnią rozrywa się na dwoje, przecięty białym światłem.

*Mylisz się, powiedział dudniącym głosem. Żaden Płomień tego świata mnie nie spali. Jestem bowiem Dzieckiem Ognia i jego moc należy do mnie!*

Wyrzucił przed siebie pięść i kiedy iluzja wokół niego zaczęła się rozpadać, mocnym chwytem złapał rozżarzoną Iskrę. Żar wniknął w jego ciało, lecz odepchnął od siebie ból i wysłał do wnętrza tamtej magii swój własny Ogień. Iskra zabarwiła się na czarno i rozpadła z hukiem. Grim widział niczym w zwolnionym tempie, jak jej okruchy zamieniają się w wirujący dym, który rozchodził się na brzegach w stożkową falę uderzeniową przechodzącą przez Płomienie, by je ostatecznie zdusić.

Grim opuścił się niżej poprzez dym. Ghrogonianie i demony znowu byli spleceni w walce, lecz ludzie, którzy nie stracili przytomności, patrzyli w jego kierunku zdumieni. Widział niezwykle blask w ich oczach, magię, która sprawiała, że ich twarze wyglądały zdumiewająco młodo... a w chwilę później przerażenie, które wykrzywiło ich rysy. Grim odwrócił się gwałtownie i zanim usłyszał grom rozdzierający powietrze, z dymu wyłonił się Verus jako złoty smok.

Grim w ostatniej chwili zrobił unik przez jego ognistym oddechem. Pospiesznie wyczarował rozżarzoną włócznię i wbił ją Verusowi w bok, aż czarna krew chlusnęła na pole walki. W tym momencie smok machnął ogonem i trafił Grima z ogromnym impetem. Grim wylądował na dachu

jednego z sąsiednich domów i kiedy ostatkiem sił wsparł się o komin, miał wrażenie, że każda kość jego ciała rozpadła się w proch. Niewyraźnie dobiegały go wrzaski ludzi, okrzyki walczących. Próbował się podnieść, ale nie zdołał. Krew lała się z głębokiej rany na jego piersi, czuł, że ma połamane żebra. Czar leczniczy chłodno płynął w jego żyłach, ale Grim wiedział, że nie będzie on dostatecznie szybki. Już słyszał pierwotny ryk, który rozdarł powietrze na strzępy, ryk, który znał zarówno żar Pierwszego Czasu, jak i Ognie Ostatniej Godziny.

A potem, przy akompaniamencie potężnych uderzeń skrzydeł, wylądował przed nim smok.

## Rozdział 54



Mgły Świata Snów przeredziły się. Zabarwiły się delikatną bielą i kiedy rozerwały się przed oczami Mii, za nimi ukazał się obraz pustyni z gwiazdnego pyłu. Ciągnęła się ona połyskliwie przez wydmy i wzgórza aż po horyzont, dając odpowiedź atlasowemu niebu wiszącemu nad ziemią głęboką czernią, pozbawioną jakiegokolwiek iskry.

Mia czuła na twarzy lodowaty dotyk konstrukcji maski. Artefakt przeniósł ją do tego świata, ale nie kierował jej krokami. Przez moment wydało jej się, że w czarnym żarze maski albo gdzieś całkiem z tyłu, w swoich myślach słyszy śmiech Verusa i poczuła strach. Pospiesznie wykonała pierwszy krok. Musi odnaleźć ludzi, nie może tak stać na tej pustyni, której w dodatku w ogóle nie ma.

Ledwie to pomyślała, powietrze wypełnił szum. Podniosły się tumany pyłu, które zaczęły się formować w drzewa i krzaki, w sarny prześlizgujące się przez las i kiedy Mia potknęła się i upadła, stłukła sobie kolano o kanciaste kamienie. Czuła ból, krew ciekła jej po skórze i nic nie mogła poradzić na to, że strach wbijał szpony w jej ciało. Podniosła się i chwyciła za maskę, bo nagle zaczęła się wręcz dusić. Dokąd ma teraz pójść, dokąd? Doskonale wiedziała, że żaden człowiek nie ma szans przemierzyć Świata Snów, chyba że w ramionach istoty z Międzyświata. Co też jej przyszło do głowy, żeby tu przyjść?

Potknęła się znowu. Dziwna mgła snuła się między drzewami i jakby od niechcienia zabrała jej strach. Mia omal tego nie zauważyła. Przejechała dłonią po oczach, opar wniknął w jej ciało, jej spojrzenie powędrowało w stronę kielkujących roślin pnących się w ciemność tysiącem barw liści, i czuła nieodpartą potrzebę zatańczenia z mgłą gdzieś wysoko nad chmurami. Wiedziała, że może to zrobić, bo mogła zrobić wszystko, co tylko chciała – była przecież w Świecie Snów.

Coś musnęło jej dłoń, był to motyl, czarny i jakby posypany pyłem kryształków. Odleciał, ale zaraz się zatrzymał i obejrzał – podążyła za nim. Coś uciskało ją w czoło, nie miała pojęcia, co to jest, ale nie zwracała na to uwagi. Wszystko, co widziała, to tylko migotliwe iskry spadające ze skrzydeł motyla, które stawały się złotymi kwiatami na skraju ścieżki, dotykały jej stóp i pozwalały jej frunąć jak puchowi dmuchawca. Śmiała się, zrobiło jej się tak lekko na sercu, że chwyciła mgłę, a ona ciągnęła ją za sobą, coraz szybciej i szybciej, aż Mia już nic wokół siebie nie widziała poza roztańczoną ciemnością. Zakręciło jej się w głowie, lecz było to przyjemne uczucie i kiedy wylądowała na miękkim gruncie i ujrzała jezioro rozciągające się przed nią jak prześcieradło z czarnego jedwabiu, nie zastanawiała się, gdzie się dokładnie znajduje. W jakimś świecie? W jakiejś myśli? W jakimś słowie? Nie dbała o to, podobnie jak o to, w jaki sposób dotarła w to miejsce. I ujrzała iskry gwiazd podnoszące się w górę z mroku jeziora, promienne i piękne. Poczła skurcz gdzieś w środku, zupełnie jakby już kiedyś widziała podobny obraz, poczuła zapach atramentu i pergaminu, ale nie przedarł się do niej tak do końca, czuła się zbyt lekka, zbyt unosząca się w powietrzu, by mógł z tego powstać w jej głowie jakiś obraz. Pochyliła się i dopiero kiedy ujrzała w tafli wody swoją twarz – maskę, która diabelskim sposobem przywarła do jej rysów – rozblęły przed nią oczy Dumy i patrzyły na nią z ciemności jeziora.

Przestała oddychać, kiedy Golem objął ją spojrzeniem. Pytał ją o coś, ale nie rozumiała jego słów, wiedziała, że musi coś zrobić, coś, co zgubiła na pustyni, w barwach samotnego lasu i w czasie lotu w ramionach mgły. Chwyciła się za gardło, spazmatycznie łapała powietrze i wraz z zaczerpniętym oddechem do jej płuc przedostał się zapach poddasza.

### *Wspomnienia.*

To słowo trafiło ją jak cios. Zatoczyła się w tył, ale nie oderwała wzroku od oczu Dumy. Podążyła ścieżkami Świata Snów, zgubiła się, samotna i bez szans ratunku. Ale dlaczego tu przyszła? Dlaczego? Czuła cięcie, jakim te słowa rozorały jej pierś, i nagle ujrzała czyjąś twarz pojawiającą się w oczach Dumy. To była jej matka. Patrzyła na nią i Mia znów czuła jej dłoń w swojej, i ciepło, które ją otaczało, zanim matka

zniknęła. W oczach Dumy czaił się śmiech, lecz zaczęły one rozmywać się w falach, jakie wywołała Mia, wślizgując się do wody. Trzymała się tego żaru, który miała w środku, bo to on ją tutaj przyprowadził – to była rzeczywistość. Ona ją poprowadzi.

Zanurkowała w głąb jeziora. Oczy miała otwarte i gdy przywoływała w pamięci twarz Josi i głos matki, prześlizgiwała się przez płonące nieba, przez oceany z pyłu i barw, wdrapywała się na góry, sięgające wyżej niż tysiąc słońc i spadała głębiej niż najgłębsza otchłań. Uderzało ją tchnienie lodu i mrozu, rozżarzonego gorąca, a także zapachu wiosny, płynęły ku niej fale z papieru i im głośniejszy stawał się śmiech, który przenikał do jej myśli przez maskę, tym wyraźniej słyszała słowa matki i tym mocniej czuła uśmiech Josi na swojej twarzy.

Prawie nie zauważyła welonów, które nagle się przed nią pojawiły, snując się nad horyzontem niczym światła zorzy polarnej. Za nimi dostrzegała rozmazane zarysy – budynki, ulice i niebo świata, który właśnie opuściła i który jej nie przyzywał z powrotem ani jednym słowem. Widziała ludzi, którzy stali przy granicy, z niemym impetem napierali na płomienie, a kiedy znalazła się za nimi na spalonej ziemi, a oni jak na komendę odwrócili się w jej stronę, cała krew odpłynęła jej od głowy.

Rysy opętanych niemal całkowicie zatraciły ludzkie cechy i kiedy w gniewie otworzyli ociekające śliną usta, Mia przestraszyła się tego, co do niej dotarło. Otóż demony nie odebrały swoim gospodarzom ich człowieczeństwa, one zrobiły więcej, doprowadziły ich do ich własnych granic i zmusiły do ich przekroczenia, tak więc na Mię wyzierała z ich oczu otchłań upadku. Już ruszyły w jej stronę pierwsze demony i zanim zdążyła się cofnąć, przez maskę przebiegł dreszcz i buchnęły z niej płomienie. Potężnymi strumieniami popłynęły w stronę demonów, które stanęły jak sparaliżowane i niemalże tęsknie spoglądały w stronę płomieni. A kiedy ogień położył się na ich czołach, ich twarze przybrały taki wyraz, jak twarze dzieci, które ujrzały anioła. A potem Car'lay Ythemowie ponownie weszli w ludzi, rzucili się w nich jak w głębokie studnie i Mia znów miała przed sobą tylko ich wymęczone, śmiertelnie blade twarze.

Wiedziała, że demony zasnęły, lecz płomienie na czołach ludzi

stały się już szare. Wkrótce powrócą do swojego świata, a wtedy demony znów nad nimi zapanują. Nie wolno jej tracić czasu, ale wiedziała, jak postępować tylko do tego punktu. Nie miała pojęcia, co robić dalej, aby uniemożliwić ludziom przeniesienie do świata realnego. Po plecach przebiegł jej dreszcz, kiedy poczuła na sobie ich spojrzenia. Patrzyli na nią jak na jakąś postać ze snów, bo właśnie kimś takim dla nich była. Oni o niej śnili. W pierwszym impulsie Mia postąpiła w ich stronę. Może zdoła zniszczyć magię maski, kiedy uda jej się obudzić ludzi. Zaraz jednak przypomniała sobie swoją drogę przez pustynię i pył i już wiedziała, że każdy z nich zagubi się w Świecie Snów, jeśli się w nim obudzi.

Maska z bolesnym chłodem przywierała do jej twarzy i kiedy Mia ponownie usłyszała śmiech, śmiech demona, który z niej szydził, zamknęła oczy. To ona nosi maskę, to ona może wykorzystać jej moc. Poczowała wiatr we włosach, kiedy rzuciła się tyłem w Ciemność tego artefaktu, Ciemność, która miękkimi jak atlas pętami oplótła jej nadgarstki, zanim jednak została ściągnięta na najgłębsze dno tej magii, wyrzuciła ramiona w górę. Głos jej się załamał, kiedy wykrzyczała zaklęcie, a kiedy otworzyła oczy, przez maskę prześlizgnął się oślepiający blask, który popędził niczym potężna fala w stronę ludzi i całkowicie ich sobą otulił. Przez moment płomyki na ich czołach znieruchomiały... zaraz jednak rozbłysły ponownie, lekko rozkołysane, będąc dla Mii jak szyderczy śpiew, i rozdarły magię, którą w ich stronę wysłała.

Moc maski rozeszła się po jej ciele tak lodowatym zimnem, że Mia zdjęła ją z twarzy. Bezradnie otarła dłonią czoło. To nie miało sensu. Verus był prastarym demonem, a ona tylko człowiekiem. Nie mogła powstrzymać jego magii swoimi żałośnie śmiesznymi sposobami, nie mogła nic, ale to zupełnie nic zrobić.

Zrozpaczona uniosła spojrzenie, lecz ludzie spoglądali na nią tak, jakby była od nich oddzielona szklaną szybą. Nagle zrobiło jej się tak zimno, że objęła tułów ramionami i zaczęła dygotać. Wiedziała, że jej nie słyszą, że nawet tak naprawdę na nią nie patrzą i kiedy jej się wydało, że rozpoznaje w tym tłumie Josi i swoją matkę, a płomyki na czołach ludzi stawały się coraz bardziej szare, upadła na kolana i

zapłakała. Nie mogła do nich dotrzeć, żadnym ze sposobów, których próbowała, a ludzie tylko stali i wpatrywali się w nią i nic nie wiedzieli o jej istnieniu.

*Słuchaj tego, kim jesteś.*

Mia aż się skuliła, tak nagle słowa Lyskiana pojawiły się w jej myślach. Lecz to nie jego głos je do niej przyniósł. Był to głos dziecka, małej dziewczynki mającej może z sześć lat. Mia aż się przestraszyła, kiedy poznała samą siebie, ale wtedy stwierdziła, że patrzy w obcą twarz dziecka, dziewczynka stała w tłumie w odległości zaledwie kilku kroków od niej. Patrzyła na nią jakby nieobecny wzrokiem, a w jej oczach było coś... Mia usłyszała, jak wzbiera w niej śpiew ciszy, ledwie słyszalny na razie, a jednak tak wyraźny, że podniosła się z kolan. Skupiła wzrok na płomyku na czole dziewczynki, nagle przypomniała sobie, jak ten płomyk ześlizgnął się z jej skóry, jak go przegnała... swoją magią.

*Możesz przekazać tę iskrę dalej... ponieś swój Płomień w świat, a kto wie – może zdołasz go zapalić swoim snem.*

Mia uniosła lekko drżącą rękę i kiedy jej palce przesuwaly się w powietrzu, powoli, jakby były pod wodą, pojawiły się na nich barwy, a linie obrazu pokazywały twarz młodej dziewczyny – jej twarz, którą pokazała ludziom Paryża, jej portret. Nazwała go *Noir*, a teraz, po raz pierwszy od kiedy ten obraz powstał w jej głowie, zaczęła go malować dalej. Dorysowała ciało dziewczyny, noc wokół niej, dorysowała wieżę, na której stała oraz istotę, która położyła czar na jej twarzy, istotę, która odbijała się w zdumieniu, w magii i oddaniu widocznych w oczach tej dziewczyny, i która rozpałała w niezliczonej rzeszy ludzi istniejących w rzeczywistości tęsknotę za tym, co istniało poza granicą pewności: za cudem i Cieniami. To Grim był tym, który pod jej dłońmi przybrał swój kształt, rysowała go w momencie ich pierwszego spotkania na jego wieży, dokładnie w chwili, kiedy się w nim zakochała, nawet o tym jeszcze nie wiedząc. Tak, rysowała gargulca, mrocznego anioła, który odwzajemnia jej spojrzenie, a tym samym daje początek historii pełnej czarów.

I rysowała dalej, cały świat wokół, rysowała Remiego i Bocusa, Klarę i Fibiego, rysowała Tomkina, Carvena i Mouriera, Theyrona,

Jakuba, Królowę Elfów, Lyskiana, ale też Ghrogonię, wieżę Eiffla w nocy i zdumione twarze ludzi w Świecie Snów, którzy patrzyli jej oczami na obraz w tej przepełnionej szeptami chwili. Zanurzyła się głęboko w chłód, który jakże często ją paraliżował i wysyłał do jej ciała lodowatą rozpacz, i poczuła w sobie moc Płomienia – mrok Płomienia Nocy. Mia rozpałała go w czarny ogień i przypomniała sobie... tak, przypomniała sobie wszystko, przypomniała sobie piękno Innoświata, rozdarcie ludzi i rzeczywistość, z powodu której cierpiała i pogrążała się w rozpacz, i którą zarazem kochała, niezależnie od tego, w którym świecie czuła jej Cienie. Ogień wlewał się żarem w jej rysunek i z ciemności wyłoniły się barwy snów, sprawiły, że obraz zapłonął, pokazując świat takim, jakim mógłby być... takim, jakim był naprawdę.

Mia opuściła ręce. Krańce obrazu gubiły się gdzieś w mieniących się barwach i pociągnięciach pędzla. Błyszczącymi oczami ludzie spoglądali w jej stronę, ale płomyki na ich czołach paliły się dalej, ich ciała blakły i kiedy Mia postąpiła przed siebie, z przerażeniem ujrzała, jak niektórzy z nich stają się już tylko przejrzystymi konturami. Odepchnęła jednak od siebie strach i uniosła głowę. *Nikt was nie uratuje*, powiedziała w myślach i usłyszała, jak ludzie nabierają głęboko powietrza, zupełnie jakby ich dotknęła przez sen. *Żaden mroczny anioł, żadna dziewczyna ze Świata Snów, nawet żadna magia, wylaniająca się z ciemności. Nikt nie stworzy waszego świata, jeśli wy sami tego nie zrobicie. Możecie się zdecydować, tylko wy sami, i możecie obudzić do życia to, co sobie wymarzą w śnie. Życie może być bardziej rzeczywiste od wszystkiego, co znacie! Ale musicie w to uwierzyć. Macie w sobie dość siły, by to zrobić.*

Cisza, która teraz nastąpiła, zacisnęła się wokół gardła Mii. Lecz nagle usłyszała tchnienie jakiegoś dźwięku, może to był cichy szept, i dziewczynka, która na nią patrzyła, postąpiła do przodu. Bez słowa wyciągnęła przed siebie rękę i kiedy Mia przysunęła jej dłoń do skraju obrazu, barwy Świata Snów skupiły się w jej palcach. Dziewczynka z wahaniem zaczęła rysować, kontynuowała obraz stworzony przez Mię i kiedy tylko wykonała pierwsze pociągnięcia, z obrazu wyfrunął potok mieniących się kolorami kartek. Rozbłyskując poszybowały w stronę ludzi, którzy także zaczęli kontynuować obraz. Barwy wystrzelały spod



ich palców, niebo stało się lila, niebieskie i fioletowe, Mia ujrzała trolle przemykające się przez podszycie Siarkowego Lasu, ujrzała zielone koboldy i oblicze Królowej Śniegu w jej pałacu na dalekiej Północy. *To jest właśnie magia*, wyszeptała Mia, spoglądając w oblicze Królowej. Czyżby Królowa uniosła brwi na obrazie, który namalował człowiek? Czyżby się nawet uśmiechnęła?

Płomyki zniknęły z czoł ludzi i Mia prawie nie czuła łez, które ciekły jej po twarzy. Udało jej się uchronić świat przed nawiedzeniem przez demony, lecz jeszcze nie zwyciężyła do końca. Teraz zadaniem Grima było pokonać Verusa, by odesłać demony z powrotem do Braskatonu i umożliwić ludziom powrót. Patrzył na nią z obrazu i zatekniła do niego tak bardzo, że pragnęła jednocześnie wzlecieć i rozpaść się na kawałki. To odczucie łopotowało w jej piersi jak skrzydła motyla i wiedziała, że nie była z tym osamotniona. Ludzie wokół niej czuli to samo. Po raz pierwszy bowiem od czasu, kiedy w zimne noce Grim czuwał nad ich losem, ryzykując dla nich własne życie i przelatując dla nich przez wszelkie nieba i wszelkie piekła – mogli go zobaczyć.

## Rozdział 55



Coś tkwiło w płucach Grima. Czar leczniczy bardzo wolno zasklepił jego rany i kiedy Grim próbował się podnieść, przesywający ból sprawił, że z jękiem osunął się z powrotem. Mroczne tumany przesuwały się przed jego oczami, nie potrafiłby powiedzieć, czy były to chmury popiołu, czy może dłoń niemocy szarpiącej jego świadomość. Zatopił szpony w dachu i zmusił się, by podnieść wzrok. Nie będzie chylił głowy przed smokiem, który nie jest żadnym smokiem.

Verus w całym swym w mrocznym majestacie postąpił ku niemu. Jego ciało poprzetykane było żyłami ognia, połyskliwe łuski pokrywały jego kończyny, a potężny łeb smoka zdawał się uśmiechać, kiedy niby to przypadkiem Verus ciągnął ostrymi jak brzytwy szponami po dachu. Grim czuł żar tłący się w gardzieli demona, wiedział, że tamten nie zawaha się spalić go swoim ognistym oddechem. Od stuleci czekał na moment, kiedy będzie go miał bezbronnego u swoich stóp. I właśnie nadeszła ta godzina.

Ostatkiem sił Grim zacisnął pięść i posłał Czar Pioruna prosto w pierś smoka. Czar rozdarł mu skórę, lecz zanim w oczach Verusa zdążyło pojawić się coś jakby gniew, rana już się zasklepiła. Smok nabrał głęboko powietrza i kiedy rozwarł paszczę, z jego gardzieli buchnął potężny strumień ognia. Grim poderwał w górę osłonę. Czuł rozpalony żar na skórze, lecz zanim płomienie zdążyły go dotrzeć, pomiędzy nim a żarem pojawił się cień jakiejś postaci, która poderwała ramiona w górę, wyczarowując srebrzysty wał, połyskujący jak światło gwiazd. Płomienie ześlizgiwały się po osłonie, omijając Grima świetlistymi tunelami, aż wreszcie strumień płomieni zgasł. Cicho szepcząc, tumany dymu snuły się w powietrzu, oczy Verusa płonęły gniewem. Przed nim, z wysoko uniesioną głową, nieruchomo stał Serafin

z Aten, patrząc mu w twarz z uśmiechem przekory na ustach.

Grim prawie nie widział ran nadal pokrywających ciało brata ani bladości jego skóry, czy też włosów łagodnie poruszanych przez wiatr. Dostrzegł tylko, z jaką godnością stał Serafin przed Verusem, widział, jak pewnie trzymał dłoń na głównej rękojeści miecza i mrok w jego spojrzeniu. Mrok, który cisnął w twarz Verusa, jakby to było pełne pogardy splunięcie.

– Proszę, proszę – powiedział demon i przechylił groźnie głowę. – A więc jednak wypełzłeś ze swojej kryjówki. Odważyłeś się wyjść ze snów, ty, który nigdy nie będziesz już czymś więcej niż tylko liściem na wietrze!

Grim poczuł, jak powietrze zdrząło od tych słów, lecz Serafin zdawał się tego nie zauważać. Mierzył Verusa spojrzeniem wyrażającym nieskrywaną pogardę.

– Nie masz pojęcia o Snach – odrzekł wreszcie zimno. – Nigdy zresztą nie miałeś. I dlatego nie masz pojęcia, jaka moc może wydobyć się ze świata, który leży poza obrębem wszystkiego, co można uchwycić w dłonie lub objąć niedoskonałym umysłem. Jesteś duchem, demonem z Cieni, niczym więcej. Zawsze tak było. Czemu zatem miałbym być zaskoczony, że czujesz strach przed światłem, jak za dawnych czasów?

– Światło – powiedział cicho demon, zupełnie jakby to była jakaś obrzydliwość, która nie wiadomo jakim sposobem znalazła się na jego języku. – Pokażę ci, co znaczy światło, głupi kamienny człowieku. Pokażę ci, jak jasno może płonąć w świecie, który zna prawdziwe Cienie i prawdziwy Blask! I kiedy już spali cię moje światło, ciebie i każdy z twoich żalonych snów, przez wszystkie następne lata, które od teraz spędzisz ślepy i głuchy w ciemności, będziesz wspominał tę chwilę!

Wymamrotał coś i na jego skórze zamigotały czarnym żarem znaki, by po chwili wniknąć w ciało Serafina, ale ten tylko pokiwał głową.

– Ogień Prometeusza może ci złożyć u stóp cały świat. Może otworzyć przed tobą oceany i góry i oddać w twoje ręce głosy lasów. Ale nie może ci dać tego, czego tak naprawdę pożądasz, ponieważ także on wie, co to słabość... zupełnie tak samo jak ty!

Z tymi słowami skoczył do przodu tak szybko, że Grim zobaczył

tylko rozmazany zarys jego postaci, i trafił Verusa ciosem miecza tuż pod okiem. Smok odskoczył, z jego gardzieli wydobył się ryk. Grim z satysfakcją patrzył, jak po twarzy Verusa spływa czarna krew i kiedy Serafin ponownie zadał cios, tym razem błyskawicznie trafiając go w kark, w Grima jakby wstąpiła nowa siła. Znów mógł nabrać powietrza w płuca i kiedy Verus zamachnął się do ciosu, a Serafin w ostatniej chwili zdołał wykonać unik, Grim zerwał się na nogi i trafił łapę smoka potężnym Ciosem Wiru. Verus ryknął gniewnie. Serafin natychmiast wzniósł się w powietrze i kiedy parował ciosy smoka swoim ognistym mieczem, Grim słał w stronę przeciwnika ogniste zaklęcia, od których smok nabierał migocących barw. Serafin błyskawicznie oplątał czar unieruchamiający wokół szyi Verusa i Grim usłyszał, jak demon rzezi. Spojrzał w oczy brata, które żarzyły się czarno, tak jak jego własne i miały w sobie tę samą wolę.

W tym momencie Verus odrzucił głowę w tył. Z potężnym rykiem zdusił czary krępujące jego ciało i zanim Serafin zdążył zrobić unik, demon trafił go z całej siły, powalając na ziemię. Serafin padł. Grim zobaczył krew leżącą się z ziejącej w jego ciele rany, lecz gdy Verus pochylił się nad nim, by go dobić, Serafin ponownie zerwał się na równe nogi. Z przeraźliwym krzykiem wyrzucił przed siebie ręce. Zaklęcie płomieni otoczyło jego ciało srebrzystym światłem i z hukiem trafiło Verusa w szyję, podrywając go w górę i zrzucając w dół, na ulicę. Czarna jak smoła krew smoka zostawiła na dachu błyszczący, złowieszczy ślad. Grim słyszał ryk demona, w którym pobrzmiwał ból, ale i niepohamowany gniew. Odwrócił się gwałtownie, ale zanim zdążył podbiec do Serafina, ten już upadł.

Grim aż się wstrząsnął, patrząc na głęboką ranę tuż pod żebrami brata. Policzki Serafina traciły barwę, a Grim poczuł żar na karku, kiedy Verus pozbierał się z ziemi. Serafin nie musiał nic mówić, bo Grim i tak wiedział, o czym brat myśli. Myślał dokładnie to samo. Serafin nie był już w stanie walczyć, a jego własne szanse w samotnym starciu z Verusem kryjącym się w smoczym ciele były przytłaczająco małe.

W tym momencie Serafin chwycił dłoń Grima. Jego oczy błyszczały jak w gorączce i Grim cofnął się przestraszony, kiedy poczuł ciepło płynące przez dłoń brata do jego ciała.

*Nie, powiedział dudniącym głosem. Nie wezmę od ciebie twojej siły. Jesteś zbyt osłabiony, mogłoby to spowodować twoją...*

Zamilkł i chciał cofnąć rękę, lecz brat uścisnął ją z nadspodziewaną siłą.

*To jedyna droga. Przybyłem tu po to, by cię uratować, i na pewno to zrobię. Stań się tym, kim jesteś, Grimie! Stań się Dzieckiem Ognia zasługującym na to imię!*

Uchwycił dłoń brata jeszcze mocniej, gwałtowny ból przeniknął żyły Grima, kiedy Serafin przesłał mu swoją siłę. Przez moment słyszał, jak serce brata bije równo z jego sercem.

*To nie jest krew rozpaczy, powiedział cicho Serafin, puszcżając jego dłoń. To krew Pierwszej Godziny.*

Grim poczuł, jak ścisną mu się gardło, kiedy powtórzył słowa, które powiedział do Serafina wtedy, w Sali Królów, i które brat odrzucił, by podążać ścieżką Czarnego Płomienia.

*W rzeczywistości nasza droga prowadzi do Oceanu Nocy. Bo jesteśmy w krainie wolności i nosimy na naszym czole znak ognia – znak...*

*...zmiany, dokończył zdanie Serafin. Świat Snów jest nieskończony, mój młodszy bracie. Odnajdziesz mnie, kiedy poszukasz mnie w jego Cieniach.*

Grim zobaczył jeszcze na twarzy Serafina uśmiech, który sprawił, że nagle stała się młoda. A potem kontury jego ciała rozmyły się i Serafin zniknął.

Kiedy ponownie z dołu dobiegł ryk niczym ponure przekleństwo, na dachu pojawiły się delikatne rysy. Zaraz potem Grim usłyszał skórzasty dźwięk rozpościerających się skrzydeł i poczuł żar powietrza, które od ryku Verusa zabarwiło się żarem. Nie zwlekał ani chwili. Wstrzymawszy oddech, rzucił się w głąb samego siebie, moc Płomienia skąpała go potężnymi strumieniami, wokół niego kipiała Ciemność, a kiedy ją wezwał i zaczął formować, przeniknął go żar, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie czuł. Żar pędził przez jego żyły, Grim słyszał ryk, rozrywający mu płuca, słyszał, jak pękają i formują się na nowo jego kości. Uniósł się w powietrze, a z jego pleców wyrosły potężne skrzydła, i wtedy ogień, który wydobył się z jego gardła, był już Ogniem

Pierwszego Czasu – Płomieniem Prometeusza. Ogromny cień przemknął nad polem bitwy, gdzie zwycięstwo przechylało się na stronę Ghrogonianian – był to jego cień mający kształt smoka. Kiedy rozpostarł ramiona, zobaczył potężne, czarne łapy. Żar Płomienia płynął w jego żyłach z lodowatą siłą, każąc mu pędzić coraz szybciej i szybciej, a kiedy odrzucił głowę w tył i wydał ryk, jego głos sprawił domy w drżenie. Zaśmiał się, nie panując nad sobą. Przecież jest smokiem, u diabła, i rozcinał skrzydłami powietrze, jakby był cieniem z przeszłości, zrodzonym z najgłębszej głębi tego świata, i jakby stworzono go po to, aby ten świat zniszczył. Ledwie to pomyślał, ujrzał przed sobą lisa. Był śnieżnobiały, a jego imię brzmiało Rhu.

*Przyjacielu, jeszcze nie widziałeś płonącego świata, powiedział lis ledwie słyszalnym szeptem. Ale ten dzień nadejdzie, podobnie jak Ogień Ostatniej Godziny. Ogień, który ty podłożysz.*

Grim zacisnął pięści i z całych sił odepchnął od siebie zimno Płomienia.

*Nie*, powiedział dudniącym głosem, albowiem nie przybył po to, by zepchnąć świat do otchłani. Przybył po to, by go uratować.

W tym momencie Verus wystrzelił w niebo spomiędzy domów. Majestatycznymi ruchami skrzydeł unosił się w powietrzu w smoczej postaci, z wściekłością zamiatał ogonem po dachach domów, roztrzaskując je w gruzy, a kiedy jego cień położył się złościście na polu bitwy, jego blask padający na demony wlał w nie nowe siły. Sprawił, że zaczęły błyszczeć w ciemności i przeciw niepowszymaniu do przodu. Jednocześnie wsącał jad do ciał Ghrogonian, który odbierał im siły. Grim nie mógł znieść tego krzyku, z jakim Dzieci Gniewu w dzikim triumfie rzuciły się na swoich przeciwników. Złożył skrzydła tak, że przylegały do jego ciała, i pędził na spotkanie Verusa. Z hukiem gromu zderzyli się wysoko na niebie, wokół nich tryskały snopy iskier i Grim czuł je na skórze niby krople deszczu.

Zatopił szpony w ciele Verusa, z jego palców wystrzeliły strumienie ognia, ale poczuł też żar, jaki demon wysyłał do jego ciała. Pędzili przed siebie z oszałamiającą prędkością, ich ciała pozostawiały ognisty ślad w potrzaskanych fasadach domów, a kiedy strzaskali

budynek kościoła, Grim chwycił spiczastą kopułę wieży i wbił ją Verusowi w serce.

Demon ryknął, odrzucając głowę do tyłu, lecz Grim chwycił go z całych sił i wdarł się w złociste płomienie jego ciała. Na moment otoczył go jeden wielki ból, który wypełniał Verusa, ale Grim nie dał się powstrzymać. Zdecydowanie gnał dalej przez ogień, coraz dalej, coraz dalej w głąb, a kiedy wreszcie dotarł do serca demona, rzucił się w nie głową do przodu. Ból, który eksplodował w jego czaszce, miał postać jaskrawego blasku, lecz już w następnej chwili Grim znalazł się na kamienistym gruncie, a kiedy się podniósł, zobaczył, że stoi na wzniesieniu pośrodku pola popiołu, nad którym rozpięte było złote niebo, a świat w dole płonął, leżąc w gruzach. Grim poczuł ogarniające go przerażenie. Zaraz potem na jego gardle zacisnęła się dłoń Verusa.

*Ty głupcze, wyszeptał demon. Nie odnajdziesz mnie w moich złotych Cieniach... bo mnie nie znasz.*

A potem ścisnął Grima za gardło tak, że zabrakło mu powietrza, i wgrzył się zębami w jego ciało. Grim krzyknął z bólu, czuł, jak demon wnika do jego ciała i pali jego myśli rozżarzonymi dłońmi, a kiedy popędził za nim przez ciemność i chłód, słyszał tylko bicie serca we własnej piersi, serca, do którego zbliżał się właśnie Verus. Jeśli demon do niego dotrze, będzie mógł z nim zrobić wszystko, ale dosłownie wszystko. Grim pędził za nim najszybciej, jak potrafił, a jednak nie udawało mu się doścignąć złotego cienia. Grim nie oddychał, kiedy Verus zanurzył się w świetle przebijającym się przed nimi przez ciemność, ale z jego ust wydobył się warkot, który niemalże odebrał mu zmysły. A potem na jego skórze położył się blask i Grim wylądował na zimnym jak grób gruncie.

Oszołomiony pozbierał się jakoś. Stał w podziemnym kościele, srebrzyste smugi przesuwwały się po posadzce i ścianach. Poczuł zapach, który przesycił powietrze z odwiecznie smutnym spokojem: był to zapach tęsknoty i śniegu, i ciemności, dusza tego miejsca, która wciąż tu była. Ta świadomość przeszła Grima niczym błyskawica i kiedy się odwrócił, ujrzał Verusa stojącego przy organach. Wąskich, czarnych organach, na których grał jeszcze monsieur Pité, i zrozumiał, że demon nie przywłaszczył sobie mocy tego kościoła. Stał bez ruchu i z cichym

uśmiechem gładził dłonią stare klawisze.

*Dziwisz się, powiedział Verus i pokiwał głową, jakby nie spodziewał się odpowiedzi. Nie uda ci się mnie zaskoczyć. Bo ja, demon i twój wróg, stoję w ciemności, stoję tutaj i mógłbym cię rozerwać na kawałki, tak jak ty to zrobiłeś z Labiryntem Cieni, mógłbym kazać cię spalić jak Wodnika i otulić cię twoją własną ciemnością, aż nie miałbyś już żadnych myśli poza moimi. Ale nie uczynię tego.*

Uśmiechnął się, uderzając w jeden z klawiszy. Grim aż się wzdrygnął. Muzyka trwała dalej, była to stara pieśń, która muskała teraz kolumny kościoła i Grimem wstrząsnął dreszcz, kiedy ujrzał blade dłonie monsieur Pité, przemykające po klawiszach, by natychmiast potem zniknąć.

*Od dawna już unosisz się niezdecydowanie, ciągnął Verus, a jego głos brzmiał tak miękko, że Grim zapomniał o gniewie, który pulsował mu w skroniach. Unosisz się między człowiekiem a Gargulcem, miłością a nienawiścią, ciemnością a światłem. Czas to zakończyć, przyjacielu. Chcę zobaczyć, jak latasz, Dziecię Ognia! I jesteś tuż przed tą chwilą, widzę cię na skraju otchłani, dokładnie tam, gdzie chciałem, żebyś był, i to od tak długiego czasu. Możesz polecieć albo spaść – lecz ja do niczego cię nie będę zmuszał. Chcę, żebyś sam się zdecydował. Zdecyduj się podążać drogą swojego przeznaczenia. Aby jednak to zrobić... przypomnij sobie!*

Grim głośno wypuścił powietrze z płuc.

*Bunty w Pradze były dawno temu, odparł. Byłem wtedy młody i niedoświadczony i aż za dobrze potrafię sobie wyobrazić, jakich to mi bajeczek naopowiadałeś, kiedy klęczałem u twoich stóp. Nie wątpię, że chciałeś mnie przeciągnąć na swoją stronę i być może nawet poszedłbym za tobą, gdyby...*

W tym momencie Verus zaśmiał się głośno.

*Nie, to nie były kłamstwa i dobrze o tym wiesz! Co uczyniłeś, kiedy byłeś w Świecie Bogów, by przynieść Płomień, wtedy, kiedy oddałeś ludzkiemu chłopcu jego światło? Jakiego koloru było wtedy niebo? Czy było złote? Tak złote, jak moje Cienie? Verus odrzucił głowę w tył i zaśmiał się raz jeszcze, dźwięcznie i czysto. Przypomnij sobie, przypomnij sobie, pozbawiony ojczyzny Hybrydzie! Raz ci je już*



*zaoferowałem, to niebo, i niewiele brakowało, byś mu uległ! Nie za mną byś podążył... tylko za nim!*

Jego śmiech rozbrzmiał jeszcze głośniejszy, przenikając Grima aż do szpiku kości. Słowa demona rozbrzmiewały w nim potężnym echem. Zatoczył się w tył, jak pod wpływem ciosu, przed jego oczami niczym błyskawice zamigotały obrazy, a kiedy kościół wokół niego zaczął się rozmywać, Grim padł na kolana. Czuł pod palcami piasek katakumb, czuł ich zapach, tak jak wtedy, i czuł też na skórze obecność Verusa tak wyraźnie, jakby muskały ją welony ognia. Dopiero wtedy uświadomił sobie głuchą pustkę, która pulsowała w jego ciele, i wiedział, skąd się to wzięło: nie czuł już mocy Płomienia. Zamiast niego w jego piersi kłębiło się pieczenie, wysyłając gorąco do jego skroni, gorąco, którego nie mógł znieść. Coś w nim krzyczało za zimnem, za jego gasnącym oddechem na skórze, i tak jak wtedy, w katakumbach i na posadzce sali władysławowskiej wiedział, że podejmie decyzję, gdy tylko spojrzy Verusowi w oczy. W te złote oczy, które były jedną wielką obietnicą. Jego spojrzenie prześlizgnęło się w stronę demona, omiotło jego bose stopy i prostą lnianą szatę, i szczupłą, niemal delikatną twarz młodego mężczyzny... I w tym momencie odpowiedział na jego spojrzenie.

Oczy Verusa rozbłysły złocistym światłem, światłem tak czystym, że Grim nie potrafił pojąć jego piękna. Z oddaniem patrzył w płomienie, nie mógł dłużej znieść pieczenia w piersi, żaru pod czaszką, który wychodził naprzeciw blaskowi. W tych oczach kryło się niebo, niebo, które obiecywało zimno i nieskończony spokój. I Grim usłyszał słowa Verusa, chciał za nimi podążyć, jakby chciał tego już od zawsze. Miał wrażenie, że ten płomień jest czarem leczącym, którego moc roznieciło spojrzenie Verusa. Tak łatwo było wpaść w jego żar, oddać mu się i nie czuć już nic więcej, i nic więcej nie wiedzieć, jak tylko złoty blask pod czaszką. Słyszał jego wzbierający głos i wiedział, że wystarczy tylko skłonić przed nim głowę, by poczuć jego moc w całym ciele... ale wciąż się wahał. Być może to przez ten ledwie słyszalny szept, rozlegający się gdzieś głęboko w jego własnej ciemności, jakieś słabe wołanie, którego jeszcze nie potrafił pojąć. A być może przez ten osobliwy blask w oczach Verusa, który sprawiał, że jego rysy wydawały się miękkie i tak bardzo ludzkie, że coś kusiło Grima, by wyciągnąć dłoń i go pogłaskać.

Aż się wzdrygnął, kiedy nagle przedarły się do niego wołania, dziwnie nierzeczywiste, zupełnie jakby docierały do niego w głębokim śnie. Rozpoznał głos Kronka, słyszał też Walliego i kiedy ich kroki zaczęły się zbliżać, Verus z wolna pochylił się w jego stronę. Jego słowa wbijały się w myśli Grima niczym ostrza noży i kazały mu cofnąć rękę, która prawie już dotykała Verusa.

*Ta tęsknota jest częścią ciebie, powiedział cicho demon z zagadkowym uśmiechem. Pogna cię ona w stronę Płomienia, prędeż czy później, i będziesz bez lęku, ponieważ nie będziesz jej łączył z kimś takim jak ja. A jednak to ja jestem tym, w którego ramiona cię ona wpycha, ja jestem tym, który po raz pierwszy dał ci poznać te doznania... i to ja właśnie będę tym, który podaruje ci świat, w którym będziesz już mógł żyć na stałe.*

Grim cofnął się, ciężko oddychając. Znowu był w swoim kościele. Verus stał tam, gdzie przedtem, on jednak musiał oprzeć się o ołtarz, żeby nie stracić równowagi. Wciąż jeszcze jego skórę paliło złoto z oczu demona, aż wydawało mu się, że zaraz spłonie, i chociaż znów czuł w swoich żyłach zimno Płomienia, to jednocześnie żar w środku był tak intensywny, że aż chwycił się za pierś.

Verus podszedł do niego.

*Jesteś urodzony dla tego Płomienia, powiedział. Urodziłeś się, żeby zmienić świat. A teraz masz go w sobie. Jesteś u celu. Podążyłeś za tęsknotą... ponieważ leży to w twojej naturze. Spójrz, kim jesteś, Dziecko Ognia!*

Verus łagodnie położył mu dłoń na skroni, Grim cofnął się odruchowo, lecz do jego czaszki przeniknęło już jaskrawe światło, eksplodując w niej tysiącem iskier. W następnej chwili wszystko było bólem. Zimno w jego wnętrzu wezbrało, wstrząsając całym ciałem, przenikając każdą żyłę i każde włókno mięśni. Z hukiem stłumiło pieczenie w jego piersi, zdusiło je, jakby było ono nie więcej niż bladym wspomnieniem, i zaraz potem Grim nie odczuwał już żadnego bólu, napięcia czy niepokoju. Zamiast tego jego ciało zalała moc Płomienia, pochłonęła go, by stworzyć go na nowo. Czuł jego żar w płucach i wypuścił go z siebie wraz z gromkim śmiechem. Raz już czuł kiedyś coś podobnego. Przypomniawszy sobie Świat Bogów i rozpostarł skrzydła, i

wystrzelił z dachu kościoła, by pognać przez swoje Królestwo Cieni, aż w końcu jako potężny Anioł z ognia wyłonił się z głębin ziemi.

Pod nim rozpościerał się świat ludzi. Przez moment unosił się nieruchomo nad dachami, zaraz jednak rozesał wokoło swoje zmysły i pojął, że jest nie tylko Aniołem spoglądającym z góry na ziemię. Wionął jako wiatr nad Andami, był chłodem Sahary i gorącem ulic Bangkoku, leżał pogrążony w zimowym śnie w lodowatych lasach Północy i palił swoimi promieniami sawanny. Był wszystkim naraz i ledwie o tym pomyślał, zapragnął być czymś jeszcze więcej, jeszcze więcej niż tym, co go otaczało. Rozbrzmiewało w nim jedno, jedyne słowo niby okrzyk bitewny. *Arrmonghur*. Zawołanie Car'lay Ythemów sprawiło, że zacisnął pięści. Kazało mu pognać w dół, aż nad dachy ludzkich siedzib, a kiedy rozpostarł skrzydła i wydał ryk, jedną za ledwie myślą sprawił, że cały świat stanął w czarnych płomieniach.

Jego ogień buchnął z domów, zamieniając je w pył, spalił morza i góry, i utworzył niebo z płomieni. Na moment Grim ujrzał pod sobą Paryż i przyglądał się, jak jego wieża wali się w gruzy, pociągając za sobą w otchłań chłodny mrok jego kościoła. Coś w nim wydało okrzyk, coś jak ukłucie w piersi, zaraz jednak zimno Płomienia podniosło głos i pognało go dalej przed siebie. Pędził nad górami z ognia, nad morzami, które wyparowały, i jednym ruchem palca tworzył je na nowo – nowe morza, nowe góry, nowe miasta i lasy. Powstawały z jego Płomieni, jakby były nowo narodzonymi smokami wykluwającymi się ze skorupki. Drzewa rosły aż do gwiazd, a z ich gałęzi podrywały się kolorowe, ogniste ptaki, a kiedy przywołał morze, i kiedy zamieniał nowe ludzkie miasta w piasek, po którym pędziły granatowe fale, to pędził przez orgię barw z imieniem wolności na ustach. A nad nim stało złote niebo. Grim czuł jego blask na skórze, pieczenie w jego wnętrzu zgasło i patrzył z góry na świat, świat, który właśnie sam stworzył. Nigdy jeszcze nie widział czegoś, co byłoby tak skończone jak ten świat, lecz ze zdumieniem stwierdził, że... nic ona dla niego nie znaczy.

Przeraził się, gdy tak nagle przemknęła mu przez głowę ta myśl, zatruta jak podstępna strzała. Słyszał szept jakiegoś głosu w swoim wnętrzu i był to ten sam głos, który krzyczał, gdy walił się jego kościół. Grim stłumił ryk Płomienia, by móc go zrozumieć.

*Co masz na dnie?*

Na niebie utworzyła się twarz. To był Carven, który patrzył z góry na Grima, w milczeniu i z tym samym przerażeniem w oczach, które mogłoby przedrzeć się przez chłód, gdyby tylko Grim na to pozwolił. Nieruchomo odpowiedział na spojrzenie Carvena. Wystarczyło je tylko odwrócić, drobiazg, rzecz niewarta wzmianki, i nadal pławiłby się w tym bezgłośnym uczuciu, w tym spokoju, wolności, zimnie. Lecz nie odwracał się od Carvena. Zamiast tego pozwalał, by spojrzenie chłopca ogrzewało jego ciało, znosił jakoś to pieczenie, od którego pierś wypełniła mu się płomieniami, i czuł echo bólu Carvena w swoim wnętrzu. Chłopiec uśmiechnął się. W jego oczach pojawił się ocean, czarna głęboką czernią i aksamitnie gładki, i w następnej chwili otoczył Grima – nieskończone morze Cieni i wspomnień. Grim zanurzył się w nim i zobaczył chłopca z małym smokiem, siedzącego na podłodze wśród niezliczonych ksiąg. Zobaczył go na swoich plecach, kiedy lecieli zdecydowanie za blisko dachów Paryża, a także Remiego, który czekał na nich, marznąc na mrozie, Kronka na wzgórzach pola bitwy, Bocusa, Klarę i Fibiego czekających na niego w knajpie *Zmierzch* i zanurzył się jeszcze głębiej, aż wokół nie było już nic, jak tylko łagodna, rozedrgana cisza i ciemność. A tam, w najspokojniejszym i najbezpieczniejszym miejscu w jego oceanie, odnalazł najpiękniejszy obraz, jaki posiadał.

Ukląkł przed nim. wyraźnie czuł zimno Płomienia w swoim ciele i słyszał jego obietnice, ale już nie zwracał na nie uwagi. Jego wzrok spoczywał na widniejącym przed nim obrazie. I kiedy tak patrzył na młodą kobietę, której twarz on pokazywał, to miał wrażenie, jakby widział ją po raz pierwszy. W jej oczach dostrzegł czar, a kiedy odwzajemniła jego spojrzenie, także tęsknotę i oddanie, które i on odczuwał. I pozwolił pieścić się wichrowi, który w sobie nosiła, i ani na moment nie odwrócił spojrzenia.

Ostrożnie ujął obraz w dłonie i popłynęło z niego ciepło, które łagodnie wniknęło do jego ciała i w jednej chwili strzaskało ten chłód, ten fałszywy spokój, który go wypełniał. Jednocześnie zaś złagodził pieczenie w jego piersi, które teraz było już tylko niczym zwykłe zadrapanie. Rzadko kiedy Grim odczuwał taki spokój jak w tej chwili.

Mia spoglądała na niego z tego świata, do którego się udała, czuł to

dokładnie. Był to świat z barw i kiedy wyciągnął w jej stronę dłoń, w tej samej chwili i ona uniosła swoją, i dotknęła jego palców. W jej oczach był uśmiech, od którego przeszedł go dreszcz, i kiedy jej obraz zaczął znikać w delikatnym rozfalowaniu, barwa jej świata została na opuszkach jego palców.

Mrok kościoła otoczył go jedwabistą ciszą, kiedy przyszedł do siebie u stóp Verusa. Powoli uniósł głowę. Demon patrzył na niego z góry, w jego oczach było chłodne oczekiwanie.

*Masz rację, powiedział cicho Grim i dostrzegł wyraz triumfu na twarzy Verusa. Mając Płomień Prometeusza, mógłbym być Bogiem. Mógłbym panować nad światem, mógłbym ujarzmić życie i śmierć, i uczynić miłość mego życia nieśmiertelną. A przede wszystkim osiągnąłbym to, za czym twój lud tęskni od zawsze: Arrmonghur. Tak, mając Płomień Prometeusza, byłbym wolny... tak przynajmniej sobie myślisz. Zapomniałeś bowiem o jednym, o pewnym drobiazgu. Powoli wstał i zbliżył się do Verusa tak blisko, że jego złote włosy poruszały się w jego oddechu. Wtedy nic by to już dla mnie nie znaczyło, powiedział szeptem i dostrzegł zdumienie w oczach Verusa. Może i jestem Dzieckiem Ognia, lecz to ja decyduję, którą drogą pójdę. I na pewno nigdy nie rzucę się w twój chłód... chłód, którego nie zdoła ogrzać żaden ogień tego świata. Ponieważ w tym chłodzie, Złoty Cieniu, jest się martwym!*

Zdołał jeszcze dostrzec przestרח na twarzy demona, lecz zanim ten zdążył cokolwiek zrobić, Grim uniósł dłoń i szponami rozorał mu pierś w poprzek. Rana była głęboka, na wpół rozdarty Verus zatoczył się w tył i Grim rzucił się w jego ciemność, w chłód i pustkę, jaka się w nim kryła, a kiedy demon rzucił się za nim w pogoń, posłał w jego żyły moc swojego Ognia.

W jednej chwili ciemność przeszła wrzask tak przeraźliwy i przenikający do szpiku kości, że Grimowi odebrało dech. Dalej jednak uciekał przed falą bólu, pędził przed siebie przez chłód, który coraz bardziej przybierał na sile, i przywołał ten blask w spojrzeniu Verusa, blask, który sprawiał, że rysy demona nabierały niezwyklej miękkości, i który kazał Grimowi domyślać się, że w tym cieple kryje się więcej niż tylko nienasycony chłód i okrucieństwo. *Przypominasz sobie ten*

*pierwszy raz, kiedy bez lęku poczułeś na skórze światło słońca? Głos Verusa był jak wołanie z Cieni i wtedy, w jednej chwili otoczyło Grima złote światło i zamilkły wszelkie dźwięki.*

Znajdował się w pomieszczeniu z dawno minionego czasu. Ściany zdobiły egipskie malowidła i zanim dostrzegł meble stojące wokół, już wiedział, że znajduje się na dworze Seta II, tam, gdzie Verus służył jako Achaj, czyli uśpiony demon żyjący w symbiozie z ludźmi. Na ukos od wejścia stało łóżko, na którym leżał chłopiec, dziecko, które umarło. Promienie słońca wpadały przez okno i kładły się złocistym blaskiem na jego skórze.

Grim podszedł powoli i dostrzegł, że chłopiec wygląda jak młodsze wydanie Verusa. Patrzył na szczupłą twarz i drobnokościste, niemalże delikatne dłonie, i przez głowę przebiegły mu słowa Samhura opowiadającego o przeszłości Verusa. *Pomógł największym władcom osiągnąć potęgę i sławę, nigdy niczego w zamian nie żądając. Lecz któregoś dnia górę wzięła jego prawdziwa natura. Zabił syna faraona, puszczając z dymem pół pałacu. Następnie opuścił pustynię i nigdy już nie powrócił w to miejsce.*

Grim wyciągnął dłoń w stronę chłopca, nie dotykając go jednak. Chłopiec był martwy od niedawna, Grim wciąż jeszcze wyczuwał chorobę, która swoją zimną mocą zniszczyła jego ciało. Podniósł spojrzenie, gdy do pomieszczenia wszedł Verus. Na jego piersi nadal widniała rana zadana mu przez Grima, liczne inne rany ziały w jego ciele. Chwiał się lekko na nogach, lecz wyglądał tak, jakby nie czuł bólu. Spoglądał na chłopca tak, jakby patrzył w twarz jakiegoś wewnętrznego lękowi, a jednocześnie przedmiotowi największej tęsknoty, jaką znał.

*Uwolniłeś go od cierpień, powiedział Grim spokojnie.*

Verus stał bez ruchu.

*Nawet ja nie byłbym zdolny do takiego okrucieństwa, z jakim pustoszyła go choroba, odrzekł. Błagał mnie, bym go uwolnił, i uczyniłem, co w mojej mocy. Lecz to było za mało.*

*Nie spodziewałem się znaleźć w twoim wnętrzu takiego obrazu,* stwierdził Grim. Wiedział, że wystarczy, aby wyciągnął rękę, i może zniszczyć Verusa. Jeden ruch palcem wystarczy, by rozedrzeć złocisty

blask na strzępy. Lecz coś w oczach demona kazało mu się powstrzymać.

*A czego się spodziewałeś, spytał Verus z lekką kpina w głosie. Dziewięciogłowego węża z plagami tego świata w orszaku?*

Podszedł do dziecka, ledwie jednak światło słońca dotknęło jego dłoni, sparzył się i odskoczył. Grymas bólu wykrzywił jego rysy, ale powodem nie było dotknięcie światła.

*Jego imię brzmiało Aros, powiedział cicho. Uczyłem się od niego i pokochałem go, prawdziwie pokochałem, a wraz z nim cały świat. Kiedy umierał, patrzył na mnie w zdumieniu, jakbym był jakimś cudem.*

Grim milczał przez chwilę. Aż nazbyt wyraźnie poczuł na twarzy ostatnie tchnienie monsieur Pité.

*Potrafię sobie..., zaczął, lecz Verus parsknął gniewnie.*

*Nic nie potrafisz, głupi Hybrydzie! Jestem demonem, nie mam żadnego ciała poza tą iluzją, a jednak poczułem się tak, jakby wyrwano mi z ciała cały świat!*

Wsparł się o ścianę i kiedy z ust popłynęła mu krew, Grim pojął, że Verus ma rację. Wtedy, gdy umarł chłopiec, o mały włos też kosztowałoby go to życie.

*A jednak się mylisz, powiedział Grim. Uciekłeś przed tym obrazem. Wydaje ci się, że się od niego uwolnisz, jeśli nie będzie już luster, luster takich jak ja, prawda?*

Verus spojrział na niego, w jego oczach była otchłań ciemności. Grim ledwie dostrzegalnie skinął głową.

*A więc tak właśnie jest, ciągnął. Dlatego łakniesz Płomienia. On by cię pożarł, odebrałby ci ten obraz i mógłbyś zapomnieć, kim jesteś. Tego właśnie chciałeś, ponieważ to wspomnienie pośrodku twojego chłodu szepcze do ciebie: wtedy byłeś... żywy.*

W tym momencie Verus aż się skulił. W jego oczach zamigotały obrazy. Grim słyszał śmiech chłopca, widział głęboką zieleń lasów i czuł na skórze światło i cień tak wyraźnie, i tak intensywnie, jakby to było po raz pierwszy. Biegł przez las, wskoczył do czarnego jeziora, krzyczał tak głośno, że aż załamywał mu się głos, i radość w jego piersi była nadludzka, ogromna i tak cudowna, że o mało się nie zaśmiał. Nigdy wcześniej nie odczuwał w ten sposób, nigdy wcześniej nie oddychał i nie

płakał. A potem ujrzał chłopca umierającego w ramionach Verusa, i ujrzał słońce wschodzące złoto nad horyzontem. Widział, jak demon przyjmuje postać dziecka, jak pozwala mu dorosnąć, aż wreszcie odrzuca głowę w tył i wydaje ryk. W tym momencie Grim poczuł całą jego bezradność i rozpacz, że nie potrafił uchronić przyjaciela przez skrzydłami, które go zabrały – i jego samego także prawie rozdarł ten ból. A jednak w tej rozpaczyci tliło się coś silnego i dobrego, i właśnie to światło załamało się w oczach Verusa, sprawiając, że Grim mógł wreszcie zaczerpnąć powietrza, i wypełniając go taką mocą, że zniknęły wszystkie myśli. I wiedział tylko jedno: złoćistość.

Verus przechylił głowę lekko w bok i kiedy spojrział na Grima, ten wzdrygnął się. Co takiego pojawiło się nagle w oczach demona, co takiego, czego Grim nie potrafił znieść?

W tym momencie po twarzy Verusa przemknął uśmiech, pierwszy uśmiech, od kiedy się znali, w którym nie było złośliwości. Demon ukląkł i objął Grima spojrzeniem.

*Tak mało wiesz, samotny Hybrydzie, powiedział cicho. Życzę ci, aby tak zostało.*

Grim ujrzał, jak Verus odczepia Berło Ludzi, i przestraszył się, kiedy wokół buchnęły płomienie o niezwykłej sile, a kiedy usłyszał ryk prastarych mocy demonów, odskoczył od Verusa. Uniósł pięści, przygotowując się na cios, lecz Verus tylko patrzył na niego.

*Uciekaj, powiedział i ujął dłoń chłopca. Światło słońca wżerało się w jego ciało. W tym samym momencie płomienie uderzyły w Grima, i wydostał się z wnętrza demona, niesiony przez krzyk Verusa, grzmiący i potężny:*

***UCIEKAJ!***

Z niewiarygodną prędkością Grim pędził przez tunele ze światła i ciemności, czuł wicher we włosach i zaraz potem znów był na wpół zniszczonym dachu domu w Pradze. Naprzeciw niego stał Verus, na jego ciele wciąż widniały rany, lecz jego oczy były oczami smoka. Płomienie wystrzeliły z jego ciała i kiedy w smoczej postaci uniósł się w powietrze, wydając ryk, Grim aż cofnął się przed potęgą tego głosu. Złoty blask, którym niedawno pokryły się ciała demonów, rozerwał się, wiele z nich



spłonęło w krzyku Versua, inne rzuciły się do ucieczki, podczas gdy Ghrogonianie zrzucili szarą powłokę trucizny i ruszyli za nimi w pogoń. Wyglądało to tak, jakby wraz ze zniknięciem złotego Cienia zniknęła też wola walki Car'lay Ythemów. I Grim widział przerażenie na ich twarzach, kiedy spoglądali w górę na swojego dotychczasowego wodza. Dzikim lotem spowity złotymi płomieniami Verus szybował nad dachami, lecz nie spalał się w nich, tylko leciał, uderzając skrzydłami, i krzyczał tak, że jego rozpacz wprawiała ziemię w drżenie.

Wtedy ruszył też Grim. Już biegnąc, powrócił do postaci smoka i pomknął w stronę Verusa. A kiedy wyrzucił przed siebie pięść, przebijając pierś demona, przez moment poczuł w palcach echo bicia jego serca.

Patrzyli na siebie. Grim widział przed sobą ich obu, dwa potężne smoki nad dachami spustoszonego ludzkiego miasta, i odwzajemnił uśmiech, który pojawił się na ustach Verusa, uśmiech pełen okrutnego piękna i mroku. A potem wyjął dłoń z Białego Diamentu, który umieścił w piersi Verusa, tam gdzie było jego serce. Zdążył jeszcze wylądować na jednym z dachów, zanim Kryształ buchnął rozpalonym żarem – żarem, który żywił się obrazami z jego wspomnień. Widział Carvena, Mię, Remiego ale też księżyc nad polami popiołu, które dawno temu przemierzał Verus, i szepczące wichry nad Równinami Gniewu. Widział Verusa pędzącego po niebie, widział go stojącego pod oknami ludzi i trzymającego dłoń umierającego dziecka, a potem, z krzykiem wydobywającym się jakby z tysięcy gardeł, Diament rozpekł się, zgasił płomień na skórze Verusa i zamienił je w złote światło. Grim wstrzymał oddech. Nad dachami Pragi, z szumem skrzydeł, unosił się potężny Verus Crendilas Dhor, Złoty Cień Znikczemnienia, Feniks z popiołów – i po raz ostatni w swoim życiu odczuł bez cienia lęku, co znaczy miłość.

Grimowi wydawało się, że spogląda on na niego z góry, a w jego uszach rozbrzmiał śmiech, jasny i czysty śmiech dziecka. Potem tchnienie wiatru przeniknęło ciszę i smok rozpadł się w szepczące popioły. Płatki popiołu opadły na Innostoty i ludzi zebranych na zamkowym dziedzińcu, których spojrzenia pełne były zadziwienia i tęsknoty, jakby patrzyli na jakiś cud.



## Rozdział 56



Jakiś szept przeszedł przez świat barw, który powstał pod dłońmi ludzi. Mia odebrała to jak szum ptasich skrzydeł w powietrzu, który niemal czule musnął jej włosy, i przestraszyła się, gdy ludzie wokół niej nagle się skulili. Zaraz jednak z ich ciał wyfrunęły demony, a gdy tylko dotknęły ich barwy, zmieniały się w ledwie widoczne, blade cienie i snuły się pomiędzy ludźmi jak ciemna mgła, którą rozwiewa wicher. Mia patrzyła w ich twarze: szeroko otwarte oczy, usta wykrzywione w niemym krzyku, lecz kiedy próbowały dosięgnąć jej szponami, w ogóle nie czuła ich dotknięć. Wkrótce demony całkiem zniknęły, wchłonął je z powrotem Gniew Braskatonu.

Mia odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się, widząc gwiazdy kładące się na jej twarzy migocącym czerwonym i zielonym blaskiem. Uniosła w górę ramiona i zakręciła się wokół własnej osi tak szybko, że wszystko wokół zmieniło się w wirujący kobierzec barw. Grim pokonał Verusa, złamał czar – a ona sama była w Świecie Snów i czuła się tak lekka, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby zaczęła się unosić. Poczowała lekki zawrót głowy, kiedy się zatrzymała i rozejrzała wokoło. Ludzie stali zdumieni pośrodku świata, który sami stworzyli, otoczeni przez Innostoty, które z dawien dawna nosili w swoim wnętrzu i o których właśnie sobie przypomnieli, akurat tutaj, w Świecie Zmierzchu. Ich twarze promieniały, jakby rozświetlone od środka blaskiem, a w ich oczach był spokój, który sprawił, że Mia odetchnęła z ulgą. Może i ludzie są słabi, może i noszą w sobie wszelkie zło tego świata, ale na ten jeden moment w tym cudownym królestwie wszyscy mieli ten sam sen – jej sen, sen o wspólnym, wolnym świecie.

W milczeniu uniosła do twarzy maskę Baala i kiedy płomień wypłynęły z artefaktu, kładąc się na czołach ludzi, po ich plecach

przebiegł dreszcz. Ich ciała powoli zaczęły robić się przejrzyste, aż wreszcie z bezgłośnym westchnieniem wrócili do swojego świata. Mia została sama. Przez moment stała bez ruchu, potem przywołała moc maski i poczuła, jak łagodnie muska jej skórę. Obraz Świata Snów zaczął się już rozmazywać przed jej oczami, ale zdążyła jeszcze zobaczyć, jak maska spada na ziemię, przemienia się w płynne złoto i z lekkim szelestem wznosi się w niebo, gdzie staje się gwiazdą – najpiękniejszą gwiazdą nad morzem barw. Mia wchłaniała ten obraz, złote światło, które pieściło jej czoło, i cały otaczający ją Kosmos stworzony przez ludzi. Spojrzała w stronę Grima, raz jeszcze zobaczyła jego uśmiech. Uśmiech, który sprawił, że zadrżała. Spoglądał na nią od tamtej strony, wciąż jeszcze czuła dotyk jego palców na dłoni i ciemność oceanu na skórze – tę jedwabistą, głęboką, nieskończoną ciemność, jaką Grim nosił w sobie. Mgły Świata Snów zbierały się pod jej spojrzeniem, czuła, jak przenosi się w inną rzeczywistość, lecz jednej myśli na pewno nie zagubi: widziała ciemność Grima, jej piękno i grozę. Zabrał ją tam, a być może od zawsze tam właśnie była, tylko dopiero teraz ją pokazał.

Znalazła się na placu przed praskim Zamkiem. Dym i popiół snuły się wśród szeregów Ghrogonian i ludzi, którzy się tam zebrali. Mia słyszała, jak ze sobą rozmawiają, widziała rannych, widziała demony, które – spętane czarem unieruchamiającym – wtrącano do diamentowych lochów, widziała Kronka i Mouriera, i Remiego, który stojąc w gronie Niuchaczy, spoglądał w niebo. Zanim jednak i ona skierowała tam wzrok, musnął ją cień, który jak mroczne przeczucie przemknął nad placem. Spojrzała w górę, na niebo promieniejące blednym złotem i przeraziła się. Wysoko w górze szybował smok, ogromny i czarny jak obsydian, zupełnie jak zjawia uczyniona z nieprzeniknionej ciemności. Dumnie szybował nad dachami miasta, które z wolna uwalniały się od demonicznych zniekształceń. Jego łuski połyskiwały w matowym blasku nieba, a kiedy rozpostarł skrzydła i z potężnym szumem wylądował na placu, Innostoty i ludzie cofnęli się instynktownie.

Patrzyli w bezruchu, on jednak nie zwracał na nich uwagi. Majestatycznie uniósł głowę, Mia nieomal czuła żar tłący się w jego ciele. Nigdy wcześniej nie widziała takiego smoka, prastarej siły z Pierwszego Czasu, i kiedy zaczął rozglądać się w tłumie, zaparło jej

dech w piersiach. Jego szpony wbiły się w ziemię, jakby to był воск, a jego oddech wprawiał powietrze w drżenie. Jednym ruchem skrzydeł mógłby ich wszystkich zniszczyć, lecz ona nie czuła strachu, i kiedy na nią spojrział, jej serce zatrzepotało jak dziki ptak.

Oczy smoka zapłonęły czarnym ogniem, jakby to była odpowiedź na niezadane pytanie, i jeszcze zanim się przemienił, Mia rzuciła się w jego stronę. Nie widziała, jak chowają się jego skrzydła, jak jego oblicze i ciało zmieniają się w oblicze i pokryte ranami ciało Gargulca, i nie widziała też szacunku i podziwu w oczach zebranych, kiedy na niego spoglądali. Biegła najszybciej, jak mogła, patrzyła w jego oczy, kiedy powoli kroczył przez tłum w jej stronę. Chwiał się lekko na nogach, czuła jego wyczerpanie, lecz po chwili wylądowała w jego ramionach, a on pocałował ją i przytulił, i dopiero wtedy z wolna osunął się na kolana.

Czule pogłaskał ją po włosach. Słyszała bicie jego serca, dudniącego jak uderzenia dzwonu w oddali, i kiedy podniosła wzrok, i spojrziała na niego, nie było już żadnych wątpliwości i żadnych pytań: to, na co patrzyła, to był cud, Anioł z Cieni i Ciemności – teraz i na zawsze.

## Rozdział 57



Księżyc stał wysoko nad dachami Paryża, posyłając na ulice blask, tę łagodną i chłodną poświatę, która zawsze będzie czymś więcej niż szyderczym śmiechem. Grim nie brał mu za złe jego milczenia. Stał samotnie na swojej wieży, spoglądał w dół na rozświetlone okna mieszkań i słuchał dobiegających do niego głosów ludzi, jakby nigdy nie było inaczej.

Skutki wydarzeń ostatnich tygodni wciąż jeszcze absorbowały Innoświat. Samhur i Łowcy udali się na poszukiwanie zbiegłych demonów, a Mourier i Lyskian kilka dni temu pojechali do Pragi, aby osobiście przekonać się, czy NPG dobrze się sprawuje przy odbudowie miasta. Książę wampirów dołożył wszelkich starań, by ukryć przed ludźmi, co tak naprawdę się wydarzyło. Jego lud rozesłał po całym świecie potężną dawkę sfingowanych doniesień medialnych, wszędzie można więc było usłyszeć o nagłych huraganach i burzach z gradobiciem, które wyjaśniały szkody powstałe w wielu miastach, a zwłaszcza w Pradze, oraz o grypie szalejącej w różnych miejscach świata i powodującej u ludzi głębokie omdlenia i halucynacje, a nawet pociągającej za sobą ofiary śmiertelne. Tak jest, Innoświat pracował pełną parą nad tym, by zamydlić ludziom oczy, aby nie dostrzegli magii unoszącej się jeszcze w powietrzu. Prawdę mówiąc, jeszcze do niedawna Grim był świecie przekonany o tym, że ludzie kupili każdą z serwowanych im bajek. Teraz jednak...

Nasłuchiwał szeptów w liściach drzew. Świat się zmienił. Czuł to wyraźnie. To westchnienie w powietrzu tuż przed burzą, te szepty z zasłanianiem ust, kiedy ludzkie spojrzenia biegly w stronę gargulców, które od zawsze królowały na kościołach i gmachach tego miasta, i dzieci zatrzymujące się, kiedy drogę przebiegła im jakaś Innostota.

Nigdy wcześniej tak wielu ludzi naraz nie zbliżyło się tak bardzo do Innoświata, jak to miało miejsce w ostatnich tygodniach – nigdy od czasów sprzed Czaru Zapomnienia, i Grim czuł, jak sen, który podarowała im Mia, położył się delikatnym księżycowym blaskiem na ich twarzach. Może wyprą go znowu w ciemność swoich myśli, ale on będzie się tam nadal tlił, i nigdy nie zgaśnie całkowicie, nawet gdyby starali się ze wszystkich sił. *Nie ma bowiem czaru na tym świecie ani na żadnym innym, który byłby potężniejszy niż sen.* Może kiedyś nadejdzie dzień, gdy ta wiedza nie będzie już żadną tajemnicą. Grim uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Ech, ludzie!

Nabrał powietrza w płuca i znowu poczuł pieczenie, tępe i jakby przytłumione, podobnie jak pustka, jaką w jego piersi pozostawił Płomień Prometeusza. Paryż zniknął i Grim znalazł się na pustyni. Przypomniawszy sobie lisa Rhu i jego milczenie, kiedy położył mu pod nogami Płomień. Lis w milczeniu spoglądał w górę na Grima i zanim ten zdążył sobie wytłumaczyć wyraz jego oczu, z gardła Rhu wydobył się dziwny dźwięk i wzleciał ku niebu jak motyl. A niebo było złote – było to niebo Grima. Widział postacie na murach miasta, które patrzyły za nim w milczeniu, gdy opuszczał ich świat. Każde spojrzenie tak jak i cisza były obietnicą i pytaniem zarazem. Lecz Grim na nie nie odpowiedział. Przez moment widział jeszcze Verusa i łagodny uśmiech na jego ustach, i dobiegły go jego słowa: *Tak mało wiesz, samotny Hybrydzie. Życzę ci, aby tak zostało.* Grim spochmurniał, kiedy twarz demona pojawiła się na murach miasta na pustyni. Czuł, że pewnego dnia przyjdzie na to czas. Wtedy powróci do tego świata i będzie miał więcej pytań niż tylko to jedno. Nabrał głęboko powietrza. Ale jeszcze musi poczekać.

Obraz Świata Bogów wsiąkł z powrotem w Cienie Paryża. Grim właśnie zamierzał odwrócić wzrok, kiedy zauważył jakąś postać oddaloną o kilka ulic. Stała bez ruchu na dachu jednego z domów i patrzyła w jego stronę. Serce Grima aż podskoczyło.

Serafin.

Daremnie szukał swego brata w Świecie Snów. Znow wróciło wspomnienie rozpacz, z jaką przeszukiwał ruiny jego zamku, i przerażenie, jakie go ogarnęło, kiedy ujrzał, jak budynek rozpada się w

błękitny pył. Przetarł oczy, lecz Serafin nadal stał w tym samym miejscu. Jego płaszcz łopotał na wietrze i Grim miał wrażenie, że dostrzega uśmiech, którego echo słychać było w głosie brata.

*Jestem, powiedział Serafin w jego myślach, a kiedy zaczął mówić dalej, Grim powtarzał za nim słowa piosenki, którą niegdyś razem śpiewali, może w jakimś wcześniejszym życiu, dziecięcej piosenki, która zawsze była czymś o wiele więcej niż tylko współbrzmieniem słów i melodii: Tam gdzie nie ma już dnia ani nocy, z dala od dróg, które każdy zna, prześlizguję się przez Cienie. Nikt nie znajdzie moich śladów, jeśli na to nie pozwolę, nikt nie pozna mojego imienia, jeśli go nie wyjawię, nikt nie usłyszy mojego głosu, jeśli go nie podniosę. Jestem Wędrowcem bez Celu, Ścigającym i Sciganym, lecz wiem, co znaczy Zmierzch – ja Dziecię Mroku.*

Chłodne powietrze wpływało do płuc Grima. Podniósł dłoń i odwzajemnił pozdrowienie Serafina. Nie zwracał uwagi na kolumnę światła dobiegającego z windy za plecami, bo jego brat skłonił lekko głowę i w następnej chwili już go nie było. Grim ledwie zauważalnie także skinął głową. Serafin potrafił przechodzić przez Cienie tak jak i on. Musi znaleźć swoją drogę – lecz jego droga znajduje się w tym świecie.

Zapach Mii dotarł do niego, ledwie wyszła z windy. Z wolna odwrócił się. Na jej ustach promieniał uśmiech, a kiedy jej włosy zafalowały na wietrze, przeniknęło go takie uczucie, jak w czasie ciepłego deszczu. Jeśli kiedykolwiek nadejdzie taki dzień, że nie będzie już na niego patrzyła tak jak teraz – przypomni jej tę chwilę.

– Jesteśmy prawie gotowi – powiedziała, kiedy ją przytulił. – Mourier przysłał nam mnóstwo dziwnych pudeł z kostiumami, Remi wciąż powtarza swój pokaz samurajo–ninja–koboldowego stylu walki, a Bocus podpalił jeden z dywanów. Ale tort nawet całkiem się udał, a mały kolorowy smok trzyma się dzielnie na samym jego czubku. Jak na razie Klarze i Fibiemu skutecznie udaje się zająć Carvena. Wprawdzie nie jestem tak do końca pewna, czy on się aby czegoś nie domyśla, ale myślę, że i tak się ucieszy. Nie sądzisz?

Grim znał Carvena wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że chłopak z pewnością wie o niespodziance, jaką przygotowali z okazji jego powrotu do zdrowia, i mógłby się założyć, i to o wszystko, że



Klarze i Fibiemu niełatwo jest udawać, że nie mają o niczym pojęcia. Wywabili go z kościoła i wciągnęli w grę w karty o stawkę nie do odparcia dla młodego chłopca – o latający skateboard.

– A już szczególnie się ucieszy, kiedy wypróbuję tę jego wygraną i na oczach wszystkich rozciągnę się jak długi – powiedział Grim z westchnieniem.

Mia uśmiechnęła się.

– Niewykluczone, że Edwin zrobi ci konkurencję. W każdym razie ćwiczysz zawzięcie na jednokołowym rowerze Carvena, jakby już nigdy nie miało być jutra.

– Cóż, niejeden z nich mógł odnieść takie wrażenie w czasie tych ostatnich nocy przed rozpoczęciem szkolenia u Theyrona – powiedział Grim, przypominając sobie okrągłe ze zdziwienia oczy Hartydów, kiedy po raz pierwszy zobaczyli Wojownika Wrózek.

– Jak sądzisz, dadzą radę? – spytała Mia. – Radwinie nie było łatwo opuścić na jakiś czas Pragi, nie mówiąc już o Edwinie. Mają tam przyjaciół i rodziny, i... – zamilkła, lecz Grim dostrzegł jej spojrzenie i uśmiechnął się.

– Bez obawy – odrzekł spokojnym głosem. – Wszystko będzie dobrze.

Nie będzie to dla nich łatwa droga, lecz bez wątpienia nie było osoby bardziej nadającej się do tego, by ich nią poprowadzić, niż Theyron i Grim nie miał wątpliwości, że nawet Jaro będzie umiał to docenić. Aż pokręcił głową na wspomnienie miny Jaro w czasie jego pierwszej wizyty w Ghrogonii i tego, z jakim skupieniem wsłuchiwał się w opowieść Jakuba o smokach, które kiedyś wzniosły to miasto. Po wycieczce do stolicy Innoświata chłopak bez przerwy mówił tylko o tym, z jakim zaangażowaniem odda się wszystkim ćwiczeniom. Grim widział też, jak spokojnie i z namysłem, zupełnie jakby był kimś więcej niż tylko człowiekiem, rozmawia z Jakubem o konieczności poszukania innych Hartydów. Nabrał głęboko powietrza. A któż z nich tak naprawdę mógłby twierdzić, że jest inaczej? Spojrzenie Mii objęło go zielonym tchnieniem i prawie zapomniał, jak dalecy sobie się czuli, kiedy spadli, każde do innego świata, bez możliwości dotarcia do siebie, i jakie panowało zimno, kiedy spojrzała na niego przez tysiące niewidzialnych

murów. Łagodnie odgarnął Mii włosy z czoła i przypomniał sobie ich spotkanie po wszystkim u bram praskiego zamku.

– Czy wiesz, co to znaczy na zawsze? – spytał cicho.

Mia milczała przez chwilę, a potem uśmiechnęła się.

– Tak – odparła, kładąc dłoń na jego piersi. – Ta chwila. Ona jest na zawsze.

Pocałowała go delikatnie, a kiedy poczuł na ustach jej oddech, a na skórze blask księżyca, zorientował się, że coś jest inaczej. Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Pieczenie w jego piersi zniknęło.

– Och, bardzo przepraszam!

Mia aż podskoczyła z przestachu, a Grim rzucił ponure spojrzenie Remiemu, który z udawanym wyrazem zaskoczenia na twarzy unosił się przed kolumną światła windy. Jeszcze nigdy nie widział bardziej nieudolnego aktora niż ten kobold.

– Tak, tak, jasne – powiedział Grim. – Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział wyrzuty sumienia o takiej intensywności.

Remi starał się udać, że się zaczerwienił, co mu jednak nie wyszło – a przynajmniej nie do końca. Szybko podfrunął do Grima i wręczył mu zaklejoną kopertę.

– Przyniósł to dla ciebie jakiś osobnik o dziwnych włosach – powiedział, wzruszając ramionami.

Grim spojrzał badawczo.

– Kobold? – zapytał i aż się roześmiał, kiedy zobaczył, jak Remi wykrzywia twarz w oburzeniu.

– Nie – odparł Remi z namysłem. – Takiej istoty jeszcze nigdy nie widziałem. Miał taki krwistoczerwony strój, był nie większy od świerszcza, a jego oczy...

Grim poczuł, jak śmiech zamiera mu na ustach. Nagle na wieży zrobiło się zimno, tak zimno, że aż wstrząsnął nim dreszcz.

– ...i były przyszyte byle jak do jego stroju – zakończył Remi opis posłańca.

Grim z mroczną miną popatrzył na kopertę. Aż za dobrze znał krwistoczerwoną pieczęć Karciarza. W milczeniu wzniecił w dłoni czarne płomienie i wypuścił nieotwartą płonąca kopertę z ręki. Kołysząc się jak liść, powoli sfruwała z wieży w dół. Grim ani myślał zajmować

się tego wieczoru jakimś cieniem przeszłości. Patrzył na iskry sypiące się w noc. Zresztą, to tylko drobne przesunięcie w czasie, kiedyś będzie się musiał z nim rozprawić, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

Czuł na sobie spojrzenie Mii i uśmiechnął się ledwo zauważalnie. Remi sfrunął na jego ramię i wszyscy razem poszli w stronę windy. Grim raz jeszcze obejrzał się i poczuł na twarzy blask światła miasta, które dochodziły aż tutaj. Miał wrażenie, jakby tańczyły na jego skórze ze srebrzystym śmiechem, i aż do głębi przeniknęło go uczucie lekkości i ciszy.

*Czasami życie bywa piękne – pomyślał*

## *Epilog*

Cienie tańczyły przed oczami Carvena. Przez siedem dni i nocy spał, krzyczał przez sen i miał wysoką gorączkę. Grim nie odstąpił od jego boku, aż uzdrowiciele z Ghrogonii wyciągnęli go wreszcie ze Snów, w które się dostał. Od niedawna był już całkiem zdrowy, pozostały mu tylko zawroty głowy, które nachodziły go od czasu do czasu, blizny na nadgarstku... i taniec Ciemności. W zamyśleniu wpatrywał się w zarośla parku, tam, gdzie pojawiały się zarysy dziwnych postaci i zaraz rozplywały w nicość, jakby nigdy ich tam nie było. Miał wrażenie, że stoi przed wielką ciemną kurtyną i zagląda na drugą stronę przez małą dziurkę. Lecz tego, co poza nią było, nie mógł wyraźnie zobaczyć. Zbyt szybko mu się wymykało i widział tylko pustkę i ciemność, która go otaczała.

Odwrócił się i popatrzył na trzymaną w dłoni deskorolkę. Tak szybko rozprawił się z Klarą i Fibim, że aż do teraz śmiać mu się chciało, gdy przypominał sobie wyraz niebotycznego zdumienia na ich twarzach. A przecież to właśnie diabełek Fibi nauczył go grać w karty – włącznie z wszelkimi możliwymi sztuczkami. Z przejęciem namawiali go na drugą rundę, kiedy już wypróbuje nową zabawkę, i chociaż nie udało im się zaimponować mu jakąś wyjątkową nagrodą – zgodził się. Wiedział przecież, że chcą tylko za wszelką cenę czymś go zająć, podczas gdy na dolę trwają przygotowania do przyjęcia. Kopnął kamyk leżący na ścieżce, żeby trochę zapanować nad podeksycytowaniem, ale radosne łaskotanie w brzuchu tylko przybrało na sile. Sapnął głośno. Musi się jakoś opanować. Przecież nie jest już małym dzieckiem, żeby...

W samym środku rozmyślań jego nadgarstek musnął lekki podmuch wiatru, chłodny i aksamitny. Carwen wzdrygnął się i przez moment poczuł się znowu tak, jakby otaczały go Cienie Braskatonu – poczuł łagodne dłonie Żalobnicy na swojej piersi i patrzył w jej oczy, czarne i przejrzyste jak głębokie jeziora. Nigdy dotąd nie widział takich oczu i nie potrafił o nich zapomnieć. Czuł zagadkową tęsknotę połączoną z dzikim, niepohamowanym gniewem, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Pospiesznie odpędził od siebie obydwa te uczucia.

Może jednak nie jest jeszcze tak całkiem zdrowy, jak mu się wydawało? Nawet Grim mu powiedział, że ciało to nie wszystko, co musi się wyleczyć z dotknięcia Braskatonu. Ale czas leczy rany, czyż nie?

Nagle zobaczył coś unoszącego się w czerni nocy, płonący kawałek papieru, który z cichym szeptem spływał z wieży Grima. Wylądował wprost pod nogami Carvena i chociaż chłopiec wcale nie chciał go podnosić – coś w nim wołało, żeby tego nie robił – to jego dłoń z blizną na nadgarstku automatycznie po niego sięgnęła. Ledwie jego palce go dotknęły, płomień zgasł, za to blizna zapłonęła na krótko czarnym ogniem. Carven przypomniał sobie ognisty bicz, który okręcił się wokół jego nadgarstka w Krainie Umarłych Demonów, i twarz diabła, który go nim smagnął. Jego śmiech był zarazem radosny i okrutny, a kiedy Carven przełamał na wpół stopioną pieczęć i zaczął czytać słowa zapisane czerwonym atramentem na czarnej jak popiół kartce, słyszał w sobie jego głos:

*Grimie,*

*synu głupca. Jesteś nadzwyczajnym stworzeniem, Mój Drogi, i oczywiście nigdy bym nie dopuścił do tego, abym musiał patrzeć, jak kończysz swój żywot u stóp demona. Bez mojej pomocy niewątpliwie wyszedłbyś z całej tej sprawy albo martwy, albo zakuty w kajdany, gdybyś w ostatniej chwili nie zdołał jednak sam oprzeć się pokusom. Zrozumiesz chyba zatem, że wobec chwiejności twego charakteru nie mogłem ryzykować i sam podjąłem pewne środki. To tak dla twojej informacji. Z wielką chęcią osobiście omówiłbym z tobą w dogodnym czasie pewną sprawę. Spotkajmy się jutro przy Gare du Nord – nie bójmy się posłużyć wyświechtanym banałem – o północy pod Trzynastą Latarnią. Z pewnością zainteresuje Cię, co mam do powiedzenia.*

*Dobrej nocy życzy Ci Twój stary przyjaciel*

K.

Carven nie rozumiał nic z tego, co osobliwy K. chciał powiedzieć

Grimowi, mało go to zresztą obchodziło. Zobaczył na papierze ogień Grima, więc skoro Gargulec chciał list spalić, to widocznie nie było to nic ważnego. A jednak nadal nie wypuszczał kartki z ręki. Ze zdumieniem, które nawet jemu samemu wydawało się dziwne, wpatrywał się w ostatnią literę, dopiero kiedy zapłonęła czerwonym ogniem i cała kartka od nowa zaczęła płonąć, upuścił kartkę na ziemię.

Zanim jednak koperta zwęgliła się na popiół, coś się z niej wyślizgnęło, zatrzepotało w powietrzu jak motyl i zanim zdążyło spaść na ziemię, Carven złapał to w dłoń. Była to karta do gry, as pik. Carven obracał kartę między palcami. Była całkiem zwyczajna, tyle że czerń bardziej przypominała cień, ponieważ rozmywała mu się przed oczami, tak że aż musiał je przetrzeć. Przez chwilę spoglądał na widoczny na niej symbol i nagle przypomniał mu się obraz jego samego stojącego przed kurtyną. Zaraz jednak wzruszył ramionami i włożył kartę do kieszeni. Kto wie, może przyniesie mu szczęście przy następnych grach?

Z westchnieniem ruszył po schodach wiodących do wieży, a kiedy położył rękę na klamce, usłyszał śmiech, radosny, okrutny śmiech dobiegający gdzieś z ciemności czającej się między drzewami. Odwrócił się z przestachem, ponieważ nagle śmiech zabrzmiał lodowato, przerażająco lodowato i szyderczo. Zaraz jednak ucichł jak senne widziadło, które rozplywa się gdzieś między jawą a snem.

<sup>1</sup> Jovan Nikolić (ur. 1955) – mieszkający w Niemczech poeta i pisarz pochodzenia romskiego (przyp. tłum.).

